PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY ÓSMY. — TOM CXI.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1911.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1911.

Z NOWSZEJ BIOLOGII.

OBECNY STAN NAUKI O KOMÓRCE.

Każdy większy okres cywilizacyi ma pewną dominującą ideę, która wpływem swoim wytworzyła charakter tego okresu i wchodząc z nim w związek najściślejszej duchowej symbiozy, dostarczała mu żywotnych soków, za co znowu wzrastała i potężniała sama, rozwijając się jego potęgą. Tak wieki średnie wcieliły w siebie idee Arystotelesa, a uszlachetniwszy je zasadami chrystyanizmu, rozwinęły je w potężną i do dziś u znawców podziw wzbudzającą filozofię scholastyczną. Epoka odnowienia zespoliła się ideowo z klasycyzmem greckim i rzymskim, zwracając się do zbyt może przez wieki średnie wzgardzonych form piękna materyalnego, a za to zanadto ku ziemi ściągając zagłębionego w mistycyzmie ducha. To też odnowienie, kierując uwagę człowieka na świat materyalny i piękno form, mimowoli pchnąć go musiało do badania i zajmowania się przyrodą, podłożem tego piękna, i w ten sposób utorowało drogę epoce obecnej, która, jak się zdaje, żyje cała pod godłem nauk przyrodniczych, zwłaszcza zaś biologii.

Wprawdzie dziś kwestyami najbardziej piekącemi, które ogarnęły wszystkie dziedziny myśli ludzkiej, są kwestye socyalne, lecz one właśnie wzrosły i wyhodowały się bezsprzecznie na gruncie monistycznej filozofii, która zespoliła się i jak gdyby w monopol wzięła nauki biologiczne, czerpiąc z nich swe argumenty, za-

patrywania i siłę. Oto co mówi znany profesor filozofii socyalnej w Tuluzie, C. Bougle: »Wiek dziewiętnasty, mówi Cournot, był świadkiem potężnego wysiłku, by *réintégrer l'homme dans la nature*. Z różnych stron metodyczna powstała reakcya przeciwko uparcie panującemu dualizmowi kartezyuszowskiej tradycyi, który znowu był nieświadomym spadkobiercą chrześcijańskiej tradycyi. Nawet filozofia ośmnastego stulecia, jakkolwiek materyalistycznemi po większej części były tendencye jej przywódców, zdawała się czcić człowieka jako istotę odrębną, do której odnoszące się prawa można sformułować *a priori*. By go ściągnąć z piedestału potrzeba było wyraźnego zapanowania pozytywnych badań, gdzie nie zważano na »pychę człowieka«. Niema wątpliwości, że Darwin wiele uczynił, by nas z tym stanowiskiem oswoić... Tak więc wiara w *imperium in imperio* wyciętą niejako precz została przez postęp ducha przyrodniczego, wzmacnianego znowu ustawicznie przez zdobycze nauk przyrodniczych« [1].

I nie tylko metody i poglądy nauk biologicznych, ale nawet fakta pojedyncze przez nauki przyrodnicze zdobyte, stają się arsenałem, z którego czerpią idee i których analogie stosują do wszystkich innych dziedzin. To też znajomość głównych metod biologicznych, zwłaszcza najważniejszych wyników, do jakich te nauki doszły, stała się nieodzowną potrzebą dla każdego człowieka wykształconego, przedewszystkiem jednak dla myślącego chrześcijanina, którego pod egidą tych nauk pragną niejednokrotnie unicestwić i wierzenia jego w krainę zepchnąć nierzeczywistych marzeń.

Dlatego w tych szkicach biologicznych pragnęlibyśmy czy-

---

[1] *Darwin and Modern Science*. Cambridge 1909, str. 466 i 7. Jest to dzieło zbiorowe, które wydał uniwersytet w Cambridge z okazyi stuletniej rocznicy urodzin Darwina i pięćdziesięcioletniej rocznicy ukazania się książki *The Origin of Species*. Dzieło to o sześciuset blizko stronach zawiera rozprawy ze wszystkich dziedzin wiedzy, na których odbił się rzeczywiście lub rzekomo wpływ idei Darwina. Mamy tam więc obok rozpraw czysto przyrodniczych, jak np. »Teorya doboru« (pisał Wiesmann), »Dziedziczność i zmienność« (Bateson), »Znaczenie barwy w walce o byt« (Poulton), »Darwin i geologia« (Judd), także i takie: »Pochodzenie człowieka« (Schwalbe), »Wpływ pojęcia ewolucyi na nowszą filozofię« (Höffding), »Darwinizm i socyologia« (C. Bouglé), »Wpływ Darwina na myśl religijną« (Rev. Waggett), »Ewolucya i nauka języków« (Giles), »Darwinizm i historya« (Bury) i t. d.

telnikom naszym podać zupełnie bezstronnie i otwarcie wszystko, co każdego człowieka myślącego i wykształconego może interesować i co może mieć związek z głębiej sięgającemi zagadnieniami Znajomość ich da bowiem nie tylko możność bezstronnego i samodzielnego rozpatrzenia się w najbardziej aktualnych dzisiaj kwestyach, ale także pomoże do zrozumienia istniejących prądów, które tylko we wpływie biologii na cywilizacyę dzisiejszą wytłumaczenie i uzasadnienie znaleźć mogą.

Zacząć zaś musimy od komórki, bo najpierw ona jest elementem budowlanym wszelkich żywych organizmów, a powtóre, głębsze zrozumienie morfologii i dynamiki komórki, to jest jej budowy, sposobu dzielenia się i działania, jest podwaliną konieczną do ocenienia wszelkich innych działów biologii. Zauważyć nadto trzeba, że zrozumienie znaczenia komórki rzuca niezmierne światło na naturę i ukształtowanie się całego organizmu i zdefiniowanie i zrozumienie tego, co nazywamy »indywiduum«.

W wiekach dawniejszych, gdy o drobnoustrojowej budowie pojęcia nie miano, organizm uważano za coś zupełnie jednolitego. Pojedynczy ustrój był czemś prawdziwie jednem, był jednością, nie dającą się podzielić, złożoną tylko z części ułamkowych. Później, gdy odkryto komórkę, jako część składową i ostatnią żywą cegiełkę organizmu, począł szerzyć się pogląd, zwłaszcza w obozie materyalistycznym, że organizm trzeba przyrównać do miasta lub państwa, złożonego z pojedynczych ludzi, związanych ze sobą wspólnością celów, kierowanych przez prawa, powstałe bądź przez umowę, bądź wskutek automatycznego działania walki o byt. Otóż według tej teoryi, której protoplastą jest Oken, czem w państwie człowiek, tem w organizmie komórka, będąca ostatecznie samoistną jednostką życiową, tworząca z innemi komórkami tylko autonomiczną całość. W miarę jednak jak znajomość budowy i funkcyi komórek się pogłębia, pogląd ten zaczyna coraz bardziej ustępować przekonaniu, że chociaż ustrój zbudowany jest z komórek, to jednak nie jest on prostym ich zespołem, lecz czemś zupełnie jednolitem, a komórka żyje w nim i działa nie jako samoistny byt, lecz tylko jako cząstka tego organizmu. I do tego poglądu, tak zgodnego ze wszystkiem, co o istotach żywych mówi nam

zdrowa filozofia, doszły nauki przyrodnicze właśnie przez zapoznanie się dokładniejsze z niezmiernie rozwiniętą morfologią i biologią komórki.

Obecnie przyjmuje się powszechnie następującą definicyę komórki: Komórka jest to bryłka uorganizowanej protoplazmy, opatrzona jądrem. Definicya ta jednak to zdobycz ostatnich lat dziesiątków i wiele potrzeba było prac i wysiłków, by do niej dojść. Historya rozwoju nauki o komórce jest jedną z najdosadniejszych ilustracyi, jak umysł ludzki posługując się mozolnemi, sumiennemi badaniami, zwolna lecz coraz głębiej wnikać jest zdolnym w tajniki przyrody — historya ta jest zarazem najlepszym przewodnikiem do wprowadzenia niewtajemniczonych w ten tak już dziś olbrzymi i zawiły gmach wiedzy, zwanej cytologią, czyli nauką o komórce [1].

Dodać do tego jeszcze trzeba, że chociaż te etapy, jakimi postępował naprzód pochód do wnętrza komórki, należą już do przeszłości, to przecież zrozumienie poszczególnych badań i należyte ocenienie ich doniosłości jest właściwie zdobyczą lat ostatnich. Jak bowiem w dziejach ogólnych ludzkości, tak i w historyi nauki, nie zawsze to przyczyniało się do stałego rozświecenia ciemności, co współczesnych olśniewało. To też idąc za ogólnie przez autorów najnowszych przyjętym zwyczajem, przegląd faktów, znanych nam dzisiaj o komórce, zaczniemy od historyi rozwoju cytologii, czyli nauki o komórce. W rysie tym historycznym, starając się o możliwą dokładność, uwzględniać będziemy te tylko fakta i osobistości, które, zdaniem najwybitniejszych dzisiejszych biologów, rzeczywiście posunęli sprawę komórki naprzód.

---

[1] Historyę tę mniej lub więcej obszernie traktują następujący autorowie: Heidenhain: *Plasma und Zelle*. Jena 1907. — Wasmann: *Die moderne Biologie und die Entwicklungstheorie*. Freiburg im Breisgau 1906. — O. Hertwig: *Allgemeine Biologie*. Jena 1906. — Radl: *Geschichte der biologischen Theorien*. Leipzig 1909. — R. Hertwig: *Lehrbuch der Zoologie*. Jena 1907. — Farmer: *The Structure of Animal and Vegetable Cells*. London 1903. W zoologii, którą wydał Ray Lankester. Nadto artykuły ogłoszone w *The Encyclopaedia Britannica*, mianowicie E. Minchin: *Protoplasm*. — G. Chubb: *Cytology* i wiele innych.

ROZDZIAŁ I.

Historya rozwoju teoryi o komórce.

Treść: Szkła powiększające i pierwsze mikroskopy. Ich wpływ na odkrycie komórki. Hooke. — Rozwój teoryi komórkowej w botanice. Malphigi. Grew.— Pierwsze spostrzeżenia nad jądrem komórkowem. — Stosunek genezy naczyń rośliny do komórki. Oken. Trevirianus. Mohl. Meyen i i. — Rozszerzenie teoryi komórkowej na oba królestwa organiczne t. j. roślin i zwierząt. Schleiden. Schwann. — Następcy Schwanna: Purkinje. Kölliker. — Dzieje teoryi protoplazmy. Schleiden. Mohl. Badanie istot jednokomórkowych. — Zasada Virchowa: Omnis cellula e cellula. — Schultze. Jego definicya komórki. — Strassburger: Omnis nucleus e nucleo. — Dalszy rozwój mikroskopu. Soczewki achromatyczne. Apochromaty Abbego. Mikroskopowanie przy promieniach pozafiołkowych. Ultramikroskopy. Ich znaczenie dla dalszych badań cytologicznych.

Odkrycie komórki, jak wogóle początek i cały rozwój cytologii, jest ściśle związane z odkryciem i udoskonaleniem mikroskopu. Ażeby tak głęboko wniknąć w najdrobniejsze szczegóły budowy organizmu, do tego oko ludzkie nie wystarczało — potrzeba było udoskonalić je niejako, stworzyć jak gdyby nowy zmysł. Tego dokonano właśnie przez zbudowanie mikroskopu.

Kto był właściwym wynalazcą tego przyrządu, o tem dowiedzieć się dzisiaj trudno — prawdopodobnie z mikroskopem było to samo, co z tyloma innemi wielkiemi odkryciami: idee przewodnie pod wpływem rozwoju nauk zapełniały niejako powietrze, a tu i ówdzie, w różnych krajach równocześnie prawie, szczęśliwi wynalazcy, z większem lub mniejszem powodzeniem nadawali im rzeczywiste kształty.

Szkła powiększające znane już były niezmiernie dawno — a i Seneca w swojem dziele: *Naturalium questionum libri VII* wspomina o spostrzeżeniu, że przez flaszkę napełnioną wodą, widzi się przedmioty, np. jabłka, powiększone. Zamiast jednak iść dalej i dokładniej zjawisko to zbadać, zadawalnia się on uwagą, że nic nie jest tak zwodniczem, jak nasz wzrok. O własności powiększania przedmiotów soczewki płasko-wypukłej wspomina w sławnej swej optyce arabski uczony Alhazen († 1038), nie wchodzi jednak w rzecz głębiej. Podobnie i genialny ów Fran-

ciszkanin, protoplasta i ojciec nauk przyrodniczych, Roger Bacon (1214—1294), zajmuje się niewiele soczewkami i nie posuwa się poza to, co znanem już było Alhazenowi. Między innemi radzi on ludziom, mającym słaby wzrok, kłaść na przedmiot, który chcą widzieć, odcinek kuli ze szkła, mniejszy niż cała półkula. Przez długi czas panuje zupełny zastój na tem polu, aż dopiero na sam koniec wieku XVI-go przypada prawdopodobnie wiekopomne odkrycie czyli skonstruowanie po raz pierwszy mikroskopu złożonego. Jednym z pierwszych wykonawców był Holenderczyk, Zacharyasz Jansen, który wspólnie z swym ojcem Janem zbudowawszy mikroskop złożony gdzieś około roku 1590, podarował go arcyksięciu Albrechtowi austryackiemu, a ten znowu odstąpił go Korneliuszowi Drebbelowi, który go w Anglii pokazywał. Jak rzeczy te zresztą są niejasne, pokazuje się stąd, że współczesny prawie sławny fizyk Huygens, chociaż sam Holenderczyk, twierdzi, że mikroskop wynaleziono dopiero po r. 1618, i że go dopiero w r. 1621 Drebbel pokazywał po raz pierwszy w Anglii. Podobno i Galilei miał wynaleźć mikroskop w r. 1612 i podarował go królowi polskiemu Zygmuntowi. Pomiędzy pierwszymi konstruktorami mikroskopów wymienia historya fizyki także i znanego Jezuitę Christopha Scheinera (1575—1650), który sławnym jest i z tego, że on pierwszy z pomiędzy wszystkich ujrzał zapomocą swego teleskopu plamy na słońcu. Wspominając z entuzyazmem o swym mikroskopie, mówi, że powiększa on muchę do wielkości słonia, a pchłę czyni równą wielbłądowi. Wszystko to nie przeszkadzało, że jeszcze znacznie później »ojciec mikroskopii« Antoni Leeuwenhoek (1632—1723), a nawet Hooke, jeden z pierwszych autorów, piszących o mikroskopie (1635—1703), posługują się w swych badaniach pojedynczemi chociaż bardzo silnie powiększającemi soczewkami, zaś współczesny im Stefan Gray (1696) używał jeszcze prostszego instrumentu: w płytce metalowej wiercił bardzo drobne dziurki i wpuszczał w nie kroplę wody, która pod wpływem ciężkości i napięcia powierzchniowego kształtowała się w silnie powiększającą soczewkę [1]. Niewiele dosko-

[1] Sposób Gray'a można nieraz w braku lupy z korzyścią stosować. Nie potrzeba nawet i płyty metalowej, bo wystarczy kroplę wody położyć

nalszy był przyrząd współczesnego mu Hartsoekera (1656 1725), temu bowiem za szkło powiększające służyły szklane kuleczki, które sobie sam nad lampą wytapiał. Na czas ten przypada też pojawienie się po raz pierwszy nazwy »mikroskop«, którą nadano instrumentowi Jana Fabra w Rzymie w r. 1625.

Łatwo sobie wyobrazić z jakim entuzyazmen badacze ówcześni, skoro pojawiły się pierwsze mikroskopy i przyrządy powiększające, rzucali się na oglądanie nowo przed ich oczyma odkrytego świata, owych cudów i dziwów drobnoustrojowego życia, których i dzisiaj nikt, nawet ciągle z temi rzeczami mający do czynienia przyrodnik, nie ogląda bez silnego nieraz wrażenia. Nic też dziwnego, że z początku nie trzymano się żadnej systematycznej metody, lecz oglądano wszystko, co podpadło pod rękę, przebiegając ze zdumieniem i zachwytem przez te, dotychczas dla ludzkości zupełnie nieznane i zamknięte, zaczarowane pałace przyrody. Tkanka zwierzęca i roślinna, zwierzątka jednokomórkowe, części owadów, wszystko przerzucano z pośpiechem — i nieodłączną od niego powierzchownością.

Takich to studyów i badań rezultaty podał Anglik Robert Hooke w wielkiem dziele *Micrographia* (1665), w którem między innemi znajduje się krótki rozdział, traktujący o budowie cienkich płytek zwykłego korka. Dostrzega tam autor i ilustruje swe spostrzeżenia zapomocą ryciny, niezmierną liczbę regularnie ułożonych, drobnych i pustych przestrzeni, które przyrównywa do pustego plastru miodu i nazywa je porami albo komórkami. I chociaż Hooke przedmiotem tym dalej się już nie zajmował, to przecież ta nazwa »komórka«, jaką wprowadził, uzyskała na zawsze w nauce prawo obywatelstwa. Jest ona wprawdzie, jak się później okazało, dosyć nieszczęśliwą, bo opiera się tylko na całkiem nieistotnej, zewnętrznej, często nawet brakującej części komórki, jaką jest osłonka, jednak ze względów właśnie historycznych musiano nazwę tę zatrzymać.

Nazwisko Hooke'a jest, jak widzimy, mimochodem i tylko

---

na kawałku jakiegokolwiek szkła, ile możności o dokładnie płaskiej powierzchni i lupa gotowa. Przytem im kropla będzie mniejsza i więcej zbliżona do półkuli, tem silniej będzie powiększała.

przypadkowo związane z odkryciem komórki [1]. Hooke'owi chodziło o mikroskop i o to, co w nim widzieć można, a nie o budowę drobnoustrojową roślin. Tą ostatnią zajęli się w kilka lat później i niezależnie od Hooke'a dwaj przyrodnicy: Włoch Malpighi i Anglik Nehemiasz Grew, którym też słusznie w nauce o komórce przypada zaszczytna rola pierwszych patryarchów i pionierów.

Pierwszy z nich, Marcello Malpighi (1628 - 1694), swym dwutomowym foliałem, który się ukazał p. t. *Anatome plantarum*

---

[1] Ciekawa to była postać ten Robert Hooke, którego, mówiąc o komórce, zawsze się wspomina na pierwszem miejscu, chociaż odkryciem swojem właściwie nic wybitnego dla biologii nie zdziałał, a w nazwie »komórka« obdarzył ją tylko niepożądaną spuścizną, od której uwolnić się już nie można. Urodzony w r. 1635 na wyspie Wight, gdzie ojciec jego był pastorem, przepędziwszy młodość między nauką i rzemiosłem, wchodzi w r. 1653 jako tak zwany servitor, ubogi student, na uniwersytet w Oxfordzie, gdzie wkrótce zwrócił na niego uwagę sławny Boyle, któremu oddał znaczne usługi przy konstrukcyi pompy powietrznej. W r. 1662 otrzymuje Hooke posadę eksperymentatora w nowo założonem Royal Society, w rok zaś później zostaje członkiem rzeczywistym i potem nawet sekretarzem tego towarzystwa (1678). Przedtem jeszcze został profesorem mechaniki, za co Sir John Cutler wypłacał mu pensyę 50 funtów (1200 koron) rocznie, a nadto także i profesorem geometryi w Gresham College w Londynie. Umiał także i innymi sposobami pamiętać o realniejszej stronie życia. Gdy bowiem po wielkim pożarze, jaki w r. 1666 nawiedził Londyn, chodziło o odbudowanie miasta, podał Hooke swój projekt w formie pięknie wypracowanego modelu. Planu tego nie przyjęto wprawdzie, ale powierzono Hookowi nadzór nad robotami, co mu przyniosło wiele tysięcy funtów. Pieniądze te znaleziono po jego śmierci w żelaznej skrzyni, gdzie więc leżały nie tknięte przez lat z górą trzydzieści. Umarł Hooke w Londynie r. 1703. — Był to człowiek bezsprzecznie wielkich zdolności, i bardzo pomysłowych, czasami genialnych idei, który jednak rzucając się na wszystko, obmyśliwając zbyt wiele, stosunkowo bardzo mało dokonał. Powierzchowności niepozornej, chudy, zgarbiony, o zwiędłej twarzy, którą okalały długie, w nieładzie rozrzucone loki — wszystko to harmonizowało doskonale z jego charakterem samotnym, zrzędnym, kłótliwym. A kłócił się całe życie, przedmiotem zaś sporów były ciągłe jego pretensye, że mu inni kradną jego pomysły i przedstawiają za swoje. Najsławniejszy jednak spór jego był z Newtonem, którego pomawiał, że idee do owego największego prawa i odkrycia, prawa powszechnej grawitacyi, wziął od niego. Słuszność nakazuje przyznać, że rzeczywiście Hooke należy do najwybitniejszych pod tym względem poprzedników Newtona. W piśmie p. t. *An attempt to prove the motion of the Earth*, wydanem w r. 1674, a więc na 12 lat przed wiekopomnem dziełem Newtona: *Philosophiae naturalis principia mathematica*, obiecuje podać wyjaśnienie systemu kosmicznego, jakiego nikt

(1675 i 1679), zyskał sobie, zdaniem Schleidena, »niezaprzeczone prawo do imienia twórcy umiejętnej botaniki«. Jest on założycielem naukowej histologii (nauki o tkankach) roślin, zdaje on sobie jasno sprawę z rozmaitych gatunków tkanek w organizmie roślinnym, a elementarnemu składnikowi tkanki parenchematycznej daje nazwę *utriculus* — mały pęcherzyk. Dalej jeszcze w swych badaniach idzie drugi protoplasta nauki o komórce, Nehemiasz

---

jeszcze nie dał, a które zgadza się we wszystkiem z zasadami mechaniki. Opiera zaś to swoje wyjaśnienie na trzech regułach, z których pierwsza mówi, że wszystkie ciała się przyciągają, druga daje prawo bezwładności ciał, bardzo zbliżone do pierwszego prawa ruchu Newtona, a trzecia twierdzi, że siła, z jaką ciała się przyciągają, zależy od ich wzajemnego oddalenia. Nic też dziwnego, że gdy Newton przedstawił swe dzieło, traktujące o grawitacyi i prawach ruchu wobec Royal Society, Hooke narobił straszliwego hałasu, oburzony zwłaszcza tem, że go Newton nawet nie zacytował w swem dziele. W dyskusyi bardzo gwałtownej, która między nim a Newtonem wybuchła, pisze między innemi Newton w liście do Halleya, że już po raz trzeci, jak go Hooke znieważa (mieli już dawniej spór o odkrycia Newtonowskie optyczne), i dodaje: »On (Hooke) nic nie uczynił, a pisze przytem w taki sposób, jak gdyby wszystko wiedział i na wszystko dostatecznie wskazał. Ani najprostszej pracy z rachunkiem i obserwacyami nie wykonał, a potem uniewinnia się swemi pracami, podczas gdy powinien się był uniewinnić swym brakiem zdolności«. W ustępie tym Newton przesadził jednak nieco, to też później pogodziwszy się pod wpływem Halleya z Hookiem przyobiecał mu w swem dziele go zacytować, i przyznał, że na niektóre jego idee wpłynął także Hooke.— Z najważniejszych odkryć i pomysłów Hookea wyliczyć trzeba udoskonalenie dzwonu nurkowego, kotwicę sprężynową u zegarka, teoryę falową światła, interferencyę, uginanie światła, badanie nad rolą powietrza w oddychaniu i spalaniu się ciał, kołowy barometr i t. d. Widzimy z tego, że działalność Hookea zamyka się w fizyce, z biologią niema nic wspólnego. Jest on jednak wybitnym typem owych ludzi XVII wieku, którzy olśnieni tem niesłychanem bogactwem nowych idei, jakie na każdym kroku nastręcza umysłowi badawczemu przyroda, a które niewytłumaczonym sposobem uchodziły dotychczas stale uwagi największych nawet geniuszów, poświęcił się nauce cały, i rzucał się na wszystko, by zbadać i odkryć wszystko. Ile w tych jego utarczkach o pierwszeństwo było miłości własnej, a ile miłości prawdy, trudno dziś powiedzieć, to tylko pewna, że człowiek ten oddał się nauce zupełnie, że wartość jego moralną cenią wysoko, a zapał do nauki był u niego taki, że do końca życia nie porzucał badań oryginalnych, a nieraz wschodzące słońce znajdowało starca zaczytanego nad księgami, nad któremi spędzał noce całe. — V. Rosenberger: *Geschichte der Phys.* t. II. — La Cour i Appel: *Die Physik auf Grund ihrer geschichtlichen Entwickelung,* t. I, str. 180, 312 i nast. — *Encykl. Brit.:* Hooke.

Grew, który w dziele *Anatomy of plants* (1682) z wielką dokładnością rozbiera i rozróżnia tkanki roślinne. Dla nas jest ważnem jego szczególne pojmowanie komórki: budowę parenchymy roślinnej przyrównywa do piany na piwie, a komórki czyli pęcherzyki uważa za puste przestworki, zanurzone w jednolitej substancyi zasadniczej. A więc u tych przyrodników główną rzeczą w komórce to ściana, osłona.

Pogląd ten utrzymuje się zresztą w nauce przeszło wiek cały, tak, że jeszcze w r. 1830 botanik Meyen podaje następującą definicyę komórki: »Komórka roślinna jest to przestrzeń, otoczona zupełnie przez roślinną błonę«.

Wiek ośmnasty nie przyniósł cytologii wielkich zdobyczy. Odznaczył się tylko Kaspar Friedrich Wolff, którego uważać zdaje się należy za odkrywcę komórki w organizmie zwierzęcym. W swem dla teoryi rozwoju organizmów niezmiernie doniosłem dziele p. t. *Theoria generationis*, wydanem w r. 1759, opisuje w tkankach roślinnych twory, które zwie pęcherzykami albo komórkami, a podobne ustroje dostrzega także w organizmach zwierzęcych i nazywa je tu »kuleczkami«. Są to niewątpliwie komórki. Także ważnym dla nauki o komórce jest rok 1781, w którym ks. Felice Fontana znajduje i opisuje jądro w żywej komórce. Dziś jednak nie ulega wątpliwości, że pierwszym odkrywcą jądra był znany nam już sławny Holenderczyk Leeuwenhoek jeszcze w r. 1686, tylko że nie umiał on jeszcze ocenić doniosłości tego spostrzeżenia. Zresztą za głównego odkrywcę jądra w komórce uchodzi angielski botanik, Robert Brown, który w r. 1831 ogłasza rezultat swych specyalnych studyów nad jądrem, mianowicie zwłaszcza w komórkach nabłonkowych i włoskach pyłku tradeskancyi. Mówi, że jądro, któremu nadaje nazwę: *areola* albo *nucleus*, ma budowę ziarnistą i że jest prawdopodobnie otoczone błoną. Mimo to w cztery lata później wspomniany już Meyen w swej »Fizyologii roślin« uważa jądro tylko jakby za magazyn zapasowy materyału odżywczego dla komórki. Lecz wróćmy do historyi rozwoju nauki o komórce.

Wspomniany dopieroco Wolff, a potem Oken (1809) i inni zajmowali się między innemi kwestyami także pytaniem o po-

wstaniu rośliny i stosunku genezy naczyń rośliny do komórki. Otóż tu położył wielkie zasługi Trevirianus, który wynik swych spostrzeżeń ogłosił w roku 1808 w dziele p. t. »O budowie wewnętrznej roślin«. Wykazuje on tam, że naczynia roślin, które poprzednicy jego uważali za coś odrębnego od komórek, właśnie od komórek pochodzą, a powstają w ten sposób, że młode komórki ustawiają się w szeregi, poczem ścianki poprzeczne, oddzielające od siebie pojedyncze, przytykające do siebie komórki, ulegają resorbcyi, zanikają, i z szeregu komórek tworzy się rurka. Nie umiał jednak ten badacz zużytkować należycie znakomitych swych rezultatów, nie wypowiedział owej ogólnej zasady, którą dopiero w dwadzieścia przeszło lat później (1830) postawił inny przyrodnik, potwierdzający pracami swemi badania Trevirianusa, mianowicie Mohl (1805—72), który wskazuje na to, że komórka jest elementem zasadniczym wszystkich tkanek rośliny.

Jasne dosyć zestawienie ówczesnych poglądów na komórkę znajduje się w często przez autorów cytowanym ustępie z dzieła Meyena: »Komórki roślinne albo występują pojedynczo, tak, że każda komórka tworzy oddzielne indywiduum, jak to ma miejsce u alg i grzybów, albo są one, w więcej lub mniej znacznych masach, złączone w wyżej zorganizowaną roślinę; także i tu każda komórka tworzy całość zamkniętą, dla siebie samej istniejącą; odnawia się sama, tworzy się sama, i przerabia wchłonięty surowy sok odżywczy na bardzo wielorakie materye i twory«.

Znano także w tym czasie i sok komórkowy, obserwowano już jego ruchy, a prócz zbiorników na sok mleczny wszystkie inne części tkanki roślinnej uważa Meyen za komórki lub od komórek pochodzące. Komórki są, według niego, organami asymilacyi i rozrodu. Do udoskonalenia jeszcze tego poglądu na istotę i zadanie komórki roślinnej przyczyniły się niemało wspomniane już prace nad jądrem Browna (1831) a potem i samego Meyena, a dalej odkrycie przez Dumortiera (1832) i Morrena (1836) zjawiska dzielenia się komórki. Jednem słowem, teorya komórki, o ile ona dotyczyła roślin, jest już teraz, t. j. na schyłku pierwszej połowy XIX w., zupełnie wypracowaną, a nadto zdobyto już odnośnie do komórki

olbrzymią ilość faktów i spostrzeżeń pozytywnych, niezależnych od jakichkolwiek teoryi.

Tak stały rzeczy do r. 1838, w którym Schleiden, a następnie i przedewszystkiem Schwann kładą podwaliny pod nową epokę w dziejach cytologii. Co do Schleidena, to słusznie zwraca uwagę Heidenhain, że znaczenie i zasługi tego botanika znacznie niektórzy przecenili, nazywając go właściwym odkrywcą komórki roślinnej, która przecież, jak widzieliśmy, znaną była od dawna. Natomiast nie ulega wątpliwości, że Schleiden wywarł ideami swemi znaczny wpływ na dalszy rozwój teoryi komórki, zwracając w rozprawie, którą ogłosił w r. 1838 w czasopismie *Archiv* Müllera p. t. »Przyczynki do phytogenezy«, na nieznaną, a ważną może, jak słusznie przypuszczał, rolę, jaką w komórce odgrywa jądro. Roztrząsając znaczenie komórki dla organizmu, rzuca pytanie, jak właściwie ta komórka powstaje? — bo dotychczasowa teorya podziału komórki go nie zadowalała. Według niego w rozwoju i powstawaniu komórki wielki udział mieć musi jądro, którego obecność dostrzegał we wszystkich młodych komórkach. Rzeczowa strona tej rozprawy jest jednak bez wartości, a znaczenie jej polega tylko właśnie na rzuconej mimochodem nowej myśli o jądrze, którą następcy dopiero, zwłaszcza Schwann, zużytkowują i uzasadniają [1].

---

[1] Radl porównywa Schleidena z Haecklem i w tem porównaniu mieści się może najtrafniejsza charakterystyka Schleidena. Pierwszą epokę swego życia spędził Schleiden na studyowaniu prawa i na adwokaturze. Gdy ta mu nie szła, postanowił samobójstwem zakończyć; ale i to mu się nie udało, kula raniła go tylko ciężko, a bohater wyzdrowiawszy, zapragnął szczęścia szukać tam, gdzie go wówczas jedynie widziano, to jest w naukach przyrodniczych. Wiodło mu się na zewnątrz nieźle, został profesorem botaniki na uniwersytecie w Jenie, potem profesorem botaniki i antropologii w Dorpacie, lecz porzuciwszy i to stanowisko, osiadł jako uczony prywatny. Najważniejszem jego dziełem jest *Die Botanik als induktive Wissenschaft* (1842), które dokładnie odzwierciedla stan umysłowy autora. Wiele tam zjadliwej polemiki, rozprawiania o wszystkiem, o filozofii, o stosunku nauk do siebie, o pisaniu podręczników, o zbytnim kulcie francuskiej nauki i t. d. Należy, prawi, porzucić rozmyślanie o istocie rzeczy, a tłumaczyć zjawiska przyrody mechanicznie. Między kryształem a organizmem niema żadnej różnicy istotnej;

Schwann dowiedział się w 1838 w rozmowie z Schleidenem, o nowej tegoż teoryi powstawania komórek i o wybitnem znaczeniu, jakie w niej posiadać ma jądro komórkowe. Teoryę tę postanowił tedy zastosować do komórek zwierzęcych, gdzie właśnie cechą wyszczególniającą komórki jest jądro i zabrawszy się z zapałem do prac doświadczalnych nad tym przedmiotem, rezultaty ich ogłosił już w roku następnym.

Komórka zwierzęca znaną już była dawniej, a nawet porównywano ją już z komórką roślinną, a Dutrochet jeszcze w r. 1824 wyraził przekonanie, że różnorodne tkanki zwierzęce, podobnie jak i roślinne, powstawać muszą z komórek. Henle (1838) wykazuje komórkową budowę w nabłonku człowieka, Purkinje (1837) rozróżnia w gruczołach, jak np. gruczołach żołądkowych, śliniankach, trzustce, nerkach, w nabłonkach migawkowych, w śledzionie, gruczole tarczykowym, celki, które zawierają »jądro różne od otoczenia« i ta budowa komórkowa tych tkanek, obok której rozróżnia jeszcze, jako jej równorzędną, budowę włóknistą i płynną, przypomina mu komórki roślinne, tak, że zachęca do ściślejszego

---

hasłem botanika jest doświadczenie a nie zrozumienie. Później Schleiden został popularyzatorem teoryi Darwina, w pismach popularnych dotyka oczywiście i kwestyi religii, o której wygłasza to znamienne wyznanie: »Tylko ludzie pozbawieni zupełnie serca i rozumu mogliby przy sumiennem badaniu siebie uwolnić się od wszelkich przesądów«. »Schleiden«, mówi Radl, był mężem, jakich często się napotyka: silny w przeczeniu i pewny swego tylko tak długo, jak długo był napastnikiem; skoro tylko jednak miał czerpać sam ze siebie pozytywne zapatrywania, skoro tylko trzeba było powiedzieć, co sam, bez względu na innych, myśli o konkretnych pytaniach, stawał się chwiejnym i odpowiedzi brakowało«.—Prawdziwą zasługę naukową Schleidena stanowią tylko właściwie te dwie myśli: przyrodę należy badać genetycznie, a więc zaczynać koniecznie od embryologii organizmu, a dalej, pod wpływem odkryć angielskiego botanika Browna, wskazuje na ważne znaczenie jądra w komórce, którą jednak zupełnie błędnie pojmował, uważając za rzecz istotną w niej ścianę z celulozy, okalającą pół płynną azotową substancyę. Powstaje ta komórka według Schleidena w ten sposób, że z żywej substancyi wykrystalizowuje się jądro, koło którego tworzy się komórka. Ta komórka jednak jest najistotniejszym elementem składowym rośliny, bez której organizmu być nie może. Te myśli skierowały fale poszukiwań ówczesnych badaczy na powstanie i znaczenie komórki — lecz także przyczyniły się do szybszego wykrycia mylności poglądów rzeczowych Schleidena. — Radl l. c. t. II, str. 65 i nast.

studyum fizyologii roślin. Purkinje też jeden z pierwszych podniósł różnicę znamienną pomiędzy komórkami zwierzęcemi i roślinnemi, mianowicie brak błony komórkowej u zwierząt. Mimo to, jak powiada Heidenhain, wschodzące słońce Schwanna olśniło wszystkie poprzednie usiłowania i obniżyło ich wartość.

Cóż więc stanowi główną zasługę i podstawę jego sławy? Oto Schwann w swoich badaniach kierował się dwiema ideami, odziedziczonemi zresztą po Schleidenie: Najpierw jako cechę charakterystyczną komórki zwierzęcej, po której ją najłatwiej poznać i rozróżnić można, uważa jądro, a po drugie, poznał on i całą siłą zastosował w swych badaniach tak płodną i później i dzisiaj tak ogólnie używaną metodę embryologiczną

Do poznania i zrozumienia dokładnego budowy tkanki, potrzebne jest poznanie jej powstania. Bada on w tym celu jajo, które już uważa za komórkę, śledzi jego rozwój t. j. bruzdkowanie czyli podział i powstanie z niego listków zarodkowych, które złożone są z komórek, przypatruje się powstaniu tkanek, jak nabłonkowej, kostnej, mięsnej, przyczem zwraca uwagę na produkta powstałe z komórki. Na podstawie tych dociekań dochodzi on do przekonania, i to jest największą zasługą Schwanna, że wszystkie komórki tak roślinne jak i zwierzęce pod względem morfologicznym są równowartościowe, podczas gdy dotychczas komórki różniące się wybitnie między sobą, uważano jakby za jakieś różne gatunki [1]. Ciemną

[1] Schwann sam ocenia dokładnie znaczenie swych teoryi, gdy w przedmowie do dziełą *Mikroskopische Untersuchungen über die Übereinstimmung in der Struktur der Tiere und Pflanzen* (1839) mówi: »Rozprawa niniejsza ma za zadanie wykazać najściślejszy związek pomiędzy oboma państwami przyrody organicznej z tożsamości praw rozwoju części elementarnych zwierząt i roślin«. — Był to człowiek głęboko religijny, który na swych pismach nie wahał się umieszczać arcybiskupiego Imprimatur, należy też do najwybitniejszych uczonych katolickich, który pokazał, jak połączyć można prawdziwy postęp i oddanie się nauce z trwałemi uczuciami wiernego syna Kościoła. Urodził się w Nysie 7-go grudnia 1810 r. odziedziczywszy po ojcu, bardzo zdolnym mechaniku, talent i zapał do wynalazków i badań doświadczalnych. Gimnazyum kończył w kolegium jezuickiem w Kolonii, poczem studyował medycynę w Bonn, gdzie spotkał się ze sławnym fizyologiem i uczonym Janem Müllerem, a następnie w Berlinie, gdzie otrzymał w roku 1834

natomiast plamę na sławie naukowej Schwanna jest jego pogląd, że komórki powstają nie wyłącznie w obrębie starych komórek, lecz tworzą się także pomiędzy komórkami. I on także uważał komórkę jakby za kryształ organiczny, który powstawał przez wykrystalizowanie się z substancyi znajdującej się poza komórkami, z organicznego ługu macierzystego, którą nazywa »cytoblastemą« [1]. Nadto mimo nacisku, jaki kładł na jądro komórkowe pojmuje on komórkę, podobnie jak i Schleiden, jeszcze w znaczeniu dosłownem, jako pęcherzyk, ścianami ograniczony, a więc nie wchodzi głębiej w istotę komórki, lecz tkwi ciągle jeszcze przy jej ścianie.

Wkrótce po ukazaniu się przytoczonej powyżej książki Schwanna, wystąpił przeciwko jego teoryom Purkinje (1840) a mia-

---

doktorat. Johannes Müller skłonił młodego medyka do oddania się karyerze naukowej, i zamianował go asystentem w anatomicznem muzeum. Na ten czas przypadają też najważniejsze prace naukowe Schwanna, które sprawiły, że w r. 1838 powołano go na profesora anatomii do uniwersytetu katolickiego w Lowanium, skąd w r. 1847 przeniósł się na katedrę uniwersytecką w Liege, gdzie umarł dnia 11 stycznia 1882 r. Jako człowiek odznaczał się on charakterem nadzwyczaj szlachetnym, łagodnym i uprzejmym, i przez całe życie pozostał wierny zasadom katolickim. Jako uczony, jest to mąż, który nie tylko sam dokonał odkryć pierwszorzędnej wartości, ale wpływ jego naukowy rozciągnął się daleko na późniejsze czasy. Pominąwszy jego prace nad komórką, o których w tekscie wspominamy, on pierwszy odkrył, że drożdże są natury organicznej, dając w ten sposób podwaliny pod późniejsze teorye Pasteura i całą antyseptykę, której doniosłości praktycznej dla cierpiącej ludzkości nigdy nie można przecenić. Poświęcając się badaniom histologicznym zajmował się kwestyą kurczliwości mięśni, a w nerwach wykrył osłonkę, zwaną od niego osłonką Schwanna. To najciekawsze, że Schwann był właśnie jednym z pierwszych uczniów Müllera, który zerwał z witalistycznym poglądem, a zjawiska życiowe usiłował tłumaczyć zapomocą praw chemicznych i fizycznych. Metoda ta, jak dziś wiemy, do pewnego stopnia konieczna, samej natury życia wyjaśnić i wyczerpać nie zdoła — i z pewnością u Schwanna nie opierała się na materyalistycznych postulatach. Zwracają też uwagę na dziwny zbieg okoliczności, że podczas gdy Schleiden w gruncie rzeczy hołduje witalizmowi, choć go pozornie zwalcza, to Schwann jest rzeczywiście w biologii mechanistą, mimo swych katolickich przekonań.

[1] Wewnątrz tej cytoblastemy, galaretowatej substancyi, powstaje, jak sądzi Schwann, jąderko, które rosnąc tworzy jądro; z niego znowu powstaje jąderko, dające początek nowemu jądru. Koło takich jąder grupuje się materya, tworząca osłonę komórkową. Tak więc chociaż Schwann uznał ważną rolę jądra w powstawaniu nowych komórek, to jednak cała jego teorya o pochodzeniu komórki była zupełnie błędną.

nowicie zaprzeczył on energicznie poglądowi, że tkanka, zwłaszcza zwierzęca, składa się z pustych przestworków, otoczonych błoną. Zdaniem jego, wszelką tkankę, czyto zwierzęcą czy roślinną, tworzą ziarnka zaopatrzone jądrem czyli po naszemu komórki bez błony. Takie komórki w tkankach zwierzęcych pozostają stale bez osłonek, natomiast u roślin wytwarza się rozdział pomiędzy częścią stałą i płynną, część stała przybiera postać błony, otaczającej część płynną jakby ścianami i wytwarza znany komórkowaty obraz.

Widzimy, że w tej teoryi Purkinje zrównał się zupełnie z naszymi dzisiejszymi poglądami na istotę komórki, że jest nią mianowicie treść, zawartość, a nie błona, uchwycił trafnie różnicę charakterystyczną pomiędzy komórką roślinną i zwierzęcą, mianowicie, że błona komórkowa w komórkach roślinnych obecna jest zawsze, a w zwierzęcych może jej brakować, on też wreszcie stał się sławnym i przez to, że pierwszy wprowadził nazwę i pojęcie protoplazmy, którą nadał żyjącej substancyi embryonów.

Prócz zagadnień natury morfologicznej, odnoszących się do budowy komórki, z niecierpliwością roztrząsano inną jeszcze kwestyę, daleko ważniejszą, mianowicie kwestyę powstawania komórek. Jądra komórkowego nie umiano się zawsze i we wszystkich dopatrzeć komórkach, stąd jako istotną cechę komórki uważano ciągle jeszcze ściankę, błonę komórkową, gdy zaś tej nie udało się od zawartości wewnętrznej oddzielić, stawano bezradnie wobec zagadki nie dającej się rozwiązać. Tak np. długi czas mimo prac Schwanna i innych nie umiano odpowiedzieć na pytanie, czy okrągłe, jądrem opatrzone twory, powstające z bruzdkowania czyli dzielenia się jaja zwierzęcego, są komórkami, bo nie umiano wykazać na nich błony. Wątpliwości te rozstrzygnął wreszcie Kölliker w swem epokowem dziele, które wydał w r. 1844 p. t.: »Dzieje rozwoju głowonogów«. Uważa on tam twory, na które dzieli się jajo przy bruzdkowaniu, za komórki, zupełnie takie, jak pierwotna komórka jajowa, i stwierdza, że od pierwszych stadyów dzielenia się jaja, aż do zróżniczkowania się i utworzenia ostatniej tkanki, zawsze powstaje każda nowa komórka przez podział na dwie części komórki starej, a »w całym szeregu rozwoju tkanki zwierzęcej, zarówno jak i u roślin, nie znachodzi się

żadnego tworzenia się komórek poza istniejącemi już poprzednio, owszem wszystkie zjawiska należy uważać za nieprzerwany ciąg zmian pierwotnie równoznacznych i pochodzących wszystkie od jednego pierwszego organu elementarnego«. Spotykamy się więc tu po raz pierwszy z zasadą, wypowiedzianą później dobitnie przez Virchowa, że komórka pochodzi tylko od komórki. Ciekawem jest również zestawienie właściwości fizyologicznych komórki, jakie Kölliker podaje w r. 1845, pisząc referat o komórce. Oto, według niego, własności te są następujące: wzrost, wrażliwość, kurczliwość, przyjmowanie substancyi, kierując się przytem swoistym doborem i wydzielanie odpowiednich substancyi, ma bowiem komórka własność nie tylko przyjmowania lecz i przerabiania chemicznego substancyi, stanowiąc jakby laboratoryum chemiczne, niedościgłe co do doskonałości.

Nie chce się naprawdę wierzyć, że mimo to wszystko, mimo tak świetnych teoretycznych prac Schwanna, Purkinjego i Köllikera, za istotę komórki uważano jeszcze ciągle błonę, membranę, treść zaś komórki była raczej czemś drugorzędnem. Pod wpływem uroku Schleidena kwestya powstania komórki była ciągle jeszcze kwestyą powstawania owej membrany a nawet sam Kölliker w r. 1852 poszedł za teoryą starą i oświadczył, że niektóre komórki powstają poza komórkami już istniejącemi. Sprawdziła się tu znowu ta tak często w dziejach nauk zjawiająca się prawda, że nic niema dla rozwoju nauk niebezpieczniejszego, nad powagę uznanych kierowników nauki, chociażby to byli ludzie skądinąd genialni. Złote antydotum, niestety często i u nich niestosowane, mieli przeciwko temu niebezpieczeństwu wielkich ludzi dawni scholastycy w owej prostej i oczywistej i dlatego może ciągle i dzisiaj raz po raz deptanej zasadzie: *Tantum valet auctoritas, quantum valent argumenta.* I dziś niejedna teorya biologiczna inaczejby może wyglądała, gdyby w jej ocenianiu kierowano się tylko wyłącznie argumentami, mającymi służyć na jej poparcie, a nie powagą ich koryfeuszów.

Szczęściem umysł ludzki, przynajmniej umysł zbiorowy, zamącony na chwilę, wraca się zawsze wstecz, by sumiennem badaniem i roztrząsaniem zmierzyć, czy rezultaty, do których doszedł,

wspierają się na silnych fundamentach, budowanych z ściśle do siebie przylegających kamieni. Tak było i tutaj. Podczas gdy jedni byli przekonani lub wmawiali w siebie, że dochodzą już prawie do zrozumienia komórki, inni, a mimowoli nieraz i ci sami, powoli wgłębiając się dalej w badanie prawdziwej treści, istoty komórki, odsunąwszy się nieco od jej ściany, pytają się, co w przestrzeni temi błonami ograniczonej się mieści i tak powoli napotkali na cały świat nieznanych faktów. Z nich właśnie wyłoniła się teorya protoplazmy, która dopiero naprawdę postawiła nas na pierwszym stopniu, prowadzącym do lepszego zrozumienia, czem jest komórka dla organizmów i jakie jej zadanie.

Jak w całym dotychczasowym rozwoju nauki o komórce, tak i w teoryi protoplazmy, pierwsze kroki zrobili botanicy, oni pierwsi teoryę tę zupełnie rozwinęli i udoskonalili a z ich prac dopiero korzystali w swych badaniach nad komórką zwierzęcą biologowie i histologowie. Niema oczywiście żadnej wątpliwości, że protoplazmę komórki, to jest ową szklistą, ziarnistą masę, wypełniającą komórkę, a zwłaszcza otaczającą jądro, widzieć musieli badacze już od pierwszej prawie chwili przyglądania się komórce. Dopiero jednak koło roku 1840 zaczęto zwracać na nią uwagę. I tak Schleiden w r. 1838 opisuje w komórce roślinnej prócz soku komórkowego jeszcze nadto substancyę miękką, przeświecającą, opatrzoną małemi ziarenkami, lecz substancyę tę uważa błędnie za gumę. W cztery lata później zajmuje się dokładniejszem jej zbadaniem Nägeli i dochodzi do wniosku, że zawiera ona połączenia azotowe. Ważną datę w dziejach teoryi protoplazmy stanowi rok 1846, w którym Mohl ogłasza rezultaty swych sumiennych badań. Substancyi tej, uważanej przez Schleidena za gumę, a którą Bonawentura Corti dostrzega jeszcze w r. 1772 uważając ją fałszywie za sok komórkowy, na której wreszcie ruchy zwrócił po raz pierwszy uwagę Trewirianus (1807), podając je za okrężne ruchy soku komórkowego, nadaje Mohl nazwę protoplazmy, nazwę zapożyczoną od Purkiniego, jak to widzieliśmy wyżej. Mohl podaje też najważniejsze właściwości tej protoplazmy: wypełnia ona dokładnie wnętrze młodej komórki roślinnej, w starszych zaś komórkach wchłania w siebie płyny, które zbierają się

w pęcherzykach, zwanych *vacuolae*; wreszcie zdolną jest do wykonywania ruchów, okrążając wnętrze komórki.

Nic tak nie uwydatnia charakterystycznych własności komórki, bo żaden żywy organizm nie zawiera w sobie tak czystego typu komórki, jak istoty jednokomórkowe, czyto należące do świata roślinnego, czy zwierzęcego. Poznanie dokładniejsze tych najdrobniejszych, lecz samoistnych elementów życiowych, wywarło też i na teoryę komórki wpływ olbrzymi. Od czasu, kiedy Cohn, Braun, Nägeli, Pringsheim i inni przypatrzyli się dokładnie życiu i morfologii jednokomórkowych roślin, zwanych algami, gdy zaznajomiono się z tym dla ówczesnych badaczy zdumiewającym faktem, że w stadyach rozmnażania się plazma oddziela się zupełnie od ściany komórki, przybiera kształt owalnej bryłki i przebijając wreszcie ścianę wychodzi na zewnątrz do wody, gdzie przy pomocy rzęsek zachowuje przez pewien czas żywe, własne ruchy, od tych odkryć zaczęto wreszcie wraz z ową żywą, nagą plazmą odrywać się od ściany komórki, tej mebrany, którą tak długo zasłaniano sobie widok na niezgłębione, tajemnicami przepełnione zjawiska biologiczne, jakich podłożem jest właśnie plazma i jądro komórki. »Jest to nieszczęście«, woła Aleksander Braun, pod wpływem badań nad algami, »że wyrazem komórka, oznacza się raz komórkę z błonką, raz komórkę bez błony, raz błonę bez komórki. Ponieważ treść jest jej istotną częścią, ponieważ tworzy ona jeszcze przed wydzieleniem błony z cellulozy zamkniętą całość, która posiada swoje własne, błoniaste ograniczenie, pierwotny worek, to jeżeli się nie chce używać oznaczenia »komórka« wyłącznie tylko na otaczającą błonę czyli komorę, a ciało wewnątrz się znajdujące obdarzyć inną nazwą, musi się właśnie to ostatnie oznaczać jako właściwą komórkę«. Pogląd ten przyjęto już odtąd powszechnie. Tak więc oderwano się wreszcie stale od osłony, od ściany komórkowej, a za istotną rzecz poczęto uważać to, co tą ścianą jest osłonione, a więc przedewszystkiem protoplazmę.

Prace i poglądy powyższe wychodziły przedewszystkiem, jak już wspomnieliśmy, od botaników, opierały się na badaniach komórek roślinnych, ale nie mogły one pozostać bez wpływu na

teoryę komórek zwierzęcych, które według poglądów ugruntowanych przez Schwanna, są morfologicznie identyczne z komórkami roślinnemi. I podobnie jak w botanice najsilniejszy wpływ na poznanie się z treścią komórki, z protoplazmą, wywarły badania nad roślinami jednokomórkowemi, algami, tak też i w świecie zwierzęcym, teorya protoplazmy walnej podpory doznała w dokładniejszych badaniach, poczynionych nad jednokomórkowemi zwierzętami, zwanemi pierwotniakami.

Zwierzątka te znane już były dawniej, a Dujardin jeszcze w r. 1835 opisał dokładnie zjawiska ruchu ziarnek substancyi wewnątrz pierwotniaków, zwanych korzenionóżkami (rhizopoda), on też nadał tej substancyi nazwę sarkody. Na podobieństwo tej sarkody do plazmy roślin zwrócił uwagę między innymi Cohn (1850), ale w kilka dopiero lat później myśl ta znalazła ogólne przyjęcie. Do wybitnych badaczy tej epoki należy też sławny embryolog Remak, który w r. 1852 zaprzeczył wprost teoryi Schleidena i Schwanna międzykomórkowego powstawania nowych komórek, uważając powstawanie komórek z substancyi międzykomórkowej za równie nieprawdopodobne, jak samorództwo *(generatio aequivoca)* organizmów. Używa on też po raz pierwszy dla substancyi zawartej w komórce zwierzęcej nazwy protoplazma.

Wreszcie z teoryą Schleidenowską pozakomórkowego powstawania nowych komórek, uporał się stanowczo w trzy lata potem (1855) sławny Virchow, który w epokowem dziele *Cellularpathologie* stawia znaną dzisiaj i jako powszechny dogmat przyrodniczy obowiązującą zasadę: *Omnis cellula e cellula*, komórka powstać może tylko z komórki. »Nie znam żadnego życia, są jego słowa, dla któregoby nie trzeba było szukać matki lub tworu macierzystego. Jedna komórka przenosi ruch życia na drugą... Powstawania komórek z bezkształtnego cytoblastemu nie można przypuścić ani w dziedzinie fizyologicznej ani patologicznej nauki o tkankach. Gdzie komórka powstaje, musiała przed nią istnieć komórka«.

Tak więc w połowie wieku dziewiętnastego zamknęła się pierwsza wielka epoka prac nad zbadaniem komórki, epoka, której wynikiem i wyrazem obraz komórki, przedstawiający bryłkę żywej, uorganizowanej protoplazmy, zawierającej wewnątrz jądro.

Do tego pojęcia doszła nauka bardzo powoli i jak widzieliśmy, by dojść do jego skonstruowania liczni badacze dorzucali swe cegiełki, wielkim nieraz mozołem nabyte. Mimo to, jak często bywa w dziejach nauki, wiąże się ono głównie z jednem nazwiskiem uczonego, który dorzucając do ogólnego skarbu swą własną, oryginalną pracą zdobyte rezultaty, potrafił zarazem objąć śmiałym rzutem oka i w jedno zespolić to wszystko, co pożytecznego przed nim zrobiono. Mężem tym to sławny przyrodnik Max Schultze, który swemi od roku 1860 ogłaszanemi pracami wywarł wpływ decydujący na ukształtowanie się tej nowej, lecz od dawna przygotowanej teoryi o komórce.

Główne rysy jego poglądów są następujące. Przedewszystkiem przyjmuje on i na stałe do nauki wprowadza nazwę »protoplazma«, którą oznacza żywą zawartość wszelkiej komórki, tak roślinnej, jak zwierzęcej, nie robiąc żadnej różnicy już między dawną sarkodą pierwotniaków, a protoplazmą komórek roślinnych. Protoplazmę tę opisuje jako kleistą, nie mieszającą się z wodą masę, która samym swym stanem skupienia trzyma się razem, nie potrzebując do tego zewnętrznej błony. Wydzielenie się ściany zewnętrznej jest znakiem raczej starzenia się komórki, bo komórka dzielić się już może tylko wewnątrz przestrzeni błoną otoczonej. Ta własność dzielenia się, mnożenia, jest swoistym, zasadniczym przymiotem komórki, a jest ona przywiązaną głównie do jądra, które istnieje koniecznie w każdej komórce. Tak więc dochodzi Schultze do owej wspaniałej, do dziś dnia moc mającej definicyi: »Komórka jest to bryłka protoplazmy, wewnątrz której leży jądro«.

Ciekawą jest jeszcze ta sprawa jądra komórkowego, która ma całą swą osobną historyę. Jak już wspomnieliśmy, widział go po raz pierwszy Leeuwenhoek, obserwowali go inni, lecz to wszystko tylko w wypadkach sporadycznych, a te ich spostrzeżenia na ogólny pogląd o znaczeniu jądra żadnego wpływu nie miały. Nie wywarły go nań także odkrycia porobione nad jądrem przez Browna między rokiem 1831 a 1833, a sam ich autor nie zdawał sobie, jak twierdzi Farmer, należycie sprawy z ich doniosłości. Nawet mimo doniosłych prac Remaka, ogłoszonych w r. 1841-ym

nad rolą jądra i zawartego w niem jąderka, jaką odgrywają w najdonioślejszej sprawie życiowej komórki, to jest w jej dzieleniu się, jeszcze w połowie ubiegłego wieku panowało zdanie, że jądro jest organem drugorzędnej wagi. Przewrót datuje się od naszego rodaka, znakomitego botanika, Strassburgera. »Dopiero od publikacyi wspaniałego dzieła Strassburgera o podziale komórki i jądra w r. 1875«, mówi Farmer, »na jądro zwrócono należytą uwagę i Strassburger też poglądy nowsze o jądrze sformułował w zdaniu: *Omnis nucleus e nucleo*, »wszelkie jądro z jądra«. Zdanie to, jako odpowiednik do przytoczonego wyżej adagium Virchowa *Omnis cellula e cellula*, streszcza dzisiejsze teorye biologii co do pochodzenia jądra i co do jego wybitnego i odrębnego stanowiska w komórce. W jakim zaś trzeba go brać sensie, zobaczymy niżej. Tu tylko jeszcze nadmienić trzeba, że pogląd Strassburgera przez prace nowszych i najnowszych biologów zupełnego doznaje potwierdzenia. A biologów tych legion.

Po całej kuli ziemskiej rozsiane są dzisiaj laboratorya i wyższe zakłady naukowe, zwłaszcza zaś w Anglii, Niemczech, Francyi i Ameryce, w których pracują coraz to rosnące szeregi badaczy, między którymi poczesne miejsce zajmują i nasi polscy uczeni. Prace tych przyrodników, nam współczesnych, stanowią już w przeważnej części bieżącą gotówkę, to też zaznajamiać się z niemi będziemy przy zestawianiu bilansu dzisiejszych poglądów na budowę i własności komórki. Dodać jednak tu trzeba, że znowu zdobycze swoje znakomite zawdzięcza biologia dalszemu udoskonaleniu mikroskopu, bez którego badanie dokładne tworów tak nieraz małych, jak komórka, a cóż dopiero jej części składowych, byłoby zupełnie niemożliwe. Dlatego powiemy jeszcze kilka słów o najnowszych mikroskopach.

Chociaż mikroskopy znano już, jak widzieliśmy, powszechnie w połowie przynajmniej wieku ośmnastego, to jednak były one bardzo niedoskonałe. Nic też dziwnego, że przyrodnicy w wielkiej części woleli posługiwać się zwykłem szkłem powiększającem, a jeszcze przy końcu ośmnastego wieku sławny Cuvier nie chciał o mikroskopie słyszeć, nie używał go też sławny założyciel nauki o tkankach zwierzęcych, Bichat, gdyż, jak twierdził, mikroskop

daje obrazy niewyraźne. I słusznie, wówczas bowiem mikroskopy wszystkie były chromatyczne, soczewek achromatycznych jeszcze nie znano, a mimowolną winą tego był po wielkiej części genialny Newton, ten sam, który znakomitemi odkryciami swemi położył podwaliny pod optykę nowoczesną.

Jest to szczegół z dziejów nauk doświadczalnych bardzo ciekawy i za mało może wspominany, a ważny dlatego, że illustruje on znakomicie to, co powiedzieliśmy wyżej, że mianowicie nieraz największe naukowe znakomitości powagą swą tamują rozwój nauki. Wiadomo, że Newton pierwszy wykazał (1660), iż światło białe słoneczne złożone jest z wielu barw. Promień takiego światła wychodzącego ze szczeliny, przepuszczony przez pryzmat, doznaje nie tylko odchylenia, lecz i rozszczepia się na szereg pojedynczych barw, tworząc na ekranie tak zwane przez Newtona spectrum czyli widmo, które znowu zapomocą drugiego, przeciwnie skierowanego pryzmatu, skupić można w barwę białą. Otóż Newton sądził błędnie, że rozszczepienie barwne jest proporcyonalne do odchylenia, czyli mówiąc inaczej, gdy się promienie rozszczepione skupi napowrót w jeden promień, to musi on mieć ten sam kierunek, jaki miał promień padający przed rozszczepieniem.

Konsekwencye z tego były bardzo dla optyki smutne. Bo pamiętać trzeba, że działanie soczewek, czy to skupiających, czy rozpraszających, polega na załamywaniu promieni świetlnych, soczewkę bowiem uważać można za szereg nieskończenie małych pryzmacików. Jeżeli więc nie można promieni załamać, nie rozszczepiwszy ich na pojedyncze barwy, to nie można też zapomocą soczewki dostać czysto białego, bezbarwnego obrazu. I rzeczywiście, obrazy, jakie dają soczewki pojedyncze, mają zawsze na brzegach tęczowe barwy, a stąd nie mogą być one ostre. Mówimy, że soczewki takie są chromatyczne. Otóż twierdził i udowadniał Newton, że soczewek achromatycznych zrobić wogóle nie można i sam też dla tego odwrócił się od teleskopów zwykłych, złożonych z samych soczewek, tak zwanych refraktorów, a wziął się do konstruowania reflektorów, to jest dalekowidzów, w których promienie skupia się zapomocą wklęsłych zwierciadeł.

Błąd ten Newtona powstrzymał rozwój optyki na całe lat

ośmdziesiąt, bo aż do połowy wieku następnego, a usunął go sławny matematyk Euler, lecz przez dziwny zbieg okoliczności, zapomocą innego błędu. Sądził mianowicie Euler, że oko ludzkie jest achromatyczne, że więc przecież można złożyć soczewki tak, by dały obraz bezbarwny. Oparty na tem, wyrachował on odpowiedni system soczewek z wody i szkła, ale wszystkie usiłowania optyka angielskiego Jana Dollond, by idąc za temi wskazówkami zrobić system soczewek achromatycznych, okazały się bezskuteczne, czem zniechęcony, przestał wierzyć teoryom Eulera, a stał się znowu zwolennikiem Newtona.

Tymczasem szwedzki optyk i matematyk Klingenstjerna w r. 1754 zestawił pryzmaty, które światło załamywały, nie rozszczepiając go na pojedyncze barwy. Zachęcony tem Dollond wziął się znowu do pracy i w r. 1757 zbudował pierwsze soczewki achromatyczne, za co londyńska Royal Society odznaczyła go medalem, a w trzy lata później mianowała go swym rzeczywistym członkiem. Odtąd nowy ten członek Akademii londyńskiej budował objektywy achromatyczne i soczewki, wzbudzające swą dobrocią podziw całego świata.

Dziś najzwyklejsze soczewki achromatyczne uzyskać można przez zestawienie dwóch soczewek z rozmaitego gatunku szkła: skupiającej z tak zwanego szkła crown, i rozpraszającej z szkła flint. Oczywiście zastosowanie takich achromatycznych soczewek do mikroskopu znakomicie podwyższyło wartość tego przyrządu do badań naukowych, albowiem obrazy przedmiotów stały się przez to o wiele ostrzejsze. Ale mimo to nie były one jeszcze idealne, gdyż takie zwykłe soczewki achromatyczne nie skupiają wszystkich promieni, lecz tylko dwa, które najsilniej na oko działają, mianowicie żółte i zielone. Stąd też patrząc na dalekie przedmioty zapomocą zwykłych lornetek polowych, widzi się je zawsze otoczone lekkim brzeżkiem czerwonym lub fiołkowym; są to właśnie te nieskupione promienie widma.

Dalszy przewrót i znakomite udoskonalenie objektywów jest dziełem niemieckiego uczonego, który na polu optyki niespożyte oddał usługi, mianowicie prof. Abbego. Wspólnie z d-rem Schottem rozpocząwszy długi szereg żmudnych badań, doszedł do tego, że

wynaleźli oni liczne gatunki sztucznego szkła, mającego szczególne własności optyczne, które pozwoliły Abbemu obrachować nowe objektywy, przewyższające wszystko, co dotychczas znano, tak zwane apochromaty, a które w roku 1886 wykonała i dotychczas wykonywa sławna na świat cały firma Zeissa w Jenie. Lecz i te apochromaty nie łączą w jedno wszystkich barw, bo to jest niemożebnem, lecz tylko trzy, ale jednak już to wystarcza, by ostrość i wyrazistość, jako też jasność obrazu niesłychanie podnieść.

Najsilniejszy taki objektyw, tak zwany objektyw immersyjny, gdyż między soczewkę a szkiełko nakrywające przedmiot badany pod mikroskopem, wpuszcza się kroplę odpowiedniego płynu, np. olejku cedrowego, składa się z dziesięciu rozmaitych soczewek, których najmniejsza, kształtu półkulistego, ma średnicy około milimetra. Objektyw taki, ostatni wyraz optycznej techniki, w połączeniu z najsilniejszemi okularami, powiększa około trzech tysięcy razy — i to jest też ostateczna granica, poza którą mikroskopy obecne nawet teoretycznie iść nie mogą.

Właściwie jednak przy badaniach mikroskopicznych nie tyle chodzi o to, by otrzymać jak największy obraz, lecz by w tym obrazie rozróżnić można jak najwięcej szczegółów. Otóż jeżeli badamy przedmiot pod mikroskopem używając zwykłego światła, to na długości jednego milimetra przedmiotu moglibyśmy pod najsilniejszemi powiększeniami rozróżnić około dziesięć tysięcy punktów; gdyby ich było więcej, to przedstawią się nam one jako linia ciągła. Ponieważ odległość dwóch punktów, które możemy rozróżnić jako punkty, zależy od długości fali światła, przy którem mikroskopujemy, równa się ona mianowicie długości fali, podzielonej przez tak zwaną numeryczną aperturę objektywu, która przy objektywach immersyjnych, przy użyciu olejku, wynosi 1·5, więc im krótsza jest fala światła, tem bliżej siebie położone punkta można optycznie rozszczepić.

Otóż to prawo wykorzystano w ten sposób, że użyto przy badaniu zapomocą mikroskopu światła pozafiołkowego, którego fala jest dwa razy krótsza od fali światła żółtego. Jednak na nasze oko promienie te zupełnie już nie działają, nic więc przy nich

oczywiście widzieć nie można. Znalazł się wszakże i na to sposób. Nie działają na oko, lecz działają na płytę fotograficzną, stąd bada się przedmioty zapomocą tego mikroskopu w ten sposób, że się je w tych promieniach fotografuje. Wiele sobie z tego wynalazku lub raczej zastosowania znanej już zasady obiecywano, jednak trudności i niewygody tej metody są wielkie i dotychczas mało stosunkowo jej używano, a i korzyści dla nauki przyniosła dotychczas nieznaczne. Kto raz usiłował fotografować przy tem urządzeniu, z wrzeszczącemi iskrami wyładowań elektrycznych o bardzo wysokiem napięciu, które stanowią tutaj źródło promieni pozafiołkowych [1], ten niełatwo zdecyduje się na te mozolne, denerwujące, a przytem niezbyt obiecujące badania. Przytem pamiętać trzeba, że rozróżnianie przedmiotów zapomocą promieni pozafiołkowych nie zawsze nakrywać się będzie z rozróżnianiem, jakiego dokonywa oko przy świetle zwykłem, gdyż zależeć będą od stopnia przeźroczystości rozmaitych organicznych substancyi dla światła pozafiołkowego, a więc obrazy mikrofotograficzne, otrzymane tym sposobem, często mogą być zupełnie zagadkowe.

Większe daleko nadzieje przywiązywać można do innego rodzaju urządzenia, zwanego ultramikroskopem, gdyż ono dozwala nam iść daleko poza to, do czego na mocy wyżej wzmiankowanej teoryi dojść można. Cechą najbardziej uderzającą tej metody jest fakt, że patrząc na taki mikroskop, nie widzimy przedmiotów na tle jasnem, jak to zwykle ma miejsce, lecz całe pole jest ciemne, a tylko cząstki badane świecą jasnem światłem. Gdy na szkiełko damy np. kroplę wody, zawierającej kulturę wymoczków i, jak zwykle, bakterye, to ujrzymy wspaniałe zjawisko świetlne: na tle ciemnego nieba migocą niezliczone bakterye, jakby drobne gwia-

[1] Ponieważ dla ostrości obrazu ważną jest rzeczą, by światło użyte było jednobarwne, a nie składało się z promieni o rozmaitej długości fali, więc nie można się tu posługiwać np. lampą elektryczną rtęciową, mimo że światło jej bardzo jest bogate w promienie pozafiołkowe. Köhler, w firmie Zeissa, za źródło światła używa więc iskry elektrycznej, przebiegającej między elektrodami kadmowemi, która wydaje światło pozafiołkowe jednobarwne o długości fali 275 milionowych milimetra. Oczywiście tak objektyw jak i okular mikroskopu musi tu być nie ze szkła, które jest dla światła pozafiołkowego nieprzeźroczyste, lecz z kwarcu, co znacznie podwyższa koszta.

zdy lub świetlne węże, wśród których od czasu do czasu przemknie pierwotniak, jak przebogato iluminowany okręt.

Zasada takiego oświetlenia jest prosta. Światło nie przechodzi na wskroś przez przedmiot badany, jak przy kondensorze Abbego, lecz promienie skupione zapomocą soczewki np. parabolicznej, której powierzchnia górna płasko wyszlifowana, okryta jest czarną zasłoną, przedostają się ku górze bocznemi niejako drogami, oświecając sam tylko przedmiot, który staje się widoczny, bo oświetlony silnie, podczas gdy tło pozostaje czarne.

Zapomocą opisanego dopieroco urządzenia można ujrzeć cząstki tak małe, że nawet pod najsilniejszymi zwykłymi objektywami byłyby niedostrzegalne. Ma ono szczególnie ważne znaczenie przy niektórych badaniach bakteryologicznych, lecz przedewszystkiem przy badaniach tak zwanych roztworów koloidalnych, gdzie cząstki ciała rozpadają się na niesłychanie drobne pyłki, zawieszone wśród roztworu. Dla illustracyi podamy dwa przykłady.

Wiadomo, że szkło rubinowe wyrabia się w ten sposób, że się złoto rozpuszcza w szkle roztopionem. Otóż dawniej pod najsilniejszemi nawet powiększeniami szkło rubinowe przedstawiało się zawsze jako jednolita, przeźroczysta masa niezawierająca żadnych dostrzegalnych cząstek złota. Dopiero zapomocą urządzenia opisanego wyżej wykazano, że rzeczywiście w szkle tem cząstki złota istnieją samodzielnie, jako niesłychanie drobne pyłki. A drugi przykład z zakresu obchodzącego zwłaszcza fotografów. Znaną jest rzeczą, że bromek srebra pod wpływem promieni świetlnych podlega pewnym zmianom, na razie dla oka niedostrzegalnym, które jednak są bardzo istotne. Gdy bowiem bromek taki poddamy działaniu pewnych związków organicznych, tak zwanych w fotografii wywoływaczy, to na miejscach, na które działały promienie światła, wydzieli się czyste srebro, jako czarny osad. Działanie to chemiczne światła i zmiany, jakie pod jego wpływem w soli srebrnej powstają, jest dotychczas niewytłumaczone dostatecznie. Ultramikroskop pozwala nam jednak odsłonić nieco tajemnicę przynajmniej o tyle, że z jego pomocą możemy patrzeć na bezpośredni wpływ światła na bromek, zanim jeszcze podzia-

łamy nań wywoływaczem. Patrząc na kroplę roztworu bromku pod ultramikroskopem, widzimy najpierw przy początku naświetlenia mnóstwo cząstek białych, jednak wkrótce, bo już po jakich dwudziestu sekundach przybierają niektóre z nich barwę czerwoną, następnie zjawiają się prócz czerwonych cząstki zielone, a po minucie mniej więcej niema już całkiem ziarnek białych, lecz tylko czerwone, zielone i niebieskie. Wogóle zastosowanie tych urządzeń, pozwalających oglądać cząstki ultramikroskopowe, jest już szerokie, mniej jednak może na razie w biologii jak w chemii.

Do badań drobnoustrojowych w ostatnich czasach stosuje się także często fotografii, łączy się mianowicie odpowiednio zbudowany przyrząd fotograficzny z mikroskopem i obrazy przedmiotów znacznie powiększone utrwala się na fotograficznej płycie. Jest to tak zwana mikrofotografia, która w pewnych razach bardzo ważne oddać może usługi biologii, zwłaszcza w bakteryologii. Oczywiście im miech kamery bardziej rozsunięty, to jest im większe oddalenie matówki, względnie płyty fotograficznej od przedmiotu, tem przy tym samym objektywie obraz jest większy. To też odsuwając matówkę na metr od okularu mikroskopowego, otrzymać można na kliszy obraz przedmiotu, przy użyciu najsilniejszych objektywów, aż dwanaście tysięcy razy powiększony.

Naturalnie zamiast zwykłego przyrządu fotograficznego, byle światło było dostatecznie silne, użyć można kinematografu. Tak też zrobiła znana firma Pathé, która korzystając z owych kondensorów parabolicznych, dających jasne, bardzo widne obrazy, na tle ciemnem, fotografuje i następnie produkuje w kinematografie rzeczy takie, jak ruchy bakteryi, rozkład ciałek krwi i t. p. Reprodukcye tych zdjęć, oglądane w kinematografie, robią wrażenie niesłychane a i dla badań naukowych może ten system mieć nieraz ważne znaczenie, jak wogóle kinematograf stał się już niezbędnym prawie przyrządem w wielu badaniach naukowych, jak fizyologicznych (reakcye na bodźce) i astronomicznych (np. zaćmienia).

Z tych jednak wszystkich najnowszych przyrządów zawsze jeszcze dla postępu cytologii, t. j. nauki o komórce, najważniejszym jest zwykły, dobry, silny mikroskop, uzbrojony w objektyw apochromatyczny, zwłaszcza immersyjny, i jemu też zawdzięczamy wszystkie prawie tak zdumiewające zdobycze w badaniu tajemnic komórki, a imię prof. Abbego w połączeniu z firmą Zeissa długo jeszcze będzie z wdzięcznością wspominane w kronikach nauk biologicznych.

(C. d. n.)

Ks. Feliks Hortyński.

POZDROWIENIE ANIELSKIE.

POEMAT NIEMIECKI Z R. 1579.

POD WPŁYWEM NORYMBERSKIEJ RZEŹBY WITA STWOSZA NAPISANY

TŁUMACZYŁ I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

LUDWIK STASIAK.

I.

PIĘKNY POEMAT O PRZEŚLICZNYM RÓŻAŃCU, KTÓRY W KOŚCIELE ŚW. WAWRZYŃCA WYSOKO W PRESBYTERYUM JEST ZAWIESZONYM.

W Norymberdze, w mieście cennem
Jest kościół wspaniały
Pod wezwaniem świętego Wawrzyńca —
Zna go każdy dobrze.
Tam w presbyteryum w górze
Ujęty w żelazne obręcze
Wisi wysoko klejnot
Strojny w złocone, krągłe płaskorzeźby,
Zwieńczony koroną.
Nie jest on kołem zupełnem
Lecz elipsą.
Dokoła delikatnie i pięknie zdobny
Obwód jego jest wielkim a wieniec rzeźby
Zakrywa dokoła zielona zasłona.
Teraz zaś chcę wam opowiedzieć
Co zakrywają opony:
Przedewszystkiem powiadam wam,
Że jest tam *paternoster*

Ze srebrnych, wielkich ziarn
Wielkości jaj żórawich.
Pod tem wiszą rozety
Zdobiące różaniec,
Wieniec, który w swym obwodzie
Otacza nadzieją naszą wszystką
Trójcę świętą
I Zwiastowanie Maryi.
W środku złoty pień,
Który rozdziela
Pannę świętą od Anioła;
W podziw mię wprawia
Postać Gabryela tak znakomicie wykonana
I złotym ornatem odziana.
W ornacie z przodu
Osadzonym jest drogi kamień
Szmaragd, tak dobrze złotnikowi znany;
Anioł trzyma w ręku
Berło cenne,
Szczerem srebrem ciężkie,
A na berle naokoło
Wspaniały napis w słowach:
Ave Maria gratia plena!
Anioł ma na swej główce
Piękny krzyż srebrny
I skrzydła ma srebrne ciężkie,
Farbami w ogniu malowane,
Bo mówię wam, że te rzeźby
Były w ogniu malowane.
Śliczna, jasna postać Maryi
Ma długi, złoty włos,
I wianek, zwiastujący jej dziewictwo,
Ma na pochylonej głowie.
Okryta jest niebieskim płaszczem,
Pod którym złota szata.
A tuż obok aniołek,
Który jest za Najświętszą Panną,
Unosi jej płaszcz,
Sam barwami strojny

I we wspaniałe szaty odziany.
A pod strojami Maryi i Anioła
Klęczy delikatny, śliczny aniołek,
Który w rękach dwa dzwonki trzyma,
Jako symbol słów Zwiastowania,
Które do Maryi wypowiedział.
Nad głową świętej Panienki
Unosi się Święty Duch. —
Teraz mógłby się ktoś zapytać
I zażądać objaśnienia,
Jak wielka jest ta rzeźba?
Na to odpowiadam
Gdy się namyśliłem, mniemam,
Że sama postać Maryi i Anioła
Ma około trzech łokci wysokości.
Nad ich głowami aniołki latają.
Jest tych aniołków czterech
Małych a artystycznie wykonanych.
Pierwszy jest odzianym
Niebieską szatą, w ręku zaś trzyma
Mały, złoty wianeczek,
Który jest symbolem cnoty
I dziewictwa przeczystej Maryi.
Ten drugi w białosrebrnej szacie
Jest także pięknym i wspaniałym;
On trzyma w każdej ręce kielich,
Który jest po to, aby okazać,
Że Chrystus przelał Krew Swą niewinną
Za nasze odkupienie,
Co każdego dnia czcić powinniśmy.
A trzeci anioł ma zieloną,
Wybornie rzeźbioną szatę;
W prawej ręce dzierży krzyż Chrystusowy,
W lewej zaś dość ciężki
Kielich srebrny,
Który ma nam przypomnieć
Ból Chrystusa za nasze grzechy.
Czwarty anioł ma krwawą szatę,
Tak, jak krwawem jest życie Chrześcijanina

Obciążone krzyżem i bolem na ziemi.
To wszystko było w środku Różańca,
Który był wykonany cały ze srebra,
Wspaniały, piękny i pochwały godzien;
A ten różaniec jest strojny
W rzeźby wyraźne a prześliczne.
Na szczycie stoi Bóg-Mocarz Najwyższy,
Który stworzył niebo i ziemię;
Ozdobiony wspaniałą, cenną koroną,
Złote berło, ślicznie sformowane,
Ma w prawicy, w lewej zaś ręce
Jabłko państwowe ze złota.
Od Boga Ojca promienieją
Srebrne promyki długie.
Przedtem już mówiłem,
Że rzeźby różaniec stroją
Srebrem strojne.
Pierwsza płaskorzeźba przedstawia
Zmartwychwstanie Chrystusa
Ściśle tak, jak to Marek
W szesnastym rozdziale opisuje.
W drugim obrazie widziałem
Łukasza Ewangelistę,
Tak, jak on w pierwszym rozdziale jest opisanym,
W trzecim Obrzezanie Chrystusa
Przedstawione tak,
Jak to w ewangelii Łukasz opisuje.
W czwartym Chrystusa Wniebowstąpienie
Przez świętego ewangelistę Marka
W szesnastym kapitelu opisane.
Dalej opowiem wam,
Że po lewej stronie Różańca
Jest Chrystus w Jordanie
Chrzczony przez świętego Jana.
W szóstym obrazie
Ze srebra wykuci
Trzej królowie, idący ze Wschodu,
Przez ewangelistę Mateusza opisani.
Ostatni, siódmy obraz,

Szczególniej zachwyca moje serce,
Jak to wiernie i z miłością
Święty Łukasz serdecznie opisuje:
Chrystus się w stajence rodzi,
A tym radosnym narodzinom
Wół i osioł towarzyszą.
Nakoniec u dołu pięknego wieńca
Jest pięknie wyrzeźbiony wąż,
Który w paszczy czerwone jabłko trzyma,
Jakby je pożreć chciał.
Wąż ten i jabłko są obrazem
Grzechu naszych pierwszych rodziców,
Bóg syna swego zesłał na ziemię,
Aby zmazał grzech,
Do którego nakłonił Adama i Ewę
Chytry wąż w raju,
Jezus zaś długi nasze zapłacił
I łaskę Bożą nam przywrócił.
Wszystko com tu opisał
I na oczy wam przedstawił,
Jest ze srebra ulane
I, z wyjątkiem korony i osłony
Okrągłego wieńca i węża,
Barwami strojne.
Przedstawiłem rzecz dokładnie,
A teraz niechże każdy Chrześcijanin,
Który chce wejść w żywot wieczny,
Wie, że winien żyć z Bogiem
Tym, który za nas umarł
I wszelką nędzę pokonał,
Grzech i dyabła starł.
Wołajmy Pana,
On wiernie przy nas stać będzie,
On z tej doliny łez
Przyjmie nas do siebie, do nieba,
Gdzie się w radości spotkamy,
Do czego dopomóż nam
Jezu Chryste. Amen!

II.

OBJAŚNIENIA.

Literatura: W. Loose: *Anton Tuchers Haushaltungsbuch* w *Bibliotek des litterarischen Vereins zu Stuttgart.* Nr. 134. — R. Bergau: *Veit Stoss* w Dohmego *Kunst und Künstler.* — Mathias Berson: »O Wicie Stwoszu i jego rzeźbie »Pozdrowienie Anielskie«. — Dr. Fritz Traugutt Schultz: *Ein Lied auf den »Englischen Gruss« des Veit Stoss in der Lorenzkirche aus einer Nürnberger Chronik* w *Mitteilungen des Vereins für Geschichte der Stadt Nürnberg.* XV, 1902. — B. Daun: *Veit Stoss und seine Schule.* Leipzig 1903. — *Anzeiger für Kunde des deutschen Mittelalters.* 1832 artykuł Mayera. — L. Stasiak: »Prawda o Piotrze Vischerze«, str. 125—126. — *Beiträge zur Kunst- und Litteraturgeschichte Nürnberg.* 1822 w tem zaś *Heller Neudorffers Nachrichten.*

Powstało »Pozdrowienie Anielskie« Wita Stwosza na zamówienie Antoniego Tuchera. Notatka, znaleziona w r. 1867 w archiwum domu Tucherów na Aegidienplatz, mówi nam: »W r. 1518 kazał zrobić Antoni Tucher świecznik malowany i Różaniec z »Pozdrowieniem Anielskiem« w kościele św. Wawrzyńca i obydwa w przesbyteryum zawiesić kazał, kosztowało to 593 floreny«. Inną cenę podaje *Haushaltungsbuch* Tuchera. Tam czytamy, że dzieło to z zawieszeniem znacznie mniej, bo 426 florenów kosztowało, z zawieszką zaś, łańcuchem i świecznikiem, tylko 550 florenów. Stwosz pracował nad tem dziełem od marca 1517. do lipca 1518. Dnia 17 lipca została ta rzeźba w kościele św. Wawrzyńca zawieszoną. Stała się wnet przedmiotem tak zachwytu, jak i zaciętego sporu. Temat sporu stał się przędzą legendy. Legenda opowiada, że »Pozdrowienie Anielskie« Stwosza zakryto z następujących powodów: W r. 1522 w czasie gorących ówczesnych dysput religijnych, wystąpieniem Lutra spowodowanych, kaznodzieja Andrzej Ossiander, porwany ogniem wymowy nazwał jedną z figur Pozdrowienia *die guldene Grasmagd* (złota dziewka do noszenia trawy). Wtedy stała się rzecz nadzwyczajna. Oto blask świętego obrazu oślepił nagle mówcę na kazalnicy. Skutkiem tego zabobonny strach padł na ludzi, że dzieło Stwosza zakryto zasłoną. Legenda ta z arcydziełem Stwosza związana przetrwała i przeżyła kilka wieków. Po części ją obala chronologia zakrycia

»Pozdrowienia«, zestawiona przez radcę archiwalnego Mumnenhofa. Uczony ten udowodnił, że zasłona, kryjąca »Pozdrowienie Anielskie«, powstała przed wystąpieniem Ossiandra i przed rokiem 1522 a nie po nim. Dokument mówi, że »w r. 1519 kazał Antoni Tucher sprawić zasłonę do Stwoszowego dzieła. Wit Stwosz wykonał i pozłocił krosna drewniane powleczone niebieskiem płótnem i zaopatrzone zasłoną. Wyszło na to 90 łokci sukna z Gent, a zasłona ta ze wszystkimi przyborami kosztowała niewiele mniej od 43 florenów«. A więc legendarne powody powstania zasłony światła krytyki nie wytrzymują.

W r. 1590 odświeżano, jak mówi kronika Starka, Stwoszowe dzieło. Przeczytajmy tę starą zapiskę: »Oczyszczenie sukna u św. Wawrzyńca w presbyteryum. Dnia 22 listopada 1590 spuszczono na dół sukno z koroną, które u św. Wawrzyńca w presbyteryum wisi i oczyszczono wspaniałe rzeźby *(herrliche bilder)* z drzewa rzeźbione i farbami pomalowane a mianowicie »Pozdrowienie Anielskie« razem z Bogiem Ojcem, Synem i Duchem świętym, z pięknymi aniołami dookoła i czterema ewangelistami związanymi w piękny wieniec i wężem, który jabłko w paszczy posiada. Przy tem był rajca Hieronim Paumgärtner, przełożony izby giełdowej, rajca Joachim Nutzel i wielu rajców i obywateli, którzy dzieło to i piękny klejnot oglądali«. Rzeźbę Stwosza kilkakrotnie ze sklepienia obniżano. W październiku 1611 czyszczono rzeźbę ponieważ miała ona być pokazana biskupowi bamberskiemu. 5 lipca 1612 znowu spuszczono rzeźbę, aby ją pokazać radcom cesarskim. W lipcu 1655 znowu zniżono dzieło, aby je z kurzu oczyścić i z kału, gdyż sowa zagnieździła się w tem Stwoszowem dziele. (!) Wówczas też sprawiono rzeźbie nową zasłonę.

Dzieło Stwosza było do r. 1811 zawieszone na pięknym, przez Stwosza projektowanym i dostawionym łańcuchu. W tym roku zabrano »Pozdrowienie« z prezbyteryum św. Wawrzyńca. Wniesiono rzeźbę do zamku norymberskiego, aby tam cesarską kaplicę stroiła. Dzieło to nie mogło sharmonizować się z kaplicą ani kaplica z niem. Było za duże do małej kapliczki. Stwosz obliczył je na wielkie przestrzenie i na szeroką dekoracyjną plamę. Zrozumiano to i dlatego przeniesiono rzeźbę Stwosza do kościoła

Maryackiego. Ale i tu umieszczone »Pozdrowienie« w presbyterym kłóciło się z otoczeniem. Zawieszono go tak, że organista kościoła Maryackiego nie mógł widzieć ołtarza zakrytego »Pozdrowieniem« — zaczem i z kościoła Maryackiego usunięto rzeźbę Stwosza. A więc w r. 1817 zdecydowano się na nowo pomieścić »Pozdrowienie« w kościele św. Wawrzyńca, gdzie od wieków było zawieszone. Przystąpiono do dzieła, gdy stała się rzecz niesłychana. Starożytny, przepyszny łańcuch, doręczony przez Stwosza zatracił się. Wandalska jakaś dusza sprzedała go na żelazo, zaczęto więc podnosić dzieło Stwosza do sklepienia kościelnego na grubym powrozie. Nagle urwał się powróz a wielkie dzieło na posadzkę kościelną runęło. Genialna rzeźba Stwosza poszła w praszczęta, rozleciała się na kawałki!!

Zniesiono gruzy do wyższej zakrystyi kościelnej, gdzie one 8 lat aż do r. 1825 leżały.

Zrestaurował je radca magistratu norymberskiego, Campe. Pod kierunkiem znakomitego estety i historyka sztuki Karola Heideloffa składali kawałki rzeźby bracia Rottermundowie, rzeźbiarze. Dnia 2 kwietnia 1826 r. wisiało »Pozdrowienie Anielskie« na swem dawnem miejscu.

*

Pieśń, którą dziś w tłumaczeniu podajemy, powstała w XVI w. prawdopodobnie zaś w r. 1579. Mniemanie to nasze usprawiedliwia fakt, że oryginał jej znajduje się wśród zapisek z r. 1579, popiera zaś je do pewnego stopnia stan rzeczy, że autor poematu widzi przed dziełem Stwosza zasłonę, która sprawiona z niebieskiego sukna w r. 1519 w późnych latach XVII w. już zapewne nie istniała. Komentator tej pieśni dr. Schultz twierdzi, że rękopis pieśni ma wygląd skryptu z początku XVII wieku, nie wpada jednak na łatwy i narzucający się pomysł, że tekst z początku XVII wieku może być spisaniem dawno istniejącej pieśni, że może zresztą być jej późniejszym odpisem. Samże tekst pieśni daje wyczuć dzieło zupełnie jeszcze świeże, w oryginalnej autorskiej polichromii, nie zczerniałe patyną, w pełnym blasku złoceń. Wnet zobaczymy, że w r. 1590 »czyszczą zniszczone i zakurzone

płótno«, zasłaniające dzieło Stwosza — nie tak wygląda wspaniała zasłona, o której autor pieśni wspomina, to zaś usprawiedliwia zupełnie twierdzenie nasze, że pieśń tę co najmniej do drugiej połowy XVI wieku odnieść należy. Dodajmy wreszcie, że pieśń tę drukował po niemiecku po raz pierwszy wydawca pamiętników Neudorffera, Heller, w tekście tychże pamiętników. Nic o tem nie mówi drugi wydawca tej pieśni dr. Fritz Schultz, a więc go w podaniu tej wiadomości wyręczamy. W Polsce dotąd nie było o tej pieśni żadnej wiadomości.

*

Pieśń o »Pozdrowieniu« Stwosza wartością literacką skromna, wartością archaistyczną nieoceniona, jest dla dziejów Stwosza i jego sztuki dokumentem wielkiej wagi. Posiadamy w niej autoptyczną wieść o »Pozdrowieniu Anielskiem«, a to wraz z kroniką Starka pozwala nam zestawić różnice między dawnym wyglądem wielkiego dzieła a dzisiejszą jego ruiną. Autor tej pieśni był zapewne przychodniem w Norymberdze i dyletantem artystycznym. Sądzi on, że »Pozdrowienie« jest ze srebra odlane, słyszał np., że metalowe przedmioty złoci się »w ogniu« a więc i drewnianą rzeźbę w ogniu malować każe. Opisał za to dokładnie dawny stan »Pozdrowienia« na dwieście lat przed katastrofą, a tem samem podał nam różnice, jakie zachodzą między dawnym a dzisiejszym stanem dzieła.

Spiszmy pokrótce te różnice.

Przedewszystkiem niemasz już na »Pozdrowieniu« zdobiącej je korony. Nie uszanowano wspaniałego dzieła sztuki, przedmiot handlu zeń uczyniono. Mayer uczy nas, że jakiś świętokradca sprzedał koronę »Pozdrowienia«. Ma ją podobno posiadać jedno z prywatnych amerykańskich muzeów. Doppelmayer podaje nam wprawdzie rysunek korony, odtworzenie jednak to nie zasługuje na wiarę. Krytyka nazwała tę reprodukcyę »matową«, »bez wyrazu« i »bardzo niewystarczającą«. My, znając Stwoszowskie korony w Schwabach, przepyszną koronę na sarkofagu Jagiellona w Krakowie, arcydzieła koron w St. Wolfgang, możemy tylko

wyobrazić sobie, jak mistrzowską kompozycyą ta korona była. Pozwala na ten domysł i tenor powyższej pieśni gdzie jej wygląd jest scharakteryzowany. Nie na tekście pieśni, opiera swój opis korony dr. Schultz. Daje on dość szczegółowy opis zasady konstrukcyjnej korony, nie pisze jednak, na jakiej to czyni podstawie.

Powtóre niemasz już dzisiaj w »Pozdrowieniu« rzeźb, przedstawiających czterech ewangelistów, o których kronika Starka wiadomość nam podaje. Gdzie się podzieli, nie wiadomo. Podobnież niema już Św. Trójcy. Czytaliśmy, że Bóg Ojciec, Syn i Duch święty »z pięknymi aniołkami dokoła« i czterej ewangeliści wieńcem objęci byli, ruina z r. 1817 je zapewne zatraciła.

Pieśń nam mówi, że postać N. Panny oddziela pień złoty, dziś na jego miejscu widzimy zwykłą żelazną sztabę, krzyż na głowie archanioła dawniej srebrny jest dzisiaj pozłoconym. Na skrzydłach Gabryela niema już śladów srebrnych, szata Bogarodzicy w pieśni błękitna z podbiciem złotem, jest dziś wręcz przeciwnie polichromowana: szata jest złota, podbicie błękitne, a suknia czerwona. Pieśń nam mówi, że postacie aniołków trzymają w rękach wianek, krzyżyk i kielich, dziś ręce ich puste. Niejasna jest sprawa postaci Boga Ojca, która po dziś dzień ocalała. Pieśń mówi nam, że w prawicy bożej jest »berło złote pięknie sformowane«, dziś berła tego niemasz, prawica zaś Boga Ojca jest w górę do błogosławieństwa podniesiona. Należy stąd wyprowadzić wniosek, że albo autor pieśni myli się co do tego szczegółu, lub też restauracya z r. 1828 pozwoliła sobie na przeinaczenie wspaniałego dzieła. Może być, że tak w istocie było, boć oczywistą jest rzeczą, że i rozmieszczenie reliefów, przedstawiających siedm radości N. Panny jest tejże restauracyi samowolą. Dobrze domyśla się p. Daun, że górne obrazy, poza wieńcem będące, samże wieniec i różaniec niegdyś stroiły.

Jak wspominaliśmy, upadek dzieła w r. 1817 był tak strasznym, że dzieło w gruzy się rozpadło. Dr. Schultz zwiastuje nam, że nie wszystkie części dzieła dały się odszukać i złożyć. Konsekwencyą tego jest rewizya restauracyi z r. 1825. Dr. Schultz mniema, że jeśli kiedykolwiek wielkie dzieło Stwosza odnawiać

lub nawet rekonstruować się będzie, to wskazania wynikające z powyższej pieśni zostaną niewątpliwie uwzględnione.

*

Zakończmy smutną historyę dzieła uwagami o samemże dziele. Wśród Stwoszowych niemasz tak źle i mylnie ocenianego. Spojrzmy na »Pozdrowienie«, porównajmy go z innemi tegoż autora dziełami. Na pierwszy rzut oka, uderza nas nieproporcyonalna wysokość figur, wysokość niemal tak samo nieproporcyonalna jak szczytowych postaci Maryackiego ołtarza. O czemże to świadczy? Jest to już znanem i dowiedzionem, że Stwosz owe nieproporcyonalnie wysokie figury rozmyślnie i celowo wydłużał, że genialny dekorator na szczytach wielkich ołtarzów stawiał rozmyślnie przedługie figury, aby one, widziane z dołu, miały wygląd normalnych postaci. Tajemnicy dekoracyjnej, tak często w życie wprowadzanej, efektu wypróbowanego na Maryackim ołtarzu użył Stwosz w »Pozdrowieniu«. Świadom, że rzeźba ta wysoko w kościele wisieć będzie, wydłużył nieproporcyonalnie postacie, wydłużył zwłaszcza postać N. Panny, obliczając, że ona oglądaną będzie przez lud klęczący u jej stóp. A współczesny nam esteta? Nikt tego dotąd nie zauważył, nikt figur tych z Maryackiemi szczytowemi nie porównywał, nikt nie zadał sobie pytania, czemu figury »Pozdrowienia« takie długie. Błąd rysunkowy i kwita. Dyletant przykłada do rysunku skalpel krytyki, nie wiedząc zaprawdę co czyni! Każdy fotograf uważa za swój punkt honoru drabinę czy rusztowanie zdobyć, na wysokość rzeźby się wdrapać, z »normalnej« wysokości rzeźbę odfotografować, najfałszywsze zdjęcie widzom przedłożyć. Takiemi zdjęciami dziś dysponujemy, z fałszywego punktu fotografowane dzieło przed oczami mamy, nauka Francyi, której z fałszywego punktu zdjęte fotografie przedłożono, najfałszywsze wnioski o dziele wysnuwa. A choć może racyę ma p. Daun, twierdząc z rzadką w Niemczech szczerością, że »Pozdrowienie« Stwosza to »główne dzieło norymberskiej sztuki rzeźbiarskiej« *(Hauptwerk Nürnberger Schnitzkunst)*, to jednak zastrzedz się musimy przeciw zdaniu d-ra Fritza Schultza, jakoby »Pozdrowienie« było »głównem dziełem Wita

Stwosza«. Z pozostałych dekoracyjnych dzieł Stwosza jest ono może najlepszem, bez tego przymiotnika jednak klasyfikować tego utworu nie należy.

*

Nie z naszych, lecz z obcych ust padł wyraz »rekonstrukcya »Pozdrowienia«. Mówi o niej dr. Schultz. My całem sercem tym projektem się ciesząc, dodajemy wyrazy naszej wiary, że taka rekonstrukcya dokona się kiedyś naprzód nie na niemieckiej, lecz na polskiej ziemi. Niema przecie o to sporu, że pierwszy odlew z gipsu czy drzewa, jest odlewanej rzeźby oryginałem, odpada zarzut, jakoby chcąc stroić polską katedrę w odlew »Pozdrowienia«, w kopię się ją stroić chciało. Wróci więc kiedyś do nas »Pozdrowienie Anielskie« nie kopią lecz szczerym, bronzowym oryginałem. Sprowadza się dziś z obczyzny prochy wielkich Polaków, sądzić należy, że tem bardziej wrócić powinny wielkich Polaków dzieła. Niechże wrócą do starych świątyń naszych — nowe kościoły gotyckie, tak licznie u nas stawiane, niechże się w dzieła starej naszej cywilizacyi stroją.

*

Norymberskie »Pozdrowienie« nie jest wcale unikatem. Mamy dowody, że wnętrze kilku świątyń podobne rzeźby stroiły. Mamy we Volkach istniejące po dziś dzień dzieło i dokument, że Riemenschneider naśladując Stwosza, w podobnąż rzeźbę stary kościół stroi.

Jeśli wszystkie niemal dzieła norymberskie Stwosza miały swój prototyp i pierwszy wzór w Krakowie, wątpić nie należy, że i pierwszy egzemlarz Stwoszowskiego »Pozdrowienia« zrodził się na polskiej ziemi. Wyrażając to przekonanie, mamy do tego silne źródłowe podstąwy. Gdzieindziej je przedłożymy. Udowodnimy, że w krakowskim kościele Maryackim była zawieszona w presbyteryum »Najświętsza Panna w płomienistej gloryi«, wykażemy, że dzieło to mogła wydać jedynie krakowska era Stwosza. Zatraciły je następne pokolenia. Krakowską »N. Pannę w płomienistej gloryi« usunięto z kościoła w XVIII wieku, poczem

długie lata się po składach kościelnych poniewierała. Nie restytuowano go, pozwoliła mu znarnieć ignorancya ludzka. Chce dr. Schultz rekonstruować »Zwiastowanie«? Otóż niechże takie bronzowe, galwanicznie wykonane, lżejsze od drzewa »Pozdrowienie« uzupełnione szczegółami, o których zwiastuje nam kronika Starka i pieśń przez nas dziś ogłoszona, zabłyśnie na dawnem swem miejscu w krakowskim Maryackim kościele.

L. Stasiak.

KSIĄŻKA O EMIGRACYI.

(Leopold Caro: »Auswanderung und Auswanderungspolitik in Österreich«. Schriften des Vereins für Socialpolitik. Tom 131, Lipsk 1909).

Z chaotycznej lawy różnobarwnych zjawisk wytryskają, a w świetle promieni wiedzy czyszczą się i tężeją pojęcia. Nie równomiernem jest to powstawanie pojęć; im obfitsza różnobarwność treści, a przejrzystsza i prostsza pojedyńczość formy, która złotą obręczą w jedność skuwa wiele objawów, tem dogodniejszymi mogłyby się wydawać warunki narodzin pojęcia. Takiej hipotezie może przeczy tajemniczość pojęcia i natury emigracyi.

Na tle nader rozmaitych przejawów wychodźtwa, obejmujących wszystkie warstwy i społeczeństwa, odbijających rozliczne tony uczuć i dążeń, a prostą formą aktu wychodźczego jednoczonych, niewyraźnie rysuje się pojęcie emigracyi, na pozór jasne i pochwytne: w mroku mglistej dali migoce oczom krytycznym wewnętrzny pierwiastek tego, co w szatach zewnętrznych wciąż z blizka widzimy, chwytamy, w czem się obracamy. Mamy silną emigracyę, a nie wiemy, *co* to jest emigracya, czy to objaw naturalny, czy też wytwór dziejowy, czy też i pierwsze i drugie; nie umiemy dokładnie ocenić jej wartości, osądzić, czy i o ile jest pożyteczna i dobra z jednej, a szkodliwa i zła z drugiej strony, nie ustaliliśmy nawet praktycznego pojęcia wychodźtwa dla użytku prawodawstwa i administracyi w życiu wewnętrzno-społecznem i międzynarodowem.

Słuszna więc, że autor, aczkolwiek — zdaje się — nieskłonny do niepraktycznych spekulacyi, poświęcił na samym wstępie uwagę niektórym ogólnym problematom i postulatom i w przedsionku swej obszernej i wysokiej budowy myślowej rozwiesił obrazy z dziedziny teoretycznych zapatrywań na kwestyę wychodźczą i praktycznych zadań w obec emigracyi, dając zarazem pewien pogląd na styl i układ całości. Wobec rozbieżności zdań w tej dziedzinie nie zadowolą naturalnie każdego smaku strawy tam podane, po części sprawi to wprawdzie sam sposób przyprawy.

Już o pierwszą stronicę biją echa protestu. Autor sądzi, że nasza licha organizacya gospodarcza może n. p. na przyczyny wychodźtwa wywierać wpływ tylko mały i powolny. To nieścisłe twierdzenie nie dostraja się należycie do rytmu emigracyi zachodniej; przeczy mu rozwój stosunków emigracyjnych w Niemczech, w pracy autora niżej wzmiankowany (str. 6 i 7), których ludność w ciągu koło 30 lat (od roku 1872 do 1901) wzrosła z 41 milionów na 59½, podczas gdy emigracya spadła z 0,3% w r. 1872 na 0,24% wszystkich mieszkańców w r. 1891, a na 0,039% w r. 1901. Jeszcze silniejszy kontrast między zdaniem na początku wypowiedzianem a rzeczywistością uwydatnia metamorfoza Niemiec na rynku ludnościowym: skutkiem silnej immigracyi, zwłaszcza proletaryatu polskiego, która o wiele przewyższa garstkę emigracyi, stały się Niemcy krajem importującym siły robocze i zajmują na rynku ludnościowym podobne miejsce, co Stany Zjednoczone. Wobec takiej przemiany, która się w krótkim czasie dokonała i to w bardzo znacznej mierze dzięki polityce protekcyonistycznej, jakżeż mówić o wpływie drobnym i powolnym wadliwej organizacyi gospodarczej na przyczyny wychodźtwa?

Zbyt silny akcent kładzie autor na szkody emigracyi. Gdzież dowód na słuszność tezy, że państwa eksportujące robotników znajdują się w obec niebezpieczeństwa katastrofy i ulegają pauperyzacyi (str. 5)? Przeciwnie, oszczędności z większych zarobków i zdolności ekonomiczne, importowane do kraju rodzinnego (o czem zresztą autor wspomina), już same przeciwdziałają biedzie, podnoszą dobrobyt i wzmacniają siły społeczno-gospodarcze ojczyzny, nie dającej dzieciom swoim dość chleba; lokalny brak rąk do pracy

zdradza lokalny nadmiar wychodźtwa, pozostawiając na wskroś otwartem pytanie, czy lepsza organizacya pośrednictwa pracy nie byłaby mogła zapełnić poszczególnych luk rękami w innych zakątkach kraju może zbytecznemi, i czy niesprawność gospodarcza, nie umiejąca w sposób racyonalny rozporządzać siłą roboczą, nie przyczyniła się także do złego; nam w szczególe godzi się badać takie kwestye, gdyż właśnie nasze gospodarstwo polskie w Królestwie i w Galicyi znamionuje wielce wadliwa organizacya pośrednictwa pracy i »objektywne« trwonienie siły roboczej. Wprawdzie nie nam samym wyrządza szkody brak odpowiedniej organizacyi pracy rolnej, która w Niemczech także jest wadliwa; nasz młody ekonomista zakordonowy, Ludwik Orpiszewski, zauważa w cennej rozprawie: »*Die Abwanderung der landwirtschaftlichen Arbeiter aus dem Königreich Polen nach Deutschland*« [1], że co rok wracają tysiące robotników polskich do domu, nie znalazłszy zajęcia w Niemczech, podczas gdy w prasie wciąż czytamy o braku robotników; skoro w Niemczech mimo różnych usiłowań tak wielce chroma organizacya pośrednictwa pracy, jakiż u nas przedstawia wygląd?! W każdym razie nie należy łączyć ogólnej biedy z nadmiarem wychodźtwa.

Pesymistyczna i nieodpowiednia ocena bilansu społeczno-gospodarczego emigracyi powtarza się w dalszym ciągu dzieła n. p. w drugim rozdziale, poświęconym statystyce zamorskiej i kontynentalnej emigracyi austryackiej, wędrówek powrotnych i importu pieniężnego.

Tam (str. 47) porównywa autor zadowolenie z przesyłek pieniężnych wychodźców amerykańskich i drobnych oszczędności robotników sezonowych z zachwytem rozrzutnika, który ziemię przodków sprzedawszy za bezcen, ma pieniądze i może żyć z dnia na dzień, i zaznacza dalej: Trwoniąc kapitał naszej siły społecznej na korzyść obcych państw, czynimy własnemu n i e p o w e t o w a n ą szkodę. Nasz czas, nasza dzielność i inteligencya służy im do tworzenia nowych wartości, które przepaść między nimi a nami

[1] Dysertacya getyngska z r. 1907, naszemu autorowi — zdaje się — nieznana.

tylko jeszcze bardziej zwiększają — żadna choćby nie wiem jak wysoka płaca nie zdoła nam wynagrodzić strat, jakie skutkiem ich nieobecności ponosi gospodarstwo rodzinne, a skutkiem ich pracy niszczącej na obczyźnie ich twórczość i płodność po powrocie do stron rodzinnych.

Niewątpliwie zachodzą wśród naszych wychodźców zamorskich wypadki lekkomyślnej sprzedaży ojcowizny, o tyle przypomina wstępne porównanie rzeczywistość. Ale całokształt tej ogólnikowej i pesymistycznej oceny rozbiega się z rzeczywistością.

Społeczeństwo musi oczywiście wysyłać na obczyznę tych z pośród członków swoich, których nie może odpowiednio wyżywić i którym nie może też postarać się z dziś na jutro o dostateczny chleb w kraju. Zestawiając zatem bilans społeczno-gospodarczy wychodźtwa, winniśmy zapytać się, jakie straty poniosłoby społeczeństwo b e z emigracyi, zatrzymując w domu ludzi bez chleba. T e straty byłyby — pomijam straty religijne i narodowe, które trudno czynić przedmiotem porównań, a można zredukować do *minimum* — na pewno większe, aniżeli szkody, wynikające z emigracyi koniecznej. Mamy więc w najgorszym razie *minus* strat: konieczna, t. j. przeludnieniem spowodowana, emigracya wyrządza społeczeństwu mniej szkód, aniżeli brak emigracyi podczas przeludnienia. Ale obok tego negatywnego zysku przynosi konieczne wychodźtwo pozytywne korzyści w formie importu kapitałów, dóbr idealnych i t. d. O ile chodzi o emigra cyę konieczną, nie wolno nam zatem w o s t a t e c z n e m saldo zaznaczać niepowetowanych strat ani w sensie *damnum emergens*, ani też w sensie *lucrum cessans*.

Inaczej przedstawia się rzecz, skoro masy wychodźców przekroczą szranki przeludnieniem wzniesione, lub gdy wychodźtwo wcale nie powstaje na podłożu przeludnienia; wtedy możnaby o szkodach mówić często, ale bynajmniej nie zawsze. W społeczeństwie n. p., nie zagrożonem w swoim bycie i nie dotkniętem nieszczęściami przeludnienia, byłaby zdrową umiarkowana i uregulowana emigracya, zmierzająca do pokojowego zdobycia kolonii i zachowania czasów późniejszych od trosk i klęsk przeludnienia.

Państwo austryackie w ogóle, a nasze społeczeństwo galicyj-

skie w szczególe ma przedewszystkiem wychodźtwo konieczne, t. j. płynące ze źródeł przeludnienia, a tem samem czerpie przedewszystkiem zyski z emigracyi, o ile pominiemy straty religijne i narodowe; objawy sztucznego rozdmuchiwania gorączki emigracyjnej i lokalnego braku rąk do pracy nie zmieniają w danym razie zasadniczego charakteru wychodźtwa i nie uprawniają do tak ogólnikowego i pesymistycznego zaznaczania strat niepowetowanych. Nie spuszczając z oka smutnych następstw emigracyi, należy nam baczniejszą zwracać uwagę na to, na jakie straty naraziłby brak wychodźtwa nasz kraj przeludniony.

Mozolne zestawienia statystyczne w drugim rozdziale przynoszą wiele cennych informacyi, ale w obec braku odpowiedniego materyału nie wynagrodziły plonem upragnionym mrówczej pracy autora. Prawdopodobnie najbardziej zbliżają się do rzeczywistości liczby wychodźtwa do Stanów Zjednoczonych, gdyż brak austryackiej statystyki emigracyjnej zastępuje po części unionistyczna statystyka immigracyi. W bardzo trudnem położeniu znalazł się autor wobec wychodźtwa do Niemiec; idąc za niejasnemi wskazówkami różnych znawców i wybitnych autorów, na pół po omacku torował sobie drogę do celu poprzez gąszcze i trzęsawiska szacowań statystycznych i wśród gęstych mgieł, a drogowskazów po części fałszywych dostał się na bezdroża.

Niepewność środków szacunkowych przebija w chwiejnem sformułowaniu, a raczej w braku ostatecznych pozytywnych rezultatów.

Z jednej strony wyraża autor wątpliwości, czy liczba robotników polskich z Kongresówki wynosi 380 000, a robotników polskich z Austryi 200—250 000, a z drugiej strony upatruje potwierdzenie pierwszej liczby w publikacyi rosyjskiego urzędu statystycznego w departamencie celnym za rok 1905, zwraca uwagę na robotników cyframi rosyjskiemi nie objętych i powołuje się na zdanie prof. Seringa, że zakaz wędrówki robotników sezonowych z Rosyi do Niemiec zakwestyonowałby całe żniwa tamtejsze, na innem zaś miejscu zaznacza, że liczba 340 000—390 000 robotników z Austryi, w tem 200 000—250 000 Polaków austryackich, prawdopodobnie odpowiada rzeczywistości, z wyjątkiem może

r. 1909, czasu przejściowego przesilenia w industryi niemieckiej. Jeszcze dalej sądzi, że liczby, zyskane podczas spisu ludności z 1 grudnia r. 1905 (493 872 poddanych austryackich i węgierskich [wśród nich w Królestwie Pruskiem 210 960 austryackich i 21 450 węgierskich] i 106 639 rosyjskich) wcale nie zgadzają się z faktyczną ilością robotników austro-węgierskich i rosyjskich w Niemczech, wskazując na nieobecność wielu robotników polnych w Niemczech o tej porze i powołując się znów na wspomniane zdanie prof. Seringa.

O wiele większą pewność siebie zdradza autor w kierunku negatywnym.

Według informacyi rosyjskiego warszawskiego komitetu statystycznego powędrowało z Kongresówki do Niemiec

w roku 1900	119 284 [1]
» 1901	139 664
» 1902	135 657
» 1903	141 728
» 1904	137 701
» 1905	ca 200 000

Na podstawie zapisów dyrekcyi policyjnej w Krakowie udało się z Galicyi do Niemiec

	przez Oświęcim	Szczakowę	razem
w roku 1905	58 843	46 990	105 833
» 1906	73 226	37 466	110 692
» 1906 z Bukowiny	—	346	346
w czasie od 1 stycznia do 1 paźdz. 1907 .	94 573	43 026	137 599

Dołączając około 500 robotników z Bukowiny i ca. 12 000 robotników austryackich, udających się na Oderberg, mielibyśmy tylko (zdaniem autora) ca. 150 000 robotników wędrownych z Austryi (bez Węgier).

Daty rosyjskie nazywa autor bardzo niedostatecznemi i przedstawiającemi bodaj część t. zw. wędrowców sezonowych, liczby austryackie zaś uważa wprawdzie za dokładniejsze, ale także by-

[1] Cyfry w pracy Orpiszewskiego nie zgadzają się całkiem z niniejszemi; znajdujemy tam za 1900 rok 119 184, za 1903 r. 141 731; za 1905 r. nie mamy tamże żadnej liczby.

najmniej nie odpowiadające rzeczywistości, gdyż nie obejmują wychodźców w wieku wojskowym i młodszych, unikających kontroli policyjnej, która na galicyjskich stacyach granicznych nie odznacza się dokładnością, dalej tych Polaków, którzy z innych austryackich krajów koronnych, zwłaszcza z Moraw i Ślązka austryackiego, udają się przez granicę śląską i czeską do Niemiec.

Któż w takim labiryncie zdoła znaleźć jakąbądź drogę wyjścia?!

W te ciemnie rzucają niemało światła wyniki niemieckiego spisu zawodowego i gospodarczego z r. 1907; niemało, ale nie dość, gdyż część pierwsza tomu 210 statystyki niemieckiej roztacza wprawdzie w ostatniej kolumnie na przeszło sześciuset stronicach szeroki obraz liczby, rozsiedlenia i ugrupowania zawodowego osób urodzonych poza granicami Niemiec, ale nie wyjawia wcale ich poddaństwa [1] i narodowości; dwa artykuły w czasopiśmie »*Statistische Korrespondenz*« [2] zaś, na podstawie tego spisu opracowane, zajmują się tylko proletaryatem rolnym i industryjnym w Król. Pruskiem, a w tych granicach nie wyjaśniają dostatecznie pochodzenia, wcale zaś nie rozróżniają narodowości przychodźców.

Uwaga: W schemacie niemieckiej statystyki zawodowej i gospodarczej *(Berufs- und Betriebsstatistik)* stanowią całokształt ludności dwie, względnie trzy główne kategorye:

I. { 1. ludność regularnie zarobkująca i posiadająca zawód główny (znaki A, B, C, D, E, F),
{ 2. służba domowa (znak G),

II. 3. domownicy, którzy wcale nie zarobkują lub mają tylko poboczny zawód zarobkowy (znak H).

Służba domowa i domownicy z jednej strony całkiem osobne zajmują miejsca, a z drugiej strony występują obok ludności regularnie samodzielnie zarobkującej, która mieści się w pierwszych sześciu oddziałach zawodowych *(Berufsabteilungen)*. Są to następujące:

---

[1] Trzeba na to zważać: wśród osób, urodzonych poza granicami Niemiec, nie brak będzie poddanych niemieckich. W dalszym ciągu krótszego używając wyrażenia, mówimy po części o ludności »zagranicznej«, co nie jest ścisłem.

[2] Autorowi — zaznaczam to wyraźnie — nie wolno nam zarzucać pominięcia nowszego materyału statystycznego, który się pojawił dopiero po publikacyi jego dzieła.

A. Rolnictwo, ogrodnictwo i przemysłowa hodowla zwierząt, leśnictwo i rybołowstwo,

B. Industrya wraz z górnictwem i przemysłem budowlanym,

C. Handel i ruch wraz z gościńcami i szynkami *(Handel und Verkehr, einschl. Gast- und Schankwirtschaft),*

D. Usługi domowe (wraz z posługą osobistą), także praca najemna zmiennego rodzaju *(Häusliche Dienste (einschl. persönliche Bedienung), auch Lohnarbeit wechselnder Art),*

E. Służba wojskowa, dworska, »administracyjna« i kościelna, także t. zw. »wolne« zawody *(Militär-, Hof-, bürgerlicher und kirchlicher Dienst- auch sogenannte freie Berufsarten),*

F. Osoby, które zawodu nie miały lub nie podały.

Oddziały zawodowe dzielą się na grupy zawodowe *(Berufsgruppen),* te zaś na rodzaje zawodowe *(Berufsarten).*

Oddział zawodowy A. np. (rolnictwo i t d.) obejmuje następujące grupy i rodzaje zawodowe:

I. a. Rolnictwo (rodzaj zawodowy A_1),

I. b. Ogrodnictwo i przemysłowa hodowla zwierząt (rodz. zawod. A_2, A_3),

II. a. Leśnictwo i łowiectwo (rodzaj zawodowy A_4),

II. b. Rybołowstwo (rodzaje zawodowe A_5, A_6).

Z oddziału zawodowego B. (industrya i t. d.) mają w naszej tabeli szczególne znaczenie następujące grupy i rodzaje zawodowe:

III. Górnictwo, hutnictwo i saliny *(Hütten- und Salinenwesen),* torfiarstwo (rodz. zaw. $B_1 - B_6$),

IV. Przemysł kamieniarski i ziemny *(Industrie der Steine und Erden)* (rodz. zawod. $B_7 - B_{20}$),

IX. Przemysł tkacki (rodz. zawod. $B_{66} - B_{78}$),

XVI. Przemysł budowlany *(Baugewerbe)* (rodz. zawod. $B_{141} - B_{154}$),

XIX. Fabrykanci, robotnicy fabryczni, czeladnicy i pomocnicy, których bliższa działalność zarobkowa *(Erwerbstätigkeit)* pozostaje wątpliwa (rodz. zawod. B_{166}).

W oddziałach, grupach i rodzajach zawodowych uwypuklają się regularnie trzy kardynalne różnice stanowisk, bowiem: stanowiska samodzielne wzgl. kierujące (znak a), stanowiska »średnie« (znak b), wreszcie stanowiska robotnicze (znak c).

Zarobkowa ludność robotnicza (c) znów regularnie obejmuje różne warstwy. Nigdzie nie wymieniamy tych członków rodzin *(Familienangehörige),* którzy pracując w gospodarstwie głowy domu *(Haushaltungsvorstand),* figurują w kategoryi c_1, gdyż przedstawicieli tej warstwy może wcale nie znajdziesz wśród zagranicznego proletaryatu polskiego i rusińskiego w Niemczech. Zresztą przedstawiamy w tekście wszystkich robotników za granicą urodzonych, którzy mieszczą się w osobnych grupach lub też, bliżej nie scharakteryzowani, zapełniają całą rubrykę c, dalej służbę domową (G), przedstawicieli innych oddziałów, mniej lub więcej zaliczających się do proletaryatu (zob. D, F), wreszcie zwracamy uwagę na domowników (H) i reprezentantów wyższych stanowisk (zob. niżej).

	parobków	dziewczyn	razem czeladzi	najmitów bez ziemi			raz. czeladzi i najmitów bez ziemi
				płci męsk.	płci żeńsk.	razem	
z Węgier	246	150	396	2 653	2 528	5 181	5 577
z Danii	1 476	537	2 013	?	?	?	2 013+?
z Niderlandyi . .	4 850	1 869	6 719	1 499	300	1 799	8 518
z Szwajcaryi . .	1 331	?	1 331+?	2 055	71	2 126	3 457+?
w ogóle z krajów wymienionych .	7 903	2 556+?	10 459+?	6 207+?	2 899+?	9 106+?	19 565+?

Drobne gromady parobków i dziewczyn wyżej (zob. tekst) i tutaj nie podanych pochodziły z różnych państw zagranicznych.

Reszta najmitów bezrolnych wyżej i tutaj nie podanych pochodziła przeważnie z Danii, Szwecyi i Włoch.

Wśród innych (t. j. z Rosyi i z Austryi nie przybyłych) robotników industryjnych, za granicą urodzonych, pochodziło w Królestwie Pruskiem:

	niewyuczonych wraz z niewyj.		kwalifikowanych		razem niewyucz. i wyuczonych i t. d.		razem wymienionych robotników rolnych i industryjnych
	m.	ż.	m.	ż.	m.	ż.	
z Węgier	4 527	478	5 267	157	9 794	635	16 006
					10 429		
z Niderlandyi	17 218	1 155	10 809	1 150	28 027	2 305	38 850
					30 332		
z Belgii	1 634	124	1 141	148	2 775	272	3 047+?
					3 047		
z Włoch	34 951	331	11 881	190	46 832	521	47 353+?
					47 353		
w ogóle z tych krajów wymienionych	58 330	2 088	29 098	1 645	91 161		105 256+?
z Danii							2 013+?
z Szwecyi							?
z Szwajcaryi							3 457+?
w ogóle z krajów wyszczególnionych poza Rosyą i Austryą							110 726+?
z Rosyi i z Austryi (zob. tekst)							283 308
w ogóle z wszystkich wyszczególnionych krajów							394 034+?

W Królestwie Pruskiem pozostaje zatem niewyjaśnionem pochodzenie państwowe	osób poza granicami Niemiec urodzonych
wśród czeladzi i najmitów bez ziemi, zatrudnionych w rolnictwie, i wśród robotników industryjnych (zob. tekst i tab.) (195 154 — 4 630) + 126 384 + 93 018 — 394 034 = 409 926 — 394 034 = ...	15 892
wśród całego proletaryatu rolnego i industryjnego (zobacz tekst i tab.) 414 556 — 394 034 = ...	20 522
wśród proletaryatu, zatrudnionego w oddziałach A, B, C, wśród służby domowej (G), wśród najemników pozadomowych i t. d. (D) (zobacz tekst i uw. niżej) 456 319 — 394 034 = ...	62 285

W ramach wielkiej tabeli statystycznej mamy obraz wszystkich (prócz grupy c_1) robotników rolnych i niekwalifikowanych robotników industryjnych (wraz z niewyjaśnionymi), za granicą urodzonych; wród tego prostego proletaryatu mieści się przeważna część zagranicznego ludu polskiego i rusińskiego.

Niekwalifikowani robotnicy regularnie nie posiadają wykształcenia zawodowego, podczas gdy kwalifikowanych przedstawiają ci, którym regularnie potrzeba takiego wykształcenia.

Podpadać może w naszej tabeli wielka liczba robotników w przemyśle budowlanym. Myliłby się, ktoby stąd wnioskował, że wielu robotników naszych pracuje na budowlach domowych. Grupa przemysłu budowlanego obejmuje kilkanaście (zob. wyżej) rodzai zawodowych, w tem budowę kolei, dróg, kanałów i t. d. W tej kategoryi (B_{141}: *Bauunternehmung und Bauunterhaltung [Hoch-, Eisenbahn-, Wege- und Wasserbau], soweit nicht zu den Nr. 142—154 zu zählen)* naliczono 75 703 robotników niekwalifikowanych (c_3), a 1142 robotników kwalifikowanych, urodzonych poza granicami Niemiec. W zawodzie mularskim (B_{145}: *Maurer*) było takich robotników niewyuczonych (c_3) tylko 5411, wyuczonych zaś (c_2) 29 422.

Większej części cyfr naszej głównej tabeli, zyskanej na podstawie osobnych zestawień i obliczeń, nie znajdziesz w wspomnianych źródłach niemieckich. Cyfry w *Statistische Korrespondenz* po części nie odpowiadają zupełnie naszym rezultatom.

W Królestwie Pruskiem naliczono według wspomnianego spisu z czerwca 1907 r. 195 154 robotników rolnych (109 071 płci męskiej, 86 083 płci żeńskiej), a 126 384 niewyuczonych robotników industryjnych (117 703 płci męskiej, 8 681 płci żeńskiej), razem 321 538 osób takiego stanu, urodzonych poza granicami Niemiec. Wśród nich pochodziło (zob. *Statistische Korrespondenz)*

		z Rosyi	z Austryi	z Rosyi i z Austryi
	wśród niekwalifikowanego prolet. roln.			
AIa $(A_1)c_2$	parobków	5 610	3 720	9 330
	dziewczyn	2 663	2 337	5 000
	razem	8 273	6 057	14 330
	innych rolnych robotników nie posiadających ziemi			
AIa $(A_1)c_3$	płci męskiej	52 539	27 153	79 692
	płci żeńskiej	48 805	25 373	74 178
	razem	101 344	52 526	153 870
AIa $(A_1)c_2 + (A_1)c_5$	razem parobków, dziewczyn i najmitów bez ziemi	109 617	58 583	168 200

		z Rosyi	z Austryi	z Rosyi i z Austryi
B(III—XVIII)c_3 +BXIXc	wśród proletaryatu industryjnego niewyuczonych robotników industryjnych wraz z proletaryatem w grupie niewyjaśnionych			
	płci męskiej	17 958	37 518	55 476
	płci żeńskiej	2 016	4 073	6 089
	razem	19 974	41 591	61 565
AIa c_2+c_5 + B(III—XVIII)c_3 + BXIXc	razem robotników wyżej wymienionych	129 591	100 174	229 765
B(III—XVIII) c_2	kwalifikowanych robotników industryjnych			
	płci męskiej	7 451	41 904	49 365
	płci żeńskiej	895	3 293	4 188
	razem	8 346	45 197	53 543
AIa c_2+c_5 + (BIII—XIX) etc	razem wyżej wymienionego proletaryatu, zatrudnionego w rolnictwie i w przemyśle . . .	137 937	145 371	283 308

W Królestwie Pruskiem pochodziło zatem wśród 195 154 zagranicznych robotników rolnych 168 200 czeladzi (parobków, dziewczyn) i najmitów bez ziemi z Rosyi i z Austryi; nie znamy kwoty robotników z Rosyi i z Austryi w grupach zagranicznych robotników rolnych, posiadających ziemię własną, dzierżawną lub użytkową, które to grupy razem obejmowały tylko 1 989+2 641 =4 630 osób; w tej małej liczbie może wcale nie było robotników polskich. Pomijając udział robotników z Rosyi i z Austryi w tych drobnych grupach, możemy więc powiedzieć, że robotnicy rolni z Austryi i z Rosyi stanowili r. 1907 w Królestwie Pruskiem 86% zagranicznego proletaryatu rolnego.

Wśród 126 384 zagranicznych niewyuczonych i t. d. robotników industryjnych w Królestwie Pruskiem mieliśmy r. 1907 61 565 czyli 49% robotników z Rosyi i z Austryi.

Przypuściwszy, że prosty proletaryat rolny i industryjny z Rosyi i z Austryi przedstawiał we wszystkich państwach związ-

kowych Niemiec Północnych wraz z Królestwem Saskiem taką samą kwotę wśród 243 771 rolnych, a 177 519 industryjnych robotników zagranicznych tamże zatrudnionych, naliczylibyśmy w Niemczech Północnych wraz z Królestwem Saskiem

proletaryatu roln. z Rosyi i z Austryi	$\frac{168\,200 \cdot 243\,771}{195\,154} = 0{,}86 \cdot 243\,771 = 209\,643$
niewyuczonego proletaryatu industryjnego z Rosyi i z Austryi	$\frac{61\,565 \cdot 177\,519}{126\,384} = 0{,}49 \cdot 177\,519 = 86\,984$
razem proletaryatu rolnego i niewyuczonego proletaryatu industryjnego z Rosyi i z Austryi	296 627

Czy wolno czynić takie przypuszczenie, to kwestya otwarta [1]. Na pewno nie wolnoby nam stawiać takiej hipotezy co do Niemiec Południowych (Bawaryi, Wirtembergii, Badenii i Alzacyi-

---

[1] Poza Królestwem Pruskiem mieliśmy w innych państwach związkowych Niemiec Północnych wraz z Król. Saskiem w ogóle:

zagranicznego proletaryatu rolnego. .	243 771 — 195 154 = 48 617
» niewyuczonego i t. d. prol. industryjnego	177 519 — 126 384 = 51 135
razem zagr. prol. rolnego i niewyuczonego i t. d. industryjnego	99 752

Według naszych szacowań było poza Król. Pruskiem w innych państwach związkowych Niemiec Północnych wraz z Królestwem Saskiem (zob. wyżej tekst):

proletaryatu roln. z Rosyi i z Austryi	ca 209 643 — ca 168 200 = ca 41 443
niewyuczonego i t. d. prolet. industr. z Rosyi i z Austryi	ca 86 984 — 61 565 = ca 25 419
razem prostego prol. roln. i niewyucz. i t. d. prol. industr. z Rosyi i z Austryi	ca 66 862

W danych krajach wynosi różnica między »całym« (zob. str. 8.) zagranicznym proletaryatem rolnym i niewyuczonym i t. d. proletaryatem industryjnym a szacowanymi przedstawicielami tych warstw z Rosyi i z Austryi:

99 752 — ca 66 862 = ca 32 890.

Jeżeli faktyczna liczba tego proletaryatu z Rosyi i z Austryi, zatrudnionego w Niemczech Północnych i w Król. Saskiem, przewyższała miarę naszych szacowań, to w obec wykazanej dyferencyi (ca 32 890!) w każdym razie nie mogła być o wiele wyższa ponad około 300 000.

Lotaryngii, które są domeną robotnika włoskiego[1], a mało zatrudniają robotników polskich.

Liczymy zatem około 300 000 w Niemczech Północnych wraz z Królestwem Saskiem prostego proletaryatu rolnego i industryjnego z Austryi i z Rosyi; w tej liczbie mieszczą się obok Polaków także Rusini i Litwini, dalej robotnicy innych narodowości: niemieccy robotnicy z Rosyi i z Austryi (n. p. sprowadzeni przez komisyę kolonizacyjną), inni słowiańscy robotnicy z Austryi i t. d.; liczba robotników polskich i rusińskich razem wziętych stanowiłaby jednakże ogromną większość w tej szacowanej sumie prostego proletaryatu rolnego i industryjnego z Rosyi i z Austryi.

Takiego zdania nie wypowiadamy o stosunku liczby kwalifikowanych robotników polskich i rusińskich do sumy wszystkich przedstawicieli tej warstwy, pochodzących z Rosyi i z Austryi.

Zagranicznych kwalifikowanych robotników industryjnych (c 2), którym nasza główna tabela nie poświęca uwagi, naliczono

w Królestwie Pruskiem	w Cesarstwie Niemieckiem	w Niemczech Połudn. (w Bawaryi, Wirtemb., Badenii i Alzac.-Lotar.)	w Niemczech Półn. wraz z Królestwem Saskiem[2]
93 018	187 670	48 229	139 441

Na 93 018 zagranicznych kwalifikowanych robotników industryjnych w Królestwie Pruskiem przypadało (zob. wyżej) 53 543 osób czyli 58% z Rosyi i z Austryi.

Przenosząc taki sam stosunek na Niemcy Północne wraz z Królestwem Saskiem, mielibyśmy wśród 139 441 zagranicznych kwalifikowanych robotników industryjnych w Niemczech Północnych wraz z Królestwem Sask. $\frac{53\,543 \cdot 139\,441}{93\,018} = 0{,}58 \cdot 139\,441 =$ 80 875 osób z Rosyi i z Austryi.

Znów niepewnem oparcie szacowania na takiej hipotezie; zgoła niejasnem zaś, jaką kwotę wśród 53 543 naliczonych kwa-

---

[1] Zob. Sartorius Freiherr von Waltershausen: *Die italienischen Wanderarbeiter*. Lipsk, 1903.

[2] Do Niemiec Północnych zaliczamy wszędzie także kraj Hohenzollern, położony wprawdzie w Niemczech Południowych, ale należący do Królestwa Pruskiego. Zob. wielką tabelę.

lifikowanych robotników industryjnych w Królestwie Pruskiem, a ca. 80 000 szacowanych reprezentantów tej warstwy w Niemczech Północnych i w Król. Saskiem stanowili robotnicy polscy i rusińscy. Ważne miejsce w tej grupie zajmują kwalifikowani robotnicy, zatrudnieni w górnictwie, hutnictwie i t. d. Takich (c_2) naliczono

w Cesarstwie Niemieckiem	w Królestwie Pruskiem	w Niemczech Południ. (w Bawaryi, Wirtemb., Badenii i Alzac.-Lotar.)	w Niemczech Półn. wraz z Królestwem Saskiem
27 296	22 961	3 316	23 980

Do tej kategoryi robotników kwalifikowanych zalicza statystyka niemiecka »hojerów« (Häuer), które to stanowisko zdobywa po niejakim czasie robotnik polski; może więc w tej grupie zagranicznego proletaryatu kwalifikowanego przeważali nasi robotnicy w Niemczech Północnych wraz z Królestwem Saskiem.

Poza tem było osób zagranicznych

		w Król. Prusk.	w Ces. Niem.	w Niem. Połud.	w Niem. Północ. z Król. Sask.
AIb (A_2, A_3) c_3 + AIIb (A_5, A_6) c_3	wśród niewyuczonego proletaryatu (c_3), zatrudnionego w ogrodnictwie, przemysłowej hodowli zwierząt i rybołowstwie	624	948	93	855
CXX, XXI, XXIIb, XXIII c_3	wśród niewyuczonego proletaryatu, zatrudnionego w przemyśle handlowym, zabezpieczeniowym, w różnych gałęziach przemysłu transportowego *(Verkehrsgew.)* i w oberżach i szynkach *(Gast- und Schankwirtschaft)*	8 132	18 192	3 777	14 415
	razem	8 756	19 140	3 870	15 270
	wśród kwalifikowanego (c_2) proletaryatu w grupach co tylko wymienionych	1 221	2 581	519	2 062
		10 384	19 684	4 103	15 581
	razem	11 605	22 265	4 622	17 643

		w Król. Prusk.	w Ces. Niem.	w Niem. Połud.	w Niem. Półn. z Król. Sask.
AIIa (A_4)c	wśród proletaryatu bliżej nie scharakteryzowanego (c) w leśnictwie i w łowiectwie	997	2 058	888	1 170
+ C XXIIa c	w służbie *(Betrieb)* poczt., telegraf. i kolejowej (nie w ruchu tramwaj.)	1 652	2 817	795	2 022
	razem	2 649	4 875	1 683	3 192
G	wśród służby domowej	13 654	24 798	5 485	19 313
D	wśród osób, spełniających posługi domowe i prace najemne zmiennego rodzaju [1]	5 099	9 120	2 047	7 073

Wreszcie mieliśmy osób, poza granicami Niemiec urodzonych

	wśród proletaryatu dokładniej nie scharakteryzowanego (c)	w Ces. Niemieckiem
E		
E_2	w służbie dworskiej, dyplomatycznej, państwowej, komunalnej i t. d.	541
E_3	w służbie kościelnej, w zakładach, poświęconych celom religijnym, i t. d.	226
E_4	w bibliotekach, w zbiorach naukowych i artystycznych i t. d.	225
E_5	w sanatoryach, lazaretach i t. d.	1 803
E_8	w instytutach muzycznych, teatrach i t. d.	356
	razem	3 151

	wśród osób, które nie miały lub nie podały zawodu	
F		
F_2	żyjących z zapomogi (nie podanych pod nr. 5)	1 510
F_4	» w zakładach dla kalek i t. d.	997
F_5	» w pewnych zakł. dla biednych (nie podani pod nr. 2)	252
F_6	» w szpitalach	581
F_8	» w domach karnych i domach poprawy	2 003
	razem	5 343

[1] *Häusliche Dienste (einschliesslich persönliche Bedienung), auch Lohnarbeit wechselnder Art.* Do pierwszej kategoryi należą posługaczki, sługi dla celów domowych, nie zamieszkałe w domu państwa i t d.

Osobno wylicza statystyka niemiecka takie osoby, zatrudnione w sanatoryach, lazaretach i t. d. *(Gesundheitspflege und Krankendienst);* takich naliczono w Cesarstwie Niemieckiem 577 za granicą urodzonych.

H wśród domowników, wcale nie zarobkujących lub mających tylko zawód poboczny

	w Królestwie Pruskiem	w Cesarstwie Niemieckiem	w Niemczech Południowych	w Niemczech Północn. wraz z Król. Sask.
płci żeńskiej . . .	135 173	244 599	59 550	185 049
wogóle	176 727	316 843	78 348	238 495

Statystyka niemiecka nie wyjawia nam przynależności tych domowników do stanowisk zawodowych; wolno nam jednakże uważać za pewnik, że są to po bardzo wielkiej części domownicy przedstawicieli warstw nie robotniczych, urodzonych poza granicami Niemiec, których w pierwszych trzech oddziałach zawodowych (t. j. w rolnictwie i t. d., w przemyśle i t. d. i w handlu i t. d.) było na stanowiskach samodzielnych wzgl. kierujących (a) 76 915, na stanowiskach »średnich« (b) 39 455, razem 116 370 (osób płci męskiej i żeńskiej) w całem Cesarstwie Niemieckiem; wśród zagranicznego proletaryatu zaś polskiego i rusińskiego mieliśmy z pewnością mało »domowników«.

(Dok. nast.).

Dr. A. Tomaszewski.

PROBLEMY ARABSKIE

I SIŁY SPOŁECZNE I KULTURALNE ARABÓW.

(Ciąg dalszy).

Ale wróćmy na pustynię i przypatrzmy się jakie tam życie wre i rozwija się.

Przed nami, jak okiem sięgnąć, rozciąga się pustynia. »Szarożółte zabarwienie jej sprawia, że przedmioty na niej nie występują w zarysach wyraźnych. Tylko to, co wynosi się ponad horyzont odrzyna się ostro. Co natomiast zlewa się z szarą płaszczyzną pustyni pozostaje szare i niewyraźne. Najłatwiej usuwają się z pod badawczego wzroku przedmioty białe, bo mieszają się z wapnistą częstokroć płaszczyzną pustyni. Każda inna farba natomiast rzuca się w oczy. Dlatego Bdui zrzuca ze siebie swój ciemny płaszcz, jeżeli nie chce być widzianym. Z tego też powodu nosi on z predylekcyą białą albo szarą chustkę na głowie i nie używa nigdy czarnego konia ani wielbłąda« [1].

Rzadkiem a wspaniałem zjawiskiem wśród skwarnego lata na pustyni jest burza, gdy duchy ginn wojują ze sobą i zbudzą straszne wichry na wysokościach, a czarna wówczas pustynia zapłonie w ogniach błyskawicznych. Niekiedy »Sliman ibn Dand, władca wszystkich duchów rozpędzi walczących« [2] i wówczas huragan rozpierzchnie się w wichrach. Oppenheim opisuje burzę

[1] *Kusejr Amra*, str. 56

[2] *Kusejr Amra*, str. 91.

taką tuż pod ruinami Palmiry. »Około godziny 5 po południu, opowiada on, byliśmy świadkami szalonej burzy, która uderzyła na nas z południowego zachodu, pędząc przed sobą ogromną chmurę piasku. Niebo ściemniało tak, że czarna prawie zapanowała noc. Deszcz delikatny począł padać, poczem intensywny blask czerwony jak krew począł bić i wyskakiwać z górnych warstw chmur i ogarnął całą górną część nieba, odbijając jaskrawo od czarnej atmosfery niższej. Ciemność uczyniła się głębsza, chmury piasku pędziły bezustannie, tak, że musieliśmy odmienić nasz zamiar, zwiedzić ruiny Palmiry.

Burza trwała 2 godziny. Gdy się rozproszyła ujrzeliśmy turmy pogrzebowe Palmiry, które ukazują podróżnym, przybywającym z zachodu stare miasto« [1].

Stokroć straszniejsza, bo rzeczywiście niebezpieczna jest burza piaszczysta simum, która sroży się wśród lata gorącego i niesie ze sobą dławiącą duszność zabójczą [2].

A teraz przypatrzmy się życiu pasterskiemu i ćwiczeniom wojennym Beduinów. Ludy bowiem koczownicze obok zajęć pa-

---

[1] *Le tour du Monde*. 1899, str. 377.

[2] Znany podróżnik angielski Palgrave opisuje dokładnie przebieg burzy simum, która karawanę jego dopadła w drodze z Maan do wadi Serhan w miesiącu czerwcu: »Było to południe. Z słońca jaśniejącego na czystem niebie ulewają się strumienie ognistych promieni na spieczoną pustynię. Wtem nagle wiatr południowy, duszny i gorący, jął dąć w gwałtownych rzutach i uczyniło się tak duszno, iż zdawało się, że zabraknie powietrza uciśnionym piersiom«. Rozglądamy się niespokojnie, chcemy zapytać się przewodnika, co oznacza ten powiew gorący, »ale on zgięty na wielbłądzie z głową w płaszczu ukrytą, zdawał się nas nie słyszeć. Inni Beduini poszli za jego przykładem i również zachowywali milczenie. Wreszcie na nasze zapytania kilkakrotne, przewodnik odpowiedział krótko, wskazując na mały namiot czarny, który, dzięki Opatrzności, znajdował się w pobliżu »Jeżeli zdążymy dotrzeć tam, jesteśmy ocaleni! Uważać na wielbłądy, ażeby nie zatrzymały się i nie położyły się na ziemię«. Potem pchnął silnie wielbłąda swego i zamilkł zupełnie.

Z trwogą spoglądaliśmy na namiot, będący w odległości jakich 200 m., ale powietrze staje się coraz więcej duszące a zwierzęta nasze wzbraniają się iść. Wtem nagle uczyniło się ciemno, widnokrąg przybrał fioletową barwę. Wiatr ognisty, jakby wydobywał się z olbrzymiego pieca, jął dąć pośród rosnących ciemności. Nasze wielbłądy mimo naszych wysiłków zwróciły się zginając kolana, ażeby się położyć.

sterskich zajmują się rzemiosłem wojennem. Podczas gdy inne ludy tylko w razie grożącego niebezpieczeństwa wyruszają do boju, one zawsze są w pogotowiu wojennem, podobne do konnej armii w pochodzie. I pod tym względem miały one stanowczą przewagę nad wszystkimi prawie ludami i mocarstwami na Wschodzie, które z wyjątkiem Bizancyum stałej armii nie posiadały. Zresztą samo już życie pasterzy nastręcza często starcia orężne.

Oto nieprzyjaciel w kilkanaście wielbłądów, pisze ks. Musil, pędził za nami w odległości mniej więcej 3 km.

»Przed nami liczne wielbłądy pokolenia Shur. Ażeby więc przestrzedz pastuchów i pasące się wielbłądy przed grożącem niebezpieczeństwem, przytwierdził Bahit chustkę swoją do karabinu i potrząsając nią wysoko w powietrzu, wołał:

Halalhe... je
Halalhe... je
ja Ra sed! ja tamma... a!

Jeźdźcy, jeźdźcy, o Rased, którzy pożądacie walki!

I szalonym pędem ruszyliśmy dalej w drogę. Pasterze zaś poczęli spędzać wielbłądy przeciągłem wołaniem hed, hed! i biciem

---

Za przykładem Arabów zakryliśmy twarze i bijąc z rozpaczliwą energią nasze wielbłądy popychaliśmy je w kierunku namiotu. I na szczęście był jeszcze czas. Gdy burza rozpętała całą wściekłość swoją, jej powiew zatruty nie zdołał nas dosięgnąć. Byliśmy już pod namiotem, na pół uduszeni, prawda, ale zdrowi i uratowani. Nasze wielbłądy biedne rozciągnięte na ziemi, na pozór bez życia, zagrzebały swoje długie szyje w piasku, ażeby przetrwać huragan«...

W namiocie od razu rzuciliśmy się na ziemię. Tak »przetrwaliśmy 10 minut, gdy gorąco, podobne do rozpalonego żelaza owionęło nas palącem swem tchnieniem. Ściany namiotu poczęły gwałtownie się ruszać pod działaniem szalonego wichru. Simum przeszedł. Podnieśliśmy się i odsłonili twarze. Towarzysze moi podobni byli raczej do umarłych niż żywych i ja, wyobrażam sobie, nie wyglądałem lepiej. Wszelako mimo napomnień przewodnika, chciałem zobaczyć jak nasze wielbłądy przetrwały burzę. Leżały one zawsze jeszcze rozciągnięte bez ruchu na ziemi Ciemność była jeszcze głęboka, ale niebawem zajaśniało światło dzienne w zwyczajnym swoim blasku. I rzecz dziwna! Podczas trwania huraganu nie wzniósł się żaden wir ani z kurzu ani piasku, żadna chmura nie zakrywała nieba i nie umiem sobie wytłumaczyć skąd takie ciemności nagle ogarnęły widnokrąg«. — Palgrave: *Une année dans l'Arabie centrale*, str. 8 i 9.

przynaglać do ucieczki i donośnym głosem przestrzegali towarzyszów o blizkiem niebezpieczeństwie.

Dwaj jeźdźcy wyruszyli w drogę, ażeby zaalarmować obóz, inni z poblizkiego wzgórza śledzili ruchy nieprzyjaciela. I oni powiewali chustkami na długich dzidach, wołając bezustannie na alarm. Niebawem zabrzmiała pieśń wojenna.

Pustynia zawrzała życiem. W dzikiej ucieczce pędzi kilka tysięcy wielbłądów w kierunku północno-wschodnim. Ryk niezadowolonych zwierząt, pomruk żałosny przelęknionych wielbłądzic, smętne rżenie młodych wielbłądów, niemogących nadążyć, wypełnia powietrze i miesza się z okrzykiem wojennym pasterzy, powiewających chustkami na długich lancach. Tu i ówdzie padł strzał i tak dalej szalonym pędem« [1].

I karawany pustynne są dla wodzów i żołnierzy wyborną szkołą ćwiczeń wojennych. »Rozłożyliśmy się koczowiskiem, opowiada inny podróżny, na pełnej pustyni w rozległej dolinie w pobliżu wielkiej karawany Adjel, liczącej 120 wielbłądów i niosącej kobierce z Bagdadu do Damaszku. W drodze od 40 dni, jak mówiono, posuwała się ona tylko nocą przez kilka godzin po całodziennym zawsze wypoczynku. Adjel to starzy i doświadczeni karawaniarze, którzy dobrze znają wałęsających się po okolicy Beduinów i opłacając się im haraczem w przyjacielskiem z nimi są porozumieniu. Ich koczowisko ma kształt czworoboku, zamkniętego z jednej strony klęczącymi wielbłądami, a w drugiej połowie pakami, ułożonemi w mur. W środku rozniecono ognisko, przy którem rozsiedli się karawaniarze, gotując sobie kawę i wypiekając chleb w popiele rozżarzonym. Wokoło obozowiska bezustannie krążą liczne straże, dając od czasu do czasu znaki przytłumionem gwizdaniem, dobrze znanem podróżnym pustynnym. Długie godziny siedziałem pomiędzy nimi przy ognisku i słuchałem ich opowiadań o rozbójnikach i koniach, temat ulubiony wszystkich przewodników karawanowych. Około północy wyruszyła karawana w drogę. Wielbłądy objuczono bez hałasu i w milczeniu, jak widma nocne, ruszono w podróż. Wiel-

[1] *Kusejr Amra,* str. 20.

błądy były połączone jedne z drugimi. Jasność księżycowa oblewała pustynię, w kilka minut później karawana zniknęła nam z oczu« [1].

A teraz sama wyprawa wojenna.

Dziwimy się nieraz, skąd w światowładnym pochodzie orężnym Islamu tylu wzięło się od razu wodzów znakomitych, gdy przyszło równocześnie walczyć na wszystkie strony świata z potężnymi sąsiadami, skąd te zwycięstwa świetne nielicznych stosunkowo oddziałów Beduinów nad wyćwiczonemi w sztuce wojennej armiami światowych mocarstw militarnych, jak Persya i Bizancyum. Niektórzy dopatrują się nawet w wspólnych ćwiczeniach modlitewnych pierwszych mosleminów musztrę wojenną [2], która torować miała drogę do zwycięstw światowych. Odpowiedź na te pytania dają nam corocznie kilkakrotnie powtarzające się razw al hiser Beduinów. Wpierw jednak słów kilka o koniu arabskim.

Dumą i chwałą Beduina to klacz jego. Ale bo też koń przedewszystkiem stanowi o potędze politycznej i wojennej pokolenia. Rasowy wielbłąd pustynny jest niezrównanym biegunem pod wierzch i zwierzęciem jucznem, ale do boju jest nieprzydatny. W wirze i ogniu walki tylko klacz pomknie z miejsca jak strzała i wśród pędu najszybszego na dany znak jeźdźca w miejscu jak mur osadzi. Wśród szczęku broni tylko jeździec konny zdolny jest do szybkich ruchów i ataków i sprawnej obrony. To też wszystkie waleczne i wpływowe w Skalistej Arabii pokolenia starają się przedewszystkiem o to, żeby mieć rasowe i wyćwiczone do boju konie i czujne staranie o konia jest, według proroka, jednym z najgłówniejszych obowiązków muzułmanina. Wyborną charakterystykę konia arabskiego pod względem wartości bojowej z odległej starożytności mamy w Piśmie św. w księgach Job, których autor natchniony, prawdopodobnie jakiś szejk arabski, przedstawia nam jakby defiladę konnicy w szyku bojowym: Koń pochopny jest do skoku jak szarańcza a dumne rżenie jego rzuca postrach wokoło — »izali go spędzisz jako szarańczą? sława

[1] *Le tour du monde*, 1900 r., str. 383: *Voyage en Syrie et en Mésopotamie* par baron d'Oppenheim.

[2] »Mit vollem Recht nennt man darum die Gebetsplätze der alten Muslime ihre ersten Exerzierplätze«. Hell: *Die Kultur der Araber*, 1909 r., str. 25.

nozdrzy jego strach. Kopie ziemię kopytem, wyskakuje śmiele: bieży przeciw zbrojnym. Gardzi strachem ani ustępuje mieczowi. Nad nim chrzęścić będzie sajdak, błyskać się będzie drzewce i tarcza. Pałając a rzając żrze ziemię, ani uważa, że brzmi głos trąby. Gdy usłyszy trąbę, mówi wah, z daleka czuje wojnę, napominanie hetmanów i krzyk wojska« (XXXIX, 19 – 25). Jak zaś obecnie koń zrósł się z życiem Araba i niezbędny jest dla jego wypraw wojennych wybornie skreślił emir Abd-el-Kader: »Tkwi to w obyczajach i naturze Arabów, mówi on, od czasów najdawniejszych prowadzić wojnę z wszystkimi wewnątrz i zewnątrz kraju ludami sąsiednimi. Arab ubogi potrzebuje konia, żeby rzucić się na wroga i przywłaszczyć sobie jego majątek i zbogacić się. Arab natomiast bogaty potrzebuje konia, żeby bronić swojej fortuny i swego życia« [1].

Ojczyzną konia arabskiego jest Nefud i step pustynny pomiędzy Syryą a Eufratem. Tam na stepie bezbrzeżnym napotkać można najlepsze bieguny o ślicznie rzeźbionej głowie i chrapach, z których ogień tryska, uległe, dumne i odważne, idące z wichrem pustynnym w zawody.

»W namiocie księcia Talal, pisze uczestniczący w wyprawie ks. Musil, odbywały się narady nad najbliższą wyprawą rabunkową albo raczej wojenną razw al-hiser przeciwko pokoleniu Beni Salan. Wyprawa ta oczywiście tworzyła jedno tylko ogniwo w łańcuchu wypraw wojennych, które od szeregu lat pokolenie Shur podejmowało przeciwko wrogom swoim Rwala.

Każdą wojnę trzeba uprzednio formalnie wypowiedzieć. Czyni to posłaniec specyalny, rdad neka, którego życie jest nietykalne. Przychodzi on do namiotu księcia, mówiąc:

Jeden honor jest bielszy od drugiego.
N. wypowiada wam wojnę.

Książę odpowiada krótko:

Hadraha lena
wrabraha lu!

Zielone dla nas, kurz dla niego.

---

[1] Aug. Bernard et Lacroix, str. 114.

I od tej chwili oba pokolenia usiłują bezustannie zajmować sobie wielbłądy i łupić namioty. W tym celu podejmują one corocznie zwłaszcza na wiosnę 3 do 5 wypraw wojennych« [1].

Na wyprawie wojennej wszyscy Beduini, nie wyjmując naczelników ani księcia, winni posłuszeństwo naczelnemu wodzowi »akidowi«, którego wybierają z pośród najroztropniejszych i najwaleczniejszych wojowników. W przeddzień wyprawy panuje w obozie zawsze ruch wielki, bo trzeba napoić dobrze wielbłądy i to na czas dłuższy i zaopatrzyć się w potrzebny aż do najbliższej stacyi zapas wody i żywności dla koni i ludzi. Na wyprawę wybierają się wszyscy na wielbłądach, obok idą wolno konie, lekko osiodłane i bez strzemion. Wielbłąd objuczony jest jęczmieniem dla klaczy, dźwiga zapasy wody i żywności, składającej się z mąki i sera i po dwóch ludzi. Klacz zaś, która poniesie jeźdźca w ogień walki, trzeba oszczędzać, aby była rzeźką i silną. Ponieważ zaś nie każdy Beduin z powodu znacznych kosztów utrzymania posiada klacz, więc na wyprawę zwykle tworzą się dwójki bojowe w ten sposób, że jeden daje klacz pod wierzch a drugi wielbłąda. Zdobytym łupem dzieli się dwójka. Łupy zdobyte z reguły są własnością wspólną. »Najpierw z łupów wybiera sobie akid co mu się spodoba, resztę dzieli się na równe części pomiędzy uczestników wyprawy. Gdy w ciągu wyprawy oddział jakiś przypadkiem natknie na wielbłądy wrogiego sobie szczepu, przeciwko któremu walka się nie toczy, rozporządzenia akida tracą swoją moc i wówczas każdy może na własną rękę łupy czynić. Ujęta w ryzy posłuszeństwa wojskowego wyprawa razw hiser przeobraża się wówczas w bezładny najazd, razw rejr hiser, w którym każdy na własną rękę walczy i rabuje. Zdobyte w ten sposób łupy po powrocie przegląda akid i każdy winien mu ofiarować $^1/_3$ część ze swoich łupów, reszta przypada łupieżcom«. W wyprawie biorą częstokroć udział 12-letni chłopcy na własnej klaczy pod kierunkiem oczywiście doświadczonego wielbłądziarza.

Ale wróćmy do wyprawy.

W naszej wyprawie dowództwo naczelne przypadło księciu

---

[1] *Kusejr Amra,* str. 33.

Talal, jako najroztropniejszemu i najwaleczniejszemu z pośród naczelników rodów. Jako naczelny wódz tedy, »akid«, wydał Talal bezzwłocznie pierwsze rozkazy wojenne, »naznaczając jako punkt zborny, gdzie wszyscy naczelnicy za dwa dni, w porze popołudniowej ze swymi ludźmi stawić się mieli, Kasr al-Harani. O przedsięwziętej wyprawie zawiadomili naczelnicy wojowników słowy:

Al-razwa, ja hlal-hejl!
Wojna, jeźdzcy!
Wusu z-zad? Żywność jaka?

Taka, która nie potrzebuje ognia, brzmi odpowiedź. Poczem ogłoszono termin, kiedy wyruszyć miano, bez podania jednak celu wyprawy, który i podjazdy trzymały w tajemnicy, ażeby przypadkiem gość jakiś nie dowiedział się o tem i nie doniósł nieprzyjacielowi.

Dwa oddziały podjazdowe wysłał Talal w celu zbadania okolicy w kierunku północnym i południowym, a trzeci oddział na szybkich wielbłądach na wschód w celu wyszukania najlepszej wody i terenu na wypoczynek, tudzież wybadania i wyśledzenia nieprzyjacielskich pastwisk wielbłądzich. Ażeby oddział ten sprostał zadaniu, musiał znać najdokładniej teren nieprzyjacielski. Uczestnicy tego oddziału używali wielbłądów nie ze znakiem Shur, lecz zdobytych na plemieniu Sammar. Oddział ten miał zadanie nader niebezpieczne, ale i zaszczytne zarazem i częstokroć korzystne, gdyż w szczęśliwym razie można było rabować na własną rękę i zdobyć kilka wielbłądów«.

Zaledwie oddziały podjazdowe zniknęły z oczu, rozpoczęły się ćwiczenia jeźdźców konnych i wielbłądzich grupami i w pojedynkę i wyścigi konne. Oto scena z ćwiczeń pojedynkowych:

»Po lewej stronie doliny rozciąga się dość wielka równina. Wystąpił w pole młody wojownik na ślicznej klaczy i potrząsając wysoko lancą zawołał donośnym głosem:

Min ajen Flan, ja kla-l-hejl?
Kto ukaże mi N., o jeźdźcy?

Ledwo powtórzył trzykrotnie te słowa, odezwał się już za nim głos przeciwnika:

Ja nasedan anni ana anka nased.
O, ty pytasz się o mnie, otóż właśnie ja szukam ciebie!

I w zwinnych skokach, ledwo tykając się ziemi, galopuje śliczna klacz naprzeciw młodego przeciwnika i wojownik zwarł się z wojownikiem. Godzi weń lancą i usiłuje wytrącić mu lancę z dłoni albo przynajmniej wysadzić go z siodła. Zaatakowany broni się dzielnie. Najwięcej zaś w tych utarczkach podziwiać należy śliczne ruchy koni rasowych«[1]...

»Wtem zabrzmiała komenda Talala i wszyscy natychmiast powrócili do wielbłądów, ażeby przyrządzić sobie posiłek wieczorny. Poczem po rozstawieniu nocnych straży, wewnątrz obozu liczne wytworzyły się grupy, w których przysłuchiwano się deklamacyom różnych utworów z poezyi wojennej.

Dnia następnego już przed wschodem słońca obóz był na nogach. Wszędzie panuje spokój zadziwiający, nawet wśród bydła. Skoro atoli tarcza słoneczna się wychyliła, dosiadł akid Talal swego wielbłąda i w tym momencie ruszył cały obóz w kierunku północno-wschodnim. Ta precyzya ruchów była imponująca. Bez słowa i komendy wszystkich oczy były zwrócone na księcia i wszyscy stosują się do jego ruchów. Cały oddział liczył 295 klaczy i 350 wielbłądów i tworzył szeroką, ale niezbyt głęboką kolumnę, która wśród bezustannych wojennych ćwiczeń masowych posuwała się naprzód.

Aż oto kolumna znagła dzieli się na dwie części. Wojownicy zeskakując z wielbłądów, dosiadają koni i w dzikim galopie pędzą w kierunku wschodnim. Garstka tylko jeźdźców pozostała przy wielbłądach, ale po to tylko, aby z nimi jak najszybciej pogonić do wyznaczonego, mniej więcej 2 km. odległego, miejsca w przeciwnym kierunku zachodnim.

Wojownicy, potrząsając wysoko nad głową karabinem lub lancą, śpiewają daleko donośnym głosem pieśń wojenną.

Za chwilę widać już liczne wielbłądy, zajęte jako łup wojenny. Wojownicy po jednym, po dwa lub trzy wielbłądy pędzą przed sobą, ażeby je oddać w ręce towarzyszy, którzy uwijają

[1] *Kusejr Amra,* str. 40.

się w pobliżu na wielbłądach, poczem znowu wracają w wir walki. Raz po raz rozbrzmiewają różne rodowe hasła wojenne i dzikie wołania:

Al-kalaje ja nisama!
Al-kalaje ja Tuka!
Ajnaku ja rabana!

Czyńcie łupy, waleczni!
Czyńcie łupy, o Tuka!
Ku waszej pomocy, towarzysze!

Gdy zaś przenikliwy okrzyk ju-u-u u-h! juh! juh! juh! rozedrze powietrze, to znak, że jeden z wojowników został raniony.

Równocześnie też słychać nieraz przeciągłe wołanie błagalne: imna, imna, ja Flan! To prośba pokonanego, który poddaje się składając broń w ręce zwycięzcy« [1].

Kto został w walce pokonany idzie jako jeniec wojenny do obozu nieprzyjacielskiego i przebywa tam trzy dni jako gość. Poczem po zaopatrzeniu w środki żywności, bez broni i konia wraca do swoich. Pojmany naczelnik albo jakiś wojownik waleczny otrzymuje ponadto wielbłąda pod wierzch wraz z zapasem wody, którego atoli po przybyciu do swego obozu winien odesłać. Wśród walczących byli też kupcy, związani węzłem przyjaźni z Talalem. Tych na dany znak wodza puszczono na wolność i zwrócono im zabrane mienie i wielbłądy.

Wyprawa nie zakończyła się zawarciem pokoju, bo odwieczne prawo odwetu domaga się zawsze krwawych porachunków za poległych w walce, bo każda wyprawa Beduinów jest tylko jednym epizodem z wojny, ciągnącej się zwyczajnie przez długie lata pomiędzy sąsiedniemi pokoleniami. Zdarza się wszelako, że wobec zewnętrznego wroga wspólnego milkną niekiedy i krwawe rozterki domowe. Tak było w r. 1900. Noszono się wówczas z planem wzniecenia ogólnego powstania przeciwko Turkom w Hawran i Skalistej Arabii i dlatego położono koniec na czas jakiś przynajmniej krwawym walkom domowym. W tym celu

[1] *Kusejr Amra,* str. 44.

pokolenie Sattam ibn Salan wysłało posłańca, al-mirsal, do księcia Talal z propozycyą pokoju.

»O Talal, brzmią tradycyą uświęcone słowa posła w tej mierze, przychodzę ja posłaniec do ciebie od pokolenia Sattam ibn Salan i przynoszę ci pokój«.

Talal odpowiedział w imieniu naczelników swego pokolenia: »Przyjaźń waszą przyjmujemy tak, jak nam ją ofiaruje Sattam. Bóg z wami!«

Z tą odpowiedzią wrócił posłaniec. Poczem naznaczono czas i miejsce, gdzie przedstawiciele obu pokoleń mieli się zejść w celu formalnego zawarcia pokoju. Uroczystość ta odbyła się w ten sposób, że położono na ziemi obnażoną szablę, nad którą książęta obu pokoleń podali sobie ręce, mówiąc:

»My i Wy jesteśmy przyjaciółmi — jak Bóg świadkiem.

I pogrzebane i ukryte ma być wszystko, co jest nieznane i znane« [1].

C. d. n.

Ks. Leonard Lipke.

---

[1] *Kusejr Amra,* str. 52.

W SPRAWIE JEZUITÓW NA BIAŁEJ RUSI.

Z okazyi książki M. Loreta »Kościół katolicki a Katarzyna II«.

(Dokończenie).

W ostatnich latach swego pontyfikatu Pius VI chociaż ciągle jeszcze oglądał się na dwór hiszpański (list nuncyusza Consalviego do G. Albaniego. Arch. Vat. Nunziatura di Vienna n. 696) wykazuje już mniej bojaźliwości w sprawie jezuickiej, po części wskutek wielkich zmian politycznych w Europie, które podkopywały znaczenie Burbonów, a w znacznej części także dlatego, że nowy nuncyusz warszawski, Wawrzyniec Litta, zapoznawszy się na miejscu ze sprawą Jezuitów białoruskich, w innem świetle niż Archetti przesyłał o nich informacye.

Książę Parmy, Ferdynand I, zyskuje od papieża nowe ustępstwa na rzecz Jezuitów, sprowadza także kilku Jezuitów z Białej Rusi, otrzymawszy na to zezwolenie Katarzyny II (listem z 13 listopada 1793) a sam papież od końca 1798 zaczyna brać pod rozwagę sprawę oficyalnego uznania Jezuitów białoruskich. Nuncyusz Litta, wysłany na koronacyę cara Pawła, poznał Jezuitów białoruskich w Orszy, gdzie się w przejeździe zatrzymał i sam w gościnę zaprosił. Oficyalnie (po wyjeździe z Orszy) unikał wszystkiego, coby mogło wyglądać na rażącą sprzeczność z postępowaniem Archettiego, ale już w liście z 26 listopada 1798 do sekretarza papieskiego, ks. Józefa Marottiego wyraża przekonanie, że w interesie Kościoła leżałoby niedopuścić, by zaginął zakon, zachowany zrządzeniem bożem na Białej

Rusi, »questo corpo conservato per divina disposizione nell Alba Russia«, a mogący oddać wielkie przysługi Kościołowi w walce z illuminizmem i innemi sektami. Przyznaje, że oficyalne uznanie napotkać może na duże trudności, mianowicie na pewną kompromitacyę wobec tego co zaszło i na sprzeczności z brewem Klemensa XIV; ponieważ jednak pobudki, które były przyczyną ogłoszenia tego brewe na Białej Rusi nie istnieją, a samo brewe odnosi się do dyscypliny kościelnej, która w różnych czasach odpowiednio do potrzeb zmieniać się może, sądzi, że byłby potrzebny osobny akt papieski dla uspokojenia sumień i rozszerzenia zakonu na Litwę, Wołyń, Podole i dlatego chciałby się dowiedzieć, jakie są w tym względzie zapatrywania papieskie. Do listu dołączył katalog Jezuitów białoruskich i informacye o stanie ich szkół i kolegiów.

W innym liście występuje już z konkretną propozycyą, żeby papież, jeśli przez wzgląd na okoliczności nie zechce wydać zatwierdzającego brewe, coby było miłą rzeczą i dla cara Pawła i dla wielu biskupów, użyczył przynajmniej nuncyuszowi pozwolenia na uznanie Jezuitów białoruskich za prawdziwych zakonników: »accordasse di riconoscere in qualità di Nunzio i Gesuiti dell' Alba Russia per veri Religiosi« (Arch. Vat. Cose Gesuitiche nr. 59).

Na tę propozycyę otrzymał naprzód odpowiedź ks. Marottiego, że sprawa napotyka na trudności z powodu stałości papieża, nie chcącego się narażać na opór dworu hiszpańskiego, a to z obawy, żeby większe zło z tego nie wyrosło; ponieważ jednak papież widzi, jakie skutki wywołała kasata, »Nostro Signore è il primo a deplorare i danni cagionati dall' abolizione di questo Corpo: lo ha detto a me più e più volte«, nie należy tracić nadziei, skoro najbardziej zaciekli jej nieprzyjaciele aż zbyt są przekonani o potrzebie przywrócenia zakonu. (2 luty 1799. Arch. Vat. Polonia nr. 344, V. Autograf).

W liście następnym z 23 lutego donosi już Marotti nuncyuszowi, że papież da odpowiednią deklaracyę, ale uprzedza żeby się to nie rozgłosiło i nie wywołało nowego zamętu: »non

conviene farne il menomo strepito, acciò non nascano dei disturbi non necessari massime in tempi così calamitosi« (Arch. Vat. tamże).

Wreszcie listem z dnia 2 marca 1799 (odczytanym przedtem papieżowi) przesyła mu żądaną deklaracyę i dodaje, żeby nadesłał oficyalną prośbę dworu i biskupów, jako też inne rzeczy, które będzie uważał za korzystne dla sprawy Jezuitów, porozumiawszy się z nimi w sposób zgodny z życzeniami rosyjskiego dworu i tamtejszych biskupów. (Arch. Vat. Polonia n. 344, V. Autograf).

Sprawa oficyalnego uznania była więc na najlepszej drodze, ale zaszły wypadki, które ją jeszcze odwlokły. Nuncyusz Litta musiał opuścić Petersburg z powodu intryg Siestrzencewicza; car Paweł zgodził się wprawdzie na list do papieża, ale ponieważ Pius VI był wówczas w niewoli francuskiej a nawet nie było pewnem czy żyje, oświadczył ks. Gruberowi, że musi się wstrzymać do wyjaśnienia sytuacyi a w każdym razie obiecał napisać do jego następcy. Niedługo potem bo 27 sierpnia 1799 r. umarł Pius VI w Walencyi jako więzień francuski, a Pius VII wybrany w innych warunkach, niż jego poprzednik, nie potrzebując się zbyt liczyć z królem hiszpańskim, mógł już w pierwszym roku swego pontyfikatu Jezuitów białoruskich formalnie zatwierdzić.

Ówczesny wikaryusz generalny ks. Kareu wystosował imieniem białoruskich Jezuitów już 31 lipca 1800 prośbę o wydanie brewe z wyraźnem stwierdzeniem ich kanonicznego bytu: »che la S. V. voglia degnarsi accordarle un Breve apostolico, il quale togliendo ogni disputa approvi visibilmente la loro canonica esistenza in Russia«. Prośbę poparł car Paweł listem z 11 sierpnia, w którym wspominając o życzeniach Jezuitów, przedstawionych mu przez ks. Grubera, dołącza swe życzenia o formalne uznanie, w nadziei, że krok jego nie będzie bezużyteczny: »j'ai crû ne pas devoir Me refuser à reclamer pour cet Ordre, auquel Je porte un interêt particulier, le sanctionnement formel de Votre Sainteté, espérant que Je n'aurai pas fait par cette instance une démarche inutile« (Arch. Vat. Polonia nr. 355 autograf z pieczęcią).

Pius VI jeszcze przed nadejściem supliki ks. Kareu i listu od cara Pawła, zwrócił się do króla hiszpańskiego Karola IV, by

zyskać jego zgodę na przywrócenie zakonu. W długim liście z 28 lipca 1800 r. przedstawił mu szkody, jakie poniósł Kościół przez brewe kasacyjne, wspomniał o prośbach kilku panujących, wielu biskupów i kardynałów o przywrócenie zakonu i zapewnił, że uwzględniając te prośby ani pamięci Karola III, który się do kasaty przyczynił, w niczem nie ubliży, ani nie przywróci zakonu w Hiszpanii bez wyraźnej woli królewskiej. (Arch. prywatne książąt Parmy).

Odpowiedź Karola IV z 15 października t. r. była odmowna. Król zapowiadał, że na przywrócenie Jezuitów nigdy się nie zgodzi. Wobec takiego stanowiska dworu hiszpańskiego papież wprawdzie nie ustąpił, ale wstrzymał się z przywróceniem całego zakonu i ograniczył się tylko do kanonicznego uznania Jezuitów w Rosyi.

W liście do Karola IV z 24 stycznia 1801, naprzód zbija jego zarzuty przeciw Jezuitom i uspokaja obawy, że przywrócenie zakonu może przeszkodzić pogodzeniu się Francyi z Rzymem. Zaznacza następnie, że nie ogłosi buli odwołującej kasacyjne brewe, ale nie może odmówić prośbie cara Pawła o uznanie Jezuitów, którzy utrzymali się w Rosyi od czasu Klemensa XIV, nie uznani nigdy za opornych: »senza che siano mai stati dichiarati refrattarii«, i oczyścić ich od zarzutu nielegalności: »di rettificare questa comunità, e darle uno stato canonico, ed astergerla dalla macchia di una susistenza non regolare«. (Autograf. Arch. Generale — Centrale: Madrid; Estado, nr. 3903).

Takie też znaczenie t. j. formalne uznanie legalności Jezuitów białoruskich miało brewe *Catholicae fidei,* wydane przez Piusa VII dnia 7 marca 1801 r., jak to wyraźnie zaznacza sam papież w liście 9 marca do Pawła I: »nous avons le plaisir de lui envoyer le bref, par lequel nous venons de donner notre sanction formelle à l'existence des Jésuites dans l'Empire de Votre Majesté« (Arch. Vat. Polonia n. 345) i co podkreśla także kardynał Consalvi, przesyłając brewe na ręce ks. Grubera: »Sanzione formale richiesta a Sua Santità per la canonica esistenza de' Gesuiti negli Stati delle Russie« (Autograf 10 marca 1801, tamże).

Formalna sankcya Piusa VII była więc zatwierdzeniem sankcyi poprzednich nieoficyalnych, do jakich między innymi papie-

skimi aktami należał list Klemensa XIV do Katarzyny II, aprobata Piusa VI uzyskana przez kardynała Rezzonico i aprobata dana Benisławskiemu.

Mimo rzekomo druzgocącej krytyki tej legalności przez exposé Archettiego (str. 147) Pius VII nie uznał stanu Jezuitów białoruskich od czasów Klemensa XIV za stan buntowniczy *(refrattari)* i miał inne o tem zdanie, jak autor przedmowy do dzieła p. Loreta, nazywający ten okres okresem istnienia i działalności zakonu wręcz zaprzeczonym przez najwyższą w Kościele władzę.

Brewe *Catholicae fidei* położyło kres także »prawie że formalnej schizmie«, a Pius VI przekreślając »tę bodaj najczarniejszą kartę w dziejach zakonu Lojoli« zachęcał ks. Grubera i Jezuitów przez kardynała Consalvi, żeby pracowali nad unią Kościołów i nad utwierdzeniem religii katolickiej, zachęcał żeby wpływali na cara Pawła i zyskali jego opiekę dla praw Stolicy Apostolskiej i pomoc do zwrotu zabranych trzech legacyi państwa kościelnego. Co więcej, papież nie wyrzekał się nadziei i przypuszczał możliwość pozyskania nawet samego Pawła do łączności z Kościołem (Oh! potesse il S. Padre avere... la consolazione di una perfetta riunione di S. M. I. alla nostra Communione) (l. c. Polonia V, 345).

Mimo najlepszej woli Jezuici tym zadaniom sprostać nie mogli, nie mogli pozyskać pomocy cara dla spraw Kościoła katolickiego, bo zanim te listy doszły na Ruś Białą już car Paweł padł ofiarą zamachu; nie mogli odpowiedzieć także innym nadziejom papieża, bo gdy się zabrali energiczniej do pracy w tym kierunku, ściągnęli na siebie naprzód banicyę z Petersburga w grudniu 1815, a parę lat później z całego imperyum zostali wypędzeni.

* * *

Oprócz zasadniczego zarzutu co do legalnego stosunku Jezuitów do Stolicy apostolskiej, nie brak w książce p. Loreta różnych innych, nieraz bardzo ciężkich zarzutów, nad którymi wszakże nie będziemy się szerzej rozwodzić, jako że brak im poparcia »w urzędowej korespondencyi nuncyuszów« a często nawet wogóle

jakiegokolwiek uzasadnienia. Przytoczymy jednakże niektóre z nich na dowód, że autor »poruszając dotkliwe te komplikacye, nie postępował sposobem ściśle przedmiotowym«, że niezupełnie był wolny »od powziętych z góry uprzedzeń«, a czasem nawet zbyt jaskrawo uprzedzenie swoje zaznaczył.

Do zarzutów o charakterze kościelnym należy zarzut, że Jezuici szkodzili unii na Białej Rusi (str. 165), ponieważ jednak autor nie przytoczył na to żadnego dowodu, bo sporu z arcybiskupem Smogorzewskim o dobra należące do arcybiskupstwa połockiego za taki dowód chyba sam nie uważał, więc i odpowiedź na ten zarzut jest niemożliwa.

Do zarzutów o podkładzie narodowym należy zarzut, że Jezuici jedni z pierwszych złożyli przysięgę Katarzynie i że z całą okazałością obchodzili uroczystość jej patronki r. 1772 (str. 29), na dowód szczególnej lojalności i w nadziei pociągnięcia szlachty polskiej jako też ludności katolickiej za sobą. Że przysięgę musieli złożyć to oczywista; że złożyli ją między pierwszymi (nie najpierwszymi) tłumaczy się ich przynależnością do stanu duchownego, który według ukazu miał pierwszy przysięgę złożyć. Musieli także wysłać deputacyę do Petersburga, dokąd i arcybiskup Smogorzewski, jako naczelnik całego kleru musiał się udać, nie zaś dla złożenia jakiegoś specyalnego homagium Katarzynie (str. 30), którą po raz pierwszy dopiero w Połocku 1780 r. widzieli. Że chcieli pociągnąć za sobą szlachtę polską, to już jest hipotezą autora nieuzasadnioną i niepotrzebną, bo historya porozbiorowa nie wykazuje nadzwyczajnej drażliwości szlachty pod tym względem, a dla szlachty białoruskiej specyalnie przykład Jezuitów nie mógł być decydującym, skoro, jak sam autor utrzymuje, przez zaściankowość i samolubny kwietyzm brała ona tylko w rachubę ewentualne straty i korzyści stanowe jako decydujące za lub przeciw nowemu porządkowi (str. 22).

Obchód imienin panujących należy do uroczystości oficyalnych jeszcze teraz; obchodzą oficyalnie tę uroczystość także zakłady naukowe, a kroniki sprawozdań zaznaczają np., że »w nabożeństwie wzięła udział cała młodzież zakładu i grono profesorskie«. Obchodzono takie uroczystości oficyalne także i w szko-

łach połockich, a że przy tej okazyi r. 1772 ks. Kattenbring wypowiedział panegiryk na cześć Katarzyny, w tem nic nadzwyczajnego nie było, zwłaszcza, że zabór Białej Rusi nie dotykał jego uczuć patryotycznych a przesada, jakiej się mógł przytem dopuścić, nie może iść na rachunek wszystkich białoruskich Jezuitów. Może nawet miał w tem jaki cel osobisty, skoro, jak autor utrzymuje, miał otrzymać pensyę dożywotnią 300 rb., a jak możemy dodać, opuścił niedługo potem Zakon.

Nieuprzedzonego historyka nie powinny także zanadto dziwić festyny i uroczystości połockie w czasie przejazdu cesarzowej przez to miasto, bo takie uroczystości należą także do programu oficyalnych przyjęć panujących, a Jezuici zbyt wiele zawdzięczali Katarzynie, żeby przy tej sposobności mogli sobie pozwolić na jakąś demonstracyę nielojalną. Nad przesadą w uczczeniu cesarzowej nikt się zresztą nie unosi, a ks. Załęski opisując te festyny nie tylko nie popełnił urzędowej retycencyi, ale zaznacza, że wspomina o tem »nie bez pewnej odrazy« (tom V, str. 176).

Dosyć oryginalny zarzut przeciw poczuciu narodowemu Jezuitów białoruskich, to przypuszczenie p. Loreta, że Jezuici wpłynęli na Czerniszewa, żeby tenże polecił Siestrzencewiczowi »zmienić białego orła pomieszczonego na odznakach kanoników inflanckich i zastąpić go czarnym dwugłowym« (str. 124). Że Siestrzencewicz takie polecenie od Czerniszewa otrzymał, o tem wspomina w liście do nuncyusza Garampiego (str. 260), a łącząc to z pobytem Czerniszewa w Połocku, zdaje się taką insynuacyę narzucać; ale w takim razie jest w tem tyle prawdy, ile w innych twierdzeniach Siestrzencewicza w tymże liście zawartych, np. że nie chciał przyznać ks. Czerniewiczowi przełożeństwa nad Zakonem, że obiecał dać mu tytuł generalnego prefekta szkół, którymby bez trudności obdarzył także rabina w Brześciu; tyle prawdy, ile w powieści o pigułkach połockich, lub w twierdzeniach (w liście z 4 kwietnia 1774), że odmówił ks. Czerniewiczowi, którego miał nazywać »rosyjskim Riccim«, aprobaty do słuchania spowiedzi i t. d., co wszystko to stoi w rażącej sprzeczności z układem między nim a ks. Czerniewiczem zawartym krótko przedtem (luty 1774), w którym i jurysdykcyę duchowną wszystkim Jezuitom

daje, i żadnych nowych urzędów zakonnych tworzyć nie chce powołując się przytem na ukaz z 18 stycznia 1774. »Rosyjskiemu Ricciemu«, którego chyba dla odmiany w innym liście do nuncyusza nazywa »vir caeteroquin prudens, pius« (str. 271), daje władzę nad Jezuitami naprzód na 3 miesiące, by ją potem na siedm miesięcy przedłużyć, przyczem nazywa go mężem najgodniejszym: »Committo A. R. P. Czerniewicz, viro dignissimo, ut ad trimestre vices meas supplens, collegia visitet« etc. (Arch. Vat. Pol. Vescovadi I, n. 136).

Wobec takiej... giętkości stylu Siestrzencewicza należałoby nie powtarzać bez komentarzy różnych jego insynuacyi, ale je przez jakieś inne kryteryum sprawdzić. To samo należało uczynić i w sprawie insygniów dla kanoników inflanckich.

Wyjaśnienie tej sprawy nie przedstawia wielkich trudności, chociażby dla tego, że podobna zmiana nie odnosiła się wyłącznie do kanoników inflanckich, skoro także kapituła w Kamieńcu Podolskim otrzymała w tym czasie nowe dystynktorya z orłem dwugłowym rosyjskim zamiast dawniejszych z orłem polskim (conf. *Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne,* t. II, str. 195, z reprodukcyą tych insygniów), co było zapewne w związku z jakiemś rozporządzeniem rządowem, a w każdym razie nie miało związku z insynuacyą jezuicką, bo na Podolu ani Jezuitów ani Czerniszewa wtedy nie było [1].

W książce p. Loreta spotykamy się także z dwoma faktami, mającymi ilustrować moralną przewrotność Jezuitów białoruskich, mianowicie z rzekomem przejmowaniem listów arcybiskupa Smogorzewskiego w celach denuncyacyi przed Czerniszewem i korrupcyą, jaką się mieli posługiwać w stosunku do dygnitarzy rosyjskich, żeby się tylko na Białej Rusi utrzymać.

---

[1] W interesie prawdy historycznej i żeby się nie narazić na zarzut »retycencyi« zaznaczamy, że sami Jezuici białoruscy posługiwali się orłem rosyjskim — mianowicie na dwu pieczęciach urzędowych Akademii połockiej przy wydawaniu dyplomów doktorskich (obie reprodukowane w *Wiadom. numizm.* z lipca 1910) i na dwu mniejszych pieczątkach, należących prawdopodobnie do Misyi sybirskiej, używanych albo do korespondencyi rządowej, albo do pieczętowania listów wolnych od opłaty. (Conf. ks. K. Konopka: »Pieczęcie Jezuitów w Polsce« w *Wiadom. num.* tom III, str. 57).

Na czem się pierwszy zarzut opiera trudno dojść, bo autor nie podaje dokładnych odnośników do swych twierdzeń, podaje tylko odnośniki do całych stron, a często nawet do kilku stron razem przytacza różne dzieła i dokumenta, co bardzo utrudnia oryentacyę i kontrolę dokumentów; ponieważ jednak stroną pokrzywdzoną miał być biskup Smogorzewski, przypuszczamy, że wiadomość ta pochodzi z jakiegoś źródła blizkiego biskupowi. Autor utrzymuje, że między tymi, którzy podstawiali stołka arcybiskupowi, czynni byli połoccy OO. Jezuici. »Ci ostatni posuwali swą niechęć do Smogorzewskiego a usłużność dla rządu do tego stopnia, że nie wahali się perlustrować korespondencyi arcybiskupa i o jej treści donosić Czerniszewowi, zdecydowanemu wrogowi Smogorzewskiego i unii« (str. 162).

Gdyby ten zarzut był prawdziwy, możnaby podejrzywać, iż Jezuici naprawdę chcieli w ten sposób także unii szkodzić, sądzimy jednakże, że zaszło tu jakieś nieporozumienie, bo trudno przypuszczać, żeby arcybiskup przez ręce Jezuitów wysyłał swe listy, zwłaszcza że miał z nimi spory o dobra kościelne, a dla tej też racyi musiał chyba czuwać nad tem, żeby się nie wdarli do jego kancelaryi. Możliwem natomiast jest, że w ręce Jezuitów dostały się jakieś listy Smogorzewskiego, przesyłane do połockiego kolegium, ale uboczną drogą, mianowicie do jednego z kleryków, który, jak o tem wie p. Loret z listu nuncyusza Garampi'ego do prałata Macedonio (6/4 1774), pełnił rolę arcybiskupiego szpiega i donosić miał o sprawach jezuickich nuncyuszowi przez Smogorzewskiego, a gdy go z zakonu wydalono, Garampi przez arcybiskupa starał się o ponowne jego przyjęcie. Możliwem więc jest, że jakąś korespondencyę tego kleryka (był także w Połocku i jeden z księży, który czas jakiś taką funkcyę pełnił) przejęto, w czem przełożony żadnej niedyskrecyi nie popełnił, ale postąpił według przepisów zakonnych »perlustrując korespondencyę« poddanych, co mogło się niepodobać Smogorzewskiemu i dostało się w formie wyżej przytoczonej do książki p. Loreta.

Zarzut korrupcyi, oparty, jak przypuszczamy, wyłącznie na cytacie z historyi powszechnej Lavisse-Rambaud, w samej książce p. Loreta występuje wprawdzie pod osłonkami, dość jednak przej-

rzystemi. Ofiarą jej miał paść między innymi graf Zachar Czerniszew, który »od pierwszego zetknięcia się z OO. Jezuitami okazał im osobliwszy afekt, objął nad nimi patronat i nie opuścił do końca życia... Ze swej strony wypłacili mu się Jezuici czem mogli. Jak się zdaje, nie tylko uwielbieniem, wdzięcznością składaną w rymach i prozie, ale prawdopodobnie w sposobie bardziej realnym. Z opiekuna stał się ich gorącym zwolennikiem i nakoniec, co już zgoła niespodziankę stanowi, miał dzięki im przyjąć katolicyzm, wznieść i uposażyć kościół katolicki w Czeczersku, swym majątku donacyjnym« (str. 18).

Czy byłoby prawdziwą niespodzianką, gdyby Czerniszew za łapówkę przyjął katolicyzm, o to nie chcemy się spierać, faktem wszakże jest, że katolikiem przynajmniej otwarcie nie został, może dlatego, że nagle umarł. Drugim faktem jest, że kościół w swym majątku fundował a nawet z dochodów tego majątku zapewnił utrzymanie dla dwu Jezuitów i dla bursy w Czeczersku; natomiast za hipotezę i to nieuzasadnioną uważamy przypuszczenie, że to wszystko było następstwem łapówki, albo co gorsza, że OO. Jezuici za dotknięciem różdżki czarodziejskiej hr. Czerniszewa dla siebie pozyskali (str. 121).

Przypuszczamy natomiast, że dla wytłumaczenia życzliwości Czerniszewa względem Jezuitów wystarczy uwzględnić ówczesny charakter wewnętrznej polityki rządu rosyjskiego. Sam autor zaznacza, że polityka ta była pokojowa, »pokój, a właściwie niejątrzenie, leżało w interesie rządu rosyjskiego i było wyrazem świadomej jego w owej chwili dyrektywy administracyjnej wobec nowych poddanych polskich« (str. 20). Generał-gubernator Czerniszew nie miał żadnej rozumnej racyi z tej dyrektywy się wyłamywać, zwłaszcza, że starał się bardzo o popularność. Jeżeli »dla towarzyskiego zjednania szlachty polskiej« polecił nawet zwerbować dwu ze szlachty obu gubernii, »którzyby potrafili i zatańczyć i zachować się jak na szlachtę przystało« (str. 17), to tem bardziej zależeć mu musiało na tem, żeby dla dzieci szlachty były jakieś szkoły, a ponieważ temi szkołami kierowali Jezuici, i trudno ich było na razie kim innym zastąpić, nie miał racyi przeciw Jezuitom występować. Także jako osobisty wróg partyi burboń-

skiej mógł wpływać na carową i podtrzymywać ją w oporze przeciw kasacyjnemu brewe, dziełu dyplomacyi burbońskiej, co wraz ze specyalnym poglądem osobistym, »jaki sobie Katarzyna wytworzyła na sprawność i wydatność wychowawczą i polityczną Jezuitów w ziemiach polskich, świeżo Rzpltej zabranych« (str. 71), bez hipotezy o łapówkach zupełnie wystarczy dla wyjaśnienia poparcia, którego Czerniszew Jezuitom udzielał. Dlatego też przypuszczamy, że i Jezuici ze swej strony odpłacili się Czerniszewowi tylko »wdzięcznością składaną w rymach i prozie«, a »bardziej realnych« wydatków bez potrzeby nie robili.

Drugą ofiarą Jezuitów miał paść Potemkin. »W krótkim czasie potrafili Ojcowie zawładnąć tym najwpływowszym z Rosyan owej doby i uczynić zeń najgorliwszego poplecznika swych spraw u dworu« (str. 142). Czy także »za dotknięciem różdżki czarodziejskiej«, tego autor wyraźnie nie dodaje, pozostawiając to domyślności czytelnika.

Ponieważ Potemkin należał do tej samej partyi dworskiej co Czerniszew, domyślamy się, że te same motywa skłaniały go do popierania Jezuitów; prócz tego wywierał nań wielki wpływ Benisławski, a że ten jako ex-Jezuita sprawy zakonu mu polecał, to wydaje nam się rzeczą dosyć zrozumiałą.

Dla zaokrąglenia liczby ofiar Jezuitów białoruskich możnaby do dwu wymienionych dodać także trzeciego, co prawda mniej wpływowego, mianowicie ambasadora Stackelberga; ponieważ jednak autor tego nie uczynił, więc i my zostawiamy Stackelberga w pokoju, zaznaczamy wszakże, że i Stackelberg stał po stronie Jezuitów, wtedy przynajmniej, gdy szło o otwarcie nowicyatu połockiego, a w liście do Panina w sposób dosyć podejrzany chwali nawet Jezuitów i ich system wychowawczy, dodając, że poznał ich jeszcze przed kasatą Zakonu w Hiszpanii, i że kasata, której był świadkiem, nie wpłynęła na zmianę jego zapatrywań. »Leur destruction en Espagne, dont je fus témoin ne m'a pas même fait changer d'opinion sur cela«. (List z 6 grudnia 1779 r. Sbornik I, 485.)

* * *

Stwierdziwszy nadzwyczajną podejrzliwość autora co do prawdomowności źródeł przytaczanych na obronę Jezuitów białoruskich, posuniętą do tego stopnia, że w pracy swej, ani źródeł tych, ani opartych o nie opracowań całkiem nie uwzględnił, bo mu się zdawało, że bezpodstawność i zła wiara takich dowodzeń nie potrzebuje komentarzy — z drugiej zaś strony nadzwyczajną wiarę w prawdomowność źródeł i opracowań, przedstawiających Jezuitów w bardzo niekorzystnem świetle, a posuniętą do tego stopnia, że nie chciał sobie zadać trudu zastosowania do tych źródeł i opracowań przepisów krytyki historycznej, — wykazaliśmy tem samem, że autor zabierając się do wyświetlenia kwestyi jezuickiej na Białej Rusi, nie uczynił tego »bez żadnych z góry powziętych uprzedzeń«. Wskutek tego przy gromadzeniu i opracowaniu historycznego materyału trudniej mu już było postępować »sposobem ściśle przedmiotowym« i ograniczyć się do czysto rzeczowego stwierdzenia faktycznego stosunku Jezuitów białoruskich do Stolicy apostolskiej i uznać jego legalność; natomiast łatwo było popaść w jednostronność i zamiast faktycznego stosunku przedstawić go w oświetleniu niedostatecznem a konsekwentnie fałszywem korespondencyi dwu nuncyuszów i Siestrzencewicza. W dalszem tego następstwie nie udało mu się »utrafić w naglącą na tem właśnie polu potrzebę naukową« i stworzyć książkę, którąby naprawdę można było uważać za »solidny punkt oparcia dla dalszych poszukiwań nad dziejami kościelno-politycznemi ziem polskich pod berłem rosyjskiem«.

Ks. Józef Sas.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny psychologii.

Prof. dr. Kazim. Twardowski: »O metodzie psychologii«. — Dr. I. Halpern: »O zadaniach psychologii«. — Fryderyk Klimke T. J.: »Teorya parallelizmu psychofizycznego«. — Dr. Marcin Zieliński: »Zagadnienie uczucia«. — Ks. Jan Nuckowski: »O uczeniu się na pamięć«. — Dr. Jan Jakóbiec: »Akt woli. Lekcye praktyczne z psychologii«.

W sprawozdaniu niniejszem zajmę się paru pracami mniejszych rozmiarów, z których jedne mają za przedmiot zasadnicze zagadnienia psychologii, inne zaś praktyczne wyników tej nauki stosowanie. Do pierwszej grupy zaliczam odczyt lwowskiego profesora filozofii d-ra K. Twardowskiego, wygłoszony na pierwszem ogólnem zebraniu I Zjazdu neurologów, psychiatrów i psychologów polskich w Warszawie w r. 1909. Nosi on napis: »O metodzie psychologii« [1].

Autor rozpoczyna od stwierdzenia, że jakkolwiek niema zgody co do określenia psychologii, można przecież mówić o metodzie psychologii, do tego bowiem wystarczy jedno założenie, t. j. uznanie, że psychologia jako nauka istnieje, i że posiada swoisty przedmiot badania. Prof. Twardowski uznaje, całkiem słusznie, tylko jeden rodzaj psychologii, a mianowicie psychologię empiryczną z wyłączeniem z niej wszelkich metafizycznych spekulacyi, przedmiotem zaś badań psycho-

[1] Prof. dr. K. Twardowski: »O metodzie psychologii. Przyczynek do metodologii porównawczej badań naukowych«. Warszawa 1910. E. Wende i Spółka.

logicznych nazywa całkiem ogólnie »życie psychiczne«. Otóż tu muszę zrobić uwagę, że, godząc się najzupełniej na wyłączenie wszelkiej z psychologii metafizyki, można przecież pomimo tego przedmiot jej określić nieco dokładniej. Powiedzenie, że przedmiotem psychologii jest życie psychiczne, wygląda na tautologię. Aby przedmiot psychologii dokładniej określić, wystarczy stwierdzić, bez wdawania się w metafizykę, bezpośrednio nam daną różnicę między treścią przedmiotową odnoszoną do otoczenia, a stanem podmiotowym. Wszystko, co jest treścią przedmiotową naszych stanów, stanowi przedmiot badania dla innych nauk, sam zaś stan podmiotowy należy do psychologii. Możnaby więc określić psychologię jako naukę o podmiotowych stanach żyjącego jestestwa. Zdaje mi się, że takie określenie, pozbawione tak samo wszelkiego metafizycznego zabarwienia, mówi przecież więcej aniżeli formuła, że »przedmiotem psychologii jest życie psychiczne«, co zaś jest najważniejsze, uwydatnia należycie różnicę między psychologią a naukami przyrodniczemi.

Co autor mówi w dalszym ciągu o różnicy między naukami empirycznemi w ściślejszem tego słowa znaczeniu, a naukami historycznemi, jest słuszne, sformułowanie samo można nazwać szczęśliwem, tak samo jak postawienie psychologii na pograniczu obu naukowych grup. Psychologia uczestniczy, zdaniem prof. Twardowskiego, zarówno w naukach empirycznych właściwych, jak i w naukach historycznych. »Psychologia — pisze — jest nauką empiryczną w ściślejszem tego słowa znaczeniu, ponieważ pierwotnej i podstawowej znajomości faktów, które bada, dostarcza jej doświadczenie. Swoisty jednak charakter tych faktów i tego doświadczenia nie pozwala nam ich obserwować, lecz umożebnia jedynie ich przelotne spostrzeganie, a i temu spostrzeganiu podlega jedynie drobna cząstka ogółu życia psychicznego. Chcąc się faktami życia psychicznego zająć bliżej, poznać je dokładniej, trzeba je rozważać wtedy, gdy już minęły, gdy niepowrotnie należą do przeszłości, trzeba więc rekonstruować je sobie na podstawie pamięci; chcąc zaś wyjść poza zaklęte koło własnego życia psychicznego i ogarnąć jego całość, trzeba życie psychiczne innych istot rekonstruować na podstawie jego zewnętrznych objawów i wytworów. Pod tym więc względem psychologia zbliża się swą metodą do metody nauk historycznych«.

Na cały ten wywód można zgodzić się bez zastrzeżeń, oddaje on też dobrze właściwy charakter psychologii, jako nauki. Mniej szczęśliwie wypadło, mojem zdaniem, określenie różnicy między tak zwanem

doświadczeniem zewnętrznem a wewnętrznem. Prof. Twardowski nie dostrzega, że właściwie wszelkie doświadczenie jest tylko doświadczeniem wewnętrznem, polega bowiem na uświadamianiu sobie własnych stanów i doznań. Różnica zaś między tak zwanem »doświadczeniem zewnętrznem«, a tak zwanem »doświadczeniem wewnętrznem« polega tylko na tem, że w pierwszym wypadku zwracamy uwagę naszą i uświadamiamy sobie treści przedmiotowe naszych doznań, w drugim zaś wypadku uświadamiamy sobie w przypomnieniach stan sam czyli samo doznanie. Oto jedyny powód wyodrębniania dwóch rodzajów doświadczenia. Potrzeba zdać sobie z tego jasno sprawę, aby prawdziwy charakter psychologii, jako nauki, należycie ocenić. Co Twardowski mówi o przelotności zjawisk psychicznych jest całkiem trafne, ale tym niedostatkom zaradza skutecznie eksperyment psychologiczny, który wymaga zawsze dwóch osób: jednej będącej przedmiotem doświadczeń i czyniącej wypowiedzenia, a drugiej badającej i materyał doświadczeń utrwalającej.

Jedyny zarzut poważniejszy, który uczyniłbym odczytowi prof. Twardowskiego, polega na tem, że nie uwydatnił należycie na czem polega istota eksperymentu psychologicznego i czem się różni ten eksperyment od eksperymentu w naukach przyrodniczych stosowanego. Nie zwrócił on na to uwagi, że eksperyment przyrodniczy wymaga tylko badacza i rzeczy lub zjawisk przyrodniczych na zmysły działających, gdy tymczasem umiejętnie przeprowadzany eksperyment psychologiczny wymaga dwóch osób: jednej badającej a drugiej badanej i wypowiedzenia czyniącej. W tym ostatnim wypadku świadomość ludzka odgrywa tę samą rolę, jak rzecz lub zjawisko odgrywa przy eksperymencie przyrodniczym. To też dopiero w eksperymencie psychologicznym uwydatnia się należycie prawdziwy charakter psychologii i jej odrębność od innych nauk a szczególnie od nauk przyrodniczych. Niewątpliwie ma też Twardowski słuszność, gdy mówi, że ostateczną podstawą wszelkiego badania psychologicznego jest introspekcya, dostarczająca z pierwszej ręki właściwego materyału badawczego, to jest tego, na co badacz zwraca uwagę.

Na tym samym zjeździe wygłosił dr. I. Halpern referat »O zadaniach psychologii« [1]. Właściwie napis tego referatu powinienby

[1] *Dr. I. Halpern*: »O zadaniach psychologii. Przedruk z prac I-go zjazdu neurologów, psychiatrów i psychologów polskich, odbytego w Warszawie 11—13 października 1909, wydanych pod redakcyą komitetu«. Warsz. 1911. Skład główny w księgarni E. Wendego i Sp.

brzmieć trochę odmiennie, zawiera on bowiem program pewnego działu badań psychologicznych a nie psychologii wogóle. Autorowi zależy głównie na zbadaniu wpływów życia społecznego czyli zbiorowości na psychikę ludzką. Obecny zaś stan psychologii tak mu się przedstawia:

»Widzimy — pisze — z jednej strony psychologię eksperymentalną, która powoli przestaje nawet rościć pretensyę do tego, aby stać się podwaliną nauk społecznych, a z drugiej strony rozrzucone po tych naukach sporadyczne dociekania psychologiczne i wskazania różnych fachowców na psychologię im potrzebną lecz nie istniejącą. Należy więc wyłom zapełnić i stworzyć naukę psychologiczną jako podstawę nauk społecznych w poczwórnym celu: 1) aby psychologiczne zagadnienia skupić i tem samem dać im jednolitość i gruntowność, 2) aby wyciągnąć nauki te z psychologizmu, 3) aby wykazać nicość filozofii religii, prawa, historyi i t. d., 4) aby wywrzeć wpływ produkcyjny na psychologię eksperymentalną, akcentując szczególnie zasadę tłumaczenia zjawisk prostych przez złożone, które są nam bliższe i pod wieloma względami zrozumialsze«.

Otóż ten właśnie dział psychologii, który dr. Halpern radby nazwać »c h a r a k t e r o l o g i ą«, a to dlatego, »ponieważ rzeczywistość kulturalna przedstawia nam się nie inaczej, jak w typach i charakterach rozmaitego rzędu«, a w szczególności wykazanie zadań tego działu, oto przedmiot jego referatu.

Ogólne określenie psychologii przez d-ra Halperna podane zadowolić nie może. Pisze on na str. 8, że »psychologia zajmuje się zjawiskami duchowemi, związanemi z podnietami materyalnemi, a stanowiącemi odruchową reakcyę na ich działania«. Mamy tu wprowadzone do określenia psychologii różne dogmatyczne, z góry przyjęte, założenia, a mianowicie: różnicę między duchowością a materyalnością, tudzież pojęcie jakichś mniemanych odruchowych reakcyi i pojęcie działania. Tu pozwolę sobie wyrazić przekonanie, że w określeniach zasadniczych i wstępnych, to jest w określeniach takich, które nie są wynikiem przeprowadzonych badań, ale mają stanowić pierwszą niejako oryentacyę, należałoby unikać takich z góry dyktowanych założeń, takiego podsuwania rozpoczynającemu oryentowanie się jakiejkolwiek tezy. Określenie nauki wstępne nie powinno nic więcej zawierać tylko to, co się da w sposób bezpośredni stwierdzić, bez przesądzania czegokolwiek, a co jest potrzebne do uwydatnienia jej faktycznego prawa bytu i różnicy od innych nauk. Tym warunkom odpowiada najlepiej definicya psychologii, jako nauki zajmującej się badaniem stanów i do-

znań żyjącego jestestwa w przeciwstawieniu do treści wyrażających coś przedmiotowego. W innych naukach są treści stanów przedmiotem badania, one dostarczają materyału badawczego, w psychologii przedmiotem badania jest stan sam, on właśnie dostarcza materyału badawczego, on staje się treścią dla myśli badającej. Zdaje mi się, że także tak zwaną »charakterologię« d-ra Halperna dałoby się określić jaśniej, dokładniej i w sposób bardziej zasadniczy. Halpern określa ten dział psychologii, jako naukę, mającą się »zajmować zjawiskami duchowemi, o ile stanowią wytwór kulturalnej woli naszej, a więc stroną psychiczną zjawisk socyologicznych, ma więc do czynienia z człowiekiem twórczym, rozpatrując psychiczne uwarunkowanie jego działalności«.

To wszystko, jak mniemam, dałoby się wyrazić tak: Istnieje dział psychologii zajmującej się stosunkiem i zależnością stanów doznawanych przez żyjące jestestwa od ich tak zwanego przyrodniczego otoczenia. Otóż osobniki ludzkie należą do tego rodzaju istot, iż dla nich oprócz otoczenia przyrodniczego istnieje jeszcze otoczenie drugie, społeczne, wynikające ze zorganizowanego współżycia ludzkich jednostek między sobą. Dr. Halpern sam stwierdza na str. 5, że kulturalna rzeczywistość duchowa czyli życie społeczne, niewątpliwie istnieje i że istnienie to jest nieraz nawet bardzo twarde, a daje się jednostkom porządnie we znaki. Cóż więc byłoby prostszego nad stwierdzenie, że obok działu psychologii, zajmującego się badaniem związków i zależności, zachodzących między doznawanemi stanami a rzeczywistością przyrodniczą, powinien istnieć także jeszcze drugi dział tej nauki, dla którego przedmiotem badania byłyby związki i zależność między temiż stanami, a rzeczywistością społeczną. Byłby to ogromnie ważny dział psychologii, a referent nasz zwraca zupełnie słusznie i bardzo trafnie uwagę na jego olbrzymią doniosłość. Że jest on niestety do tego czasu bardzo zaniedbany, to chyba żadnej nie może ulegać wątpliwości. O ile bowiem pierwszy dział psychologii, rozpatrujący zależności stanów od otoczenia przyrodniczego, może poszczycić się już znacznymi postępami, to ten drugi znajduje się dopiero w zawiązku i jest ciągle jeszcze dziedziną, po której grasują najrozmaitszego pokroju dyletanci. Ani metod niema tu jeszcze ustalonych, ani jasno wytkniętego programu. Czy program naszego referenta można uznać za wystarczający, to w rozbiór tego pytania nie będę się wdawał, za wiele bowiem byłoby o tem do napisania. Wspomnę więc tylko krótko, że za wielką zasługę należy poczytać p. Halpernowi, iż taki program

wogóle postawić spróbował, już to samo wiele znaczy, zwrócił bowiem przez to uwagę na stronę psychologii do tego czasu bardzo zaniedbaną i okropnie zarośniętą dyletanckimi chwastami, zasiewanymi zarówno przez najrozmaitszych literatów, jak i, co jest gorsze, także przez ludzi nauki. Program d-ra Halperna dla jego tak nazwanej »charakterologii« zawiera wiele dobrych pomysłów, ale nie jest dosyć przejrzysty. Należało go z jednej wywieść zasady oczywistej, a potem dopiero w szczegółach rozprowadzić. Za punkt wyjścia można przyjąć trzy strony stanów psychicznych, a mianowicie kształtowanie treści, uczuwanie i chcenie. Ale zamiast przechodzić zaraz do wykazywania, co badania psychologiczne mogłyby mieć do rozpatrzenia w różnych zakresach czy nauk czy filozofii, to sądzę, że pierwej należałoby wykryć i wykazać, jak wogóle ludzka psychika dochodzi do tego, iż zaczyna żyć życiem zbiorowem w grupach zorganizowanych i zaczyna na tej drodze kształtować nową społeczną rzeczywistość, która to rzeczywistość staje się zaraz naodwrót siłą warunkującą rozwój psychik jednostkowych. Psychologia twórczości na polu nauki, sztuki i moralności byłaby niewątpliwie ważną częścią podpadających pod tę kategoryę badań psychologicznych, nie obejmowałaby ona jednak wszystkiego. Według mojego przekonania należałoby przedewszystkiem poszukać odpowiedzi na pytanie, dlaczego twórczość psychiki ludzkiej nie skrystalizowała się i nie zastygła w gatunku, tak jak się to stało z innemi żyjącemi jestestwami, ale pod wpływem społecznej rzeczywistości rozwija się ciągle i gdzieś ku czemuś zmierza. Dopiero na takiej podstawie dałaby się wytworzyć prawdziwie naukowa »psychologia dziejów kultury«. Co autor mówi na str. 12 i 13 można przyjąć, ale z tem zastrzeżeniem, że to wymaga głębszego jeszcze ugruntowania. Psychologię np. myślenia naukowego w jego zależności od rzeczywistości społecznej powinnaby wyprzedzić psychologia myślenia przednaukowego, tu właśnie byłoby do wykazania, jak z myśli przednaukowej wykształca się pod wpływem rzeczywistości społecznej twórczość naukowa. To samo dotyczy także twórczości artystycznej.

Dyskusya nad referatem d-ra Halperna, o ile ją w streszczeniu podano, niewiele przyczyniła się do wyjaśnienia poruszonej przez niego sprawy. Potrzeby tego działu psychologii i jego stosunku do działu badającego stany doznawane w zależności od otoczenia przyrodniczego, nikt z zabierających głos dokładniej nie rozpatrzył. Wspaniałe tu zaiste otwiera się pole dla badaczy, a jaki jest tu do opanowania materyał, to przykładów niech dostarczy ogromne dzieło Wundta p. t.

Völkerpsychologie, o którem to dziele szkoda że referent nie wspomniał, i na tym przykładzie, choćby najkrócej, nie wykazał, jakie tu objawiają się dążności i jakie są stosowane w tym dziale psychologicznych dociekań metody.

Zagadnieniem bardzo zasadniczem, bo parallelizmem psycho-fizycznym zajmuje się ważna i nader cenna rozprawa O. Fryderyka Klimkego [1]. Jakkolwiek autor wytyka pracy swojej skromnie tylko cel czysto informacyjny, to zawiera ona jednak znacznie więcej a mianowicie zawiera rozjaśnienie i stanowcze odparcie wszystkich bałamuctw, ukrywających się pod płaszczykiem tak zwanego psychofizycznego parallelizmu. Samą teoryę ujmuje ks. Klimke w sposób bardzo jasny w następującą prostą i krótką formułę:

»Parallelizm psychofizyczny, pojęty w swojej formie najogólniejszej, jest to teorya, która, wykluczając wzajemne oddziaływanie sprawcze zjawisk fizycznych lub fizyologicznych, przypuszcza jedynie czystą równoległość obu form zjawiskowych«. W tem tkwi jądro całego zagadnienia. Jak tego rodzaju teorya sprzeczna z najoczywistszem doświadczeniem powstać mogła i na jakich zasadza się ona nieporozumieniach, oto pytania, na które daje nam odpowiedź praca ks. Klimkego. Dzieli się ona na trzy części. W pierwszej wykazuje autor początek i historyczny rozwój teoryi parallelizmu, w drugiej zajmuje się dowodzeniami parallelistów, w trzeciej wreszcie rozpatruje filozoficzne znaczenie parallelistycznej teoryi.

Jej początek wywodzi autor bardzo słusznie z filozofii Kartezyusza, przyjmującej możliwie najskrajniejsze przeciwieństwa między ciałem a duszą. Pierwszym jednak właściwym parallelistą był Spinoza. Pogląd na dalszy rozwój zagadnienia i jego stan obecny jest bardzo pouczający. Autor wymienia najważniejszych zwolenników i przeciwników parallelizmu, zestawia bardzo obfitą literaturę i zwraca uwagę na różne parallelizmu odcienia. Dowody zaś parallelistów ujmuje w następujące punkty:

Pierwsze potwierdzenie parallelizmu ma tkwić w tem, że odpowiada on kierunkowi współczesnych badań przyrodniczych, opartych na zasadach mechanicznych. Dalszym ma być dowód, wzięty z zasady zachowania energii, wreszcie najważniejszym i najsilniejszym dowód z zasady zamkniętej przyczynowości naturalnej. Wszystkie stojące

---

[1] Fryderyk Klimke T. J.: »Teorya parallelizmu psycho-fizycznego«. Kraków 1906. Nakładem Redakcyi *Przeglądu Powszechnego.*

z tymi dowodami rozumowania omawia ks. Klimke wszechstronnie i przychodzi do wniosku, że one teoryi parallelizmu wcale nie utwierdzają. Mnie ze wszystkich argumentów najbardziej przekonywującym wydaje się argument przytoczony na str. 23, który sam zresztą w dawniejszych moich sprawozdaniach z literatury psychologicznej polskiej podałem. Jak można przy zaprzeczaniu współdziałania zjawisk fizycznych i psychicznych powoływać się na okoliczność, że to współdziałanie jest niemożliwe do pojęcia i do zrozumienia, skoro tak samo jest niezrozumiały przyczynowy związek pomiędzy jedną kulą będącą w ruchu, a drugą kulą, której pierwsza tego ruchu udziela. Niechże nam którykolwiek z przyrodników wykaże, jak się to w sobie, w istocie dokonywa. A przecież jest to możliwe, fakt wzajemnego udzielania sobie ruchu jest faktem. Otóż tak samo ma się sprawa ze stosunkiem fizyczności i duchowości. Wzajemna zależność obu szeregów jest faktem, to zaś, że my tej zależności w jej istocie pochwycić nie możemy, niczego nie dowodzi.

W trzeciej części swojej pracy wykazuje autor, że korzeń parallelizmu tkwi właściwie w monizmie. Właśnie też na tym punkcie spotyka parallelizm los dziwny, bo chcąc być na wskroś monistycznym, staje się najskrajniejszym, bezwzględnym dualizmem. Kończy też ks. Klimke poważnem do psychologów wezwaniem, aby się wyzbyli metafizycznych wpływów i apryorycznych założeń. Wzajemna zależność duchowości i fizyczności jest daną w doświadczeniu, jest faktem niezbitym i z tem się psycholog liczyć musi i liczyć powinien. Żadna teorya metafizyczna nie wyrządza psychologii, jako nauce doświadczalnej, tyle szkody co teorya parallelizmu psychofizycznego; skoro się tego bałamuctwa psychologia raz wyzbędzie, to wówczas uczyni wielki krok ku udoskonaleniu się. Nie potrzebuję dodawać, że w naszej naukowo-filozoficznej literaturze rozprawa ks. F. Klimkego może uchodzić za ważny w tym kierunku przyczynek. Zalecam ją więc do przeczytania każdemu, kto zabiera się u nas do studyów psychologicznych z głową nabitą wpływami pochodzącymi od kierunków nibyto modnych, ale głębszej krytycznej rozwagi nie wytrzymujących.

Jednem z najważniejszych zagadnień psychologicznych, które wysunęło się nawet obecnie na pierwszy plan, zajął się dr. Marcin Zieliński w rozprawie p. t. »Zagadnienie uczucia« [1]. Praca ta autora rozpoczynającego zawód naukowy, dowodzi pewnego daru oryentacyi

[1] Dr. Marcin Zieliński: »Zagadnienia uczucia«. Kraków 1909.

i dobrze wróży na przyszłość, wyczerpującem jednak opracowaniem przedmiotu nazwać jej nie można. Podany w pierwszej części rzut oka na stan zagadnienia w najnowszej psychologii jest bardzo pobieżny. Wprawdzie trafnem jest powiedzenie, że »introspekcya i eksperyment zawarły teraz nierozerwalny sojusz, żeby razem zwycięsko przenikać tajniki duszy« (str. 5), tak samo prawdą jest, że »stan problemu uczucia odzwierciedla dosadnie dobre i złe strony zapanowania eksperymentu w psychologii«. Ale to wszystko jest za mało. Ten rzut oka na pięciu niewielkich stronicach nie daje zaiste o stanie zagadnienia pojęcia jasnego. W drugiej części mamy bystre i dosyć przenikliwe rozważanie sposobów poznawania zjawisk psychicznych. Tę część rozprawki uważam za najlepszą. Nie zgodziłbym się jednak z autorem na to, że terminem »uczucie« oznacza stale najprostsze zjawiska wzruszeniowe, skomplikowane zaś doznania podmiotowe dzieli na afekty i nastroje. Taką nomenklaturę uważam za błędną, najprostsze bowiem zjawiska wzruszeniowe należy nazywać po prostu wzruszeniami, zaś wyraz »u c z u c i e«, jak to zresztą już sama jego etymologia wskazuje, powinien służyć na oznaczenie podmiotowych doznań wyższego rzędu. Co autor mówi o pierwotności i samoistności doznań podmiotowych jest niewątpliwie słuszne, ale tak ogólnikowe, że z tego zbyt mądrym stać się nie można. Część trzecia rozprawy zawiera krytyczny przegląd współczesnych teoryi uczucia. Dzieli autor nasz teorye te na cztery grupy: pierwszą nazywa »intellektualistyczną«, drugą »sensualistyczną«, trzecią »głoszącą prymat uczucia«, czwartą »emocyonalną«. Charakterystyka wszystkich tych czterech grup i ich głównych przedstawicieli ma znowu tę wadę, że jest za pobieżna. Najgorzej wyszedł na tem kierunek trzeci ze wszystkich, mojem zdaniem, najważniejszy. Autor ani słowem nie dotknął stosunku Horwicza do Lotzego, którego to ostatniego pogląd na zagadnienie uczucia jest właściwie rozstrzygający. Do czwartej grupy zaliczeni Wundt, Lipps, Rehmke i Heinrich. Tego wszystkiego, powiem otwarcie, za mało; kto się do takiej zabiera pracy, powinien ją gruntowniej wykonać. Rozprawa d-ra Zielińskiego nie jest fejletonem, lecz zakrawa na pracę naukową, od takiej zaś mamy prawo wymagać gruntowności i dokładniejszego w poruszone zagadnienie wniknięcia. Ale pomimo wszystkiego rozprawa niniejsza ma przecież tę zaletę, iż świadczy o zdolności autora do rozważenia i przedstawienia o wiele dalej sięgającego, poruszonego zagadnienia.

W dziedzinę praktycznego badań psychologicznych zastosowania wkracza praca ks. Jana Nuckowskiego »O uczeniu się na pamięć« [1]. Pracę tę uważam za prawdziwy klejnot naszej z zakresu psychologii literatury. Nie podaje ona wprawdzie wyników badań samoistnych, zawiera jednak tak wyczerpujące i tak przejrzyste zestawienie różnych sposobów badania pamięci, tudzież wyników tych badań, iż ją za wzór godny naśladowania przy pisaniu tego rodzaju rozpraw zalecić można. Autor rozpoczyna od postawienia pytania i od przedstawienia historyi badań sięgających bardzo niedawnych czasów, rozpoczął je bowiem dopiero profesor Ebbinghaus w r. 1885. Następnie przychodzi przedstawienie metod eksperymentalnych, używanych przy badaniu pamięci; potem wykazana rola, jaką przy uczeniu się na pamięć odgrywa uwaga; następnie rozpatruje autor znaczenie powtórzeń i sposób ich rozkładania; przychodzą wreszcie metody uczenia się na pamięć; wkońcu rozdział o zapominaniu i wnioski praktyczne. Obficie zestawiona literatura przedmiotu dopełnia reszty.

Nie mogę tu oczywiście wdawać się w streszczanie rozprawy ks. Nuckowskiego, byłoby to zresztą po prostu niemożliwe, tak jest ścisłą i treściwą. Powiem tyle tylko, że powinna ona znajdować się w rękach każdego nauczyciela, każdy bowiem przekona się z niej, jak mało wie w sprawie nauki pamięciowej, przekona się wreszcie, jakie znaczenie posiada dla praktycznej pedagogii psychologiczny eksperyment. Szczególnie cenne są wyniki praktyczne, podane w ustępie dziewiątym. Dadzą się one ująć w następujące punkty:

1) Nie tylko uczniowie, ale i starsi w znacznej części nie umieją się uczyć na pamięć.

2) Materyał bez treści jest do wyuczenia się trudniejszy, niż materyał treściwy, zrozumienie rzeczy i pochwycenie związku logicznego ułatwiają ogromnie sprawę pamiętania. Wobec czego należy w szkole rugować bez pardonu wszelkie sposoby uczenia się na pamięć, które prowadzą do bezmyślności.

3) Szkoła nie powinna nigdy zadawać za wiele, żeby nie zmuszać i nie przyzwyczajać uczniów do dzielenia pracy pamięciowej na coraz mniejsze części ułamkowe.

4) Uczniowie powinni uczyć się na pamięć metodą całostkową, to znaczy, nie rozbijać materyału na drobne cząstki, lecz obejmować

[1] Ks. Jan Nuckowski T. J.: »O uczeniu się na pamięć«. Chyrów 1908

ile możności większe całości, gdyż taki sposób, jak to stwierdzają eksperymenty, prowadzi o wiele łatwiej i szybciej do celu.

5) Niezbędne są metodycznie przeprowadzane powtarzania, z których pierwsze im jest wcześniejsze tem skuteczniejsze, dalsze powtórki można odkładać na później.

6) Wreszcie uczenie się na pamięć powinno się odbywać z zapałem i z ochotą, gdyż to pracę pamięciową w wysokim stopniu ułatwia. Badania pouczają, że i tu od woli ostatecznie najwięcej zależy, bez umyślnego wysiłku woli prawdziwe kształcenie pamięci wydaje się wprost niemożebne.

Ks. Nuckowski kończy swoją rozprawę bardzo ważną i cenną uwagą, którą należałoby władzom szkolnym gorąco zalecić. Pisze on, że wielu pedagogów jest zdania, iż szkoła współczesna nie rozwija pamięci, gdy tymczasem w doświadczeniach laboratoryjnych postęp w rozwoju pamięci bywa już po kilku tygodniach bardzo widoczny. Czegóż to dowodzi? Oto dowodzi tego, że, jak twierdzi Meumann, szkoła dzisiejsza obciąża i przeciąża pamięć ale nie kształci pamięci.

Aktowi woli poświęcił znowu pracę swoją dr. Jan Jakóbiec [1]. Ma ona jednak inny charakter, niż poprzednia. Tamta daje obraz badań, odnoszących się do pewnego zagadnienia psychologicznego i praktyczne na takiej podstawie wskazówki, ta zaś ma być przykładem, jak należałoby traktować wykład psychologii w nauce szkolnej w klasach oczywiście najwyższych. Autor słusznie powiada, że zagadnienie woli traktuje się w nauce szkolnej psychologii zazwyczaj bardzo pobieżnie. Tymczasem ta właśnie najważniejsza część psychologii powinna być wysuniętą na pierwszy plan.

Dr. Jakóbiec nie podaje jakichś nowych i własnych wyników badań nad zjawiskami woli. Korzysta on z badań innych badaczy, nie ujmuje to jednak wcale wartości jego pracy. Należy bowiem zważyć, czem ta praca jest. Nie obejmuje ona naukowego rozbioru zagadnienia woli, ale zawiera praktyczne wskazówki, jak należałoby zagadnienia woli uczniom w szkole wyłożyć. Takichto wskazówek, takiej dydaktyki psychologii jest wielki brak a to nawet w obcych literaturach. Z tego też punktu widzenia należy rozprawę d-ra Jakóbca powitać z uznaniem. Nie wymagajmy od niej tego, czego ona dać nie zamierza, to

[1] Dr. Jan Jakóbiec: »Akt woli. Lekcya praktyczna z psychologii«. Z siedmiu rycinami w tekscie. Kraków 1910.

jest jakichś nowych teoretycznych wywodów i wyników w zakresie badań nad wolą. Zawiera zaś ta praca wiele nowego w kierunku praktyczno-dydaktycznym i na tem polega jej wartość. Widocznem jest z niej, że autor zagadnienie naukowo przemyślał i wyrobił sobie bardzo dobre sposoby przyswajania ich młodzieży szkolnej. Nie waham się oświadczyć, że tak poprowadzona nauka psychologii może oddać wielkie usługi.

Autor wychodzi z jedynie słusznego założenia jednolitości, zjawisk duchowych: »W rzeczywistości doświadczalnej — pisze — nie pojawiają się nigdy poznanie, uczucie i ruch odrębnie, a tylko przez analizę i abstrakcyę wyodrębniamy je i rozkładamy na czynniki prostsze« (str. 3). Tu muszę zrobić uwagę, że dr. Jakóbiec niesłusznie wymienia ruch, jako jedną z funkcyi psychicznych. Ruch nie jest zjawiskiem psychicznem, ale jest zawsze tylko naszą treścią odnoszoną do przedmiotowego otoczenia. Stroną a raczej, mówiąc słowami autora, funkcyą psychiki jest impuls, podnieta, pobudka, wysiłek, chcenie, dążenie czy jak tam tę całą grupę objawów nazywać zechcemy. Ruch, to już przedmiotowe w fizycznem otoczeniu następstwo tamtych funkcyi. Na to należałoby baczną zwracać uwagę, aby nie wprowadzać do nauczania psychologii bałamutnego pomieszania tego, co psychiczne z fizycznością. Wykład rozpoczyna dr. Jakóbiec od impulsów i posuwa się do objawów coraz więcej złożonych. Przeprowadzenie nauki jest istotnie doskonale pomyślane, materyał z literatury czerpany, świetnie dla objaśniania wyzyskany.

Tak przeprowadzona nauka psychologii może posiadać wielką wartość wogóle, nawet dla pogłębienia wykształcenia literackiego uczniów, nauczy ich ona psychologicznie patrzeć w twory literatury, w historyę społeczeństwa ludzkiego i swe własne dzieje ojczyste. Wnioski praktyczne, dotyczące strony moralnej życia, zarówno jednostkowego jak zbiorowego, są także bardzo cenne i dla młodzieży potrzebne. Umysły młode są wrażliwe i takie z podstaw naukowych czerpane wskazówki mogą w tych umysłach utkwić na zawsze. To lepsze, jak nudne perory. Daj Boże, aby w taki sposób istotnie nauczano, psychologii w szkołach a wówczas byłby z tej nauki pożytek niemały tak pod względem intellektualnym, jak i moralnym.

Dr. M. Straszewski.

Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego. 1802—1831. Życie i poezya. Karta z dziejów romantyzmu polskiego. *Józef Tretiak.* Nakładem Akademii Umiejętności. 1911. Str. VIII+500).

W ciągu ostatnich lat znajomość życia i twórczości Zaleskiego pogłębiła się rzetelnie. Dwie książki objęły całokształt: Mikołaja Mazanowskiego (1900) i Stanisława Zdziarskiego (1902); syn poety, Dyonizy Zaleski, w pięciu tomach ogłosił jego korespondencyę (1900—1904); A. Kolessa podał szczegółową analizę rytmiczną wiersza (»Ukraińska rytmika ludowa w poezyach Bohdana Zaleskiego«, Lwów 1900); Marya Konopnicka napisała piękne studyum (*Biblioteka Warszawska* 1902, 1903 i przedruk w »Szkicach«, Lwów 1905); wkońcu (jeśli pominiemy drobiazgi) syn jego przyjaciela Jana Krechowieckiego, Adam, w »Prawdach i bajkach« (*Nowości literackie* tomy 38 i 39, Warszawa 1911) przypomniał dwa swoje artykuły: jeden »Bohdan Zaleski o sobie i współczesnych« (stron 1—58. Druk w *Gazecie lwowskiej* 1901. Nr. 57—61), drugi »U Bohdana Zaleskiego« str. 59—71).

Nad wszystko wznosi się wartością, jakkolwiek nie obejmuje a tylko zapowiada (może w nieprędkiej niestety przyszłości) całokształt, książka prof. Tretiaka. Autor rozporządzał materyałem niedrukowanym, zajrzał do pierwodruków, wsparł się na dotychczasowych pracach i pracownikach, ale sam sprawdzał każdą wiadomość i niejedną sprostował, a posługując się wypróbowaną, prawie doskonałą metodą, z świetną miarą krytyczną opowiedział barwnie życie poety, prawie ustalił chronologię jego pism, bystro je zanalizował, do biografii i działalności Seweryna Goszczyńskiego, Michała Grabowskiego, Jana Krechowieckiego tyle przyrzucił, iż każdy tych pisarzy badacz będzie musiał jego książkę skrupulatnie wertować i dług wdzięczności wobec niej zaciągnąć, wreszcie na podstawie samoistnych badań podmalował tak szerokie tło i tak sumiennie tych lat burzliwych literacko i politycznie opowiedział wypadki, że niemal tyle samo, co dla znajomości poety, waży jego dzieło dla znajomości współczesnego ruchu piśmienniczego i jest naprawdę złotą »kartą z dziejów romantyzmu polskiego«.

Zamierzam sobie, mniej więcej śladami książki idąc, najpierw pokrótce opowiedzieć życie i uchwycić skupiony odblask tła, aby unaocznić, jak metoda autora rozległe obejmuje kręgi, następnie podać chronologię dzieł, wkońcu ich rozbiór, aby nieznających dzieła do czytania zachęcić, znającym główne przypomnieć momenty.

Autor dzieli biografię na dwie, narzucające się słusznością, dawniej już uznane, części. Pierwsza, na Ukrainie, trwa do r. 1820, druga

na Mazowszu, trwa do upadku powstania. Pomijam lata dzieciństwa i początkowych lat szkolnych, jakkolwiek i tych znajomość prof. Tretiak pogłębia. Rozpoczynam od roku 1818, w którym po wakacyach w jednej klasie (piątej, mającej dwuletni kurs) humańskiej szkoły bazyliańskiej znaleźli się trzej przyjaciele: Zaleski, Seweryn Goszczyński i Michał Grabowski. Teraz właśnie zaczęły potrącać ich fale budzącego się romantyzmu.

Bo dotąd romantyzm znaczył się na polskiej ziemi tylko kilku wyjątkami z pism obcych w tłumaczeniach i przekładami kilku ballad niemieckich lub angielskich. Ale w 1818 r. ukazały się w *Ćwiczeniach naukowych*, wydawanych w Warszawie przez Glücksberga, głośna rozprawa Czarnockiego »O Słowiańszczyznie przed chrześcijaństwem« oraz Tymona Zaborowskiego poemat bohaterski na tle zdobycia Kijowa przez Bolesława Chrobrego, poemat, który można poniekąd uważać za pierwszy zawiązek u nas poezyi oryginalnej w duchu romantyzmu, a zarazem za pierwszy utwór szkoły ukraińskiej, w kilka lat potem rozwiniętej; w *Pamiętniku Warszawskim* najdonioślejsza, bo hasłem do polemiki stająca się, rozprawa Brodzińskiego »O klasyczności w romantyczności« a w *Dzienniku wileńskim* (I, 186) list Lacha Szyrmy do redaktora, nawołujący do zwrotu na nowe tory.

Trzej piątoklasiści zawiązują się w stowarzyszenie literackie o nazwie Za-Go-Gra (od początkowych zgłosek ich nazwisk) i wydają pismo studenckie (nie drukowane) *Ćwiczenia umysłowe* na wzór *Ćwiczeń naukowych*. Ale ani ono nie miało długim cieszyć się żywotem, ani pobyt przyjaciół długo trwać w szkole. Najpierw Grabowski opuścił Humań końcem roku szkolnego 1818/19. Za zezwoleniem rodziców a z powodu poróżnienia się z profesorem prawa ks. Rolińskim i stałych nieporozumień z rektorem, ks. Skibowskim (a Grabowski, mimo panieńskiej powierzchowności, miał w młodości awanturnicze usposobienie), przeniósł się do liceum Richelieu'go w Odessie. Wtedy to zawiązał się lub zacieśnił stosunek przyjaźni Zaleskiego z Janem Krechowieckim, Józefem Chrząszczewskim i Wacławem Pilawskim. Kiedy zaś Zaleski i Goszczyński opuszczali Humań na święta Bożego Narodzenia 1819 r., to już z postanowieniem, aby więcej nie wracać. Czuli niechęć do przełożonych, do rygoru szkolnego, a z drugiej strony pociągało ich życie szersze, literackie i (Goszczyńskiego) polityczne. Zaleski miał za sobą już nieco prób poetyckich, a trzy przekłady i jedną przeróbkę z ludowej pieśni rekruckiej drukowane w *Dzienniku wileńskim*.

Wybrali Warszawę, gdyż sądzili, że Wilno sposobi tych tylko, którym nauka potrzebna dla zdobycia chleba. Rodzina Zaleskiego zgodziła się i zebrała pieniądze potrzebne na wyjazd. Ruszyli (Goszczyński na koszt przyjaciela) dnia 20 września 1820 r. Po przybyciu zawiązali wkrótce stosunki z młodymi literatami: Ludwikiem Żukowskim, Jozafatem Ostrowskim, Franciszkiem Grzymałą, Wincentym Wielobyckim i odnowili najmilsze stosunki z Grabowskim, który z kolei tu uczęszczał do liceum a potem jako wolny słuchacz do uniwersytetu. Czytają wiele, w przekładach francuskich (z powodu nieznajomości angielszczyzny) Szekspira, Byrona, Scotta, a w oryginale Chateaubrianda. Bywają w teatrze i poddają się zapewne silnemu wrażeniu, gdyż teatr warszawski w dekoracyjnej technice podówczas celował. Do uniwersytetu, o ile chodzili, nie wiadomo; może próbowali słuchać Osińskiego, Bentkowskiego i Lelewela. Wciągnięci zostali także do tajnego, w r. 1820 przez Heltmana i Piątkiewicza zorganizowanego Związku wolnych Polaków. Goszczyński, rwący się do czynu, postanawia niebawem ruszyć na pomoc wyzwalającej się Grecyi, ale do celu nie doszedł; utknął po drodze w Humaniu, a potem przez lat kilka wlókł najsmutniejszy żywot, przenosząc się z miejsca na miejsce i ukrywając przed tropiącą go policyą. W poezyi Zaleskiego udział w związku zostawił ślad w niedrukowanym dotychczas wierszu ówczesnym »Wyjeżdżający do legionów«.

W ciągu dwóch pierwszych lat pobytu w Warszawie (1820 – 1822) mógł i musiał Zaleski obserwować układ stosunków literackich. Na szczycie stołecznego Parnasu stali Woronicz i Niemcewicz, ale ton panującej poezyi, której kanonem była »Sztuka rymotwórcza« Dmochowskiego, nadawali dwaj przyjaciele, Koźmian i Osiński. Z ich koteryi wyszła bezimienna satyra »Nowy Parnas«, wyśmiewająca drugorzędnych i trzeciorzędnych wierszopisów a głównie przycinająca A. Goreckiemu. Ważne stanowisko zajmował też Kazimierz Brodziński. Z rzeszy mniejszych godzi się wymienić Franciszka Grzymałę i Brunona Kicińskiego, którzy zakładali różne pisma naukowo-literackie, np. *Sybillę Nadwiślańską* i *Astreę* (później nieco), Franciszka Salezego Dmochowskiego, który zajmował stanowisko pośrednie, Dominika Lisieckiego, który wydawał razem z Dmochowskim *Tygodnik polski,* nazwany potem *Wandą,* Ignacego Humnickiego, dramaturga, wreszcie Stefana Witwickiego. Pod koniec 1825 r. przybędzie do nich Edward Odyniec, a wcześniej jeszcze Malczewski, ale ten pozostanie szerszym kołom nieznany.

Z tego literackiego świata Zaleski najbardziej zbliżył się z Witwickim, z którym wiązał go pokrewny nastrój religijny, a przyjaźń ich dotrwała do końca życia. Najwięcej zaś zawdzięczał znajomości z Brodzińskim, który, przedtem współredaktor Bentkowskiego, stanął od r. 1822 sam na czele *Pamiętnika warszawskiego* i aż do zamknięcia pisma, w 1823 drukował nowopowstające poezye Bohdana. Od Brodzińskiego właśnie przejął słowianofilstwo Zaleski Cały szereg zresztą najznakomitszych ludzi w Polsce końcem XVII i na początku XIX w. szuka związków ze Słowiańszczyzną, np. Trembecki, Staszic, Kołłątaj, Woronicz, Aleks. Sapieha, Linde, Chodakowski, Czarnocki, Surowiecki i w. in. Odbił się ten zwrot wyraźnie w poezyi Zaleskiego tylko przekładem dwu pieśni staroczeskich; natomiast zapragnął poeta poświęcić się badaniu literatur i języków słowiańskich i sposobić się na katedrę narzeczy słowiańskich w warszawskim uniwersytecie. Wniósł nawet prośbę do Komisyi oświecenia o wysłanie w podróż zagraniczną, ale odpowiedź dość wymijającą otrzymał dopiero po kilku miesiącach.

A wtedy już, gdy wnosił podanie, był z powodu braku funduszów na kondycyi w Leszczynku u pułkownika Górskiego. Udał się tam latem 1822 r. i przebył dwa lata. (U prof. Tretiaka drobna nieścisłość: pisze (str. 114): »pobyt tam mógł trwać niewiele dłużej nad dwa lata, bo... 3 września 1824 r. znajdujemy ślad jego pobytu na nowem miejscu, w domu Szembeka«; a gdzieindziej (str. 200): »z końcem czerwca 1824 r. opuścił on Leszczynek na zawsze i przyjechał do Warszawy«).

Samotność i cisza wiejska sprzyjały marzeniom poetyckim Zaleskiego a potrąciła silnie jego duszę poezya Mickiewiczowska, właśnie (1822 i 1823) ukazująca się. Mickiewicza nazywano w Warszawie polskim Walterscottem, a ustępy z »Dziadów« były powszechnie na ustach młodego pokolenia.

Przed poznaniem Mickiewiczowskich ballad był Zaleski autorem kilku wierszy, przeważnie nieoryginalnych (»Ludmiła«, »Nieszczęśliwa rodzina«, »Lubor«, »Arab u mogiły konia«, »Pieśń staroczeska«, zapewne też »Pieśń staroczeska« druga i »Pielgrzym«) oraz dwu zaledwie oryginalnych (»Wyjeżdżający do legionów« i »Dumka hetmana Kosińskiego). Poezya Mickiewicza zatrzęsła nim, ale nie zrobiła niewolnikiem; nawet nie pisał więcej ballad po »Luborze«. Natomiast pobudziła go do zbadania i określenia siebie i napisał »Śpiew poety« (1823), gdzie wyśpiewał całą swą duszę, gdzie ujął źródło całej swej liryki. Podniosła go także na wyższy stopień poczucia estetycznego,

czego wyrazem jest przeróbka »Nieszczęśliwej rodziny« na »Wzgórek pożegnania«, »Wyjątek z rycerskiego rapsodu« oraz »Wspomnienie«.

Gdy Zaleski przyjechał końcem czerwca 1824 do Warszawy z Leszczynka (który opuścił z niewiadomych powodów), zastał z najbliższych, prócz Grabowskiego, także i Jana Krechowieckiego, przybyłego tu (zapewne w 1823 r.) dla kończenia studyów rozpoczętych w Wilnie. Uległ teraz (wyjątkowo) byronizmowi, na co dowodem jest »Fantazya. wiersz do P. R.«. Z r. 1824 pochodzą jeszcze wiersze »Fiołek«, »Odmiana«, »Do gitary«, »Westchnienie za rodzinną chatką«.

Nowe miejsce prywatnego nauczyciela otrzymał u hr. Piotra Szembeka, pułkownika, potem generała, gdzie uczył syna jego Aleksandra przez lat sześć, do wybuchu powstania. Materyalnie było to miejsce bardzo korzystne (4000 zł. p. rocznie), a co więcej generał był bardzo zacnym i dobrym człowiekiem. Szembek zmieniał miejsce pobytu razem ze swym pułkiem i rodziną, to też Zaleski był w tych latach kolejno w Płocku, Rawie, Sochaczewie i Warszawie. Krechowiecki odjechał z Warszawy nieco po Bohdanie, złożywszy latem 1824 r. egzamin na stopień magistra prawa i wrócił do swej ukraińskiej wioski Leszczynówki. Ale pozostał Grabowski, który posyłał Bohdanowi na prowincyę listy i książki, Zaleski bowiem czuł, że musi dużo się kształcić i że jego poezya potrzebuje dużego zapasu wiadomości. W 1825 r. kończy dość długi rapsod o »Damianie Wiśniowieckim« i zaczyna inny, »Liryk«.

W kwietniu tegoż roku (dnia 20 zapewne) przybył z Szembekiem do Warszawy lub do obozu pod Warszawę i zabawił conajmniej do końca stycznia 1826 r.

A właśnie ożywiła się walka między literacką rzeszą. Impuls dał pierwszy tomik »Ballad« Witwickiego, który wyszedł końcem 1824 r. Drugi ukazał się początkiem 25. Oba były bardzo słabe. Poprzedzał je »dyalog« wierszowany, przedstawiający spór klasyka z romantykiem. W przypisku wspominał Witwicki obok Mickiewicza także Zaleskiego, którego miał za równy talent.

Po śmierci dość za życia martwej *Gazety literackiej* (1822) i *Pamiętnika warszawskiego* (1823) nie było w Warszawie poważniejszego organu literackiego. Nie była bowiem taką *Wanda,* wydawana pod koniec przez Dmochowskiego i Lisickiego, która przybrała sobie dla poczytności lichego *Momusa*, Żółkowskiego, i która po r. 1823 przestała wychodzić. *Astrea* Grzymały była letargiczna. Dlatego to Dmochowski zaczął wydawać od początku 1825 r. poważny dwuty-

godnik *Bibliotekę polską*, gdzie w trzecim zeszycie wydrukował swe »Uwagi nad teraźniejszym stanem, duchem i dążnością poezyi polskiej«. Wyrażał się tu z szacunkiem o swobodzie romantyków wobec prawideł, gdyż dzięki temu — twierdził — mają większe pole dla rozwinięcia wyobraźni i mogą silniej porywać umysły; wynosił »Wiesława«, a choć wytykał błędy stylu Mickiewiczowi, przecież składał mu hołd; po Mickiewiczu pierwsze miejsce wyznaczał Zaleskiemu; natomiast Odyńca, Chodźkę i Witwickiego uważał za naśladowców Mickiewicza; kończył wezwaniem, by młodzi poeci łączyli »świeżość i żywość wyobraźni romantyków... z gustem i poprawnością klasyków«. W tak wszczętej dyskusyi zabrał głos pierwszy Grabowski: »Uwagi nad balladami Stefana Witwickiego, z przyłączeniem uwag ogólnych nad szkołą romantyczną w Polsce« (*Astrea*, 1825 kwiecień; ostatni to numer *Astrei*). Krytykował dość ostro Witwickiego ballady; o Brodzińskim pierwszy powiedział trafnie, że nie ma on jeszcze »ustalonej fizyognomii nowej szkoły«; poezye Mickiewicza przyrównywał do błyskawicy, ale ostrzegał przed naśladowaniem go; Zaleskiego bardzo chwalił. Potem Maurycy Mochnacki, który od połowy 1825 zaczął wraz z przyjacielem swym Podczaszyńskim wydawać miesięcznik naukowo-literacki *Dziennik warszawski*, w II zeszycie (lipcowym) wydrukował »O duchu i źródłach poezyi w Polsce«; objawiał tu zapał dla nowego kierunku, zachęcał do bezwzględnego oddania się romantyzmowi a za jego źródła uważał: starożytność słowiańską, mitologię północną i ducha średnich wieków. W następnym zeszycie tegoż pisma Podczaszyński pisał »O pierwszym tomie poezyi Odyńca z krótką wzmianką o poezyi narodowej«; kładł nacisk na pierwiastek narodowy, ocenianego zaś Odyńca stawiał po Mickiewiczu i Zaleskim. Dmochowski zajął się poezyami Odyńca w wrześniowych zeszytach *Biblioteki polskiej* szeroko i szczegółowo, w pierwszym zeszycie październikowym ogłosił artykuł p. t. »Literatura«, a tak w jednym jak drugim artykule zajmował wręcz przeciwne stanowisko od *Dziennika*. Tu znowu Mochnacki uderzył na rozprawę Śniadeckiego o poetach klasycznych i romantycznych i ubocznie na Dmochowskiego. Miał nawet w ośmiu szczegółowych rozprawach zbić poglądy Śniadeckiego, ale urwał po wstępie i pierwszej części (październikowy i grudniowy zeszyt *Dziennika*), bo końcem tegoż roku wystąpił z redakcyi, dla przyczyn zresztą nieznanych. Wreszcie w grudniowej *Bibliotece polskiej* ukazał się anonimowy artykuł »O romantyczności«, z pewnością pióra Lelewela, o czem świadczy erudycya i styl. Autor broni romantyczności

lecz atakuje Mochnackiego i za to, że nienarodowe tego kierunku podawał źródła, i za to, że niesłusznie odmówił charakteru narodowego dawnej poezyi polskiej. Artykuł ten zimną wodą oblewał oba obozy i na czas jakiś przygasił walkę.

Rzecz dziwna: najmniej pisano o »Maryi« Malczewskiego. Ocenił ją tylko Dmochowski, spokojnie, bez niechęci, ale bez najmniejszego zrozumienia. Jedynym człowiekiem, który piękność »Maryi« od razu odczuł głęboko, był Zaleski.

Przechodził on współcześnie walkę inną, walkę serca. Pierwszą miłością (bardzo kochliwego) poety była panna Róża Żukowska, którą znał, zdaje się, już w poprzednim roku, bo wiersze »Fiołek« i »Odmiana« do niej się prawdopodobnie odnoszą, a w »Odmianie« nawet wymienione jest jej imię (w późniejszych wydaniach zmienione na Zorynę). Do czasów smutnego rozwiązania miłości (p. Żukowska zdradziła poetę pod koniec roku) należy odnieść »Wiersz w imionniku przyjacielskim«. Późniejszem echem będą »Rusałki«.

Nie stało Grabowskiego, aby go pocieszał, albowiem parę miesięcy przedtem odjechał był na Ukrainę. Tęsknota Zaleskiego za krajem rodzinnym objawiła się w »Dumie z pieśni« ludu ukraińskiego. Chciał nawet wrócić w swe strony, ale odradzał mu Grabowski, który teraz przez parę lat pozostaje z nim w korespondencyi. Życzeniu Zaleskiego, aby mu zbierał pieśni ludowe, uczynić zadość nie mógł. Natomiast ożywiło się na Ukrainie życie przyjacielskie trzech dawnych kolegów z Humania. Krechowiecki i Grabowski wzajem u siebie i na dłużej bywali. Zaleski rzucał im myśl wspólnej podróży po Włoszech i Szwajcaryi, lecz względy finansowe i podeszły wiek matki Grabowskiego uniemożliwiły projekt. Goszczyński już w kwietniu 1826 r. był w Leszczynówce u Krechowieckiego, zaproszony, bo w ciężkiej pozostawał biedzie. Potem zabrał go do siebie Grabowski. W trójkę powzięli zamiar wykonywać plan dawniejszy: wydawać Rocznik literacki. Pisywali w tej sprawie do Zaleskiego, ale ten głównie milczał. Ostatecznie zamiar upadł z powodu braku wydawcy. Grabowski i Krechowiecki wydali przeznaczony do Rocznika »Zamek kaniowski« własnym kosztem na dochód przyjaciela; Grabowski zaś swoje pisma, tam przeznaczone o ile były gotowe, przesłał do *Dziennika warszawskiego*. Wyszły też tam pod pseudonimem Hieronima Powodowskiego. (»Myśli o literaturze polskiej« i »Melodye ukraińskie«, 1827, 1828 t. X i XII).

Tymczasem w r. 1826 spory romantyków z klasykami na razie przycichły. Mochnacki wstąpił do rolniczo-przemysłowej *Izydy*, Dmo-

chowski nie bardzo miał co powiedzieć, Grabowskiego, jak wiemy, nie było w Warszawie, a Koźmian i Osiński uważali za stosowne milczeć. Tylko Brodziński wydał »Pieśń ludu« w *Dzienniku warsz.*, dodając »List do Redaktora«, gdzie określał charakter poezyi ludowej wogóle a w szczególności słowiańskiej i wytykał najnowszej poezyi polskiej niewolnicze naśladowanie Anglików i Niemców. Radził przejąć się duchem ludowej poezyi słowiańskiej, ukochać pogodnie naturę w przymierzu z rozumem i czuciem. Przeciw temu artykułowi wystąpił najwierniejszy uczeń Brodzińskiego, Zaleski, w następnym numerze *Dziennika* (z czerwca) w przedmowie do »Damiana«, prostując mylne — według swego rozumienia — poglądy Brodzińskiego na charakter poezyi słowiańskiej.

W połowie 1826 r. Dmochowski objął redakcyę *Gazety korespondenta warszawskiego* a *Bibliotekę polską* wkrótce zwinął. *Dziennik* przeszedł pod redakcyę Odyńca (prof. Tretiak na str. 312 mówi, że z początkiem 1827 r., ze str. 321 zaś wynika, że w połowie 1826 r.; pierwsza wiadomość mylna). Tu niebawem ukazał się słaby wiersz Witwickiego »Ranek«. Na to *Gazeta kor. warsz.* (Nr. 188, 1826) wydrukowała list anonimowy do redaktora, zwracający uwagę publiczną na lichotę wiersza Witwickiego i godzący w romantyków. Autorem listu był może Morawski. Imieniem zaczepionych odpowiedział Józef Chrząszczewski w *Gazecie warszawskiej* (nr. 190): »Kilka słów odpowiedzi na list obywatela Województwa Lubelskiego«. Prócz tego do *Gazety kor. war.* nadeszła inna odpowiedź, podpisana A. W. (Wiczer). W tymże numerze (204) replikował ów obywatel.

Romantyzm przenika do szkoły podchorążych. N. F. Żaba wydaje tam pisemko studenckie, romantyczne, *Chwilę spoczynku,* które wychodziło w 1827. Istniało krótko.

W r. 1827 na początku był Zaleski na Śląsku, zapewne w interesie Szembeka. Do Warszawy wrócił 30 stycznia. Do grona najbliższych należał wtedy Witwicki, Maurycy Mochnacki i Odyniec. Niedługo »Sonety« Mickiewicza narobiły wrzawy. Dmochowski przy zamykaniu *Biblioteki polskiej* wystąpił z ich recenzyą, nie zaprzeczając natchnienia w krymskich, ale ostrzegając przed naśladownictwem. Mochnacki zaś w marcu (Nr. 80) w *Gazecie polskiej* (przedruk w *Chwili spoczynku* nr. 9) wydrukował artykuł o »Sonetach« bardzo pochlebny, choć widział braki.

Jeszcze większe wstrząśnienie wywołał w 1828 r. »Wallenrod«,

jakkolwiek wskutek raportu Nowosilcowa zakazano niebawem pisać o nim. Zaleski znał go już w marcu i był zachwycony.

Poeta czytywał wtedy wogóle dużo. Z pism przedewszystkiem *Gazetę polską*, która zajmowała się literackiemi sprawami. Mochnacki pisywał do niej zrazu przygodnie, pod koniec 1827 r. wstąpił do redakcyi i odtąd stała się ona oficyalnym organem romantyków. Tu też ukazał się (Nr. 140, 1828) artykuł (niepodpisanego) Witwickiego »O reputacyi autorów za ich życia, kilka uwag przyjaciela literatury ojczystej«. Z książek czytywał Schillera, Byrona, Coopera, Chateaubrianda, Stendhala, Salvandy'ego i t. d. Pisał natomiast przez te dwa lata (26 i 27), wskutek atmosfery Rawy i Sochaczewa, bardzo mało. Nawet korespondencyi z ukraińskimi przyjaciółmi nie podtrzymywał dostatecznie, aż Grabowski skarżył się, że, wzbiwszy się widocznie w dumę, odsunął się od niego. Dopiero »Wallenrod« i »Sonety« pobudziły Zaleskiego do twórczości. W ciągu letnich miesięcy 1828 r. napisał swój śpiew słowiczy »Rusałki«, które przeznaczył do *Meliteli*, noworocznika (na rok 1829), wydawanego przez rzutkiego Odyńca. Witwicki był »Rusałkami« zachwycony.

W r. 1829 tło życia Zaleskiego pozostaje to samo: nudne zajęcie prywatnego pedagoga na prowincyi. Nie kleiły mu się ani powieści ani poematy historyczne, które pisywał pobudzony walterskotycznym duchem epoki, ani próba dramatyczna.

Walka zaś literacka rozgorzała na nowo. Ukazało się wydanie petersburskie poezyi Mickiewicza z głośną przedmową »O krytykach i recenzentach warszawskich«. Tu wśród wielkich poetów, Burnsa, Herdera, Göthego, Scotta, Karpińskiego wymienione było także nazwisko Bohdana: Przedmowa wywołała niesłychane wrażenie w Warszawie. Najbardziej dotknięty w swojej i ojca osobie Dmochowski, w wydawanym przez siebie *Przewodniku polskim* zatrąbił na alarm. W obronie Mickiewicza wystąpił Mochnacki w *Gazecie polskiej* i zarzucił *Przewodnikowi*, że wypaczył myśl Mickiewicza. W tejże *Gazecie* (Nr. 113) pojawił się artykuł nawpół humorystyczny p. t. »List podający sposób na zgodę«, podpisany Kasper Prawdzic, więc zapewne autorstwa Zaleskiego. »List« proponował romantyków nazwać klasykami, a klasyków Francuzami XVII wieku.

Co do osobistych stosunków poety w tym czasie, to za pośrednictwem może Odyńca poznał on Słowackiego, ale do ściślejszej znajomości nie doszło. Krasińskiego prawdopodobnie nie znał osobiście wcale. Chopina natomiast blizko i serdecznie. Najbliżej żył z Moch-

nackim i Witwickim. Odyniec ubył z Warszawy, bo pojechał zagranicę do Mickiewicza. Ale zostawił Witwickiemu wydanie drugiego noworocznika *Meliteli*, który ukazał się w pierwszej połowie 1830 r. i bardzo dobrze był przyjęty przez publiczność i krytykę. Było tu aż pięć rozmaitych wierszy Zaleskiego obok poezyi Mickiewicza.

Jeszcze przed końcem sejmu 1830 r. zjawili się w Warszawie Grabowski i Goszczyński. Obóz romantyczny wydał im się tryumfujący. Gdy pod koniec lipca wybuchła rewolucya w Paryżu, Warszawa uległa wielkiemu wrażeniu a życie literackie zaczęło się coraz silniej zabarwiać polityką. Grabowski chciał wydawać pismo, lecz po rozbiciu się układów, opuścił Warszawę. Goszczyński oddał się pod opiekę materyalną Jozafatowi Ostrowskiemu. Mochnacki swą książkę »O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym« ogłosił wkrótce po wybuchu powstania; dzieło to było zamknięciem okresu walki klasyków z romantykami. Mochnacki wychodząc z założenia, że dwa są pierwiastki w poezyi: objektywny i subjektywny (»realizm i duch«), za przedstawiciela pierwszego uznał u nas Zaleskiego i wymienił go obok Szekspira i Goethego, za przedstawiciela drugiego uznał Mickiewicza obok Byrona, Rousseau'a i Schillera. Sądził, że u Zaleskiego idealizm i realizm w większej ze sobą zostają harmonii, niż u Mickiewicza, a w razie zachwiania równowagi Zaleski przechyla się na stronę realizmu, w czem widział »największą sforność i energię ducha«.

Zaleski nie był obecny w Warszawie w dniu wybuchu, bo na tydzień przedtem powrócił do Sochaczewa. Kiedy liryka patryotyczna zalała Warszawę, Zaleski milczał, jak wogóle przez całe powstanie. Należał nominalnie do składu redakcyi *Kuryera polskiego*, gdzie przewodzili bracia Niemojewscy. Gdy zaś jego przyjaciele z początkiem stycznia 1831 r. założyli własny organ *Nową Polskę* i on się przeniósł do tego pisma. I tu jego udział był skąpy: mianowicie nadsyłał co jakiś czas t. zw. »artykuły nadesłane« a podpisywał B. Z., prócz tego kilka innych, głównie w sprawie uwłaszczenia włościan.

W dywizyi jenerała Szembeka pełnił służbę adjutanta sztabu i brał udział w bitwach pod Dobrem, Stanisławowem i Grochowem. Gdy Szembek ustąpił z dowództwa, i Zaleski pewnie przestał należeć do sztabu. Krzyż *Virtuti militari* dostał po kapitulacyi Warszawy, w Płocku, przy końcu września. Był podporucznikiem pierwszego pułku strzelców pieszych. Przedtem jeszcze, na sejmiku szlacheckim województwa kijowskiego wybrany został tymczasowo posłem z powiatu zaraszczańskiego, a w sejmie do komisyi dla rozpoznania czynności

Skrzyneckiego i jego planów wojennych. Brał jeszcze udział w posiedzeniach wędrującego sejmu, w Zakroczymiu i Płocku. Towarzyszył wojsku polskiemu do pruskiej granicy, gdzie w Brodnicy złożono broń. Nie pojechał zaraz na emigracyę, wpierw przez Śląsk podążył do Lwowa. Tu zaczyna się nowy okres jego życia.

(Dok. nast.)

Dr. Stanisław Turowski.

Z piśmiennictw obcych.

Dictionaire de théologie catholique contenant l'exposé des doctrines de la théologie cath. leurs preuves et leur histoire sous la direction de E. Mangenot. Fascicule XXVI, XXVII. 1908.

Do słów uznania, jakie zostały wyrażone wydawnictwu tego Dykcyonarza dwa lata temu przy omawianiu ważniejszych wypadków w zakresie wydawnictw katolickich, nie możemy, przeglądając nowe zeszyty, nie dołączyć nowych pochwał. Każdy dalszy zeszyt stoi na wysokości poprzednich. Artykuły następują po sobie poważne i gruntowne; artykuły — mówimy — bo to nie notatki tylko słownikowe, to opracowania kompletne ważniejszych kwestyi teologicznych, liczące ponad 20 kartek in 4-to drobnego, zbitego druku, wychodzące z pod pióra rozmaitych autorów, którzy zatrzymując jedność planu w artykule, rozebrali i podzielili między siebie poddziały do opracowania. Oczywiście biograficzne notatki mniej interesujących osobistości zostały ograniczone nieraz tylko do kilkunastu wierszy i podania źródeł; atoli każda kwestya donioślejsza, każdy teolog, mający wybitniejsze znaczenie, został uwzględniony obszerniejszem opracowaniem.

Tak Damazy I papież znalazł omówienie na 8 kolumnach, Piotr Damian na 14, Descartes zajął miejsce 32 kolumn, a przecież u tego ostatniego uwzględniono tylko jego stosunek do wiary i nauki katolickiej. Jakkolwiek dobrze zdajemy sobie sprawę ze znaczenia Kartezyusza i uznajemy całą doniosłość gruntownego poznania myśli tego, który filozofię pchnął na nowe tory i jest słupem granicznym, przy którym nowożytna filozofia wzięła rozbrat z teologią i poszła szukać nowych dróg, to jednak opracowanie to jak na dykcyonarz teologiczny wydaje się nam nieco za długie. Ale za to jest ono gruntowne, opiera się na pierwszorzędnych źródłach i opracowaniach i daje pogląd

nie tylko na teologiczną stronę jego zapatrywań, ale także dobrze informuje o ogólnym biegu myśli tego filozofa. Gruntowność wielką wykazują też prace o Danielu proroku, gdzie dużo miejsca poświęcono kwestyi jego proroctwa o 70 tygodniach.

Studyum o złych duchach mogłoby stanowić osobną książkę. Począwszy od pogańskiego pojęcia greckiego słowa δαίμων, które zostało użyte przy tłumaczeniu biblii na język grecki i znalazło prawo obywatelstwa w literaturze chrześcijańskiej ze zmienionem znaczeniem aż do czasów wspólnej nauki teologów, cała historya pojęć o demonach znalazła tu umieszczenie. Roztrząśnięte zostały rzekome wpływy perskie i greckie na kształtowanie się pojęć żydowskich i pośrednio chrześcijańskich, czy, o ile i jak daleko one sięgały; omówiona treściwie demonologia u Ojców Kościoła, następnie u wybitnych przedstawicieli scholastyki, aż do tego czasu, kiedy Suarez poddawszy krytyce kierunek zarówno franciszkański jak i dominikański, wytworzył pośredni, pociągając za sobą wielu teologów. Potem przedstawiona wspólna nauka teologów, a całość zakończona poglądem na te kwestye według oficyalnych decyzyi kościelnych.

Do najciekawszych może należy studyum o zstąpieniu Chrystusa Pana do otchłani. Podręczniki teologiczne nie mówią o tej kwestyi wcale, albo zbywają ją nader pobieżnie, modernistom zaś służy ona niemal za klasyczny przykład radykalnej ewolucyi dogmatów. W słowniku mamy piękny pogląd na cały stan kwestyi o tej prawdzie wiary, mamy uzasadnienie dogmatyczne gruntowne i tłumaczenie faktu, oraz omówienie zagadnień ubocznych z tym artykułem wiary związanych.

W zeszytach pod ręką będących nasuwa się wiele przed oczy omówień z teologii moralnej i prawa. Nie są one obszerne, ale jest ich pokaźna liczba: o denuncyacyi, depozytach, błędach rozpaczy, pożądaniach, dekretaliach i dekalogu demokracyi i t. d. W tym zakresie do najgruntowniejszych należą o depozycyi i degradacyi kleru oraz o tańcach: pod tym napisem znajduje się gruntowne opracowanie zawiłej kwestyi moralnej, jak się zapatrywać na tańce ze stanowiska moralności. Patrząc na te duże kolumny, których trzeba liczyć coś na 30, doznaje się niemiłego wrażenia niepotrzebnej gadaniny o tem, o czem Gury wyraził się, że *vix aut ne vix quidem definiri potest a viro theologo,* a jednak zadawszy sobie trudu rozpatrzenia się w rozprawie, widzi się i lepiej rozumie względność każdej podstawy do oceny moralnej wartości tańców. O. Ortolan daje przytem pewne zasady dla postępowania tak *in foro interno* jak *in foro externo,*

odnośnie do tańców, zasady, które czerpie z najpoważniejszych moralistów.

Biorąc ogółem, zeszyty, które mamy pod ręką, stoją na wysokości pierwszych, i okazują tę samą troskliwość redakcyi, aby słownik teologii katolickiej był źródłem informacyi, na które zupełnie spuścićby się można, oraz aby dawał wiadomości gruntowne i ile możności wszechstronne.

Ks. L. Rudnicki.

1. **Das dritte Buch Esdras und sein Verhältnis zu den Büchern Esra-Nehemia.** Von *P. Edmund Bayer O. F. M.* Gekrönte Preisschrift. (Biblische Studien, XVI. Band, 1. Heft). Gr. 8-o (XIV und 162). Freib. i. B. u. Wien 1911. Herdersche Verlagshandlung.
2. **Eine babylonische Quelle für das Buch Job?** Eine literargeschichtliche Studie von *P. Dr. Simon Landersdorfer O. S. B.* (Biblische Studien, XVI. Bd, 2. Heft). Gr. 8-o (XII u. 138). Freiburg i. B. u. W. 1911. Herdersche Verlagshandlung.
3. **Über Doppelberichte in der Genesis.** Eine kritische Untersuchung und eine prinzipielle Prüfung von *Dr. Arthur Allgeier,* Geistlicher Lehrer am Friedrichsgymnasium zu Freiburg i. Br. (Freiburger Theologische Studien, unter Mitwirkung der Professoren der theologischen Fakultät herausgegeben von Dr. G Hoberg und Dr. G. Pfeilschifter, 3. Heft). Gr. 8-o (XVI u. 144). Freiburg i. B. u. Wien 1911. Herdersche Verlagshandlung.
4. **Der zweite Brief des Apostels Paulus an die Korinther.** Übersetzt und erklärt von *Dr. Johannes Evang. Belser,* ord. Professor der Theologie an der Universität zu Tübingen. Mit Approbation des hochw. Herrn Erzbischofs von Freiburg. Gr. 8-o (VIII u. 382). Freiburg i. B. u. Wien 1910. Herdersche Verlagshandlung.

Nestor »pozytywnych« teologów niemieckich, ks. dr. Otto Bardenhewer, protonot. apostolski, tajny radca dworu i profesor uniw. w Monachium, który w dniu 16 marca b. r. obchodził 60-tą rocznicę urodzin, z całem zadowoleniem może spoglądać na jedno ze swych dzieł, którem jest wydawana przez niego zbiorowa publikacya p. t. *Biblische Studien:* w obecnym roku jubileuszowym wydawcy wyszły dwa zeszyty XVI-go tomu tego znakomitego wprost wydawnictwa, które stanowi prawdziwą chlubę katolickiego ruchu naukowego na polu pozytywnych studyów biblijnych. Wystarczy przejrzeć poważny szereg dotychczasowych rozpraw, aby się przekonać z samych już tematów, jak poważnie i dokładnie pojmują »Studya« naukowe zadania dzisiejszych nauk biblijnych: wszystkie rozprawy są studyami w prawdziwem tego słowa znaczeniu. To samo należy powiedzieć o dwóch zeszytach 16-go tomu, które poniżej mamy pokrótce ocenić.

1. W wydaniach łacińskiej Wulgaty znajduje się w dodatku do ksiąg kanonicznych t. zw. 3-cia księga Ezdrasza. Jest to księga apo-

kryficzna, mimo że Septuaginta zamieściła ją jako 1 Esdr. przed kanoniczną księgą Ezdrasza. Oprócz tych dwóch tekstów, greckiego i łacińskiego, są jeszcze dwa przekłady, jeden syryjski i drugi etyopski. Apokryf ten w starożytności cieszył się wielką powagą, a Józef Flawiusz korzystał z niego dla Antiquit. 11,1—5. W średniowieczu prawie zupełnie o niej zapomniano, aż dopiero teraz znowu zaczynają się nią zajmować, chcąc jej nawet przywrócić dawne znaczenie. Pod względem treści 3 Esdr przedstawia się jako kompilacya z 2 Paral 35,36, 1 Esdr i 2 Esdr (=Neh) 7,73—813; tylko ustęp 3—5,6 w 3 Esdr jest samodzielny i opowiada, jak to Zorobabel pozyskał sobie względy Daryusza. Wobec takiego charakteru swego apokryf ten od dawna był przedmiotem wielkiego zaciekawienia pod względem literacko-historycznego stosunku do kanonicznych ksiąg Ezdraszowych (=Esdr Neh): czy to tylko fragment przekładu tamtych, czy też utwór oryginalny, czy partye »wspólne« zależą od siebie i jak dalece, jaki był język oryginału i t. d. Niniejsze studyum O. Bayer'a odpowiada na te i t. p. pytania w sposób następujący. 3 Esdr dzisiejszy grecki nie jest oryginałem, lecz przekładem z oryginału hebrajsko-aramejskiego. To zaś dzieło aramejskie było utworem samodzielnym i opowiadało o losach świątyni, począwszy od reformy Jozyaszowej aż do reform Ezdraszowych. Autor korzystał oczywiście ze źródeł, podobnie jak autor 1 i 2 Esdr, ale poza tem działał zupełnie samodzielnie. Ustęp 3,1—5,6 jest jego własną kompozycyą, potrzebną w toku opowiadania. W sprawie chronologii epoki po niewoli, 3 Esdr jest tak samo niejasny jak Esdr—Neh. Co się tyczy kwestyi najważniejszej, kwestyi wzajemnego stosunku t e k s t ó w 3 Esdr i Esdr—Neh, to autor dochodzi do wniosku, że 3 Esdr o jakie 300 lat przed ustaleniem się tekstu hebrajskiego St. Test. rozpoczął swoją samodzielną historyę tekstu i dlatego posiada cały szereg pierwotnych »lekcyi«, których wprawdzie już niepodobna dokładnie zrekonstruować z powodu bardzo swobodnego (rzekomo) przekładu greckiego, które jednak wielkie oddają przysługi zwłaszcza przy sławnych listach genealogicznych, statystycznych i t. d.

Są to rezultaty, na które nie wszyscy będą się mogli pisać. I tak np. można być innego zdania co do twierdzenia, że grecki tekst dzisiejszy jest s w o b o d n y m przekładem tekstu aramejskiego. Zresztą, czy oryginał greckiego przekładu koniecznie musiał być aramejski? Nadto główne w tym kierunku założenie, że kanoniczny Ezdrasz pod względem tekstualno-krytycznym prym dzierży, jeśli nie zawsze, to przynajmniej na ogół, przed 3 Esdr, można także podać w wątpli-

wość. To jednak nie znaczy, że Esdr pod każdym względem należy przenosić nad kanoniczne jego paralele. Kwestya stosunku 3 Esdr do Esdr—Neh przez niniejsze studyum, ma się rozumieć, nie jest rozwiązana, ale rozprawa ta przez swą dokładność i sumienność w szczegółach może być jeśli nie wzorem, zwłaszcza w kierunku metodycznym, to przynajmniej zachętą i pobudką: w każdym razie stanowi ona, podobnie jak wiele innych zeszytów *Biblische Studien,* pocieszający dowód, że wśród katolickich biblistów zaczyna się budzić zainteresowanie tak ważnemi pracami nad krytyką tekstu biblijnego.

2. Benedyktyn O. Landersdorfer, uczeń assyryologa-arabisty Fr. Homml'a, znany już autor rozpraw assyryologicznych, w niniejszem studyum występuje skutecznie przeciw nowemu wypadkowi, że tak powiem, manii babilonizowania in biblicis: co tylko jest w Starym Testamencie, koniecznie ma pochodzić z Babilonu. Po ogólnikowych z początku głosach »Babel-Bibel« przyszedł konkretny już program »Hammurabi-Mojżesz«, potem słyszeliśmy, że, między innemi, psalmy biblijne nie tylko pod względem treści ale także formy w Babilonii mają swoją ojczyznę. W r. 1906 przybył babiloński »oryginał« biblijnej księgi Joba. Mianowicie od dłuższego już czasu assyryologowie wiedzieli o tekscie klinowym, znalezionym w sławnej bibliotece Assurbanipala, i nazwali go ze względu na treść »pieśnią cierpiącego sprawiedliwego«. Autor na str. 10—13 zaznajamia nas dokładnie z historyą publikacyi i odczytania tego ciekawego dokumentu, zaznaczając (str. 6), że po pierwszy raz M. Jastrow wypowiedział zdanie o »co najmniej pośredniej zależności biblijnej księgi Joba od wzoru babilońskiego, który tym samym co Job tematem się zajmuje«. O. Landersdorfer poddaje tę »tezę« dokładnej i sumiennej krytyce. W tym celu naprzód podaje (str. 14—20) transkrypcyę tekstu pieśni, następnie (21—28) przekład niemiecki. Potem idzie dokładny, filologiczno-rzeczowy komentarz do poszczególnych wierszy i słów, z uwzględnieniem dotychczasowych obcych badań i własnemi krytycznemi uwagami, co do których sąd nam nie przystoi. Drugi rozdział (str. 54 nast.) poświęcony jest ocenie babilońskiego »Joba« ze stanowiska literackiego. Mamy więc przed sobą w osobie bohatera poematu jakiegoś króla, który nawiedzony cierpieniem, zawodzi żale i skargi na swój los nieszczęsny i stara się rozplątać tajemnicę i przyczynę swego nieszczęścia; problem cierpienia ostatecznie »rozwiązany« zostaje w taki sposób: myśli bogów są niezbadane, człowiek mizerny i bardzo ograniczony pod względem poznania, powinien się w pokorze poddać niepo-

jętym wyrokom niebios. Trzeba przyznać, że to stanowisko etyczne poematu budzi podziw swą czystą szczytnością. Ma się rozumieć, że zestawienie tego babilońskiego Joba z biblijnym samo się narzuca. Tej sprawie poświęcił autor rozdziały 3 i 4. Po wyłożeniu w rozdz. 3 t. zw. »introdukcyjnych« zagadnień odnośnie do biblijnej księgi Joba, które autor wziął prawie wyłącznie z książki O. Hontheim'a T. J. (*Das Buch Job* [*Bibl. Studien,* IX, 1—3]), rozprawia autor w r. 4 o wzajemnym stosunku tych dwóch poematów co do bohaterów jednego i drugiego, zewnętrznej formy, treści, poglądów religijnych, tendencyi i t. p., aby na końcu wypowiedzieć taki wynik całej rozprawy: »Niema żadnego powodu do twierdzenia, że biblijna księga Joba jest zależna pod względem literackim od babilońskiej pieśni cierpiącego sprawiedliwego. Zależności niema żadnej, ani bezpośredniej ani pośredniej. Zachodzące zaś między obydwoma tekstami podobieństwa tłumaczą się o wiele lepiej naturalną ewolucyą danego tematu. Zresztą obok niewątpliwych podobieństw zachodzi wielka liczba bardzo ważnych różnic, a wkońcu niema żadnych pozytywnych dowodów na jakąkolwiek zależność Joba od babilońskiego ‚oryginału'«. — Rezultat to, jak widać, bardzo doniosły; w każdym razie dobrze zrobił O. Landersdorfer, że o całym problemacie »zawczasu« zawiadomił teologiczną publiczność katolicką.

3. Jakby jakiś »pendant« do *Biblische Studien* powstały (nie wiem, czy umyślnie) we Fryburgu, pod egidą prof. Hoberg'a, którego stanowisko jako biblisty znane jest przedewszystkiem z jego komentarza na księgę Genesis, *Freiburger theologische Studien.* Trzeci z rzędu zeszyt zawiera studyum d-ra Allgeier'a o, nie powiem sławnych, lecz osławionych t. zw. »duplikatach« w księdze Genesis. Studyum to spowodowane jest, jak sam autor we wstępie zaznacza, książką p. t. *Doppelberichte im Pentateuch* ks. d-ra A. Schulz'a, o której pisałem na tem miejscu (zob. rocznik 1909, wrzesień, str. 102). Schulz przyjął bez wahania t. zw. »duplikaty« w księdze Genesis. Kiedy książka Schulza wyszła, prof. Hoberg już miał gotowe drugie wydanie swego komentarza na księgę Genesis, i nie mógł w nim uwzględnić pracy Schulz'a, ale potrącił o nią przynajmniej jeszcze w słowie wstępnem, które właśnie miał na ukończeniu. Kto wiedział o ks. prof. Hobergu, ten z góry mógł być pewnym, że się on na duplikaty nie zgodzi. To też oświadcza Hoberg w wspomnianem słowie wstępnem, że 1-o wywody Schulz'a o duplikatach nie przekonały go, a nawet 2-o zasadniczo musi być przeciwny rezultatom jego jako niezgodnym

z pojęciem inspiracyi, bo 3-o *obiectum formale* wiary w Pismo św. jest powaga Boga, a z prawdomownością Boga nie da się pogodzić referat objektywnie błędny, jakim zawsze jest jeden z rzekomych duplikatów. Nie kto inny znowu, tylko sam Hoberg natchnął Allgeiera do napisania niniejszego studyum, które przedstawia się zatem jako krytyka Schulza z programem zakreślonym w przytoczonych powyżej uwagach Hoberg'a o rezultatach Schulz'a. Tem samem już wiemy, co przynosi studyum Allgeiera: odrzucenie tez Schulz'owych. Ale praca Allgeiera jest nie tylko *eine kritische Untersuchung,* lecz nadto *eine prinzipielle Prüfung,* to znaczy, że choćby nawet *kritische Untersuchung* wypadła na korzyść Schulz'a, to *prinzipielle Prüfung* i tak nie pozwoli przyjąć jego rezultatów. Co do tych, to zdaje się, że ani Schulz duplikatów »do reszty« nie udowodnił, ani Allgeier go nie zbił. Bo w tej kwestyi przecież subjektywne czynniki po stronie krytyka niemałą odgrywają rolę: temu rzecz przedstawia się tak, tamtemu znowu inaczej, a każdy ma wiele racyi. Operowanie zaś argumentami filologicznymi, które w tym wypadku stanowią podobno »trumf« dla dysputujących, zdaje się, że niewiele znaczy: wiadomą przecież jest rzeczą, jak ciasne są horyzonty filologii hebrajskiej, żeby na podstawie faktycznego materyału filologicznego orzekać definitywnie, że w danym wypadku jest tak a nie inaczej. Znaczy to tyle, że sprawa dziwnej bez wątpienia literackiej kompozycyi, zwłaszcza Księgi Genesis, jest dla nas zagadką i pozostanie nią tak długo, dopóki nie będzie nam danem wniknąć głębiej w ciemne głębiny psychologicznego i literackiego procesu u biblijnego autora przy układaniu księgi: może postępująca obecnie oryentalistyka dostarczy materyału, któryby pozwolił argumentować pozytywnie. Nigdy jednak o tej sprawie decydować nie powinna żadna *prinzipielle Prüfung,* bo, jak wiadomo, *Prinzipien* w tej materyi są aż nadto ogólnikowe i nieuchwytne.

4. Na wiadomość o ukazaniu się nowego dzieła pióra ks. prof. d-ra Belsera powstało w sferach zainteresowanych ogólnie radosne zdziwienie nad mrówczą pracowitością znakomitego egzegety tübingskiego. Po innych mniejszych pracach przyszło w r. 1901 pierwsze większe dzieło: znakomita introdukcya do Now. Test. (2-e wyd. 1906), potem drugie nie mniejsze, przepiękna »Historya męki i śmierci, zmartwychwstania i wniebowstąpienia Pańskiego« (1903), a za temi szybkiem tempem znane już powszechnie komentarze: na ewangelię (1905) i na listy św. Jana (1906), na listy św. Pawła do Tymoteusza i Tytusa (1907), do Efezów (1908), na list św. Jakóba (1909), a wreszcie

niestrudzone pióro wielkiego komentatora obdarowało nas tem objaśnieniem słynnego, jednego z najpiękniejszych między Pawłowymi, drugiego listu do Koryntyan. Nie mnie się tu wdawać w »krytykę« komentarza: zwrócę tylko uwagę na niektóre szczegóły, które przy czytaniu uderzyły. Przedmowa uzasadnia wydanie komentarza do drugiego listu przed komentarzem do listu pierwszego do Koryntyan. Wstęp obszerny (1 – 26) poświęcony jest omówieniu kwestyi jedności literackiej naszego listu, języka i stylu św. Pawła (zwięźle a bardzo trafnie, na podstawie najnowszych rezultatów badań pomników języka epoki hellenistycznej, np. Deissmann'a w dziele *Licht vom Osten*); przedewszystkiem jednak wstęp ten zajmuje się ważną dla zrozumienia listu sprawą, czy między 1 i 2 Cor. pisał św. Paweł jaki inny list do Koryntu i czy przed napisaniem 2 Cor. (i 1 Cor.) odbył podróż do metropolii Achai, z rezultatem przeczącym. Wobec tego, że kwestya ta jest rzeczywiście bardzo zawikłana, nie obejdzie się prawdopodobnie bez przeciwników takiego wniosku. Autor bardzo dobrze zrobił, że te »uczone« kwestye traktował oddzielnie: w ten sposób komentarz sam zyskał na przystępności i może lepiej działać w kierunku dydaktycznym i ascetyczno-moralnym. Bo chociaż Belser w komentarzu nie podaje formalnych wskazówek co do zużytkowywania nauk, zawartych w liście, w praktyce duszpasterskiej, to przecież komentarz jego (jak zresztą wszystkie inne, a także wspomniana »Historya« — moment ten u Belsera wszyscy z zadowoleniem podnoszą) posiada, obok wielkiej wartości naukowej, także w wysokim stopniu wartość »praktyczną«; ze wszystkiego wieje duch wiary głębokiej i zapał dla świętej sprawy Bożej, że wspomnę tylko o wspaniałych słowach o szczytności urzędu apostolskiego w Nowym Zakonie (str. 100, nast. zwłaszcza 111 nast.) i o uwagach, dotyczących kolekty »dla świętych« (236 nast.): ale autor ma ten dar, że z naukami swojemi nigdy się nie narzuca i w kaznodzieję-moralizatora się nie bawi, lecz działa na czytelnika siłą t. zw. patosu wirtualnego.

Kilka szczegółów. Kto bierze do ręki komentarz do 2 Cor. niezawodnie przedewszystkiem będzie się chciał dowiedzieć, co komentator każe rozumieć przez słynny *stimulus carnis*, »bodziec ciała, anioł szatana, aby policzkował« św. Pawła. Czy to »pokusy cielesne«, jak się zwykle rozumie? Według naszego autora musiało to być jakieś dokuczliwe cierpienie fizyczne, nieuleczalne, które występowało od czasu do czasu w formie gwałtownych napadów, przykrych nadwyczaj dla samego Apostoła, który z tego powodu nie mógł pracować. Ale nie

zgadza się Belzer ani na epilepsyę ani na histeryę z bólami nerwowymi, ani na neurastenię, ani wreszcie na pokusy cielesne, bo dosłowne brzmienie tekstu nie nasuwa myśli o takich. 5, 16 rozumiano zwykle tak, że Apostoł mówi o osobistej znajomości Chrystusa Pana; Belser bierze to wyrażenie Apostoła w znaczeniu przenośnem, duchowem. *Frater, cuius laus est in Evangelio* (8,18) zazwyczaj rozumiano tu św. Łukasza ewangelistę; Belser widzi w tym »bracie« prawdopodobnie Arystarcha, choć Łukasza nie wyklucza (str. 263/4). I tak możnaby jeszcze kilka innych egzegetycznych »specyalności« Belsera z tego komentarza przytoczyć. Nie dziwimy się temu, ani mu nie czynimy z tego powodu wymówek; wszak w kwestyi tak wybitnej, jaką jest kwestya chronologii życia Chrystusa Pana, w szczególności w sprawie długości publicznego działania Pana Jezusa, Belser ma swoje zdanie, odmienne od ogółu; musi mieć powody do tego. Zresztą przy takim komentarzu nie o takie szczegóły się rozchodzi, lecz o całość dzieła, a ta całość jest wprost wyśmienita, zwłaszcza dlatego, że komentarz czyta się tak, że wziąwszy do ręki, ciężko go odłożyć. — Dodany na końcu alfabetyczny spis rzeczy głównych przyda się bardzo, zwłaszcza temu, ktoby po pierwszem pobieżnem przeczytaniu książki chciał gruntowniej przestudyować poszczególne kwestye.

Ks. Jan Korzonkiewicz.

Z seła. *Łepkij Bohdan.* Druhe, dopownene wydanie. (Świtowa Biblijoteka. Cz. 4). Czerniwci 1909. Str. 71.

Pierwsze wydanie zbiorku nowelek p. Łepkiego przeszło w prasie polskiej bez echa, jakkolwiek zasługiwało na uwagę nie tylko z tego względu, że autor należy niewątpliwie do wybitniejszych sił, jakiemi szczyci się współczesny Parnas małoruski, ale też i dlatego, że rodzajem talentu swego i sposobem ujęcia przedmiotu zbliża się bardzo a bardzo do *genr'u* opowiadań wioskowych naszej Rodziewiczówny. Wszystkie wspomniane względy skłaniają nas do zajęcia się bliższego drugiem wydaniem bodaj.

Nadzwyczajnych jakichś typów nie szukać u Łepkiego. Postacie, jakie wprowadził do swoich obrazków, można napotkać aż nadto często po wsiach Podola czy Pokucia. Są one jednak tak trafnie odtworzone, że wydaje się chwilami, jak gdybyśmy widzieli je żywcem tuż przed własnemi oczyma, z całą ich logiką prostą, nieskombinowaną, z całym aparatem myślowym ani głębokim ani szerokim, a jednak zawsze psychologicznie uzasadnionym. To proste, chłopskie rozumowanie i wnio-

skowanie, oddane z zadziwiającą dokładnością, stanowi bodaj czy nie największą zaletę spotkanych tutaj postaci i typów.

Tak... typów.

Pan Łepki umiał zaobserwować trafnie najpowszechniej spotykane typy, ale ze strony tej właśnie, z której najmniej starano się je odmalować w beletrystyce małoruskiej, nie mówiąc już o najmłodszej, która poszła albo śladami rozmaitych panów Gorkich czy Andriejewych, albo też w kierunku hypermodernistycznym. Że wreszcie w najnowszej belletrystyce małoruskiej nader trudno o talenty prawdziwie samorodne, że użyć śmiem takiego określenia, przeto nowelkom p. Łepkiego tem baczniejszą należy poświęcić uwagę, jako utworom natchnienia prawdziwego.

Jakże doskonale harmonizuje się cudowność wierzeń ludowych z brutalną rzeczywistością w obrazku p. t. »Matka«?...

W chacie Wasyla Hylczyszyna zebrał się tłum po pogrzebie nieboszczki żony gospodarza na stypę. Wszyscy bez wyjątku wspominają zalety zmarłej, wychwalając ją w miarę wypitych kieliszków gorzałki, corazto głośniej. W głowach zaczęło szumieć na dobre, to też tu i ówdzie powstawały sprzeczki, po których odzywały się nawet żarty i śmiechy, żeby, — jak to mówią, — zmartwionego wdowca pocieszyć w żałości. Gospodarz chodził od stołu do stołu, dolewał w kieliszki, zapraszał, częstował gości, jak tylko mógł, tak że stypa zakończyła się późno w noc, aż wreszcie, żeby okazać swoją wdzięczność, odprowadził ich do bramy.

Chłopskim obyczajem niektórzy z gości zatrzymali się u wrót, gawędząc dalej. I nadto, czysto na sposób chłopski, zaczynają wdowcowi zaledwo od 48-miu godzin, raić nową żonę, boć przecież chata nie obejdzie się bez gospodyni, boć dostatki pójdą na marne. A dzieci kto ubierze, kto prać im będzie bieliznę, kto obszyje, kto połata podartą odzież?

Swatka znalazła się na poczekaniu. Trup nieboszczki-żony ledwo parę godzin w ziemi spoczywa, a tu mówić zaczynają o weselisku!... Ot, żeby tak wziął wdowiec Hapkę!... Dziewka starsza już, robotnica dobra, w sam raz dla niego. A w dodatku ojciec jej — bogacz znany na całą wieś, da na wiano dwa zagony pola, parę wołów, dwie krowy, skrzynię malowaną, a i o pieniądzach będzie można pomówić. Co tam myśleć o nieboszczce?!... Żywy myśli o żywym. Nieboszczka, jak wiadomo, była dobra, zapobiegliwa, pracowita, to też nie zechciałaby z pewnością, żeby teraz majątek mężowski poszedł na marne. A wre-

szcie dzieci, taki drobiazg, że aż żal patrzeć na nie!... Ożenić się trzeba bodaj dlatego, żeby ktoś miał o nich staranie. Hapka zaś właśnie jakby była stworzona na macochę! Robotnica dobra, osoba starsza, zamożna...

Nie najgorzejby to było, myślał wdowiec, z tą żeniaczką. Możnaby i kawał łąki kupić i parobka trzymać. Obie zaś te rzeczy były od dawna upragnionem jego, ale nieziszczalnem, marzeniem. Teraz mogły się spełnić. Rozważając to wszystko długo, nie mógł Wasyl zasnąć. A gdy sen zaczął kleić mu powieki, widział, jak przez mgłę, pola łan i krowy.

Nieboszczka-żona jego spędzała pierwszą noc w grobie. Zanim kury zapiały, o północy, wstała z mogilnego posłania i w kształcie słupa mgły sunęła w kierunku chaty. Poznał ją pies u wrót, ale przestraszony wyć począł. Tymczasem ona wsunęła się do izby, pokołysała niemowlę, popieściła dzieci-sieroty, stanęła wreszcie u głów męża, który przez sen marzył o Hapce, polu i krowach na głos prawie, ale jakoś przeczuł blizką obecność nieboszczki, bo zerwał się z posłania i zaczął żegnać się pobożnie. Zdawało mu się, że widział cień nieboszczki-żony tuż nad sobą. To też kiedy następnego dnia spotkał się ze swatem, krótko a węzłowato wyrzekł się myśli powtórnej i tak rychłej w dodatku żeniaczki.

Każda nowela p. Łepkiego ma na dnie któryś z morałów chłopskich, i to każda bez wyjątku.

Weźmy przepyszne »Opowiadanie djaka« (sługi cerkiewnego), któremu zachciało się surduta. W pocie czoła mozolnie gromadził grosz do grosza, byle tylko zamienić chłopską opończę na surdut małomiasteczkowy. Nareszcie raz na samą Wielkanoc sprawił sobie wymarzony »szpencer«. Wstydził się trochę wprawdzie, że zrzucił odzież ojców swoich, ale wnet wyperswadował sobie wszelkie skrupuły możliwe, tem, że przecież i księża pochodzą często z rodziny chłopskiej, a przecież nie chodzą w sierakach, tylko w rewerendzie! »Byle tylko na lepsze — rozumował — to można zmienić, tylko na gorsze — wstyd!«... Wystrojony po pańsku poszedł do cerkwi śpiewać razem z djakiem. Kto tylko wszedł na próg cerkwi, spoglądał na niego zazdrośnie, nawet sam djak. Aha! — myślał — zazdrość tobie, że przechodzę na pana?... Tak rozumując śpiewał najfałszywiej, za co djak nic nie szczędził mu szturkańców co się wlazło. Jakże to? Surdut i szturkańce w bok — to całkiem nie zgadza się! — myślał, ale w milczeniu znosił upokorzenie. Kiedy zaś przyszło do odśpiewania *Iże Cheruwymy*, a djak nie

mogąc należycie wyciągnąć, dał kułaka w bok swemu uczniowi, on z całej siły dotrzymał i pieśń wypadła zachwycająco. Ledwo ukończył w pocie czoła tę trudną aryę, gdy doszły go śmiechy półgłośne z cerkwi. Ludzie spoglądali na niego i śmiali się ciągle. »Kiedy głupi, niechaj śmieją się, jak sroka do sera« — pomyślał. Nie miał jednakowoż spokoju i czem prędzej pospieszył do domu. Tutaj dopiero przekonał się, jaka była przyczyna owych śmiechów i spojrzeń w jego stronę. Gdy bowiem wyciągał tak wysoko *Iże Cheruwymy,* surdut, skrojony za ciasno, pękł na plecach. I trzebaż to było takiego wstydu na calutką wieś?!... Cisnął tedy surducinę o ziemię, ujrzał bowiem karę Bożą za zmianę odzieży ojców swoich.

»Niezdała piątka« — to historya o dziadzie, który odstąpił gospodarstwo dzieciom, sam zaś puścił się z torbami w świat. Życie całe chował w zanadrzu, jak świętość jaką, piątkę papierową, którą przeznaczał na koszta pogrzebowe swojej lichej powłoki ziemskiej. Kiedy jednak umarł, żaden żydowin nie chciał przyjąć do wymiany papierka, który wówczas, jako dawno wycofany z obiegu, był bezwartościowy. Marzenia dziada, żeby pochów sprawiono mu taki, jak każdemu gospodarzowi porządnemu, nie spełniły się. Tylko deszcz nad nim płakał, pieśń zaś nuciły mu brzozy cmentarne. Ani popa, ani djaka nie ujrzał na swoim pogrzebie.

Albo — jakiż wierny obrazek przedstawia się w »Pastuszku gęsi«?... Budzono go ze świtem. Matka dawała kawał chleba na dzień cały. Zresztą niewiele dziecko się spracowało. Na pastwisko pędził jedynie starą gęś i dwoje młodych gąsiąt, zwyczajnie nad brzeg rzeczułki. Zaczynała się spóźniona wiosna. Po błotach chodziły posmutniałe bociany, z drzew odzywały się żałośnie ptaki. Chciał im rzucić chleba okruszynę, ale że nie zlatywały się do niego, dlatego sam jadł. Jadł ów chleb suchy, czarny. Nie przypuszczał nawet, że może istnieć chleb lepszy, bielszy od tego. Kiedy brakło jadła — poczuł zimno, ogarniające wszystkie jego członki, skulił się tedy, jak mógł najwięcej i siedział cicho pod skałą, myśląc najczęściej nad tem arcyważnem dla niego pytaniem, kiedy też przestanie paść gęsi i pójdzie do szkoły? Ostatecznie kiedyś — rozumował — nastąpić to musi, a wtedy pójdzie do szkoły, gdzie dzwonek dzwonił tak pięknie, a choć nauczyciel bije, to i co?... Przecież i jego w domu biją byle za co!... Kiedyś bolało, ale teraz nie czuje już cięgów... Raz tylko, gdy zbił miskę polewaną, uderzyła go matka w bok. O!... wtedy uczuł ból i... dotąd czuje go ciągle. Ale niechaj tam!... pójdzie do szkoły. I wtem zrobiło mu się

żal i rzeczki i gęsi, aż nagle poczuł, że robi mu się słabo, bardzo słabo. Ledwie dowlókł się do chaty i legł nieprzytomny. Chciano z niego wypędzać chorobę za pomocą znachorki, ale wróżycha nie podjęła się operacyi, której, jej zdaniem, pacyent nie wytrzymałby. Męczył się chłopczyna bardzo długo, aż nareszcie przyszedł uczony »w piśmie« chłop, odczytał list cudowny i dusza chrześcijańska opuściła ziemską swoją powłokę. Na polu było już ciepło, wierzby nadrzeczne puściły już liść i chłopcy z gałązek wierzbiny porobili dudki, żeby grać na nich, lecz Hrynunio nie słyszał już tego grania, leżąc pod brzozami białemi. Powiadali ludzie, iż chłopiec nie mógł skonać przez grzechy matki. A przecież ona tak go kochała, przecież miała go tylko jednego! A że umarł, — to taka wola Boża... Ale na świecie wszystkiemu matka winna!...

»Nad stawem« — to tak często powtarzająca się tragedya. A jak świetnie pochwycona przez p. Łepkiego?!... Chłop, nie mający najmniejszego pojęcia o prawie własności, przekonany do głębi serca, że ryba, równie jak las lub deszcz, jest wspólną własnością (a przynajmniej powinnaby być) wszystkich bez wyjątku, łowi w stawie pańskim siatką, chociaż innemu odeszłaby ochota do tego, gdyby został na tyle dotkliwie pobity przez stawniczego, jak Matwiej od ostatniego razu. Nabrał się bo nabrał, ale od tego nie umiera się przecież!... Więc postanowił spróbować szczęścia po raz drugi. Wstał przed wschodem słońca i ukradkiem, jak przebiegły i doświadczony w swojem rzemiośle złodziej, przyszedł nad staw. Siadł na wierzbę spróchniałą i zapuścił sieć. Połów szedł doskonale. Chłop pogrążył się w dumania i obliczał już ile monety dostanie od żydówki-karczmarki za ryby i ile kieliszków »mocnej« za darmo w dodatku. Marzenia te i obliczenia snuły się spokojnie jak najlepiej. Jakżeż to?... Mieć staw pod bokiem i Ruchlę-karczmarkę, a nadto siatkę i — nie pójść na ryby?... Ale co zależy stawniczemu na tem, ażeby nie łowić ryb?!... Czyż dziedzic przez tych kilka ryb zbiednieje?... Wiadomo, że nie! Przecież ma tyle pola, tyle zboża, tyle majątku, że — Boże mój!... Cóż znaczy dla niego ryba?... A tak — Bogiem a prawdą — ryba nie pańska, boć przecie pan jej nie żywi ani wody nie wyrabia, jak n. p. wódkę w gorzelni. Przecież wodę Pan Bóg zsyła z nieba, dlatego też woda i żyjące w niej ryby nie powinny być własnością pana, tylko wszystkich ludzi! Rozmyślania takie zostały nie w porę przerwane przez stawniczego. Spostrzegłszy go — chłop złamał zbutwiałą wierzbę, na której się usadowił i nie zważając na to, że złowione ryby uciekną mu z torby,

siadł na pień i wiosłując nogami, wypłynął na środek stawu. Za nim w ślad posypał się grad kamieni. Jeden z nich trafił go w skroń i rozbił czaszkę. Stawniczy z chłopstwem, zebranem na podorędziu patrzył ze złością na tonącego, a tymczasem w domu czekał na Matwieja obiad gotowy i dzieci wybiegały raz po razu na drogę, żeby zobaczyć, czy ojciec ich nie powraca ze złowioną rybą?... Historya, jakich wiele. A jakże prawdziwie oddana?...

Nakoniec nowelka p. t. »Nastia«... Biedna to kobieta. Wydana wbrew swej woli za mąż, za człowieka, którego kochać nie może, a który jej z czułościami narzuca się zwłaszcza wówczas, gdy znajduje się w stanie opilstwa, porzuca dom męża i chroni się pod strzechę ojcowską. A tam wali się na nieszczęsną kobietę całe piekło. Rodzice wypowiadają jej przy lada jakiej sposobności hańbę, jaką rzekomo okryła ich siwe głowy i nazwisko szanowne, sąsiedzi śmieją się z niej w głos, w oczy wprost. Na dobitek całego nieszczęścia zjawia się ten, którego przed zamążpójściem kochała bez pamięci. Ale, będąc kobietą zdrową moralnie, nie wdaje się w romans z człowiekiem kochanym, pomna ślubu, jaki złożyła przed popem w cerkwi. Męża nienawidzi, na wiarę z kochankiem żyć nie chce, boć to grzech! Co począć tedy? Nie namyśla się długo. Zresztą w pomoc decyzyi ostatecznej przychodzi jej rodzony ojciec, który chce ją odwieźć z powrotem do męża. Nastia decyduje się bez namysłu. Jadąc przez staw, rzuca się w przerąblę i tonie.

Taka jest treść nowelek p. Łepkiego. Treść, być może, niekiedy wzięta z rzeczywistych zdarzeń wioskowych, nie ubarwiona ani przez chwilę osobistym poglądem autora. To właśnie, że p. Łepki, hołdując widocznie zasadzie szczytnej *l'ars pour l'ars* — nie poszedł w służbę haseł społecznych, narodowych, czy jakichkolwiek innych, śmiemy poczytywać im za zaletę i to niecodzienną w zastosowaniu do współczesnej belletrystyki małoruskiej, która poluje albo na efekty, wywołane przedstawieniem antagonizmów narodowościowych, które, jak świat światem, były i być muszą wszędzie, albo też rozterki duchowej indywidualności, wcale niezrównoważonych, niewiedzących dokąd iść należy i po co.

Dr. St. Zdziarski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Etnograficzno-statystyczny zarys liczebności i rozsiedlenia ludności polskiej. Opracował Edward Czyński przy współpracownictwie T. Tillingera. Wyd. 2. Warszawa 1909.

Sumienna ta praca, której celem tylko prawda, oblicza ludność polską nie tylko na terytoryum etnograficznem polskiem i ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, ale i w rozproszeniu w trzech cesarstwach i w Ameryce. Nie jest więc próbą obliczenia wszystkich Polaków, gdziekolwiek mieszkających. Autor opierał swe obliczenia na źródłach najlepszych, jakie mógł posiadać, wprowadzając konieczne poprawki tam, gdzie urzędowe źródła jawnie zdradzają swą tendencyjność na niekorzyść Polaków. Natomiast bez wahania strąca nawet z danych urzędowych te cyfry, które niesłusznie do rubryki narodowości polskiej dostały się, np. Żydów galicyjskich. W niektórych razach autor napotykał na wielką trudność poprawki danych urzędowych, które jednak poprawki wymagają. Dotyczy to rozgraniczenia między katolikami Polakami a Białorusinami w kraju Zachodnim, lub znowu między Polakami a Małorusinami w Chełmszczyznie. Dość dowolnemi są zasady, na jakich autor obliczał ilość Żydów-Polaków (5% wszystkich Żydów) i liczbę Polaków w Ameryce, trzeba jednak pogodzić się z tą metodą wobec niemożliwości osiągnięcia dokładniejszych danych. Co do Polaków w monarchii austryackiej, to szkoda, że autor nie uwzględnił kolonii polskich w Bośni i nie dał dokładniejszej statystyki polskości na Węgrzech. Wszystkich Polaków oblicza autor w r. 1909 na 20 z górą milionów.

J. U.

Uczeni i uczniowie. *J. Nusbauma-Hilarowicza.* Lwów 1910. Str. 124.

Autor tej broszury, na podstawie 30-letniego doświadczenia w zawodzie profesorskim kreśli szereg uwag, często bardzo praktycznych, o warunkach pracy naukowej, o uroku badań naukowych, o stosunku uczniów do swych nauczycieli i t. d., ilustrując swe uwagi na przykładach z pracy naukowej znakomitych uczonych. Ma jednak na myśli prawie wyłącznie pracę naukową tylko w zakresie przyrodoznawstwa, zdradzając przytem tu i owdzie swoje w tej dziedzinie sympatye do doktryn ewolucyonistycznych. Dotyka na końcu i kwestyi pracy naukowej kobiet, zajmując pod tym względem pośrednie i, naszem zdaniem, trafne stanowisko.

J. U.

O nauczaniu religii. Przez *Stefanię Marciszewską.* Nakładem księgarni M. Szczepkowskiego. Warsz. 1911. Str. 168.

Czerpiąc z własnego doświadczenia, autorka dała spory zbiór cennych spostrzeżeń i wskazówek. Można je streścić w dwóch zasadach: *a)* ucząc dziecko religii, należy mieć na względzie stronę praktyczną danej prawdy; *b)* uczyć nie analityczną metodą, postępując od określeń do ich wykładu, lecz syntetyczną — by określenie znalazło się na końcu, po zrozumieniu prawdy przez dziecko. Co do drugiej zasady, to myśl swoją autorka uzupełniła bardzo cenną uwagą:

»Jeśli dziecko nie jest zdolne przyswoić sobie definicyi, lepiej jest złożyć ofiarę z definicyi, a dać tylko zrozumienie pojęcia«. Nieprzyjaciółką jest wyłącznie pamięciowego przyswajania sobie przez dziatwę formułek katechizmowych. Z braku zawodowego teologicznego wykształcenia wkradły się tu i owdzie, bardzo nieliczne zresztą, niedokładności. Taką niedokładnością na str. 40 jest określenie, na czem polega dziecięctwo Boże człowieka. Albo co znowu znaczy wyrażenie »życie mineralne« na str. 135? Mimo tych usterek, z książki p. Marciszewskiej skorzysta niezawodnie każdy pedagog nie wyłączając księży katechetów.

J. U.

Z głosów lądu i morza. *Jadwigi Marcinowskiej.* Warszawa 1911. Druk i nakład Tow. akc. S. Orgelbranda Synów.

Szereg pełnych poezyi obrazków, oświetlonych złotem słońcem Hellady i światłością, która unosi się nad Ziemią św. Autorka czuje głęboko piękno przyrody, a wśród wrażeń, jakie jej daje oglądanie zabytków starożytnej Grecyi, wśród wspomnień wielkich bohaterów i nieśmiertelnej sztuki przewija się nić tęsknoty za rozłożystą falistością niw polskich i ich smętnym urokiem.

Wizye, zaczerpnięte z Ewangelii, unoszą się nad Palestyną i napełniają duszę autorki z chwilą gdy stopy jej dotknęły tej ziemi, ze wszystkich najświętszej, ponad którą, zda się, płyną jeszcze dźwięki słów nieśmiertelnych.

Wszystko w człowieku nasłuchuje... i tęskni... i modlitwą wzbiera... i żyje jakiemś nieznanem gdzieindziej życiem. Tutaj objawił się światu szczyt bólu... i ogromne, dostojne znaczenie każdej ludzkiej duszy.

Korzy się serce w mrokach świątyni Grobu — szuka słów Jezusowych w cichym szepcie drzew oliwnych ogrodu Getsemani — słyszy obietnicę pokoju, który stanie się udziałem ludzi dobrej woli, patrząc na rozłożone przed sobą Betleem — słowa te drżą w powietrzu — »idą na rozłogi bytu i bólu, spływają do piasku mórz, sięgają do gwiazd, — napełniają cały świat«.

Płyną cicho fale Jordanu, a przed oczami duszy staje wielka postać Poprzednika i ta przedziwna scena, gdy z rąk jego spadły krople, które Chrzciciel win ludzkich wylał na tę najświętszą, Boską głowę, którą uwieńczyła za nie korona z cierni. Roztacza się przed nami słodki czar Nazaretu — jak ołtarz wyłania się w dali szczyt Taboru — błękitnieje morze Galilejskie... dusza nurza się w przeżywaniu wrażeń, które kołysały ją od dzieciństwa i dostaje skrzydeł, które niosą ją wysoko — aż przed Boży tron.

H. S.

Dyplomataryusz dotyczący Żydów w dawnej Polsce na źródłach archiwalnych osnuty (1388—1482). *M. Bersohn.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1911. Tom I. Str. 266, XXXVII.

Wydanie pośmiertne, staraniem rodziny, podjęte w tym celu, by uratować dla polskiej nauki spuściznę naukową Bersohna. Z pietyzmu dla zmarłego, nie zmieniono w niczem zewnętrznej formy — może ze szkodą nawet dla nauki. Szkoda też, że niema tutaj ważniejszych jeszcze dokumentów żydowskich, jakby na dyplomataryusz przystało; w ten sposób dzieło to staje się tylko uzupełnieniem »dokumentów i materyałów« Bernadzkiego, a nie daje całości, jakiejby się od kodeksu dyplomatycznego żądało.

Również można sobie życzyć, by w poważnem, ściśle naukowem dziele przeprowadzono lepiej korektę drukarską. Ale braki wszystkie niemal uzupełniają dobre indeksy, coraz częściej już pojawiające się w naszych wydawnictwach naukowych. Spis osób, rzeczy, miejscowości, zajęć, przedmiotów, oprócz chronologicznego spisu dokumentów. Wdzięczność należy się rodzinie, iż nie pozostawiła tej pracy w rękopisie tylko, a uznanie wydawcy.

K.

Jak powstała chemia. *Wilhelm Oswald.* Przełożyli L. Bruner i Tołłoczko. Lwów—Warszawa 1910.

Psychologia badań i badaczy jest niemniej ciekawą i owocną od samych wyników badań. Ostrzega bowiem miłośników prawdy przed fałszywemi metodami, by czasu na próżno nie tracili wracając do nich nieświadomie i bezwiednie, to znów pokrzepia ich na duchu, aby nie lękali się pseudokrytyki i nie porzucali swych cennych badań mimo zawodów i przykrości chwilowych, bo prawda prędzej czy później rozświeci horyzonty ludzkości i zapanuje nad fałszem powszechnie i trwale. Przyczynia się nadto psychologia badań i badaczy do jaśniejszego i powszechniejszego zrozumienia i lepszej oceny samych wyników badań.

Taką właśnie psychologią jest omawiane dziełko tylko z tem zastrzeżeniem, że przedstawia psychologię badań nad zasadniczemi pojęciami i prawami chemii oraz psychologię badaczy, którzy te idee i prawa stworzyli lub zapewnili im byt naukowy. To też wdzięczni jesteśmy znanym na polu chemii pracownikom, że to cenne dziełko przyswoili naszej literaturze.

S. K.

Z padołu na wyżyny (Jak zebrać fundusze). Napisał *Stefan Prószyński.* Kraków—Warszawa—Poznań. 1909.

Dziełko to traktuje o sposobach, jakimi możnaby podnieść ogólny dobrobyt. Na pierwszym planie kładzie tu oszczędność dobrze zrozumianą w wydatkach, dalszy, a z tem wiążący się sposób, to zrzeszenie się konsumentów.

To zasadnicza idea łącząca z sobą poszczególne rozdziały, zresztą zostające z sobą w dość luźnym związku. Zawiera się w nich szereg trafnych przeważnie uwag o strejkach, o związkach zawodowych robotników, o przemyśle, pracy nocnej, kobiet i dzieci w przemyśle, o urządzeniach społecznych zakładów w Żyrardowie, o wychowaniu młodzieży, o działalności Tow. »Powściągliwość i praca«. Uwagi to przeważnie nie nowe, choć zestawienie i oświetlenie tematów pozostanie zdobyczą autora. Jak apel do oszczędności, współdzielczości może też praca autora przynieść owocny skutek.

A. B.

Herders Jahrbücher. Jahrbuch der Naturwissenschaften. 1909—1910. 25-ter Jahrgang. Unter Mitwirkung von Fachmännern, herausgegeben von Dr. Joseph Plassmann. Freiburg im Br. Herder. 1910. Str. XII, 452.

Długie istnienie tego wydawnictwa świadczy najlepiej o jego pożytkach. W popularny a przystępny sposób przedstawione w tym 25 tomie zdobycze nauk przyrodniczych w najszerszem tego słowa znaczeniu, jakie przyniosły ostatnie czasy, a zwłaszcza rok ostatni. Postępy fizyki, chemii i astronomii, aeronautyki i awiatyki, meteorologii i antropologii, mineralogii i geologii, zoologii i botaniki, wszystkie znalazły miejsce w tym

tomie. Nauki praktyczne również uwzględnione, jak leśnictwo i agronomia, hygiena i technika przemysłowa. Między współpracownikami widzimy ludzi uczonych i wybitnych, wyłącznie prawie profesorów uniwersytetu i nauczycieli gimnazyalnych, tak iż tom ten jak i poprzednie nie tylko dla ludzi niefachowych, lecz nawet dla fachowych do oryentacyi w ostatnich zdobyczach posłużyć może. Trudno o wszystkiem wspominać, podamy tylko dla przykładu, że w rozdziale o fizyce mamy wzmiankę o dzisiejszych hipotezach mechaniki i ich podstawach, w astronomii o najnowszych hipotezach co do ustroju i rozmieszczenia gwiazd. Każdy miłośnik nauk przyrodniczych znajdzie tu z pewnością niejeden szczegół, który go zajmie i wiedzę jego wzbogaci.

J. S.

Apologie des Christentums. Von *Albert Maria Weiss O. Pr.* Zweiter Band: Humanität und Humanismus. Wyd. czwarte. Freiburg. Herder. 16-ka, str. 1024.

Apologii O. Weissa nie można zalecać: zaleca się ona sama.

Obecne czwarte wydanie, której tom drugi mamy przed sobą, powiększone, poprawione i uzupełnione, wartością swą przewyższa oczywiście poprzednie. Jak w tamtych i tu będzie tomów pięć.

Pierwszy tom — to »Podręcznik do etyki«. Podaje w nim autor analizę sił człowieka, określając podstawy etyki, wytykając jej pole działania i kreśląc zasady wytyczne wychowania chrześcijańskiego, przez które ta etyka zaszczepia się w duszy i czyn, w którym się ona wciela. W drugim, właśnie omawianym tomie, przypatrujemy się z autorem człowiekowi, wyrobionemu na podstawie zasad chrystyanizmowi przeciwnych, t. zw. humanizmu, szukamy jego źródła, z rosnącem zajęciem badamy rozwój i szkodliwość, aby wkońcu zrozumieć konieczność powrotu do zasad wyłożonych w tomie pierwszym *(wahre Humanität)*. Tom drugi jest to tedy prawdziwa filozofia i historya rozwoju zła w ludzkości.

W tomie trzecim, zatytułowanym w swej pierwszej części »Duch i życie w Kościele«, *(Geist und Leben des Christentums)*, a w drugiej »Chrześcijański system kształcenia i wychowania«, *(Christliche Bildungs- und Erziehungslehre)*, omawia autor kwestyę początku chrześcijaństwa i wiary św., jako podstawy prawdziwego życia i wychowania człowieka, w całem i rzeczywistem znaczeniu tego słowa, człowieka idealnego, w którego harmonijnem życiu natura i łaska *(Natur und Uebernatur)* w wzajemnej zgodzie podają sobie ręce.

W czwartym tomie widzimy w świecie dzisiejszym reakcyę złego, czyli ducha pogaństwa, przeciw dobremu, czyli duchowi chrześcijaństwa. Wyrazem tej reakcyi jest organizacya dzisiejszego społeczeństwa bez Boga.

»Kwestya społeczna i społeczny porządek«: oto tytuł tego tomu.

Pod »kwestyą społeczną« rozumie O. Weiss kwestyę modernistycznych zasad radykalizmu, liberalizmu i socyalizmu, a pod »porządkiem społecznym« z punktu widzenia praw natury i boskich przykazań widziane podstawy społeczeństwa (prawa człowieka, własność, prace) w życiu domowem, państwowem, międzynarodowem i religijnem.

Wreszcie tom piąty zawiera filozofię doskonałości. Tu O. Weiss gmach swój z taką staranno-

ścią wzniesiony od fundamentów, uzupełnia rozwinięciem zasad chrześcijańskiej ascezy.

Nie trzeba zapominać, że O. Weiss, przeprowadzając myśl swą przewodnią, nie traci żadnej sposobności, aby poruszyć kwestye na czasie społecznej, etycznej czy historycznej natury. Spotykamy się tedy u niego z gruntownem opracowaniem kwestyi kobiecej i feminizmu, kwestyi małżeństwa i rodziny, żydowskiej i t. d.

Kto tedy chce się wiele nauczyć i spędzić chwile w rozkosznem przypatrywaniu się prawdzie i pięknu, kto umysł swój chce wzbogacić w nowe pojęcia i pogłębić w oryginalne spostrzeżenia, niech się do przestudyowania O. Weissa zabierze. Tego nie pożałuje, byleby nie żałował swego wytężenia i pracy.

Ks. A. M.

M. Clara Fey vom Armen Kinde Jesus und ihre Stiftung (1815—1894). Von *Otto Pfülf S. J.* Freiburg. Herder. 1907. 16-ka, str. 654.

Jedną z kongregacyi u nas w Polsce zupełnie nieznanych, ale w Niemczech chwalebnie się wyróżniających, jest zgromadzenie »Ubogiego Dzieciątka Jezus«. Wyrosło na pograniczu kultury francuskiej i niemieckiej, w dawnem środowisku zachodniego cesarstwa Karola Wielkiego, Akwisgranie, złączyło ono w sobie gorącość, przedsiębiorczość i energię francuską z niemiecką systematycznością i organizacyjnym darem. Typ to kongregacyi zupełnie nowy.

Wziąwszy sobie za cel opiekę i wychowanie dzieci ubogich ze względu na pamięć ubogiego Dzieciątka Jezus, założycielka jej Matka Clara Fey w wyborze swych środków okazała się bardzo szczęśliwą. To też w późnej starości mogła się doczekać wspaniałego rozwoju swej instytucyi, patrzeć na 21 domów, rozrzuconych po całych Niemczech, Austryi, Hollandyi i Francyi, widzieć kilkaset sióstr krzątających się wszędzie z pożytkiem dziatwy wielotysięcznej i, co najważniejsza, spoglądać na szczęśliwie przebytą próbę Kulturkampfu, z rozproszeniem, prześladowaniem, niewygodami wygnania.

To też najgoręcej żywot ten polecić musimy najpierw duszom zakonnym. Mało gdzie znaleźć mogą pokarm tak treściwy i pożywny, jak tu. Niezrównanymi są rozdziały o wewnętrznem życiu powstającego zgromadzenia i kierownictwie duchownem jużto ze strony samej założycielki przez przemowy w kapitularzach i listy, jużto ze strony przeznaczonych przez Opatrzność mężów rady i modlitwy i biskupa Laurent, ks. Andrzeja Fey'a, brata założycielki, t. z. dyrektora i jej spowiednika Sartoryusa. Po prostu mistrzowską ręką nakreślone są wskazówki o chodzeniu w obecności Boskiej.

Potem oczywiście skarbnicę myśli i rad znajdą w tej książce spowiednicy klasztorni wogóle, a kierownicy zakonów żeńskich w szczególności.

Wreszcie wszyscy wierni odnieść mogą pożytek, przypatrując się życiu domowemu kilku prawdziwie pobożnych rodzin, z których wybrał sobie Pan Bóg pierwsze nasienie nowego dzieła.

Całość wydana starannie, ozdobiona sześciu rycinami i zaopatrzona bardzo szczegółowym spisem alfabetycznym rzeczy. *Ks. A. M.*

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Po wyborach.

Tegoroczne wybory do parlamentu austryackiego zniewoliły do poważnych refleksyi w obozie katolickim. Przekonały nas aż zanadto dobitnie, że przekonanie katolickie w wyborach bardzo niepokaźną odgrywało rolę i że żywioły wolnomyślne i socyalistyczne coraz szersze ogarniają masy, zwłaszcza po większych miastach. Jasno wykazały, że brak ze strony katolickiej systematycznej akcyi, brak organizacyi i silnej prasy, brak uświadomienia politycznego i funduszu wyborczego. Wobec tych braków trzeba się dziwić, że wogóle istniały nadzieje lepszych wyników, że jeszcze można się było łudzić optymizmem niczem nie uzasadnionym. Ale o wiele zgubniejszym byłby optymizm, któryby jeszcze sądził, że wszystko, co się działo, ma znaczenie chwilowe, przypadkowe i było niezgrabną próbą niedawno zaprowadzonego powszechnego głosowania. Powiedzmy sobie raczej, że jest źle i bardzo źle, a źle z naszej winy.

Pierwszą i najważniejszą nauką powinny być wyniki wyborów po miastach większych. Pismo nasze w osobnym artykule zwracało uwagę na położenie religijne miast wielkich i ich znaczenie. One nadają ton w kraju, z nich wychodzi zbawienie i zguba. Pierwszą i najgwałtowniejszą potrzebą jest zatem silna i centralna

organizacya katolicka po większych miastach. Stowarzyszeń katolickich nie brak, ale brak łączności, brak akcyi jednolitej i na szerszą skalę, brak centralizacyi. Dziwna rzecz, że u nas nie może się aklimatyzować system mężów zaufania w akcyi katolickiej, system prosty i wszędzie zastosowany z wielkim skutkiem, system, który do tego ma tę wielką zaletę, że wiele jednostek wciąga w czynną akcyę i tak szerszy dla sprawy katolickiej budzi interes. Miasto umiejętnie podzielone na okręgi ze swymi mężami zaufania wnet ogarnie sieć organizacyjna, jak to doświadczenie wykazuje, jużci nie bez intensywnej pracy i agitacyi. W ślad za tem dopiero może pójść organizacya prowincyi i centralizacya organizacyi krajowej, bez której w obecnych warunkach stronnictwo katolickie nigdy znaczenia i wpływu mieć nie będzie. Na tej też podstawie prasa katolicka dopiero się rozwinie i nabierze głosu decydującego. Przy ostatnich wyborach każdy przekonać się mógł, że prasa katolicka w naszym kraju wpływu żadnego nie miała, prawie że nie istniała — i to w kraju katolickim!

Największą uwagę zwrócić trzeba na dzielnice obwodowe miast, gdyż tam nie tylko miasto się rozszerza i najwięcej jest zaludnione, ale najmniej posiada kościołów i to nieraz niedostatecznie obsadzonych i stąd całe masy ludności tracą kontakt z Kościołem, usuwają się z pod jego wpływu i wpadają w ręce socyalistów i wolnomyślnych. Części te najwięcej narażone, powinny być szczególnem polem pracy i akcyi katolickiej.

Ale do tego wszystkiego trzeba programu, trzeba porozumienia wzajemnego i częstszego ludzi wpływowych i odpowiedzialnych, trzeba pracy i poświęcenia. Pesymizm, który sądzi, że zanadtośmy rozbici politycznie, aby mogło dojść do jednolitej akcyi pod hasłem katolickiem, nie jest bezpodstawny, ale to właśnie jest zadaniem agitacyi wskazać, że przecież interes interesowi nie równy, że niższe ustąpić muszą wyższym, zwłaszcza gdzie poważne niebezpieczeństwo im zagraża, że katolicyzm nie tylko ma znaczenie religijne, ale także wysoce społeczne i kulturalne, i w dziejowych stosunkach także narodowe. Wobec tej prawdy pesymizm nie ma racyi bytu; dziś jeszcze rozbieżne prądy znajdą punkty

styczne i wybrniemy z rozbicia i niemocy. Oby tylko nauka ostatnich wyborów nie przeszła bez skutku!

Ks. A. Starker.

Sytuacya w Rosyi.

Wszczęta przeciwko Kościołowi katolickiemu w Petersburgu i Moskwie kampania nieco przycichła. Rezultaty jej, jakkolwiek dla Kościoła dotkliwe, zawiodły jednak oczekiwania rozwydrzonego nacyonalizmu rosyjskiego. W Petersburgu, gdzie spodziewano się odkryć ogniska »jezuickiej agitacyi« i polonizacyi przez Kościół i kościelne szkoły, musiano się zadowolić znalezieniem jednej jedynej, nie zatwierdzonej przez władze naukowe książki szkolnej i skonstatowaniem istnienia kaplic dla wygody uczniów i uczenic. Reszta rewelacyi *Nowego Wremieni* okazała się fantastycznym wymysłem i gazeta ta, która przebrała miarę w uprawianiu hecy, kilkakrotnie zmuszaną była umieszczać obszerne sprostowania nie tylko ze strony zarządu parafii katolickiej, ale i ze strony wyższych przedstawicieli władz rządowych i szkolnych. To zdaje się odjęło jej na pewien czas ochotę do dalszych »rewelacyi« i nastała względna cisza. Bez zezwolenia rządu otwarte kaplice zostały skasowane przez ks. Metropolitę; rząd zaś ze swej strony skreślił z regulaminu uczniów gimnazyum św. Katarzyny rozdział o ich obowiązkach religijnych (także sposób zażegnywania grożącego Rosyi niebezpieczeństwa!) i zabronił dziatwie niepolskiego pochodzenia uczyć się języka polskiego i religii po polsku, choćby tego ona sama albo jej rodzice żądali. Szkoły, Bogu dzięki, tymczasem ocalały.

Gorzej w Moskwie. Za brak portretów cesarskich w ochronach dla ubogiej dziatwy katolickiej, skasowano przytułek z odjęciem Towarzystwu dobroczynności prawa otwierania zakładów dobroczynnych. Wydalono Jezuitę i pracownika drukarskiego, który z nim utrzymywał stosunki, a na dobitkę wkrótce — pewnego księdza świeckiego, Francuza, który z Jezuitami nic wspólnego nie miał. — Przy śledztwie wykryto taki ważny szczegół, jak opuszczanie modlitwy za cesarza w suplikacyach »Święty Boże«. To dało powód do wydania okólnika o konieczności umieszczenia w suplikacyach odnośnego wezwania. Trzeba zauważyć

że tekst suplikacyi w żadnym kraju nie zawiera modlitw ani za papieża ani za panującego; w Rosyi zaś oprócz tego po sumie śpiewane są osobne modły za dom panujący.

Najdotkliwszy cios spadł na Najprzew. Ks. Biskupa Denisewicza, który na kilka zawodów w czasie częstych wakansów stolicy arcybiskupiej rządził archidyecezyą mohilewską. Zarzucono mu cztery wykroczenia: 1) pozwolił założyć w Moskwie maryańską sodalicyę dziewcząt; 2) wiedział o istnieniu tamże zakonnic Józefitek, a mimo to nic nie uczynił w celu uniemożebnienia im pedagogicznej działalności; 3) zezwalał na przyjmowanie do Kościoła katolickiego prawosławnych przed osiągnięciem przez nich cywilnej pełnoletności; 4) nie dopilnował składania przez zarząd parafialny rachunków z gospodarki kościelnej. — By lepiej ocenić wartość tych zarzutów, trzeba zauważyć, że owe wychowawczynie, które okazały się Józefitkami, mieszkały w Moskwie na długo przed rządami ks. biskupa Denisewicza, wina więc jego polegała chyba na tem, że nie chciał ich rządowi denuncyować, — żądanie wstrętne w stosunku do biskupa katolickiego, — powtóre, że co do rozumienia pełnoletności przy przejściu z prawosławia, to długi czas samo ministeryum przynajmniej wahało się, a nawet podobno prywatnie oświadczało, że za wiek, żądany do legalności zmiany religii prawosławnej, można uważać lata wymagane do małżeństwa. Kara, jaka spadła na ks. biskupa za te »wykroczenia«, wprost oszołamia swą surowością. Rozporządzeniem cesarskiem odjętą została pensya, jaką ks. Denisewicz pobierał z tytułu swego biskupstwa, a w dodatku minister Stołypin własną powagą, bez oglądania się na prawo kanoniczne, »zwolnił« ks. biskupa z zajmowanych przezeń stanowisk w konsystorzu i kapitule, czyli pozbawił go wszelkich oficyów i beneficyów. Taka kara nie spotykała nawet biskupów, których pozbawiano dyecezyi; pozostawiano im bowiem zawsze jakąś pensyę. — Kara, jaka spotkała ks. Denisewicza, w jego osobie dotknęła i zabolała wszystkich katolików i to nie tylko dlatego, że ukaranym został biskup katolicki, ale i dlatego, że ks. biskup Denisewicz cieszył się u wszystkich, którzy go znali, wyjątkową czcią i miłością dla niezrównanych przymiotów swego serca. Ośmielamy się uchylić nieco zasłony z pry-

watnego życia tego księcia Kościoła, by katolikom z innych dyecezyi dać poznać choć po części jego wielkie cnoty. Najpierw pokora i skromność nadzwyczajna pociągała doń wszystkich. Potem świątobliwy ten pasterz, oddający wszystkie swe siły na służbę Kościołowi w najtrudniejszych warunkach i czasach, jednocześnie w całem znaczeniu tego słowa był ojcem ubogich. Osobiste potrzeby redukując do ostatecznych granic, wszystkie swe dochody oddawał biednym, zasilając przytułki i ochronki dla starców, kalek, dzieci, a nawet całkowicie utrzymując ochronkę w Smoleńsku. Wiemy o fakcie, że w przeddzień swej konsekracyi rozesłał całą swą gotówkę po rozmaitych zakładach dobroczynnych. O gorliwości zaś tego pasterza o domy Boże niech świadczy choćby ten szczegół, że w wolnych chwilach własnemi nawet rękami naprawiał stare ornaty, które potem rozsyłał najbiedniejszym kościołom.

Kara rządowa zatem dotknęła nie tylko osobiście jego, ale te dzieła pobożne, które on wspierał. Wobec tego na całe społeczeństwo nasze spada obowiązek, obok uchylenia czoła przed cnotą i zasługami ks. biskupa Denisewicza, wziąć także na siebie troskę o zabezpieczenie bytu tych dzieł, które w nim stałego dobroczyńcę miały.

Z archidyecezyi mohilewskiej nagonka rozszerzyła się na dyecezye inne, zwłaszcza na wileńską. Nieszczęśliwa to dyecezya, w której od pół wieku tylko jeden biskup (ks. Awdziewicz) uniknął kary wygnania i to dlatego tylko, że umarł w chwili gdy mu los wygnańczy gotowano. Obecnie jeszcze dwóch biskupów wileńskich żyje na wygnaniu: ks. arcybiskup Hryniewiecki i prawny dotychczas pasterz, ks. biskup Ropp. Czwarty rok stolica faktycznie osierocona. Kieruje wprawdzie tą dyecezyą wprawną i energiczną dłonią Administrator apostolski ks. Michalkiewicz, a kieruje wśród Scylli i Charybdy, z jednej strony walk narodowościowych, a z drugiej rusyfikacyjnych zakusów rządu. Lecz oto nowy jakiś taran tej dyecezyi przygotowano. Z niepokojem po kilkakroć czytaliśmy o wyjazdach ks. Administratora do Petersburga »w sprawach służbowych«. Wiemy, co zwykle takie wyjazdy zapowiadają. Głośno mówiono o nowych próbach rządu narzucenia Kościołowi języka rosyjskiego, jako niby rodowitej mowy Białorusinów ka-

tolików. Pogłoski okazały się wprawdzie przesadzonemi, oficyalnie bowiem propozycyi takich rząd nie czynił; nie ulega wątpliwości jednak, że pewne koła, zwłaszcza miejscowych iście rosyjskich ludzi, ubolewają wciąż nad »polonizacyą Białorusinów« i nawołują rząd do akcyi. Wreszcie niesłychana dotąd i niepraktykowana rzecz stała się faktem: do Wilna zjechał specyalny wysoki urzędnik z Petersburga, by dokonać rewizyi kuryi biskupiej, konsystorza i kapituły. Jest to swego rodzaju »rewizya senatorska«. Podobną rewizyę zarządzono i w innych dyecezyach, o ile dotąd z gazet wiadomo — w Petersburgu, w Warszawie i Żytomierzu. Oczywiście gotują się jakieś nowe ciosy dla Kościoła w tych dyecezyach, a rewizye mają dostarczyć jeśli nie przyczyn, to przynajmniej pretekstów do represyi. Jeśli dodamy do tego nieustannie mnożące się wyroki sądowe na księży winnych przekroczenia ustaw i cyrkularzy wyznaniowych, częste usuwania kapłanów na żądanie władz administracyjnych, utrudnienia i szykany w zewnętrznych objawach katolickiego kultu, to mieć będziemy mniej więcej dokładny obraz stosunków kościelnych w Rosyi.

Dwa rysy charakteryzują owe stosunki: brak dostatecznych prawnych gwarancyi swobodnego rozwoju, a przynajmniej wolności katolicyzmu i system denuncyatorski. Zamiast formalnych praw wyznaniowych, choćby niedostatecznych, ale jasnych i wykonywanych, rządzi wszystkiem tymczasowy okólnik ministeryalny, otwierający pole do rozmaitych nadużyć, często nawet, jeśli wyda się zbyt liberalnym, to przez podrzędne organa władzy państwowej nie spełniany. Obok tego i w społeczeństwie katolickiem zaczyna się przyjmować system szpiegostwa i denuncyacyi, tak powszechny na innych polach publicznego życia w Rosyi. Wiadomo, że rewizye, moskiewska i petersburska, spowodowane były przez denuncyacye na tle narodowościowych zatargów; obecna rewizya wileńska wywołaną została, jak donoszą gazety, przez denuncyacyę mszczącego się wydalonego ze służby w konsystorzu urzędnika. Dzięki systemowi opieki rządowej nad sprawami katolickiemi, konsystorze katolickie obsadzone zostały przez ludzi, z pomiędzy których wychodzą fałszerze testamentów i denuncyanci. Kiedyż czas przyjdzie na gruntowne oczyszczenie tych stajni Augiasza? *X. T. J.*

Konflikt synodalny w Rumunii.

Prawosławna Cerkiew Rumunii przechodzi ostatnimi czasy ogniową próbę. Z jednej strony bowiem rozwielmożniły się żywioły zuchwałego żydostwa i wyrafinowanego, powszechnego racyonalizmu, wobec których Cerkiew stoi bezbronna, a z drugiej we własnem jej łonie ujawniły się czynniki paraliżujące jej jaki taki żywot i przyspieszające jej rozkład. Osią główną tych wewnętrznych zaburzeń jest t. zw. konflikt synodalny. Minister kultu i oświaty, Spiru Haret, zmierzał do tego, by Cerkiew rumuńską podać w większą jeszcze zależność od państwa i, jak się okazało, sprotestantyzować. W tym celu już od lat kilku starał się zaprowadzić w Cerkwi nową instytucyę, nazwaną »wyższy konsystorz kościelny« i poddać pod jego najwyższą władzę całe duchowieństwo i wszystkich biskupów Rumunii. Na czele tej nowej, »najwyższej« instytucyi Kościoła narodowego miał stanąć sam minister, jej zaś przedstawicielami mają być dwaj księża, wybrani oczywiście przez swego szefa. Nie trudno było przewidzieć, że biskupi rumuńscy stracą przez tę reformę prezbyteryańską swą władzę nad duchowieństwem: każdy bowiem malkontent znajdzie łatwo obronę w superintendenturze, której zresztą sami biskupi podlegać muszą.

Długo sprzeciwiała się Cerkiew tej innowacyi. Wybrani jednak nie tak dawno przez ministra Hareta prymas Bukaresztu i metropolita Jass dali się od razu uwikłać w sidła liberalne. Za nimi poszło duchowieństwo i na posiedzeniu synodu r. 1909 przyjęto niemal jednogłośnie nowe synodalne prawo o prezbyteryańskiej superintendenturze jako »zgodne« z ustawami Wschodniego Kościoła. Jedynie tylko biskup z Roman, sędziwy Gerazy Serafin, stanął w obronie episkopatu i wykazał kilkakrotnie, jak zgubną i antykościelną jest nowa ustawa. Skoro jednak nie pomogły protesty a wyższe duchowieństwo lekceważyło sobie jego wywody, gorliwy biskup rzucił uroczyście klątwę na prymasa, cały synod i wszystkich, którzyby się odważyli postąpić według nowo ukutego prawa. Działo się to na jesiennem posiedzeniu synodu 26 paźdz. 1909 r. Oto wypadek jedyny w swoim rodzaju, tłumaczony następnie najrozmaiciej. Minister Haret, urażony w swej dumie, nakazał ś. Synodowi, by natychmiast osądził i złożył z urzędu »buntownika«.

Poczyniono odpowiednie kroki. Lecz biskup Serafin nie tylko nie odwołał rzuconej klątwy, ale nadto odmówił Synodowi wszelkiej kompetencyi, zarzucając przewodniczącemu, prymasowi Atanazemu Mironescu, herezyę i niemoralność tak przed jak po dostąpieniu godności biskupiej. Św. Synod przeszedł nad tymi zarzutami do porządku dziennego, ale też wyroku żadnego nie wydał w nadziei, że się sprawa ułoży drogą ugodową. Stało się inaczej.

Społeczeństwo rumuńskie, zgorszone zgnilizną swej narodowej Cerkwi, stanęło w obronie biskupa Serafina i sprawy kościelnej; nadto rozpoczęto przetrząsać zarzuty przeciw Atanazemu. Osobny dziennik *România Crestină* (Rumunia chrześcijańska) został zaraz założony wyłącznie w tym celu i od dwu lat wydobywa na światło dzienne wszystkie brudne sprawki prymasa i kleru, a czyni to z surową, czasami cyniczną, bezwzględnością. Inne gazety, zwłaszcza żydowskie (prawie wszystkie rumuńskie!) i socyalistyczne *(Facla)* powtarzają skwapliwie te »sensacyjne« wiadomości i owszem, współzawodniczą w wykrywaniu coraz to dosadniejszych, szczególnie po ustąpieniu stronnictwa liberalnego i ministra Hareta od steru rządów.

Nowy minister, C. Arion, pragnie szczerze zażegnać sprawę, choćby kosztem »wyższego konsystorza kościelnego«. Nic więc dziwnego, że na tegoroczne posiedzenie ś. Synodu zaprosił biskupa Serafina. Biskup przybył, ale tylko aby ponowić swe oskarżenia i zażądał od ś. Synodu kanonicznego procesu przeciw Atanazemu, oskażonemu ostatnimi czasy jeszcze o plagiat. Równocześnie jednak wytoczono drugi proces kanoniczny biskupowi Serafinowi, oskarżając go o nieposłuszeństwo ś. Synodowi. Te dwa procesy rozpoczęto 18 czerwca b. r. Śledztwo trwać będzie bardzo długo — wszystko odbywa się na razie w największej tajemnicy. Dzienniki z 30 czerwca donoszą o coraz większej nieprzychylności dla prymasa Atanazego, który gwałtownością i bezwzględnością swoją zraził sobie wszystkich członków Synodu.

Gdyby powyższe zajścia dotyczyły tylko obydwóch dygnitarzy rumuńskiej Cerkwi, to może nie przedstawiałyby większego interesu. One jednak stoją w związku ze sprawami pierwszorzędnego znaczenia dla całego narodu.

Oto co pisze chrześcijańsko-narodowy organ rumuński *Neamul Românesc.* »Obmierzłości popełniane wewnątrz Kościoła naszego, zwłaszcza od lat 10 czy 12, należą do najwstrętniejszych i najbardziej zasmucających. Sądząc według nich mogłoby się zdawać, że w seminaryach na wydziale teologicznym... uczą nie zasad moralności, nieposzlakowanej czci i uszlachetnienia duszy ale przeciwnie, sposobów poniżenia, upodlenia i pohańbienia godności ludzkiej«. Jakże być może inaczej, skoro katedry teologii — z małymi wyjątkami — zajmowali świeccy bez wiary i duchowni odstępcy zlaicyzowani? O wyrobieniu duchowem ani mowy. Często nieludzkie postępowanie z seminarzystami stępiło w nich nawet odrobinę wrodzonej szlachetności, jaką mieli. Stąd łatwo wytłumaczyć nie tylko brak wszelkiego dobrego wychowania, ale nawet rubaszność przerażającą, jaką się odznaczały ostatnie posiedzenia świętego (!) Synodu.

Wielką winę obecnego poniżenia Cerkwi rumuńskiej ponoszą stronnictwa polityczne, walczące między sobą nie o zasady lub ideały, ale o prostą karyerę, dyety i emerytury. One to dostarczały Cerkwi nie dostojników kościelnych — z pośród najgodniejszych — ale karyerowiczów i pochlebców. Zgubne następstwa tej partyjnej polityki, piętnowanej bezustannie przez najwybitniejszych dwóch działaczy społecznych, księcia A. C. Cuzę i prof. N. Jorgi, dają się we znaki nie tylko Cerkwi ale i religii chrześcijańskiej Rumunów. Albowiem ten dobry i cierpliwy naród rumuński, duchowo tak bardzo zaniedbany, widząc poniżenie swej Cerkwi, traci zwolna poważanie i zaufanie do swego duchowieństwa i zachodzi słuszna obawa, żeby ten naród z doszczętną utratą zasad chrześcijańskich nie popadł do reszty w bezdenną przepaść zepsucia.

Jak zaradzić złemu? Dziwne są pod tym względem zapatrywania Rumunów. Jedni proponują reformę praw małżeńskich w ten sposób, żeby ich owdowiali duchowni mogli wstępować powtórnie w związki małżeńskie. Inni proponują reformę seminaryów. Inni żądają dymisyi Atanazego[1] i Serafina. Podniosły się też

[1] Według najnowszych depesz Atanazy podał się do dymisyi.

głosy Rumunów za »unią« z Rzymem, aby w ten sposób Cerkiew swoją ochronić od zgubnej ingerencyi władzy świeckiej i ocalić.

Czy w tych warunkach ogólnego religijnego zamętu i kompromitacyi wyższej hierarchii kościelnej w Rumunii nie musi wydać się dziwacznem następujące rozporządzenie? Od 1-go kwietnia b. r. miały być zaprowadzone w kościołach parafialnych osobne registry, w których prócz każdorazowego podpisu księdza, dyaka, śpiewaków i komitetu kościelnego ilekroć brali udział w liturgii, ma być ponadto wymienione kazanie, jego treść oraz liczba osób (mężczyzn i niewiast z osobna), która brała udział w nabożeństwie.

Samo duchowieństwo oświadcza otwarcie, że się znajduje w błędnem kole. »Cerkiew i kler nie dorosły do tego, by wychować pokolenia moralne, oparte na zdrowych zasadach rozumu (!), z którychby się rekrutowali lepsi politycy do parlamentu i rządu. Z drugiej strony potrzeba właśnie wyższych polityków, aby wyleczyć gangrenę i nadać św. Synodowi, seminaryom i wydziałowi teologicznemu lepszy kierunek«.

I z tego oświadczenia przebija bizantyński serwilizm! Nie! Kościół Chrystusowy nie opiera się ani na polityce, ani na dyplomatach, lecz na tych podwalinach, które Chrystus położył. A o nich właśnie Cerkiew rumuńska zapomniała.

Ks. M. Hellon.

Z dziedziny palestynologii.

Ostatnie pięciolecie literatury palestynologicznej.

(Szkic bibliograficzny).

Około połowy ubiegłego wieku wywiązał się ostry spór pomiędzy łacinnikami a grekami o posiadanie miejsc świętych w Jerozolimie, i zaognił się tak dalece, że ostatecznie wywołał wojnę krymską (1854—56). Jednym ze skutków tej wojny było to, że Turcya zaprzestała już bronić swoim sprzymierzeńcom wstępu do świętości islamskich (jak np. meczet jerozolimski Haram albo Haram hebroński), jak to czyniła dawniej. Przez ten wyłom, uczyniony dla członków rodzin

królewskich, oczywiście przy pomocy wszechwładnego na Wschodzie bachšîšu, przeciskać się zaczęły poza plecami książąt gromadki ciekawych badaczy, z początku rzadko, następnie coraz częściej, liczniej i natarczywiej, nie zadowalniając się już tylko oglądaniem ścian, ale zaczęły dłubać, grzebać, kopać w ziemi świętego Jeruzalem, w okolicy, aż wreszcie zabrano się do otworzenia łona całej Palestyny.

Ciekawe zdobycze tych poszukiwań, wydobyte raz na światło dzienne, stały się, jak się to oczywiście stać musiało, własnością prawa publicznego drogą sprawozdań, odczytów, czasopism i książek. Stąd też literatura palestyńska, ograniczająca się do roku 1865 na opisach pobożnych pielgrzymek, rozrosła się wkrótce do takich rozmiarów, że nawet najuczeńsi specyaliści biblijni nie zdołają jej całości objąć i wykorzystać. Tak zrodził się specyalny dział wiedzy biblijnej, zwany palestynologią, która zdobyła sobie cały zastęp przyjaciół, opiekunów, uczonych, ba nawet bibliografów. Oto kilka dat z tej właśnie bibliografii palestyńskiej.

1. Pierwszy rozgłos w tej dziedzinie zyskało sobie dzieło Tytusa Toblera: »Bibliografia geograficzna Palestyny« (Lipsk 1867 [IV+265]). Książka ta wylicza 1068 autorów, z których 894 Tobler sam przeczytał i ocenił, a dodać możemy, że sąd jego prawie zawsze był sprawiedliwy. Dzieło Toblera uzupełniał Petzholdt w *Neuer Anzeiger für Bibliographie und Bibliothekswissenschaft*, r. 1875, str. 204—207, 235—239, 275—291.

2. Pozostałe jednak luki mimo dodatków Petzholdta domagały się nowego uzupełnienia, a zasługa tu przypadła w udziale Reinholdowi Röhrichtowi. On wprowadził w dzieło Toblera nie tylko dokładniejszy porządek chronologiczny, ale pozyskawszy mnóstwo współpracowników wzbogacił je nowym dorobkiem z 10 następnych lat i wydał w Berlinie 1890 r. pod tytułem: »Bibliotheca geographica Palestinae; chronologisches Verzeichnis der auf die Geographie des hlg. Landes bezüglichen Litteratur von 333—1878, und Versuch einer Cartographie«. Dzieło to, dla historyi literatury palestynologii wprost podstawowe, wymienia 3515 autorów, którzy w tym zakresie cokolwiek ogłosili, nadto opatrzone jest 747 objaśnieniami, pouczającemi o historyi i rozwoju kartografii palestyńskiej. Jest to więc prawdziwe »standard work« w tej materyi, niezawodny poradnik dla wszystkich, którzy potrzebują wiadomości bibliograficznych o Palestynie od w. IV aż do r. 1878. Braki uzupełnił częścią W. A. Neumann [w ZDPV=*Zeitschrift des deutschen Palestina-Verein*, t. XIV, 1891], częścią sam

Röhricht [ZDPV XVI (1893) p. 269—296], i wreszcie F. Mühlau, [ZDPV, XVI, (1893) p. 209—234).

3. Dzieło Röhrichta dosięga r. 1878. Ciągu dalszego to jest 1878—1894 poszukiwać należy przedewszystkiem w czasopismach *a)* ZDPV w pracach Socina (od r. 1877—84), Jacoba (od r. 1885—87) i Benzingera (od r. 1888—94); *b)* w *Archives de l'Orient latin* (Paris, Leroux 1881—84, 2 vol.), gdzie odnośne daty z lat 1878—83 zebrał Paweł Riant; *c)* wreszcie w *Orientalische Bibliothek*, redagowanej przez A. Müllera z przyczynkiem Schermana od r. 1887—94.

4. Na prawdziwą wdzięczność ze strony palestynologów zasłużył sobie niezmordowaną pracą nad dalszym ciągiem bibliografii palestyńskiej Piotr Thomsen w dziele »Systematische Bibliographie der Palestina-Litteratur«, którego I tom wyszedł w Lipsku 1908 r. a zawiera cały materyał od r. 1895—1904. Następne tomy mają obejmować pięciolecia, więc tom II 1905—1909. Thomsen posługuje się inną metodą aniżeli jego poprzednicy (Tobler, Röhricht), kierując się w podziale systematycznym jakością materyału [1]. Prócz tego podaje jeszcze wybitniejsze oceny przytoczonych dzieł, przez co praca jego staje się jeszcze bardziej pouczającą i oryentacyjną i ułatwia pisarzowi dobór gruntownych dzieł.

5. Upragnione dalsze tomy Thomsena wyręczają na razie dosyć skrzętnie zbierane »Bibliographische Notizen« w piśmie *Biblische Zeitschrift* (BZ), założonem w r. 1903. Notatki te znajdują się na końcu każdego zeszytu i to w ten sposób, że zeszyt I i III rocznika przynosi wzmianki z ogólnej literatury biblijnej i literatury szczegółowej Starego Testamentu, natomiast II i IV notuje literaturę Nowego Testamentu. Pierwszy dział (zeszyt I i III) prowadzi profesor monachijski J. Göttsberger, drugi (N. T.) redaguje I. Sickenberger, profesor dawniej we Wircburgu, obecnie we Wrocławiu. Ponieważ jednak te notatki nie wyczerpują i oczywiście nie mogą objąć całej materyi, dlatego

[1] Oto nagłówki tego podziału: I. Sprawy ogólne, dotyczące bibliografi i czasopism. II. Historya spraw palestyńskich. III. Historya, geografia, topografia. IV. Archeologia palestyńska. V. Wykopaliska i odkrycia. VI. Palestyna dzisiejsza pod względem stosunków politycznych, kulturalnych, religijnych, językowych i społecznych. VII. Geografia poszczególnych części Palestyny, okolic pozajordańskich, Arabii Skalistej i półwyspu Synai, ich geologia, klimatologia, fauna i flora etc. Dzieło zamyka skorowidz abecadłowy autorów, uwzględnionych w danym tomie.

sumienny badacz musi cierpliwie wyczekiwać dalszego ciągu pracy Thomsena.

6. Po tych ogólnych zarysach ewolucyi bibliograficznej palestynologii przystępujemy do bliższego określenia naszego tematu. Nie jest moim zamiarem podać tutaj wszystkie szczegóły, jakie znaleźć można w różnych publikacyach; uwzględnię tylko większe prace, które się w zakresie palestynologii w ostatnich pięciu latach pojawiły. W celu łatwiejszej oryentacyi w tem mnóstwie prac będę się trzymał porządku okolic Palestyny w szerszem znaczeniu, o których dane dzieła traktują. Rozpoczynam od Arabii Skalistej i Synaju, bo tu poczyniono najdonioślejsze odkrycia.

Nazwa »Arabii Skalistej« w szerszem znaczeniu obejmuje całą okolicę zajordańską od góry Hermon aż do zatoki Elamickiej, »Synaj« zaś oznacza krainę, sięgającą od kanału Sueskiego na wschód aż do wâdi ʿAraba, z północy od morza Śródziemnego i linii prostej od Gazy do południowego krańca morza Martwego aż do morza Czerwonego. O tym skrawku Palestyny przyniosły nam lata od 1905—1910 dzieła prawdziwie wielkie i ogromnego znaczenia takich badaczy, jakimi są np. Musil, Brünnow, Domaszewski, Dalman, Janssen, Petrie, Hume, Weill, Schumacher, prawdziwe gwiazdy przewodnie, a obok nich mniejsze światła, jak Stanley, Schoenfeld, Meistermann, Schneller i inni.

Zacznijmy od Arabii Skalistej:

1. Niezawodnie naczelne miejsce w tym pochodzie zajął niestrudzony badacz, genialny obserwator i nieustraszony bojownik wiedzy Alojzy Musil, ksiądz katolicki dyecezyi ołomunieckiej, obecnie profesor wiedeński. Jego to podróżom i studyom topograficznym, podjętym od r. 1895, jego odwadze oraz pełnej zaparcia siebie i niestrudzonej pracy zawdzięczają nauki biblijne zdobycie dla wiedzy bardzo mało dotychczas znanych okolic Północnej Arabii. Hołd ten przyznają i oddają mu wszyscy uczeni. Pierwsze podstawowe dzieło wydał Musil w r. 1905 pod tytułem »Kusejr ʿAmra« w 2 tomach in folio. Tom pierwszy opisuje dziwną twierdzę ʿAmra, o której wspomina dekret Hamâd, a którą pierwszy odkrył Musil w r. 1898. Do tego opisu dołączone są prace innych uczonych Wszechnicy wiedeńskiej, dotyczące wieku tej twierdzy, o jej strukturze i malowidłach. Zdobi tę pracę wiele fotografii i rycin. W r. 1906 wydał pierwszą znakomitą mapę całej Arabii Skalistej, jako podstawę i zapowiedź wielkiego dzieła w 3 tomach: »Arabia Petrea«, Wiedeń 1907—08. Ta wzorowa praca

określa w pierwszym tomie topografię prowincyi Moab i to z rzadko spotykaną precyzyą i starannością, drugi tom poświęcony jest wschodniej i zachodniej prowincyi Edom. W trzecim tomie pomieścił autor całą etnologię tych krain. A więc znajdujemy tu opis życia szczepów arabskich, ich mieszkania, sposobu pożywienia, ubiorów, ich życie rodzinne i społeczne, igrzyska, zabawy, śpiewy, zwyczaje w domu i na wojnie, prawa cywilne, choroby, pogrzeby, testament, jednem słowem skarbnica, z której hojnie czerpać może, kto się czegoś źródłowego i dokładnego o Arabach dowiedzieć pragnie. Bogate ilustracye i dodatki z epigrafii i leksykografii arabskiej uzupełniają całość żywego opisu tego zakątka dotychczas okrytego tajemnicą. Nie dziw też, że dzieło to spotkało się wszędzie z dobrze zasłużoną pochwałą a autor jego zyskał sobie uzasadnioną w świecie naukowym powagę, tak dalece, że rząd turecki i egipski wezwał go jako sędziego w sprawach granicznych, a wiele towarzystw naukowych ofiarowało mu środki do dalszego prowadzenia cennych badań. Podjął je też na nowo w Północnej Arabii w okolicy Midiăn, Hiğâr, dotarł aż do Eufratu in Nĕgd, i chociaż przemęczony przygotowuje do druku nowe prace.

2. W tym samym prawie czasie t. j. 1904—1909 pojawiło się inne wielkie i poważne dzieło o Arabii nie już Skalistej, ale prowincyi rzymskiej, zwanej »Arabia«. Złożyły się nań połączone prace dwóch wybitnych profesorów: Brünnowa, oryentalisty i Domaszewskiego, romanisty, zawarte w 3 tomach in 4-o pod tytułem »Die Provincia Arabia«, jako opis geografii, topografii i archeologii tej ziemi. Zasługa wielka tej książki polega także na tem, że obejmuje cytaty wszystkich autorów, którzy od r. 1805 w tej materyi coś ważniejszego zanotowali. Objaśniają tekst liczne (1122) fotografie i ryciny, 53 mapy. Razem z dziełem Musila tworzą te tomy jedną, wielką całość, uzupełniając i objaśniając się nawzajem, choć są od siebie niezależne.

3. Profesor Gustaw Dalman obrał sobie za przedmiot opracowania stolicę Nabateów, miasto Petrę i wydał w Lipsku 1908 książkę: »Petra und seine Felsheiligtümer«. Ma ona dwie części, z których pierwsza (str. 1—101) podaje ogólne zarysy, jak położenie miasta, hydrografię, historyczne i religijne poglądy Nabateów, w drugiej zaś części (str. 103—360) zajmuje się szczegółowo pomnikami wymarłego miasta, opisuje groby, ołtarze, świątynie i t p. Jakkolwiek ta monografia wykazuje pewne braki, nie można jej jednak odmówić doniosłego naukowego znaczenia.

4. A. Janssen, Dominikanin, opisuje dzisiejszych mieszkańców

krainy Moab w znakomitej monografii p. t. »Contumes des Arabes au pays de Moab«. Paris 1908, która godnie może zająć miejsce obok trzeciego tomu etnologicznego Musila. Autor w sposób zajmujący opowiada sposób życia szczepów arabskich, ich wzajemne stosunki, prawa, przemysł, poglądy religijne, co tak bardzo przywodzi na pamięć lud izraelski [1].

Półwysep synajski.

Trzy przedewszystkiem dzieła zyskały sobie w tej mierze szczery rozgłos: 1. »Le presqu'ile du Sinai« (Paris) R. Weill'a zajmuje się prawie wyłącznie geologicznym i fizykalnym opisem półwyspu. Rzecz doniosła, mogłaby być jeszcze donioślejszą, gdyby autor zechciał rzecz gruntowniej obrobić i gdyby był więcej powściągliwym w tworzeniu bezpodstawnych teoryi.

2. W. F. Hume w podobnej pracy: »The topography and geology of the Peninoula of Sinai« (Kair 1906) daleko lepsze zdobył wyniki, a dodając nadto dokładną topografię Synaju zasłużył sobie na prawdziwą wdzięczność biblistów.

3. Jednak pierwszeństwo trzeba przyznać słynnemu egiptologowi, niezrównanemu pionierowi w dziale wykopalisk W. M. Flinders' Petriemu. W obszernem dziele »Researches in Sinai« (Londyn 1906) przedkłada imponujące zdobycze archeologiczne, wydobyte w Maqâra i Sarâbit el-'Hâdem. Na tej podstawie zapuszcza się w kwestye egzegetyczne, przyczem w nadmiernym zapale dochodzi nieraz do zbyt śmiałych i radykalnych wniosków. Jego towarzysz pracy D. Curelly rozprawia w rozdziale dodatkowym o położeniu biblijnej góry Synai i utożsamia ją zgodnie z mało dziś uwzględnianą teoryą, z górą Serbâl, chociaż poważne racye przemawiają raczej za dzisiejszą ǧebel mûsa. Inni znowu poszukują tej góry nie na półwyspie Synaju lecz w prowincyi Midian, a do tych przyłączył się w ostatnim czasie Musil, który w swojej podróży midiańskiej napotkał górę wulkaniczną, odpowiadającą, według jego zdania, dosyć dokładnie warunkom określonym w Biblii. Ale sprawa domaga się jeszcze lepszego wyświetlenia.

---

[1] W języku polskim posiadamy także książkę o »Arabii Skalistej«, wydaną w Krakowie przez autora niniejszego szkicu. Celem tej książki jest w formie notatek z podróży, w sposób przystępny i zajmujący zaznajomić szerszy ogół polski z Arabią Skalistą, jej historyą, pomnikami i mieszkańcami. *Przyp. Red.*

4. O pokroju więcej popularnym niż naukowym są książki n. p. Stanleya A. P. »Sinai and Palestina in connections with their history« (1905); E. D. Schoenfelda: »Die Halbinsel des Sinai in ihrer Bedeutung« (1907) i L. Schuellera: »Durch die Wüste zum Sinai« (1910). Tu także należy bardzo praktyczne dziełko B. Meistermanna »Guide du Nil au Jourdanie par le Sinai et Petra« (1909).

5. Środkowej drogi pomiędzy formą ściśle naukową a popularną trzymałem się w mojej książce: »Na Synaju« (Kraków 1908), gdzie poruszyłem wszystkie ważniejsze sprawy biblijne, mające styczność z Synajem.

Mapy geograficzne.

Wielką doniosłość dla pozytywnego studyum palestynologii mają mapy geograficzne, a właśnie ostatnie pięciolecie przyniosło pod tym względem wiele cennych nabytków zwłaszcza dla okolic pozajordańskich.

1. Na pierwszem miejscu wymienić wypada wielką mapę Zajordania (kraj między Hasbejją na południe aż do wâdi ez-zerka), którą sporządził dr. G. Schumacher i wydał p. t.: »Karte des Ostjordanlandes« (1:63,360). Śmiało może ona współzawodniczyć z wielką mapą (26 części) C. R. Condera i H. H. Kitschenera, wydaną od r. 1872—77, która do dziś dnia była podstawą i wzorem dla wszystkich innych map palestyńskich. Mapa Schumachera będzie się składała z 12 części, cena jej wynosić będzie dla prenumeratorów 96 marek. Dotychczas pojawiły się 2 części wspaniale w 5 kolorach wykonane.

2. Inne wydawnictwo równie znakomite, chociaż mniej okazałe i w mniejszych rozmiarach (1:300 000) jest dziełem Musila: »Arabia Petrea« (Wiedeń 1906, Hölder). Mapa ta wyobraża kraj między Wâdi Heslar z północy aż do zatoki Elamickiej na południe, a od Wâdi el-ʿarîš na wschód w ukośnej linii aż do zatoki Elamickiej.

3. Jako uzupełnienie mapy Musila podajemy na trzeciem miejscu angielską mapę wojskową w 8 częściach ziemi sięgającej od kanału Sueskiego na wschód aż do wâdi el-ʿareba, z południa od Synaju aż do Berseby. Tytuł tej mapy jest: »Desert of the wandering. Compiled by the War Office« (London 1910).

Oto znaczny postęp ostatnich pięciu lat, wybornie uzupełniający literaturę palestyńską tego okresu. Wprawdzie wiele jeszcze pozostało niejasności co do topografii Exodu i historyi kraju zajordańskiego,

ale znaczny zastęp znakomitych badaczy, ożywionych zapałem i pełnych podziwu godnego poświęcenia dla sprawy pozwala rokować jak najlepsze nadzieje.

(Dok. n.)

Ks. Władysław Szczepański.

Z wydawnictw katolickich.

»The Catholic Encyclopedia« t. VI i VII (New York. Robert Appleton & Co).

Niemasz chyba tak niewdzięcznego zadania, jak pisanie sprawozdania ze słownika wszelakiego gatunku i rozmiaru, choćby nawet był słownikiem Encyklopedyi katolickiej, wydawanym w piętnastu wielkich tomach w N. Yorku. Pomimo ogólnie równego tła religii, oko sprawozdawcy tuła się pomiędzy mnóstwem różnobarwnych przedmiotów, nie wiedząc, które wybrać, a nie mogąc poszczególnie wymienić ani streścić ich wszystkich. Zbija również z tropu mnogość autorów — ma się wrażenie kalejdoskopu z ciągle zmieniającemi się figurami. W tomach VI i VII zda się, że praca bardziej jeszcze podzielona, niż w tomach poprzednich, zdarza się, że dwa artykuły odrębnych pisarzy składają się na jeden temat, jak na przykład pod nagłówkiem *Fear* (trwoga). Litera F wogóle w VI tomie zajęła lwią część i nie dziw, boć obejmuje wyrazy *Fathers* to jest Ojców Kościoła, *Filioque* t. j. przedmiot sporu między Kościołem a Cerkwią, *Fetichism* (fetyszyzm), *Friar* czyli szkic obszerny o znacznej większości męskich klasztorów, mnogie życiorysy a między nimi Fenelona, skreślony barwnie a bezstronnie, bez tej natarczywości, z jaką za dni naszych niektórzy arcysurowi (zapewne młodzi) pisarze zdzierają aureolę nie tylko świątobliwości, ale wprost uczciwości z wielkiego prałata, który śmiał na niektórych punktach różnić się w opinii od Bossueta. Bardzo bogatym w treść i illustracye jest dział o św. Franciszku. Odczuwa się istotną ulgę widząc ten przedmiot w rękach pobożnych, patrzących nań z jedynie możliwego punktu Boga i Kościoła. Dość już na konto Serafickiego świętego wydrukowano niedorzeczności: widziano w nim estetę, przyrodnika, poetę, poprzednika Lutra i Kalwina, niemal założyciela na gruncie chrystyanizmu nowej formy religii. A to wszystko z rzekomym podziwem i czcią — *De miei amici me guarda Iddio,* mógłby powiedzieć święty

Franciszek, gdyby autorów tych częścią niemądrych a częścią złośliśliwych dziwolągów mógł za swych przyjaciół uważać.

Bogatym też, choć mniej obfitującym w illustracye jest dział imienia *Gregory,* obejmujący wszystkich świętych i papieży tego imienia, z których każdy przedstawiał szerokie pole do obrobienia. Pod tytułem *Ignatius* mniej jest numerycznej ilości, ale znów jakość przeważa. Jest aż siedm portretów św. Ignacego Loyoli — dość różnych. Może herezyą artystyczną jest przyznać się, że z tych siedmiu najmniej sympatycznym jest portret Tycyana; jest to przeciętny typ rdzennego Hiszpana, ale nie świętego rycerza w zbroi czy w sutannie, jaki z innych portretów wygląda. Na dzieje Towarzystwa Jezusowego trzeba będzie poczekać do VIII tomu. Tymczasem zaś wybierając na los szczęścia, wpadamy na bardzo ciekawy artykuł o babilońskim królu Hammurabi, który około 2000 lat przed naszą erą oswobodził swój kraj z pod jarzma Elamu, rozszerzył jego granice i obdarzył go prawodawstwem bardzo obszernem i szczegółowem, świadczącem o daleko posuniętym rozwoju przemysłowym. Uczony autor artykułu przyłącza się do mniemania tożsamości Hammurabiego z biblijnym królem Amraphelem, władcą Sennaru (Gen. XIV), protestuje wszakże przeciw hipotezom, chcącym koniecznie wywieść prawo Mojżeszowe z kodeksu Hammurabiego lub kodeks ten z Mojżeszowego prawa. Ludy oba były sobie wprawdzie bardzo pokrewne, ale rozwinęły się w przeciwnych kierunkach: babilońskie w kupieckim i przemysłowym a hebrajski w koczowniczo-pasterskim. Prócz tego prawo Mojżeszowe natchnione jest pragnieniem służby Bożej, która jest jego celem i podstawą; celem zaś kodeksu babilońskiego jest po prostu ład społeczny i ekonomiczny, a choć król mniemał, że go z własnych rąk bóstwa słońca otrzymał, przecież nie omieszkał ukoronować swego dzieła hymnem na własną swoją cześć i chwałę. W artykule podpisanym Charles L. Souvay niema wzmianki o przytoczonym swojego czasu sensacyjnym szczególe, jakoby Hammurabi, żyjący przed czterema tysiącami lat był wielkim zbieraczem i miłośnikiem starożytności...

Na los szczęścia znów otwieramy księgę na wyraz *Hospital.* I to bardzo ciekawe. Nie każdy bowiem wie, iż w starożytności znanym był 300 lat przed Chr. założony w Irlandyi przez królowę Machę rodzaj szpitala dla chorych ludzi, podobnie w Indyach w r. 250 przed Chr. szpital dla ludzi i zwierząt; w krajach oświeconych jednak, w Grecyi i w Rzymie, nie znano ich wcale. Istniały co najmniej u bogatych panów *valetudinaria* dla ich własnej służby a dla ogółu ro-

dzaje ambulatoryów przy większych świątyniach; najsławniejsze przy świątyni Eskulapa w Rzymie na dzisiejszej wysepce św. Bartłomieja. Chrześcijanie zajmowali się gorliwie pielęgnowaniem chorych, przeważnie biskupi i kapłani; dopóki jednak zostawali pod groźbą prześladowań nie mogło być mowy o żadnych zakładach publicznych. Te zaś powstały od razu po nawróceniu Konstantyna. W Konstantynopolu Julian Apostata nakazywał zakładanie świeckich przytułków, aby nie ustąpić kroku chrześcijanom. Najpiękniejszy miał być w tych stronach szpital św. Bazylego tworzący istne miasto z ulicami, sklepami i wszystkiem, co mogło być dla chorych lub rekonwalescentów potrzebnem. Na Zachodzie pomimo usiłowań Karola Wielkiego trzeba było dłużej czekać na zakłady dla chorych; później dopiero zostały z reguły przyłączone do każdego monasteru, skąd je w Niemczech wygnała Reformacya. Z czasem w ich miejsce potworzyły się szpitale pod zarządem świeckim, do czego w miastach włoskich przyszło już było wcześniej bez żadnej złej woli wobec mnichów. Włoskie szpitale też stały się nowem polem działania dla artystów, tak budowniczych jak rzeźbiarzy i malarzy. Zazwyczaj urządzano sale tak, aby każdy chory, w ciągu dnia oddzielony od innych rodzajem parawanu, mógł po usunięciu tegoż co rano uczestniczyć w Ofierze Mszy św., odprawianej u końca sali. Był tu ład a pono i czystość, czem nie mogły się chwalić szpitale francuskie, zwłaszcza t. zw. Hotel-Dieu, mieszczący a raczej tłoczący nieraz w swych murach po 5.000 chorych. Zamierzonym ulepszeniom w tym względzie przeszkodził wybuch rewolucyi.

Dotąd bardzo pięknie. Od zwykłych szpitali jednak autor przechodzi do Zakonów Braci Szpitalnych a między nimi i do Krzyżaków. Chwali ich czynność w Palestynie, następnie ich dobroczynną a wzorową organizacyę w Niemczech, ich nabożną gorliwość, którym »niestety wojny i inne nieszczęścia położyły koniec«. Tu mimowoli porywa śmiech, czy autor drwi z czytelnika, czy sam nie wie co pisze? Chyba to ostatnie przypuścić można, gdyż podpisany jest James Walst, a zatem nie Niemiec tylko Anglik lub Amerykanin, który czerpał ze sfałszowanego źródła.

Dużo bardzo miejsca poświęcono oczywiście wyrazowi *Holy* (święty); niema tu jednak czasu ni możności nad każdym się zatrzymywać; toż jest i *Immaculate Conception* i *Heresy* i setki innych, których omówienie napełniłoby książkę teologiczną. Jedno tylko wartoby tu zaznaczyć. W powyższych tomach znajdujemy opisy, opatrzone statystyką i widokami najpiękniejszych, głównie religijnych gmachów Fran-

cyi, Niemiec, Hollandyi, Indyi. Z czasem przyjdzie kolej na Polskę. Czy nie byłoby wprost o b o w i ą z k i e m polecić jakiemu powołanemu pióru nakreślenie takiego opisu naszego kraju we wszystkich trzech zaborach, z krótkim szkicem historycznym i fotografiami naszych najpiękniejszych kościołów? Toż byłaby zgroza, gdyby w Encyklopedyi katolickiej. choćby ją w New-Yorku czy na księżycu pisano, nie było wizerunku Częstochowy i Ostrobramy. Choćby same posłać pocztówki, byłoby lepszem, niż nic. Sama ta notatka o Krzyżakach świadczy, jak nic o nas nie wiedzą. Nie chodzi tu o »głos Europy«, do którego modlono się u nas tak długo; chodzi o to, aby nas przez ignorancyę, przez zapomnienie, jeżeli nie przez złą wolę, nie wykreślano z rzędu narodów katolickich, aby w dziele obejmującem dawne i współczesne dzieje Kościoła nie traktowano nas jako »z dawna pomarłe« lub jak nie istniejące wcale... A należałoby się pospieszyć, bo tomy Encyklopedyi ukazują się jeden po drugim z zadziwiającą szybkością. Jest to obowiązek, do którego każdy o ile może powinien rękę przyłożyć.

T. W.

Listy z Monachium.

I. Miasto.

Monachium jest typowo niemieckiem miastem, ze wszystkiemi wadami i zaletami środowisk niemieckich. Przytem jest to stare miasto, mające kilkowiekową przeszłość za sobą, malownicze i ładne. Od razu po przyjeździe to nam się rzuca w oczy. Jednak obok tego występuje także miasto nowożytne, w znaczeniu europejskiej stolicy, o długich, prostych, szerokich ulicach, ubranych bogato zielenią skwerów. Rozwój Monachium do rzędu wielkich stolic datuje się od r. 1871, odkąd daje się zauważyć ekonomiczny rozkwit w całem państwie. Niewiele przecież miast — z wyjątkiem Berlina — w stosunkowo tak krótkim czasie rozrosło się do takiej wielkości, mimo, że położenie geograficzne ze względu na przemysł i handel nie jest najlepsze. Wzrost swój Monachium może raczej zawdzięczać różnym okolicznościom, które w kwestyi osiedlenia grają niemałą rolę. W ciągu pół wieku powiększyło swą ludność pięciokrotnie, tak, że obecnie — według ostatnich obliczeń — ma przeszło sześćset tysięcy mieszkańców i zajmuje trzecie miejsce po Berlinie i po Hamburgu.

Mimo tej przemiany i wzrostu, mimo przekształcenia się w miasto modernistyczne, o olbrzymim ruchu obcych, umiało Monachium zachować dawny charakter. Pewien subtelny wdzięk tego miasta ujmuje każdego. Mało bowiem jest wielkich miast, gdzieby cudzoziemiec czuł, że mu jest tak dobrze, jak tu, gdzieby się mógł tak od razu przyzwyczaić do nowego otoczenia, a nawet zżyć się z niem w niedługim czasie. To właśnie usprawiedliwia ten olbrzymi coroczny napływ obcych, przybywających na krótszy lub dłuższy pobyt. Ta siła przyciągająca ma jednak głębszy powód, który nawet pozornie może się nie zgadzać z pojęciem wielkiego miasta. Monachium jest bowiem miastem nieograniczonej swobody, której specyalny charakter nie da się inaczej określić, jak tylko niemieckiem *Gemütlichkeit*. I ta właśnie do niczego nieobowiązująca swoboda jest jednym z głównych rysów miasta. Na ten ton jest całe Monachium nastrojone. Monachijczyk nie lubi się krępować przepisami. Także w codziennem zajęciu zachowuje swój zwykły, rozważny spokój. I dlatego może właśnie na polu handlu i przemysłu walka ekonomiczna niema tu jeszcze tego denerwującego pośpiechu, co w innych miastach niemieckich, a przedewszystkiem w Berlinie. Mimo to jednak Monachium może być dumne ze swego przemysłu artystycznego, który obecnie znajduje się w fazie nowego rozkwitu. Nic przytem dziwnego, że dziś całe Niemcy wzorują się w tym kierunku na stolicy bawarskiej. Tak, jak w pierwszej połowie ubiegłego stulecia przyzwyczajono się nazywać Monachium dumnem, trochę przesadnem mianem »Nowych Aten«, to teraz można je daleko słuszniej uważać za takie na polu twórczej sztuki. Dziś skupia ono bezsprzecznie najlepsze talenty niemieckie i kroczy na czele kultury i sztuki całych Niemiec, wcale niedwuznacznie naprzód.

Sztuka tworzy życie. Tę zasadę doskonale zrozumiano w Monachium i dlatego tam właśnie takie znaczenie, a co więcej, decydujący wpływ posiadł na wszystko artysta. Nic nie dzieje się bez jego udziału. Wystarczy tylko wymienić nazwiska doskonałych architektów, jak Seidlów, Thierscha, Littmanna, Ranka, Hochedera, aby sobie uzmysłowić cały rozkwit architektury ostatniej doby. Te same zasługi położyli około rozwoju przemysłu artystycznego malarze Pankok, Ringer, Niemayer, Rimerschied i in. W każdej gałęzi twórczości znać tu nowe, ożywcze prądy, wnikające w istotę materyału i celu, które zapewniają produkcyi niezachwiane powodzenie i dla tej nowej sztuki rodzą entuzyazm wśród całego społeczeństwa, największą podporę dalszego jej rozwoju.

Nic dziwnego, że już od szeregu lat słowo Monachium stało się synonimem nowej sztuki w najlepszem znaczeniu. Są także jeszcze inne objawy, które to tylko potwierdzają. Zbyt wiele miejsca zajęłoby np. wyliczanie bieżących i stałych wystaw sztuki najprzeróżniejszych związków artystycznych. Cieszą się one wszystkie nadzwyczajnem poparciem i opieką rządu, a także samej dynastyi. Już w połowie zeszłego wieku powstał kosztem króla Maksymiliana II olbrzymi *Glaspalast*, brzydki, ale mogący pomieścić naraz wygodnie parę tysięcy płócien i rzeźb. Nie tylko sztuki plastyczne święcą tutaj takie tryumfy. Niemniejszą rolę gra tu muzyka i teatr. W Monachium powstał dwa lata temu najlepszy teatr w Niemczech, naprawdę artystyczny teatr Reinhardta. Obok niego mamy szereg innych, wśród których dominuje *Prinz Regenten Teater*. W nim ukazują się dzieła Wagnera w najlepszej szacie zewnętrznej. Jakkolwiek założony przed paru laty, zdołał sobie już pozyskać wszechświatową sławę i rozgłos. Podobnie również muzyka koncertowa i kameralna znajduje tu najlepszych przedstawicieli, czy to w świetnych koncertach królewskiej Akademii muzycznej, czy sławnej symfonicznej orkiestry Kaima, nie wspominając o wielu innych, niemniej doskonałych. Przytem trzeba podkreślić nadzwyczajną taniość tych muzycznych przedstawień, co przyczynia się ogromnie do jej spopularyzowania. W czasie sezonu zimowego wszystkie sławy i gwiazdy muzyczne zlatują się tutaj, by wziąć udział wraz z miejscowemi siłami w uroczystościach wokalnych.

Przytem wszystkiem cechą Monachium jest wesołe, swobodne życie, jakie tu żywem bije tętnem. Być może, że artysta przybywający tu na parę dni, zajęty ustawicznem zwiedzaniem miasta, nie zwraca na nie uwagi. Ono też bynajmniej samo nie rzuca się tak w oczy. Mimo to jednak Monachium znane jest ze swego zamiłowania do zabawy. Najsilniejszym bodźcem w tym kierunku jest piwo. Monachium to ojczyzna i stolica piwa. Zapewne nigdzie nie wyrabiają go w tak dobrym gatunku i w takiej ilości. Nigdzie zarazem nie jest w tak powszechnem użyciu, jak tutaj. Bez najmniejszej przesady można powiedzieć, że piwo stało się najtypowszą, nieodłączną cechą tego miasta. Odebrać mu piwo, a Monachium przestanie być tem, czem jest.

Uwagę każdego cudzoziemca zwracają olbrzymich rozmiarów piwiarnie. Są to zakłady, z których każdy może pomieścić wygodnie po parę tysięcy osób, rozlokowanych przy stolikach. Podobnie wielkich lokalów piwnych gdzieindziej się nie spotyka, a trzeba zaznaczyć, że

są tu całe ich dziesiątki. W lecie zwłaszcza, kiedy wskutek upałów spuszczane są szyby ogromnych okien arkadowych, głębokie czeluście piwiarni, o potężnych, starych sklepieniach, oświetlone pod wieczór tysiącem lamp, napełnione rozbawionym tłumem — czynią bardzo charakterystyczne, niezapomniane wrażenie. Ale nie tylko pod wieczór dopiero, bo przez cały dzień nie brak tu nigdy zwolenników Gambrynusa. Doprawdy trudno obcemu zrozumieć, jak ci ludzie są w stanie pić tyle od samego rana począwszy.

Piwo stało się w Monachium rzeczywiście narodowym trunkiem, uświęconym wielowiekową tradycyą. I podobnie, jak np. w Południowej Francyi obchodzą uroczyście wśród zabaw pomyślne zbiory wina, tak również i tutaj powtarzają się coroczne zabawy czy uroczystości, związane z kultem piwa. Przypadają one zwykle na koniec września i październik i bywają obchodzone na *Theresienwiese*. Wtedy nadarza się także świetna sposobność do poznania życia monachijskiego. Ściągają bowiem w tym czasie tutaj olbrzymie tłumy z całej Bawaryi. Gdyż każdy z Bawarów uważa za swój obowiązek wziąć udział w tem święcie Gambrynusa. Tu dopiero można obserwować pierwotny, staro-bawarski naród. Tu znajdzie się doskonałych przedstawicieli tego, co prawda, ciężkiego, prostego, jednak pełnego humoru szczepu.

Co do zewnętrznej fizyognomii miasta, Monachium, jak wspomniałem, jest ładne i malownicze. Urok jego polega na starych partyach miasta, gdzie napotykamy szeregi wązkich, krętych uliczek, o starych szczytowych domach. W ogólnej sylwecie miasta ważną rolę odgrywają kościoły. Jest ich tu wcale niemało. Z nich wszystkich wybija się na pierwsze miejsce majestatyczna *Frauenkirche,* o dwóch bardzo wysokich wieżach, nakrytych ciężkimi haubami niemieckimi. Mają one w sobie jakąś dziwną surowość, pierwotną prostotę i ociężałość chłopa bawarskiego. Dlatego właśnie są jakby symbolem tego kraju i miasta. Ale obok nich jeszcze dwie inne silnym konturem odbijają się na jasnem tle nieba, to wieże kościoła Teatynów. Tu jednak panuje już zupełnie inny świat. Gdy tam ponury gotyk, tu wspaniały barok roztacza swe przepychy.

W najbliższem sąsiedztwie kościoła Teatynów znajduje się t. zw. *Feldherrnhalle,* marna kopia *Loggii dei Lanzi* we Florencyi. Podobnych kopii posiada Monachium jeszcze więcej. Pochodzą one wszystkie z pierwszej połowy ubiegłego stulecia i są dowodem szlachetnych, choć naiwnych porywów i usiłowań królów bawarskich, pragnących miasto przekształcić na »nowe Ateny«. Zrozumieć nie można, jeśli

w obecnych czasach miasto popełnia podobne błędy. Bo trudno inaczej nazwać nowy ratusz w Monachium, ukończony trzy lata temu w historycznym stylu gotyckim. Wraz ze swoim grającym zegarem na wieży sprawia wrażenie jarmarcznej szopki, obliczonej na złe gusta spektatorów. Ratusz ten jest i pozostanie rumieńcem wstydu dla Monachium. Miasto o tak przodowniczej roli w ruchu artystycznym Niemiec, nie powinno zezwalać na podobne falsyfikaty na polu architektury. To jest zarazem jedyny — na szczęście — dysonans, który jednak na długo pozostaje w pamięci.

II. Sezon letni.

Najprzyjemniejszem z miast niemieckich jest niewątpliwie Monachium. Stolica poczciwych Bawarów posiada dużo zalet, które pozwalają w niej przepędzić więcej czasu. Zapewne, że dziś, w epoce chorobliwej podróżomanii, Monachium więcej, niż każde inne większe środowisko ludzkie, stara się o zapewnienie miłego pobytu cudzoziemcom. Ale co dla wielu jest korzyścią i udogodnieniem, to staje się często dla stałych mieszkańców miasta przekleństwem. Miasto bowiem wtedy w porze wielkiego napływu obcych przestaje żyć trybem normalnym, ściśle uregulowanym, zapomina niekiedy o powinnościach i obowiązkach względem swych obywateli a pozostaje głównie na usługach cudzoziemców, przesadzając się przytem w grzecznościach. Niewątpliwie, że podnoszą dumę i miłość własną miasta tłumy obcych, napływających olbrzymią falą w jego mury, ciągnącego z nich naturalnie znakomite zyski. Tak. Ale z drugiej strony to jest także niezachwianą prawdą, że wtenczas atmosfera i pobyt w mieście staje się często trudnym do zniesienia, zwłaszcza dla ludzi poważnych, uregulowanych, żyjących z zegarkiem w ręku, jak przystało na porządnych Niemców.

W porze letniej przedstawia Monachium groteskowy obraz wielojęzycznej Babel. Obok głosowych dźwięków niemieckich i angielskich, które dominują nad tem całem rojowiskiem ludzkiem, słyszymy lekkie niemal figlarne akcenty francuskie, melodyjne zdania włoskie, śpiewne zawodzenia rosyjskie, czasem bardziej szorstkie brzmienia polskie lub gładsze węgierskie, a obok tego jeszcze czystej krwi języki wschodnie, przedewszystkiem małoazyatyckie i tureckie. Monachium, po dwuletnim odpoczynku, postanowiło w roku przeszłym znowu ściągnąć potężne tłumy z czterech stron świata, by napełnić dokładnie ich złotem cudzoziemskiem wszystkie swe wory i miechy. A okoliczności do tego były dziwnie sprzyjające. Na ten rok bowiem przypadły wielkie widowiska re-

ligijne w niedaleko położonem Oberammergau. Te zaś mają dobrze ugruntowaną sławę w całym świecie. Powtarzają się, jak wiadomo, raz tylko na dziesięć lat już od paru wieków. Maleńka wioska górska, nawiedzana przez zarazę, ślubowała przedstawiać obrazowo Mękę Pańską. Ślubom tym wierną do dziś dnia pozostała. Tylko że dziś przedstawienia te przerodziły się już w olbrzymie widowiska stylowe, z udziałem tysiąc kilkaset osób ludności miejscowej. Mimo tej stopniowej przemiany nie straciły one swej pierwotnej prostoty i naiwności.

Nauczone doświadczeniem z przed lat dwóch, postanowiło Monachium wykorzystać tę sposobność. Już pół roku naprzód wszechmocna prasa obwieściła zdumionemu światu wystawę, jakiej dotąd nie było, wystawę sztuki mahometańskiej, urządzoną pod protektoratem księcia regenta Luitpolda. A zatem Wschód, ten bajeczny Wschód, wielu znany tylko z pieśni i powieści, miał tu przemówić po raz pierwszy prawdziwym, potężnym językiem. To było zaiste silne wyzwanie dla tłumów. A następnie szereg innych atrakcyi, ujmujących wprost za serce rzeczywistego turystę. Bo Monachium ma już wprawę i to dużą w przyrządzaniu *menu* turystycznego. Zwłaszcza od lat dwóch, t. j. od czasu zbudowania parku wystawowego, który pozostając raz na zawsze, tem samem ma służyć do wszystkich wystaw, jakich miasto może zapotrzebować w przyszłości.

W tem jednocześnie przebija się ogromna praktyczność, prawdziwie bawarska. Łatwiej bowiem jest pobudować trwałe i ładne pawilony na cele różnorodnych wystaw i widowisk, niż stawiać je za każdym razem prowizorycznie. Obok więc wystawy mahometańskiej, przeszłorocznego hasła międzynarodowego turystów, jest tu dalej olbrzymi wschodni bazar, do którego przesiedlono na czas wystawy całe kolonie rzemieślnicze, wraz z kobietami z głębi Turcyi, by pokazać, jak powstają owe bajecznie kolorowe dywany wschodnie i materye, cenne makaty, bronzy, misy, dzbany, klejnoty i świecidła. Wszystko, co wytwarza cały Wschód mahometański, zgromadzono, by przekonać giaurów, jak wielką jest potęga proroka.

Ale praktyczność i zapobiegliwość komitetu pomyślała o wszystkiem, umiejąc doskonale pogodzić *utile dulci*. Bo kiedy zmęczony parogodzinnem zwiedzaniem turysta, zapragnie odpocząć i pokrzepić znużone ciało, to ma do wyboru szereg zakładów bardzo ponętnych ze względów kulinarnych: albo wykwintną restauracyę, naprzeciwko wspaniałej, w górę bijącej, olbrzymiej fontanny, której miły chłód niweczy największe nawet wysiłki słońca; albo pełną swobody, prawdziwie ba-

warskiej, wielką halę piwną zjednoczonych browarów monachijskich; albo też miłą, a przytem wcale szykowną kawiarnię, kryjącą się w cieniu drzew. To są główne ośrodki, w których znużona ludzkość turystyczna szuka wytchnienia. Ale obok tych są jeszcze inne, mniejsze, niemniej powabne herbaciarnie, kawiarnie i cukiernie. Jednak na tem jeszcze nie koniec. Bo jeśli kto potrzebuje trwalszego spoczynku po wstrząsających wrażeniach blasku i przepychu sztuki ottomańskiej, dla tego stoi otworem prawdziwy ogród zabaw, urządzony w południowej stronie parku wystawowego, z całym szeregiem rozlicznych przyjemności, n. p. pawilonem dla jazdy konnej, halą do ślizgawki na łyżwach kółkowych, jazdą balonem do sterowania, »Parsewalem«, elektryczną koleją napowietrzną, i jeszcze z wielu innymi. Tu mieć może każdy z turystów w zupełności odpowiadającą sobie rozrywkę i naprawdę odetchnąć pełną piersią, wezbraną doczesnem zadowoleniem.

Gdy zaś dobrotliwa noc monachijska porozsyła już swe zwiastuny, wieczorne cienie, gdy uśmierzą się nielitościwe często skwary słoneczne, a w gąszczach parkowych ucichną już ptasze rozhowory, gdy cały park wystawowy zaiskrzy się tysiącami maleńkich lampek elektrycznych, a wielka fontanna zacznie się mienić świetlaną tęczą przecudnych kolorów — wtedy nadchodzi chwila, w której dla dusz wybranych zaczyna się prawdziwe misteryum żywej sztuki. Bo oto rozpoczyna przedstawienia najlepszy teatr w Niemczech, teatr Reinhardta, a równocześnie z nim cykl koncertów symfonicznych w olbrzymiej hali, niewątpliwie najlepszej orkiestry, na jaką się dotąd Rzesza Niemiecka zdobyła.

Oto tak mniej więcej wygląda program wystawy sztuki mahometańskiej, o którego wyczerpaniu w ciągu dnia, a choćby kilku nawet mowy być nie może. Bo komitet wystawowy dobrze poznał naturę turystów. On wie doskonale, że cudzoziemiec byłby raczej niezadowolonym, gdyby zdołał przerobić swój program turystyczny w ciągu dwóch lub trzech dni. Jakto, po to on leciał tutaj nieraz tysiące mil, przepływał oceany, nie sypiał przez szereg nocy w pociągach, po to wydał tyle złota na drogę, aby potem tylko dwudniowe zwiedzanie mogło mu dać dostateczną satysfakcyę? O nie. On raczej musi się zmęczyć, uznoić całotygodniowem, lub dłuższem zwiedzaniem, musi odczuć potrzebę trwalszego odpoczynku, by módz doznać rzeczywistego zadowolenia turystycznego. Tylko wtedy może z dumą odetchnąć, gdy przeglądając programy lub katalogi wystawowe, widzi, że wszędzie był, wszystko widział, niczego nie opuścił. Tak, tylko wtedy. A choć

tam z tego wszystkiego nie wiele zapamiętał, to to go bynajmniej nie martwi. Przecież nie jest obowiązkiem dzisiejszego turysty pamiętać o czemkolwiek, ani nie po to tu przyjechał. Punktem jego honoru turystycznego jest tylko wszystko widzieć, a temu zadość uczynił, stąd dumny spokój, wewnętrzne zadowolenie.

Dla tych właśnie powodów jest Monachium prawdziwą ziemią obiecaną turystów. Dlatego to oni tu ściągają w czasie sezonu dziesiątkami tysięcy na obfity żer. Monachijczycy zaś świetnie umieją wykorzystać tę porę. Oprócz bowiem głównej wystawy w parku wystawowym nęci w samem mieście szereg innych wielkich atrakcyi. Więc najpierw, jak zawsze, kroczą na czele sędziwe, rozliczne muzea, galerye, pinakoteki i glyptoteki. One już z dawien dawna mają dobrze zasłużoną sławę i nie potrzebują reklamy. Są ozdobą i chlubą miasta, areopagiem dawnej sztuki, przedmiotem nigdy niekończących się sporów prawdziwych uczonych. Ku nim zwraca się także w niemym hołdzie serce każdego z turystów. One też z wyrozumiałem pobłażaniem, odpowiadającem ich dostojności, przyjmują w swe progi każdego, nawet najbardziej turystycznie usposobionego cudzoziemca. Za niemi dopiero stoją zwartą falangą sezonowe wystawy malarskie. Więc najpierw największa i najgorsza, doroczna wystawa malarskiej rzeszy bawarskiej w Glaspalaście. Następnie niewielka, świetna wystawa »Secesyi« monachijskiej, a dalej *Moderne Galerie* z prawdziwym kwiatem nowoczesnego malarstwa niemieckiego, wkońcu zaś *Künstlergenossenschaft,* nie ustępująca zupełnie poprzedniej i oczywiście gorsza już *Jury freie Kunstausstellung,* mimo to jednak niemniej licznie odwiedzana.

Niemniejszą sławą, a także frekwencyą, cieszą się teatry. Jest ich wcale niemały poczet. Prym dzierży obok teatru Reinhardta *Prinz Regenten Teater,* który przyczynił się znakomicie do uświetnienia sezonu cyklem wspaniałych przedstawień Wagnera. Te pod względem rozgłosu równają się niemal głośnej operze Wagnerowskiej w Bayreuth, choć w rzeczywistości są nierównie od niej słabsze. W tym sezonie zarazem grany był cykl prześlicznych oper Mozarta. Widzimy zatem, że jest w czem przebierać, chcąc bez trudu zapełnić sobie wieczór. Ba, nawet jeśli kto znudzony ciągłem obracaniem się wśród murów ulicznych, zapragnie więcej powietrza czy przestrzeni, to i na to jest rada, bo oto miłościwie panująca Bawarom dynastya Wittelsbachów powznosiła w najbliższem sąsiedztwie miasta przepyszne rezydencye, otoczone cudnymi ogrodami, pełne arcydzieł dawnej sztuki, łatwo dostępne każdemu. Jest tu mowa przedewszystkiem o dwóch

zamkach królewskich, o Nymphenburgu i Schleisheim, o których turyści nie powinni zapominać. Obok nich jest jeszcze szereg innych uroczych miejscowości górskich, rozrzuconych dokoła Monachium, w najbliższej okolicy.

Tak to mniej więcej w miniaturowym zarysie przedstawia się sezon letni w Monachium. Jest on tem samem potężną konkurencyą dla licznych »badów« i »kurortów«. Powoli wchodzi on coraz bardziej w życie, za swą stałą porę obierając letnie miesiące. Zwolna za przykładem Monachium idą inne miasta n. p. Wiedeń, Londyn. I w ten sposób wytwarza się i ustala w życiu miast nowy, doroczny okres, którego większość mieszkańców, żądna sensacyi, wyczekuje z niecierpliwością, skracając lub odkładając przez to swój pobyt na świeżem powietrzu. Wtedy także i z tych samych pobudek napływają tłumy turystów i miasto w porze największych upałów, zamiast pustki zwykłej, cieszy się znacznem przepełnieniem.

Franciszek Klein.

Do dyskusyi o „podziemne drogi".

W odpowiedzi *Przeglądowi katolickiemu.*

Przegląd katolicki w n-rze 24 odpowiedział na nasz artykuł »Podziemne drogi«. Odpowiedź ta zmusza nas do wypowiedzenia jeszcze paru słów.

Najpierw mimochodem zaznaczamy, że pozostaje dla nas rzeczą niezrozumiałą, na co było potrzebnem *Przeglądowi katolickiemu* odczytywać pod naszym artykułem podpis, jakiego tam wcale nie było. Tutaj ponownie stwierdzamy, że artykuł »Podziemne drogi« pochodzi *od Redakcyi.*

Przechodząc do samej odpowiedzi *Przeglądu katolickiego,* wyrażamy radość i podziękowanie, że artykuł nasz uznanym został za »gruntowny i pełen trafnych uwag, którym nikt nie zaprzeczy«. Nie możemy jednak zgodzić się ze zdaniem, że nie odnosi się on wcale do *Przeglądu katolickiego.* Oczywiście w serca cudze nie patrzymy i intencyi cudzych nie znamy, ale też właśnie dlatego, że nie patrzymy i patrzeć nie możemy w serca i intencye, musieliśmy czytać artykuły *Przeglądu katolickiego* według ich brzmienia, t. j. tak, jak były napisane, nie zaś jak — być może — były pomyślane. I znaleźliśmy w nich-

nie samo tylko konstatowanie tych czy owych, pożytecznych czy szkodliwych faktów, lecz właśnie o c e n ę pewnych faktów w świetle pewnych z a s a d i potępienie tychże faktów z punktu widzenia tychże zasad. Owe właśnie zasady wydały się nam niemożliwemi do przyjęcia i dlatego poddaliśmy je krytyce po uprzedniem d o s ł o w n e m zacytowaniu z *Przeglądu katolickiego*. Przytem dowodzenie nasze nie było jakąś tylko czysto teoretyczną »budową djalektyczną«, gdyż uwzględnialiśmy właśnie konkretne warunki miejsca i czasu. Jeżeli artykuł nasz był gruntowny, jak przyznaje sam *Przegląd katolicki*, to nie pozostaje nic do życzenia, jak tylko by i konkretne zdarzenia były przez szanowne pismo oceniane w świetle tych zasad, co do których przynajmniej od ostatniego oświadczenia jest zgoda między nami.

Redakcya.

Druk ukończono 15 lipca 1911.

PRZEŻYCIA ESTETYCZNE A MORALNOŚĆ.

W dobie obecnej zaznacza się coraz żywiej ruch i usiłowania w kierunku kultury estetycznej społeczeństwa. Potrzeba zaspokojenia estetycznych wymagań ma swoje korzenie w naturze człowieka i istniała w większym lub mniejszym stopniu od tak dawna, jak dawno istnieje człowiek, ale że ta potrzeba zdołała wytworzyć świadomy siebie ruch, wytworzyć coraz głośniej uwydatniające się prądy wśród społeczeństwa współczesnego, to już leży w warunkach zewnętrznych, wśród których rozwija się i kształtuje życie współczesne.

Wiek zeszły i wiek obecny, to przedewszystkiem wiek maszyny. Wytworzyć jak najwięcej maszyn, było jego ideałem. I wytworzył ich niezliczoną ilość, nie tylko tych maszyn dziwnych ze stali, ale nie zadowalając się niemi, pokusił się człowieka zamienić w maszynę. Zachwycony wynikami regularnej, systematycznej i jednostronnej pracy maszynowej, postanowił szeroką, swobodną i różnoraką działalność człowieka ukształcić na wzór maszyny, ująć w karby, system, dać jej specyalizacyę. Nie tylko tysiące, miliony ludzi przykuł do maszyny i zrobił niewolnikami maszyny, ale system maszynowy, ograniczony, jednostronny, regularny wytłoczył swe piętno na całem życiu współczesnem. Nigdy panowanie rutyny nie było tak uderzające w całem społeczeństwie, jak w ostatnich czasach. Robotnik, urzędnik, żołnierz, profesor mają życie ujęte w ścisłe ramy. Do nich stosuje się większa część społeczeństwa, całe życie młodych pokoleń

związane systemem szkolnym pod względem czasu, przedmiotu nauki, sposobu jej odbywania. Biura, koszary, szkoły, magazyny, fabryki — to wykładniki postępu maszynowania współczesnego życia.

Fabryka zwłaszcza — ta fabryka z całą systematyczną regularnością najdrobniejszego ruchu, z całą monotonią i ustawicznem powtarzaniem tego samego, z pyłem i czarnym osadem opadających dymów, z brudną atmosferą, zatapiającą wszelką jasność form i barw i światła, z tym kominem czarnym, co sterczy jak cmentarny znak, gdzie grób znalazła swoboda, jasność i radość i piękno — jest naprawdę odpowiednim symbolem i wyrazem tych szarych, maszynowych stosunków, w jakie układa się życie współczesne. Przeciw temu upośledzeniu życia ludzkiego, przeciw traktowaniu go jak maszyny, byle tylko bardziej była wydatną, musiał się kiedyś objawić opór: tak dalej iść nie może.

Natura ludzka zaprotestowała — i to przynosi jej zaszczyt, że zaprotestowała, a objawem tego protestu to wzmożenie się wymagań estetycznych i ten ruch, by pierwiastek estetyczny znalazł możliwie najszersze uwzględnienie w życiu, przenikał wszystkie jego objawy i rozsiadł się na wszystkich polach.

Zażądano sposobności do zajęcia się przyjemnego, postanowiono stworzyć dookoła człowieka atmosferę estetyczną, któraby mu dała możność zapomnienia o twardej rzeczywistości i łatwą sposobność do rozradowania oczu, uszu, serca obecnością takich przedmiotów, o takich własnościach, jakich one pragną. Więc w wzmożonej propagandzie na rzecz estetycznych przeżyć znalazł upustów protest pokrzywdzonej natury ludzkiej, która zwolna i nieznacznie uczuła się dotkniętą i miażdżoną jednostronnością rozwoju stosunków nowożytnych. I zaczęto wołać o piękno w życiu, zaczęto domagać się, żeby szarzyznę życia ustroić i uświęcić pięknem, aby wybudować mu świątynie, kształcić kapłanów, wyszukiwać ich, otaczać opieką, niech idą i służą pięknu, niech wytwarzają uroczystości piękne i błogosławią całemu życiu poświęceniem piękna. I rozpoczął się w ten sposób ten ruch, który estetyk francuski Sizeranne dobrze scharakteryzował, nazywając go kultem piękna.

Prorokiem, który z ogromną siłą uświadomił w sobie te w głębiach duszy tkwiące uczucia bolu za zanikającem w życiu pięknem i pierwszy z żywiołowym ogniem zapału i energii począł domagać się należnych praw dla piękna, był Ruskin. Jego natchnione słowa, pisma, dzieła rozbrzmiewały potężnie po całym świecie, znajdując wszędzie rozbudzone echa takich samych nawoływań. Dziś nie słychać tego groźnego pomruku, jaki wydawały pierwsze impety wzburzonego ruchu, ale ta szerokość terenów, zajmowanych przez wywołane fale, ta wszechstronność, z jaką estetyka dąży do zawładnięcia każdym objawem życiowym i rozpostarcia swego panowania na wszystkich polach, na wszystkich stosunkach, jest wynikiem owych pierwszych, potężnych rozpędów, wytworzonych przez Ruskina. Dziś mocą pchnięć, mocą nabytego ruchu kult piękna posuwa się naprzód, zdobywa sobie prawa coraz większe, staje się czynnikiem w życiu, z którym się liczą nie tylko pojedyncze osoby, ale organizacye i całe społeczeństwa. W literaturze, w sztuce dramatycznej i plastycznej, w muzyce i w architekturze, w urządzeniu mieszkań, w budowie miast, w ubraniu i sprzętach domowych, wogóle w całem urządzeniu życia, w tych rozpowszechniających się i u nas wycieczkach, zdobywa sobie pierwiastek estetyczny wybitne znaczenie teoretyczne, jak i praktyczne uwzględnienie. Coraz szersze warstwy społeczeństwa już nie tylko nieświadomie, ale z zasady dążą do tego, by stworzyć sobie atmosferę do jak najliczniejszych i jak najintensywniejszych estetycznych upodobań.

Kiedy szlachetny Ruskin rzucał w świat swe płomienne słowa w sprawie wskrzeszenia piękna w życiu, to w jego pięknej duszy identyfikowały się niemal dwa pojęcia piękna i dobra. W jego umyśle nie było ściany, któraby je dzieliła; głosząc i organizując kult piękna działał w przekonaniu, że każde jego zużytkowanie w przeżyciu estetycznem podniesie wartość człowieka, zapali w duszy nowe ogniska szlachetnych uczuć. »Mówiłem i gdzieindziej, że dobry gust jest z natury rzeczy zaletą moralną a żadne z moich twierdzeń nie było przedmiotem częstszych dyskusyi, niż to właśnie. Otóż pozwólcie mi uzasadnić odrobinę ten stary mój dogmat. Gust nie tylko tworzy jakąś część, nie tylko

jest rysem charakterystycznym moralności, ale jest samą moralnością«. Nie przesądzamy słuszności tego pojęcia Ruskina, tylko zaznaczamy, że w jego rozumieniu zlewały się w jedną całość zalety estetyczne i moralne tak, że pielęgnując kult piękna wierzył i był przekonany najświęciej, że podnosi przez to samo stan moralny człowieka i społeczeństwa, że ogień, który roznieca nie tylko rozbłyśnie w duszy rozkosznymi blaskami, ale się stanie tą siłą do podźwignięcia jej do szlachetniejszych moralnie form bytu.

Ruch, na ogromną skalę rozpoczęty przez Ruskina, falami ogromnemi poszedł drgać wśród społeczeństw, ale nie rozszedł się wszędzie z tem samem zabarwieniem moralnem, z jakiem się przedstawiał w umyśle Ruskina. Pięknu zaczęto budować świątynię, ale tak dziwną i chaotyczną, tak różne materyały znoszą na jej budowę, że nieraz z prawdziwie bardzo uzasadnionem powątpiewaniem patrzeć należy na tę całą robotę i z trwogą oczekiwać niepocieszającego końca jej i owoców.

Nie brak wprawdzie i takich, co w duchu Ruskina i w myśl wielkich filozofów ludzkości nie stawiają przedziału między estetyką i moralnością, temi dwoma wartościami życiowemi człowieka, i pilnie zwracają uwagę, aby do budowy świątyni piękna wnoszono materyał, który i pod względem moralnym nic nie pozostawia do życzenia, ale kto zważał na charakter i interesował się duchem głosów, jakie się podnoszą w sprawach estetycznych, ten stwierdzić musiał z przykrością, że przeważająca ich liczba robi na ogół wrażenie, że wzgląd na moralność, jeżeli nie został usunięty, to przynajmniej nie bierze się go w rachubę w sprawach estetycznych przeżyć. Wygląda tak, że kult piękna odbywa się z pominięciem częstokroć i ze zniewagą kultu Boga: w świątyni, którą się stawia dla piękna niema miejsca na ołtarz dla Boga, a do jej wzniesienia bierze się materyały zewsząd, nie gardząc i takimi, które moralnie są niezdrowe, a nawet zdarza się i tak, że dla zadokumentowania rozwodu między pięknem i dobrem, umyślnie przedmiot skądinąd wartościowy estetycznie brudzi się moralnie, jakby nie można było żadnej cegiełki wstawić do gmachu piękna, którejby się wpierw nie zanurzyło w moralnem błocie.

»To też ja tak obmyśliłam — mówi w »Róży« Żeromskiego jedna z zapalonych kapłanek sztuki — żeby właściwie sztuki nie profanować sprzedawaniem, lecz raczej sprzedawać siebie. Sprzedam się za drogie pieniądze jako kobieta... a mając kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie, będę malować dla siebie, nie wystawiać, malować, jak zechcę«. To chyba przejaskrawiony obraz takiej pracownicy przy świątyni piękna, niemniej jednak jest typowym dla środowiska, które daje możność wytworzenia się tak wykoszlawionej osobistości i jest dowodem tego zamieszania pojęć, jakie na punkcie kultury estetycznej nastąpiło między pojęciem wartości estetycznych i moralnych na niekorzyść tych ostatnich.

W każdym razie jeśliby już kult piękna nie gwałcił zasad moralności szczegółowych, to jednak ogólny kierunek, któremu hołduje przeważna część pionierów tego kultu, ogólne hasło, które nad nim wywieszone powiewa, Nietschowskie: *jenseits vom Gut und Bösen* — jest już głęboko niemoralnem i nieprawdziwem. W niem leży źródło niejednego niezdrowego objawu, związanego z kulturą estetyczną, a zarazem podstawa do jakiegoś nieufnego spoglądania w przyszłość, czy kultura estetyczna, której sprawę słusznie podjęto, przyniesie spodziewane korzyści, czy może fałszywe zasady, występujące przy jej realizowaniu nie zaciężą przekleństwem na życiu ludzkiem.

Bez wątpienia piękno, jego istnienie i działanie na człowieka ma doniosłe dla niego znaczenie. Człowiek naprawdę nie jest maszyną, ani siłą roboczą, którąby można jedynie zużytkować przy kieracie pracy. On w swojem wnętrzu nosi świadomość, że mu się należy i pewna suma przyjemności, i to nie tylko ta, która ma być ostateczną zapłatą za pełne zasług życie, ale też, że mu wolno i teraz użyć możliwych przyjemności w granicach rozsądku. A przedewszystkiem czuje, że ma prawo, a nawet wskazania w naturze swej, żeby użyć tych narzucających się lub łatwych do zdobycia, wysubtelnionych rozkoszy, jakiemi są przeżycia estetyczne. Na to jest piękno, żeby go użyć — powiada sobie słusznie.

Wśród twardych praw pracy otrzymał człowiek i nakaz przerwania roboty. Dzień siódmy miał być wolny od pracy służebnej,

a poświęcony sprawom wyższym duszy. Czem w szeregu dni dzień odświętny, tem w spraw szeregu przeżycia estetyczne. Ślad służebnej pracy mozolnej gdzieś w nich zanika, a przebieg cały przynosi wypoczynek, rozradowanie. I jest święto w duszy. Duszę nawiedzają jakieś świetlane postacie, jakaś harmonia dziwna a pieściwa je zalewa, a wśród tego zalewu pieszczoty, w towarzystwie dobranem tych postaci człowiekowi samemu lepiej, weselej i bardziej świetlano. Przeżycia estetyczne przynoszą człowiekowi nowe formy życia, ubogacają go i rozprzestrzeniają, a wznosząc po stopniach do coraz to wyższych rodzajów piękna, coraz subtelniejszych, wskazują człowiekowi kierunek do osiągnięcia jego najwyższych szczytów w Bogu a zarazem ponętą rozkoszy pomagają do dźwigania się ku nim. Więc piękna i złączonych z jego użyciem przyjemności lekceważyć się nie godzi, raczej użyć i wykorzystać w celach wskazanych.

Ale te korzyści i pomoc dla wszechstronnego rozwoju życia człowieka, aż do osiągnięcia jego najwyższych szczytów w posiadaniu Boga, najwyższej piękności i źródła piękności, zrealizować można pod jednym warunkiem, że nada się życiu kierunek jednolity i właściwy.

Człowiek jest i czuje się jedną całością. Czuje, że przy całej mnogości swych części jest jednym, że tworzy jedną osobę, która i istnieje jako jedna całość i działa jako całość. Jego »ja« jest wybitnym wyrazem i przedstawicielem jego jednolitości. To »ja« obejmuje i skupia wszystkie części składowe jego osoby, oraz wszystkie czynności, działania wypełniające jego życie. »Ja« panuje ponad wszystkiem, co w jakikolwiek sposób znajduje się w człowieku.

Co się tyczy działalności, która w człowieku jest nader rozmaitą i często wykazuje dążności rozbieżne, a dla całości człowieka, jego zadań i przeznaczeń szkodliwe, to osoba człowieka je także jednoczy. W tym celu wyposażona została przez Boga głęboko w naturze złożoną tendencyą, która, wyższa ponad dążności poszczególnych stopni życiowych w człowieku, jest wyrazem i przedstawicielem interesów człowieka jako w sobie zamkniętej całości — interesów człowieka jako człowieka, jego osta-

tecznych celów i przeznaczeń. Ta zasadnicza siła człowieka, która pcha i kieruje interesami jego całego życia, która czuwa nad zrealizowaniem jego zadań i celów — wytycza mu drogi, zmusza by niemi szedł ustawicznie i nie zbaczał na zgubne dla siebie tory, to tak zwana tendencya moralna.

Człowiek z natury swej jest moralnym i ta moralność jest najgłębszą i najcharakterystyczniejszą oraz najcenniejszą zaletą jego istoty.

Jakiekolwiek ktoś ma zapatrywania filozoficzne, jakkolwiek zechce sobie tłumaczyć moralność, nie zmieni jednak samego faktu, że człowiek jest moralnym, t. j. czuje w sobie możność i pełen odpowiedzialności obowiązek opanowania swych poszczególnych sił, władz i dążności i kierowania niemi w działaniu swem według norm, jakie sobie sformułuje na podstawie całokształtu swej natury i jej wymagań. Człowiek czuje i rozumie, że nie powinien na ślepo iść za każdą zachcianką i każdem wymaganiem, jakie się mu nasunie, nie ma się puszczać za każdym prądem, jaki w sobie poczuje, ale że ma wszystkie prądy ująć, przeznaczyć im jeden kierunek, zatamować lub użyć celowo, według tego, jak wymaga jego ogólne stanowisko i dobro.

I ta dążność moralna, której uzasadnienie głębokie dają filozofowie metafizyczni, z której objawami, jako faktem, liczyć się muszą pozytywni badacze i psychologowie jest rzeczywistością w życiu, jest czemś, co życiu nadaje kierunek i tężyznę i jednolitą zwartość, z czem każdy człowiek normalnie rozwinięty ma ciągle do czynienia, i której absolutnie nigdy za nawias w życiu wysunąć nie można. Można przeciw niej wykroczyć, zadać gwałt, ale zgwałcona, ona umie upomnieć się o swe prawa i biczem wyrzutów sumienia chłostać będzie, nie dając spokoju, aż zdoła przywieść człowieka do potępienia fałszywego swego kroku, naprawy błędu i uznania napowrót nieprzedawnionych praw moralnych. Gdyby go do tego nie skłoniła, wówczas nie omieszka się zemścić ostatecznym i nieodwołalnym kataklizmem i straszliwym przewrotem w naturze człowieczej, jaki ze sobą przyniesie potępienie przez Boga, niecofającego się prawodawcę i stanowczego obrońcę tych praw. Moralność jest prawem w duszę

człowieka przez Boga złożonem i w niej wyrytem, a prawem, które nie znosi żadnych kompromisów ani wyjątków w obowiązkach, jakie nakłada; ona ciąży nad każdą czynnością człowieka, ciąży jako błogosławieństwo lub przekleństwo — błogosławieństwo gdy człowiek żądaniom jej uczyni zadość, przekleństwo gdy wbrew jej rozkazom postąpi.

Tę ogólność i powszechność, to absolutne znaczenie i panowanie moralności nad życiem ludzkiem i wszystkimi jego świadomymi objawami trzeba mieć na względzie, kiedy nam chodzi o rzetelne zrozumienie znaczenia estetycznych przeżyć w życiu człowieka. Znaczenie to bowiem zależy jedynie od stosunku, w jakim stoją przeżycia estetyczne do najwyższego wyrazu dążności ludzkich, którym jest moralność. Stosunek zatem układa się prosto: takie znaczenie przeżyć estetycznych dla życia, jakie jest ich znaczenie dla moralności. O ile one przychylnie lub nieprzychylnie odnoszą się do moralności, o tyle popierają lub szkodzą istotnym interesom życiowym człowieka.

A nadto z tej absolutnej wartości praw moralnych, oraz z pierwszorzędnego stanowiska, jakie dążność moralna zajmuje w życiu człowieka, wynika i to, że stanowisko przeżyć estetycznych nie może być równorzędne ze stanowiskiem moralności. Jeśli bowiem dążność moralna, dążność do tego, co godziwe i dobre stanowi wnętrzną grawitacyę całego człowieka, to oczywiście nie może być żadnej czynności, żadnego przeżycia, którychby nie objęła owa grawitacya całości. Jeżeli się znajdują w człowieku jakieś czynności o odmiennym charakterze, jakieś przeżycia lub nawet tendencye, które nie są same przez się moralne, to i one muszą podpaść pod ogólny kierunek ciążenia całej natury człowieka i dostosować się do jego wymagań moralnych. Gdyby w człowieku mogły istnieć jakieś dążności inne, autonomiczne, stojące poza obrębem interesów moralnych, kierujące się swojemi prawami bez względu na moralność, wtedy nosiłby człowiek w swem wnętrzu czynniki niepowiązane ze sobą, dążności sprzeczne, wywołujące ciągłą anarchię, działające na jego szkodę. I to działanie na szkodę musiałoby być stanem jego naturalnym. Człowiek sam byłby aglomeratem nie tylko różnych czynników,

jakim rzeczywiście jest, ale i niepowiązanych żadną myślą, żadnym celem, żadną tendencyą ogólną, owszem w rozbieżności swej niszczących się wzajemnie. Ze względów więc jedności natury człowieczej, ze względów na interesy życiowe człowieka jako człowieka, muszą i przeżycia estetyczne podpadać pod prawa jego natury moralnej. I przeżycia estetyczne nie są czemś samodzielnem w człowieku, nie są państwem w państwie, lecz muszą podlegać zwierzchnictwu praw moralnych, praw terytoryum, na którem się znajdują.

Akcentując to podporządkowanie przeżyć estetycznych pod względy i wymagania moralności, wcale nie zamierzamy ich bagatelizować lub niemi pogardzać jako małowartościowemi. Wyżej podnieśliśmy ich doniosłość w życiu człowieka, jako ubogacenie tego życia i wielką pomoc do osiągnięcia jego celów, ale tutaj sprowadzamy ich znaczenie do właściwej miary. Nie można przecież o przeżyciach estetycznych sądzić według entuzyastycznych wyrażeń i deklamacyi ich zapalonych wielbicieli, którzy w uniesieniu szczerem czy udanem nie potrafią utrzymać stosownej miary. Należy owszem brać rzeczy tak, jak są, a każda przesada na rzecz estetycznych przeżyć może je tylko zdyskredytować w opinii rozsądnej. Że zaś w człowieku nie może nie wiedzieć prawica, co czyni lewica, albo raczej rozum nie może zamknąć oczu na to, co się dzieje na obszarze, nad którym ma nadzór, i wola nie może być obojętną względem życiowych interesów człowieka, które zastępuje; przeto i przeżycia estetyczne pewnie dochodzą do wiadomości rozumu, który je ocenia i klasyfikuje a wola będzie pewnie starać się zepchnąć je na tory swoich wymagań. I w ten sposób, czy chcą czy nie chcą, przeżycia estetyczne nabierają charakteru moralnego.

Nie znaczy to, że są one zawsze godziwe i moralnie dobre, ani że trzeba puścić rzeczy swoim torem, nie troszczyć się o moralność przeżyć estetycznych, w przekonaniu, że każde przeżycie już tem samem, że estetyczne, odpowiada wymaganiom moralności. Takby wynikało z przekonań np. takiego Herbarta i jego szkoły. W jego rozumieniu »poczucie moralne nie różni się od smaku li-

terackiego, muzycznego i plastycznego«. Berdyczewski[1] także do tego stopnia zidentyfikował wymagania estetyczne i moralne, że wydaje mu się nawet wogóle niepotrzebne poczucie moralne w życiu, bo może je zastąpić smak estetyczny. Podobnie wyglądało wyżej przytoczone przez nas zdanie Ruskina, że smak estetyczny jest moralnością samą. Jeżeli to prawda, że poczucie estetyczne nie różni się od moralnego, to wtedy każde przeżycie estetyczne będzie tem samem moralne i dobre. Otóż my stoimy na stanowisku wprost przeciwnem. Należy dbać o moralność estetycznych przeżyć, bo one same z siebie niekoniecznie zawsze są moralne. Aczkolwiek pomiędzy przeżyciami estetycznemi a moralnością człowieka powinna zachodzić zgoda, jakkolwiek leży w interesie moralności, żeby przeżycia estetyczne do jej wymagań się zastosowały, a także i jednem z warunków estetycznych przeżyć jest aby się nie sprzeciwiały moralnym dążnościom człowieka, jednakowoż dwa te pola działalności duchowej człowieka nie utożsamiają się ze sobą, jak to utrzymują powyżsi estetycy. Są to dwie dziedziny życia różne, odmienne, tylko stykające się z sobą, wkraczające w siebie wzajemnie, i leży to w interesie obydwóch, żeby się wzajem uwzględniały, stosownie do stanowiska, jakie względem siebie zajmują, ale każda ma swój odrębny charakter, odrębne prawa i organizacyę.

Przeżycia estetyczne, to są te chwile naszego życia, w których stykamy się z przedmiotami pięknymi. Są to te wrażenia, uczucia, te wszystkie objawy życiowe, jakie się w nas wywiązują, gdy słuchamy pięknego śpiewu lub dobrej muzyki, gdy patrzymy na piękne widoki w naturze lub sztuce, jesteśmy obecni na pięknem przedstawieniu teatralnem, czytamy piękne utwory literackie. Jakakolwiekby była ich strona fizyczna, jakiekolwiek czynniki na nie się składają, to wszystkim im jest wspólne, że są one źródłem rozkoszy i przyjemności dla człowieka. Jest to narzucający się w oczy ich przymiot, tak dalece dla nich charakterystyczny, że wszedł jako czynnik do najpopularniejszej definicyi piękna: pięknem jest to, co się podoba. I rzeczywiście praktycznem w życiu

[1] *Über den Zusammenhang zwischen Ethik und Ästhetik.* Bern 1897.

kryteryum, według którego pospolicie oceniamy wartość estetyczną przedmiotów, jest ostatecznie to, że nam się podobają. Dlatego też z całą słusznością przeżycia estetyczne możemy scharakteryzować, jako przeżycia przyjemne, w których chodzi o to, aby człowiekowi dostarczyły przyjemności.

Ale już ta zasadnicza cecha przeżyć estetycznych przekonywa nas, że one nie utożsamiają się z przeżyciami, t. j. czynnościami moralnemi, jako takiemi. O co innego chodzi w przeżyciach estetycznych, a co innego mają na względzie czyny i przeżycia o charakterze moralnym. Tamte mają miejsce, gdy człowiek, stykając się poznawczo z przedmiotem, dozna od niego przyjemności, moralne zaś czynności, gdy się stosują do wymagań obowiązku, albo przynajmniej nie sprzeciwiają się im. W tych ostatnich czynnikiem decydującym jest charakter godziwości lub obowiązku, który je powołuje do życia i towarzyszy podczas ich trwania. Estetyczne istnieją dla przyjemności, na przyjemności polega ich charakterystyczne zabarwienie.

I dlatego, biorąc rzecz czysto abstrakcyjnie, w oderwaniu, przeżycia estetyczne, jako zajęcia spostrzegawcze, złączone z upodobaniem oczywiście nie noszą na sobie żadnego charakteru moralnego i stoją poza obrębem moralnej oceny i klasyfikacyi. Jeśli o kimś wiem tylko tyle, że używa przyjemności zwiedzając muzea lub wystawy sztuk pięknych, nie mogę na podstawie tego ani go pochwalić, ani zganić, nie mogę wogóle żadnego wydać sądu o moralnej wartości jego postępowania. Do tego sądu potrzeba będzie wiadomości bardziej szczegółowych, dokładniej określających chwile estetycznych przeżyć. Owe ogólne pojęcie estetycznych przyjemności absolutnie nic nie mówi, nie zawiera w sobie żadnego względu na stronę moralną. Ze stanowiska abstrakcyjnego wychodząc, zupełną słuszność należy przyznać tym estetykom, którzy oddzielają dziedzinę życia estetycznego od pola moralności i odrębne dla każdej z tych dziedzin formułują prawa. I w tem też rozumieniu czysto abstrakcyjnem, przeżycia estetyczne są *jenseits vom Gut und Bösen*, poza sferą moralności, dlatego, że ich od siebie wzajem abstrahują. Ale tylko w tem znaczeniu abstrakcyjnem. Jak tylko bowiem zejdziemy z pola ogól-

nikowych abstrakcyi, natychmiast sprawa przedstawi się zupełnie inaczej. Pokaże się mianowicie, że poznanie abstrakcyjne, to poznanie niedokładne, jednostronne, nieuwzględniające wielu cech, w rzeczywistości istniejących, które z abstrakcyjnego pojęcia wypadły. Życie zaś idzie innym torem. Nie jest ono terenem, na którymby mogły się znaleźć abstrakcye i pojęcia myślowe w swej logicznej jednostronności; w rzeczywistym świecie nie żyją idee ogólne, nie pojęcia oderwane od miejsca, czasu i wszystkich wogóle stosunków, lecz tak ludzie i rzeczy jak i działania ich są oplątane całą mnogością rozmaitych stron i zatopione w morzu stosunków i tysiącznych odnośni.

To też i przeżycia estetyczne w rzeczywistości nie są tylko miłem i przyjemnem zajęciem poznawczem i niczem więcej, tak, jak to się wydaje w ich pojęciu abstrakcyjnem, ale na ich konkretny sposób istnienia składa się cały szereg różnych innych stron i innych stosunków, które w nich są i w rzeczywistości od przeżyć tych oddzielić się nie dadzą. Kiedy np. widzę chłopca, jak na uboczu płonącymi oczyma wodzi po książce, przerzuca jej kartki, cały nią zajęty i w niej zatopiony, to jego zajęcie lekturą piękną nie jest tylko przeżyciem estetycznem, ale jest jego świadomą czynnością, która odbywa się w tem lub owem miejscu, stosownem lub niestosownem; odbywa się w czasie, w którym należałoby może co innego robić, do szkoły się gotować lub inny obowiązek spełnić, stoi w związku z charakterem i usposobieniem, chwilową ciekawością chłopca i jego decyzyą na czytanie, zależy ona od książki samej, i jej treści oraz charakteru i sposobu, w jakim jest napisana; stoi w stosunku do woli rodziców, którzy pozwolili albo zabronili ją czytać. Są to wszystko szczegóły związane mniej lub więcej z przeżyciem estetycznem w rzeczywistości, a w tych szczegółach mieszczą się elementy, które nie mogą pozostać obojętne dla moralności. Owszem w tych właśnie elementach stosunków i rozmaitych odnośni, których abstrakcyjne pojęcie nie uwzględniało i wyłączało, wychodzi na jaw charakter moralny estetycznych przeżyć. Dlatego, że przeżycie estetyczne, w danym wypadku czytanie pięknego dzieła literackiego, odbywało się w czasie niestosownym, z pominięciem obowiązku, że

treść książki była zła, więc i samo czytanie z wielu względów stało się czynnością etycznie złą i niegodziwą. Jako świadomy, z rozmysłem spełniony czyn wśród okoliczności niedozwolonych, zostaje on cały zalany niegodziwością tych okoliczności i stosunków i napiętnowany jako zły. Stoimy w tym wypadku przed estetycznem przeżyciem, miłem, bo zajmującem, a jednak etycznie złem i niegodziwem. I może w niem mieścić się niegodziwość rozmaita. Tyle w niem będzie odcieni zła moralnego, ile przez jego spełnienie wywiązało się fałszywych stosunków do rozmaitych obowiązków.

Oczywiście, że tak samo jak jedno przeżycie estetyczne jest moralnie złem, tak inne może być godziwe i zasługujące na uznanie, z tą tylko różnicą, że aby jakieś przeżycie estetyczne było całkiem moralnie dobre, potrzeba, żeby odpowiedziało wszystkim wymaganiom etycznym, gdy tymczasem wystarcza nie dostosować się do jednego z różnych wymagań moralnych, grupujących się około tego przeżycia, aby na nie ściągnąć piętno niegodziwości moralnej.

Nie wszystkie czynniki decydujące o charakterze moralnym estetycznych przeżyć wypływają z samej istoty tychże przeżyć. Jedne z nich należą do estetycznych przeżyć tylko przygodnie, jako ich okoliczności, inne znów związane są z samą ich istotą wewnętrzną. My wykluczmy z przeżyć estetycznych te wewnętrzne elementy, jak stosunek ich do miejsca i czasu, do osób innych, bo one tylko luźnie doczepione są do nich, a zresztą doczepiać się mogą do każdej czynności człowieka, bez względu na jej charakter estetyczny lub nieestetyczny. Weźmy pod uwagę wyłącznie te czynniki, które wchodzą w skład przeżycia estetycznego, jako takiego, i bez których żadne przeżycie estetyczne się nie obejdzie. W nich samych szukajmy punktów stycznych do ich związku z moralnością.

Pod tym względem cennymi mogą być dla nas rezultaty badań nowszych estetyków. Kierunek mianowicie psychologiczny, który dominujące zajął stanowisko w studyach estetycznych a przez swe szczegółowe obserwacye, przez analizę psychicznych stanów, wywołanych pięknem, dużo rzucił światła na przebieg estetycz-

nych przeżyć, dał nam możność głębszego zrozumienia związku, który nas tu obchodzi. Mimo pewnej skrajności zapatrywań pojedynczych badaczy i rozbieżności ich poglądów wskutek zbytniego akcentowania jednostronnych spostrzeżeń, główne linie wyników tych prac zarysowały się dość wyraźnie, żeby sobie zdać sprawę z przebiegu estetycznych przeżyć.

Opierając się na tych badaniach dochodzimy do wniosku, że w przeżyciach estetycznych bierze udział cała psychiczna organizacya człowieka. Nie są one tylko jakiemś poznaniem, rozumowaniem, patrzeniem, słuchaniem, intuicyą jakiegoś przedmiotu, na zimno, obojętnie, jak na rzecz obcą, — nie — przeżycie estetyczne to jest wzburzenie całej istoty człowieka na widok piękna, jest to wyrywanie się do niego całej istoty ludzkiej, wyjście z siebie, aby wejść do niego, zmieszać się z niem i stopić i być niem, myśleć, działać, czuć i żyć jego wnętrznem życiem. Przeżycie estetyczne, o ile ono dosięgło końcowych swych stopni, jest jednem z najintensywniejszych przeżyć człowieka wogóle. Biorą w niem udział wszystkie władze człowieka, tak cielesne i zmysłowe, jako też duchowe i intelektualne, tak poznawcze jak i pożądające — całe wnętrze człowieka jest żywo poruszone. Począwszy od owych zmian fizyologicznych w akcyi serca i ruchu krwi, które notują fizyologowie, wszystko wchodzi w ruch, drgają w jakiemś harmonijnem tempie zmysły i nerwy, ożywia się wyobraźnia, budzi pamięć, interesuje rozum, ruszają skłonności, wzniecają żądze, formują uczucia, pracuje wola. Fałszywa jest dla swej jednostronności estetyka fizyologiczna, która całe przeżycie estetyczne chciałaby zredukować do pewnych przyjemnych drgań w systemie nerwowym, nie uwzględniając strony duchowej, intelektualnej tych przeżyć, ale też nie odpowiedziałby rzeczywistości, ktoby tak dalece wynosił stronę intelektualną, że stronę czuciową zostawiłby mało uwzględnioną. W przeżyciach estetycznych jedna i druga strona zaznaczają swą oczywiście działalność i wspólnie zajmują się tym samym przedmiotem. Cały ten aparat wszystkich władz zespolony ze sobą ściśle, tak ściśle, że trudno oznaczyć granice, gdzie kończy się działalność jednej władzy a zaczyna drugiej, całą swoją złączoną działalność kieruje do jednego celu: by na-

potkany przedmiot piękny zbliżyć do siebie, objąć, żeby go wyssać i wessać w siebie, żeby go przerobić w siebie, a siebie przerobić na niego.

I skądże to wzburzenie tak wielkie, skąd tak intensywne zajęcie i wyglądanie za przedmiotem? Oto wywołał je przedmiot, z którym się człowiek zetknął w swojem poznaniu. Przedmiot ten przedstawił się człowiekowi w tak dobrem i ponętnem świetle, tak swemi własnościami umiał sobie ująć człowieka, że pociągnął go całkiem ku sobie. Odpowiedział psychologicznemu ustrojowi człowieka. Umiał on przybrać na się takie własności, że wchodząc do duszy kolejno pochlebił i pochlebstwem pozyskał sobie wszystkich odźwiernych, a we wnętrzu tak umiał się dostosować do całej atmosfery, że z czemkolwiek tam przybywa, z weselem czy smutkiem, z gniewem czy trwogą, z miłością czy nienawiścią, poważnie czy lekkomyślnie, zawsze jest mile widzianym gościem, którego przyjmuje się z przyjemnością, otwiera się dlań wszystkie podwoje, pada mu w objęcia i chciałoby się z nim być jak najdłużej. I występuje wskutek tego w przeżyciach estetycznych to dziwne uczuciowe zlewanie się człowieka z przedmiotem, który mu przypadł do gustu; zlewanie, w którem niemal zatraca się świadomość rzeczywistości, panowanie nad sobą; zapomina się o swem własnem życiu, a żyje się i chce się żyć życiem, uczuciami, jakie wzbudził i narzucił człowiekowi przedmiot.

Najbardziej szczegółowo opisał to zlewanie w swych dziełach Teodor Lipps, i raz po raz podkreśla on to przenoszenie i wżywanie się człowieka w przedmiot, sytuacyę, uczucia, działalność, jaką on przedstawia. »Pogrążone w rozważaniu »ja« odrywając się od siebie, przenosi się w dzieło sztuki zupełnie — albo przeciwnie, to, co stanowi przedmiot rozważania przenosi się do mnie, do mego »ja« w rozważaniu pogrążonego i wypełnia mię całkowicie. Nie jest to tylko wrażenie; to za mało; estetyczne przeżycie jest przeżyciem, jest pełniejszem przeżyciem tego, co daje dzieło sztuki« [1].

Nie przytaczam podobnych opisów estetycznych przeżyć,

[1] *Die aesthetische Betrachtung und die bildende Kunst*, str. 55.

znajdujących się u innych autorów. Zamiast wielu, niech jeszcze posłuży zdanie, wyjęte z psychologicznych studyów H. Mayera[1] »Do estetycznych wyobrażeń dołącza się i wiąże zawsze uczucie najgłębszego osobistego wzruszenia, najżywszego udziału w tem, na co patrzymy w obrazie estetycznym, uczucie bezpośredniego przeżywania, które nas zupełnie przenosi w wyobrażone sytuacye«.

Tak więc w estetycznych przeżyciach, człowiek łączy się z przedmiotem. Nie fizycznie. Fizycznie może być od niego nawet bardzo daleko; nie poznawczo tylko, bo człowiek nie tylko przyjmuje go do wiadomości obojętnie, jako coś obcego, coś, co go niewiele obchodzi, ale łączy się z nim szczególnym sposobem całą swą psychiką, całą duszą, przyjmując na się charakter przedmiotu, jego działanie, uczucia, usposobienie.

Nie chodzi nam tu o tłumaczenie psychologiczne tego faktu, ale chodzi o fakt sam tego rozkosznego ogarniania duchowego przedmiotu w przeżyciach estetycznych i przyswajania go sobie z jego właściwościami.

Ten pobieżny szkic w głównych rysach oddaje charakter przeżycia estetycznego w jego najwyraźniejszem natężeniu. Nie wszystkie przeżycia dochodzą do tego stopnia. Częstokroć gasną z rozmaitych względów i przeszkód przedtem, zanim się zdołają rozwinąć. Wówczas zostają niedokończone. Przedmiot nie zdołał jeszcze objąć i porwać za sobą całego człowieka, ale udało mu się częściowo już wnijść do duszy, wywołać w niej zainteresowanie większe lub mniejsze i rozbudzić sympatyę ku sobie. Może ona nie objawiła się w sposób widoczny, narzucający się, ale była, działała i nie omieszkała zostawić po sobie śladów w jakiejś nieświadomej skłonności ku przedmiotowi. W każdym razie i takie nierozwinięte przeżycie estetyczne dążyło do swego rozwoju, do ogarnięcia przedmiotu i zlania się z nim uczuciowego.

Oczywiście, że proces psychiczny tak głęboki i poruszający cały ustrój duchowy człowieka w sposób dla człowieka bardzo miły i pożądany, nie może pozostać bez wpływu na moralność.

---

[1] *Psychologie des emotionalen Denkens. Das aesthetische Denken*, 1908, str. 480.

On sam w sobie, bez względu na okoliczności mu towarzyszące, jest dla obyczajów ludzkich i dla tendencyi moralnej pierwszorzędnego znaczenia. Wyznaje to otwarcie Lipps, który najgłębiej zdołał podpatrzeć istotę tego tajemniczego zlewania się uczuciowego podmiotu z przedmiotem w przeżyciach estetycznych. Przy badaniach estetycznych prosi, żeby nie oddzielać jego zapatrywań estetycznych od psychologiczno-etycznych, bo one przy całej swej odrębności wiążą się ze sobą najściślej, i dlatego dla uzupełnienia estetycznych poglądów odsyła do swych studyów etycznych.

(C. d. n.)

Ks. L. Rudnicki.

FALSYFIKACYE I PRAWO BIOGENETYCZNE HAECKLA.

Kwestya fałszerstw przyrodnika jeneńskiego sama w sobie dawno już jest osądzona, a jego samego wyrzekła się już prze szło połowa niemieckich klubów monistycznych. To też powracać do tej kwestyi byłoby może nie na czasie, gdyby nie domagało się uwzględnienia jej i to zupełnego, oświetlenie aktualnego momentu. Mam tu na myśli książkę p. t. »Idea ewolucyi w biologii«, podaną zeszłego roku ogółowi wykształconemu przez d-ra J. Nusbauma, prof. zoologii i anatomii porównawczej na uniwersytecie lwowskim, a w szczególności ustęp, odnoszący się do fałszerstw Haeckla. Niepodobna przypuścić, aby prof. Nusbaum nie znał dokładnie kwestyi fałszerstw Haeckla; w każdymbądź razie przedstawienie tychże fałszerstw w powyższej książce wywołuje w czytelniku znającym nieco tę sprawę, wrażenie, nie powiem tendencyi, lecz pewnego rodzaju zamącenia sprawy a może i usprawiedliwienia postępku Haeckla.

Sit ergo veritati locus. Godzi się więc zwrócić uwagę na ten ustęp o fałszerstwach Haeckla i poświęcić mu słów kilka, tem bardziej, że fałszerstwa te stoją w ścisłym związku z t. zw. zasadniczem prawem biogenetycznem, które prof. Nusbaum zalicza do dowodów na descendencyę ustrojów. Uwzględnimy więc z powyższej książki prof. Nusbauma niektóre szczegóły; nie zamierzamy bowiem podać jej obszerniejszej analizy choćby z tego względu, że nauka poważna o poglądach lepiej uzasadnionych od darwinistycznych i monistycznych nie stoi na stanowi-

sku prof. Nusbauma co do kwestyi descendencyi. Teorya K. Darwina, jaką prof. Nusbaum kosztem nieścisłości i nienaukowości zaleca twierdzeniami raczej aniżeli dowodami, zeszła dzisiaj w zagadnieniu ewolucyi do podrzędnego zgoła znaczenia pomocniczego czynnika oczywiście u tych, co selekcyi naturalnej zgoła jeszcze nie odrzucają.

Wypada więc zająć się nam sprawą fałszerstw Haeckla, poddać krytyce jego zasadnicze prawo biogenetyczne i ocenić przytem niektóre zapatrywania prof. Nusbauma, o ile wchodzić będą w tok dyskusyi.

E. Haeckel jest, jak wiadomo, bezwzględnym zwolennikiem darwinizmu i prawdziwym jego na wielką skalę kontynuatorem. Darwinizm stał się dla niego wiarą i dogmatem, mającym ścisłą łączność z życiem; w darwinizmie znalazł on, jak mówi A. Gemelli, fundament niebezpiecznego dogmatyzmu kosmogonicznego, filozoficznego i religijnego. Haecklowi zawdzięczać należy, że darwinizm otrzymał dogmatyczną, logicznie uporządkowaną i ustaloną formę, że wygórowany zapał materyalistów, jak powiada Hartmann, wysnuł z teoryi K. Darwina wnioski, które autor bojaźliwie tylko wskazał a nawet umyślnie osłonił. Były do niedawna profesor uniwersytetu w Jenie (dziś 77 letni starzec) pierwszy pojął i zrozumiał od razu całą doniosłość nowej teoryi. A będąc ducha wojowniczego, na którym zbywało Darwinowi, oraz i ducha dogmatycznego, którego brak paraliżował apostołowanie Huxleya, umiał oddziaływać na koła fachowców pewnością swoją, śmiałością i stanowczością, czem porwał za sobą filozofów, socyologów a przedewszystkiem biologów. Z górą lat 40 przewodniczył w naukach biologicznych; wyprzedził nawet mistrza samego, Darwina.

W r. 1866 wydał Haeckel dzieło dwutomowe (na tle teoryi ewolucyjnej) p. t. *Generale Morphologie der Organismen*, w którem pokusił się po raz pierwszy o zbudowanie drzewa genealogicznego organicznych gatunków. Zrazu nie uzyskał sobie uznania. Nie zniechęcił się bynajmniej i w dwa lata potem wydał książkę p. t. *Ueber die Entstehung und den Stammbaum des*

Menschengeschlechtes (doczekała się 10 wydań a przetłumaczono ją na 12 języków), w której popularyzuje rozwojowo-historyczny materyalizm. Utrzymuje on, że organiczne szeregi form są wynikiem ciągłego i stopniowego rozwoju z prostych prakomórek, jaki dokonywał się pod wpływem selekcyi czyli doboru naturalnego, czynnika natury mechanicznej. Wykluczając z wszystkich swych wywodów wszelki teizm, łączy na podstawie darwinistycznej wszystkie jestestwa organiczne w jeden łańcuch pochodny, począwszy od monery aż do człowieka.

Haeckel powiedział więc ostatnie słowo. Darwin, który ograniczał się dotąd na ogólnych twierdzeniach, został uprzedzonym przez Haeckla, który skonstruował drzewa genealogiczne. Darwin nie chcąc jednak pozostać w tyle, pospieszył 1870 r. z wydaniem swego dzieła p. t. »O pochodzeniu człowieka i o doborze płciowym«, w którem upomina się o przynależne mu pierwszeństwo. Wspomina o tem, że on pierwszy wypowiedział był myśl, że wszystkie jestestwa organiczne prawdopodobnie od jednego typu pochodzą. Przyznaje się też do błędu, jaki popełnił, używając nienaukowego wyrazu »stwórca«, i nakoniec pisze się na wywody Haeckla słowy: »Gdyby ta ostatnia praca wyszła była pierwej, niż moją napisałem, nigdybym nie dokończył niniejszego dzieła. Wszystkie bowiem wnioski, do jakich doszedłem, potwierdzone zostały przez tego badacza, który genealogię człowieka obszernie rozebrał i na umiejętnych oparł podstawach«. Oto ostateczne wykończenie darwinizmu, przypisującego człowiekowi pochodzenie zwierzęce.

Darwinizm nie święciłby takiego tryumfu, nie doczekałby się takiego rozgłosu i rozrostu, jakim cieszył się aż do r. 1880, gdyby nie miał na usługach swoich apostoła Haeckla, człowieka najśmielszego nie tylko w sporach, jakie krzewienie darwinizmu za sobą pociągało, lecz także w czem innem jeszcze, jak to zaraz zobaczymy. A sprzyjały mu okoliczności. W sporach, jakie staczał np. z Virchowem, Semperem, Hensenem, Hisem, Goettem i innymi, miał po swojej stronie młode głowy, które nic innego nie widziały, jak tylko świeżą i czerstwą prawdę nauki nowej z jednej strony a z drugiej upór swoich starych,

zacofanych przeciwników; trudności tych ostatnich i zarzuty słuszne i poważne tonęły w ogólnym nastroju naukowym, w wzrastających falach materyalizmu. Przygłuszyły je teorye radykalne.

Nader śmiałym był Haeckel w sposobie walczenia tak jemu właściwym a polegającym na tem, że przeciwników swoich ośmieszał zgryźliwą frazeologią i w dodatku nieraz grubemi obsypywał obelgami. Namiętne jego i sprzeczne postępowanie zrodziło mu licznych przeciwników nawet we własnym jego obozie.

Śmiałość i dowolność Haeckla w jaskrawem świetle występuje w fałszowaniu objektywnej prawdy nauki. Książkę jego p. t. *Welträtsel*, w której rzuca pomiędzy tłum poglądy swoje filozoficzne, kosmogoniczne i religijne, nawet niekatolicy ze wstydem odkładają na bok (Paulsen). Inaczej być nie może. W dziełach swoich nie tylko, że traktuje powierzchownie i lekkomyślnie zagadnienia poważne, jak to wykazali Loofs, Troeltsch, prof. Tasker z Birmingham, Virchow, Hamann (uczeń Haeckla), M. Müller, R. Mayer, Baumann i inni, nie tylko, że ignoruje zupełnie fakta przyrodnicze i fizyczne, jak to wykazał np. fizyk Chwolson, lecz dopuszcza się także fałszowań, by niemi, jako dowodami naukowymi, poprzeć swoje monistyczne przekonania i dogmaty — a raczej swoją ignorancyę pod względem religii i filozofii, której tyle rozumie, jak powiada Rádl w swej historyi teoryi biologicznych, ile Darwin filozofii szkolnej [1]. W braku danych doświadczalnych i obserwacyi nie wzdrygał się Haeckel w wywodach swoich zmyślać »fakta« albo fakta prawdziwe wprost fałszować. Czyż dla wroga wszelkiej metafizyki ta tylko droga miałaby stać otworem? Zaiste sprawdziły się słowa Virchowa: »Rzadko zdarzały się czasy, w którychby zagadnienia tak nadzwyczajnej doniosłości traktowano w sposób tak powierzchowny, a nawet tak dziwnie lekkomyślny« [2]. Lecz przystąpmy do fałszerstw Haeckla; fakta same niech mówią [3].

W dziele swojem p. t. *Natürliche Schöpfungsgeschichte*

---

[1] *Gesch. d. biol. Theorien.* 1909. II t. p. 296.

[2] *Controverse.* Luty, 883.

[3] Wasmann: *Alte und neue Fälsch. Haeckels... St. aus Maria-Laach.* 1909 Nr. 2—4.

(1868) twierdzi Haeckel, iż nawet przy pomocy najsilniejszego mikroskopu nie można w pierwszych tygodniach rozróżnić zarodka ludzkiego od zarodka małpy albo psa. Aby to swoje dictum naukowo udowodnić, umieścił obok siebie (na str. 242) 3 ryciny, mające przedstawić rzekome komórki jajowe człowieka, małpy i psa, ale pochodzące od jednego a tego samego drzeworytu. Podobnie postąpił sobie Haeckel na str. 248, gdzie jedną a tą samą kliszą przedstawił 3 różne zarodki, mianowicie psa, kurczęcia i żółwia. Przytem miał Haeckel na tyle śmiałości odwołać się wyraźnie na swój nieszlachetny czyn, jako na rzeczywisty naukowy dowód, kiedy na str. 249 pisał: »Skoro porównywamy te młode zarodki psa, kurczęcia i żółwia na fig. 9, 10, 11, nie będziemy w stanie spostrzedz jakiejś różnicy«. Jest to owa sławna »historya 3 klisz«, fałszerstwo, jakie odsłonił zoolog i anatom Rütimeyer w r. 1868 [1]. Zdradziła Haeckla rysa powstała na kliszy wskutek jej pęknięcia. W apologetycznem zakończeniu swojej »Antropogenii« († 1891) przyznał się sam Haeckel do tego faktu, nazywając go »wysoce nierozsądną niedorzecznością«. Zgrzeszył więc Haeckel przeciw naukowej prawdziwości, jak powiedział Rütimeyer.

W piątem wydaniu tegoż dzieła przedłużył Haeckel część czołową zarodka psa (przedstawionego tam na rycinie a zapożyczonego od Bischoffa o $3^1/_2$ mm, a tężesamą część zarodka ludzkiego (zapożyczonego od Eckera) skrócił o 2 mm, a nadto przez posunięcie oka naprzód zwężył ją o 5 mm; rzekomy ogon tegoż zarodka ludzkiego przedłużył o pierwotną długość, wskutek czego oczywiście obie te ryciny znacznie do siebie się upodobniły [2]. Zmyślony jest też prazarodek człowieka »sandalion« (t. zw. dla swego kształtu podobnego do sandału), jaki Haeckel umieścił w dziele swojem p. t. »Antropogenia« 1879 (fig. 45). Zmyślone są również 2 figury na str. 272, przedstawiające zarodek ludzki i większość figur na dwóch tablicach embryonów (4 i 5); zarodki np.

[1] *Archiv für Anthrop.* VII, 1868, p. 300 f.

[2] His: *Unsere Körperform und das physiolog. Problem ihrer Entstehung.* Leipzig 1874, p. 168 ff.

ryb i żab przedstawione są tak, jak wyglądają zarodki wyższych kręgowców [1].

To co wykazali Rütimeyer i His, potwierdził V. Hensen[2].

W dziele swojem p. t. *Menschenproblem* (1908) umieścił Haeckel 3 tablice. Na pierwszej z nich przedstawione są 4 szkielety małp człekokształtnych i 1 szkielet człowieka. Tablica ta ma napis: »Szkielety pięciu małp człokokształtnych (Antropomorpha)«. Zalicza tu Haeckel człowieka po prostu do małp, prawdopodobnie dla większej »jasności«. Tablica II i III również są tendencyjnie sfałszowane. Na tablicy drugiej, która ma napis: »Zarodki sandałowe (Sandalenkeime) 3 ssawców« (świnia, królik, człowiek), zarodek sandałowy człowieka miał powstać, jak to wykazuje dr. Brass [3] z przerysowania ryciny (prof. Hubrechta) zarodka sandałowego, należącego do Tarsius spectrium. Tendencyjnie zmienione są też zarodki sandałowe w trzecim rzędzie, gdzie zarodek ludzki przedstawiony jest według zarodka sandałowego małpy człekokształtnej (od Selenki).

Tablica III z napisem: »Embryony 3 ssawców na 3 podobnych stopniach rozwoju«, przedstawia zarodki nietoperza (Rhinolophus), gibona i człowieka. W trzecim szeregu embryonów porównany jest zarodek gibona w 14—15 tygodniu z zarodkiem ludzkim w 8—9 tygodniu. Gdzież tu jest podobny stopień rozwoju? W drugim szeregu embryonów zarodek nietoperza »umyślnie fałzywie jest podany« (Brass). Figura bowiem przedstawia zarodek nietoperza zwykłego (Vespertiliv murinus) według van Beneden, który Haeckel podaje za zarodek nietoperza Rhinolophus. Zarodek ludzki (M. II) znajdujący się w tym szeregu jest według Brassa sfałszowany, a mianowicie kręgosłup jego przedłużony jest o 11 kręgów (oryginał Hisa ma tylko 35). Zarodek gibona (G. II w drugim szeregu) n. p. przedstawił Haeckel w ten sposób, że wziąwszy od Selenki rycinę zarodka Cercocebusa cynomolg., należącego do małp ogoniastych, skrócił mu ogon o 15—16 kręgów, by otrzymać zarodek małpy bezogoniastej.

---

[1] His: l. c.

[2] *Die Plankton-Expedition u. Haekels Darwinismus.* Kiel 1891, p. 10 f.

[3] *Affenproblem. Prof. H. neueste gefälschte Embryonenbilder.*

Fałszowania te stwierdził dr. A. Brass w r. 1908[1] i nazywa je oczywistemi fałszerstwami.

W tymże samym roku przyznaje się Haeckel w socyalno-demokratycznej gazecie *Berliner Volkszeitung* z d. 29 grudnia do fałszowań, redukuje je do skromnej liczby (6—8 na 100) a rzeczowo osłania je nazwą »schematycznych figur«. Trzeba atoli wiedzieć, że fałszowania wykazano Haecklowi na rycinach, których on nie zaznaczał jako schematyczne, a nie podawać ich jako schematycznych znaczy tyle, co w błąd wprowadzać czytelników. Figura nie schematyczna przedstawia rzecz tak, jak autor ją widział; natomiast rycina schematyczna, to rekonstrukcya pewnych rysów (nie znajdujących się w przedmiocie i których autor sam nie widział), dokonana wedle pojmowania i wyobrażenia autora. Wobec tego widzieć n. p. zarodek o 33 kręgach a przedstawić go natomiast na tablicy z 44 kręgami, niczem innem nie jest, jak prawdziwem fałszowaniem rzeczywistości. Haeckel zwykł też nie podawać źródła przy swoich rycinach, przez co oczywiście kontrola ich jest utrudniona.

Uniewinnianie się Haeckla »schematycznemi figurami« jest niczem innem, jak gołą sofizmatyką. Wpada on przytem w oczywistą sprzeczność. W obronie swojej, umieszczonej we wspomnianej już gazecie powiąda, że »mała część«, »może 6 albo 8 na 100« jego rycin embryonów jest rzeczywiście sfałszowana (w znaczeniu d-ra Brassa). A ma tu na myśli »schematyczne ryciny«, co ze związku jasno się pokazuje. W czwartem natomiast wydaniu swojej »Antropogenii« (1891) powiada w »apologetycznem zakończeniu«, iż po wielkiej części (grosse Mehrzahl) figury (w Antropogenii) są »schematyczne«. Z 20 tablic, jakie to dzieło zawiera, 4 tylko zaznaczone są jako schematyczne, a z pomiędzy 440 rycin tylko 40 (jako schematyczne zaznaczone lub jako takie poznawalne). Pomijając już tablice, 40 z 440, to przecież nie jest »grosse Mehrzahl«. A jeżeli to prawda, że większa część tych rycin należy do schematycznych, to dlaczegoż Haeckel nie zaznaczał ich wszędzie jako »schematyczne«?

---

[1] L. c.

Rzeczowo nie usprawiedliwił się Haeckel; o tem świadczy prasa niemiecka.

Już w roku następnym (1909) anatom i embryolog Fr. Keibel potwierdza dawne zarzuty i oskarżenia o fałszerstwa czynione Haecklowi przez Brassa, i sam zwraca uwagę na nowe »powierzchowności« [1].

W należytem świetle przedstawił też tę plamę na wiedzy niemieckiej, skutek tak świetnie w czyn wprowadzanej zasady wolności nauki i badania, Teudt, dyrektor związku Kepplera [2]. Czterdziestu sześciu uczonych niemieckich, których Haeckel do siebie chciał upodobnić, oświadczając, że i oni nie czynią inaczej (umieszczając w swych pismach ryciny schematyczne), wystąpiło wiosną roku 1909 z oświadczeniem potępiającem postępowanie Haeckla w obawie oczywiście nie tyle Haeckla, jak raczej o samą naukę descendencyi, większej bowiem nagany udzielili tym, którzy Haeckla nadużywanie nauki publicznie i jawnie ostrej poddali krytyce aniżeli samemu właściwemu winowajcy. W każdym bądź razie ratowali honor naukowości niemieckiej.

Z końcem zeszłego roku wystąpił Haeckel z ponowną samoobroną w piśmie p. t. *Sandalion. Eine offene Antwort auf die Fälschungsanklagen der Jesuiten.* 1910. Zauważyć tu należy, że Jezuitami u Haeckla są wszyscy nienależący do jego trzody monistycznej, jak powiada O. Wasmann; stąd też Ekscelencya Haeckel rozróżnia katolickich i protestanckich Jezuitów (Brass). Otóż i w tem najnowszem piśmie nie znajdujemy rzeczonej obrony, lecz zwykłą Haecklowi sofistykę. Pomija bowiem milczeniem figury, które Brass wykazał jako rzeczywiście sfałszowane, a powołując się li tylko na te, których fałszywości Brass nie wykazywał, orzeka indukcyjnie, że nie inaczej ma się rzecz z innemi tablicami, na których przedstawił embryony.

Tak więc przedstawiają się fałszerstwa Haeckla, jakie stwierdzali i potwierdzali Rütimeyer (1868), His (1874), Bastian, Semper (1876), Kossmann, Hensen, Brandt

[1] *Deutsche Mediz. Wochenschrift.* 1909, nr. 8.

[2] *Im Interesse der Wissenschaft: Haeckels Fälschungen und die 46 Zoologen, Anatomen etc.* 1909.

(1891), anatom Bischoff, zoolog Hamann (1892), Brass (1908), anatom i embryolog Keibel (1909), dyrektor Teudt (1909), Jüngst i wielu innych.

Przypatrzmy się teraz, jak co dopiero omówione fałszerstwa przedstawił prof. Nusbaum w książce swojej p. t. »Idea ewolucyi w biologii«. Oto co mówi: »Ale nawet już i wtedy, gdy zaczynają się formować organa poszczególne, gdy uwydatniają się zewnętrzne kształty przyszłych części ciała, podobieństwo zarodków bywa bardzo wielkie. E. Haeckel przedstawił w swojej »Antropogenii« i w innych dziełach swych tablice zarodków różnych kręgowców, aby wykazać, jak we wczesnych stadyach są one niezwykle zbliżone do siebie i jak dopiero w miarę dalszego rozwoju różnicują się wzajemnie czyli rozbiegają się w różnych kierunkach, otrzymując już cechy sobie wyłącznie właściwe. Ze względu na podobieństwo embryonów człowieka i małp zarzucono Haecklowi, iż zanadto schematycznie przedstawił odnośne rysunki i sfałszował przeto jakby istotny stan rzeczy, by podobieństwo to silniej uwydatnić. Rzeczywiście w rysunku lub reprodukcyi ten lub ów szczegół zmodyfikowano, ale nie zmienia to istoty rzeczy, a każdy embryolog, który miał wiele do czynienia z wczesnymi zarodkami różnych ssaków, wie najlepiej z własnego doświadczenia, jak trudno nieraz odróżnić bardzo młode zarodki rozmaitych gatunków. Zresztą badacz niezmiernie dokładny, prof. Selenka, podał najściślejsze rysunki i fotografie zarodków różnych małp, których niezwykłe podobieństwo do ludzkich wynika jeszcze o wiele wyraźniej, niż z rysunków Haeckla...«[1]

Otóż wobec tego, cośmy wyżej o fałszerstwach Haeckla powiedzieli, nad przytoczonym tu ustępem dłużej rozwodzić się nie potrzebujemy. Jeden a ten sam drzeworyt odbić po trzykroć obok siebie celem przedstawienia podobnych do siebie zarodków człowieka, małpy i psa, dalej, przedłużyć na rysunku kręgosłup zarodka człowieka o 11 kręgów, a kręgosłup małpy skrócić o 15—16 kręgów, nareszcie głowę zarodka małpy za-

[1] »Idea ewolucyi w biologii«, p. 107, 108.

stąpić głową zarodka ludzkiego[1] i t. d., tego wszystkiego nie można nazwać zanadto schematycznem przedstawieniem odnośnych rysunków i sfałszowaniem przeto jakby istotnego stanu rzeczy, jak to uczynił prof. Nusbaum. Przypominamy sobie, że i Haeckel uniewinniał się »schematycznemi figurami«. Fałszerstwa Haeckla nie są to zanadto schematycznie przedstawione rysunki i jakby fałszowania istotnego stanu rzeczy, lecz rzeczywiste fałszerstwa. A ów istotny stan rzeczy, mianowicie zewnętrzne podobieństwo zarodków pomiędzy sobą nikomu na nic się nie przyda, jak to niżej zobaczymy. Zresztą nader słaby to dowód na descendencyę, czerpany z podobieństwa, które aż tak silnego potrzebowało uwydatnienia. Pomijając już rzecz o rozpoznawaniu przez embryologów wczesnych zarodków[2], żałować należy, że prof. Nusbaum nie zestawił był w dziele swojem tych »najściślejszych rysunków« Selenki, badacza »niezmiernie dokładnego« z rysunkami Haeckla, »przedstawionymi zanadto schematycznie« i »rzeczywiście zmodyfikowanymi co do tego lub owego szczegółu«, a widzielibyśmy wtedy naocznie, w których to rysunkach podobieństwo, o które chodzi, występowało wyraźniej. Naprawdę, fałszowanie objektywnej prawdy miałoby już uchodzić za dobytek nowoczesnej metody naukowego badania?

Lecz zapytamy się może, dlaczego to Haeckel gwałcił objektywną prawdę? »Działo się to z miłości ku dogmatowi, powiada zoolog Hamann, za który pod wszelkimi warunkami walczyć należało, by szkolną budowę nauki o rozwoju zabezpieczyć przed napadem«[3]. Dogmatem tym to »prawo biogenetyczne«, jedna z sześciu prawd monizmu, jeden z jego postulatów. Haeckel usiłując hipotezę Darwina podeprzeć hipotezą nową, przeniósł walkę, jaką staczał z oporem przeciw darwinizmowi, na pole, gdzie nie tyle z faktami miał do czynienia, jak raczej z wyobraźnią. Luki, jakie przedstawiała zoologia, botanika i paleontologia zapełnić miała historya rozwoju. Komórka jajowa i jej

[1] Rádl: *Gesch. d. biol. Theor.* 1909, II, 296.

[2] Cf. Hamann: *Entwickel. u. Darw.* 1892, 22 27; Fleischmann: *Descendenztheorie,* 1901, 245.

[3] L. c. 28.

rozwój, powiada Haeckel, pokazują nam jak najdokładniej dawne dzieje organicznego świata, których paleontologia dotąd wyświetlić nie zdołała. Rozwój tedy osobnikowy (ontogenia) niczem innem nie jest, jak skróconą rekapitulacyą całego rodu, z którego osobnik wyszedł. Zarodek przechodzi więc w rozwoju swoim przez wszystkie formy przodków swoich (filogenia). Oto powszechne i fundamentalne prawo organicznego rozwoju, na którem Haeckel całą swą antropogenię buduje. O tem »prawie biogenetycznem«, czyli »ontogenetycznej zasadzie przyczynowości« albo »teoryi rekapitulacyi«, jak ją nazywają, wyraża się Haeckel, ów mistrz w konstrukcyi historycznych (!) drzew genealogicznych, jak następuje: »Die Entwickelungsgeschichte ist das schwere Geschütz im Kampfe um die Wahrheit. Ganze Reihen von dualistischen Trugschlüssen stürzen unter den Kettenschüssen dieser monistischen Artillerie haltlos zusammen und der stolze Prachtbau der römischen Hierarchie, die gewaltige Zwingburg der unfehlbaren Dogmen fällt wie ein Kartenhaus ein; ganze Bibliotheken voll Kirchenweisheit und voll Afterphilosophie schmelzen in nichts zusammen, sobald wir sie mit der Sonne der Entwickelungsgeschichte beleuchten« [1].

Myśl zawartą w prawie biogenetycznem wypowiedział był już Harvey w dziele swojem p. t. *Traité des mouvements du coeur* (1628), w czasie, kiedy przeważała teorya preformacyi. Prace Kielmeyera, St. Hilair'a, anatoma Meckla (1821) i Serresa torowały jej dalszą drogę; głośny znalazła oddźwięk pod panowaniem dziwacznej filozofii przyrody Okena. Stanowczo i skutecznie zwalczał ją K. E. v. Baer, ojciec embryologii porównawczej. Myśl paralelizmu pomiędzy zarodkami w ontologii a formami zwierząt niższych obudziła się do nowego życia, kiedy darwinizm w Niemczech zwycięsko się szerzył. Zagorzały darwinista Fr. Müller wystąpił w r. 1864 ze zdaniem, że przyczyną tego paralelizmu jest dziedziczność. Myśl tę pochwycił Haeckel, nie dodał nic istotnego, a oznaczywszy tylko stadya typowe w rozwoju embryonalnym, jakie w myśl jego odpowiadać miały

[1] *Anthropogenie.* 1874, p. XIV.

stopniom w szeregu zwierząt, ujął ją w formułkę »zasadniczego prawa biogenetycznego«.

Przez czas dłuższy uważano je za dogmat niewzruszony, za filar podstawowy morfologii darwinistycznej. Darwin sam wyraził się bardzo oględnie o tem prawie biogenetycznem; powiada on, że pogląd ten może być słuszny, zupełnym atoli dowodem chyba nigdy stwierdzić go nie będzie można [1]. A kiedy prawo to z biegiem czasu napotykało na coraz to większe i coraz to liczniejsze trudności, wtedy dla rozwiązania ich uciekł się Haeckel do »fałszowań natury«, wprowadzając przytem pojęcia palingenezy i cenogenezy. Procesy cenogenetyczne, nowopochodne, zawarunkowane stosunkami w naturze i przystosowaniem się embryonów do nich, uniemożliwiają dokładną rekapitulacyę form klas niższych, palingenetycznych czyli staropochodnych. Nie chodzi tu Haecklowi o wyrażenia tylko »fałszowania natury«, lecz o faktyczne fałszowanie natury, natura fałszuje samą siebie. Jakiekolwiek tłumaczenie tych »fałszowań natury« i »cenogenezy« choćby nawet może teoretycznie uzasadnionej, staje się zupełnie niepotrzebnem wobec praktycznej nieużyteczności tego sfałszowanego przez naturę zasadniczego prawa biogenetycznego. Zobaczymy to niżej. Mając na względzie owe »fałszowania natury«, powiada embryolog K. E. v. Baer: »Fałszowania« rozwoju przechodzą moją pojętność, ponieważ mam to przeświadczenie: jak natura działa, pozostaje do badania, fałszowanie przy tem zajść nie może, a jeżeli nam się zdaje, że ono zachodzi, to zapewne polegać to będzie na nieprawdziwem pojmowaniu« [2]. A darwinista Vogt wyraża się tak: »Wiem, że zauważono te sprzeczności. Lecz zamiast zrzec się dogmatu, odtąd nie do utrzymania, wynaleziono coś innego, jeszcze bardziej nie do utrzymania, jeżeli to jest możliwe. Mówiono o cenogenezie albo embryogenii fałszowanej. Biedna logika, jak ją się męczy! Natura, która fałszuje samą siebie! Natura, która przeistacza własny swój plan, wprowadzając doń czynniki różnorodne, jakie zakłócają jednorodność

[1] Cf. Ude: *Darwinismus*. 1909, 118.

[2] *Stud. aus d. Geb. d. Naturwiss.* 1876, p. VIII.

prawa biogenetycznego!... Zarodek niegodziwy, który nieposłuszny jest prawu nadanemu przez książęcia wiedzy! Piętnujemy cię zaraz na fałszerza!« [1]

Lecz palingeneza i cenogeneza nie wystarczały. W samej cenogenezie rozróżnia jeszcze Haeckel »heterotopię« i »heterochronię« stosownie do tego, czy narządy zajmują w zarodku inne miejsce aniżeli w ustroju przodków, czy też zjawiają się one w innym czasie, aniżeli to czyniły w historyi rodowej przodków.

Wobec nowych tych pojęć prawo biogenetyczne traci tem samem zupełnie swoją wartość praktyczną dla oznaczania przodków dzisiaj żyjących zwierząt. Heterotopia i heterochronia tak wielką odgrywają rolę, iż u ssaków n. p. prawo to stwierdzone jest tylko wyjątkami, jak mówi Keibel. A wyjątki nie stanowią przecież reguły, tem mniej prawa. Przewaga cenogenezy nad palingenezą znosi samo prawo, jak powiada biolog O. Wasman [2]. I rzeczywiście tyle wynaleziono wyjątków, że z prawa samego pozostały tylko strzępy [3]. Łatwo tedy pojąć, jak wielką subjektywną swobodę ma każdy biolog w określaniu granic palingenezy i cenogenezy, oraz jaką niemałą dowolność w tłumaczeniu zjawisk, odnoszących się do historyi rozwoju. Każdą formę nie nadawającą się do szeregu genetycznego uważać można za cenogenetyczną, a za palingenetyczną znowu tę, która nadaje się do konstrukcyi szeregów. »Taka broń, jak cenogeneza i konwergencya, powiada krytyczny antropolog J. H. F. Kohlbrugge, jest tego rodzaju, iż każdy używać jej może tam, gdzie mu się podoba, albo z drugiej strony może jej znowu zaniechać, jeżeli mu się nie podoba. Przeto pokazuje ona też w sposób nader piękny, jak zgoła niepewną jeszcze jest budowa hipotezy descendencyi. Jak tylko zejdzie się do szczegółów, pozostawia ona nas na lodzie; jak długo nieznaczne tylko były nasze wiadomości, wszystko

---

[1] *Quelques hérésies Darwinistes,* par C. Vogt, *Revue Scientifique,* t. XXXVIII, pp. 485, 486. Cf. *Dogmes dans la Science,* ibid. t. XLVII, p. 650.

[2] *Kampf um das Entwickelungsproblem,* 1907, p. 38.

[3] Cf Fleischmann: *Descendenztheorie,* 1901, 199—253; O. Hertwig: *Elemente d. Entwickelungslehre,* [4] 1910.

zdawało się być zestawione w najpiękniejszym porządku« [1]. Podobnie wyraża się Th. Garbowski [2]. Konwergencyą i cenogenezą zwalczali się nawzajem np. Kollmann i Schwalbe [3].

Przypuśćmy, że granice pomiędzy palingenezą i cenogenezą objektywnie są dobrze pociągnięte — czego bez uwzględnienia paleontologii żadną miarą dokazać nie można — to daleko jeszcze jesteśmy od legalnego wnioskowania o dawnych dziejach organizmów, gdyż podobieństwo, jakie zachodzi w rozwoju pomiędzy zarodkami różnych gatunków jest li tylko zewnętrzne. A każdy widzi, że z zewnętrznego podobieństwa zarodków wnioskować wcale nie można o genetycznej tożsamości zwierząt, o podobieństwie wewnętrznem i istotnem. Jak z jednej strony uznajemy chętnie pewne podobieństwo i zgodność nie tylko pomiędzy dorosłemi formami zwierząt lecz także pomiędzy zarodkami ich, tak z drugiej strony potępiamy przesadę, jakiej dopuszczają się przyrodnicy w wyszukiwaniu podobieństw, które są przeważnie nieznaczne a zawsze czysto zewnętrzne. Widzieliśmy już, jakie to ofiary ponosił np. Haeckel na rzecz tego podobieństwa. Za dni Baera mówiono jeszcze o wielkiem podobieństwie zarodków ssaków i innych niektórych zwierząt w ich pierwszem stadyum rozwoju, lecz dzisiaj po tylu latach świetnego rozwoju embryologii wprawny badacz łatwo rozpoznaje z krążka zarodkowego, do jakiego gatunku i klasy należy dany zarodek zwierzęcy. A operowanie wyrazem »pro«, czem również przysłużyć się chciano temu podobieństwu, — a co, nawiasem mówiąc, i filologowi z niższego gimnazyum trudności żadnej nie sprawia — i zgodność pojęć albo schematycznych wyobrażeń nie stanowią jeszcze objektywnego podobieństwa zarodków. Nie są to wcale niezbite dowody na descendencyę, jak to utrzymuje prof. Nusbaum, mianowicie, jakoby ze wspólności organizacyi, z podobieństwa budowy i z zgodności procesów rozwoju osobnikowego wspólność

[1] *Die morpholog. Abstammung des Menschen. Kritische Studie* .. 1908, p. 29; cf. p. 64, 65.

[2] *Morphol. Studien,* 1903, 63.

[3] L. c. p. 29.

pochodzenia (wzięta oczywiście w znaczeniu biologicznem) wynikać miała niewątpliwie i najoczywiściej [1]. Już A. Wigaud dobrze powiedział: »Zdanie prawdziwe: pochodzenie równe domaga się podobieństwa, błędnie odwracane bywa w inne: podobieństwo polega na równem pochodzeniu« [2].

(C. d. n.)

Ferdynand Chmura.

---

[1] »Idea ewol.«, 50, 94, 107.
[2] *Geneal. d. Urzellen*, 47.

PIEŚŃ LEGIONISTÓW
„JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA".
JEJ POWSTANIE I HISTORYA.

Dziwnym i znamiennym jest dla umysłowości naszej fakt, że po rozbiorze kraju, po upadku powstania kościuszkowskiego, po ostatecznej ruinie politycznej Rzeczypospolitej, kiedy, zdawało się, rozwarła się przed narodem polskim otchłań zguby i niebytu, wobec tak tragicznego i doniosłego na całe wieki życia narodowego faktu — literatura nasza milczy.

A tragedya przecież rozgrywała się w oczach całej plejady poetów i pisarzy wieku stanisławowskiego, dziwnem jest, że żaden z tych sławnych pisarzy nie ujął za pióro, nie wypowiedział tego spazmu duszy własnej »na widok ojczyzny zamordowanej, od tysiąca lat niepodległej«, a trudno przecież posądzać o brak uczuć patryotycznych takich ludzi jak Krasicki, Niemcewicz, Kniaźnin i wielu, wielu innych.

Wytłumaczenia tego zjawiska w literaturze szukać, sądzę, należy w samej literaturze pseudoklasycznej, w ówczesnej sferze pojęć i poglądów literackich.

Literatura wieku Stanisława Augusta nie była jeszcze wówczas ogólno-narodową, nie wyrażała ona jeszcze tych wszystkich zbiorowych przejawów duszy narodu, tem samem fakt taki, jak rozbiór Polski, chociaż tragiczny i straszny do pogodzenia się z nim dla tych wszystkich ludzi, składających ówczesne piśmien-

nictwo polskie, chociaż oddziałał grozą swoją na każdego z nich z osobna, dość przypomnieć Kniaźnina, dostającego pomieszania zmysłów po rozbiorze kraju, mimo to jednak nie znalazł odbicia w ówczesnej poezyi polskiej.

Pustą kartę literatury naszej w owej dobie wypełniają dwa dzieła: jedno to »Bard polski« ks. Adama Czartoryskiego, zbiór pieśni patryotycznych z końca XVIII wieku, wydany dopiero w Paryżu 1845 r. Drugie, to utwór zaledwie 19-letniego młodzieńca, przebywającego zdala od kraju w nowicyacie w Połocku, ks. Józefa Morelowskiego »Poezye z roku 1795«, drukiem ogłoszone dopiero w r. 1854 w Poznaniu.

Oba te utwory dopiero w pół wieku po napisaniu ukazały się w druku, współczesnym więc znane być nie mogły, są one jednak do pewnego stopnia dowodem, że upadek Polski znalazł przecież odbicie w narodowej poezyi [1].

Dopiero później, wraz z upadkiem kraju, literatura się zmieni, stanie się »ogólno-narodową«, jak słusznie określa ją Chmielowski w »Historyi literatury«, wówczas to zacznie wyrażać ona zbiorowe uczucia życia narodowego — nie w kraju zrodzi się ta nowa poezya, ale daleko poza nim na emigracyi, fundamentem na którym oprze się przyszły gmach piśmiennictwa polskiego będzie pieśń, pieśń patryotyczna, zachęcająca do nowego życia, rozśpiewana bólem patryotycznym, protestująca, pełna nadziei, że nie umarła! — że żyje! — że mocą można odebrać Ją (ojczyznę) napowrót!

Na emigracyi powstanie pieśń... Zrodzi się ona wśród tych, co z wiarą w sercu opuszczają kraj po rozbiorze i po klęsce maciejowickiej, z tą myślą, że powrócą znów po latach, niosąc oswobodzenie i wolność... Z tą wiarą opuszczają rodzinne zagrody, o tem samem myśli przyszły wódz legionów Jan Henryk Dąbrowski, zwycięzca pruskich generałów, dzielny obrońca szańców Warszawy z czasów oblężenia Fryderyka Wilhelma, szanowany i ceniony przez wrogów, jako prawy i zacny żołnierz...

[1] Poezye ks. Morelowskiego niedawno nakładem Towarzystwa oświaty ludowej zostały przedrukowane. »Treny i sen«, poezye ks. Józefa Morelowskiego T. J., napisane roku ostatniego rozbioru Polski 1795. Kraków 1910.

Na razie prawie uwięziony w Warszawie, bo nie mogący się z niej wydostać, przemyśliwa o pomocy dworów zagranicznych w celu uformowania poza granicami kraju potęgi wojskowej, mogącej każdej chwili przyjść ojczyznie na pomoc, pomódz do wyzwolenia i zrzucenia jarzma[1]. Bólem ścinało się serce żołnierskie, patrząc na ginący typ obywatela-żołnierza — chciał go więc wskrzesić i sam nie mógł pogodzić się z myślą, że pałasz jego zardzewieje w pochwie, boć przecież wyciągnąć go mógł na obronę i zbawienie tylko ojczyzny[2].

Na razie jednak w kraju o jakiejkolwiek walce myśleć nie mógł...

Dawny plan jeszcze przed rozbiorem, porwania króla, sejmu, resztek armii i skarbu państwowego, przebicia się przez Niemcy do Francyi, spełzł wobec oporu króla i innych na niczem, teraz więc marzy przyszły twórca legionów o wprowadzeniu w czyn dawnej swojej myśli, o wskrzeszeniu armii i przeniesieniu bytu państwowego Polski poza jej granice.

Około tej myśli zgrupują się inni lub pracować będą niezależnie od niej i staną kadry legionów, będące zawiązkiem przyszłej armii Ks. Warszawskiego i niezwyciężonych pułków Napoleona... Zajaśnieją ostatnim, przedzgonnym blaskiem hufce polskie pod Somosierrą, Saragossą, Raszynem i Lipskiem...

Zupełnie zrozumiałem jest to krzątanie się ludzi epoki porozbiorowej dokoła tej idei uformowania armii i walki orężnej, gdyż wówczas inaczej ją sobie nie przedstawiano, zwłaszcza w czasach coraz większego rozwoju sił bojowych w innych państwach w końcu XVIII wieku.

Więc rozpoczynają się pierwsze roboty podziemne, spiskowe, a ogniskiem ich Kraków, dalszym ciągiem roboty warszawskie, nie pozostaje też w tyle Lwów, gdzie gorliwi patryoci przygotowują umysły do wybuchu. Owe reduty, bale stają się teraz schadzkami zmowy patryotycznej, później zaś będą agencyami do zbierania zasiłków i ułatwiania przeprawy za granicę.

---

[1] St. Schnür-Pepłowski: »Dzieje legionów«. Kraków 1897.

[2] A. Skałkowski: »Na schyłku dni Rzeczypospolitej«. Kraków 1904.

Rozpoczyna się akcya na drodze dyplomatycznej. Nim traktat podziałowy podpisany został, już spora garstka wygnańców napełniała Paryż; duszą tych starań był Barss, palestrant warszawski, przedstawiciel rządu rewolucyjnego we Francyi.

Tam też powstają pierwsze kluby patryotyczne, złożone z dwóch deputacyi: jedna przy Barssie, dokoła którego grupują się posłowie wielkiego sejmu: Wybicki, Wojczyński, Kochanowski — druga pod przewodnictwem kasztelana Mniewskiego, w skład której weszli: Prozor, obożny litewski, jenerał Giedroyć, Tarzycki i ks. Dmochowski. Niezależnie od klubów patryotycznych w Paryżu, powstają deputacye w Wenecyi pod protektoratem posła francuskiego Lallemanda, inni znów z patryotów dążą do Konstantynopola dla naradzenia się z posłem Verninae'em, opatrzonym w niejasne instrukcye i pełnomocnictwa przez Francyę.

Czyniono starania, aby nakłonić Turcyę do działania, ubiegał się Dąbrowski o pomoc Fryderyka Wilhelma II, obiecując ogromne korzyści w razie odbudowania Polski, lecz bezskutecznie, więc decyduje się na wyjazd do Paryża z tą myślą, że może u rządu francuskiego zdoła uzyskać pozwolenie na uformowanie pułków polskich [1]. Tam już czekał na niego Józef Wybicki, dawny przyjaciel i obrońca w czasach rozruchów ludowych w Warszawie, współtowarzysz w wyprawie do Wielkopolski, dłużej tu przebywając ponawiązywał Wybicki stosunki z wpływowemi osobistościami we Francyi i wiele przyczynił się nad urzeczywistnieniem myśli uformowania legionów, jak sam w pamiętniku wspomina: »Odpowiedział Dyrektoryat Dąbrowskiemu, iż mu da w tej mierze listy do jenerała Bonaparte, aby on, jeżeli mu się to zdaje, pozwolił Dąbrowskiemu formować korpus polski z jeńców Polaków złożony. Nigdy nie byłem szczęśliwszy, gdy tę odpowiedź Dyrektoryatu Dąbrowski mi komunikował. Otóż tu zaród tych sławnych legii, o których pewno dzieje świata nie zapomną! Wyłożyłem szczerą ich historyę, że ja do ich związków najwięcej się przyłożyłem. Mało mi w tem współcześni oddali sprawiedliwości, ale moje hasło jest tylko: *ut sit bene patriae!*« [2]

[1] Pepłowski: »Dzieje legionów«.

[2] »Pamiętniki Wybickiego«, tom 2-gi, str. 160, wyd. Raczyńskiego.

Bez wątpienia pamiętał Dyrektoryat usługę, jaką oddał Francyi Dąbrowski w r. 1794 w walce z Fryderykiem Wilhelmem, wstrzymując znaczną część wojsk pruskich w Wielkopolsce, nie mogących wówczas skuteczniej działać nad Renem, przychyla się więc Dyrektoryat ważąc przeróżne projekty formacyi legionów przedewszystkiem do jego prośby, popartej nadto staraniami jen. Klebera [1].

Więc wyrusza Dąbrowski poparty listami Dyrektoryatu do Włoch, do głównej kwatery Bonapartego, wówczas naczelnego wodza armii włoskiej. Bonaparte poleca Dąbrowskiego rządowi lombardzkiemu. Dnia 9 stycznia 1797 r. podpisano z rządem lombardzkim obustronną konwencyę.

W ten sposób powstają legiony na polach lombardzkich w służbie Rzeczypospolitej Cisalpińskiej, uznane przez nią nie jako cudzoziemski zaciąg, lecz za prawdziwych braci uzbrojonych na obronę wolności. Legiony zachowały dawną swoją organizacyę, zbliżoną do wojsk narodowych; przybrano armię w strój narodowy, dodając kokardę francuską na ramieniu, kokardę »oswobodzicieli świata«, naramienniki włoskie z napisem »Gli huomini sono fratelli« (Wolni ludzie są braćmi).

W końcu marca 1797 legiony liczą około 6 000 ludzi, powiększając się stale mimo zakazów rządów zaborczych, grożących śmiercią każdemu, ktoby chciał utrzymywać choćby tylko stosunki z legionistami [2].

Około sztandaru Dąbrowskiego grupowali się ludzie różnych odcieni i pochodzenia, różnych klas, przeważnie żołnierzy zbiegłych po upadku powstania kościuszkowskiego lub przemocą wziętych pod obce sztandary, tułających się jako jeńcy austryaccy po francuskich zakładach, uzbrojeni na nowo weszli do legionów.

Nie było brak wśród nich ludzi o wyższem wykształceniu, ludzi zamożnych, wyrzuconych z własnych zagród i prześladowanych przez rządy zaborcze.

Wszyscy jednak ożywieni tą myślą, że powrócą wkrótce do

---

[1] Skałkowski: tamże.

[2] Pepłowski: tamże.

kraju, że walcząc za Francyę, walczą tem samem za swoją sprawę, tęskniący do ojczystej strzechy, żyjący życiem pełnem wrażeń, zmiennem, przenosząc się z miejsca na miejsce wśród trudu wojny i bitew, gnani pragnieniem i tęsknotą w bój bezdomni bohaterowie-tułacze...

»A życie tych legionistów, oddzielonych od ojczyzny tylu krajami i ludami, a jedynie dla niej oddychających, pełne niebezpieczeństw, romansu i sławy, odnawiające dzieje rycerskie pielgrzymek i wojen krzyżowych: to wszystko razem miało w sobie coś dziwnie i jeszcze raz dziwnie poetyckiego!« — pisze Stefan Witwicki w »Wieczorach pielgrzyma«. — A więc choćby już samo życie obozowe, dni spędzane na ciągłych utarczkach i ta przytłaczająca, niezaspokojona tęsknota za krajem, którą gasiła może chwilowa nadzieja, że wrócą, że dojdą, niestety nie wszyscy wiedzieli o tem dobrze, żyli jak przystało na żołnierzy, z wielką brawurą i śmiałością, nie dbając o jutro...

Nad nimi przejrzyste błękity nieba włoskiego, »ten kraj, w którym pomarańcza i cytryna dojrzewa«, kraj poezyi, pełen zabytków sztuki, która od wieków obrała go sobie za siedlisko, wszystko to sprzyjało i tak już biednej i zbolałej duszy żołnierskiej do snucia czarownej nici poezyi.

I rzucały dłonie żołnierskie pałasz lub lancę pomiędzy jedną bitwą a drugą, w chwilach spoczynku, i chwytały za pióro, tworząc piosnki, śpiewy i dumki żołnierskie, zamykając w nich wielki ból i skargę za utraconym krajem, to znowuż z fantazyą sławiąc czyny żołnierskie i zalety stanu wojskowego, wzywają do boju, do walki.

Poezya ta przeważnie anonimowa, jak niegdyś poezya Barszczan, ożywiona duchem patryotycznym, prosta i zaniedbana pod względem formy, pełna kultu dla Napoleona, szczera, różna od ówczesnej poezyi w kraju religijno-patryotycznej, proroczej. Mickiewicz z katedry sorbońskiej tak określił tę poezyę żołnierską:

»Mimo całą ułomność ich formy zewnętrznej, cały naród znajdował w nich upodobanie... Co ich szczególnie odznacza, to Prawdziwość, prostota wyrazów... Żołnierze śpiewali ich wiersze, oficerowie czytali, lud je lubił... Pieśni ich były żałosne

i smutne; zachęcają oni rycerstwo do wierności, do męstwa w boju«...

Nie zapominajmy jednak o tem, że była to poezya przeważnie żołnierska, żołnierze polscy byli więc jej piastunami, wśród nich ona miała swoje siedlisko, szerszych kręgów na razie nie obejmowała, wśród nich wzrosła i wśród nich się krzewiła.

Dopiero później te wszystkie piosnki, dumki, pieśni żołnierskie przywędrowały wraz z powrotem legionistów do kraju [1].

Często śpiewane na początku XIX w. znalazły się wśród armii Ks. Warszawskiego, krzewiąc i rozwijając się w dalszym ciągu, dostały się i do poezyi powstania listopadowego, z małemi zmianami, przeróbkami, dodatkami, z zastosowaniem do zmienionych okoliczności.

Tak powstaje daleko od kraju ta pierwsza poezya emigracyjna w literaturze naszej, jej wyrazem to ta żołnierska, tułacza pieśń legionistów: »Jeszcze Polska nie zginęła!«

Długi czas nie wiedziano, kto był autorem tej pieśni, jeszcze przy pisaniu »Wieczorów pielgrzyma« [2] S. Witwicki pisze tak: »Ta batalionowa i szwadronowa poezya miała swoją epopeję, ów sławny śpiew »Jeszcze Polska nie zginęła!«, co następnie przeszedł w usta całego narodu, a którego twórcy nikt dziś z pewnością wskazać nie może, podobnie jak twórców poematów najsławniejszych w starożytności. Zdaje się, iż jak niegdyś na Iliadę składała się cała Grecya, tak za stworzycieli naszej piosnki trzeba wziąć wszystkich rodaków bez wyjątku, którzy walczyli w legiach Dąbrowskiego i Kniaziewicza«.

Chodźko Leonard w *Pologne historique, litteraire, monumentale,* daje takie wyjaśnienie: »Le mazurek Dąbrowski quelques personnes l'attribuent à Wybicki, mais généralement on croit qu'il appartient à une époque plus ancienne« [3]. Dalej mówi, że

---

[1] W druku pojawiły się w zbiorkach: »Pieśni dla żołnierzy polskich«, Warszawa 1809. »Pieśni narodowe z różnych autorów polskich«, Warszawa 1818, zebrane przez X. Bielskiego. »Zbiór wierszy i mów patryotycznych od r. 1806«, Warszawa 1808.

[2] Wyd. w r. 1844 w Paryżu.

[3] Wyd. w Paryżu, tom 1, r. 1835, str. 430.

»J. Wybicki composa des paroles à la hâte sur l'ancienne mazurek ou coroune on dit sur la musique qu'il fut lui même«.

Jako autora pieśni wymienia Wybickiego Teodor Morawski w »Dziejach narodu polskiego« [1] oraz Kajetan Koźmian w III tomie Pamiętników [2]. Finkel w swojej pracy o »Pieśni legionów« [3] mimo tych świadectw stara się jeszcze o udowodnienie, że autorem pieśni był Wybicki, zestawiając pieśń z wcześniej napisaną, bo w r. 1789 operą Wybickiego »Polka czyli oblężenie Trębowli« i znajduje w niej formę i myśli, pokrewne do tych, jakie natchnęły go do napisania »Pieśni legionów«.

Tak więc długi czas, chociaż śpiewano ją i znano, chociaż była popularną i śpiewał ją cały naród, nikt jednak nie wiedział, gdzie powstała, kto ją napisał, jakiemi drogami doszła do tego, że stała się pieśnią narodu.

I dziś nawet nieliczni o niej coś wiedzą, chociaż śpiewają ją wszyscy. Jest to jednaki los prawie tych wszystkich pieśni narodowych, popularnych, znanych przez wszystkie warstwy narodu.

Oprócz powyższych świadectw, pozwalających nam twierdzić, że autorem pieśni był Józef Wybicki, posiadamy jeszcze inne, o których będzie mowa niżej przy powstaniu tej pieśni, a nadewszystko posiadamy autograf, pisany ręką Wybickiego, a wydany w końcu XIX w. ze zbiorów Bohdana Kraszewskiego, syna Kajetana w Romanowie [4]. Finkel podaje [5], »że kopię z tego autografu rozesłał p. Bohdan Kraszewski bibliotekom polskim w kraju i za granicą, znajduje się ta kopia (facsimile) w dziale autografów w bibliotece Ossolińskich pod nr. 79. Jest to najstarsza z postaci mazurka, pochodząca z końca XVIII w.« Wydrukował ją L. Finkel w dodatkach do »Pieśni legionów«, według kopii biblioteki Ossolińskich.

A więc autorem tej pieśni był Józef Wybicki, gorący pa-

[1] Tom VI, str. 20.
[2] Str. 370.
[3] Wyd. we Lwowie 1894 r.
[4] »Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej«, tom I.
[5] »Pieśń legionów«.

tryota, wykonujący słynną protestacyę na sejmie 1768 r., potem konfederat barski, poseł na sejm czteroletni, zwolennik reform, autor »Listów patryotycznych«, tułacz i emigrant wyrzucony z własnej zagrody, jeden z inicyatorów i współdziałaczy około zrealizowania myśli utworzenia legionów, przebywający od połowy roku 1797 w kwaterze Dąbrowskiego we Włoszech. Autor wielu memoryałów, odezw, listów, pism politycznych i literackich, twórca wielu utworów dramatycznych, oraz autor ciekawych »Pamiętników«.

O powstaniu tej pieśni krążą różne wersye; Chodźko w dziele *La Pologne Illustré* pisze, że Józef Wybicki w Reggio, a zatem w lipcu 1797 r., ułożył słowa i muzykę mazurka, a za nim powtarza to samo St. Schnür-Pepłowski i Finkel, nie bawiąc się w głębsze roztrząsanie kwestyi, powód do tego mniemania dał pierwszy Chodźko. Finkla i innych najbardziej w błąd wprowadziła zwrotka:

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami

Komentuje to Finkel tak: »Pieśń z r. 1797 wskazywała ten sam kierunek drogi, który w memoryale Dąbrowski wytknął legionom, przez Chorwacyę i Węgry, a stamtąd do Wielkopolski: »Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę«, a więc naprzód Wisłę, a potem Wartę. Pozornie wszystko zdawałoby się, że tak; wiemy jednak o tem, że Wybicki przybył do Włoch w połowie 1797 r., już po zawarciu traktatu w Leoben w kwietniu tegoż roku, który niweczył i druzgotał zupełnie te nadzieje, sprowadzał ruinę zupełną klubów politycznych, czyniących przygotowania do powstania w Galicyi, nareszcie co najważniejsze, że nastąpiło rozwiązanie legionów na Wołoszczyźnie, przebywających tam pod wodzą Xawerego Dąbrowskiego; po rozwiązaniu więc ich i tragicznej wyprawie Denyski, nie mogło być mowy o połączeniu z nimi i wkroczeniu do Węgier [1].

Posiadamy cenną pracę Kraushara p. t. »Barss, palestrant

[1] »Niedoszłe legiony« przez d-ra Antoniego J. *Przew. naukowy i literacki*, 1876.

warszawski i jego misya polityczna we Francyi od r. 1793—1800« [1]. Z zebranych przez niego korespondencyi i dokumentów [2] dowiadujemy się, że Barss był pierwszym z inicyatorów tej myśli, aby wkroczyć do Galicyi od multańskich kresów.

Dokument ten, pisany do Dyrektoryatu w końcu r. 1796, a więc jeszcze przed traktatem w Leoben, tak brzmi:

»Jeżeli pod względem politycznym i handlowym zniweczenie Polski jest przeciwnem istotnym interesom Prus; jeżeli na tem jedynie zyskała Rosya, zwiększywszy swą potęgę; jeżeli Austrya, jako aliantka przyrodzona Rosyi, również interes swój na tem znajduje; następstwem owych okoliczności jest, że Polacy nie mogą budować widoków swego odrodzenia, jak tylko z uwagi na interes, jaki w niem może znaleźć monarchia pruska. Gdy zaś wspólność interesów kojarzy Prusy z Rzeczyp. francuską, tylko więc ten związek wzajemny i współudział obu państw może się przyczynić do przywrócenia Polsce stanowiska między mocarstwami europejskiemi. Według tych zasad, niema innego dla Polaków prawdziwych patryotów oparcia, jak tylko w związku Prus z Francyą. Powołać do życia naszą reprezentacyę narodową i utworzyć środowisko siły orężnej, oto zadanie najważniejsze, pomocne do rozwinięcia owego systemu.

Reprezentacya narodowa istnieje z samego prawa w sejmie konstytucyjnym 1791 r., odroczonym jedynie.

Powołanie jej na nowo do działania, odpowiada w zupełności interesom Polski i jej sprzymierzeńców. Łatwo będzie to urzeczywistnić przez zgromadzenie członków sejmu, którzy się nie shańbili udziałem Targowicy, kierowanej przez Rosyę.

Co do utworzenia środowiska siły wojskowej, zanim projekt ten dokładnie i na wielką skalę opracowanym zostanie, wystarczy co do tego zarys, którego wykonanie będzie niewątpliwie bardzo korzystnem dla państw, mających interes w odrodzeniu naszem«.

W memoryale tym niema ani słowa o wkroczeniu do Wielkopolski, owszem wspomina Barss, że niema innego dla Polaków

---

[1] Drukowana w *Przew. naukowym i literackim*, r. 1902.

[2] Arch. spraw zagr. (Pologne), tom 323, str. 336.

oparcia, jak w onym czasie w związku Prus z Francyą, przeciwko Austryi i Rosyi zwraca się ten memoryał. Projektowi Barssa sprzyjał ówczesny minister spraw zagranicznych de la Croix, więc zdaje się stronnictwom, że nadeszła stosowna pora do działania, dotąd rozbieżne partye jednoczą się, a Mniewski, Barss, Prozor, Wybicki zwracają się do Dyrektoryatu o poparcie tej myśli.

Dokument ten dostatecznie wyjaśnia nam, że nie mógł Wybicki pisać Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, już po traktacie w Leoben, niweczącym te wszystkie nadzieje, z tą myślą, że legie wkroczą do Wielkopolski — przeczyłoby to memoryałowi Barssa i całej tej misyi, w której Wybicki odegrał prawdopodobnie nie ostatnią rolę[1] — tem bardziej wtedy, kiedy plan ten niweczył doszczętnie traktat w Leoben.

Że odnośny memoryał podawał Bonapartemu Dąbrowski wkroczenie do Galicyi przez Węgry, to działał prawdopodobnie w myśl komitetu patryotycznego w Paryżu, jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę, że jeszcze dwa razy odnawiał dawny plan wkroczenia do Galicyi, przedstawiając go w r. 1794 naczelnemu wodzowi Schererowi, a potem jeszcze raz Bonapartemu, to niema powodu do obstawania za r. 1797 powstania pieśni, komentując zwrotkę »Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę«, w ten sposób, jak chce Finkel i odnosząc powstanie pieśni na r. 1797.

Między traktatem w Leoben a Campo Formio upłynęło zaledwie kilka miesięcy (od kwietnia 1797 do października tegoż roku) i marzyć wówczas nie można było o marszu do Polski, nie był to więc nastrój wesoły, nastrój bezwzględnego zaufania do Bonapartego, które nie było tak silnem nigdy ani przedtem, ani potem, jak chce Finkel, a stłumienie rozruchów w Reggio przez legionistów, nie był to też powód do radości, do wiary w lepszą przyszłość.

Gdyby pieśń została napisaną w r. 1797 w Reggio, nie byłaby powstała i owa końcowa zwrotka pieśni:

---

[1] Moje przypuszczenie potwierdza świeżo ogłoszona korespondencya w *Przeglądzie historycznym*, tom XI, zeszyt 1 i 2-gi, przez Smoleńskiego, a zaczerpnięta z archiwum hr. Stefana Potockiego w Rosi.

Mamy Racławickie kosy
Kościuszkę Bóg pozwoli!

Jakżeż mógł Bóg pozwolić Kościuszkę, kiedy schorzały, nie władający wcale jedną nogą, wskutek odniesionej rany pod Maciejowicami, przebywał wówczas w Ameryce i nie myślał wcale o powrocie do Europy.

Mógłby ktoś postawić zarzut, że mimo to, chociaż Kościuszko znajdował się w Ameryce, mógł Wybicki napisać »Kościuszkę Bóg pozwoli!«, ale byłaby ta zwrotka wówczas przenośnią, symbolem — wyrażałaby, że znajdzie się bohater podobny Kościuszce i powiedzie naród do nowych Racławic; jeżeli weźmiemy pod uwagę, czem była ta pieśń na początku jej powstania, jakie przeznaczenie miała spełniać, że była pisana jedynie dla żołnierzy, aby budzić i zagrzewać ich do boju, to jedynie mogła nasuwać im przed oczy obrazy żywe, rzeczywiste — fakta i wypadki rozgrywające się w ich własnych oczach lub współcześnie. A wówczas tylko wierzyć mogli i bić się, z nowym zapałem śpiewając:

Mamy Racławickie kosy
Kościuszkę Bóg pozwoli!

Kiedy ten ozdrowiawszy nagle pod wpływem listów, otrzymanych na wiosnę 1798 r. z Europy, przynoszących mu radosną nowinę o formowaniu legionów, o zawartej konwencyi z rządem cisalpińskim, ufając w to, że tym sposobem legiony stają się podmiotem prawa międzynarodowego, przez nie Polska staje na równi z rządem istniejącym, uznanym i przytem republikańskim[1], wyrusza z Ameryki do Europy, zdrów, pełen nowych sił i wiary w lepszą przyszłość Polski. 14 lipca znajduje się już w Paryżu, a 22 lipca komenda legionów polskich otrzymuje od niego zawiadomienie o przybyciu.

Wszystkie więc oczy zwracają się na niego, on był widomym znakiem tych ostatnich usiłowań w walce o niepodległość, nie stracił nic z swej dawnej sławy naczelnikostwa w Polsce.

---

[1] T. Korzon: »Kościuszko, biografia z dokumentów wysnuta«. Kraków, 1894, str. 497, oraz dopełnienia przy wydaniu drugiem.

Wszyscy rozumieli dobrze, że teraz on obejmie komendę nad wszystkimi legionami, powiedzie ich do Polski, do nowych zwycięstw. Więc spieszy do niego z powitaniem adjutant Dąbrowskiego Tremo. Wszyscy zostali poruszeni tą wieścią o jego przybyciu.

A on występuje zaraz po przybyciu do Paryża w charakterze politycznym i zwierzchnika, wizytuje ambasadorów, rozpisuje listy i odezwy do dawnych swoich generałów Dąbrowskiego, Kniaziewicza, Wielhorskiego, Rymkiewicza, do oficerów i żołnierzy, do Wybickiego. Życzy sobie wiedzieć nazwiska wszystkich odznaczających się oficerów, pisze do Dyrektoryatu Wykonawczego Rzeczypospolitej Cisalpińskiej i otrzymuje serdeczną od niego odpowiedź [1].

Dąbrowski w liście z Gaety dnia 5 lutego 1799 r. poleca legiony jego staraniom i opiece:

»Gdy dotąd wszelka pomyślność, która od rządu na nas spływa, Tobie tylko, O. Naczelniku, przypisać się powinna; gdy pod Twoim tylko przewodnictwem Polak szuka szczęścia, użyj zaufania, które tak sprawiedliwie Rząd francuski w Tobie położył i chciej załatwić interesa nasze, które generał Kniaziewicz dokładnie Ci opisze. Wszakże zebrana ta mała nas garstka, jest zawiązkiem owego wojska, które pod Twojem przewodnictwem, w liczne kolumny w Polszcze się rozwinie« [2].

Wszyscy więc byli pewni nowego przewodnictwa Naczelnika nie ideowego, moralnego, ale rzeczywistego, prawdziwego.

Jak wpłynął przyjazd Kościuszki na powstanie pieśni, na to odpowiedzi dostarcza nam cenna korespondencya Kościuszki z owych czasów, którą otrzymał T. Korzon wraz z innymi oryginałami i autografami w darze od p. Zofii Kosseckiej, późniejszego generała i radcy stanu X. Kosseckiego, wnuczki generała

[1] Korzon: Dopełnienie do biografii Tadeusza Kościuszki przy wydaniu drugiem.

[2] Korespondencye tę ogłosił Wł. M. Kozłowski w *Revue des Revues*. Paryż 1899.

Kosseckiego. Po raz pierwszy korespondencya ta została ogłoszoną z autografów przez T. Korzona wraz z podobiznami oryginalnemi autografów w *Tygodniku illustrowanym* w r. 1906 p. t. »Uzdrowienie Kościuszki i sprawa legionów«. Jeden szczególniej z listów, podany w dosłownem brzmieniu z autografu przez T. Korzona w *Tygodniku illustrowanym*, jest właśnie kluczem do rozwiązania kwestyi kiedy powstała pieśń.

Przytaczam go w całości (Korzon dodaje od siebie, że pisał go Barss[1] pod dyktandem Kościuszki, z licznemi poprawkami i wyraźnym adresem do O. Wybickiego):

»Miło mi jest słyszeć, Sz. Obywatelu, iż człowiek, który tyle w ciągu życia swego dał dowodów prawego obywatelstwa, znajduje się dziś przy zbiorze legionów polskich. Nie wątpię, Szan. Obywatelu, iż ta sama miłość Ojczyzny, też same sentymenta, które Cię w czasie ostatnich usiłowań o jej ratunek ożywiały, jednostajnie dziś tkwią w Twojem sercu, kto tyle, jak Ty, od tyranów kraju swego ucierpiał, niepodobna, aby im nie poprzysiągł wiecznej nienawiści. Wierzę, że nie przestaniesz jej konserwować w równym ze mną stopniu, ale nie dość na tem... i twego światła do utrzymania jej w Tobie podobnych. W tym celu pozwól, bym Cię prosił, abyś dla ugruntowania w żołnierzach zapału obywatelskiego i cnoty, zatrudnić się chciał wpajaniem w umysły zdań moralnych i ożywiał nadzieją widzenia jeszcze Polski niepodległej krajów i prawdziwie wolnej Rzeczypospolitej. Znasz[2] ile pieśni entuzyazmu wpajają w duszę ludzi, co dyszą za wolnością; chciej te pomiędzy współziomkami pomnażać. Potrzebaby także katechizm republikański ułożyć dla nich, któryby zastępował miejsce opinii zabobonnej, której się już w części pozbyć musieli. Przyjaźń Twoja dla mnie ośmiela mnie do włożenia na Ciebie tych obowiązków, które Ci zdatność Twoja tem łatwiejszemi do wykonania sprawi, iż czujesz ich cel i potrzebę.

---

[1] Wówczas Kościuszko mieszkał razem z Barssem.

[2] Wiesz zapewne. *(Przyp. autora).*

Polecam mię statecznemu przywiązaniu Twemu, zdrowie i przyjaźń«.

A więc to byłaby jedna z głównych być może pobudek do napisania pieśni, ów list Kościuszki polecający Wybickiemu, aby pieśnią budził entuzyazm i zapał, ożywiał nadzieję widzenia Polski niepodległej i wolnej Rzeczypospolitej. Wiedział Kościuszko, że zwraca się do tego, który już niejednokrotnie dawał dowód gorących uczuć patryotycznych czynem i piórem, słowem i szablą. Teraz znajdował się w głównej kwaterze Dąbrowskiego i na wieść o przybyciu Kościuszki do Europy, wyruszył z Rzymu do Medyolanu, aby być bliżej Kościuszki i tu otrzymał od Tremo i Wasilewskiego, powracających z Paryża, list od Kościuszki. Odpowiedział więc zaraz z Medyolanu na gorące i pełne zaufania słowa Kościuszki:

»Co do mnie, Naczelniku, nie zawiodą się Twoje życzenia, będę zawsze poczciwym Polakiem, nie będę żył tylko dla mojej ojczyzny i ani skarżyć się będę — o *virtus quem tu es res nugatoria* (nie dbam?). Tak mnie prowadzą moje pryncypia, od których na moment od dzieciństwa mego nie zboczyłem, w tych mnie utwierdził, wzięty z Ciebie, Cnotliwy mężu, przykład, za tym pójdę zawsze, bo on mi drogę prawdziwej cnoty wskazywać będzie, choć to będzie droga dolegliwości, nędzy i śmierci [1].

Uszanowanie i braterstwo *Wybicki*«.

Słowa jednak w podanym końcowym ustępie listu, jak i w całym liście Wybickiego do Kościuszki niema o tem, że ułożył pieśń, że jest śpiewaną, a zaczepiony o to przez Kościuszkę mógłby odpowiedzieć, że już uczynił to, tymczasem o tem nic, cieszy się w liście z powrotu do zdrowia Kościuszki, objaśnia go o legiach, przytacza wiadomości o kilku osobach, o Dąbrowskim, o zachowaniu się legionów, dopiero w końcu listu odpowiada na nadzieje Kościuszki pokładane w nim, że nie zawiedzie jego zaufania i t. d. i t. d.; nie wspomina jednak nic o pieśni, jeżeli weźmiemy pod

[1] List oraz odbitka z autografu czwartej stronicy listu z podpisem Wybickiego w *Tyg. illustr.* 1906 r., str. 186. Korzon: Udrowienie Kościuszki.

uwagę, że list pisany był w roku 1798, a pieśń miała być, według Finkla, ułożoną w r. 1797, na pewno więc (gdyby o niej już do tego czasu Kościuszko nic nie wiedział) Wybicki wspomniałby o niej choć słowem.

Zupełnie nie obala przypuszczenia, że pieśń powstała w r. 1799 list Wybickiego z dnia 6 marca 1798 r. pisany do Dąbrowskiego, a ogłoszony w *Tyg. illustr.* nr. 4, r. 1911 (Kiedy powstała pieśń legionów) przez prof. Finkla, w którym następujący wyjątek z listu potwierdza, jak przypuszcza prof. Finkel, jego twierdzenie, że pieśń powstała w r. 1797: »Niech żyje RPlta Francuska y przy niey RPlta Polska!! To wszystko, co pragnąć mogliśmy. Exystencyia Polski iest w sistemacie Francyi, zawiązek narodu uważany w Legijach, auxyliarność narodowa naszym u nich zawarowana. Dociekacie, Bracia, ile ta pociecha nagła, zawiera duszę y wszystkie zmysły moje — nie jestem w stanie więcej pisać — zaśpiewaycie Jeszcze Polska nie umarła!«

Na artykuł ów odpowiedział prof. T. Korzon w *Tyg. illustr.* nr. 7, r. 1911 (Kiedy powstała pieśń legionów), sądzę więc, że najlepiej uczynię przytaczając jego słowa na obronę twierdzenia, że pieśń powstała w r. 1799:

»Wybicki przesyła otrzymane z Paryża nowiny dyplomatyczne w rzekomym aliansie Rzpltej Cisalpińskiej z Francyą i o mianowaniu elektora saskiego na jakiegoś pełnomocnika do układów z Rzpltą Francuską w Rasztacie, co wróży wznowienie jakiej dobrej »dyskusyi o naszej biednej Polsce«. Nowiny są niewiarogodne, bo się nie sprawdziły na faktach, ale Wybicki z właściwą emigrantom polskim łatwowiernością optymistyczną przeplata je okrzykami: »Niech żyjè RPlta francuska i przy niej RPlta polska!« ... Obaczymy matkę naszą — niech żyje — niech żyje« ... »Jeszcze Polska nie umarła!« Budując swoje nadzieje na układach dyplomatycznych, Wybicki nie podpowiada przecież legionistom wojowniczego hasła: »siłą odbierzemy«, nie stawia im przed oczy tej Basi, która ma słuchać, jak to »nasi biją w tarabany«, nie zapewnia, że »Niemiec Polski nie posiędzie«. Jednem słowem, ani treścią, ani słówkiem żadnem list z dnia 6 marca

1798 roku nie przypomina pieśni żołnierskiej wojennej, o którą sprzeczamy się« [1].

Przypuszczenie to prof. Finkla, że pieśń powstała w r. 1797, mógłby potwierdzać fakt, niestety mylny, że Wybicki w r. 1798 w marcu opuścił Włochy (»Pieśń legionów«, L. Finkel. Lwów 1904): »Niebawem w marcu 1798 r. *(sic)* odczuwszy głęboko zawód, którego doznały wszystkie polskie intencye, wyjechał Wybicki do Paryża, a stamtąd do Wrocławia«. Błąd ten powtórzony jest i w drugiem ozdobnem wydaniu z illustracyami J. Kossaka. (Kraków 1910).

Dowodów na to, że Wybicki w r. 1799 jeszcze znajdował się we Włoszech nie brak, choćby w *Hist. des légions polonais* L. Chodźki (Paryż 1829) str. 144, tom II: »Le citoyen J. Wybicki l'accompagna pour appuer cette démarche de ses conseils. Ils partirent de Sezza 27 fevrier 1799«. Poza tem istnieją jeszcze inne, że przytoczę listy pisane z Włoch przez Wybickiego znacznie później, bo w lipcu 1798 r.«.

To wszystko skłania mnie do przypuszczenia, że pieśń powstała w r. 1799, być może wówczas właśnie, kiedy wyjeżdżał Wybicki z Sezzy d. 27 lutego do Medyolanu (jak twierdzi prof. Korzon), kiedy były wszelkie szanse na to, że legiony i Polska odegrają w tej nowej walce Bonapartego z koalicyą nie ostatnią rolę, że wrócą tam, gdzie »stary ojciec mówi do swej Basi cały zapłakany, słuchaj jeno pono nasi biją w tarabany« — wówczasto być może Wybicki miał już pieśń gotową i stosujące słowa do nowego planu Dąbrowskiego [2] przejścia przez Węgry do Polski, napisał »przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę«.

Później napisać jej nie mógł — po przybyciu do głównej kwatery złudzenia jego zmniejszyły się, gdyż w końcu marca zaczęła się niepomyślna dla Scherera walka z Krayem, potem klęska pod Magnam, nakoniec kapitulacya Mantui.

Opuszcza więc niebawem Wybicki Włochy, udając się do

[1] T. Korzon: »Kiedy powstała pieśń legionów«. *Tygod. illustr.* nr. 7, r. 1911.

[2] *Hist. des légions polonaises en Itatie par L. Chodźko,* tom II-gi, str. 144. Paryż 1829.

Paryża a stamtąd do Wrocławia, gdzie oddaje się odtąd życiu rodzinnemu, spokojnemu, kreśląc pamiętniki i pisząc swoje filozoficzno-moralne »Godziny szczęśliwe«, na widownię polityczną powołały go znów wypadki r. 1806: wkroczenie Napoleona do Wielkopolski. Została jednak pieśń wśród legionów, protestująca, pełna nadziei, że »Jeszcze Polska nie umarła«, przekazana tym, którzy jeszcze za nią walczyli.

Nie przywiązywał zapewne Wybicki do swej żołniersko-okolicznościowej pieśni takiego znaczenia, jakiego później nabrała, nie rozsławiła jego imienia, bo z czasem zatraciło się w pamięci narodu, ale obiegła ziemie polskie, weszła w myśl i duszę narodu, budząc zapał i entuzyazm, ten, którego domagał się od »pieśni« Kościuszko od Wybickiego, spełniła więc i spełnia cel twórcy, z jakim była pisaną.

(Dok. nast.)

Wacław Orłowski.

Przemówił Jahwe..

(Job 38^2—40^5).

Przekład z hebrajskiego.

---

1 Przemówił Jahwe z orkanu do Joba: *

A) Prolog.

2 Któż to uwłacza porządkowi (świata)
gadaniną (bez myśli), bez rozumnej treści?
3 Przepaszno — proszę — 'rycerzu' [1], swe biodra;
Jać będę pytał — a ty mnie pouczysz!

B) I część (38^4—38^{38}): Stworzenia nieżywotne.

I.

4 Gdzieś był, gdym zakładał podwaliny *ziemi?* —
— Nuże, odpowiedz, jeśliś posiadł rozum! —
5 Któż nakreślił jej rozmiar? — wszakże ci wiadomo —
albo kto rozpiął nad nią sznur mierniczy?

---

* Wyrazów objętych nawiasem ( ) brak wprawdzie w tekscie hebrajskim, ale są dozwolone, a czasem nakazane kontekstem.

[ ] klamra oznacza opuszczenie wyrazu, znajdującego się w tekscie.

Wyrazy objęte [klamrą] są uzupełnieniem, mającem filologiczną podstawę czy to w krytyce tekstu, czy też w metryce hebrajskiej.

W uwagach podane są konieczne poprawki lub odmienne lekcye od masoreckiego tekstu, które uwzględniłem w tłumaczeniu.

[1] czytam · גִּבּוֹר

6 Na czem się ziemi wspierają posady?
[ ] [2] Któż to założył jej kamień węgielny,
7 Wśród gwiazd porannych zgodnego okrzyku,
wśród pień radości wszystkich (mych) aniołów?

II.

8 'Któż — (proszę) — zawarł' [3] wrotami *morze*,
gdy wytryskiwało, z łona (ziemi) biło,
9 Gdym nań kładł obłok, (jako) jego szatę,
ciemne mgławice, (jako) powijaki? —
10 (Bo) gdym wyłamywał mu (w głazach) granicę [ ] [4],
gdym stanowił zawory i (osadzał) bramy,
11 Natenczas rzekłem: »dotąd [ ] [5], a nie dalej!
tutaj 'spocznie' [6] twoich majestat bałwanów!«

III.

12 Czyś kiedy, za dni twoich, kazał (wstać) *rankowi*
lub stanowisko wyznaczał jutrzence,
13a Ażeby uchwyciły ziemię za (jej) rąbki,
14a aby ją odmieniły, niby pieczęć glinę?
13b Wszak (rankiem) z (nory) ziemi wypłoszone łotry
14b stają jak gdyby 'pod pręgierzem wstydu' [7];
15 Wtedy bywa odjęte złoczyńcom ich światło,
a ramię (ich) zuchwałe — (opada) skruszone!

IV.

16 Czyli do krynic morza dotarłeś ty (kiedy);
azaliś po *przepaściach* chadzał oceanu?
17 Czy odsłoniły ci się (choć raz) wrota śmierci,
czyżeś 'cerberów' [8] 'podziemia' [9] oglądał?
18 Czyś ogarnął umysłem przestworza wszechświata?
Powiedz, proszę — jeśliś to wszystko zrozumiał!

---

[2] opuszczam אוֹ [3] czytam וּמִי סָךְ [4] opuszczam וְ —
[5] opuszczam תָּבוֹא [6] czytam יִשְׁבַּתְּךָ [7] czytam לָבוּשׁ
[8] czytam וְשַׁעֲרֵי [9] czytam צַלְמָוֶת

V.

19 Którędy można dotrzeć do *przybytku światła?*
Wiesz ty, gdzie się mroku znajduje sadyba,
20 abyś go odprowadzić mógł do jego granic,
i 'wskazać mu' [10] ścieżyny do jego pałacu?
21 O! ty się na tem znasz! — boś wonczas był zrodzon,
a liczba dni twoich jest mnoga!

VI.

22 Czyś dotarł (kiedy) do śpichlerzów *śniegu,*
lub czyś składnicom gradu się przypatrzył,
23 Który ja chowam na czas utrapienia,
na dzień potyczki i (stanowczej) walki?
24 Jakiemi to stronami przebiegają 'chmury' [11],
'przewala się' [12] nad ziemią wicher nawałnicy?

VII.

25 Któż to (proszę) wyciosał *ulewie* kanały,
kto drogę dla wichury błyskawic i grzmotów,
26 By deszcz skraplała nad ziemią bezludną,
ponad puszczami, gdzie niemasz człowieka,
27 Aby syciła krainy pustynne,
wzrost dała runi, 'ginącej z pragnienia'? [13]

VIII.

28 Azali *deszcze* miewają rodzica,
albo któż (proszę) płodzi krople rosy?
29 Z czyjego łona wypadają grady,
a szron niebiosów któż rodzi?
30 (Patrz! oto) wody ścinają się, by skała, —
ba (nawet) grzbiety bałwanów tężeją!

---

[10] czytam תְּבִנֵהוּ [11] czytam אֹר [12] czytam יָפִיץ [13] czyt. צָמֵחַ

IX

31 Czy ty zacieśnić zdołasz więzy *Plejad*,
albo rozluźnić okowy Oryona?
32 Czyś w stanie Zodyaku gwiazdy wywieść w porę,
lub Wielką 'Niedźwiedzicę' [14] z jej młodemi wodzić?
33 Azali ty 'stanowisz' [15] ukazy niebiosom,
zakres ich rządom wyznaczasz na ziemi?
34 Czy możesz skierować twój rozkaz ku chmurom,
tak by wód strugi (zaraz) cię okryły?

X.

35 Zdałaszże rozpętać *gromy*, by ci się stawiły,
aby rzekły do ciebie: »otośmy (gotowe)«?
36 Któż wlał przeczucie 'barankowym chmurkom' [?],
Kto dał 'zorzy polarnej' [?] dar przepowiadania?
37 Kto w mądrości (swojej) liczy chmur gromady,
albo wypróżnia łagwie (wód) na niebie,
38 Podczas gdy ziemia mięknie, by metal stopiony,
a skiby do siebie szczelnie przylegają?

C) II część (38[39]—40[2]): **Stworzenia żyjące.**

XI.

39 Azali ty to łowisz dla *lwicy* (jej) łupy
i zaspokajasz u lwiąt żądzę żeru,
40 Kiedy się czają po 'swoich jaskiniach' [16],
gdy w gęstwi wysiadują, gotując zasadzki?
41 Któż przygotowuje padlinę dla *kruka*,
kiedy pisklęta jego do Boga wołają,
A (kruk) bez pożywienia 'szybuje' [17] (po polach)?
. . . . . a)

---

[14] czyt. עַיִשׁ [15] czyt. הֲיָדַעְתָּ [16] czyt. בִּמְעוֹנֹתָם [17] czyt. יִתְעֶה

a) Tego stychu brak w tekście hebrajskim.

XII.

39[1] Azali 'kierujesz' [18] [ ] [19] porodem skalnych *kozic*,
(albo) bóle rodzenia u łań dozorujesz?
2 Czy obliczasz miesiące, jakie spełnić winny,
alboli 'stanowisz' [20] czas, gdy miotać mają?
3 (Patrz: oto) się kurczą, młode swe rzucają,
płody swoje (szybko na świat) wydawają!
4 Ich młode rosną w siłę, chowają się w polu;
a odszedłszy (raz matek), do nich nie wracają!

XIII.

5 Któż to *dzikiego osła* obdarzył wolnością?
Kto więzy rozpętał (temu) biegunowi,
6 Któremu Ja dałem step na pomieszkanie,
a solami sytą ziemię na siedzibę?
7 On to szydzi sobie z miastowego zgiełku,
i nie zważa wcale na wrzask poganiacza.
8 (Natomiast) 'wypatruje' [21] po górach swą paszę; —
(tam to) śledzi pilnie za wszelką zielenią!

XIV.

9 Czyli ci zechce *żubr* się wysługiwać,
albo noc spędzać u twojego żłobu?
10 Czy możesz go wprzęgnąć do skiby powrozem [ ] [22],
tak aby bronował płosy poza tobą?
11 Azali mu zawierzysz — iż wielką siła jego?
czy poruczysz mu może twoich plonów zbiory?
12 Czy możesz mu zaufać, iż ci (do dom) wróci,
'że ci plony' [23] zwiezie na twoje klepisko?

---

[18] czyt. חֹדֵעַתָּ [19] opuszczam עֵת (dittogr.) [20] czyt. וידֵעַתּ
[21] czyt. וְתָוֹר [22] opuszczam 'jego' [23] czyt. וְזֵרַעֲךָ גָּרְנֶךָ

XV.

13 'Chwalić się zwykło' [24] pióra skrzydeł *strusic;*
(ale) czyż pieczołowite to lotki i pierza,
14 Gdy (strusica) na ziemię swoje jaja rzuca,
gdy (je) wysiaduje na (pustyni) piaskach,
15 Nie pomnąc na to, że noga je pognieść,
że zwierz pustyni podeptać je może?

XVI.

16 Sroga dla piskląt, jakby nie były jej płodem;
Napróżno się trudziła, bez obawy (żyje)!
17 Gdyż Bóg to sprawił, że rozumu nie ma;
On to jej nie dał udziału w mądrości! —
18 Ale niech 'w potrzebie' [25] w górę wzbije (skrzydła) —
to może zakpić z konia, (zakpić) z jeźdźcy jego!

XVII.

19 Czy ty to *rumakowi* użyczasz dzielności,
alboli odziewasz grzywą jego szyję?
20 Czy dasz mu siłę skoku, jaką (ma) szarańcza,
i pyszne parskanie, które trwogę nieci? —
21 On to 'ryjąc kopytem' [26] pole, rży radośnie,
z impetem się rzuca, skoro bitwę zoczy;
22 Drwi sobie z trwogi, ani się nie lęka,
ani się nie cofa na widok oręża.

XVIII.

23 Ponad nim chrzęści (dźwięcznie) kołczan (pełen strzał);
'połyskuje' [27] włócznia i oszczep(u ostrze).
24 Z wściekłością i prychaniem chmury kurzu wchłania,
a nie zbacza [na prawo, ani też na lewo] [28].

---

[24] czyt. נִקֹּם׳ [25] czyt. בָּעֵת [26] czyt. יַחְפֹּר־
[27] czyt. לָהַב [28] czytam i uzupełniam וּמִן וְלֹא יַשְׁמִאיל

Na głos 'trębacza' [29] [zrywa się do boju] [30],
25 gdy (zagra) trąbka, to rżeć zwykł, aż hej!
Już na odległość wyczuwa on bitwę,
okrzyki wodzów i wrzawę bojową.

XIX.

26 Czyż siłą twej wiedzy *jastrząb* ku górze się wzbija,
rozpościera swe skrzydła pod wiatr południowy?
27 Czy na twój to rozkaz *orzeł* (w niebo) wzlata,
[i na górach] [31] ściele swego gniazda (puchy);
28 Lub mieszka wśród turni, a noce przepędza
na skał urwiskach i zamczyska (wieżach)?

XX.

29 Stamtąd on [dla siebie] [32] wypatruje żeru, —
bo oczy jego hen w oddali śledzą;
30 Pisklęta zaś jego posokę 'żłopią' [33] chciwie; —
— Gdziekolwiek trupy — tam go (pewno szukaj)! —
40[2] — Czy bluźnierca chciałby nadal prawować się z Wszech-
— Strofujący Boga niechaj da odpowiedź! mocnym???

D) Epilog.

3 W odpowiedzi na to przemówił Job do Jahwy:

4 »Otom ja nicość! — cóż Ci więc odpowiem?
Dłoń swoją kładę na usta swoje.
5 Jeden raz przemówiłem — nie 'ponowię' [34] tego więcej —
ba (nawet), po dwakroć — lecz nic już nie dodam«. —

---

[29] czyt. שׁוֹפָר [30] uzupełniam וְרֹעַ [31] opusz. וְכִי a zamiast tego czytam וּבְהָרִים [32] uzupełn. לוֹ [33] czyt. יְלַעְלַע [34] czytam אֶשְׁנֶה

Uwagi.

Powyższy przekład obejmuje pierwszą przemowę Jahwy, której każdy stych oddałem stychem (wierszem) w wiernym przekładzie polskim, mając na oku wskazania, przy innej sposobności wyłuszczone w *Przeglądzie Pow.* w r. 1908. Oryginał hebrajski ujęty jest w wiersze, z których każdy można wygodnie rozłożyć na dwa stychy trzechstopowe. Jedynie dwa wiersze (38^{41}, 39^{25}) są w obecnym tekscie hebrajskim trójstychiczne. — Wszystkie stychy hebrajskie są trójmetryczne czyli trzechstopowe, to jest składają się z trzech akcentów głównych (ἄρσεις) i odpowiadających im 2, 3 (czasem 4) zniżek głosu (θέσεις). Za podstawę stopy hebrajskiej służy anapest irracyonalny, ale w formie bardzo wolnej, zwyczajnie akatalektyczny, czasem katalektyczny.

Większą trudność, niż podział na stychy, przedstawia podział niniejszego ustępu na strofy. By te strofy za wszelką cenę złożyć, uciekają się niektórzy uczeni, jak np. Hontheim (*Das Buch Job als strophisches Kunstwerk nachgewiesen.* Freiburg im Breisgau 1904), do licznych przestawień wierszy lub stychów między sobą, aby tylko uzyskać w ten sposób swoje sztuczne: Vorstrophe, Gegenstrophe, Zwischenstrophe. Liczne a czasem zbyt gwałtowne przestawienia Hontheima [1] uważam za chybione i nie dające się uzasadnić krytyką tekstu. Zarzucam przeto szematyczny podział Hontheima:

6, 6 — 4 — 6, 6 — 3 — 3, 3
4, 4 — 4 — 4, 4 — 6 — 4, 4

Wychodzę bowiem z założenia dość ogólnie przyjętego wśród metrologów hebrajskich, że jedynie wtedy wolno ustępy poetyczne hebrajskie dzielić na strofy, gdy dana pieśń pozwala się rozłożyć na części mniej więcej równe, sposobem naturalnym, bez gwałtownych naciągań lub przestawień tekstu, mając jedynie na oku treść pojedynczych jej części, które tak pod względem treści jak i rytmu sobie odpowiadają i pewną całość logiczną stanowią.

Mając na oku tę zdrową, a dość ogólnie przyjętą zasadę metryki hebrajskiej, dzielę pierwszą przemowę Jahwy, jak następuje:

Całość (150 stychów = 22 strof) składa się z prologu, dwóch części i epilogu.

A) Prolog (4 stychy = 1 strofa)	Jahwe — 4	
B) I część (70 stychów = 10 strof)	Jahwe	8—8—8 6—6—6—6—6 8—8
C) II część (72 stychów = 10 strof)	Jahwe	8—8—8—8 6—6, 8—8, 6—6
D) Epilog (4 stychy = 1 strofa)	Job —4	

[1] Np. **38**, 2—7; 31; 32; 12—15; 8—11; 16—30; 33—41; **39**, 26; **38**, 26—30; **39**, 1—25

W szczególności:

I część: istoty nieżywotne (10 strof)			**II część: istoty żywotne** (10 strof)		
I	strofa:	ziemia (8 stychów)	XI	strofa:	mięsoż. (lwica i kruk) (8 st.)
II	»	morze (8)	XII	»	kozica (8)
III	»	poranek (8)	XIII	»	dziki osioł (8)
IV	»	głębokości morskie (6)	XIV	»	żubr (8)
V	»	siedl. światła i mroku (6)	XV, XVI	»	strusica (6+6)
VI	»	zjawiska meteorolog. (6)			
VII	»	burze (6)	XVII, XVIII	»	rumak (8+8)
VIII	»	opady atmosfer. (6)			
IX	»	gwiazdy (8)	XIX, XX	»	ptactwo (6+6)
X	»	zjawiska na niebie (8)			

Rzym w lipcu 1911.

Ks. Władysław Szczepański.

LISTY HR. DE MONTALEMBERTA DO KS. JANA KOŹMIANA.

Z bogatej korespondencyi, pozostającej w rękach rodziny ś. p. ks. Jana Koźmiana, podajemy w przekładzie z francuskiego wybrane listy hr. de Montalemberta, rzucające charakterystyczne światło na tę wybitną postać francuskiego publicysty, tak oddanego Polsce i jego poglądy na wiele ówczesnych zagadnień w zakresie polityki i życia kościelnego. Dziękujemy zarazem rodzinie ś. p. Koźmiana za łaskawe użyczenie tej korespondencyi do naszego rozporządzenia.

Redakcya.

La Roche en Breny (Côte d'Or)
Boże Ciało. 1857 r.

Mój drogi! Zaledwie wysłałem Ci mój ostatni list, gdy mi poczta przyniosła książkę p. t. *Etudes religieuses et politiques sur la Russie, traduite de l'allemand. Paris, typographie de Ch. Lahure 1858.* Wstęp zawierający dziesięć wierszy, datowany jest z Paryża dnia 1 grudnia 1857! Niema nazwy autora, tylko na pierwszej stronie nieznanem mi pismem skreślone słowa: *A Monsieur le Comte de M. homage d'admiration et de sympathie!*

Dla różnych powodów przypuszczam, że to dzieło pochodzi od księcia Augustyna Galicyna, ożenionego jak Ci wiadomo z Francuzką, nawróconego przed dziesięciu czy dwunastu laty na katolicyzm, bardzo zaprzyjaźnionego z p. de Falloux i wielu innymi katolikami a bardzo zajętego wydawnictwem nieznanych doku-

mentów o dziejach i religii swego kraju w zbiorach bibliograficznych Janet, Techener i t. d.

Bądź co bądź czuję się w obowiązku wskazać Ci tę publikacyę, jako rzecz niezmiernie wrogą dla Polski. Jest tu głównie mowa o zdobyciu Ukrainy przez Polaków i o prześladowaniach popełnionych przez tychże na Unitach. Na każdej stronie widnieją fakta wprost fantastyczne, cytowane z pism Konińskiego, kronikarza małoruskiego. Na Polskę zrzucona jest odpowiedzialność za wszystkie klęski katolicyzmu w Rosyi. Jest potępiona, jako nieuleczalnie oligarchiczna, podczas gdy w Rosyi »samodzierżawie«, pomimo że zboczyło z zasad słowiańskich, zachowało przecież w sobie zaród dążności demokratycznych. Naród powierzył swoją władzę Jednemu, więc ten Jeden ją dzierży i wykonywa w imieniu narodu... Jak widzisz, to zupełnie system napoleoński i jak Ci pisałem w poprzednim liście, umieją wybornie wykorzystać obecne dążności Francyi gwoli rosyjskiego aliansu.

Krom tego książka zawiera mnóstwo ciekawych wiadomości, jest bardzo surową względem rosyjskiego duchowieństwa i bardzo wrogą pamięci Piotra W., równie jak i polityce cesarza Mikołaja. Powinna zwrócić waszą uwagę. O ile ganię tych z pomiędzy Polaków, którzy radziby od własnych spraw patryotycznych uczynić zależną przyszłość katolicyzmu w Rosyi, Bogu jednemu znaną, o tyle mnie oburza usiłowanie katolików rosyjskich, aby zrzucić na biedną Polskę, przygniecioną jarzmen ich władcy, wszystkie winy i wszystkie nieszczęścia przeszłości. Bardzo mało zatem mnie wzrusza »sympatya i podziw« tego bezimiennego autora i bardzo pragnę, aby jakieś kompetentne pióro odparło jego twierdzenia. Nie kryłem przed Tobą, iż katolicy rosyjscy cieszą się wielką sympatyą *Correspondent*'a; książę Galicyn sam czasem tam pisuje i cała publiczność wierząca na tę stronę się skłania. Pomimo to przyślij mi jaki artykuł w duchu polskim: coś d o b r e g o i solidnego a przyrzekam żadnych trudów nie szczędzić, aby go umieszczono. Przedstawię rzecz jako moją sprawę osobistą a choć nie posiadam w tem wydawnictwie przeważającego głosu (ani do niego nie dążę), przecież jestem niemal pewny, że mnie posłuchają.

Zresztą zacznij przez obraz obecnego stanu Polski pod względem religijnym, moralnym, społecznym i literackim. Oto co najbardziej interesuje czytelników i co się najlepiej spodoba Redakcyi. Z tej podstawy dopiero możesz zrobić wycieczkę w dawne czasy, choćby do Ukrainy dla odparcia twierdzeń tłumacza Konińskiego.

Piszę pod przykrem wrażeniem, jakie mi zostawiła ta książka i mam nadzieję, że ujrzysz w tem nowy dowód mego przywiązania dla najdroższej Ci sprawy oraz najserdeczniejszej przyjaźni dla Ciebie. *Ch. de Montalembert.*

P. S. Tysiące pozdrowień Kaysiewiczowi, którego pobyt tutaj był nam bardzo miły. W ciągu przyszłego lata wybieram się do Karlsbadu, skąd może i do Krakowa podążę, aby raz stanąć na polskiej ziemi, potem zaś do Wrocławia i do Marienburga. Sporządź mi tymczasem łaskawie maleńką marszrutę.

La Roche en Breny (Côte d'Or)
24 grudnia 1857 r.

Kochany Koźmianie! Dziękuję Ci za Twój list z ubiegłego miesiąca. Byłem bardzo cierpiący od czasu jakeśmy się widzieli; nie mam już nadziei wyzdrowienia. Ale po operacyi przebytej na wiosnę i trzech kuracyach u wód, odbytych w ciągu lata, odczuwam chwilowe polepszenie, z którego korzystam o ile mogę, aby posunąć moją historyczną pracę, niestety spóźnioną, a zwłaszcza zanadto rozciągłą. Pomyliłem się dwa razy w rozmiarach mego przedmiotu, objąwszy go zrazu zbyt ciasno a obecnie nadawszy mu szerokość, której nie miał czasu wypełnić. Pocieszam się myślą, że gdybym nawet zdołał za życia wydać moją książkę, doznałaby losu, jaki spotkał dzieło księcia de Broglie — oskarżonoby ją w trzydziestu dwóch punktach jako liberalną, racyonalistyczną i nacyonalistyczną — ku wielkiemu aplauzowi duchowieństwa. Dzieło pośmiertne dozna może lepszego powodzenia, ukazując się po dwóch lub trzech nowych rewolucyach.

Musisz sobie zdać sprawę, mój drogi, że Rosya jest obecnie w wielkich łaskach u Francuzów, i jest to naturalnym wynikiem

podobieństwa naszych instytucyi politycznych, tak bardzo podziwianych przez dzisiejszych katolików, a zwłaszcza przez pewną liczbę katolików polskich! Nasz kraj ma demokracyę autokratyczną, Rosya zaś autokracyę demokratyczną; różnica nie jest wielka, a gdy emancypacya włościan zostanie ogłoszoną, nie będzie już różnicy żadnej. Pod względem religijnym powrócono z największym zapałem do idei grasujących w czasie Restauracyi, t. j. że kraj może być tylko szczęśliwym pod jednym władcą, któryby trudnił się sprawami wszystkich, oraz sprawami Pana Boga, nie zapominając o własnych. Jeśliby zaś przypadkiem władca ten trudnił się sprawami dyabła, pozostanie zawsze środek zaradczy — modlić się gorąco o zmianę w jego humorze. Aleksander wydaje się wszystkim osobistością godną wszelkiego zaufania i niemal równie pewną jak Napoleon III. Liczą bardzo na niego co do przyszłego nawrócenia Rosyi; nie jest to, jak przypuszczasz, dążność O. Lacordaire, ale on także, jak ogół Francuzów, bardzo się interesuje Rosyą. Jestem przecież pewny, że więcej jeszcze kocha Polskę. Co do *Correspondent*'a, idea rosyjska jest bardzo mile widzianą u ostrożnej i umiarkowanej części redakcyi: O. Gagarin i książe Galicyn mają tam wielki posłuch; ja mam tylko moje słówko do powiedzenia, a głos mój jest wiernym Polsce i zawsze nim pozostanie. Obiecuję Ci więc, że podam i okrom nieprzewidzianych przeszkód sprawię, aby przyjęto wszystko, co mi poślesz o kwestyi polskiej; spiesz się, bo na tym świecie *les absents ont toujours tort.* Jeszcze przed artykułem o literaturze polskiej wielkie wzbudziłby zajęcie skreślony przez ciebie szkic o położeniu moralnem i społecznem Polski obecnej. Kaysiewicz opowiedział mi, co do tego rzeczy dziwnie piękne; traktując jednak o tym przedmiocie, radzę nie dotykać kwestyi rosyjskiej, we wszystkiem bowiem cobyś o tem powiedział, upatrywanoby z zasady uprzedzenia narodowe i to narodu zwyciężonego. Dla zwyciężonych zaś, przeważnie u katolików, niemasz tutaj litości. Możesz mówić o Polsce i o jej cierpieniach: jeszcze Cię jako tako posłuchają, nie objawiaj jednak zbytniego oburzenia przeciw sprawcom tych cierpień. Daję Ci tu rady, których sam nie byłbym

w stanie wykonać, ale Tyś ode mnie świętszy, umiesz się opanować i nie *calcitrare contra stimulos.*

Liczę więc na rzeczony artykuł na luty, ale nie obiecuję bynajmniej, aby się ukazał w numerze lutowym: potrzeba zawsze 2—3 miesięcy zanim się znajdzie miejsce na umieszczenie artykułu przyjętego i już wydrukowanego.

Co do kwestyi chełmskiej poślij do numeru styczniowego to jest za 15 dni, streszczenie faktów, obejmujące do dwóch stronic druku (nie więcej), a zbijające to, co pisze *Journal de Bruxelles.* O umieszczenie go poproszę sam.

Poproś w Kollegium angielskiem lub u msgr. Talbota o londyński miesięcznik katolicki *The Rambler.* Numera listopadowy i grudniowy zawierają artykuły *The Russian Church* i *On Greek Rite,* które, acz dla Ciebie przykre, musisz koniecznie przeczytać.

Do widzenia, mój drogi, módl się za mnie i licz na mnie we wszystkiem. *Ch. de Montalembert.*

Ecotay, p. Montbrison (Loire)
5 Aout 1861.

Mój drogi! Obawiam się, żeś nie odebrał moich dwóch listów z Berlina i Hanoweru, prosiłem w nim bowiem o posłanie mi do Frankfurtu niektórych rzeczy, które mnie tam nie doszły. Co do jednych pocieszam się, gdyż byłem zmuszony powrócić wcześniej do Francyi, nie zwiedziwszy opactw szwabskich. Nad czem wszakże boleję, to jest, że nie otrzymałem jeszcze muzyki, tekstu i tłumaczenia hymnu »Boże, coś Polskę«. Chciałbym módz podać porządny przekład tej przepięknej elegii w artykule, nad którym przemyśliwam, t. j. w artykule o wszystkiem, com w Polsce widział i odczuwał. Według dosłownego tekstu, posłanego mi przez młodego Lula Platera [1], ułożyłem z pomocą Kazimierza Chłapowskiego coś, z czego jestem bardzo niekontent. Co prawda, ten kochany Kazimierz, ozdobiony mnóstwem zalet, nie posiada zdolności do języków i sam mi się przyznał, że w czasie swych nauk

[1] Ludwik Plater, syn Cezarego, zmarły r. 1910 w Krakowie.

nieraz bywał strofowany przez ks. Prabudzkiego za chłód i obojętność względem wypracowań stylu. Krom tego muszę Ci serdecznie podziękować za danie mi tak miłego i użytecznego towarzysza podróży. Trudno wymarzyć lepszego i łączącego wszelkie zalety potrzebne w tego rodzaju wspólnej imprezie. Sądzę, że posyłając mu na twoje ręce wyrazy najżywszej wdzięczności za te dziesięć dni we dwójkę z nim przebytych, więcej mu czynię zaszczytu, niż gdybym mu wprost dziękował, ma bowiem dla Ciebie najgłębszą cześć. Nieraz jednak mówiliśmy o Tobie z żalem, mianowicie o sposobie, w jaki zużywasz swój czas i siły na rzeczy drobne, wprawdzie dotyczącego służby Boga i bliźniego (np. dla mnie!), a zaniedbujesz Twoje istotne posłannictwo, którem jest napisanie k a t o l i c k i e j h i s t o r y i p o l s k i e j. Mój drogi, wspomnij na to, com ci mówił w wagonie między Pelplinem a Krzyżem, że gdybyś zadaniu temu choć godzinę dziennie poświęcił, oddałbyś największą usługę twemu krajowi i prawdzie.

Mam nadzieję, że Chłapowski ci powiedział, iż pisałem do Mgr. de Ram (?) w sprawie twego protegowanego w Lowanium, którego nie pamiętam nazwiska. Dałem mu także dla Ciebie dwa numera *L'ami de la Religion*. Miałem nadzieję, że podasz do tego dziennika małą relacyę o prawdziwym celu i charakterze mojej podróży do Polski. Teraz już za późno; zawsze jednak pragnę i to bardzo żywo, abyś wszedł w stosunki z tem pismem. Przejeżdżając, widziałem się w Paryżu z głównym jego właścicielem ks. Sisson: jest jak najlepiej usposobiony dla sprawy polskiej, mówił nawet, że do Ciebie napisze.

Raz jeszcze proszę Cię, abyś z każdej sposobności korzystał dla wyrażania mojej wdzięczności tym wszystkim, którzy mnie tak serdecznie przyjmowali od chwili, gdym wstąpił na polską ziemię w Rawiczu, do tej, w której ją pożegnałem w Pelplinie: nasamprzód twemu teściowi Generałowi (Chłapowskiemu), którego mam nadzieję widzieć we Francyi, następnie uprzejmej rodzinie Chłapowskich z Czerwonej Wsi (pomimo że trzymają *Le Monde*). Proś o modlitwy ks. Prusinowskiego i ks. Janiszewskiego a nadewszystko sam módl się za mnie.

M.

Poślij mi, proszę bardzo, ustęp z »Boże, coś Polskę«, o którym nam mówił O. Prokop, a w którym jest powiedziane: że jeśli tak bolesnem jest utracić ziemską ojczyznę, czemże musi być utrata wiecznej ojczyzny(?)[1]. Pisuj przez pocztę a strzeż się przed »okazyami«. Przestrzegam Cię, że moja żona nie odebrała nigdy owych trzech tomów o Zakonie krzyżowym (wydawnictwa Działyńskiego), o których mówiłeś mi czy pisałeś, żeś je kazał do niej posłać. *M.*

---

[1] Podziw hr. de Montalemberta dla pieśni »Boże, coś Polskę« dochodził wprost do entuzyazmu: »Słyszałem i podziwiałem — pisał — wszystkie arcydzieła muzyki kościelnej i świeckiej, starożytnej i nowej, ale ani przesadnie chwalone cuda w kaplicy Sykstyńskiej, ani czarujące harmonie Glucka lub Beethovena nie wzruszyły mnie tak głęboko, jak ten śpiew natchniony płomiennym duchem wiary, bolu i patryotyzmu, i z głębiający aż do dna tych uczuć otchłanie. Za każdym razem gdym słyszał tę niebiańską pieśń czy to śpiewaną chórem, w wiejskim kościele, przy brzmieniu organów, czy też nuconą nieuczonym głosem dziecka lub dziewczęcia w samotnym ogródku lub w zaciszu domowem, zawsze mi się zdało słyszeć nadziemską melodyę. Nigdy głos błagalny nie znalazł tak słodkich a namiętnych dźwięków. Szczerze byłoby mi żal człowieka, któryby mógł z zimnem sercem i suchą powieką słuchać tych żałosnych tonów, podnoszących się i opadających w coraz to rzewniejszym rytmie aż do chwili gdzie błaganie wybucha potężnym wyrazem bólu i miłości:

Ojczyznę, wolność — racz nam wrócić Panie!«

Do tego listu dołączona jest karteczka, przypominająca jeszcze posłanie: 1) tłumaczenia dosłownego hymnu »Boże, coś Polskę«, po łacinie lub po francusku, 2) muzykę do tej »wzniosłej modlitwy« na organy i fortepian, 3) muzykę i tekst hymnu »Bogarodzico«. List z 5 sierpnia pisany był z Ecotay, ślicznej rezydencyi jego córki Elżbiety, wydanej przed niespełna dwoma laty za wicehrabiego Kamila de Meaux. Bardzo serdeczny bilecik hrabiny de Montalembert donosi o urodzeniu pierwszego wnuka, którego chrzest dał okolicznej ludności sposobność do istnej manifestacyi, nie tyle na cześć nowonarodzonego i tegoż rodziców, co dziadka a ojca chrzestnego. Pochody tryumfalne, łuki z kwiatów, liczne a entuzyastyczne oracye mężczyzn, świadczyły o przywiązaniu ludności dla sprawy Kościoła, a zwłaszcza o ocenieniu przez nią długoletniej pracy jednego z najgorliwszych obrońców katolicyzmu we Francyi:

»Nie mogę wyrazić — pisze hrabina w tym liście — Drogi Panie Koźmianie, jakiem uspokojeniem była dla mnie prawdziwa przyjaźń, z jaką Pan towarzyszyłeś memu mężowi gdyśmy się rozstali w Kobylopolu, a on się puścił awanturniczo na zwiedzanie Północnych Niemiec i tej kochanej Polski, którą tak dobrze opisał w jej wspaniałem świetle dzisiejszem, arty-

La Roche en Breny. 30 sierpnia 1861.

Mój drogi! *Correspondent* ogłosi pojutrze mój artykuł o Polsce, bardzo straszny tak z powodu swoich rozmiarów, jak i wielkich, podniesionych w nim kwestyi. Obawiam się, że nie wyjdzie cało ze szponów policyi francuskiej i poczty pruskiej. Proszę Cię napisz zaraz skoro tylko go otrzymasz i wypowiedz bardzo szczerze Twoje zdanie. Poczekam na nie, aby porobić wszelkie zmiany, jakich zażądasz w odbitkach, mających wyjść osobno jako broszura. Spotkałem się już z silnymi protestami i sprzecznościami w łonie samej dyrekcyi *Correspondent*'a. Tutaj są przekonani, że Polacy są obecnie bardzo zitalianizowani; dlatego musiałem wyrazić się bardzo surowo o posłach, którzy głosowali za poprawką piemoncką p. de Kücke (?). Prócz tego byłem oburzony bezczelnością *(outrecuidance)* Cieszkowskiego w tej sprawie. Końcem końców przypuszczam, że obraziłem wszystkich, nie wy-

---

kułem w *Correspondencie,* który świeżo przeczytałam z radością i wdzięcznością względem niego samego, względem Was wszystkich i Boga! Niech Bóg da dla was samych i dla nas, katolików całego świata, aby Polska wytrwała w tej wzniosłej postawie *(attitude),* w której jest dla wszystkich przykładem. Starajcie się, aby ohydne napoleońskie intrygi nie zamąciły obrazu, jakiego świat nigdy nie widział, a który równoważy szalę złego i dobrego wobec okropności, jakie się gdzieindziej dzieją. Pozwalam sobie polecić Panu do czytania dla młodych ludzi, którzy się interesują wszystkiem, co się obecnie dzieje, rzecz sprytną, prawdziwą i bardzo zabawną, to jest artykulik p. t. *Evénements du mois,* w tym samym numerze *Correspondenta,* gdzie jest artykuł p. de Montalemberta. Autorem jego jest pan Cochin [1] pod pseudonimem P. Daufin. Jest tam formą lekką ale bardzo ciętą, śliczna obrona Stolicy św. a zarazem i mego brata [2], który od dwóch miesięcy był nieprzestannie celem najpodlejszych napaści i oszczerstw dziennika *Opinion nationale* i wszystkich innych czasopism półoficyalnych. Wielki tu rozgłos ma broszura anonimowego autora, napisana na temat jako: Włochy bez Wenecyi podobne są do Francyi bez Belgii. Widać stąd jakiego poszanowania doznałyby poczucia wolności i narodowości, gdyby ludzie tej szkoły mieli zwyciężyć! Ale brak mi już miejsca. Proszę zatem przyjąć wyrazy mego wdzięcznego a głębokiego przywiązania.

Mérode de Montalembert.

---

[1] Augustyn Cochin, ojciec dzisiejszego Dyonizego (Denys) Cochin.

[2] Msgr. de Mérode.

łączając Polaków, ale na Ciebie liczę, że mnie będziesz bronił, pisząc bowiem starałem się przeniknąć Twymi poglądami i wskazówkami.

Odebrałem Twój list z 18-go wraz z »Boże, coś Polskę«, które moja córka Katarzyna gra mi na fortepianie ku wielkiej mojej rozkoszy. Zobaczysz, co o tem piszę. Kazałem posłać numer *Correspondent*'a arcybiskupowi, Baczyńskiemu, Stanisławowi Chłapowskiemu i memu drogiemu Kazimierzowi. Temu ostatniemu przypomnij, proszę Cię, że mi obiecał dostarczyć piec gdański; nie trzeba jednak, aby miał więcej szerokości nad 1 metr — wysokość jest obojętna.

Moja córka Elżbieta urodziła tymi dniami syna, *a son and heir*, który został przyjęty z dziwnym we Francyi entuzyazmem przez ludność zamieszkującą pobliże ich rezydencyi w okolicy Forezu.

Do widzenia, mój drogi, mój wiernie oddany przyjacielu. Przyznaję, że się okrutnie zmęczyłem pisaniem tego artykułu wśród wszystkich moich spraw domowych i w tak upalne gorąco. Chciałem nim okazać moją wdzięczność za przyjęcie, jakiego w Polsce doznałem.

Po tysiąc razy Twój i wszystkich Twoich *M.*

P. S. Otwieram napowrót list, aby Cię prosić o wynotowanie rzeczy, któreś mi wysłał do Frankfurtu wraz z datą wysyłki. Dnia 25 lipca dowiadywałem się tam na poczcie, czy nie nadeszło co dla mnie. A może posłałeś przez kolej?

Paryż 6 lutego 1862.

Mój drogi! Powróciwszy nareszcie do mojej tutejszej biblioteki, spieszę z odpowiedzią na Twoje zapytania bibliograficzne. Otóż posiadałem już: 1-o pięć pierwszych tomów *Acta Tomiciana*. 2-o *Liber geneseos illustris familiae Schidlovicz*. 3-o dzieło wyłącznie polskie p. t. »Zrzódłopisma do dziejów Unii«. Część trzecia. Powracając tu znalazłem nie jeden ale dwa egzemplarze *Lites ac res gestae inter Polonos et Cruciferos* — jeden zupełnie nowy, drugi poplamiony i stary. Prócz tego porównałem mój dawny

egzemplarz Kromera — jest absolutnie podobny do tego, który mi darowałeś w Poznaniu: z Kolonii 1589 czy też 15VIX? (wszyscy autorowie czynią dodawanie)[1]. Jeżeli zatem nie zaprotestujesz miałbym ochotę duplikaty Kromera i *Lites ac res gestae* ofiarować do biblioteki Akademii *(l'Institut)*, uchodzącej za najprzedniejszą w Paryżu.

Winien Ci jestem podziękowanie za trzy listy: jeden z 23 lipca (zwrócony z Frankfurtu do Poznania a z Poznania tu), z 6-go listopada i nareszcie z 2-go stycznia. Przedewszystkiem jednak pragnę zapewnić Cię, że pamięć mojej podróży do Polski i Twojej dobroci dla mnie p r z e d n i ą, w c z a s i e n i e j i p o n i e j nie tylko się we mnie nie zaciera, ale mi coraz silniej gruntuje się w sercu. Tobie zawdzięczam pierwotny jej pomysł, Tobie też całą jej przyjemność i korzyść.

Proszę Cię jeszcze bardzo usilnie o ów numer mapy Niemiec, który mi obiecałeś w Głogowie, a której niepodobna tu dostać. Powiedz też, jak Ci za nią oddać pieniądze?

Pozostałem w stosunkach z (Dominikanami w) Sorrèze, nawet po zgonie O. Lacordaire: obecny dyrektor O. Mourey posiadał pełne zaufanie O. Lacordaire. Widziałem tam pośród uczniów trzy czy cztery polskie nazwiska — między innemi Czetwertyńskiego. Kollegium to (nie tylko ze względu na O. Lacordaire) spodobało mi się bardzo pod wszelkimi względami: wszystko tam jest szerokie, wielkie, m ę s k i e — wychowują tam l u d z i a nie jak gdzieindziej katolickie kurczęta. Co do kwestyi wieku — nie wiem absolutnie, jakie tam są reguły. Czemużbyś nie napisał wprost do O. Mourey, jeżeli możesz sumiennie zaręczyć, że ten 17-toletni młodzieniec nie zepsuje szkoły? Gotów jestem poprzeć Cię w potrzebie.

Odebrałem przekład mego artykułu *Une nation en deuil* pióra ks. Prusinowskiego i proszę mu zań wyrazić moje podziękowanie i powinszować mu ode mnie jego uwięzienia, które, mam nadzieję, nie jest zbyt ciężkiem. Ucieszyłem się wynikiem wyborów w Księstwie a bardziej jeszcze tak sympatycznem a nie-

[1] W oryginale *comme tous les auteurs additionnent* (?)

spodziewanem przemówieniem Piusa IX w sprawie Polski. Raduje mnie też, co Ty i Kaysiewicz mówicie o stosowności wyboru Felińskiego na arcybiskupstwo warszawskie. Natomiast jestem bardzo niezadowolony z milczenia emigracyi wobec infamii wypisywanych przez dzienniki *La Presse, L'Opinion nationale* i *Siècle.* Przywykłem już do najpotworniejszego cynizmu w pismach rewolucyjnych, ale przyznaję, że jestem przerażony zgodnością, z jaką wszystkie organa demokracyi imperyalistycznej jednogłośnie interwencyę papieską mienią być współdziałaniem polityki rządu rosyskiego. Nazwisko Mickiewicza jest skompromitowane postępowaniem syna, a zachowanie się całej emigracyi jest mało pocieszające.

Nie słyszałem nic o adresie pań polskich — ale Zamoyskich tu już niema. Dadzą mi go zapewne za swoim powrotem z Londynu. Dlaczegóż wykluczono zeń panny? Ale jakiś Ty dobry, żeś sobie zadał pracę spisania statystyki podpisanych pań! Stanowczo jesteś najtroskliwszym i najbardziej oddanym z przyjaciół. Oto co mi wciąż powtarza pani Amadeuszowa Thayer, zawsze bardzo cierpiąca, ale zawsze wierna wszystkiemu, co kocha i często wspominająca rzewnie o Twojej przyjaźni. Nie wiem dlaczegobyś nie posłał streszczenia, o którem mówisz panu Leonowi Laredan do biura dziennika *La gazette de France;* jest to obecne schronisko liberalnych katolików, którzy opuścili *L'ami de la Religion.* Nie trzeba jednak sądzić gorszem, niż było, postępowanie księdza Sisson: po prostu *L'ami* zeszedł na poziom *Monde*'u pod względem politycznym. Podobnie jak *Monde* będzie bronił religii nie atakując cesarstwa i z równą starannością chroniąc się od procesów i »przestrzeżeń«, które nań dawniej gęsto padały. Pozostanie wszakże zawsze nieskończenie wyższym od *Monde*'u co do doktryny i nigdy tak bardzo nie zaszkodzi sprawie katolickiej. Nie przebaczę Ci tego, że się przyczyniasz do szerzenia przewagi, jaką ten obrzydliwy dziennik wywiera na duchowieństwo i katolicką młodzież. Jakże Cię nie oburza ohydna niemoralność jego teoryi co do tolerancyi o wolności sumienia, niezgodność katolicyzmu ze społeczeństwem współczesnem i t. d. Cóż mówić o ostatnim liście biskupa z Montaubau

lub o tych dwóch gamoniach *(polissons)* Nello i Seigneur, którzy śmią o O. Lacordaire mówić tak, jak to czynią w numerze *Monde*'a z 1-go lutego. Nie! Szkoda cię na to, byś się łączył z tymi prawowiernymi łotrami *(gredins orthodoxes)!*

Czyś nie czytał moich dwóch rozprawek o tym wielkim i świętym O. Lacordaire? Wmawiam w siebie, że Ci się podobały. Dziś wieczór powracam do La Roche en Breny, gdzie zostawiłem moją rodzinę w dobrem zdrowiu i gdzie jesteś kochany i bardzo ceniony. Powracamy tu wszyscy 20-go lutego i zostaniemy do czerwca. Co się dzieje z Twoim teściem. Do widzenia, mój drogi, módl się za mnie. Jestem o wiele zdrowszy od czasu mojej podróży, ale nie mogłem jeszcze powrócić do pracy nad »Mnichami«.

M.

La Roche en Breny
24 października 1862 r.

Mój drogi! Powracając z Anglii zastałem Twój list z 29-go sierpnia, wraz z zawartym w nim listem p. Żółtowskiego; później zaś list z 2-go października oraz nowe wydanie Kadłubka. Dziękuję Ci serdecznie za to i za wszystkie inne podarki. Podobny dar otrzymałem niedawno od Towarzystwa literackiego, którego sekretarzem jest Kalinka. Mianowicie wielki atlas Wrotnowskiego, dzieło istotnie wspaniałe. Przeczytałem tekst z niezmiernem zajęciem, ale też z pewnem niezadowoleniem, gdyż jest widocznem, że autor nie pojmuje wcale społecznej i religijnej misyi polskiej, i że jak wszyscy Twoi współziomkowie, choruje na zarazę napoleonizmu.

Zdajesz się mieć mi za złe, że siedzę cicho, ale cóż chcesz abym robił? Po mojej mowie akademickiej, która miała powodzenie, jakiegom się nie spodziewał, przepędziłem dwa miesiące w Anglii i Szkocyi. Wróciłem zasmucony wzrastającym fanatyzmem u katolików, widocznym na każdym kroku [1], ale bardziej

[1] Zauważono już, że katolicy angielscy mienią się być l e p s z y m i katolikami od wszystkich innych. Wchodzi to widać w obręb szowinizmu narodowego.

niż kiedykolwiek pełen podziwu dla męskiej energii tego wielkiego ludu, o tyle wyższego w tem, jak i w wielu innych rzeczach, od ludów rasy łacińskiej. Widziałem i podziwiałem zblizka organizacyę ochotników — 150.000 ludzi, zaciągniętych własnowolnie aż po krańce Szkocyi, niesłychany wynik uświadomienia ludu i ufności władzy. Dalej dziw inny — ale równie wielki — naprzeciw Kościoła urzędowego — wolny Kościół szkocki, utrzymywany nawet w najbiedniejszych wioskach, niewyczerpanymi datkami ofiarności publicznej. A największy ze wszystkich dziw, to bohaterska cierpliwość klas cierpiących wskutek bawełnianego kryzysu. Gdym jednak o tem wszystkiem chciał mówić w *Correspondent*'cie, zaczęto mnie błagać, abym tego nie czynił. I miano słuszność — gdyż byłbym tylko obraził katolików (francuskich), którzy nie chcą, aby podziwiano Anglię, którzy absolutnie nie rozumieją, co to jest wolność, męskość i samoistne działanie, i nie wychodzą poza ideał prawowiernego cezaryzmu, którego podłe działanie okazało się znowu w ohydnej książce (którąś zapewne czytał) p. t. *Le Parfum de Rome* i to z przyprawą wszystkich anatemów i trywialności, jakie w niej widziałeś. Odbyliśmy tutaj niedawno walną naradę *Correspondent*'a pod przewodem biskupa orleańskiego. Był tam i biedny Fallouse, choć bardzo cierpiący, byli również Cochin i Foisset. Albert de Broglie zatrzymany chorobą swego dziecka, posłał nam mowę recepcyjną, którą ma wypowiedzieć w Akademii, wstępując tam w miejsce O. Lacordaire. Odnaleźliśmy się wszyscy zgodnie i z postanowieniem wytrwania, po siedmiu latach akcyi wspólnej, dziwnie szczęśliwej, gdy się weźmie pod uwagę różnicę pochodzenia i charakteru tych znamienitych ludzi — Dupanloup, Fallouse, Broglie, Cochin! Skonstatowaliśmy jednak, że nie wywieramy prawie żadnego wpływu na duchowieństwo, ani na ogół katolików. Wyrocznią ich jest *Le Monde*, tak jak był *L'Univers*; uczy ich wręcz przeciwnie tego, coby należało myśleć, mówić i czynić, aby społeczeństwo dzisiejsze zdobyć napowrót dla katolicyzmu. A pomimo to wszyscy katolicy (pomiędzy nimi Ty sam) czytają go i wspierają. Szczęściem, że Ty nie we wszystkiem go słuchasz, np. gdy on mówi w numerze z 30-go września, że »porządni ludzie nigdy nie

powinni działać ani się łączyć poza obrębem władzy, jeżeli nie chcą się stać rewolucyonistami«.

Ot masz przyczyny mojej bezczynności: niemożliwość wyperswadowania czegokolwiek naszym katolikom oraz milczenie, w jakiem panująca koterya *Veuillot-Coquille-Chantrel* grzebie wszelkie czyny i pisma ludzi nie noszących ich barw.

Nie wiem, czy zdobędę dość odwagi, aby odpisać p. Żółtowskiemu. Mówisz, że to bardzo prawy człowiek — tem gorzej, gdyż według mego bolesnego doświadczenia, pomyłki i przesądy ludzi prawych bywają szkodliwsze, niż u ludzi złych. Należałoby chyba odesłać go do Proudhome'a. Proszę Cię, przeczytaj arcydzieło, wydane świeżo przez tego wielkiego pisarza pod tytułem: *La Fédération et l'Unité de l'Italie.* Od 20 lat nie wyszło nic równie znakomitego. Niepodobna było wykazać z większą werwą, złośliwością, słusznością i prawdą, niedorzeczności współczesnej demokracyi li tylko na polu politycznem. Chciałbym widzieć sofistę Cieszkowskiego wobec tak potężnego zapaśnika. Prasa liberalna przygniecie go ogólnem milczeniem, *la conspiration du silence,* jakiem nas katolików liberalnych przygniata reszta katolickiej prasy. Niemniej wszakże będzie miał słuszność on — i my. Do widzenia, mój drogi — nie zapomnę nigdy o dowodach Twej niewysłowionej dla mnie dobroci. *M.*

La Roche en Breny
28 stycznia 1863

Mój drogi! Zdecydowałem się nareszcie odpowiedzieć panu Marcelemu Żółtowskiemu. Wolę jednak list posłać przez Ciebie, bo nie wiem, gdzie się obecnie znajduje, a zwłaszcza chcę, abyś osądził czy ten list nie zrobi więcej złego, niż dobrego. Nadewszystko nie chciałbym go zmartwić, gdyż widzę, że to jest bardzo poczciwy człowiek. Namawiaj usilnie wszystkich Polaków, aby przychodzili do mnie, gdy jestem w Paryżu, choć co prawda bywam tam coraz rzadziej. Pobyt w Paryżu bowiem zawsze mnie zasmuca porównaniem stanu obecnego, z tem co było dawniej. Na wsi też jestem smutny, ale smutek mój nie jest zatruty wi-

dokiem igrzysk i splendorów cesarskiego Babilonu. Nadto w Paryżu nic nie robię, a tu troszkę pracuję, na nieszczęście tylko troszeczkę, bo już mi ochoty brak. Przewaga doktryn *Monde'u* coraz bardziej ogłupiająca katolików, odejmuje mi wszelką chęć pracowania dla nich. Jawny zwrot polityki cesarskiej w sprawach włoskich ukołysze ich znów w niedorzecznej ufności, z której ledwie poczynali się budzić i na nowo pogrąży w złudzeniach p r a w o w i e r n e g o imperyalizmu. Zadowolenie, wdzięczność i zaufanie bez granic, wyrażone przez papieża w depeszach p. de la Tour d'Aurergue są bolesnem zaprzeczeniem postępowania tych biskupów i innych, którzy się dla niego skompromitowali. Nie pozostaje nic, jak milczeć i czekać.

Byłeś łaskaw posłać mi D ł u g o s z a, którego już miałem. Zapominasz, iż posiadam pewną ilość książek, dotyczących historyi polskiej, jako to: Długosz, Kromer, Kadłubek, któreś mi równie posłał podwójnie. Duplikaty te oddam do jakiejś stosownej biblioteki. Za to pragnąłbym mieć dzieła wydane świeżo we Lwowie, zdaje mi się przez Stryjkowskiego, zawierające historyę królowej Jadwigi, całkowicie przerobioną z mnóstwem dopisków łacińskich, które będę mógł zrozumieć. A zwłaszcza ową książeczkę o Tyńcu, której nikt w Polsce nie mógł mi nawet pokazać. Niemniej jestem Ci serdecznie wdzięczny za te wszystkie podarki.

Morduje mnie jeden z moich dawnych współpracowników w dzienniku *L'Avenir:* układa słownik biograficzny do wielkiego Zbioru *Migne*, i chce koniecznie mieć szczegóły o Zygmuncie Krasińskim. Pisał do mnie o to co najmniej dwadzieścia razy. Ja zaś pisałem do Kalinki, do Klaczki, do Delfiny Potockiej i nie mogę się doprosić odpowiedzi. Ty, który wiesz wszystko i masz czas na wszystko *(mirabile dictu)*, bądź miłosierny, napisz dziesięć wierszy o życiu i dziełach Krasińskiego i wypraw do pana d'Ault du Mesnil, do O i s e m o n t, S o m m e. Będą Cię za to błogosławić a zresztą będzie to usługa oddana waszemu znakomitemu zmarłemu. Jesteśmy wszyscy zdrowi i kochamy Cię bardzo. Moja żona i Katarzyna jadą na 4 tygodnie do Brukseli; ja zostaję tu do 15 marca. Do widzenia, mój drogi, myślę często o Tobie i o mojej kochanej podróży do Polski. *M.*

Wyobraź sobie, że piękny piec, wysłany mi przez Mąkowskiego z Gdańska, doszedł tu potłuczony w kawałki! Czy czytałeś zbiór przemów O. Lacordaire do młodzieży, wydany przez ks. Perreyve. Wydaje się w nich daleko wyższym i czystszym *(irréprochable)*, niż w jakichkolwiek innych pismach. Są to rzeczy zarazem urocze i wzniosłe.

La Roche en Breny
24 paźdz. 1864 r.

Mój drogi Koźmianie! Od dawna bardzo jestem Twoim dłużnikiem. Przeszłego roku wśród najboleśniejszych chwil mego życia, spowodowanych powołaniem mojej córki Katarzyny i innymi jeszcze domowymi krzyżami, napisałeś do mnie list bardzo serdeczny, który mi był wielką pomocą. Powinienem był wcześniej Ci odpisać, przeszkodziło mi jednak dużo rzeczy zbyt trudnych do wyszczególnienia. Pewien jestem, że mi przebaczysz i pewien również, że mimo twej gorliwości kapłańskiej zrozumiałeś moją boleść przy rozstaniu z tą najmilszą córką, którą zaledwie poznałeś w Górce i w Poznaniu. Próżnia, jaką zostawiła w domu, nie zdoła się nigdy zapełnić, ale dziękuję Bogu, że dawszy jej to s t r a s z n e powołanie, dozwolił jej między tylu zakonami wybrać Sacré Coeur, który coraz bardziej wzbudza moją sympatyę i podziw. Największą pociechę czerpię teraz z listów tej przedziwnej dziewczyny, stającej się obecnie dla mnie jakoby przewodnikiem duchownym. Wyraziłem jej od Ciebie, że jej życzysz ducha poświęcenia i spokoju serca, odpowiedziała: »Pisząc do dobrego ks. Koźmiana, proszę mu podziękować za jego modlitwy i prosić, aby głównie nalegał u Pana Boga o pierwsze, t. j. o ducha poświęcenia, ono bowiem jest sprężyną życia zakonnego i wogóle życia chrześcijańskiego. Drugie — spokój serca, zda mi się, że już za łaską Bożą posiadam, utkwiwszy serce moje w Sercu Tego, który się nigdy nie zmienia i nigdy omylić nie zdoła«.

Nie powiem Ci nic o Polsce, bo wiesz co o niej myślę. Rad byłem widzieć z Twego listu z 9-go września, że nie jesteś niezadowolony z mego artykułu *Le Pape et la Pologne*. Z artyku-

łów Klaczki w *Revue des deux mondes* i z innych objawów znać, że Twoi rodacy ślepym uporem trwają w swoich nieuleczalnych złudzeniach wobec polityki napoleońskiej, która zdradziwszy Was w r. 1807 i 1812 okupuje w oczach świata rewolucyjnego winę opuszczenia Polski obecną winą opuszczenia papieża.

W Paryżu jednak bardzo niewielu widuję Polaków, z wielką zatem radością powitam każdego, którego mi poślesz. Przypomnij mnie i moją wierną pamięć Twojemu teściowi; powinszuj ode mnie Kazimierzowi przyjścia na świat jego syna. I dodaj, że mu na łożu śmierci nie przebaczę, jeżeli nam jak najspieszniej nie przywiezie żony tu do tej zimnej krainy Morwanu, którą już zna i gdzie wie, że serca gorętsze są od klimatu, a umysły lotniejsze od szkap, z których tak się wyśmiewał. Przypominam wciąż moją podróż do Polski i Niemiec, tak miłą dzięki jemu (Kazimierzowi) i Tobie. Jest to najbardziej ulubiona z moich podróży, dla tej samej przyczyny, dla jakiej ojciec najbardziej kocha swoje ostatnie dziecko. *A propos* dzieci zaś, muszę Ci donieść, że moja mała Elżbieta została tego roku po raz drugi matką i że przeto jestem już dwakroć dziadkiem. Miała córeczkę, którą nazwano Katarzyną, na cześć ciotki zakonnicy. Mam nadzieję, żeś zauważył i przetłumaczył do Twego *Przeglądu* kazanie O. Feliksa, wygłoszone przy zamknięciu tegorocznego Kongresu w Malines. Widzisz, że w niem powtórzył i potwierdził w nieco łagodniejszej formie zasady, jakie wyraziłem w owej sławnej przemowie, która na mnie ściągnęła tyle przykrości i tyle oskarżeń ze strony tej fanatycznej i tyranicznej sekty, dla której jesteś zawsze zbyt pobłażliwy. Ona przecież jest bezsprzecznie główną przyczyną niebezpieczeństw obecnej sytuacyi w Rzymie i w Europie. Polecam Ci *La Réforme Sociale*, dzieło świeżo wydane przez radcę stanu Le Play, a nic równie znakomitego nie wyszło od wielkiego dzieła Tocqueville'a. Mam nadzieję, że Platerowie zdrowi. Napiszę do Cezarego w tych dniach. Ściskam Cię i proszę o modlitwy.

M.

Paryż 7 października 1867 r.

Mój drogi Księże! Twój list z 2-go lipca bardzo mi był miły. Obawiałem się, żeś trochę o mnie zapomniał, pomimo tak licznych i drogocennych dowodów przyjaźni, którem zawsze od Ciebie odbierał. Dziękuję Ci, żeś mi tę przyjaźń Twoją i sympatyę zachował. Bądź pewny, że nie jestem niewdzięczny.

Wracając tu po kilkomiesięcznym pobycie w Belgii, znalazłem wyszukane dla mnie przez Ciebie, z tak wielkim trudem, rzadkie dzieło *Tinecia*. Mam nadzieję, że się nie powstydzi zająć miejsca w mojej bibliotece obok kilku innych rzadkości dotyczących klasztorów. Cieszy mnie, że Ci je zawdzięczam. Przeglądając je, odnalazłem się na nowo w Krakowie, jak przed sześciu laty, u Kamedułów na Bielanach i w innych miejscowościach tej kochanej Polski, gdzie, dzięki Tobie, spędziłem kilka dni tak zapełnionych i tak interesujących. Ale niestety, nie mam już nadziei doprowadzenia mych prac o mnichach do epoki, gdzieby mogła być mowa o polskich Benedyktynach. Choroba moja zmieniła się w rodzaj nieuleczalnego kalectwa, które mi nie pozwala chodzić lub siedzieć przy biurku i więcej niż parę wierszy napisać. A zwłaszcza nie daje mi podnosić dużych ksiąg in folio lub in quarto, potrzebnych do pracy dziejowej. Nie mogłem jeszcze przyzwyczaić się do dyktowania czegoś innego jak listów, tak, iż mi jest materyalnie niepodobna prowadzić dalej tego dzieła, które już pochłonęło tyle lat mego życia. Od roku już ten smutny stan się nie zmienia. Doktorzy mnie opuścili, spuszczając się na naturę, ale ta przez ten cały czas nic dla mnie nie zrobiła. To też nie mogę, rozsądnie mówiąc, spodziewać się polepszenia. Trzeba mi znosić cierpliwie tę biedę, nie przewidując jej końca, biedę najprzeciwniejszą i najantypatyczniejszą mojej naturze, rwącej się, jak wiesz, do samodzielności i do czynu. Trzeba zwłaszcza, aby moi p r a w d z i w i przyjaciele, do których w pierwszym rzędzie należysz, przybyli mi z pomocą swojemi modlitwami, aby mi uprosić cierpliwość, odwagę i łagodność, której mi tak bardzo potrzeba. Mogę jeszcze czytać i jako tako interesować się wszystkiem, co się dzieje na świecie.

Biskupi z Orleanu i Namur przywieźli z rzymskiego zjazdu biskupów wrażenia bardzo dla mnie pocieszające i dające mi nadzieję, że sobór, jeśli się odbędzie, położy koniec przewadze fanatycznej sekty, od której ucierpieliśmy tyle od chwili wskrzeszenia prawowiernego cezaryzmu w r. 1852.

Spodziewam się, żeś odebrał tomy IV i V napisane a nawet wydrukowane przed moją chorobą, ale dopiero zeszłej wiosny wydane. Od dawna już nie wiem nic o Cezarym Platerze. Pokłoń mu się serdecznie ode mnie i wszystkim jego blizkim. U mnie wszyscy zdrowi. Żona moja poleca się Twojej pamięci. Ściskam Cię serdecznie.

Montalembert.

urodzonych poza granicami Niemiec

	w Ces. Niemieck.	w Niemcz. Półn. wraz z Kr. Sask.	w Niemcz. Południ.	w Król. Pruskiem
w oddziale A (rolnictwo i t. d.)				
wśród proletar. niewyuczonego . .	258 277	244 626	13 651	195 778
» » wyuczonego . . .	2 581	2 062	519	1 221
» » bliżej nie scharakt.	2 058	1 170	888	997
w oddziale B (industrya i t. d.)				
wśród proletar. niewyuczon. wraz z niewyj.	251 466	177 519	73 947	126 384
» » wyuczonego . . .	187 670	139 441	48 229	93 018
w oddziale C (handel i t. d.)				
wśród proletar. niewyuczonego . .	18 192	14 415	3 777	8 132
» » wyuczonego . . .	19 684	15 581	4 103	10 384
» » bliżej nie scharakt.	2 817	2 022	795	1 652
w ogóle w oddziałach A, B i C				
wśród proletar. niewyuczon. wraz z niewyj.	527 935	**436 560**	91 375	**330 294**
» » wyuczonego . . .	209 935	157 084	52 851	104 623
» » bliżej nie scharakt.	4 875	3 192	1 683	2 649
» » całego	**742 745**	**596 836**	**145 909**	**437 566**
w oddziale G wśród służby dom.	24 798	19 313	5 485	13 654
w ogóle w oddziałach A, B. C i G wśród warstw wyszczególnion. .	**767 543**	**616 149**	**151 394**	**451 220**
w oddziale D wśród najemników dla posług domowych i t. d. . .	9 120	7 073	2 047	5 099
w ogóle w oddziałach A, B, C, G, D wśród warstw wymienionych	776 663	**623 222**	153 441	**456 319**
wśród osób zajętych w lazaretach i t. d. (grupa wyodrębniona!) .	577			
w oddziale E wśród proletaryatu bliżej nie scharakteryzowanego .	3 151			
w oddziale F wśród osób żyjących z zapomogi i t. d.	5 343			
w ogóle w oddziałach A—F wśród warstw wymienionych	785 734			

W samem Król. Pruskiem pochodziło wśród proletaryatu rolnego i przemysł. (a więc nie całego!) przeszło 110 tys. osób z obcych krajów poza Rosyą i Austryą (zob. wyżej uw.); w Niemczech Południ. wiele proletaryatu włoskiego; w Niemczech Północn. poza Król. Pruskiem także niewątpliwie dość znaczna część proletaryatu z krajów poza Rosyą i Austryą. Sumę proletaryatu całego (a więc nie tylko polskiego i rusińskiego) z Rosyi i Austryi można zatem »sformułować« mniej więcej w sposób następujący: 623 222 + pewna część liczby 153 441 — ([110 726 + ?] + część innych obcokrajowców w państwach Niemiec Półn. poza Król. Pruskiem). Odliczając więc od sumy wyższej, aniżeli 623 222, sumę znacznie wyższą ponad 110 000, mamy w Cesarstwie Niemieckiem całego proletaryatu zarobkowego z Rosyi i z Austryi może więcej, a może mniej, aniżeli 500 000; polski i rusiński proletaryat z Rosyi i z Austryi, zatrudniony w Niemczech w czerwcu r. 1907, musiał liczyć jeszcze znacznie mniej głów.

KSIĄŻKA O EMIGRACYI.

(Leopold Caro: »Auswanderung und Auswanderungspolitik in Österreich«. Schriften des Vereins für Socialpolitik. Tom 131, Lipsk 1909).

(Dokończenie).

Z innych liczb w końcu podanych interesują nas głównie dotyczące proletaryatu niewyuczonego i służby domowej w Północnych Niemczech i w Król. Saskiem (15 270+19 313=34 583); może w tej sumie przeważały osoby polskie i rusińskie.

Z takich danych wnioskujemy, że zagraniczny proletaryat polski i rusiński, w całem Cesarstwie Niemieckiem podczas spisu w czerwcu r. 1907 zatrudniony, mógł liczyć trzysta kilkadziesiąt do mniej więcej czterechset tysięcy głów. Takim sposobem dochodzimy do wyników całkiem przeciwnych zapatrywaniom autora, który obraca się w sferze sum o wiele wyższych, a odrzuca cyfry warszawskiego komitetu statystycznego i krakowskiej dyrekcyi policyjnej i t. d. My wcale nie przypisujemy tak wielkiego znaczenia emigracyi illegalnej i nieuchwyconej i na podstawie spraw dzeń niemieckich zbliżamy się do sumy liczb oficyalnej statystyki rosyjskiej[1] i austryackiej (ca. 200 000 z Kongresówki (w r. 1905!) +ca. 140 000 z Galicyi i z Bukowiny (w r. 1907!)=ca. 340 000); z całą pewnością twierdzimy, że za czas r. 1907 absolutnie nie

---

[1] Podobne stanowisko w obec statystyki warszawskiego komitetu statystycznego zajmuje Orpiszewski w pracy wyżej podanej.

może być mowy o 380 000+200—250 000=580 000—630 000 robotników polskich z Królestwa Polskiego i z Austryi.

W trzecim rozdziale, poświęconym rozpatrywaniu przyczyn wychodźtwa w Galicyi, na Bukowinie i w dyecezyi Budziejowickiej (starania autora o uzyskanie odpowiednich informacyi z innych krajów koronnych okazały się daremnemi), położeniu, werbowaniu i podróżom wychodźców zamorskich, smucą nas ciemne obrazy nędzy ludzkiej, oburzają obojętne wzdrygania rządów, które nie zaopiekują się należycie wychodźcami i tolerują zło, napełniają wstrętem postacie hyen emigracyjnych. Najbardziej obchodzą nas oczywiście losy naszego ludu, na które też autor szczególną zwraca uwagę. Stawamy więc w chałupach i zagrodach galicyjskich i widzimy, jak ciemnota, alkoholizm i lichwa wśród coraz większego rozdrabniania parcel gnają płodny lud polski za morze.

Według spisu ludności z 31 grudnia r. 1900 liczyła Galicya 52% męskich, a 59,99% żeńskich analfabetów powyżej sześciu lat. Z powodu pijaństwa zasądzono w samej Galicyi (bez Bukowiny) w czasie od r. 1890 do r. 1901 219 837 osób, a więc przeciętnie 18 319 osób na rok. Obok ciemnoty i pijaństwa toczyła niezgoda i pieniactwo soki żywotne narodu. Liczba drobnych procesów (aż do 100 koron) wynosiła

	w Galicyi	w Czechach	w Dolnej Austryi wraz z Wiedniem
w czasie od r. 1890 do r. 1901 (przeciętnie):	466 815	138 356	128 846
w r. 1902	523 381	106 616	117 511
w r. 1903	555 872	104 252	119 119

Na 10 000 mieszkańców przypadało drobnych procesów w roku

	1901	1902	1903	1904
w Galicyi	632	646	685	721
w Dolnej Austryi wraz z Wiedniem	357	357	365	366
w Czechach	158	155	162	158

Procesów possesyjnych było w latach

	1895/97	1898/1900 przeciętnie	1902	1903
w Galicyi	19 386	18 620	19 215	19 072
w Czechach	2 017	1 965	1 981	1 764

Na 10 000 mieszkańców przypadało w Galicyi 25 do 26, w innych krajach koronnych zaś 2 do 5 takich procesów.

Ciemny chłop licho gospodarzy, tarza się w pijaństwie, włóczy się po sądach, dostaje się do niewoli lichwiarskiej i na oślep wierzy mamidłom agentów i karczmarzy, którzy mu raj malują za morzem; popełniwszy zaś zbrodnię w chwilach gwałtownego uniesienia (jak się to zdarza), czepia się emigracyi jako ostatniej deski ratunku.

Pod takiem [1] jarzmem niewoli duchowej zgina się chłop polski [1] w naszej »wolnej«, »szczęśliwej« Galicyi, takie [1] składa ofiary na ołtarzu szatana wśród licznych dworów, plebanii, kościołów z jednej, a o wiele liczniejszych karczem z drugiej strony.

Taki chłop łatwo wpada w sidła podstępnych agentów, a łupiony niemiłosiernie i traktowany jak bydlę, ponosi poniewierkę i sromotę, żywo przypominającą okrucieństwa dawnego i nowoczesnego niewolnictwa.

Okropne obrazy (którym dodaliśmy nieco odcieni własnych wrażeń) i straszne zgrzyty na dnie naszego wychodźtwa wiejskiego; podłoża miejskiej emigracyi wcale nie przedstawia nasz autor.

Ale może niedość tych brudów i bagien wsi galicyjskiej. Wszak ciemnota, alkoholizm, lichwa, zgubne rozdrabnianie parcel to tylko bliższe symptomaty, które wskazują na dalsze źródła złego. Zaledwiebyśmy uszli kilka kroków w tym kierunku, a już zatrwożyłby nas głuchy pomruk piorunów:

Niczem Sybir, niczem knuty,
Lecz narodu duch zatruty
To dopiero bólów ból!

i poczęlibyśmy się skarżyć przedewszystkiem na obojętność i opieszałość wyższych, głównie odpowiedzialnych warstw, które zawiniły tyle złego, a nie przyłożyły i nie przykładają należycie rąk do dzieła naprawy.

Wprawdzie to drażni, to rani, to boli, a może w danym razie nie przyniosłoby pożytku naszej sprawie. Można więc różnie

[1] To należy rozumieć *cum grano salis*, gdyż liczby podane dotyczą ludności galicyjskiej w ogóle, nie zaś polskiej w szczególe.

zapatrywać się na to, czy autor (który zresztą zaznacza n. p. brak uczuć socyalnych i akcentuje potrzebę pracy społecznej) dobrze postąpił, nie poruszając kwestyi drażliwych.

Bądź jak bądź narysował nam w dotychczasowej części dość szerokie podłoże wychodźtwa i odbił wiele objawów z dziedziny ruchu emigracyjnego.

Relatywnie o wiele mniej udziela nam wiadomości, dotarłszy z wychodźcami do obcych lądów. A przecież podłoże wychodźtwa i ruch wychodźczy i powrotny sam w sobie to tylko jedna »część« emigracyi. Temu ruchowi emigracyjnemu w najszerszem pojmowaniu przeciwstoi byt i rozwój wychodźtwa w obcych krajach i wśród obcych społeczeństw.

Wytłumaczenie stara się dać autor sam na wstępie obszernego rozdziału czwartego, traktującego o polityce immigracyjnej w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Brazylii i Argentynie, wskazując na to, że ogólne położenie wychodźców w tych głównych krajach immigracyi austryackiej mogliby za przykładem Włoch zbadać dopiero podróżni inspektorzy i znacznie liczniejsi przedstawiciele konsulatów i agentur. Zajmuje się zatem pokrótce tylko polityką immigracyjną owych krajów ogólnie przystępną.

Takie tłumaczenie może wolno uważać za wystarczające, zwłaszcza, że autor porusza w siódmym rozdziale różne kwestye, na gruncie amerykańskim wyrastające, a mogące stać się przedmiotem polityki austryackiej.

Tutaj podpada nam przedewszystkiem niedość dokładne traktowanie warunków osiedleńczych w Kanadzie. W obec olbrzymich obszarów ziemi i różnic gleby i klimatu powstrzymuje się autor od wydania jednolitego definitywnego sądu o Kanadzie, który uważa za niemożliwy. W każdym razie widzi w północnozachodnich prowincyach jeden z spichlerzy europejskich w przyszłości, a po części i w teraźniejszości.

Może na sformułowanie pierwszego zdania wpłynęła nieznajomość dzieła prof. Seringa *Die landwirtschaftliche Konkurrenz Nordamerikas in Gegenwart und Zukunft* (Lipsk, 1887), *standard work* o stosunkach kolonizacyi północno-amerykańskiej, które nasz autor przeoczył mimo mrówczej skrzętności, z jaką

gromadził materyał. Wprawdzie obejmuje Kanada [1] 9,7 milionów kw. km., jest zatem (wraz z arktyczną grupą wysp, obejmującą 800 000 kw. km.) mało mniejsza od Europy, a nieco większa od Stanów Zjednoczonych lub Australii, ale z tych olbrzymich obszarów nadaje się do celów rolnictwa może tylko $^1/_{10}$—$^1/_8$—$^1/_7$, może 100 – co najwyżej 150 milionów ha, i to w południowej części kraju; główna zaś część tego terenu (może około $^4/_5$) leży w południowo-zachodniej Kanadzie. Na wschodzie, posiadającym już starszą kulturę i »gęstsze« zaludnienie, i całkiem na zachodzie w British Columbia brak warunków do szerokiej kolonizacyi słowiańskiej. Jako tereny takiej kolonizacyi wchodzą w grę przedewszystkiem prowincye preryjskie Manitoba, Saskatchevan i Alberta, które według kilku szacowań obejmują razem 33—68 mil. ha gruntów podatnych do celów osiedleńczych wzgl. rolnych (*settlements* wzgl. *cultivation, farming!*), i to

Manitoba	4—10 mil. ha
Saskatchevan	16—31 » »
Alberta	13—27 » »

W r. 1907 było około 9—11 mil. ha w posiadaniu i po części w użytku.

Tam ciągnie się t. zw. »pas urodzajny« (*fertil belt*), obejmujący wedle szacowań Seringa około 300 000 kw. km. czyli około 30 mil. ha (a więc mniej więcej $^3/_5$ Cesarstwa Niemieckiego), z których to gruntów wszakże tylko z licznemi przerwami zdatnych do celów osadnictwa i rolnictwa może ani nie 50% zdołałaby zużyć ekstensywna kultura rolna. (Zob. Sering, l. c., str. 337, 338).

Olbrzymie obszary kanadyjskie bardzo maleją więc w świetle krytycznej analizy; a skoro można pokrótce oceniać stosunki kolonizacyjne w Południowej Ameryce, to nie potrzeba też wstrzymywać się od wypowiadania dokładniejszego sądu o warunkach osiedleńczych w Kanadzie.

Owszem warto śledzić i badać naturalne podłoże i ekono-

[1] Zob. art. dr. Hucho, rzeczoznawcy rolnego przy niemieckim konsulacie w Chicago, zatyt. *Die landwirtschaftlichen Verhältnisse Kanadas* w dodatku (*Beilage*) do *Mitteilungen der Deutschen Landwirtschaftsgesellschaft* z r. 1907, str. 16, 36, 37, 87 (autorowi nieznane).

miczno-socyalny rozwój kolonizacyi w tych okolicach, których charakter geograficzny stwarza bardzo korzystne warunki naturalne dla odrębnego życia narodowego. Na wschodzie i od północy olbrzymie płaskowzgórze skaliste, które — obejmując przeszło milion angielskich mil kwadratowych — podchodzi aż do brzegów rzeki św. Wawrzyńca i Wyższego Jeziora *(Lake Superior)*, dalej ciągnie się aż do Jeziora Winnipeskiego *(Lake Winnipeg)*, do górnego biegu rzeki Churchill *(Missinippi)* i sięga aż do dolnego biegu Athabaski i do rzeki Mackenzie, olbrzymia t. zw. »arktyczna płyta skał i jezior«, prawie nigdzie nie przydatna pod pług (zob. Sering, str. 313), na zachodzie Góry Skaliste, od południa stepy i pustkowia. Wychodźtwo polskie tam ześrodkowane, takiemi granicami naturalnemi oddzielone, mogłoby łatwiej zachować narodowość, aniżeli rozproszone w poszczególnych Stanach Unii; możemy powiedzieć rozproszone, gdyż któż bez zastrzeżeń podpisze zdanie o instynktownem dążeniu do koncentracyi (str. 83), czytając całą litanię Stanów, w których się członkowie różnych narodów europejskich »koncentrują«! Wprawdzie za późno byłoby mówić o ześrodkowaniu naszego wychodźtwa północno-amerykańskiego w wspomnianych prowincyach kanadyjskich, gdyż rząd kanadyjski położył już tam dość szerokie podwaliny pod gmach nowego społeczeństwa, a niemała część naszego wychodźtwa północno-amerykańskiego już zbyt bardzo się zagnieździła w środowiskach miejskich Unii. Ale ziemi wolnej jeszcze dużo, a chociaż system »przerywany«, *townshipu* (o ile zasadniczo tylko sekcye parzyste zarezerwowano jako wolne *homesteads*) i dotychczasowy bieg kolonizacyi nie sprzyja obszernej koncentracyi narodowej, to jednak możnaby z Wisconsin, z Minnesoty i z Północnej Dakoty starać się rozszerzać osadnictwo polskie na północ, posuwać się — o ile możności — jak najmniej przerwanymi szlakami w Manitobie i wdzierać się do południowowschodniego Saskatchevanu [1].

[1] Skoro się złączy co najmniej 20 rodzin, to uczyniwszy wniosek, nie podlegają przymusowi osiedlania się na *homesteads* i mają prawo do wspólnego mieszkania we wsiach. Także przewidziane spółki ziemskie, skoro 10 osób postara się o odpowiedni wpis. Zob. Hucho, l. c., str. 89.

Tylko z tej strony, aby nowe osady polskie znajdowały się w jak najściślejszej łączności z dotychczasową emigracyą w Północnej Dakocie, w Minnesocie i Wisconsin, a dalej w Illinois i w Michigan; tylko z tej strony, nie zaś na zachwalanych, sztucznie nawadnianych gruntach Alberty tak bardzo odległej.

W następnym, piątym rozdziale, relatywnie znacznie dokładniej informującym o położeniu wychodźców kontynentalnych, zwłaszcza w Niemczech, znów nie znajduje naszego poklasku nie dość dokładna i zbyt pesymistyczna ocena wychodźtwa sezonowego (str. 146).

Autor przyłącza się do zdania tych, co upatrują niebezpieczeństwo dla rolnictwa niemieckiego w możliwem zwężeniu się koryta lub całkowitem wyschnięciu strumienia polskiej i rusińskiej emigracyi sezonowej, uważa to jednakże za wykluczone na długi czas. W każdym razie przedstawia mu się o wiele gorzej położenie państw eksportujących siłę roboczą: cierpią wprost na brak rąk roboczych dla ojczystego rolnictwa i przemysłu, skutkiem czego w niejednych obwodach spełniają prace niewiasty i starcy, zwłaszcza zaś dzieci, narażając się na zbiednienie fizyczne. Rodzime siły wytwórcze muszą zwykłymi, niekiedy nawet węższymi iść torami, podczas gdy państw importujących wzmocnione siły wytwórcze pobudzają do obierania nowych dróg, do wytwarzania nowych wartości milionowych. Chociaż drobne oszczędności poszczególnych robotników sezonowych, razem wzięte, są znaczne, to spożywane, a nie inwestowane, pomnażają faktycznie ich dochód, nie zaś ich kapitał; w każdym razie pogarsza brak tylu sił roboczych cały bilans handlowy państwa eksportującego i coraz bardziej zmienia na jego niekorzyść stosunek potęgi w obec państwa importującego.

Możliwa degeneracya pewnej części ludu w niektórych obwodach przedstawia oczywiście wielkie niebezpieczeństwo, ale czy takie nieszczęście wolno w ogóle kłaść na karb wychodźtwa sezonowego, to rzeczą wątpliwą, gdyż brak rąk roboczych w pewnych okolicach, lokalnem wychodźtwem spowodowany, ostatecznie może całkiem tłumaczy się nader wadliwą organizacyą

krajowego pośrednictwa pracy i nieumiejętnością racyonalnego użytku robocizny.

Nie zgadza się z rzeczywistością ogólnikowe twierdzenie, że oszczędności robotników sezonowych służą konsumcyi, nie zaś produktywnej inwestycyi (zob. też str. 158). Prawda we środku, a chcąc dojść do niej, należy rozróżniać poszczególne kategorye robotników sezonowych.

Oddzielając nasamprzód dwie główne grupy: młodzież bezżenną i osoby w stanie małżeńskim, żywiące rodziny, a wśród każdej z tych grup biorąc na uwagę dalsze dyferencye gospodarcze i »stanowe«, moglibyśmy narysować np. cztery »rodzaje« robotników sezonowych:

I. młodzież bezżenna
   1. z domów bezrolnych najmitów i bardzo zadłużonych posiadaczy parcel,
   2. z domów drobnych włościan lepiej sytuowanych,

II. osoby w stanie małżeńskim
   3. z pośród bezrolnych najmitów i bardzo zadłużonych »chałupników«,
   4. z pośród drobnych włościan »mienniejszych«.

Przy równych warunkach płacy i równych przymiotach gospodarczych różnym będzie bilans zarobkowy przedstawicieli poszczególnych kategoryi. Młodzież bezżenna, mająca oparcie w gniazdach rodzinnych, mogąca łatwiej i taniej »przezimować« u »ojców« lub krewnych, nie musi bynajmniej wydać oszczędności przyniesionych na cele spożywcze, owszem może dopomódz rodzicom do spłacenia długów wytwórczych i sama składać grosze na zakupno zagrody. W innem położeniu znajdzie się oczywiście chałupnik żonaty, bardzo zadłużony i obarczony liczną rodziną: taki »zje« może »wszystkie« oszczędności, płacąc przytem podatki a może i długi, jakie rodzina zaciągnęła podczas jego nieobecności, taki może »nic nie odłoży«; ale czy w ciągu dłuższych wędrówek nic nie zaoszczędzi na stałe, to też kwestya; o ile spłaci długi produktywne przy pomocy zarobków z obczyzny, to w każdym razie nie na cele spożywcze, lecz na cele wytwórcze zużyje część oszczędności.

Zresztą nie należy zapominać o różnicach płac i przymiotów gospodarczych, które uwzględniając, zyskalibyśmy obraz barwniejszy położenia i bilansu zarobkowego naszego obieżysastwa. Nasz chałupnik np., zatrudniony w dobrze płatnej gałęzi przemysłowej, może mimo wielkich wydatków na rodzinę i t. d. niemniejszy odnieść sukces w dziedzinie oszczędności produktywnych, co jego towarzysz wprawdzie bezżenny i taniej przezimujący, ale zajęty w okolicach rolnych z lichą płacą.

Bądź jak bądź nie ulega najmniejszej wątpliwości, że część oszczędności naszych robotników sezonowych służy produkcyi krajowej, np. melioracyi gospodarstw, parcelacyi i t. d. Tak jest z pewnością w Królestwie Polskiem, a w Galicyi nie może być całkiem inaczej.

Oprócz kapitału zaoszczędzonego inwestuje wychodźtwo powrotne w produkcyi krajowej także zasób wiadomości i zdolności, nabytych w obcych krajach, które posiadają gospodarstwa bardziej rozwinięte i wyższą kulturę — przynajmniej intelektualno-materyalną.

Wreszcie podnosi emigracya sezonowa w sposób pośredni gospodarstwo krajowe: zmniejszając podaż rąk dawniej całkiem nadmierną, ułatwia warunki pracy, zwyższa poziom myta, zwiększa siłę zakupczą i polepsza stopę życiową mas pozostających w kraju, a tem samem z jednej strony zmusza producentów do racyonalniejszej i intensywniejszej, do lepszej gospodarki, a z drugiej strony umożebnia rozszerzyć rozmiary produkcyi i rynek zbytu: i pierwszem i drugiem przyspieszając tempo rozwoju ekonomicznego w takt wyższych płac i wyższych wymagań, przyspiesza zarazem uzdrowienie stosunków krajowych.

Wprawdzie w takt gładkiej abstrakcyi nie trą się konkretne ruchy chropowatego życia, którego praktyki drobiazgowem zwierciadłem nie jest teorya. Ale w obec scharakteryzowanej lokaty kapitałów materyalnych i dóbr idealnych w produkcyi krajowej i w obec zaznaczonych wpływów pośrednich na rozwój gospodarczy nie należy w sposób ogólnikowy uzasadniać zastoju, a nawet cofania gospodarstwa krajowego brakiem sił roboczych. Nawet tam, gdzie skutkiem lokalnego braku rąk ujawnia się zastój go-

spodarczy, nie godziłoby się zwalać winy na wychodźtwo ze względów wyżej przytoczonych.

Obok strat, których nie pragniemy zatajać, przynosi zatem wychodźtwo sezonowe znaczne korzyści także krajowi eksportującemu. Skoro zaś kwota oszczędności i wiadomości, zyskanych na cele wytwórcze nie jest dość wysoka, a użytek sam nie wydaje odpowiednich plonów, skoro emigracya sezonowa w ogóle nie wywiera najlepszych wpływów możliwych na nasz ustrój gospodarczy i społeczny i pociąga za sobą nawet straty, to pochodzi to po części ze stanu zarobków i ogólnego położenia ekonomiczno-społecznego naszego ludu na obczyźnie, a po części tłumaczy się ciemnotą, alkoholizmem, rozrzutnością, lichwą, brakiem kooperatywy, nieuregulowaniem stosunków parcelacyjnych, słowem błędami i wadami ludu naszego i naszej organizacyi społeczno-gospodarczej, za które wielce odpowiedzialnem jest zachowanie wyższych warstw.

Bądź jak bądź nie należy tak wiele rzucać cieni na korzyści niezaprzeczone w krajach eksportujących. Przewaga korzyści po stronie importującej — jeżeli i o ile jest — bynajmniej nie uprawnia do stawiania tezy o coraz gorszem położeniu państwa eksportującego w stosunku do importującego, gdyż w razie braku wychodźtwa jeszcze o wiele gorszem byłoby położenie Austryi, o wiele większą byłaby bieda Galicyi wśród kryzys ludnościowej.

Powrotu wychodźców nie spuszcza nasz autor z uwagi: stara się uchwycić fale powrotne emigracyi amerykańskiej, wnika w tajemnice przesyłek pieniężnych, mówi także o powrocie wychodźców sezonowych i t. d., ale nie bada całokształtu zjawisk i zagadnień powrotu emigracyi i jego następstw w osobnym rozdziale. Takie zgłębienie byłoby wydobyło na wierzch niejedne pozycye bilansu wychodźczego i może nie pozostało bez wpływu na stanowisko autora w obec emigracyi w ogóle, a wychodźtwa sezonowego w szczególe. Zarzutu jednakże z tych względów pewnie nie wypada podnosić, gdyż bynajmniej nie przeoczony temat, którego śledzenie dotąd u nas bardzo zaniedbane może większe sprawiałoby trudności, aniżeli towarzyszenie ruchowi wychodźczemu. Tkwi to może już w naturze rzeczy: masy wychodź-

ców wyodrębniają się jak meteory, widoczne dla każdego i zwracające uwagę, podczas gdy ruch powrotny, dobiegłszy do ziemi ojczystej, zatacza wprawdzie kręgi na powierzchni społecznej, ale ostatecznie tonie w rodzimem środowisku bez wyraźnych, zdala widocznych śladów, jak kamienie w wodzie.

Rozdział szósty, informujący o prawodawstwie austryackiem i usiłowaniach prawnego uregulowania opieki nad wychodźcami, kończy — rzec możnaby — część, w której na pierwszy plan wysuwają się fakta i kwestye, a zdradzając liczne zaniedbania w tej dziedzinie socyalno-politycznej, przedstawia zarazem przejście do dwóch ostatnich rozdziałów, poświęconych przedewszystkiem praktycznym zadaniom, polityce emigracyjnej i pracy dla wychodźców, w których siódmy wytyka drogi i rysuje obraz austryackiej polityki emigracyjnej bardzo szeroki i szczegółowy, podczas gdy treść ostatniego rozdziału ósmego wzbija się do wyżyn zadań międzynarodowych.

Całość uzupełnia dodatek, zawierający tekst szwajcarskiej, niemieckiej, włoskiej i węgierskiej ustawy emigracyjnej, nie podający zaś wcale odnośnych amerykańskich ustaw immigracyjnych, co byłoby pożądanem.

Politykę emigracyjną można dzielić na dwie główne części: politykę podłoża wychodźczego, ruchu, przejściowego pobytu w obcych środowiskach i powrotu wychodźców i politykę stałego życia wychodźczego w obcych krajach, innemi słowy: politykę »ruchomej«, powrotnej emigracyi i politykę »nieruchomej«, stałej emigracyi, zwłaszcza politykę osiedleńczą. W dziele niniejszem góruje polityka ruchu emigracyjnego znakomicie przedstawiona. Polityka stałej emigracyi zaś o wiele skromniejsze ma miejsce, polityka osiedleńcza w szczególe chowa się nieomal w ukryciu.

Czy w ogóle popierać stałe osadnictwo zamorskie? Dokąd je kierować? W jaki sposób urzeczywistnić program osadnictwa zamorskiego i zapewnić mu trwałą odrębność społeczną?

Daremnie szukalibyśmy dokładnych i pewnych odpowiedzi na te trzy podstawowe zagadnienia zamorskiej polityki osiedleńczej. Wprawdzie zajmuje się autor narodową polityką emigracyjną w osobnym ustępie, wskazuje na potrzebę pastoryzacyi w języku

ojczystym, na potrzebę szkół i gazet narodowych, na przykłady włoskich organizacyi opiekuńczych dla wychodźców, porusza też wreszcie problemat koncentracyi zamorskiej, ale w sposób krótki i mało wyraźny.

Jego zdaniem potrzeba kolonii, zwłaszcza w strefach umiarkowanych, państwom, posiadającym liczne wychodźtwo. I Austrya powinna była dawniej nabyć kolonie zamorskie. Może jeszcze dzisiaj nie byłoby za późno na urzeczywistnienie tej myśli, chociaż tylko drogą kontraktów osiedleńczych, jakieby osoby prywatne zawierały z państwami amerykańskiemi, zwłaszcza z jednem z trzech państw Południowej Brazylii (Parana, St. Catarina, Rio Grande do Sul), z Argentyną, z północno-zachodnią Kanadą lub jakim Stanem rolnym Unii amerykańskiej. W dalszym ciągu wskazuje na dobre sukcesy hanzeatyckiego towarzystwa kolonizacyjnego w Hamburgu i przedsiębiorstwa kolonizacyjnego d-ra Meyera z Lipska, które zajmują się kolonizacyą w Stanach St. Catarina wzgl. Rio Grande do Sul, na straty milionowe szwajcarskich i niemieckich towarzystw kolonizacyjnych w Ameryce, spowodowane po części nieznajomością stosunków krajowych, po części nieuczciwością urzędników i kolonistów, zaznacza potrzebę dokładnych przygotowań i bardzo znacznych kapitałów, wreszcie kontroli rządowej nad towarzystwami kolonizacyjnemi.

Oto główny wyjątek z ustępu, dotyczącego koncentracyi zamorskiej. Zaiste mało, ale może rzecz sama zdoła wytłumaczyć autora.

Jakżeż bowiem wskazywać drogi i podawać środki stałej polityki osiedleńczej państwu wielojęzycznemu, którego poszczególne społeczeństwa wiodą bój narodowy we własnym kraju? Jakżeż godzić ich rozbieżne interesy osadnicze w ramach wspólnej polityki austryackiej? Jakżeż łączyć w promieniach wspólnej polityki państwowej zadania osadnicze, które może najprędzej i najlepiej rozwiązałyby poszczególne społeczeństwa na własną rękę? Niepodobna zaś było na tle wspólnej polityki austryackiej rysować np. celów i dróg odrębnej polskiej polityki kolonizacyjnej, gdyż to byłoby się sprzeciwiało tematowi.

Zresztą społeczeństwo nasze okazało nadzwyczajną obojętność

w obec wielkich zadań samodzielnej kolonizacyi polskiej w Ameryce. Zaznaczając: samodzielnej, nie zmniejszam doniosłości prac, oddanych na usługi naszej emigracyi amerykańskiej, ani też nie uwłaczam działalności Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, o którem właśnie — rzecz dziwna — nie znajdziesz ani słowa w ustępie o narodowej polityce emigracyjnej, aczkolwiek temat sam domaga się uwzględnienia instytucyi dla nas tak ważnej, a uwagi, poświęcone Towarzystwu św. Rafała, zwłaszcza zaś organizacyom włoskim, same przypominają zaczątki naszej działalności w tym kierunku. Krótka wzmianka o polskich towarzystwach w Unii i (na innem miejscu) o *Polskim Przeglądzie Emigracyjnym* chyba nie zapełnia tej luki. Nasze bardzo młode i niezasobne Towarzystwo Emigracyjne wprawdzie nie może się poszczycić znacznemi rezultatami, nie może mierzyć się ze znakomitą organizacyą (wprawdzie także młodą, gdyż w r. 1901 powstałą) włoską »Opera di Assistenza degli Operai Italiani emigrati in Europa e nel Levante«, ale — mniemam — *ut desint vires, tamen est laudanda voluntas.*

Lustrując poszczególne piętra niniejszego gmachu myślowego, zwracaliśmy przedewszystkiem uwagę na ciemne miejsca i braki: mają one po wielkiej części charakter »objektywny«, t. j. tłumaczą się stosunkami zewnętrznemi, niedostatecznością materyału i o tyle same bronią autora, o ile nie mogąc bez odpowiedniego materyału tworzyć rzeczy pięknych i dobrych, mógłby na różne zarzuty odpowiedzieć: *ultra posse nemo obligatur.*

Zresztą nikną braki w świetle, rozlewającem się po gmachu, od którego bije tyle wielkości i piękna. Uchwyćmy chociaż kilka wybitnych rysów!

Nasamprzód zastanawia nadzwyczajna praca, która tyle trudności musiała pokonać, zanim stworzyła dzieło. Poruszył bowiem autor nader wiele zagadnień emigracyi w ogóle, a austryackiej i polskiej w szczególe. O trudach zaś jego świadczy nie tylko kilkoletni czas uprawy, ale także bardzo obfity materyał ekonomiczno-prawniczy, statystyczny i literacki, który wszystkim pragnącym wielce ułatwi przystęp do tych źródeł wiedzy i pracy społecznej, a nawet zawodowcom wyjawi niejedne rzeczy nowe.

Mozolna praca wszakże nie zawsze nas zadowoli: skoro nagromadzi bezładny chaos, z niechęcią czytać będziemy, a z zadowoleniem odłożymy książkę. Praca naszego autora nie tylko mozolna, ale także mrówcza: obszerny materyał przetrawiony, starannie uporządkowany, ujęty w jasny system i podany w formie zwięzłej i prostej, a pięknej; misterna budowa może po części czynić wrażenie encyklopedycznego podręcznika i naukowego i popularnego zarazem, który na tle naukowem w sposób na ogół dość łatwy informuje o licznych zagadnieniach kwestyi i zadaniach pracy emigracyjnej, zwłaszcza w dziedzinie wychodźtwa polskiego.

W encyklopedycznym podręczniku możnaby się ograniczyć na skupieniu wyników dotychczasowych badań naukowych i doświadczeń praktycznych. Autor przekroczył takie granice i wyższe zakreślił sobie cele. Nie przedkłada nam tylko zdobyczy nauki i praktyki, ale sam wytyka luki, odkrywa tajemnice, orze odłogi, po nowe sięga zdobycze. Sieje myśli oryginalne i nowe wskazuje drogi nie tylko własnemu społeczeństwu, lecz także obcym przedstawicielom zachodniej kultury.

A w system nasion myślowych tryska zapał i wiara, zieleń uczuć i życia, gdyż jego nowym drogom przyświeca gwiazda idei.

Wybitni uczeni niemieccy — których sąd może większą znajdzie wiarę — nadzwyczajnemi pochwałami darzą naszego autora. Oto, co m. i. pisze prof. Juliusz Bunzel z Hradcu w Schmollera *Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirtschaft im Deutschen Reich:* Od tak znakomitego znawcy austryackich stosunków emigracyjnych, jak dr. Caro, słusznie można się było spodziewać nieomal wyczerpującego przedstawienia odnośnego materyału. I już mnóstwo dat, jakie zebrał o austryackiej emigracyi i ruchu powrotnym, dowodzi, że nasze przypuszczenie nie zawiodło nas. Ktokolwiek usiłował tylko dojść tutaj do liczb prawdziwych, wie przecież, jak wielkie trudności trzeba przytem przezwyciężać... Dalej wspomina o podziwu godnej ścisłości *(bewunderungswürdige Gründlichkeit)* autora i nazywa propozycye jego, dotyczące ochrony emigrantów przed wyzyskiem, nader uwagi godnemi i bardzo na czasie, gdyż Austrya nie będzie już

mogła długo zwlekać nowej regulacyi prawodawstwa emigracyjnego.

Prof. Ernest Mischler zaś zauważa m. i. w *Deutsche Literaturzeitung*, że dzieło niniejsze podaje nie tylko wyczerpujący zbiór materyału pod względem literackim, statystycznym i prawodawczym, ale także przedstawia niezbędną pracę przygotowawczą do uregulowania stosunków emigracyjnych w Austryi, które nareszcie stało się koniecznem.

Praca naszego autora posiada zatem niezwykłą wartość naukową i społeczną.

Ale — słyszymy — nie jest dość aktualną.

Czemuż? Wprawdzie czerpał autor po części z poprzednich rozpraw, które poświęcił wychodźtwu, zwłaszcza polskiemu, ale do tego zupełne miał prawo (z którego zresztą tyle razy w dziedzinie naukowej czynią użytek), a może nawet obowiązek w interesie dokładności i ścisłości tak ważnej i dla nauki i dla praktyki socyalno-politycznej.

Cóż więc mu zarzucać? Czy to, że przed ukończeniem dzieła publikował mniejsze traktaty, dotyczące tej samej sprawy?

Ale właśnie pożyteczną rzeczą jest, zasilać szersze koła jak najrychlejszemi informacyami o kwestyi wychodźczej i zrywać dla łaknących owoce już dojrzałe, nie czekając za ostatnim głównym sprzętem.

Zresztą cóż mógł nam autor ofiarować aktualniejszego ponad zielone liście względnie najnowszych (pomijamy błędy i braki) dat i informacyi, ponad świeże, pachnące kwiaty zdrowych rad i wskazówek, oddanych na usługi sprawie tak palącej i aktualnej jak wychodźcza?!

Dzieło naszego autora nie tylko dzisiaj jest aktualne, ale — jak każde dzieło wielkie — zachowa charakter aktualny na długie lata. Jest to prawdziwy i trwały dorobek, który przynosi chlubę literaturze —

Czyż mamy powiedzieć niemieckiej, przyłączając się do chóru malkontentów?

O narodowej przynależności rozstrzyga nie forma, lecz treść i duch dzieła. Duch zaś jest polski, gdyż autor w pracy niniej-

szej — jak i w poprzednich — ma na myśli interes i potrzeby społeczeństwa polskiego. Ogłosił zaś pracę w języku niemieckim, aby przekonać rząd i parlament austryacki o potrzebie wydania ustawy ochronnej, czego nie mógłby osiągnąć, wydając książkę w języku polskim, nadto, aby powiadomić opinię publiczną i prasę o postępowaniu rządu pruskiego w obec wychodźców sezonowych, a niemieckich towarzystw okrętowych i niemieckich ajentów w obec wychodźców zamorskich [1].

Kto w interesie ludu i społeczeństwa polskiego zwraca się do przedstawicieli obcych rządów i obcych społeczeństw, ten oczywiście takich musi się chwycić form zewnętrznych, które najłatwiej dotrą do obcych miejsc i największy wywrą wpływ przekonywający na obcych ludzi, kierujących się przedewszystkiem zimną kalkulacyą, nie zaś gorącem sercem.

Gdyby się praca niniejsza była naprzód ukazała w języku polskim, to ze względów przytoczonych byłby się zalecał przekład na języki niemiecki i angielski [2].

Wprawdzie w ramach tematu »Wychodźtwo i polityka wychodźcza w Austryi« nie mógł nasz autor przedstawić całokształtu polskiej kwestyi i polityki wychodźczej, gdyż byłby sprzeciwił się elementarnej zasadzie logiki i całkiem odbiegł od tematu. Ale mimo to mógł: po pierwsze poświęcić uwagę narodowej polityce emigracyjnej w ogóle, po wtóre szczególnie dobitnie uwypuklić wychodźtwo polskie z Austryi i w polach historyczno-krytycznych i na drogach normatywno-technicznych zwłaszcza, że właśnie wychodźtwo polskie tak liczne zapełnia kadry austryackich legionów wychodźczych.

W tym kierunku poszedł, w te struny uderzył. Emigracya galicyjska bowiem nadaje koloryt całej pracy, która tylokrotnie

---

[1] Zob. odpowiedź autora w *Polskim Przeglądzie Emigracyjnym*, r. 1910, nr. 3, str. 7.

[2] Oczywiście pożądanem wydanie polskie niniejszej książki; ale może wolno przy tej sposobności wyrazić życzenie, by autor tej miary dał nam później ponadto osobne dzieło, poświęcone polskiemu wychodźtwu z wszystkich zaborów i polskiej polityce emigracyjnej.

zrywając kordony graniczne, zajmuje się także wychodźcami z Królestwa i innych dzielnic Polski.

Takie stanowisko nie uszło uwadze krytyki niemieckiej. Prof. Mischler zaznacza, że autor usiłuje faktycznie traktować kwestyę emigracyi *in toto*, wprawdzie przeważnie z punktu widzenia interesów austryackich lub w jakimkolwiek stosunku z tem państwem, ale — zdaje się — z rozmysłem nie doszedł do celu wytkniętego, gdyż stosunki galicyjskie, które wprawdzie szczególne mają znaczenie, tak bardzo na pierwsze wysuwa pole, że kraj ten w sposób niewypowiedziany staje się kamieniem węgielnym *(Eckstein)* książki, podczas gdy inne kraje całkiem cofają się w tył. Prof. Bunzel zaś domieszał do słodyczy pochwalnych nieco piołunu, zarzucając naszemu autorowi, że na jego stanowisko w obec polityki emigracyjnej wpłynęły w sposób fatalny *(in verhängnisvoller Weise)* poglądy słowiańsko-narodowe.

Wobec takich świadectw niepodobna zaliczać do niemieckiej literatury dzieła, które z narodowych pobudek w obce szaty odziane, przedewszystkiem polskie porusza kwestye i głównie pragnie służyć interesom polskiej emigracyi, polskiego ludu i społeczeństwa. Formą nam obce, treścią, duchem, ideą jest nasze i jako jedno z najlepszych dzieł na polu literatury emigracyjnej przynosi chlubę naszej nauce i naszej myśli socyalnej.

Dr. A. Tomaszewski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Jędrzej Śniadecki, życiorys i rozbiór pism. *Adam Wrzosek.* W Krakowie, Akademia Umiejętności. Nakładem funduszu Nestora Bucewicza, 1910, in 8-o. Tom pierwszy: Życiorys Jędrzeja Śniadeckiego, str. 331. Tom drugi: Jędrzeja Śniadeckiego działalność naukowa, str. 406.

»Był on jutrzenką, zwiastującą epokę odrodzenia nauki i oświaty na Litwie. Przez całą tę epokę stał na posterunku, mimo różnych przeciwności losu. Nie opuścił placówki i wtedy, gdy gmach oświaty nieprzyjazne siły burzyć zaczęły. I dopiero nieubłagana śmierć zmusiła go opuścić plac boju szlachetnego. Był on zwiastunem sławnej epoki oświaty naszej na Litwie i był ostatnim snopem światła, jaki zachodzące słońce tej epoki rzuciło na biedną naukę i oświatę naszą, w ciężkich warunkach o swój byt walczącą«.

W tych słowach określa autor rolę, jaką odegrał Jędrzej Śniadecki w dziejach polskiej kultury, niemi zamyka drugi tom swej pięknej monografii, albo, jak ją skromnie nazywa, »pierwszej próby monografii« o znakomitym wileńskim profesorze.

Czyż to rzeczywiście dopiero »pierwsza próba monografii« o Śniadeckim? Przecież w ostatnich dwudziestu kilku latach tyle się pojawiło prac i szkiców, poświęconych autorowi »Teoryi jestestw organicznych«, że chyba już postać jego i zasługi dostatecznie powinny być znane i ocenione.

Na ten nasuwający się zarzut znajdujemy odpowiedź w krótkiej przedmowie do pierwszego tomu. Prawda, prace takie istnieją w po-

każnej liczbie; są to jednakże tylko albo krótkie zarysy życia, albo rozbiory »Teoryi«, albo — i te są najważniejsze — przyczynki do mało zbadanych szczegółów działalności piśmienniczej Śniadeckiego oraz studya porównawcze, określające jego stanowisko, pod tym lub owym względem, w historycznym rozwoju nauk przyrodniczych. Brakowało dotąd zebrania tego materyału w organiczną całość.

Tę syntezę ma dać monografia prof. Wrzoska.

Autor rozdzielił swą pracę na dwie luźno tylko wiążące się części. Pierwszy tom poświęcony jest opisowi długiego, bo 70-letniego i znojnego żywota Śniadeckiego. Autor w sześciu rozdziałach kreśli koleje, jakie przechodził niezwykły ten człowiek od »pierwiastkowego wychowania« aż do wykładów w Akademii medyko-chirurgicznej wileńskiej, stanowiących epilog nieustannej i niezmordowanej pracy. W tej pracy działalność obywatelska — to główny chyba i wyłączny prawie powód, dla którego życiorys Śniadeckiego większą ma dla nas wagę, niż biografia którego innego potentata nauki. Dla historyi bowiem wiedzy — jak autor bardzo słusznie zaraz na wstępie podnosi — życie zewnętrzne wielkich uczonych stoi na bardzo dalekim planie wobec ich znaczenia naukowego; natomiast dla historyi wewnętrznej danego społeczeństwa, dla dziejów życia zbiorowego, sprawa ma się zupełnie odmiennie: udział wielkiej umysłem i sercem jednostki w pracy ogólnej oddziaływa nieraz potężnie na całość tego życia i staje się dla potomnych wzorem chwalebnym.

Taki też wzór stawia czytelnikowi przed oczy pierwszy tom omawianego dzieła. Widzimy Śniadeckiego kształcącego się w ojczyźnie i na obczyźnie, w Pawii i Edynburgu głównie, wracającego potem do kraju mimo korzystnej propozycyi wyjazdu do Indyi, zadawalniającego się skromną posadą lekarza domowego na Wołyniu. Widzimy jak uzyskawszy wreszcie katedrę chemii na Uniwersytecie wileńskim — 30 lat prawie liczył już wtedy — rozwija tu przez ćwierć wieku głośną na cały kraj działalność nauczycielską, jak troskliwie stoi na straży polskiego charakteru najwyższej szkoły litewskiej, walcząc w imię tej idei przeciwko partyi ks. Stroynowskiego, protektora cudzoziemców. Widzimy dalej, jak nie zadowalając się rozszerzaniem wiedzy przyrodniczej żywem słowem z katedry, popularyzuje wiadomości z tej dziedziny przy pomocy artykułów w stworzonym przez się *Dzienniku Wileńskim* — jak czynny równocześnie bierze udział w założeniu i rozwoju Towarzystwa Naukowego Lekarskiego, jak broniąc w niem dobra mieszkańców Wilna popada w zatarg z Kor-

sakowem i by go załagodzić, z narażeniem własnego zdrowia, a prawie życia, ofiarowuje się do pielęgnowania chorych na tyfus żołnierzy. Przy tem wszystkiem, mimo zajęć naukowych, rozległej praktyki lekarskiej i kłopotliwych spraw majątkowych, znajduje czas na pracę zupełnie innego rodzaju, na prezydenturę w Towarzystwie Szubrawców i znakomite utwory satyryczne w *Wiadomościach Brukowych*, karcące prawie wszystkie wady narodowe, wytknięte w *Kodeksie Szubrawskim;* jednem słowem nieustannie i na każdem polu pracuje na pożytek społeczeństwa, choć praca wyczerpuje jego siły i nadweręża zdrowie. A nawet gdy już wysłużywszy emeryturę i trapiony bezprzestannemi dolegliwościami ustąpił był z katedry chemii, jednak i wtedy — a było to zaledwie na 11 lat przed śmiercią — składa ofiarę ze siebie dla idei, obejmując obowiązki profesora kliniki lekarskiej i dyrekturę instytutu klinicznego — aby tylko ta katedra po śmierci Herberskiego nie przeszła w ręce cudzoziemca. Obowiązki te uciążliwe pełni też sumiennie aż do śmierci, nawet gdy po zamknięciu Uniwersytetu wileńskiego wydział lekarski został zamieniony w Akademię medyko-chirurgiczną, ostatnią placówkę polskiej nauki na terytoryum litewskiem.

Całe to opowiadanie kształtuje się w przedstawieniu prof. Wrzoska w bardzo żywy i plastyczny obraz. Przyczynia się do tego niemało styl autora, uformowany pod niejednym względem na języku tak świetnych stylistów, jakimi byli obaj Śniadeccy.

Z tem wszystkiem jednak tom pierwszy mniejsze bądź co bądź ma znaczenie, niż tom drugi. Zauważyć trzeba, że regestry biograficzne Śniadeckiego były już i przed tą najnowszą pracą prof. Wrzoska dostatecznie znane, a to szczególnie dzięki dawniejszej rozprawce autora p. t. »Zarys życia Jędrzeja Śniadeckiego«, stanowiącej wstęp do jubileuszowego wydania »Teoryi jestestw organicznych« z r. 1905. Porównanie pierwszego tomu nowej monografii z »Zarysem« pokazuje, że różnica polega jedynie na szerszem omówieniu wielu co prawda szczegółów, które autor w »Zarysie« tylko z grubsza jak gdyby naszkicował — plan zasadniczy natomiast i opracowanie życiorysu po zostały bez zmiany: synteza obrazu biograficznego mieści się już w »Zarysie« a nie dopiero w pierwszym tomie nowego dzieła. Stąd też płynie uderzające podobieństwo między całymi ustępami w obu pracach; autor uważał, i słusznie, za stosowne nie zmienić czasem ani jednego wyrażenia w opowieści o tem lub owem znaczącem wydarzeniu w życiu Jędrzeja. albo co najwyżej szerzej sparafrazować myśl, rzuconą już w »Zarysie«. Także widoczna jest daleko idąca zależność

niektórych ustępów od książeczki Michała Balińskiego p. t. »Życie Jędrzeja Śniadeckiego«; i z tego zarzutu autorowi czynić niepodobna, jeżeli się zważy, że Baliński, zięć Śniadeckiego i prawie zaraz po śmierci jego piszący, opierający się przytem na oryginalnej korespondencyi, która prawie w całości (por. jednak np. str. 25) była i prof. Wrzoskowi dostępna — stanowi bardzo ważne i czasem jedyne źródło biograficzne (por. np. str. 20, 25 i t. d.).

Z gruntu odmiennie ma się rzecz w tomie drugim. Tutaj Śniadecki występuje jako uczony, tutaj możemy dopiero ocenić jego stanowisko w rozwoju wiedzy, poznać niezwykłe jego poglądy, ogarnąć wszechstronność jego pracy umysłowej. A zaiste wszechstronność to nie lada. Wśród prac jego spotykamy bowiem prócz sławnej »Teoryi jestestw organicznych«, rozprawy z medycyny teoretycznej i praktycznej, z pedagogii, filozofii i chemii. Te dzieła poddaje autor kolejno krytycznej ocenie.

O »Teoryi jestestw organicznych« wiele u nas pisano w ostatnich czasach, rozbierając ją z tego lub owego punktu widzenia. Lecz i tu brakowało syntezy, brakowało nawet czegoś więcej: nie znaleźliśmy dotąd genezy tego głośnego dzieła. Nawet ostatnia do roku ubiegłego praca o »Teoryi«, wspomniana przedmowa do jubileuszowego wydania, nic pod tym względem nie przyniosła. Dlatego uważamy za chyba najważniejszy wynik omawianej tu książki ustalenie daty powstania zasadniczej myśli biologicznej Śniadeckiego na rok 1792 lub 1793 — ówczesny student pawijski liczył niecałe 25 lat — oraz pozostające z tem w związku wywody autora o wpływie Browna, Bichata, Blumenbacha i innych witalistów, dalej Wolffa, Bonneta i innych na pierwszą szczególnie część »Teoryi« (t. II, str. 46—62). Musimy jednak przyznać, że wspomniane wywody stanowią rzeczywiście dopiero pierwszą próbę zoryentowania się w źródłach biologicznych poglądów Śniadeckiego. Sprawdzenie przypuszczeń, które tu autor wypowiada, względnie poparcie niektórych jego twierdzeń nowym i obszerniejszym materyałem dowodowym — to zadanie, które, zdaniem recenzenta, koniecznie w najbliższym czasie powinno być podjęte.

Jakie stanowisko należy przeznaczyć Śniadeckiemu w historyi biologii XVIII i XIX wieku? To dalsze z głównych pytań, jakie winien sobie postawić sumienny krytyk »Teoryi«. I na to pytanie nikt nie dał dotąd całkowitej odpowiedzi, co więcej, dawano odpowiedzi wprost sprzeczne: jedni uważali dzieło Śniadeckiego za bardzo ważny etap w rozwoju nauki o życiu, inni odmawiali jej prawie wszelkiego

znaczenia. Materyału do oceny historycznej dostarczono jednak sporo, wskazano m. i. na Jana Müllera, Liebiga, Kl. Bernarda, Darwina i innych. Autor zbiera pilnie te przyczynki, oświetla je krytycznie i na ich podstawie dochodzi do wniosku, że wpływ »Teoryi« na postęp nauki niewątpliwie da się wykazać, lubo nie był tak potężny, jakim go chcieli mieć niektórzy nasi pisarze. Istotna treść »Teoryi« stanowiła z pewnością rzeczywisty krok naprzód w biologii, chociaż pismo to jest raczej traktatem filozoficznym, niż dziełem czysto przyrodniczem; najważniejszym jednak, według autora, pozostał wpływ poglądów metodologicznych Śniadeckiego, złożonych w pierwszej części dzieła, szczególnie na Jana Müllera, Tiedemana i Naumanna. Wpływ reszty dzieła, zwłaszcza drugiej części, zajmujący się fizyologią człowieka, jest nieporównanie mniejszy; w szczególności zaś przypuszczenia co do wpływu na Darwina, lub przynajmniej (w braku jakichkolwiek dowodów, żeby Darwin znał »Teoryę«) mniemania, że Śniadecki był poprzednikiem Darwina w teoryi o transformacyi a takie poglądy tułają się tu i ówdzie aż do ostatnich czasów po naszych rozprawach o Śniadeckim — uważać należy za całkem i gołosłowne twierdzenia. Śniadecki bowiem całkiem wyraźnie wypowiada się za stałością gatunków i wyprowadza z niej dalej idące wnioski, niż niektórzy ze znanych jej zwolenników.

Trzecia część »Teoryi« nigdy drukiem nie wyszła, i nigdy, zdaje się, nie była napisana. Tem cenniejsza jest też dla nas rozprawa Jędrzeja p. t. »Co to jest irrytacya?«, będąca jakby szkicem zamierzonego dokończenia »Teoryi«. Z tej głównie rozprawy możemy poznać patologiczne poglądy jej autora, poglądy w wysokim stopniu oryginalne. Śniadecki bowiem nie szedł i pod tym względem niewolniczo za żadnym ze systematów medycznych owoczesnych, ale rozbierając je krytycznie stworzył swój własny eklektyczny, ale konsekwentnie zbudowany i na zasadach pierwszej części »Teoryi« oparty systemat. Szkoda tylko niepomierna, że zrażony chłodnem przyjęciem, jakiego doznały w kraju dwie pierwsze części »Teoryi jestestw organicznych«, systematu tego dostatecznie nie rozwinął; i tak jednak jego poglądy patologiczne wywarły niemały wpływ na rozwój teoryi medycznych w Polsce, w szczególności na klasyczne dziełko Tytusa Chałubińskiego »Metoda wynajdywania wskazań lekarskich«.

Jako lekarz-praktyk posiadł był Śniadecki w swoim czasie sławę niebywałą, gdyż mimo prostych metod auskultacyi i terapii uzyskiwał bardzo dobre wyniki lecznicze. Nadewszystko zaś rozległe wiadomości

praktyczne, zdobyte długoletniem doświadczeniem, i bystry dar spostrzegawczy przyczyniły się do tego, iż wśród przypadków, leczonych przez niego lub w klinice pod jego zarządem, mały zaledwie procent nie kończył się pomyślnie.

Poglądy pedagogiczne Śniadeckiego były w ostatnich czasach kilkakrotnie omawiane i przytem wcale dobrze i gruntownie streszczone. Może więc niepotrzebnie autor podaje w trzeciej części drugiego tomu stosunkowo bardzo obszerną treść rozprawy »O fizycznem wychowaniu dzieci«. Ale nie myślę się o to spierać z szan. autorem; ważniejsze wydaje mi się tu skonstatowanie bardzo daleko idącej zależności Śniadeckiego od Rousseau'a, i wykazanie przytem, że w odmiennem zapatrywaniu się na cel wychowania leży między obydwoma myślicielami zasadnicza różnica.

Czy Jędrzej Śniadecki był zwolennikiem Kanta? To dalszy interesujący problem, nasuwający się przy ocenie twórczości piśmienniczej wielkiego biologa. Pierwszy Struve wykazał, że tak jest w rzeczywistości, że mianowicie pierwsza wogóle praca Jędrzeja, »Mowa o niepewności zdań i nauk na doświadczeniu fundowanych«, stanowi rodzaj teoryi poznania w duchu krytycyzmu królewieckiego filozofa. Powoli jednak dowodowi Struvego zaczęto jakoś niedowierzać, wysuwając przeciwko niemu ten głównie zarzut, że Jan Śniadecki, posiadający, jak wiadomo, na Jędrzeja wpływ bardzo znaczny, był przecież zawziętym wrogiem kantyzmu. Autor przeprowadza więc rewizyę dowodu i zarzutów, wykazuje całkiem stanowczo, iż Struve miał najzupełniejszą słuszność, zaznacza jednakowoż, że już w cztery lata po »Mowie« Jędrzej pod wpływem brata zmienił gruntownie stanowisko względem filozofii krytycznej i stał się jej przeciwnikiem; mimo to przecież zapatrywania Kanta spotykamy i w późniejszych dziełach Jędrzeja. Zwalczał natomiast Śniadecki filozofię przyrody Schellinga, jasno wskazując, na jakich podstawach prawdziwa filozofia natury opierać się powinna.

Śniadecki chemik nie zajmie długo naszej uwagi. Był on bowiem znakomitym nauczycielem chemii, położył podwalinę pod słownictwo chemiczne polskie: nie żywił wszelako szczególniejszego zamiłowania do przedmiotu swych ćwierćwiekowych wykładów i nie posiadł żadnej ważniejszej zasługi na polu nowych zdobyczy w dziedzinie tej nauki.

Oto w krótkości główne wyniki nowej monografii o Jędrzeju Śniadeckim, pozwalające wytworzyć należyty i wszechstronny sąd o naszym uczonym i o stanowisku jego w dziejach polskiej kultury.

Wobec tak interesujących i ważnych wiadomości, jakie przynosi książka prof. Wrzoska, czynienie jej zarzutów zakrawa na horacyuszowskie *egregio inspessos reprehendere corpore naevos*. Zresztą chodzić tu może jedynie o niewiele znaczące drobnostki. Możnaby się np. spierać z autorem, czy Śniadecki rzeczywiście jeden z pierwszych zwrócił baczniejsza uwagę na ważną rolę słońca w utrzymaniu życia na ziemi (II, 61); o to czy Śniadecki mógł znać Lamarcka *Philosophie zoologique* już w dwa lata po jej wydrukowaniu (II, 147) i o kilka innych szczegółów tego rodzaju; możnaby się np. zapytać, do czego był potrzebny dokładny bibliograficzny opis planu naukowego Szkół Nowodworskich (I, 14), zwłaszcza, że nigdzie dalej takich opisów rzadszych nawet dzieł nie spotykamy. Dziwniejszą natomiast wydaje mi się rzeczą, dlaczego autor cytując (I, 24) urywek z listu Śniadeckiego »według Schnür-Pepłowskiego«, nie wspomina zgoła o tem, że przecież ten list jest w całości w »Żywocie« Balińskiego (str. 91—94), co tem jest ciekawsze, iż sam autor przedrukowuje go z Balińskiego na końcu pierwszego tomu (str. 253—255). Także list Franka, o którym mówi autor na str. 204 drugiego tomu, znowu opierając się na Schnür-Pepłowskim, jest u Balińskiego (str. 95—96). Dodajmy do tego, iż w »Bibliografii pism o Jędrzeju Śniadeckim« (II, 338 nast.) opuszczone są artykuły, które się zaraz po śmierci Śniadeckiego w pismach peryodycznych pojawiły, a których tytuły podaje Baliński w przypisie do str. 81 »Żywota«. Że autor nie z rozmysłu je pominął, świadczy to, iż wymienia »Wiadomości o życiu i pismach Jędrzeja Śniadeckiego«, umieszczone bezimiennie w »Wizerunkach wileńskich«, nie wspominając atoli, że Baliński (l. c.) siebie, jako ich autora odkrywa. Czyżby te trzy okoliczności miały być dowodem, iż prof. Wrzosek mimo aż nadto widocznego wpływu Balińskiego na tom pierwszy — przecież niezupełnie zużytkował tak cenne źródło?

Nie wydaje mi się dalej godnym naśladowania praktykowany przez autora sposób, cytowania autorów z drugiej ręki; tak np. cytuje Virchowa według Biegańskiego, Liebiga według Żulińskiego, Leibniza według Treviranusa, Bonneta według Rádla, raz nawet Virchowa według Łukjanowa, a więc po polsku z niemieckiego tekstu za pośrednictwem rosyjskiego tłumaczenia! To samo poglądy Kanta właściwiej chyba byłoby przedstawić na podstawie oryginalnych cytatów, niż na podstawie »Historyi« Falckenberga. Indeksy osób są niekompletne.

Te usterki nie mogą zmniejszyć zalet pracy prof. Wrzoska. To, co było jego celem — synteza, to treść jego w rzeczy samej wypełniło.

A lubobyśmy tę syntezę w niejednem szerzej rozwiniętą widzieć pragnęli, wdzięczni powinniśmy być autorowi za to, czego dokonał, jeżeli baczyć będziemy, jak trudne zadanie miał krytyk w ocenie tak różnorodnej działalności Śniadeckiego i w torowaniu drogi następcom.

Aleks. Birkenmajer.

Dzieje narodu polskiego. *J. Grabiec.* Spółka nakładowa »Książka«. Kraków 1910. Str. 382 in 8-o.

Pan Grabiec starał się dać obraz »narodowego rozwoju życia Polski«, ale z »punktu widzenia demokracyi i bezwzględnego postępu«, jak kilkakrotnie oświadcza w przedmowie do swej książki. Z zaciekawieniem bierze się do ręki tę książkę, bo się pragnie dowiedzieć, jak też będą wyglądały nasze dzieje w oświetleniu »bezwzględnie postępowem«. Więc przeglądam ją uważnie. Zaznaczyć muszę, że bardzo dobrze przedstawia się obszerniejsze uwzględnienie rozwoju ekonomicznego Polski: rzecz wogóle dotychczas prawie nie uwzględniana w naszych podręcznikach; zaletą jest książki, że autor starał się skorzystać z dotychczasowych badań w tym kierunku. Dalej konstatujemy, że książka obrachowana widać na szerokie warstwy niewykształcone, nieobeznane z poglądami historycznymi. Dlatego też autor przedstawia początkowe rozdziały bardzo, aż zbyt może popularnie, w następne wkłada stopniowo coraz więcej pojęć historycznych, naukowych. W ten sposób chce, by książka ta nie tylko przedstawiła dzieje narodu, ale by równocześnie spełniła względem czytelnika zadanie pedagoga. Cel i zamiary bardzo chwalebne — ale czy może nie zbyt wiele pretensyi? Bo pozwalam sobie nieco powątpiewać, by przeciętny człowiek, słuchający tylko popularnych bardzo wykładów, mógł po przeczytaniu jednej książki historycznej zrozumieć »wykład w tonie czysto naukowym«, jak tego żąda p. Grabiec.

Następnie trzeba stwierdzić, że i owa naukowość nieco szwankuje. Nie będę wyliczał wszystkiego, i zupełnie na wyrywki na kilka tylko kwestyi wskażę, które, w książce mającej pretensyę do naukowości, powinnyby być inaczej przedstawione. N. p. czy można powiedzieć, że podczas wędrówek ludów ocalała organizacya kościelna, »rozporządzająca milionami ludu... i olbrzymiemi bogactwami?« (str. 18).

Może to właśnie jest owem »bezwzględnie postępowem oświetleniem« n. p. takie wyrażenie się o rządach Oleśnickiego i wogóle duchowieństwa w XV wieku, że »dzięki ciemnocie ogółu... kler... nie znajdował przeciwników poza garścią możnowładztwa« (str. 81) lub

dalej na (str. 83) niezrozumienie zupełnie, że polityka węgierska była zasługą wyłącznie Oleśnickiego? Ale pomijam kwestye kościelne, pomijam dziwnie łatwe rozstrzygnięcie do dziś dnia spornego pytania o świętopietrzu (str. 22) lub zupełnie nienaukowe »powiedzenie«, że św. Stanisław był antygregoryaninem (str. 30); natomiast zapytuję, czy dowodzi zrozumienia rozwoju prawodawstwa takie wyrażenie, jakoby np. całe znaczenie statutów wiślickich miało polegać na tem, że obowiązują one w całem państwie? (str. 64). Dalej: czy znaczenie sejmików wzrasta dopiero w XVII wieku? I czy dopiero wtenczas wzrasta z powodu kwestyi finansowych, które raz pierwszy wtenczas powstają? Zdaje się, że tutaj nie wyróżnił autor dwóch, zupełnie odmiennych rzeczy, że nie zna źródeł do genezy sejmików w XV wieku. Zwrotem, »Jagiełło ponownie obrany królem (po śmierci Jadwigi) zapragnął uporządkować stosunki z Litwą« (str. 72), wybrnął p. Grabiec dość szczęśliwie z trudu przedstawienia stosunku prawnopolitycznego między Polską a Litwą. Ale może nie należałoby jednym zwrotem rozstrzygać tej kwestyi w »naukowej« książce.

Pomijam i zarzutu wcale nie robię autorowi z pomyłki w kwestyach ze sfery zupełnie dlań obcej, bo kościelnej [n. p. że Bazylianie zostali założeni w XVII wieku (str. 139)], lub że Pijarzy są »zakonem nieklasztornym« (str. 160), ale możnaby śmiało żądać od niego za to, żeby przynajmniej w kwestyach politycznych z czasów nowszych nie mylił się tak, jak n. p. w przedstawieniu kodeksu Zamojskiego (str. 215 nast.) lub w stawianiu tak ciężkiego zarzutu, że kler poznański »począł szerzyć lojalizm dla dynastyi i władz, ostro karcił obchody narodowe i hasła patryotyczne...« a stanowisko ks. arcybiskupa Ledóchowskiego »przyniosło ogromne szkody polityce polskiej« (str. 359 n.).

Mnóstwo jeszcze podobnych błędów czy »oświetleń« — nie wiem, jakie wyrażenie byłoby stosowniejszem.

Wogóle, mimo dobrze przedstawionych ustępów o ekonomicznym rozwoju kraju, reszta nie bez jasności pisana; ale tych fałszywych akordów tyle, tych »oświetleń bezwzględnie postępowych«, tego jątrzenia i bryzgania błotem na tych, co nie solidaryzują się z »partyą«, jest takie mnóstwo, że z przykrością i niesmakiem odkłada się książkę.

Ks. K. Konopka.

Z piśmiennictw obcych.

Dictionaire Apologétique de la Foi Catholique contenant les Preuves de la Vérité de la Religion les Réponses aux Objections tirées des Sciences humaines, sons la direction de A. D'Alès, professeur à l'institut catholique de Paris, avec la collaboration d'un grand nombre des savants catholiques. Paris. Gabriel Beauchesne & Cie Editeur.

Dykcyonarz, któryby podawał treściwie odpowiedzi na rozmaite trudności i zarzuty, stawiane przeciw wierze katolickiej, jest nie tylko czemś, na co możnaby sobie pozwolić, z czego możnaby odnieść pewną korzyść, ale jest wprost piekącą potrzebą.

Zarówno kapłan obcujący z ludźmi, jak jeszcze więcej wykształcony katolik, zwłaszcza katolicki pisarz, potem czytelnie katolickie, stowarzyszenia, redakcye pism katolickich powinny posiadać źródło łatwego i gruntownego poinformowania się w tych kwestyach, które stanowią kopalnię do zaczepek przeróżnych ze strony wrogo usposobionej dla Kościoła katolickiego. Zarzutów tych namnożyło się bez liczby i są tak rozmaite, z tak różnych dziedzin nauki zaczerpnięte, że trudno jest objąć w jedną całość a choćby nawet zostały tak ujęte, to, jak wogóle apologie systematyczne, będą one dobre do długich studyów, mniej za to praktyczne, gdy idzie o doraźną informacyę w pewnej szczegółowej kwestyi, o zbadanie i roztrząśnięcie jednego zarzutu, z jakiegoś szczególnego punktu widzenia. Do takiego celu najlepiej nadaje się forma dykcyonarza, w którymby znalazła omówienie każda kwestya zarzutu, oddzielnie, dla siebie. Tym sposobem bez długich zachodów, szukania i porównywania ma się doraźnie pod ręką to, o co chodzi, ma się dostateczny pogląd na dotyczącą kwestyę i jej właściwe oblicze a zarazem wskazówkę, jakie stanowisko należy zająć wobec zarzutów z niej zaczerpniętych. Bez balastu niepotrzebnych szczegółów, bez zwracania uwagi na formę, dają szybko to, o co chodzi, samą treść, kierunek myśli katolickiej, jej uzasadnienie, wogóle informacyę, na którąby się bezpiecznie można było spuścić.

Dykcyonarz apologetyczny dobry, aktualny, gruntowny jest więc pierwszorzędnej doniosłości dla kół katolików inteligentnych, którzy katolicyzm swój chcą zadokumentować czemś innem, niż powoływaniem się na metrykę, podpisaną przez katolickiego księdza i z pieczątką parafialną.

Takito słownik apologetyczny przybywa obecnie we Francyi do kolekcyi innych słowników katolickich, których pojawienie się zawdzięczamy czasom ostatnim, do słownika teologii katolickiej, dykcyonarza biblijnego, liturgicznego, historycznego i geograficznego, wielkości takiej, jak one, t. j. wielkości ćwiartki, wychodzi w zeszytach, zawierających przeszło 300 stron drobnego druku. Za zadanie wytknął sobie wyjaśnić gruntownie i podać uzasadnienie do prawd wiary, oraz podać ścisłe odpowiedzi na zarzuty wytaczane przeciw niej a zaczerpnięte z najrozmaitszych gałęzi wiedzy ludzkiej. Oczywiście, że niektóre kwestye tego dykcyonarza znajdziemy omówione w innych dykcyonarzach, np. w Dykcyonarzu teologii katolickiej, jednakowoż punkt widzenia w obydwu razach jest inny. Dykcyonarz apologetyczny ma przedewszystkiem na oku zarzuty przeciw wierze i pod tym kątem patrzy na omawiane kwestye, opuszczając lub z lekka tylko dotykając innych stron tej samej kwestyi.

Słownik, którego pierwsze zeszyty ukazały się w r. 1909 u Gabryela Beauchesne'a & Cie w Paryżu, właściwie jest już czwartem wydaniem dykcyonarza apologetycznego, ale porównywając je z poprzedniemi, widzi się, że wydanie obecne jest zupełnie przerobione i posiada artykuły całkiem oryginalne. Pod dyrekcyą ruchliwego profesora Instytutu katolickiego w Paryżu, A. D'Alès, skupia znaczną liczbę współpracowników, których imiona są zaszczytnie znane i poważane w katolickim świecie naukowym. Pod artykułami spotyka się podpisy, których sam widok daje gwarancyę gruntowności i pewności wyrażonej opinii i wzbudza zaufanie.

Bierzemy do ręki zeszyt pierwszy. Na okładce podane tytuły omawianych przedmiotów. Uderza nas szczupła liczba umieszczonych w zeszycie opracowań, gdyż w całym zeszycie o przeszło 300 stronach zmieściło się 19 artykułów. Zaglądamy do wnętrza. Przerzucamy kartki i prawie że nie natrafiamy na owe krótkie notatki, do których przyzwyczajeni jesteśmy w słownikach innych. Pod każdym napisem następuje nie notatka, ale cały traktat podzielony na działy i poddziałki, przejrzysty, z bogatymi odnośnikami i cytatami w tekście oraz podaniem odpowiedniej literatury przy końcu. Wszędzie widać troskę o gruntowność i sumienność. Dykcyonarz ten to nie zwykły, popularny podręcznik, przeznaczony dla najszerszych mas, to podręcznik w ścisłem znaczeniu naukowy, który obronę pojmuje zasadniczo, nie zbywa kilku energicznymi wyrazami, ale podaje naprawdę uzasadnienie poglądu

katolickiego wszechstronne, zarzuty rozbiera sumiennie, spokojnie, przedmiotowo.

W tematach widać dobór; wybierane są do omówienia te, które przedstawiają jakąś aktualność, a otwierają szersze widoki na szeregi zarzutów szczegółowych, które wyszły z jednego źródła. Tak pierwszy zaraz temat agnostycyzm daje sposobność do wykazania podstaw wielkiego mnóstwa zarzutów przeciw wierze, napotykanych obecnie. Podobnież temat dusza — animizm, Babilon i biblia, ascetyzm i inne.

O. Bachelet, który jeden z pierwszych zwracał uwagę na niebezpieczeństwa i bałamuctwa apologetyki nowej, t. zw. immanentnej, omawia pojęcie apologetyki, jej znaczenie i rozwój od pierwszych czasów chrześcijaństwa aż do XX wieku, charakteryzuje metodę apologetyki klasycznej i broni takowej przed niewczesnymi zarzutami nowatorów na tem polu. Jego artykuł daje jasny pogląd na drogi, któremi ma kroczyć apologeta katolicki, aby się ustrzedz od zgubnych niedomówień lub co gorsza fałszywych kroków.

Ks. Hamon znowu daje treściwy pogląd na ascezę chrześcijańską, która nawet wśród katolików nieraz nie znajduje miru i spotyka się z uprzedzeniem dlatego, że, ogólnie mówiąc, nie zna się jej wartości rzeczywistej, a pojęcie o niej czerpie się z karykaturalnych jej przedstawień. Wykład spokojny, przedmiotowy objawów ascetyzmu po rozmaitych szkołach filozoficznych służy za wstęp do objaśnień ascetyzmu chrześcijańskiego, który znajduje swe uzasadnienie w naturze ludzkiej i w nauce objawionej. Po wyjaśnieniu dróg, któremi kroczy asceza katolicka, następują odpowiedzi na zarzuty przeciw ascezie. Szkoda tylko, że w tym artykule nie znajdujemy wzmianki o tych niezdrowych objawach ascezy, które się zaznaczyły na podkładzie idei modernistycznych. Zasadnicze podstawy do zapatrywań na kwestye biblijne podaje O. Durand w artykule pełnym gruntowności i erudycyi. Na zarzuty przeciw pojęciom katolickim, zaczerpniętym rzekomo z badań nad historyą pierwotnego chrześcijaństwa, odpowiada N. Battifoll. O potopie pisze O. Brucker, o stosunku biblii do literatury babilońskiej O. Condamin. Modernistyczne błędy znalazły oczywiście szerokie uwzględnienie. Mowa o nich na rozmaitych miejscach. Przy agnostycyzmie lwia część artykułu zwraca się przeciw teoryom Tyrella i zbija jego wywody; słabe strony wytyka modernizmowi artykuł o Bogu, w którym też znajduje się polemikę przygodną z E. Le Roy, Blondelem i Laberthonièrem. Również artykuł »apologetyka« zwraca się przeciw

mętom, jakie zapatrywania modernistyczne wniosły do metody apologetyki. Zresztą w słowniku napotyka się wyjaśnienia i roztrząsania zarzutów wziętych ze wszystkich dziedzin naukowych, a zwróconych przeciw najrozmaitszym objawom życia katolickiego, a wyznać trzeba, że omawiane przedmioty i sposób ich przedstawienia prawie wszędzie jest bez zarzutu. Dlatego Dykcyonarz apologetyczny znajdzie zapewne dobre przyjęcie nawet tam, gdzie już posiadają dykcyonarz teologii katolickiej a powinien znaleźć się jako podręcznik dla wszystkich, którzy stykając się ze światem wrogo usposobionym dla katolickiego Kościoła, czyto innowierczym czy też liberalnym, albo sami odczuwają potrzebę zaznajomienia się z prawdziwym wyglądem podnoszonych zarzutów, albo pragnęliby mieć zupełnie wiarogodne i gruntowne źródło do pouczenia innych.

Ks. L. Rudnicki.

Eucharistie und Busssakrament in den ersten sechs Jahrhunderten der Kirche. Von *Dr. Gerhard Rauschen,* a. o. Professor der Theologie an der Uniwersität Bonn. Zweite, verbesserte und vermehrte Auflage. gr. 8-o (XII u. 252) Freiburg und Wien 1910, Herdersche Verlagshandlung.

Po niespełna dwóch latach zjawiło się to cenne studyum Rauschena już w drugiem wydaniu. Widać, że wśród teologów niemieckich i zagranicznych spotkało się z żywem zaiteresowaniem się, skoro omawiano je szczegółowo w teologicznych czasopismach i tłumaczono na język włoski i francuski. Fachowcy wiedzą, że ze stanowiska historyi dogmatów Eucharystya i Sakrament Pokuty należą do najważniejszych i najtrudniejszych zagadnień starożytności chrześcijańskiej. Rauschen, znana już powaga w historyi dogmatów, rozpatruje właśnie z tego stanowiska dokumenty kościelne pierwszych sześciu wieków, przyczem uwzględnia sumiennie najnowszą literaturę naukową. Nie brakło dotąd zbiorowych zestawień wszystkich tekstów starochrześcijańskich, odnoszących się do tych dwóch kwestyi, owszem zajmowano się żywo historycznym rozwojem nauki Kościoła o Sakramentach Eucharystyi i Pokuty. Wobec tego prof. Rauschen nie podaje nam wyczerpującej rozprawy historycznej o tym przedmiocie, jak z tytułu możnaby wnosić, lecz wybiera najgłówniejsze rozdziały nauki dogmatycznej, które w ostatnich czasach były przedmiotem żywych dyskusyi zarówno w kołach liberalno-protestanckich jak i katolickich teologów. W tem ograniczeniu tematu tkwi cała aktualna doniosłość i wartość rozprawy, w któ-

rej autor, uwzględniając zasadnicze rezultaty najnowszej literatury, usiłuje dać rozwiązanie spornych zagadnień na podstawie samodzielnych i krytycznych badań.

Pierwsza część obejmuje w 7 paragrafach naukę o rzeczywistej obecności P. Jezusa w Eucharystyi, o przeistoczeniu, ustanowieniu przez Chrystusa Pana, o istocie Ofiary Mszy św., o Kanonie Mszy św., epiklezie i częstej Komunii św.

Z sumiennych badań przezornego i czasem przesadnie ścisłego krytyka wynika jasno, że trzej najwybitniejsi pisarze II wieku, Ignacy, Justyn i Ireneusz, wyraźnie stwierdzają wiarę w r z e c z y w i s t ą obecność Jezusa w Eucharystyi w przeciwstawieniu do symbolizmu, jaki w nauce o Eucharystyi przyjmują protestanci. Że Chrystus staje się obecnym przez p r z e m i a n ę chleba i wina w Ciało i Krew Swoją, o tem zapewniają nas niewątpliwe świadectwa ze Wschodu i Zachodu począwszy od IV wieku; przedtem stwierdzano fakt obecności, ale nie pytano jeszcze o sposób, w jaki Chrystus staje się obecnym pod postaciami. Zaprzeczenie ustanowienia Eucharystyi przez Chrystusa Pana w liberalno-protestanckiej teologii, nie opiera się na żadnych dowodach, lecz jest wytworem fantazyi na tle obciętych i dowolnie tłumaczonych tekstów biblijnych Wieczerzy Pańskiej. Eucharystya od początku była uważaną za ofiarę i pamiątkę ofiary krzyżowej, jakkolwiek w różnych czasach dawano pierwszeństwo pewnym sposobom wyrażania się, nie naruszającym jednak w niczem istotnego pojęcia o ofierze. W III wieku określano ofiary chrześcijan jużto jako modlitwy dziękczynne, jużto jako chleb i wino przed konsekracyą, jużto jako Ciało i Krew Chrystusa Pana lub mękę Chrystusową. Osobliwy charakter ofiary eucharystycznej, odmiennej od ofiar pogańskich i żydowskich, tłumaczy nam rozmaitość w sposobie wyrażania się apologetów II w. o ofierze i ołtarzu chrześcijan. Przedmiotową swą ocenę poglądów Renza i Wielanda, które w ostatnich czasach zwróciły na się uwagę innych katolickich teologów, zamyka Rauschen temi słowy: »Wieland wraz z Renzem zasłużył się nauce przez udowodnienie, że wyraz »ofiarowania i składania« daru Ciała i Krwi Chrystusowej, jakim posługuje się z Ojcami Kościoła i późniejszymi teologami Sobór Trydencki, należy rozumieć obrazowo *(= im bildlichen Sinne);* wielce także przyczynił się do lepszego objaśnienia świadectw Ojców przedirenejskich. W t e m j e d n a k n i e m o ż e m y m u p r z y z n a ć s ł u s z n o ś c i i t o z p o w o d ó w n a u k o w y c h, że przed Ireneuszem idea chrześcijańskiego ołtarza była obcą Kościołowi, i że pojęcie o ofierze eucha-

rystycznej za czasów Ireneusza wzbogacone zostało nową a przedtem nieznaną treścią« (por. str. 94—95). Rauschen staje się więc w drugiem wydaniu sprawiedliwym dla Wielanda, z którym w pierwszem wydaniu polemizował z gorączkowością, jaką zwyczajnie budzą niezwykłe dotąd i niedojrzałe jeszcze twierdzenia, wygłoszone bez należytej rozwagi i przezorności. Omówienie zapatrywań Wielanda w drugiem wydaniu wystawia bezstronności Rauschena chlubne świadectwo.

Kanon Mszy św., który do niedawna powszechnie wyprowadzano za Bickellem z liturgii żydowskiej uczty paschalnej, woli Rauschen za Drewsem łączyć z obrzędami zwykłych uczt szabatowych. W kontrowersyi najnowszej, tyczącej się genezy rzymskiego kanonu, nie oświadcza się Rauschen kategorycznie, ale przychyla się do zdania Drewsa, według którego w piątym wieku najprawdopodobniej za Gelazego I, przemieniono dawny porządek modlitw na dzisiejszy.

Kwestyę epiklezy zostawia Rauschen otwartą. Zaznacza, że epikleza, powszechnie w V wieku używana w liturgii wschodniego i zachodniego Kościoła, nie jest pierwotną częścią kanonu, lecz późniejszym dopiero dodatkiem. Najstarsi Ojcowie Kościoła i przeważnie także późniejsi przypisują moc konsekracyjną całej modlitwie eucharystycznej, a »epiklezy« w ścisłem tego słowa znaczeniu wcale nie znają. W IV i V wieku modlitwa eucharystyczna posiada dwa momenty główne — słowa ustanowienia i epiklezę czyli wezwanie Ducha św. w celach konsekracyi. Na Zachodzie ustaliło się zdanie, że momentem konsekracyi jest wymówienie słów ustanowienia, wobec czego epikleza utraciła swe znaczenie i wyszła z użycia; na Wschodzie zaś mniemano, że dopiero po wymówieniu epiklezy konsekracya jest ukończoną. W pierwszem wydaniu podał Rauschen oryginalne tłumaczenie epiklezy nawiązując do intencyi kapłana, jakoby kapłan przez intencyę mógł wyznaczyć moment konsekracyi, tak, jak określa ilość materyi, którą chce konsekrować. W drugiem wydaniu opuścił odnośne zdania.

Historyczno-dogmatyczne uwagi o częstej Komunii św. i warunkach tejże w chrześcijańskiej starożytności pouczają nas o podstawach dekretów Piusa X. W pierwszych trzech wiekach kwestya częstej Komunii św. schodzi się z kwestyą częstotliwości nabożeństwa eucharystycznego, gdyż wierni zwykli przystępować do uczty eucharystycznej ilekroć byli obecni przy Najśw. Ofierze. W Jerozolimie odprawiano w I wieku codziennie nabożeństwo eucharystyczne, w innych gminach prawdopodobnie tylko w niedzielę. W II w. częściej już odprawiano Mszę św., a w III w. eucharystyczne nabożeństwo w Afryce odbywało się co-

dziennie. W IV w. codzienna Msza św. wogóle jest regułą na Zachodzie, choć w różnych częściach Kościoła praktyka była rozmaita. Z początkiem IV w. rozpoczynają się także skargi Ojców Kościoła i Soborów na oziębłość w przyjmowaniu Komunii św. Praktyka przystępowania do Stołu Pańskiego na czczo była już w IV w. powszechna w całym Kościele.

Druga część dzieła prof. Rauschena jest niemniej aktualną i cenną. Owszem historya dogmatów napotyka w kwestyi Sakramentu Pokuty w starożytności chrześcijańskiej na bardziej jeszcze zawiłe i trudne zagadnienia. Rauschen roztrząsa sporne problemy w czterech rozdziałach: o odpuszczaniu grzechów tak zwanych kapitalnych w pierwszych 3 wiekach, o spowiedzi publicznej, o praktyce pokuty publicznej i o spowiedzi tajnej. Zapatrywania swoje na praktykę rozgrzeszenia od grzechów kapitalnych, cudzołostwa, apostazyi i morderstwa poddał autor ponownej rewizyi wobec krytyki ks. Stuflera T. J., pozostaje jednak przy dawnem swem twierdzeniu, że w II w. w Afryce i Rzymie nie dawano kościelnego rozgrzeszenia bałwochwalcom i mordercom. W III w. w Kościele rzymskim stanowczo oświadczono się za łagodnością wobec tych grzeszników, a przykład Rzymu pociągnął Kościół afrykański. Rauschen sumiennie analizuje odnośne świadectwa »Pasterza« Hermasa, odmienne poglądy Tertulliana w pismach *De poenitentia* i *De pudicitia*, znaczenie edyktu Kallista papieża, doniosłość synodów odbytych w Rzymie i Kartaginie z powodu schizmy Nowacyana, chwiejne stanowisko Oryginesa — i dopiero na tle tych dokumentów wydaje sąd swój spokojnie i przezornie, ale ostatniego słowa o tej zawiłej kwestyi dotąd powiedzieć nie można.

Rozdziały o publicznej spowiedzi i publicznej pokucie dają znakomity pogląd na praktykę dawnego Kościoła i rzucają jasne światło na cały szereg trudnych zagadnień historyczno-dogmatycznych. Dokładniejsze sprawozdanie prowadziłoby nas za daleko.

Najbardziej zajmujący, ale i najzawilszy problem spowiedzi tajnej omawia Rauschen w ostatnim rozdziale swego dzieła. Wykazuje nasamprzód, że w podręcznikach i monografiach dogmatycznych teologowie katoliccy nieraz odwołują się w kwestyi spowiedzi prywatnej do tekstów, które odnoszą się do spowiedzi przy pokucie publicznej, albo do wyznania grzechów w skrytości serca przed samym Bogiem. Rauschen postępuje tu z przedmiotową ścisłością i dochodzi do następujących, ważnych rezultatów: w pierwszych czterech wiekach wymagano prawie wszędzie publicznej spowiedzi z grzechów publicznie

popełnionych, ale publiczną tę spowiedź musiało poprzedzać prywatne wyznanie winy przed przełożonymi kościelnymi, którzy musieli na publiczne oskarżenie zezwalać. Rozgrzeszenia udzielano dopiero po dokonanej pokucie publicznej, nie zaś po prywatnej spowiedzi, chyba że zachodziła konieczność wcześniejszej absolucyi. Z IV w. mamy z różnych części Kościoła świadectwa o istnieniu pokuty prywatnej i spowiedzi prywatnej, przy której udzielano tajnego rozgrzeszenia w miejsce absolucyi publicznej. Po r. 400 pokuta i zwłaszcza spowiedź publiczna ustępuje coraz więcej wobec spowiedzi prywatnej, a na Wschodzie znikła już wkrótce zupełnie. Później dawano coraz częściej rozgrzeszenie przed wypełnieniem uczynków pokutnych, co pociągało za sobą coraz większe umniejszanie kar pokutnych.

Obowiązkowej spowiedzi w pewnych odstępach czasu, jakiej np. domaga się Sobór lateraneński IV od wszystkich chrześcijan (raz na rok), nie znano w starożytności odnośnie do laików. W klasztorach już w IV w. istniała praktyka częstszej i regularnej spowiedzi, także mniejszych grzechów. Wpływowi klasztorów, zanikowi publicznej pokuty, wzmaganiu się pobożności w średnich wiekach i rozwojowi teologicznej wiedzy należy zawdzięczyć, że praktyka częstszej spowiedzi szerzyła i ustaliła się wśród wiernych.

»Jakkolwiek dzisiejsza forma praktyki pokutnej — kończy Rauschen — jest wielce odmienną od starochrześcijańskiej, to jednak przyznać trzeba, że ze strony Kościoła nie może być mowy o zasadniczej zmianie lub nowości w szafowaniu sakramentem pokuty«.

Dzieła Rauschena nikt pominąć nie może, kto w zawiłych tych kwestyach szuka przezornego i gruntownego przewodnika. Badania Rauschena są sumienne i przedmiotowe, czasem może przesadnie ścisłe. Wobec tego mile dotyka nas, że w 2 wydaniu autor tu i ówdzie złagodził swoje poglądy, np. na naukę św. Augustyna i Paschazego Radberta o Eucharystyi.

Ks. Ernest Matzel.

Der Pessimismus und das Tragische in Kunst und Leben. Von *Dr Albrecht Vögele* (von Tübinger Univ. mit dem I Preisgekrönte Schrift). Zweite Aufl. Freiburg im Breisgau. 1910.

Praca syntetyczna o »pesymizmie i tragiczności«, w której zebrano systematy t. zw. »chorych filozofów«, jak ich autor zowie, obejmuje rozwój pesymistycznej myśli, od chwili jej konkretnej formy w teoryi Schoppenhauera. Wprawdzie należałoby się spodziewać, że

stosownie do założenia *(Pessimismus und das Tragische in Kunst und Leben)* autor mówić będzie w części pierwszej o tragiczności w życiu i w naturze, w części drugiej o tragiczności w sztuce, lub odwrotnie, z chwilą jednak bliższego poznawania dzieła, myśl autora przedstawi nam się inaczej: oto pragnie on w części pierwszej dać i istotnie daje, negatywnie a nadewszystko prawdziwie krytycznie przeprowadzone: »Określenie i krytykę teoryi tragizmu Schoppenhauera i jego następców«, w drugiej: »Pozytywne uzasadnienie pojęcia tragizmu, oparte na poglądach wybranych filozofów i estetyków, nadewszystko zaś oparte na dziełach największych tragików literatury wszechświatowej«.

Już po kilku stronicach przeczytanych poznać można, że autor, wielki erudyt i misterny syntetyk, posiada niezmierną łatwość rozporządzania nagromadzonym materyałem. Oto na kilku stronach zamknął poglądy Schoppenhauera, wydobyte z tak obszernych dzieł, jak: *Welt als Wille und Vorstellung* i *Die beiden Grundprobleme der Ethik;* w niewielu zdaniach pomieścił teorye Bahnsena, którego nazywa właściwym teoretykiem pesymizmu (opiera się tu na książce jego p. t.: *Das Tragische als Weltgesetz und der Humor*). Przy tej sposobności mówi Vögele: Artur Schoppenhauer jest wprawdzie założycielem szkoły pesymistycznego patrzenia na świat i życie, ale nie jest wykonawcą konsekwentnym *Weltschmerzu.* Za takiego uznaje autor Bahnsena.

Teoryi Hartmanna więcej miejsca poświęca, bo jest to jeden z tych niezdecydowanych filozofów, u którego świat jest jeszcze *im Dunkeln wandelnde* t. j. w »ciemnościach błądzącą« planetą. Kończy Vögele przegląd zsyntetyzowaniem teoryi Nietzschego i Wagnera.

Metoda autora przejrzysta, daje możność omówienia wielu teoryi. W pierwszej części pracy, mówiąc czyto o Schoppenhauerze, czy Bahnsenie, czy o Hartmannie, Nietzschem czy Wagnerze, wyłoży czytelnikowi najpierw pogląd filozofa na zagadkę bytu, następnie w drugim, osobnym rozdziale, przedstawi nam własną krytykę tego poglądu. W ten sposób, prócz wymienionych dzieł, mamy między innemi zreferowane (w małej, 317 stron liczącej książce) *Gesammelte Studien und Aufsätze* v. Edw. v. Hartmann, *Die Geburt der Tragödie* Nietzschego, wiele dzieł Wagnera, nie licząc notabene teoretycznych dzieł, do rozwoju greckiej tragedyi studyowanych, jak Müllera, Hofmanna, Schmida, prof. Nestle i in., nie licząc często przytaczanych wyjątków i zapatrywań Volkelta, Schollera lub Lessinga. Oto co znajduje się w dziele

Albrechta Vögele. Według wyżej oznaczonej metody postępując, daje nam w pierwszej części swej książki pogląd tak treściwy, że zaznajomieni znakomicie z przedmiotem, łatwo oryentujemy się już w części drugiej, przy rozważaniu własnej myśli autora, wśród tysiącznych zagadnień raz wraz się przewijającej.

Mówi dr. Vögele zaraz na wstępie: »Tak jak po ciemnościach nocy, którą jedynie dla wypoczynku, a więc niejako dla odmiany, lubimy, znowu świta jutrzenka i złoty dzień pozdrawiamy, tak i w tragedyi *man muss etwas Versöhnendes haben,* musimy przed oczami mieć coś umacniającego nasze serca, coś, co nie pozwala zupełnie opanować nas niemocy i zwątpieniu. Sam pierwiastek »ciemnej teoryi« jest fałszywy i jednostronny, bo w świecie nie samo zło, ale przeciwnie dziwne połączenie »światła z ciemnością, czarnego z białem, życia ze śmiercią«. Oba te pierwiastki w tysiącznych odcieniach zachodzą za siebie i nawzajem się uzupełniają. »Zdrowy rozum ludzki — mówi Vögele w innym miejscu książki — nie uwierzy nigdy w żaden *Process der Abbüssung des Daseins, als der Erbschuld,* bo byt — odpowiada pesymistycznym głosom — nie leży w naszych rękach i byłoby niesprawiedliwością gdybyśmy za to musieli odpokutowywać, czegośmy żadnem przewinieniem nie zdziałali. Możnaby mówić — powiada autor — o tak zwanym *Erbsünde* i *Erbschuld* ale trzeba to inaczej uchwycić, niż to czyni pesymizm«, i oto z temi słowami wkraczamy wraz z autorem w pojęcia sztuki, t. j. do dramatu

Pesymiści — według d-ra Vögele — jako »chorzy filozofowie«, usiłują egoistycznie ze sztuki wytworzyć propagandę *(Propaganda zu machen)* dla swych ciemnych teoryi. Przecież w popularnym »królu Edypie« mamy również osławione pojęcia *Erbsünde und Erbschuld,* ale jakże inaczej wyglądają! Jest tu jedynie forma tego w przekleństwie nad rodem, i ono to właśnie jest pobudką całego działania dramatycznego. Wtedyto zdarzyć się może, że zwykły człowiek, jako tragiczny bohater, bez winy cierpieć będzie, dlatego, że nadto nieopatrznie rozprawił się z życiem, czyli, jakto autor sam najdobitniej określa, niszczeje przez niewyrównanie drobnostkowe rachunków życiowych.

Tragiczną jest śmierć Sokratesa lub takiego Savonaroli, lecz tragizm zguby tych niewinnych mężów niknie wobec tragicznej, najtragiczniejszej w tem znaczeniu niewinności Jezusa Chrystusa i największej tragedyi t. j. Golgoty; tylko przytem pamiętać należy, że:

»upadek piękna może nas wzruszyć ale nie porwać, inaczej jednakże ma się rzecz ze wzniosłem«. W prawdziwej tragedyi oba te pierwiastki tworzyć muszą nierozdzielną całość, wszystko jedno, czy w życiu czy w sztuce, a wtedy spełnią swoje zadanie. Pesymiści poprzestają na pierwszym. Im wystarcza wrażenie.

Dla nich wszystko stracone, człowiek zostaje bez otuchy, bo nieszczęścia nawet niewinnych dosięgną, więc wniosek jasny: człowiek powinien i musi popaść w pesymizm.

Ale tutaj właśnie nie należy zapominać o roli »wzniosłości« *(des Erhabenen)* w tragedyi, nie zapominajmy o słowach tak często rozsiewanych wśród tekstu i popieranych niezbitymi postulatami myśli filozoficznej: *nach dem Dunkel und Nacht, kam wieder ein goldener Tag, kam wieder die Sonne* — »po ciemności i nocy nadchodzi znowu złoty dzień, wstaje znowu słońce«. »Pesymiści — mówi w dalszym ciągu dr. Vögele — są pewnego rodzaju egoistami, przykrawającymi świat według własnej miary. Dość jednak z etycznego punktu na świat spoglądnąć, a przedstawi on się nie jako zastój zła, ale jako ruch, dźwiganie się ku dobru«.

W ten sposób wiedzie autor czytelnika w ciemne zakamarki pesymizmu, to też, kiedy na końcu wypisze finał i syntezę całej pracy, poznamy, że sąd ten już sami zrodziliśmy w naszej duszy: »Sztuka, zacieśniona w ciasny krążek pesymizmu, nie jest prawdziwą sztuką, bo ona ma, według Schillera, jedno wielkie zadanie »ludzi uszczęśliwiać«, a toż widać i z Nietzschego poglądów na kulturę i rzeźbę grecką. »Powstała ona, by ludzi uszczęśliwiać«. I to jest owa druga rola sztuki, odpowiadająca temu światłu po ciemnej nocy, które tkwi w życiu. W tragedyi jest ona w określeniu d-ra Vögele: *das Moment der Erhabenheit.*

Oto każdy człowiek walczy w życiu z *Weltschmerzem* i *Schwermutem,* ale nie każdemu dane jest, tak wypisać się, jak to Goethe w »Werterze« uczynił, innych przywodzi to do dalszych konsekwencyi pesymizmu: waryactwa lub samobójstwa; póki czas bronić się trzeba »ciemnej teoryi« ukochaniem natury starożytnych Hellenów, ukochaniem piękna i życia, na wzór renesansowych ludzi, a wtedy jasnemi staną się słowa Luigi'ego renesansowych sympozyonów Granottiego: »na świecie płakać trzeba, ale potem wypada śmiać się. Zawsze trzeba utrzymywać równowagę; sama natura od nas tego wymaga«.

Maryan Albiński.

Die Verehrung des hl. Joseph in ihrer geschichtlichen Entwicklung bis zum Konzil von Trient dargestellt von *Joseph Seitz*, Priester der Diözese Eichstätt. Mit 80 Abbildungen auf 12 Tafeln. (XVIII i 388 stron). Fryburg 1908, u Herdera.

»Wszystko, co trwa prawnie i przez wieki, istnieje zrazu w zarodku a rozwija się stopniowo«. Znane te słowa de Maistre'a, wypowiedziane w jego dziele o »Papieżu«, mimowoli przychodzą na pamięć, kiedy uprzytomniamy sobie rozwój czci św. Józefa. Dlaczego ten Mąż Boży, który miał tak wielkie zadanie w swem życiu, nie odbierał w Kościele od samego początku tej czci, jaka mu się należy i którą mu dziś oddajemy — to jedno pytanie, a drugie, jakim stopniowym zmianom ulegała cześć oddawana św. Józefowi, jakie okoliczności wpływały na jej pomnożenie i rozszerzenie — oto treść powyższego dzieła, które wobec rozszerzonej obecnie grafomanii okazuje, że autor jego nie uległ tej wadzie; nie tylko bowiem, że za przedmiot obrał sobie kwestyę aktualną wobec ciągle rosnącej czci św. Józefa, ale nadto i w przedstawieniu jej okazał niemałą zdolność; a więc opanowanie materyału bardzo dużego, zaczerpnięcie go w sposób krytyczny, jasność w rozkładzie materyi, treściwość w sposobie przyswojenia go czytelnikowi.

Zaznajomiwszy nas ze źródłami wiadomości, jakie mamy o św. Józefie, a więc z ewangeliami i apokryfami, dzieli ks. Seitz historyę czci tego świętego aż do soboru w Trydencie na 4 okresy: 1) Ojców Kościoła, 2) wczesnego średniowiecza, 3) rozkwitu scholastyki i 4) od Gersona, wielkiego szerzyciela czci św. Józefa, aż do połowy XVI w., w każdym zaś okresie zaznajamia nas, jak się sprawa w mowie będąca przedstawiała i w nauce Kościoła i w liturgii i w literaturze i w sztuce. Tu przedewszystkiem zastanawia się nad pytaniem, dlaczego z początku Kościół nauczający tak mało i jakby mimochodem zajmował się św. Józefem i wyjaśnia, że wykład prawd zasadniczych nowej nauki, tajemnic Trójcy św. i Wcielenia Syna Bożego pochłaniał uwagę a nadto wzgląd, że sekty Ebionitów i Ceryntyanów chciały Mesyasza uważać nie za Syna Bożego, jedno za syna Józefa, wstrzymywał cel szerzenia tegoż czci z obawy przed jej fałszywem zrozumieniem. W dziełach Ojców Kościoła również zbyt wiele o nim nie znajdujemy nad to, co ewangeliści napisali; wiadomościami apokryficznemi się nie posługują, chyba nieco tylko w literaturze popularnej greckiej. Mówiąc o apokryfach, jako źródłach wiadomości o św. Józefie, rzecz prosta, że autor ma na myśli nie te pisma, które heretycy w pierw-

szych wiekach chrześcijaństwa układali dla szerzenia swych błędów, ale pisma wówczas powstałe a podające dla zaspokojenia pobożnej ciekawości wiernych szczegóły, nie wspomniane w ewangelii. Postać św. Józefa napotykamy już w starochrześcijańskiej sztuce (pierwszy zabytek na grobowcu Sewery w Muzeum laterańskiem), ale zawsze tylko jako jedną z osób sceny historycznej do życia Zbawiciela się odnoszącej. Wczesne średniowiecze zajmuje się głównie przechowaniem dziedzictwa otrzymanego po Ojcach Kościoła, wiele więcej do tego nie dodają; odmiennym tu jest jednak kierunek literatury greckiej od łacińskiej: pierwszą zajmują bardziej wiadomości czerpane z apokryfów, kiedy druga zajmuje się tem, co w tej mierze napisali Augustyn i Hieronim; nie przeszkodzi to jednak zagnieżdżeniu się wspomnień apokryficznych w podania ludowe. Dotychczas jeszcze św. Józef nie ma dnia czci swej poświęconego, do martyrologium pierwszą o nim wzmiankę wprowadzili Benedyktyni w opactwie Reichenau na jeziorze Bodeńskiem w pierwszej połowie IX wieku; dlaczego zaś wybrano na ten dzień 19 marca, to autor obszernie tłumaczy na str. 104—110; nie oznacza to jednak wprowadzenia Mszy św. i pacierzy kapłańskich o św. Józefie, które nastąpiło znacznie później. W tej mierze do pewnego stopnia wschodni Kościół wyprzedził Zachód, poświęcając od X w. dzień 26 grudnia wspomnieniu N. Maryi Panny i św. Józefa, a w niedzielę przed tem świętem czcząc specyalnie św. Patryarchów; na Zachodzie zrazu poszczególne zakony (Serwici, Bracia Mniejsi) mają je w XIV w., mają je również i Karmelici, choć autor sprzeciwia się rozpowszechnionemu dotychczas mniemaniu, jakoby je przynieśli do Europy ze Wschodu. Dopiero Sykstus IV, sam należący do zakonu franciszkańskiego, wprowadził je, jako *festum simplex* do kalendarza rzymskiego: poczem i inne dyecezye oraz zakony je poprzyjmowały; mnóstwo dat bardzo starannie i pracowicie zebranych znajdujemy na str. 215 do 247, a w dodatku zamieszczono różne dawne officya, podając w tekscie dzieła ich cechy charakterystyczne.

Do rozszerzenia czci św. Józefa przyczyniają się i pisma scholastyków i współczesna im literatura ascetyczna, jak »Żywot Pana Jezusa« przez Ludolfa z Saksonii, Kartuza, oraz objawienia św. Gertrudy i Brigitty szwedzkiej. W literaturze popularnej rośnie znaczenie apokryfów a źródła te nie obce nawet uczonym, jak np. Wincenty z Beauvais, wielki polyhistor, zwany Spekulatorem od swego dzieła p. t. *Speculum historiale*. Od X w. rozwijają się mystery a religijne, pierwotyp naszej szopki; zrazu występuje w nich św.

Józef, jako niemy świadek hołdów składanych Chrystusowi, ważniejszy ma udział tylko w drodze do Egiptu i w powrocie z tego kraju, później, gdy zwłaszcza w Niemczech żywioł świecki zaczyna te poważne przedstawienia opanowywać, postać świętego zaczyna się niekiedy zmieniać, odpowiednio do pojęć kraju. Wiek XII wprowadza zwyczaj budowania kościołów i kaplic ku czci św. Oblubieńca (pierwsza znana kaplica z r. 1129 w Bolonii na Borgo Galliera) i przybierania jego imienia. W dziejach czci św. Józefa poświęca autor, jak słuszna, osobne miejsce kanclerzowi Uniwersytetu paryskiego, Janowi Charlier, od wioski, gdzie się urodził, zwanego Gersonem, jednemu z najżarliwszych szerzycieli kultu św. Opiekuna Dzieciątka Jezus. Mowa, którą miał w tej sprawie 8 września 1416 r. przed Ojcami soboru w Konstancyi, pozostanie na zawsze głębokim traktatem teologicznym w tej materyi; pierwszy raz tu mamy wskazane nabożeństwo do św. Józefa, jako zbawienny środek przeciwko klęskom trapiącym Kościół. W pismach kanclerza paryskiego znajdujemy też te wszystkie pierwiastki, które są podstawą obecnej czci św. Józefa. Podobne stanowisko zajmuje św. Bernardyn ze Sienny i drugi misyonarz także z Serafickiego Zakonu, Bernardyn z Busti. Wśród pisarzy z pierwszej połowy XVI w. góruje Dominikanin, Izydor de Isolanis; jego *Summa* o św. Józefie jest wielkiem, samoistnem dziełem i co do treści i co do formy, streszczeniem nauki i pobożności odnoszącej się do św. Oblubieńca w czasach przed soborem Trydenckim, kiedy mówi o rozwoju Jego w czasach przyszłych, zdaje się nieraz, jakoby przewidywał przyszłość. Ostatni rozdział dzieła ks. Seitza kreśli nam św. Józefa w sztuce włoskiej i niemieckiej w XV i pierwszej połowie XVI wieku, i tu przeważnie występuje jako jedna z postaci scen przedstawiających: Zaślubiny, Hołd pasterzy i Trzech Królów, Ucieczkę do Egiptu lub św. Rodzinę; samoistne obrazy malujące św. Józefa w tej epoce mało się jeszcze trafiają, pierwszy tego rodzaju jest z XIV w. pendzla Tadeusza Gaddi'ego w Santa Croce we Florencyi. Ks. Seitz wie i to także, że Mszał krakowski z r. 1484 zalicza dzień św. Józefa do największych w roku, że brewiarz gnieźnieński r. 1540 poleca obchodzić go, jako święto dziewięciu lekcyi. Zauważylibyśmy tylko, że niewłaściwem jest (str. 232) uważanie Kartuzów za jedną z gałęzi zakonu św. Benedykta, gdyż oni mają swe własne statuty; również zamiast tłumaczenia apokryfów na niemieckie, stosowniej było dać tekst łaciński. Autor nie wymawia się od zamiaru napisania dalszego ciągu dziejów czci św. Józefa, a że ta praca wymagać będzie wielu wia-

domości z poszczególnych krajów, prosi w tym celu o pomoc; niechże mu je także i z Polski kto nadeszle; wszak w ojczyźnie naszej jest niemała ilość kościołów św. Józefowi poświęconych: Kalisz, Miedniewice, Studziana, krakowski kościół PP. Bernardynek posiadają Jego obrazy cudowne a te i inne szczegóły pokażą, że kraj nasz ma udział w ciągle rosnącej czci św. Józefa.

M. Bartynowski.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Opowiadania z dziejów monarchii austryacko-węgierskiej dla klasy III szkół średnich. *Dr. K. Krotoski.* Str. 212, XXVIII. Nakł. autora. Kraków 1910.

Nie jest to winą autora, że władze szkolne rozporządziły, by tak olbrzymi materyał, jak całe dzieje średniowieczne i nowożytne umieścić w podręczniku szkolnym na klasę trzecią. Nie jest też jego winą, że gdy miał prawie gotowy już do druku podręcznik, nagle musiał go zmienić, skrócić, by zastosować się do najnowszych instrukcyi. Ale skutki tego i ślady podręcznik nosi na sobie. Pomijając, że materyału rozmieszczonego na 212 stronicach druku nie można wyczerpać w 60 co najwięcej godzinach historyi, jakie przeznaczono dla kl. III, to jednak sam podręcznik jest na tę właśnie klasę za trudny. Oderwane pojęcia (np. r. XVIII, XXVIII), przeładowanie szczegółami, często niepotrzebnymi (np. zaraz pierwszy ustęp o szczepach germańskich, o bitwach i w. i.), a naśladowanie w tym względzie podręcznika prof. Zakrzewskiego, czyni książkę za trudną dla ucznia niższego gimnazyum. »Źródła«, zamieszczone w dodatkach, mogłyby nieco dać pojęcie uczniowi o krytycznem badaniu, gdyby nie pewne zabarwienie ich — jakby nie można było znaleźć więcej polskich, a rzeczywiście źródeł historycznych.

Chociaż i styl nosi na sobie cechy pospiesznej roboty, jednak książka ma swoje zalety: dokładne mapy uwalniają ucznia od kupowania sobie atlasu, a przedstawiają dobrze rozwój terytoryum austryackiego; ryciny ścisłe, oryginalne, nie z fantazyi zaczerpnięte, rozwinąć mogą krytycyzm ucznia; opowiadanie zaś samo zamieszcza tu i ówdzie niektóre sprostowania dotychczasowych poglądów i usuwa uprzedzenia i stronnicze poglądy, jakie się do dziś dnia jeszcze w potocznem życiu powtarzać zwykło, a na jakie młodzież znajduje odpowiedź w niniejszym podręczniku (np. ustęp o śmierci Kalwina, o Lutrze i w. i.) Za to należy się autorowi uznanie.

K. K.

Studenci wobec katolicyzmu. *F. W. Foerster.* Biblioteka »Prądu« nr. 2. Warszawa 1910.

Etyka i pedagogika seksualna. *Tenże.* Bibl. »Prądu« nr. 3. Warszawa 1911.

1. »Chcesz czynić jasność dokoła siebie? Spraw, aby najpierw w tobie samym rozniecilo się światło i daj

mu dojść aż do południa«. Oto jest myśl przewodnia tego głębokiego pisarza, zyskującego sobie coraz szerszy wpływ i poważniejsze w świecie myślącym znaczenie. Z wyznania protestant, serce ma zbyt gorące, umysł zbyt górny, by nie docenić, czem jest dla ludzkości Kościół katolicki. Dziełko powyższe jest jego apologią. Autor dowodzi, że poznanie Kościoła winno poprzedzać jego krytykę, że nie jest docenionym cywilizacyjny wpływ jego autorytetu, którego sumienie ludzkie domaga się i potrzebuje. Kult wybujałego indywidualizmu wytwarza chaos, na który choruje doba bieżąca; poddanie się autorytetowi Kościoła nie przytłumia, lecz rozwija zdrową indywidualność. Kościół wychowuje i urabia jednostkę, a tem samem buduje społeczeństwo. Katolicyzm nie wyklucza patryotyzmu, nie jest wrogiem wiedzy, jak twierdzą jego przeciwnicy. Ostrożność wobec nowych hipotez oddaje poważne przysługi prawdziwej wiedzy. Nadużycia w Kościele wynikają z przyrodzonej niedoskonałości ludzi, którzy dzierżą depozyt wiary; że go przekazują ludzkości czystym i nienaruszonym przez szereg stuleci, to właśnie zwycięski dowód, że Kościół jest instytucyą Bożą.

2. Praca druga jest rozwinięciem odczytu, wygłoszonego na kongresie etycznym w Mannheim. Odczyt ten wywołał namiętne ataki ze strony protestanckiej przeciwko Foersterowi za jego »katolicyzujące« tendencye. Odpowiedzią na tę polemikę jest pełne objektywnej powagi dzieło, w którem autor żąda »podporządkowania sił naturalnych potęgom duszy«, gdyż natura zdrową jest o tyle, o ile podlega duchowi. »Są prawdy wieczne, których nie zdepczą żadne modne teorye; tylko idee, wznoszące się po nad życie ziemskie, stanowią prawdziwie ożywczą i wyzwalającą siłę«.

Autor kładzie nacisk na kształcenie charakteru wobec materyalizmu i żądzy używania doby dzisiejszej. Podnosi zanik moralnej tradycyi i zgubny wpływ rozbujałego erotyzmu. Zwalcza poglądy, głoszone przez Ellen Key i innych pisarzy, widzących »potęgowanie życia« w poświęcaniu celów moralnych dla chwilowej rozkoszy, która, wedle nich, ma być jedynie prawdziwą normą życia. Foerster przeciwstawia tym pojęciom kulturalne znaczenie chrystyanizmu, stawia monogamię jako etyczny dogmat i przedkłada konieczność ascetycznego ideału dla przywrócenia naszym czasom utraconego hartu ducha. Nie zapomocą przedwczesnego uświadamiania, tak obecnie przecenianego, lecz przez kształcenie woli u młodzieży i stawiania przed nią czystych, górnych ideałów, uchronimy ją od gangreny fizycznej i moralnej.

H. Sk.

Poeta »Wiersza do legionów« Cypryan Godebski. Przez *M. M. Smolarskiego*. Kraków 1910. Odbitka z »Przegl. Polskiego«, str. 47.

Na tle politycznych kolei, jakie Ojczyzna przechodziła na przełomie XVIII i XIX stulecia, kreśli autor sylwetkę dzielnego patryoty, walecznego żołnierza, niepośledniego pisarza i poety. Nie był on wprawdzie »z rodu tych, których imiona historya zapisuje na złotej karcie, by znaczyć niemi szlak przyszłym pokoleniom, nie był z rodu tych, co jak orły rwą się w słońce sławy, by zginąć lub wrócić, jak gwiazdy promienni, ale był z tych, co walczyli kiedyś po wszechzieniach i wszechwodach, co umieli przy obowiązku twardo stać,

co patrzyli krwawemi oczyma na upadek ojczyzny i ginęli przelewając za nią krwi swojej kroplę ostatnią«. I tacy powinni pozostać we wdzięcznej pamięci potomności.

J. U.

Żywot bł. Gabryela od Matki Bożej Bolesnej, ze Zgromadzenia OO. Pasyonistów, przez *C. O. Bernarda Pasyonistę*, tłumaczył z francuskiego ks. dr. W. Kott. Warszawa 1911. Wyd księg. M. Szczepkowskiego.

Niebogata nasza literatura hagiograficzna powiększyła się przez wydanie tego żywota. Błog. Gabryel, beatyfikowany dopiero w r. 1908, żył w XIX stuleciu (1838—1862) i umarł w kwiecie wieku jako kleryk zakonu Pasyonistów. Przybywa więc nowy patron, orędownik i wzór uczącej się młodzieży, obok św. Alojzego Gonzagi, Jana Berchmansa i Stanisława Kostki. Wzór tem skuteczniejszy, że pochodzący z niedawnych czasów, z podobnych do naszych warunków.

J. U.

Gott der Einige und Dreifaltige. Begründung u. Apologie d. christl. Gotteslehre. *Dr. Konstantin Gutberlet.* Regensburg, Manz. 8-o, VII, 386.

Dzieło to ma być częścią apologii dogmatów i tajemnic chrześcijaństwa. Gutberlet, znany i wysoce ceniony autor dzieł filozoficznych, teologicznych i apologetycznych, podejmuje się tu ważnego na dzisiejsze czasy zadania. Dzisiaj potrzeba nam koniecznie apologii poszczególnych dogmatów, by wobec rozlicznych wykrzywionych pojęć szerszym warstwom inteligencyi dać prawdziwe zrozumienie fundamentalnych prawd wiary, ich rozumności, świętości, piękności i siły życiowej w codziennych potrzebach. Gutberlet nie goni za wzniosłością stylu, unika z rozmysłem szumnej erudycyi, a stara się natomiast o wyrobienie trwałego przekonia o prawdach wiary. Obok celów apologetycznych ma także na uwadze homiletyczne traktowanie tych najwznioślejszych dogmatów o Bogu w Trójcy jedynym. Za tło swoich wywodów obrał Gutberlet ustaloną naukę św. Tomasza z Akwinu, nie wdając się wcale w śmiałe spekulacye, które byłyby bezowocne wobec celu, któremu dzieło ma służyć. Nie potrzeba zatem bliżej omawiać metody i sposobu przedstawienia rzeczy. Zapewne, Gutberlet obdarza nas gruntownem wyjaśnieniem i uzasadnieniem dogmatów o jednym Bogu w trzech osobach, ale zdaje się nam, że dla nieteologa książka jego będzie nieraz zbyt trudna do zrozumienia. Należało bardziej ominąć terminologię teologiczną, niedostępną dla świeckich bez przygotowawczych studyów.

E. M.

Richtlinien der jüngsten Bewegung im höheren Schulwesen Deutschlands. *Friedrich Paulsen.* Berlin 1909. 8-ka, str. VI i 148.

Ostatnią w życiu książkę poświęcił ś. p. prof. Paulsen idei, którą popierał gorliwie, doczekawszy się przed zgonem owoców swoich zabiegów. Nazwisko jego jest jednem z najwybitniejszych w dziejach reformy szkół średnich niemieckich w Prusiech. W śpiewie swoim łabędzim zgrupował nieboszczyk w jedną całość drobne szkice, drukowane różnymi czasami, ale w każdym razie po r. 1901 w rozmaitych czasopismach fachowych. Rok zaś ten przyniósł Niemcom daleko idącą reformę szkolną, która zrównała prawa absolwentów wszystkich szkół średnich dziewięcioklasowych. Mamy tedy tutaj rozprawy o zasadzie równowartościowości trzech

form szkół wyższych, o tem, w jakim kierunku należy poprowadzić na przyszłość reformę szkolną z roku 1901, o przyszłem ukształtowaniu się szkół realnych i ich przeznaczeniu właściwem, o konieczności reformy egzaminu dojrzałości, o nowej organizacyi niemieckich szkół żeńskich i o charakterze narodowym wyższych szkół niemieckich i dążnościach zasadniczych najnowszej reformy szkolnej. To byłyby najważniejsze referaty z ogólnej liczby zawartych tutaj ośmiu. Wiele myśli, rzuconych przez Paulsena, mogłoby śmiało znaleźć zastosowanie w szkolnictwie nie tylko austryackiem, ale nawet polskiem specyalnie. Zwłaszcza uwagi godnym jest dla nas artykuł o charakterze narodowym wyższego szkolnictwa niemieckiego (str. 84—101).

St. Z.

Jahrbuch der Zeit- und Kulturgeschichte. 1908. Zweiter Jahrgang. Herausgegeben von Dr. Franz Schnürer. Freiburg 1909. Herdersche Verlagshandlung. (8-ka, str. X i 473).

Na wydawnictwo to nie zwrócono dotychczas u nas należytej uwagi, jakkolwiek zaznajamia nas ono z wynikami badań naukowych we wszystkich gałęziach nauk filologiczno-historycznych, dokonanych w przeciągu jednego roku 1908. Piszą tutaj wyłącznie specyaliści, znani z gruntownej wiedzy i zasłużeni na polach swoich badań. W przeglądach ogólnych mówią: dr. P. A. Kirsch o życiu kościelnem w ogólności oraz o niem w Niemczech i za granicą, o życiu kościelnem w Austryi zaś prof. dr. F. M. Schindler; o życiu politycznem Niemiec E. H. Kley, Austro-Węgier dr. K. G. Hugelmann, a zagranicy dr. O. Dresemann; o gospodarstwie dr. H. Sacher, o stanie szkolnictwa i oświaty w Niemczech i za granicą E. M. Roloff, w Austryi dr. R. Hornich, o prasie niemieckiej F. Kelen, o prasie niemieckiej w Austryi dr. F. Funder. Umiejętności teologiczne zostały tutaj zreferowane bardzo obszernie przez kilku sprawozdawców. I tak: dr. T. Innitzer pisze o bibliologii, dr. K. Hirsch o historyi Kościoła i o prawie kościelnem, dr. J. Lehner o dogmatyce i apologetyce, a dr. I. Seipel o teologii praktycznej. Filozofią zajął się prof. dr. J. Geyser, historyą prof. dr. F. Kampers, filologią klasyczną dr. J. Bick. historyą literatury niemieckiej dr. J. Radler, angielskiej docent krakowski dr. R. Dyboski, romanistyką dr. R. Beer, a umiejętnościami prawnemi dr. H. Sacher. O liryce i epice mówi dr. L. Krapp, o literaturze dramatycznej dr. J. Sprengler, o prozie zaś dr. A. Lohr. Przedostatni rozdział poświęcony jest muzyce (o muzyce kościelnej mówi dr. K. Weinmann). Tom cały zamyka treściwa kronika, nekrologia i spis osobowy. Wydawnictwo to odda niewątpliwe przysługi tym licznym rzeszom pracujących naukowo lub interesujących się postępami, dokonanymi w rozmaitych gałęziach wiedzy ludzkiej, które nie mogą z rozmaitych powodów przewertować setek tomów rok rocznie. Dziwnie jednakowoż razi tutaj przemilczenie najzupełniejsze narodów słowiańskich. Czyżby i uczeni niemieccy byli zdania, iż cała Słowiańszczyzna jest *minderwärtig?*

St. Z.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nowy dekret Piusa X.

Jak Kościół stanowczy zawsze wpływ wywiera na otaczającą go kulturę, tak niemały także jest wpływ kultury na rozwój Kościoła. Wzajemne to oddziaływanie Kościoła i kultury dawnej nie dość uwzględnione pozostawiło dużo tajemnic w dotychczasowym rozwoju Kościoła, które przy jego ściślejszem badaniu coraz więcej znikają. Zawiłe nieraz zjawiska albo nawet na pierwszy rzut oka ujemnie świadczące o Kościele, w świetle tego stosunku przedstawiają się bardzo proste i naturalne. Tak np. średniowieczne stosunki handlowe i ekonomiczne znalazły najsilniejsze poparcie przez święta kościelne, które jedynie w owych czasach były zdolne częściej sprowadzić na targi okoliczną ludność i kupców z dalekich nawet stron. Około kościoła nie tylko grupowało się miasto, ale i skupiało całe ówczesne życie. Lecz stosunki się zmieniły. Dziś, jak wspomina *Motu proprio* Piusa X o redukcyi świąt, szybka bardzo i łatwa komunikacya i z nią połączony ogromny rozwój handlu i konieczność szybkiego załatwiania spraw, a również z dnia na dzień wzrastająca drożyzna spowodowały utrudnienia w spełnianiu religijnych powinności, związanych ze świętami, a także wpłynęły ujemnie na doczesne dobro katolików. Wobec tego ma Kościół

najpoważniejsze racye, aby święta wprowadzone ongi dla dobra wiernych, dla tego samego dobra znowu znieść. Z tych to względów Pius X dekretem z drugiego lipca 1911 znosi różne święta, inne zaś odkłada na niedziele. Oprócz niedziel mają tylko jeszcze następujące święta pozostać nadal z obowiązkiem słuchania mszy św. i wstrzymania się od ciężkich robót: Boże Narodzenie, Nowy Rok, Trzech Króli, Wniebostąpienie, Niepokalane Poczęcie N. M. P., Wniebowzięcie N. M. P., dzień św. apostołów Piotra i Pawła i Wszystkich Świętych. Wszystkie inne odpadają albo są przeniesione na niedziele, jak np. Boże Ciało. Zarazem daje Ojciec św. raz na zawsze dyspensę od postu i abstynencyi, gdyby wypadły kiedyś na jedno z wyżej wymienionych świąt. Przewidując, że nowy ten dekret napotka na rozliczne trudności u ludu katolickiego, papież upoważnia biskupów, aby u Stolicy apost. wyraziły życzenia ludu, gdyby niektóre z wykreślonych świąt chciał nadal zatrzymać.

Jeżeli dotychczas pewne sfery nie chciały w Piusie X dopatrzeć się nigdy szerszego rozumienia naszych czasów i naszych stosunków, to dekret omawiany chyba zadaje kłam ich stronniczym, nieuzasadnionym sądom. Jest to doprawdy nie tylko krok bardzo śmiały, ale świadczący zarazem o głębokiem i swobodnem pojęciu posłannictwa Kościoła.

Z góry można było przewidzieć, że socyaliści będą się starali wykorzystać ten dekret w celach hecy i nagonki przeciw Kościołowi. Sposobność znakomita rzucić w bezkrytyczne masy potwarz, że Kościół idzie ręka w rękę i wysługa się kapitalizmowi, odbierając robotnikowi możność odpoczynku w częstych świętach. Podobne insynuacye byłyby może uzasadnione, gdyby także niekatoliccy przemysłowcy i robotnicy chcieli się zastososować do świąt kościelnych i gdyby wszędzie płaca robotnika była tak wysoka, aby także dla rodziny na święta i niedziele wystarczyła, jak to już Leon XIII zażądał, ale ponieważ nadziei pod tym względem niema, stąd krok Piusa X był po prostu koniecznym postulatem dobra, zwłaszcza robotników katolickich. Dotychczas socyaliści nie mogli się dość nanarzekać na święta katolickie i gdzie mogli pchali do roboty także w święta, teraz

dla hecy trzymają się teoryi przeciwnej. Znana to rzecz, że agitacya nie przebiera w środkach. Wobec zmniejszonej liczby świąt Pius X słuszne przy końcu wyraża życzenie, żeby katolicy, tak chlebodawcy jako też urzędnicy i robotnicy, tem ściślej szanowali i święcili dni świąteczne i niedziele. Inaczej możnaby się rzeczywiście obawiać, żeby redukcya świąt, przeprowadzona dla dobra doczesnego wiernych, nie wyszła na szkodę dóbr wyższych. Teraz jest tym większym obowiązkiem katolików domagać się czasu i sposobności od rządu do wypełnienia swych obowiązków religijnych, kiedy Kościół hojną ręką dostarczył im czasu do większego zarobku doczesnego. Dekret Piusa X nie znosi prawdy, że dusza jest ważniejsza od ciała.

Kierunek Kolońśki.

Z powodu artykułu, ogłoszonego w *Correspondance de Rome* (Nr 102 z 4 lipca 1911) pod tytułem: »Niebezpieczeństwo religijne w Niemczech« zawrzało znowu w obozie katolików niemieckich. Artykuł ten chce wykazać, że modernişci niemieccy kolońskiego kierunku, skupiającego się około *Kölnische Volkszeitung*, czuli się dotknięci książką, wydaną przez znanego O. Weissa, zakonu kaznodziejskiego, *Lebens und Gewissensfragen der Gegenwart*, a ponieważ nie udało im się przeszkodzić drukowi jej, teraz wszelkimi sposobami starają się ją zdyskredytować. Ponieważ zaś *Correspondance de Rome*, organ znanego Mgra Benigniego, uchodził za pół oficyalny organ Watykanu, stąd artykuł ten wywołał oburzenie i wrzenie wielkie między katolikami niemieckimi

Książka O. Weissa składa się z artykułów, które tenże przez szereg lat ogłaszał w czasopiśmie teologicznem *Linzer Quartalschrift*. Już wtedy niejeden odzywał się głos o gderaniu O. Weissa. A znaczyło to mniej więcej tyle: jeżeli Czcigodny Ojcze o wszystkiem tylko gderasz, pamiętaj, żeś się postarzał. Ale kiedy artykuły O. Weissa, złączone w całość, miały się rozejść szeroko w postaci osobnej książki i dostać się w ręce szerszej publiczności — wówczas jego działalność nabierała większego znaczenia. Ponure patrzenie na świat i ducha katolickiego w Niemczech, a zwłaszcza luźne i nieuzasadnione uwagi, doty-

czące Centrum niemieckiego i pewnych prądów i objawów w obozie katolików niemieckich stały się kamieniem obrazy. W tajnym cyrkularzu zwrócono uwagę miarodajnych katolików na niebezpieczeństwo, które tkwi w książce O. Weissa dla zgody i przyszłości obozu katolickiego w Niemczech i wyrażono obawę, aby Ojciec św. publiczną pochwałą dla dzieła O. Weissa sprawy nie pogorszył. Cyrkularz ten spowodował artykuł w *Correspondance de Rome*, który razem z książką O. Weissa wywołał ostrą polemikę w gazetach niemieckich. Ponieważ sprawa zaczęła przybierać coraz ostrzejsze formy, nuncyusz niemiecki Frühwirt ogłosił protest przeciw pogłosce, jakoby *Correspondance de Rome* wyraziła przekonanie Watykanu wobec skarg na Centrum i katolików niemieckich. Cała ta sprawa stała się także przyczyną odnowienia sporu między tak zw. kierunkiem kolońskim i berlińskim, odżyły uśpione antagonizmy, tak, że coraz więcej obawiać się należy o przyszłość katolicyzmu w Niemczech.

Nie można zaprzeczyć, że od czasu, kiedy Pius X wydał encyklikę *Pascendi* przeciw modernizmowi i podjął przeciw niemu stanowczą walkę, garstka gorliwców z rzadką bezwzględnością, zwłaszcza w krajach romańskich, wzięła sobie za zadanie węszyć wszędzie niebezpieczeństwo modernizmu i rzucać pod płaszczykiem ortodoksyi podejrzenia na uczonych i organizacye katolickie o sprzyjanie błędom modernistycznym. Znane są nazwiska tego rodzaju ludzi, jak Benigni, Kaufmann, Cavallanti, Scotton, oprócz tego *Univers* we Francyi i *Unità Cattolica* we Florencyi. Znane są napaści Cavallantiego, redaktora *Unità Cattolica*, na sławnego historyka kościelnego i członka akademii francuskiej Duchesne'a, Scottoniego na kardynała Ferraziego w Medyolanie, Kauffmanna na kardynała Fischera w Kolonii i katolików niemieckich. Lecz jest to tylko część tych wybrańców, którzy z wielką szkodą dla dobrej sprawy i powagi Rzymu uważają się za stróżów prawowierności i wykonawców myśli Piusa X. Warto zwrócić tutaj uwagę na to, że przecież w romańskich krajach, gdzie Kościół katolicki ponosi klęskę za klęską, stosowniejszemby było zająć się obroną interesów Kościoła na własnej ziemi i powetowaniem klęsk zadanych, a nie bawić się w niepotrzebne i dla Kościoła

bardzo szkodliwe insynuacye i intrygi przeciw tym, którzy szczerze pragną dobra i pomyślności Kościoła. Z niemałem zadowoleniem przyniosły też gazety niemieckie wiadomość, że słynny Mgr. Benigni opuścił Rzym na czas nieokreślony, zapewne nie bez wyraźnego życzenia ze strony Watykanu.

Ostatnie zajścia w protestantyzmie.

Propaganda, którą rozwija na wielką skalę protestantyzm wszystkich odcieni, szeroka działalność misyjna, która staje się z dnia na dzień groźną konkurencyą dla misyi katolickich i wysoka kultura krajów protestanckich mogły niejednego naprowadzić na myśl, że przecież protestantyzm niezwykłą u siebie musi mieścić siłę twórczą, a nasuwające się porównanie między katolicyzmem a protestantyzmem pod tym względem może u mniej ze stanem rzeczy obznajomionych wypadło na niekorzyść katolicyzmu. Zajścia w łonie protestantyzmu z dni ostatnich przekonały świat, że pozorne sukcesy protestantyzmu są wynikiem nie wnętrznej jego siły, lecz zupełnie odmiennych czynników. Stwierdziły one także, że bankructwo protestantyzmu, jako religii, jest właściwie faktem dokonanym.

Luter, który z początku sądził, że obejść się można w religii bez widzialnego Kościoła, już w bezwzględnem, właściwem swemu charakterowi zastosowywaniu subjektywizmu religijnego spostrzegł, że ta droga prowadzi do zupełnego zdziczenia religijnego. Dlatego przy końcu swej reformatorskiej działalności uważał za stosowne zaprowadzić pewien zarząd kościelny, nie troszcząc się wiele o sprzeczność, w jaką popadał, godząc ze sobą rzeczy tak się wykluczające, jak skrajny subjektywizm religijny i rządy kościelne, czuwające także nad treścią naukową wiary protestanckiej. Ta nielogiczność prędzej lub później musiała się stać zgubą protestantyzmu i przyczyną głębokiego rozgoryczenia. Wprawdzie rząd kościelny protestancki był zawsze bardzo pobłażliwy dla różnic w kwestyach wiary, jeżeli w nich można się było jeszcze dopatrzeć pewnego jądra chrześcijańskiego, ale z natury swej był zmuszony trzymać się pewnych zasad i zakreślić granice swej pobłażliwości, aby ocalić charakter protestantyzmu, jako religii chrześcijańskiej. Racyonalizm, który jak rak toczy

protestantyzm dzisiejszy i powoli usuwa z niego wszelki pierwiastek nadprzyrodzony, mający poparcie w najwyższych i najpoważniejszych przedstawicielach protestantyzmu i w szeregach zwłaszcza młodych generacyi pastorów protestanckich, wychował cały zastęp ludzi, którzy z chrześcijaństwem nic już wspólnego nie mają i wcale się z tem nie tają. Ich liczba jest z pewnością większa, aniżeli zwyczajnie sądzą i bez wątpienia są dziś w większości. Jest to tajemnica ogólnie znana, ale mniej znanem było, jak wobec tych przekonań religijnych czy raczej niereligijnych swojego kleru zachowa się stan świecki protestantów. Do wyświetlenia tej kwestyi i odkrycia całego rozstroju w łonie protestantyzmu przyczynił się w ostatnich czasach fakt godny pamięci, proces wytoczony pastorowi kolońskiemu Jatho przez rząd kościelny, który się zakończył złożeniem pastora z urzędu. Uzasadnienie wyroku w urzędowej swej formie po prostu przeraża nowożytnem pogaństwem ogólnie cenionego pastora Jatho i pokazuje, jak mało wiary chrześcijańskiej domaga się rząd kościelny nawet od pastora, jeżeli teraz dopiero przystąpił do jego osądzenia i złożenia.

Pastor Jatho, jak to widać z jego kazań i wyniku własnych zeznań, nie wierzy w Boga osobistego. Bóstwo jest według niego od samego początku jakiemś fatum, siłą ślepą, która dopiero w człowieku dochodzi do świadomości. Co do objawienia, twierdzi Jatho, że każda religia jest objawieniem, stąd wszystkie religie są równouprawnione, choć przyznaje, że chrześcijaństwo przewyższa wszystkie dotychczasowe religie historyczne siłą i treścią religijną, moralną i kulturalną. Odrzuca zupełnie potrzebę odkupienia z grzechu i winy, bo człowiek własną siłą z grzechu i winy się wybawia. Stąd jasno, że Chrystus dla pastora Jatho jest tylko człowiekiem, mającym tylko pewne pedagogiczne znaczenie. Jeżeli Chrystus ma mieć jakieś znaczenie i dla nas dzisiejszych, wtedy osobę Chrystusa trzeba zamienić w ideę Chrystusa — życie twoje własne jest twym Chrystusem. Co do życia pozagrobowego pastor Jatho do jasnych pojęć jeszcze nie doszedł, ale co o niem mówił, dalekiem jest od wiary chrześcijańskiej.

Wobec takich przekonań religijnych nawet rząd kościelny protestancki czuł się zmuszony złożyć i tego pana z urzędu, wyznaczając mu przytem sutą pensyę. Już podczas całego procesu uwaga protestantów była na tę sprawę zwrócona i zdania w prasie były bardzo podzielone. Po ogłoszeniu wyroku zawrzało w obozie protestanckim. Na zebraniach pastorów i świeckich protestantów, w broszurach i w prasie ogłoszono liczne protesty przeciw wyrokowi. Gmina pastora Jatho oświadczyła się za nim, urządzono składkę, która zapewnia pastorowi złożonemu życie wygodne i spokojne, wzywano do gromadnego wystąpienia z Kościoła państwowego. Słowem, protestantyzm dzisiejszy w większej swej części nie mógł pojąć, jak w łonie protestantyzmu może być zbrodnią mieć swe własne religijne przekonanie, choćby nie zgadzały się nawet w podstawowych zasadach z chrześcijaństwem. To chyba bankructwo kompletne! Groźniejszym jeszcze dla Kościoła protestanckiego jest fakt, że wielbiciele pastora Jatho postanowili zostać w Kościele państwowym, aby w jego łonie szerzyć agitacyę pogańską swego wodza. Nie tutaj na to miejsce, ale przy innej sposobności warto zestawić wszystkie, przynajmniej najważniejsze głosy prasy protestanckiej, aby mieć wierny obraz zupełnego rozkładu wewnętrznego w protestantyzmie. Rozumna część protestantów uznała wyrok sądu za uzasadniony i konieczny, ale są to ci sami ortodoksi, którzy nie mieli dość słów na potępienie przysięgi antymodernistycznej, broniącej najistotniejszych prawd chrześcijańskich.

Wobec tego faktu rzeczą jest chyba zupełnie jasną, że gdyby nie nienawiść do Rzymu i katolicyzmu, protekcya i silne poparcie rządu pruskiego i bezwzględna agitacya prasy protestanckiej, nie tylko o jakiejkolwiek akcyi protestanckiej nie byłoby mowy, ale sam protestantyzm byłby dawno znikł z powierzchni. Jednak mimo tych czynników, które jako tako jeszcze utrzymują pewne pozory życia w protestantyzmie, zdaje się, że historya jego dobiega do końca. Racyonalizm i socyalizm tak ciężkie zadały mu rany, że niema żadnej nadziei, aby się ze swego wewnętrznego rozstroju wyzwolił. Dzisiejszy czas, doprowadzający wszystko do ostatnich konsekwencyi, także z nauki

Lutra ostatnią wyciągnie, a ta może być tylko negacyą wszelkiej religii, zupełne pogaństwo w szacie nowożytnej. Jatho, według podstawowych zasad protestantyzmu, nie zasłużył na złożenie z urzędu, lecz na pochwałę, ponieważ trzymał się wiernie głównej zasady protestantyzmu, skrajnego subjektywizmu religijnego.

Ks. A. Starker.

Z dziedziny palestynologii.

Ostatnie pięciolecie literatury palestynologicznej.

(Szkic bibliograficzny).

(Dokończenie)

Powyżej nakreśliłem ogólny zarys rozwoju literatury palestyńskiej i podałem wybitniejsze dzieła, dające pogląd na całość [1]. Teraz zajmie nas najnowsza literatura dotycząca Jerozolimy biblijnej, o której w tym krótkim okresie (t. j. od r. 1905) wydano przeszło 20 dzieł i rozpraw, godnych naszej uwagi. Nasamprzód omówimy w porządku chronologicznym dzieła treści ogólniejszej, następnie przejdziemy do monografii.

A) Dzieła o Jerozolimie biblijnej wogóle.

1. R. 1906 wyszło w Lipsku dziełko p. t. »Materialien zur Topographie des alten Jerusalem« (XIII+198), pióra Augusta Kuemmel, dyrektora szkoły w Barmen. Dziełko to na pozór niepokaźne, posiada jednak wartość naukową, bo autor streścił tam sumiennie i uporządkował wszystko, co po różnych dziełach i artykułach znaleźć było można, a przy olbrzymiem bogactwie tej literatury wymagało to pracy niemałej. Zwrócić trzeba uwagę i na to, że dziełko Kuemmela ma być uzupełnieniem jego znakomitej mapy archeologiczno-topograficznej, wydanej tego samego roku. Oto treść książki Kuemmela: po krótkim opisie dzisiejszej Jerozolimy i jej historyi podaje geologiczne dane, opisuje wzgórza i doliny jerozolimskie, omawia dokładnie mury nie tylko miasta

[1] Niestety z winy korektora wkradło się do owego szkicu niemało błędów w nazwiskach autorów i okolic, na które uważam sobie za smutny obowiązek zwrócić tutaj uwagę czytelnika.

ale i świątyni oraz twierdzy Antonia i zaznajamia nas z hydrografią starego miasta. Ostatnie trzy rozdziały (12 14) poświęca opisowi jaskiń, grobów i budowli, których ślady jeszcze istnieją. Podnieść atoli muszę pewne rażące braki tej książki. Autor omawiając różne wykopaliska wydaje o nich nieraz sądy, które się z dzisiejszym stanem nauki często pogodzić nie dadzą, co tylko wielką nieznajomością odnośnej specyalnej literatury wytłumaczyć można. Inny brak polega na tem, że autor pomija milczeniem pomniki, o których istnieniu poucza nas tylko historya, albo których śladów w ostatnich czasach jeszcze się nie dokopano.

2. Z r. 1907 zaznaczyć wypada dzieło ks. d-ra Karola Mommerta (obecnie kanonika przy Grobie św. w Jerozolimie) p. t. »Topographie des alten Jerusalems«, tom czwaty (VIII+340), które temu nader płodnemu autorowi zjednało dosyć sławy. Jakkolwiek pierwszy tom tej pracy pojawił się już roku 1900 (V+393), drugi roku 1903 (VIII+306), trzeci 1905 (VIII+182), to jednak wielkie te odstępy czasu podniosły tylko wartość dzieła, bo autor zużytkował ten czas na pogłębienie swych sądów i gruntowne obeznanie się z przedmiotem. To też nie tylko katolicy ale i protestanci zaliczyli go do wybitniejszych znawców topografii jerozolimskiej, uznali w swoich ocenach bystrość jego krytycznego umysłu, wielką znajomość literatury, bezstronność jego sądów. Prawda, że pewność swego sądu przenosi nieraz na niepewną rzeczywistość, ale na szczęście to się nie tak często zdarza. Niektórych rażą także rozwlekłe cytaty z przytoczonych dzieł, ale w tego rodzaju materyi jest to raczej zaletą niż wadą, bo ułatwia czytelnikowi, który nie ma tych dzieł pod ręką, wydanie własnego sądu o rzeczy.

Tom I składa się z czterech części: pierwsza pod nagłówkiem »Zion und Akra« i opisuje najstarsze miasto Jebuzeów i Dawida. Słusznie zajmuje się autor już na początku kwestyą Akry, którąby z pozoru dopiero przy Jerozolimie żydowskiej aktualną być się wydawała, bo trudno wyjaśnić topografię najstarszego miasta, nie rozstrzygnąwszy wprzód zawiłego zagadnienia wzgórz Józefa Flawiusza a w szczególności wzgórza Akry. Według dość prawdopodobnego zdania Mommerta stare miasto składało się za czasów kananejskich i Jozuego z dwóch pagórków: Syonu t. zw. miasta górnego na zachodzie i miasta dolnego (Akry), na północnym wschodzie pagórka Syonu, a przedzielała je dolina Tyropeonu, którą autor utożsamia z wyżłobieniem dzisiejszej ulicy żydowskiej. Trzecie wzgórze Moria, zajmowała świątynia Salomona, której opisem zajmuje się drugi tom dzieła. Trzecia część omawia za-

gadnienia dotyczące murów miasta, przyczem stawia różne hipotezy topograficzne, zwłaszcza w kwestyi wodociągu (= Gihon Salomona!). Zdaniem Mommerta Gihon górny leżał przy dzisiejszym stawie Mamilla na zachód od miasta, Gihon zaś dolny (= »w dolinie«) przy stawie »bliźniąt« na północno-zachodnim rogu Antonii. Ta teorya ma nieco za sobą, ale udowodnioną jeszcze nie jest. Czwarta wreszcie część dzieła opisuje Jeruzalem żydowskie, t. j. zawiera okres od powrotu z niewoli babilońskiej aż do zburzenia Jerozolimy.

Wspomnieć tu należy jeszcze o dwóch dziełkach Mommerta[1] z tego peryodu, z których jedno zajmuje się sadzawką Bethesda i dopatruje się jej w dzisiejszym stawku św. Anny, drugie podaje historyę sadzawki Siloe, a jako jej twórcę uznaje Salomona.

3. Do bardzo znanych w dziedzinie palestynologii prac należy dwutomowe dzieło Jerzego Adama Smitha: »Jerusalem, the Topography, Economics and History from the earliest times« to A. D. 70, wydane w latach 1907 i 1908. Nad tą poważną pracą zawodowi krytycy poszli w bardzo rozbieżnych kierunkach. Smith dzieli swe dzieło na 3 części, z których dwie pierwsze przypadają na tom I (XVI+631 str.) i omawiają szeroko kwestye historyczne, dosyć ustalone, podczas gdy na topografię przypada tylko 220 str. Nic dziwnego, że pobieżność w kwestyach topografii uderza na każdej stronicy, bo część ściśle topograficzna omawia tylko hydrografię Jerozolimy, kwestyę Syonu albo miasta Dawidowego, które Smith umieszcza na wzgórzu Ophel, a nadto osobny rozdział o dolinie Hinnom i o murach Jerozolimy, i to dość niedbale i powierzchownie. Natomiast ekonomię narodową omawia autor wprost świetnie. Słabiej znowu wypadła księga trzecia (cały tom II) o historyi Jerozolimy. Wykwintna forma literacka i zewnętrzna dzieła czyni je poczytnem i przyjemnem.

4. Oryginalnem jest dzieło Selah Merilla zatytułowane »Ancient Jerusalem« (NewYork 1908). Oryginalnem jest to dzieło choćby już z tego względu, że zaczyna od oblężenia Jerozolimy przez Tytusa t. j. od r. 70 po Chr. i na tej kanwie opowiadania historycznego zaznajamia czytelnika z topografią miasta, z jego pomnikami, budowlami i t. p. Przytem w formie pytań i odpowiedzi albo w formie dyskusyi roztrząsa kwestye zawiłe i trudne, tak, że dzieło czyta się niekiedy jakby powieść, przystępną dla każdego. W tym też celu autor zanie-

[1] »Bethesda und das Jerusalem des Pilgers von Bordeaux« (1907); »Siloah Brunnen, Teich, Kanal« (1908).

chał wszelkich cytatów, nazwisk autorów, badaczy i t. p., co wprawdzie przyczynia się do popularności dzieła, ale powadze naukowego dzieła niemałą ujmę przynosi.

5. Lewis Bayles Paton, profesor egzegezy St. T. w Hartford, w Ameryce, wydał w r. 1908 dziełko p. t. »Jerusalem in Bible times« (XII+149), które ma za cel pielgrzymów albo ludzi nie mających zamiaru oddawać się mozolnej pracy naukowej, zaznajomić w porządku historycznym z tem wszystkiem, co może mieć jakieś większe znaczenie w topografii świętego miasta. Całe dziełko zamyka się w 12 rozdziałach. Zaczyna od świątyni, opisuje następnie doliny, źródła, sadzawki starej Jerozolimy. Przytem Paton jest zaciętym ofelitą i pod tym tylko kątem na wszystko patrzy, nie zdając sobie zupełnie sprawy z trudności, na jakie ta teorya napotyka. Oczywiście o ich rozwiązanie nie troszczy się wcale. Od czwartego rozdziału rozpoczyna opis miasta, a więc Jerozolimy kananejskiej, Dawidowej, budowli i murów Salomona. Pokrótce zbyto dzieje miasta za czasów Ezechiasza i Manasesa, trochę obszerniej za Nehemiasza. W osobnym t. j. XI rozdziale opisuje Paton Jerozolimę za czasów Machabeuszów i Herodów, w XII wreszcie omawia pobyt Chrystusa w Jeruzalem i pomniki owych czasów.

6. Tego samego pokroju jest dziełko C. R. Condera »The city of Jerusalem« (London 1909, str. 334), które jest przedewszystkiem historyą Jerozolimy od Melchizedecha aż do naszych czasów. Autor jest zbyt zwięzły i usilnie unika szczegółów, tak, że czytelnik musi zdać się na sąd swego przewodnika. Conder, jakkolwiek syonita (w znaczeniu topograficznem!), jednak Gihon identyfikuje ze źródłem Rogel, na co chyba mało kto się zgodzi. Zbyt dalekoby nas to zaprowadziło, gdybyśmy chcieli wszystkie (nieraz oryginalne!) teorye Condera omawiać.

7. Jeszcze bardziej popularnemi są dziełka M. A. Benzigera: »Of to Jerusalem« (New York 1906), M. R. Monlaur'a: »Jerusalem« (Paris 1909), O. Meraviglia: »Reiseeindrücke aus Syrien und Jerusalem« (Graz 1909), które schodzą do rzędu opisów podróży, pielgrzymek i t. p.

B) Zagadnienia szczegółowe z topografii jerozolimskiej także w ostatniem pięcioleciu żywo były omawiane. Tak n. p. kwestya Syonu wciąż jest jeszcze przedmiotem różnych dyskusyi, a do dawnej literatury przybywają ciągle nowe wypracowania. Oto zwięzły ich przegląd:

1. Znany polemista, O. B. Meistermann Z. Br. Mn., którego

płodność literacką w dziedzinie topografii tylko Mommert dotychczas prześcignąć potrafił, książką »La ville de David« (Paris 1905, XXVI +248) wywołał prawdziwą burzę w obozie ofelitów. Aby obniżyć powagę autora, wyłowili oni wszystkie słabe strony, błędy i usterki tej książki. Tak n. p. Vincent (*Revue biblique* 1906. 629—639) zarzuca mu brak dokładności w przytaczaniu dokumentów, cytaty fałszywe lub treści zbyt ogólnej, tak, że niczego nie dowodzą. Dalej wytyka wielką opieszałość pod względem filologicznym, błędną często transskrypcyę tekstu, mylne tłumaczenie, powierzchowność w dociekaniach archeologicznych, na co przytacza całe mnóstwo przykładów aż na 10 stronic. Sąd rzeczywiście twardy i bezwzględny, niemniej jednak prawdziwy. Atoli nie można bez naruszenia sprawiedliwości odmówić książce Meistermana wszelkiego znaczenia. Teoryę swoją opiera na tradycyi, której świadkiem jest Józef Flawiusz, a ten, zdaniem M., oświadcza się za Syonem, na południowo-zachodniem wzgórzu, a za tem oznaczeniem przemawia po części Biblia, historyczne i archeologiczne pomniki. Tymczasem Ophel takich świadectw nie posiada. Również księga Nehemiasza w świetle nowych wykopalisk staje się (zdaniem M.) dopiero wtedy zrozumiałą, jeżeli odniesiemy ją do wzgórza zachodniego, natomiast staje się zagadkową, jeżeli chcemy uwzględnić wzgórze wschodnie. To samo doradza i terminologia biblijna. Nie można się wprawdzie zawsze godzić na sposób dowodzenia Meistermanna, niemniej atoli poglądy jego mogą być prawdziwe, mimo że ofelici odmawiają im wszelkiego prawdopodobieństwa. Nowsi autorowie, jak np. Benzinger, zaczynają się przechylać na stronę syonitów, owszem Merill i Conder otwarcie i stanowczo za Syonem się oświadczają. Stąd także n. p. K. Weczerzik w dziełku »Die Lage des Sionhügels« (Wien 1905) zapowiada już zwycięstwo syonitów.

2. O samej świątyni jerozolimskiej pisze Berto w dziełku »Le Temple de Jérusalem« (Lanzo Torinese 1910), na które złożyły się odbitki z artykułów ogłoszonych w *Revue des Etudes juives*. Berto jest tego zdania, że tylko na podstawie tekstu Józefa i Miszny da się zrekonstruować świątynię herodyańską, której nawet śladów żadnych napotkać nie można. Praca ta nie przynosi nic wprawdzie nowego; wszelako posługując się tekstami, dochodzi do zadowalających wyników.

3. Trochę silniejszą bo historyczną podstawę obrał dla swych dociekań R. Hartmann w książce »Der Felsendom in Jerusalem und seine Geschichte« (Strassburg 1909), w której zaznajamia nas z historyą tego przybytku od najstarszych aż do naszych czasów.

4. Ten sam przedmiot ale w odmienny sposób obrobił Caldecott Shaw w dziele »The second temple in Jerusalem« (London 1908). Z przedmowy należałoby się spodziewać w tem dziele architektonicznej rekonstrukcyi drugiej świątyni, tymczasem znajdujemy tam tylko jej historyę od Ezechiela począwszy aż do Heroda Wielkiego włącznie. Opowiadanie dość rozwlekłe nie przynosi zbyt wiele nowych szczegółów, a w dodatku interpretując Ezechiela w sensie zbyt realnym i materyalnym, dochodzi do tak dziwnych rozmiarów tej świątyni, iż szerokość jej przedstawia się dwa razy większa, niż jej długość. A ponieważ, jak to sam autor zaznacza, świątynia Salomona była w podobny sposób budowaną, więc i do niej autor te same rozmiary odnosi. Oczywiście na to trudno się zgodzić. Niemały uszczerbek przynosi dziełu i to, że autor całkiem zaniedbał dokumenty, jakich w tej sprawie Józef i Miszna dostarczają. Sam tytuł książki »druga świątynia Jerozolimska« może niejednego wprowadzić w błąd, nasuwając myśl o świątyni Zorobabela.

5. Temat, który już w r. 1900 obrobił Mommert p. t. »Die hl. Grabkirche zu Jerusalem« (Leipzig 1898) i »Golgota u. das hl. Grab zu Jerusalem« (Leipzig 1900), podjął na nowo C. Wilson i opracował w szeregu artykułów w *Quarterly Statement of the Palestina Exploration Fund* (1902—1904) pod tytułem »Golgota and the Holy Sepulcre«. Po śmierci autora wydał te artykuły jako książkę C. M. Watson w Londynie 1906. Oto jej treść: autor zastanawia się nasamprzód nad etymologią słowa »Golgotha«, a na pytanie, czy i w starożytności istniało osobne miejsce tracenia skazańców, odpowiada, że o tem nic nie wiemy. Następnie podaje pokrótce i nie zawsze zgodnie z prawdą niektóre wiadomości topograficzne o położeniu Golgoty według Pisma św., jako też i innych miejsc, mających styczność z męką Chrystusa Pana. Potem rozbiera argumenta za i przeciw autentyczności św. Grobu i dochodzi do dość sceptycznego wniosku, pod który chyba niewielu się podpisze. Nakoniec Wilson zastanawia się nad rozmieszczeniem murów starej Jerozolimy.

6. Wspomnieć tu można jeszcze o książce A. Heisenberga »Grabeskirche und Apostelkirche« (Leipzig 1908), w której pod względem archeologicznym i artystycznym porównywa kościół Grobu św. w Jerozolimie z kościołem Apostołów w Konstantynopolu.

7. Miejsce śmierci i grobu Najśw. Panny dało również pochop do nader żywej wymiany zdań. Rozpoczął tę walkę Gabrielowich (recte Poulin) r. 1896 swą książką: »Panaghia—Capouli« (Paris 1896),

do której roku następnego dodał inną: »Ephèse ou Jérusalem« (Paris 1897). Za miejsce grobu Maryi uważa autor Panaghia Capouli, wioskę w górzystej okolicy Efezu. Temu bardzo energicznie przeczy Meistermann w dziełku: »Le tombeau de la Sante Vierge à Jérusalem« (1903). Oczywiście Gabrielowich-Poulin wydał w odpowiedzi nowe dzieło: »Le tombeau de la Sainte Vierge à Ephèse« (Paris 1905). Na jakiś czas walka przycichła, aż w r. 1910 J. Marta, kanonik jerozolimski, uważał za stosowne znowu zabrać słowo w tej sprawie książeczką: »Ni Ephèse, ni Panaghia—Capouli mais Jérusalem, étude critique et historique«. Zawyrokował on, że Matka Boska nigdy w Efezie nie była, że odnośny tekst Soboru efeskiego nie sprzyja poglądowi Poulin'a, że natomiast tak chrześcijańskie, jak i mahometańskie podanie naznacza Jerozolimę, jako miejsce śmierci i grobu Najśw. Panny. Nie mógł milczeć Gabrielowich i swoim sposobem odpowiedział r. 1910: »Ni Sion ni Getsemani! Adieu Jérusalem«. Tak »uczenie« prowadzona polemika kwestyi oczywiście nie rozwiąże. — Z okazyi poświęcenia pięknej bazyliki t. zw. Zaśnięcia N. M. P. wydali OO. Benedyktyni pismo pamiątkowe: »Das Heiligtum Mariä-Heimgang auf dem Berge Sion« (Prag 1910), w którem jednak drażliwej kwestyi historycznej wcale nie poruszają.

8. Tym samym OO. Benedyktynom zawdzięczamy piękną panoramę dzisiejszej Jerozolimy: »Jerusalem, die hl. Stadt und Umgebung«. Może ona wielkie oddać przysługi przy studyum dzisiejszego św. miasta, a swem wykonaniem artystycznem przynosi prawdziwy zaszczyt wydawcom i stanowi niemałą rozkosz dla wszystkich badaczów topografii jerozolimskiej.

Uwaga. O dziełach odnoszących się do Palestyny zachodniej (przedjordańskiej) będzie mowa przy innej sposobności.

Ks. Wł. Szczepański.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1910.

Kraków. Akademia Umiejętności. — Tow. filozoficzne. — Tow. miłośników historyi i zabytków m. Krakowa. — Tow. numizmatyczne. — Koło konserwatorów dla Galicyi zachodniej. — Tow. opieki nad zabytkami sztuki. — Tow. Tatrzańskie. — Polska Sztuka stosowana. — Tow. prawniczo-ekonom. — Tow. pielęgnowania nauk społecznych. — Tow. lekarskie. — Tow. stomatologów polskich. — Krak. tow. techniczne. — Koło artystyczno-literackie. — Klub słowiański.

Lwów. Tow. popierania nauki polskiej. — Polskie towarzystwo filozoficzne. — Tow. przyrodników polskich imienia Kopernika. — Tow. ludoznawcze. — Tow. historyczne. — Tow. heraldyczne. — Tow. miłośników historyi m. Lwowa. — Koło konserwatorów dla Galicyi wschodniej. — Tow. literackie im. Mickiewicza. — Tow. filologiczne. — Tow. nauczycieli szkół wyższych. — Polskie tow. pedagogiczne. — Tow. pedagogiczne. — Związek rodzicielski. — Tow. prawnicze. — Tow. lekarzy galicyjskich. — Tow. hygieniczne. — Tow. weterynarskie. — Tow. politechniczne. — Związek naukowo-literacki. — Koło literacko-artystyczne. — Klub społeczno-naukowy. — Koło dramatyczne. — Koło muzyczne. — Klub polsko-węgierski. — Czytelnia katolicka. — Powszechne wykłady uniwersyteckie.

Prowincya: Stanisławów. — Przemyśl.

Królestwo Polskie: Warszawa. Kasa pomocy im. d-ra J. Mianowskiego. — Tow. naukowe. — Polskie tow. psychologiczne. — Tow. kultury polskiej. — Tow. miłośników zabytków Warszawy. — Tow. krajoznawcze. — Stow. nauczycielstwa polskiego. — Polskie tow. badań nad dziećmi. — Tow. prawnicze. — Tow. lekarskie. — Tow. hygieniczne. — Tow. odontologiczne. — Polskie tow. okulistyczne. — Stowarzyszenie techników.

Prowincya: Tow. lekarskie w Łodzi, Radomiu i Kielcach.

Wilno: Tow. Przyj. Nauk. — Kijów: Ogniwo. — Polskie towarzystwo lekarskie.

Zabór pruski: Tow. przyjaciół nauk poznańskie. — Tow. naukowe toruńskie.

Śląsk austryacki: Polskie tow. ludoznawcze. — Beskid. — Śląskie tow. pedagogiczne w Cieszynie

Petersburg. Związek polskich lekarzy i przyrodników[1].

»Nieodzownym warunkiem rozwoju kulturalnego społeczeństwa jest pielęgnowanie nauki. Ona, wznosząc się ponad zmienną falę wy-

[1] Za łaskawe użyczenie mi sprawozdań, które drukiem nie ukażą się, uważam za obowiązek złożyć podziękowanie pp.: prof. dr. St. Ciechanowskiemu, prof. dr. St. Krzyżanowskiemu, dr. K. Kaczmarczykowi i dr. K. Marowskiemu w Krakowie, redaktorowi Z. Wasilewskiemu, dr. Wł. Kozickiemu i E. Walterowi we Lwowie, ks. St. Kujotowi w Grzybnie, dr. E. Farnikowi w Cieszynie; wreszcie prof. dr. J. Ziemackiemu w Petersburga. Egzemplarze drukowane sprawozdań oddałem Bibliotece Ossolińskich we Lwowie.

padków dziejowych, przyświeca tym, którzy służą szczytnym ideałom geniuszu i prowadzą ludzkość ku wyżynom cywilizacyi«.

Temi słowy Józef hr. Potocki otworzył *sui generis* święto nauki, jakie obchodziła Warszawa.

W dobie ogólnego rozgromu ciężki żywot wiodła w latach ostatnich nauka polska. W ciągu ostatnich lat 20-tu spadały na nas klęski po klęskach. W Warszawie wymarli lub ustąpili najdzielniejsi profesorowie Polacy. Jedna za drugą padały szkoły: Brodowskiego, Chałubińskiego, Hoyera, Pawińskiego i innych, szkoły, w których »wszczepiano nam miłość dla kultury i wiedzy naszej«, w których uczono »czem w życiu walczyć, od czego chronić się należy«.

Czyliż tedy na skutki takiego stanu rzeczy potrzeba było czekać długo? Wszak na gruzach i rumowiskach chwast prędzej porośnie od zdrowego nasienia! Upadek poczucia naukowości odbił się fatalnie na obniżeniu poziomu naszego społeczeństwa. »Dyletantyzm, pewność siebie, nieuznawanie zasług niczyich, utrata pojęcia ładu społecznego, wreszcie materyalizm są dziś tak wielkie, że ze strachem w przyszłość spoglądać należy. Lecz nie mogło być inaczej, skoro zabrakło: powag, stróżów prawdy, obrońców ideałów, karcicieli fałszu«.

Wszelako w społeczeństwie, w którem tradycye Tow. Przyjaciół Nauk są żywe, taki stan rzeczy długo ostać się nie może. Założone przed laty trzema *Tow. naukowe* wydało już plon obfity. Przedewszystkiem skupiło u swego ogniska kilkudziesięciu ludzi, oddających się pracy naukowej. Nie poruszając szczegółów, nadmienić wypada, że działalność wydawnicza poszczycić się może już obecnie 200 ogłoszonemi rozprawami i komunikatami oraz kilku większemi dziełami.

Fundament jednakowoż pod gmach łączności nauki ze społeczeństwem położył świeżo Józef hr. Potocki, ofiarowując *Tow. naukowemu* okazały, czteropiętrowy gmach, w którym pomieszczą się zbiory, biblioteka, laboratoryum i instytut nauk doświadczalnych.

Drugim sukcesem jest zainicyowanie daru narodowego dla lwowskiego *Tow. popierania nauki polskiej,* z okazyi 10-ciolecia działalności tej instytucyi. Dar taki tem więcej jest wskazany, że nasze stowarzyszenia naukowe rozporządzają przeważnie bardzo szczupłymi dochodami, tak, iż można mieć wątpliwości, czy suma wydatku rocznego, jaki wszystkie nasze instytucye naukowe razem wzięte przeznaczyć mogą na cele nauki polskiej, dochodzi do wysokości pół miliona koron.

* * *

Kraków.

Wszystkim naszym instytucyom naukowym przodowała czcigodna *Akademia Umiejętności*, jakkolwiek zasoby jej materyalne nie dorównywały środkom żadnej z akademii europejskich. Z tem większem zadowoleniem należy zatem powitać zmianę na lepsze, dającą się zauważyć w r. ub., gdyż dochody z rozsprzedaży wydawnictw i z tytułu odsetek interkalarnych rosną stale i stanowią już dzisiaj poważną kwotę w budżecie. Stałem dążeniem jest powiększenie, o ile możności jak najprędsze, funduszu żelaznego, skoro zapisy prywatne na ten cel są aż nadto nikłe, tak, iż w roku ubiegłym otrzymano tylko 1000 rb. z zapisu ś. p. Wilczkowskiego. Natomiast ofiary na cele specyalne mnożą się statecznie. W r. ub. otrzymano następujące: od senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego 10.000 kor. na pomnożenie funduszu »Encyklopedyi polskiej«, od ks. Eug. Lubomirskiego 40.000 kor. na wykłady z zakresu litewszczyzny w Uniwersytecie Jagiellońskim oraz na ten sam cel od ks. M. Lubomirskiej 30.000 kor., wreszcie od ś. p. d-ra Wł. Kretkowskiego na wykłady z zakresu matematyki czystej 400.000 k.

Z wydawnictw, niezależnych od poszczególnych wydziałów, ukazała się »Chemia organiczna« prof. d-ra L. Marchlewskiego; rękopis zaś II-go tomu »Anatomii człowieka« prof. d-ra A. Bochenka jest na ukończeniu. Staraniem »Komitetu dla dziejów Polski porozbiorowych« ukazał się »Dyaryusza sejmu z r. 1830—1831«, wydawanego przez prof. d-ra M. Rostworowskiego tom V; tom VI w druku. Rozpoczęto również druk »Instrukcyi dla rezydentów francuskich i tychże raportów z epoki Ks. Warszawskiego«, wydawanych przez d-ra M. Handelsmana. Podjęto wreszcie przygotowanie do dwóch publikacyi: »Dziennika i korespondencyi politycznej ks. Adama Czartoryskiego (1813—1816)«, tudzież »Aktów dotyczących wypadków r. 1861—1863 z szczególnem uwzględnieniem działalności margr. Wielopolskiego«, obu powierzonych prof. d-rowi Sz. Askenazemu. Rozpoczęto również druk »Encyklopedyi polskiej«, mającej w dwudziestu kilku tomach objąć całość kultury polskiej w jej rozwoju historycznym. Druk rozpoczął się od działu »Geografii fizycznej«, następnie ma być zaczęty druk »Antropologii ludności na ziemiach polskich zamieszkałej« oraz »Początków kultury słowiańskiej«. Niemal zupełnie przygotowany do druku jest dział »Języka«, mający zapełnić dwa tomy. Poza tem na ręce Komitetu napłynął już cały szereg prac gotowych z zakresu różnych działów kultury polskiej. Wydaw-

nictwo »Greckich Ojców Kościoła IV wieku« posuwa się stale naprzód. Kolacye rękopiśmienne do pism prozaicznych św. Grzegorza z Nazyanzu wraz ze scholiami kontynuowali d-rowie Przychocki i Sajdak. Materyał do poezyi św. Grzegorza zebrał i opracował prof. dr. L. Sternbach, tak, że druk pierwszego tomu będzie można rozpocząć w czasie najbliższym. Tyle co się tyczy prac pozawydziałowych.

Wydział filologiczny wydał w roku ubiegłym seryi III tom 2 i 3 »Rozpraw« oraz zeszyt 2-gi tomu XX seryi II, monografię prof. d-ra J. Tretiaka p. n. »Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego«, przygotował do druku pracę d-ra Z. Jachimeckiego »Wpływy włoskie w muzyce polskiej XVI w.« i p. E. Kołodziejczyka »Bibliografia słowiańsko-polska«. Na posiedzeniach przedstawiono między innemi następujące prace: prof. d-ra Brücknera »Z dziejów języka polskiego serya I—II«, prof. d-ra L. Sternbacha »Studia Homerica« oraz »Źródła rękopiśmienne do edycyi pieśni św. Grzegorza z Nazyanzu«, prof. d-ra P. Bieńkowskiego »O jednym z rzymskich pierwowzorów adoracyi Magów«, prof. d-ra W. Demetrykiewicza »Figury kamienne t. zw. »bab« w Azyi i Europie i stosunek ich do mitologii słowiańskiej«, prof. d-ra J. Mycielskiego »Kościół San Stanislao dei Polacchi i początki twórczości malarzy polskich w Rzymie«, d-ra Z. Jachimeckiego »Zabytki muzyki polskiej w cesarskiej Bibliotece publicznej w Petersburgu«, A. Chybińskiego »Jacek Różycki, polski kompozytor religijny z XVI wieku, jako twórca hymnów i motetów« oraz »Tabulatura Jana z Lublina cz. II«, prof. J. Tretiaka »Bohdan Zaleski i jego poezya na tle współczesnej epoki«, prof. d-ra St. Dobrzyckiego »Psałterz Kochanowskiego: jego powstanie, źródła i wzory«, L. Janowskiego »Uniwersytet charkowski«, prof. d-ra M. Zdziechowskiego »Pesymizm a chrześcijaństwo cz. III«, prof. d-ra T. Grabowskiego »Humanizm w katolickiej literaturze religijnej w Polsce w pierwszej połowie XVI w.« oraz »Krytyka literacka polska po r. 1850«.

Komisya do badania historyi sztuki w Polsce zgromadziła materyał do dwóch wielkich monografii Podhorzec i Zamościa, którego opracowaniem zajęli się pp.: A. Szyszko-Bohusz, Krause, Saski i Trojanowski. Do historyi architektury naszej odnoszą się również badania prof. Tarczałowicza nad murowanemi cerkwiami ruskiemi i nad drewnianymi kościołami w Polsce, oraz p. F. Kleina nad kościołami barokowymi Krakowa i prof. J. Mycielskiego nad zabytkami

w Krasnem, gnieździe rodzinnem Krasińskich. Do historyi malarstwa w Polsce odnoszą się badania ostatniego nad portretami Zygmunta III i Anny Jagiellonki w galeryi zamku Schleissheim, w Muz. Narodowem w Monachium. Przyczynkiem do historyi rzeźby jest przedłożony przez prof. Sokołowskiego jedyny znany autentyczny rysunek Wita Stworza, przedstawiający kompozycyę ołtarza N. P. Maryi w Bambergu w r. 1523. W dziedzinie badań nad przemysłem artystycznym wymienić należy komunikat poprzedniego o ceramice i szkłach weneckich w Polsce, oraz materyały do poznania strojów polskich z XVI wieku.

Komisya językowa rozpoczęła druk V-go tomu »Materyałów i prac« i ukończyła druk ostatniego tomu »Słownika gwar polskich« ś. p. J. Karłowicza. Subwencyonowanego przez Komisyę »Rocznika slawistycznego« wyszedł tom III. Materyał do »Słownika staropolskiego« wzrasta nieustannie, a praca posuwa się w szybszem tempie, co jest walną zasługą prof. J. Łosia.

Z »Biblioteki pisarzy polskich« ukazały się: »Katechizm z roku 1543« w opracowaniu p. F. Pułaskiego, »Pisma Dzwonkowskiego« i »Walna wyprawa mistrzów na wojnę«, wydane przez p. Badeckiego, »Pieśń Joachima Bielskiego na porażkę pod Byczyną« oraz »Odpowiedź« na nią Paprockiego, przygotowane przez p. J. Czubka. Ukończono też druk »Obiadu postnego« z XVII wieku, który wydaje prof. dr. Rostafiński. W tece znajduje się kilka przygotowanych do druku wydawnictw, oraz kopiują się z rękopisów »Pamiętniki Janczara« w celu nowego krytycznego ich wydania.

Komisya literacka ogłosiła tomy XI i XII »Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce«, obecnie zaś kończy druk t. XIII i rozpoczęła tom XIV, w którym ma wyjść dyaryusz ks. Stanisława Reszki. Przyjęto do publikacyi Wojciecha z Kalisza »Schola levartoviana« w opracowaniu d-ra St. Kota i opracowany przez ks. G. Kowalskiego O. Cist. »Katalog inkunabułów opactwa Mogilskiego i Szczyrzyckiego«. Ukończono druk t. I »Archiwum Filomatów« w wydaniu prof. Tretiaka, druk t. II w opracowaniu prof. Czubka jest na ukończeniu, tak, że całość będzie prawdopodobnie gotowa w ciągu 1912 r. Trzechsetną rocznicę śmierci Skargi i stulecie urodzin Krasińskiego postanowiono upamiętnić opracowaniem szczegółów bibliografii obu pisarzy. Prof. Czubek skatalogował prywatne archiwum rodowe Morstinów w Krakowie, nieznane dotychczas a mieszczące cenne zabytki historyczne. Katalog tego zbioru jest już w druku.

»Bibliografii polskiej« Estreichera będzie mógł ukazać się w r. b. tom XXIV.

Wydział historyczno-filozoficzny nowego tomu »Rozpraw« nie wydał w r. ubiegłym. Natomiast jako publikacye osobne ogłosił: prof. d-ra Talko-Hryncewicza »Materyały do etnologii i antropologii ludów Azyi środkowej: Mongołowie, Buryaci i Tunguzi«, d-ra A. Żółtowskiego »Metoda Hegla i zasady filozofii spekulatywnej« oraz prof. K. Morawskiego »M. Tullius Cicero, życie i dzieła«. Pod prasą znajdują się: hr. St. Tarnowskiego 2 tomowa monografia o Zygmuncie Krasińskim, prof. T. Korzona 3-tomowa »Historya wojen«, d-ra A. Krzyżanowskiego »Pieniądz« i p. M. Skibińskiego 2-tomowa »Polska w dobie wojen śląskich (1740—1745)«. Z funduszu im. W. Osławskiego wydano pracę prof. d-ra St. Strońskiego »Le troubadour Folquet de Marseille«, z funduszu zaś ś. p. N. Bucewicza następujące dzieła: prof. d-ra L. Finkla »Elekcya Zygmunta I. Sprawy dynastyi Jagiellońskiej i unii polsko-litewskiej«, d-ra A. Wrzoska tom drugi monografii o Jędrzeju Śniadeckim, St. Szpotańskiego »Maurycy Mochnacki« oraz prof. d-ra Wł. Tokarza »Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 r.« Plony wprost nadspodziewane!...

Z prac przedstawionych na posiedzeniach, wymieniamy: prof. d-ra St. Zakrzewskiego »Studya nad starożytnościami polskiemi«, prof. d-ra B. Ulanowskiego »Unia Polski z Litwą w pierwszych latach Kazimierza Jagiellończyka«, p. M. Skibińskiego »Polityka Francyi i Prus a Rosyi i Anglii w stosunku do Polski w czasie sejmu grodzieńskiego 1744 r.«, d-ra K. M. Morawskiego »Archiwum rydzyńskie ks. Sułkowskich w poznańskiem T. P. Nauk«, prof. d-ra W. Czermaka »Studya nad genezą parlamentaryzmu litewskiego«, d-ra L. Boratyńskiego »Wiadomość o dawnem Hospicyum polskiem w Rzymie i jego archiwum«, ks. prof. d-ra Fijałka »Szkolnictwo kościelne w Polsce średniowiecznej«, prof. W. Tokarza »Zatarg o sprawę reformy Akademii krakowskiej w latach 1777—1782«, St. Zachorowskiego »Sądy synodalne w Polsce«, prof. d-ra St. Kutrzeby »Studya nad źródłami prawa polskiego«, d-ra Z. Balickiego »Społeczna psychologia poznania«.

Komisya historyczna wydała d-ra E. Barwińskiego »Dyaryusze i akty sejmowe 1591—1592«, oraz tom XI »Archiwum kom. hist.« Wydrukowano też już znaczną część »Aktów rządu narodowego z czasów powstania Kościuszki« i ropoczęto druk V tomu »Kodeksu dy-

plomatycznego Małopolskiego« pod red. prof. Fr. Bujaka. W przygotowawczem stadyum znajdują się: »Akta króla Aleksandra« (dr. Fr. Papée), »Lauda krakowskie« (prof. Kutrzeba), »Korespondencya panów polskich z czasów Zygmunta Starego i Zygm. Augusta« (dr. Bąkowski) oraz nowe wydanie krytyczne »Roczników« polskich średniowiecznych (dr. Wł. Semkowicz). W t. zw. »Ekspedycyi Rzymskiej« pracowali pp.: prof. dr. J. Ptaśnik, dr. C. Nanke i prof. dr. Wł. Abraham tak, że ukończono druk tomów II—III »Monumenta Vaticana Poloniae«. Dalszą pracę prowadzi dr. St. Kętrzyński. Poza tem czynny był w Rzymie dr. M. Loret, który prowadził dalsze poszukiwania do dziejów Kościoła katolickiego w zaborze rosyjskim w latach 1772—1840 i uzupełniał materyał nuncyatury Garampiego z lat 1772—1776.

Komisya prawnicza ukończyła druk »Materyałów do dziejów robocizny w Polsce w XVI wieku« prof. St. Kutrzeby; dla wydawnictwa »Źródeł prawa niemieckiego w Polsce« czynił w dalszym ciągu poszukiwania archiwalne w Wrocławiu, Poznaniu, Gdańsku i Elblągu prof. dr. St. Estreicher; do wydawnictwa »Pism rokoszowych« czynią się poszukiwania w bibliotekach szwedzkich, wreszcie zbierano materyały do następnych tomów »Starodawnych prawa polskiego pomników«.

Wydział matematyczno-przyrodniczy wydał 2 tomy »Rozpraw« i rozpatrzył na swych posiedzeniach 110 prac, z którejto liczby ogłosił 105. *Komisya fizyograficzna* wydała 44-ty tom »Sprawozdań«, tudzież 25-ty zeszyt »Atlasu geologicznego Galicyi«, oddała zaś pod prasę dwa zeszyty, tak, że do ukończenia wydawnictwa brak tylko dwu zeszytów. Sekcya *meteorologiczna* otrzymywała zapiski z 17 własnych stacyi i 10 stacyi Tow. Tatrzańskiego. Muzeum komisyi powiększyło się w r. ub. znakomicie. Również nie ustawały prace nad konserwacyą zbiorów. *Komisya antropologiczna* rozpatrywała następujące prace: prof. d-ra J. Talko-Hryncewicza »Przyczynki do antropologii Król. Polskiego« oraz »Sprawozdanie z badań nad ludnością polską Beskidów zachodnich pod względem antropologicznym«, d-ra Fr. Chłapowskiego »O ciekawych okazach z zakresu teratologii na ziemiach polskich i sąsiednich«, p. M. Wawrzeckiego »Kurhany południowych okolic Król. Polskiego i ich znaczenie w naszej archeologii przedhistorycznej«, wreszcie sprawozdania z badań prof. Demetrykiewicza i p. B. Czapkiewicza. W dziale etnograficznym p. S. Udziela poczynił dalsze badania w celu ozna-

czenia siedzib górali polskich i opisania ich strojów. Do druku otrzymano prace: p. Wawrzeckiego »Piesek« zakończenie żelazne dyszlów u wozów w okolicach Krakowa«, p. G. Smólskiego »Przysłowia polskich górali tatrzańskich i beskidowych« oraz p. St. Cerchy »Kleparz«. Druk XII tomu »Materyałów antr.-archeol.« jest na ukończeniu. *Komisya bibliografii nauk matemat.-przyrodn.* wydała dwa zeszyty »Katalogu literatury naukowej polskiej«. *Komisya lekarska* znajdowała się dopiero w toku organizacyi.

Biblioteka Akademii liczy obecnie 42.050 dzieł prócz zbiorów Walewskiego i ks. Lubomirskiego, które liczą 12.944 dzieł. W r. ub. otrzymała od 280 ofiarodawców 322 dzieł w 360 tomach. Z czytelni korzystało 319 osób, na których użytek wydano na miejscu 1706 dzieł, na zewnątrz wypożyczono 101 osobom dzieł 495 w 1030 tomach i rękopisów 23. Zbiór rękopisów liczy obecnie 1803 numerów i depozyty w liczbie 22 numerów.

Stacya naukowa w Paryżu rozwijała się pomyślnie dzięki powiększeniu lokalu bibliotecznego, gdyż w porównaniu z r. 1908 liczba czytelników podniosła się z 2851 na 5356. Inwentarz zbiorów podwyższył się w r. ub. o 304 pozycye, pochodzące przeważnie z darów. Oprócz tego otrzymywała czytelnia darmo tylko za zwrotem kosztów przesyłki 65 pism peryodycznych. Z pośród licznych odczytów wymieniamy następujące: prof. dr. K. Twardowski »Jan Śniadecki i August Comte«, dr. N. Pajzderski »Z dziejów architektury w Polsce«, dr. J. Pagaczewski »Dawne jasełka krakowskie«, dr. A. Skałkowski »Polacy w Egipcie«, dr. R. Nitsch »Zadania społeczne hygieny«, dr. J. Kleiner »Główne problemy ideowe Krasińskiego«, dr. M. Handelsman »Rządy Napoleońskie w Polsce«, dr. O. Górka »Sprawa św. Stanisława«, dr. M. Szarota »Sprawa polska w roku 1846«, prof. dr. Fr. Bujak »Karol Potkański jako historyk i jako człowiek«, wreszcie dr. F. Rogoziński »O zjawiskach życia i śmierci«.

Tegoroczne nagrody konkursowe otrzymali: z fundacyi Barczewskiego 2.250 kor. prof. dr. J. Bołoz Antoniewicz za studyum p. n. »Grottger« i p. Wł. Tetmajer; z fundacyi Włodz. Spasowicza p. H. Struwe za »Historyę logiki jako teoryi poznania w Polsce« 1.500 kor. i tyleż prof. dr. J. Tretiak za monografię o Bohdanie Zaleskim. Nagrodę z fundacyi im. Mikołaja Reja 4.100 kor. oraz medal złoty Henryk Sienkiewicz za całą działalność literacką; nagrodę d-ra J. Warschauera 2000 kor. prof. dr. L. Popielski

za pracę z zakresu fizyologii i patologii; wreszcie z fundacyi Simona prof. dr. W. Sierpiński za ogół prac z matematyki czystej, ogłoszonych w dwu latach ostatnich kor. 900.

O ile więcej zdziałała Akademia Umiej. w r. ub.? — to nie mieści się już w ramy niniejszego, ograniczonego rozmiarami przeglądu. Można wszelako z czystem sumieniem przytaknąć czcigodnemu prof. Ulanowskiemu, że »ilekroć zjawia się grono chętnych i uzdolnionych do pracy badaczów, Akademia z największą gorliwością śledzi ich usiłowania i pomaga im do zorganizowania się dla tem lepszego prowadzenia badań. Na tej drodze kroczyć należy do postępu«.

* * *

Jakkolwiek dopiero drugi rok upłynął działalności krakowskiego *Tow. Filozoficznego*, a już może się ono wykazać poważnym dorobkiem naukowym, w stosunku zaś do roku pierwszego jeszcze silniejszym rozwojem. Wzrosła bowiem znacznie liczba odczytów i ilość członków, ukazały się też pierwsze wydawnictwa Tow. W. r. ub. podjęto wielki cykl wykładów publicznych pod wspólnym tytułem »Polska filozofia narodowa«. Z tych wykładów, zapowiedzianych w liczbie 15 odbyły się następujące: dr. S. Garski »Zagadnienie polskiej filozofii narodowej«, prof. dr. M. Straszewski »Józef-Marya Hoene-Wroński«, »Józef Gołuchowski« i »A. Mickiewicz«, prof. dr. Zdziechowski »Andrzej Towiański«, dr. I. Halpern »Jan Śniadecki«. Odczyty te i dalsze z tegoż cyklu mają wyjść w postaci książki zbiorowej, tworzącej podręcznik dla inteligencyi o głównych postaciach filozofów polskich w pierwszym okresie epoki porozbiorowej. Niemniej ważnym był drugi dział odczytów, mianych w gronie członków Tow. w liczbie 12. Z pomiędzy nich wymienimy: prof. d-ra F. Grabowskiego »O filozofii Słowackiego«, d-ra L. Chwistka »O sądach analitycznych i syntetycznych«, prof. d-ra Wł. Heinricha »O filozofii Bergsona uwag kilka«, d-ra M. W. Gieleckiego »Kongres psychologiczny w Genewie«, d-ra F. Młynarskiego »Geneza logiczna idei paralelizmu psychofizycznego«, d-ra F. Znanieckiego »Dualizm podmiotu i przedmiotu w świetle zagadnienia wartości«, ks. prof. d-ra F. Gabryla »Stosunek logiki do psychologii« i d-ra Gieleckiego »Początki filozofii w Indyach«. Dwa pierwsze tomy wydawnictw własnych mieszczą: d-ra Grabowskiego »O filozofii Słowackiego« oraz część rozpraw pod wspólnym tytułem »W poszukiwaniu prawdy«.

Członków liczyło Tow. 71. Dochody wynosiły 745 kor.; wydatki 487 kor. Rachunki wszelako zamknięto długiem za druk wydawnictw w wysokości 877 kor. 50 hal.

* * *

Wśród czynności *Tow. miłośników historyi i zabytków Krakowa* najważniejszą była sprawa restauracyi Ogrojca przy kościele św. Barbary. Część placu Maryackiego między kościołem N. P. Maryi i św. Barbary cieszy się ustaloną sławą najpiękniejszego może zakątka. Punkt ten malowany był i rysowany niejednokrotnie przez naszych artystów. Klejnotem zaś jego, jakby streszczeniem jego poetyckiego nastroju, jest kapliczka gotycka, zwana Ogrojcem. Nieregularnej, fantastycznej budowie ciosowej, lekkiej i nastrzępionej ornamentacyą rzeźbową, groziło zniszczenie, spowodowane niefortunnemi przeróbkami i dodatkami czasów późniejszych. Według projektu i pod kierownictwem p. Zyg. Hendla przeprowadzono restauracyę znakomicie, gdyż kapliczka wygląda obecnie prześlicznie, a restauracya uwydatniła jej piękność i utrwaliła technicznie. Połowę kosztów poniosło Grono c. k. konserwatorów dla Galicyi Zachodniej. Odnowiono również barbakan pod katedrą wawelską, z wyjątkiem bramy wjezdnej. Z publikacyi wydano tom 14-ty *Rocznika krakowskiego*, obejmujący pracę prof. d-ra St. Kutrzeby i d-ra J. Ptaśnika p. t. »Dzieje handlu i kupiectwa krakowskiego«, ku uświetnieniu pięćsetletniego jubileuszu Kongregacyi kupieckiej, która ofiarowała na cel tego wydawnictwa 2500 koron. W *Bibliotece krakowskiej* ukazał się nr. 42: dr. K. Bąkowski »Kronika krakowska z lat 1796—1848, część III« i nr. 43 »Dziennik zdarzań w mieście Krakowie w czasie Konfederacyi Barskiej« pisany przez W. Mączyńskiego, kupca i obywatela krakowskiego. Na zakończenie znajduje się druk *Rocznika XIII*, poświęconego przeważnie kwestyom z XIV i XV w. Zapowiedziana w r. ub. monografia francuska o Krakowie pojawiła się już w wydawnictwie *Les villes d'art célèbres* i wyszła z pod pióra p. M. A. de Bovet. Książka ta, ozdobiona 118 ilustracyami zabytków krakowskich, dostarczonemi przez Tow, spotkała się z życzliwą oceną prasy, jakkolwiek wkradło się do niej wiele błędów, zwłaszcza w odczytywaniu nazwisk, wypływających z nieznajomości naszych stosunków. Starania o angielskie wydanie były dotąd bezskuteczne. Natomiast wydano z pomocą subwencyi Ministerstwa robót publicznych album p. t. »Kraków«, obejmujące 15 plansz z fotografii, uzyskanych drogą konkursu. W rocznicę

Grunwaldzką otworzyło Tow. w lokalu Archiwum aktów dawnych m. Krakowa wystawę dawnych widoków krakowskich, głównie z lat 1800—1870. Wśród 199 widoków były rzeczy słabsze i lepsze, były dzieła: Gryglaszewskiego, Grottgera, Płonczyńskiego, Hadziewicza, Brodowskiego, Łuszczkiewicza, Piwarskiego, Cerchy, Eliasza i Talowskiego. Najbardziej w oczy wpadały obrazy olejne Michała Stachowicza i Teodora Stachowicza. Katalog wystawy opracował p. St. Cercha. Wobec tak wydatnych owoców pracy Tow. z ubolewaniem musimy podnieść, że liczba członków nie tylko nie podnosi się, ale nawet spada. Podczas gdy w r. 1907 było ich 673, w r. ub. ilość ta zmalała do 628. Na szczęście dopisała strona finansowa: dochody 14.802 kor. (w tem subwencye: rady miejskiej 1.200 kor., ministerstwa wyz. i ośw. 2.000, min. robót publ. 1.500, sejmu kraj. 1000 i Krak. Kasy oszczędności 500 kor., dochód z wydawnictw 1.351 kor., wkładki członków 4.759 kor.), rozchód zaś był mniejszy o 824 koron (w tem druk wydawnictw 3.589 kor. i honorarya autorskie 1.119 kor., tak, że saldo na r. b. wynosi 824 kor. Fundusz rezerwowy dosięgnął wysokości 3.820 kor. a fundusz źródeł historycznych 908 kor. Jakżeż biednie wygląda wobec tych rezultatów analogiczne stowarzyszenie lwowskie?... Bo o Tow. historycznem już nawet wspomnieć boję się...

* * *

Rozwój *Towarzystwa numizmatycznego* przejawia się najwidoczniej w stałym przyroście członków. Podczas gdy w r. 1909 ilość członków Tow. i prenumeratorów *Wiadomości* wynosiła 166, to potem, pomimo wykreślenia 8 i zgonu 3, przystąpiło nowych 42, tak, że obecnie liczy Tow. 197 członków i prenumeratorów. Co się tyczy funduszów możemy zaznaczyć ogólnie, że nadwyżka dochodów nad rozchodami jest znaczna. *Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne* wychodziły regularnie, a ilość materyału naukowego jest nawet za wielka w stosunku do rozmiarów miesięcznika. Z innych spraw najważniejszy był udział Tow. w międzynarodowym kongresie numizmatycznym w Brukseli i urządzenie na wystawie brukselskiej działu medalierstwa polskiego współczesnego. Zarząd wystawy przez ugrupowanie w jednem miejscu wszystkich prac artystów polskich urządził, chociaż nieoficyalnie, to przecież faktycznie, odrębną grupę polską. Udział w wystawie wzięło sześciu artystów, z których Wincenty Trojanowski otrzymał medal srebrny. W kongresie numizmatycznym wzięło Tow. udział przez wysłanie delegata d-ra Zygmunta Zakrzewskiego oraz przesłanie

dwóch większych referatów z zakresu numizmatyki oraz jednego komunikatu o zbiorach numizmatycznych lwowskich. Tow. zyskało zaszczytne wyróżnienie przez wybranie d-ra Zakrzewskiego przewodniczącym w drugim dniu kongresu.

* * *

Grono konserwatorów dla Galicyi zachodniej może pochlubić się rzetelnym sukcesem prac swoich, które były prowadzone w najrozmaitszych kierunkach. Z pomiędzy najważniejszych spraw, załatwionych na posiedzeniach miesięcznych wymienić wypada następujące: na podstawie referatu d-ra Stan. Tomkowicza sprzeciwiono się umieszczeniu panoramy grunwaldzkiej w barbakanie floryańskim, która to sprawa narobiła w swoim czasie tyle zbytecznego hałasu w prasie; p. Zygm. Hendel przedstawił swój projekt dobudowy dwu wież przy kościele ks. Misyonarzy na Stradomiu, dr. Tomkowicz przedstawił sprawę budynku probostwa św. Krzyża. Okazało się, że jest to budynek średniowieczny ze śladami strzelnic. Na interwencyę konserwatora odsłonięto dawną fasadę, co pociągnęło za sobą przekroczenie kosztorysu restauracyi. Uchwalono zatem przyczynić się kwotą 687 koron z funduszów *Grona* do pokrycia nadwyżki wydatków. Dr. Muczkowski przedłożył plany przebudowy kościoła w Rudawie. Wyczerpujące omówienie znalazł podniesiony przez c. k. Namiestnictwo we Lwowie sposób przeprowadzenia ogólnego spisu zabytków przeszłości w Galicyi. Spis ten ma ułatwić współdziałanie władz politycznych z konserwatorami w sprawie opieki nad zabytkami. We wspomnianej już sprawie dobudowy dwóch wież przy kościele ks. Misyonarzy w Krakowie na Stradomiu uchwalono poczynić starania o sporządzenie modelu oraz wybrano komisyę, która dobudowę rozpatrzy na miejscu i przedłoży *Gronu* odpowiednie wnioski na posiedzeniu najbliższem, co jednakowoż okazało się tylko *pium desiderium!* Sprawa przebudowy kościoła w Rudawie wywołała obszerną dyskusyę, w której wszyscy wyrazili zapatrywanie, że przez przebudowę tak malowniczo położony kościół straci zupełnie na piękności; jako rzecz właściwszą należy uznać budowę nowego kościoła. Dr. J. Muczkowski przedstawił plany przebudowy kościoła w Kalwaryi Zebrzydowskiej, sporządzone przez prof. Kovatsa i arch. Hendla. Ze względu, że kościół tamtejszy należy do najcenniejszych zabytków pierwszej połowy XVII wieku i pod względem architektury jest wzorowy, a zamierzona przebudowa nie usunie ścisku pątników, których najbardziej rozszerzony kościół pomieścić nie zdoła, uchwalono

wystąpić jak najenergiczniej przeciwko wszelkiej przebudowie, jako nieprowadzącej do celu. Wobec tego, że odrestaurowano najbardziej zagrożoną część zamku w Niepołomicach, dr. F. Kopera postawił wniosek o przedstawienie potrzeby odwodnienia budynku w ministerstwie rolnictwa. Architekt Mączyński przedstawił plany restauracyi kaplicy św. Doroty w kościele OO. Augustyanów w Krakowie. Kaplicy tej gotyckiej, zeszpeconej późniejszemi przeróbkami konwent obecnie przez wyburzenie nowszych murów przywraca pierwotną, bardzo piękną postać i wielkość. Sklepienie jej podpierają dwa cienkie słupy kamienne, które przy wznoszeniu przed kilkuset laty pierwszego piętra wzmocniono obmurowaniami. Przy usuwaniu obecnie tych szpetnych dodatków okazała się potrzeba wymienienia trzonów średniowiecznych kolumn wapiennych na granitowe z powodu zbyt znacznego dla całej budowy ich obciążenia. Dr. F. Kopera zawiadomił o poczynionych krokach w sprawie ochrony baszty pozostałej z dawnych murów obronnych w Tarnowie. Wreszcie na wniosek d-ra Tomkowicza uchwalono 300 kor. subwencyi na restauracyę fresku »Ukrzyżowanie«, pochodzącego z XV wieku, a znajdującego się w refektarzu gotyckim klasztoru OO. Dominikanów w Krakowie.

Pod względem finansowym uzyskało Grono konserwatorów 4000 k. z Wydziału krajowego na utrzymanie kancelaryi, z czego wydatkowano wszystko. Ponadto asygnował Wydział kraj. na ręce Grona 30.774 kor. w ciągu r. 1910 na restauracyę kościołów: św. Katarzyny w Krakowie, OO. Cystersów w Mogile, św. Floryana, św. Piotra w Krakowie, na basztę w Oświęcimiu i kościół św. Anny. Kwotę tę całą wydatkowano w r. ub. na wypłaty, związane z wymienionymi kościołami, rachunki zaś przesłano Wydziałowi krajowemu.

* * *

Pomimo wytężonej działalności Grona konserwatorów — ileż jeszcze zdołało przynieść pożytku *Towarzystwo opieki nad polskimi zabytkami sztuki i kultury?!* Wystarczy tylko wspomnieć o sprawie konserwacyi kościoła OO. Dominikanów w Tarnopolu, gdzie, dzięki interwencyi Towarzystwa wstrzymano szpecenie świątyni, w której bez kierunku fachowego siłami rzemieślniczemi odrestaurowano współczesne budowie kościoła freski Stanisława Stroińskiego i porobiono adaptacye wprost horrendalne. Niemniejszą zasługę stanowi poruszenie sprawy ratowania starych, drewnianych kościołów, tak rzadkich obecnie pomników architektury drewnianej, które niszczeją bądź z powodu braku

należytej opieki, bądź grozi im zburzenie i zastąpienie nowymi, murowanymi. Ponieważ osiągnięcie celu powyższego wymaga znaczniejszych funduszów, postanowiono postarać się o subwencyę rządową. Na konserwacyę kościołów: w Rabce, Zembrzycach, Paczółtowicach, Porębie Uszeckiej, Białce i Komorowicach nie przeznaczono nic na razie, natomiast wyasygnowano dr. Fr. Kleinowi 300 kor. tytułem subwencyi na zinwentaryzowanie sześciu kościołów drewnianych (z uwzględnieniem zabytków sztuki, znajdujących się w nich) i postanowiono rezultaty tej pracy wydać własnym nakładem w postaci monografii. Ponadto powierzono mu zbadanie sprawy projektowanego zburzenia kościoła drewnianego w Tomaszowie (gub. lubelska). Staraniem i kosztem Tow. adrestaurowano dwa portrety biskupów krakowskich z krużganków kościoła OO. Franciszkanów w Krakowie oraz udzielono 400 kor. konwentowi OO. Dominikanów na restauracyę fresku, przedstawiającego Ukrzyżowanie Chrystusa. Wreszcie uchwalono odrestaurować następujące obrazy: portret z XVII wieku króla Władysława Jagiełły w Wilnie, »Wskrzeszenie Piotrowina przez świętego Stanisława« w kościele OO. Franciszkanów w Krośnie oraz portret Stefana Batorego w klasztorze OO. Misyonarzy w Krakowie. Urządzono też wystawę obrazów mistrzów polskich i obcych, która dała 300 kor. czystego dochodu. Stan kasy: w dochodach 13.011 kor., w rozchodach 2.755 kor. Prof. Mycielski może być dumny z rezultatów uzyskanych przez Tow., gdyż ono jest jego dzieckiem umiłowanem.

* * *

Dla *Towarzystwa Tatrzańskiego* r. ub. był rokiem codziennej a żmudnej pracy. Najwięcej starań poświęcono wydaniu »Pamiętnika« za r. 1910, który bodaj czy nie jest najobszerniejszym ze wszystkich, jakie Tow. w ciągu całego swojego istnienia wydało. To też pociągnął on za sobą koszta duże, gdyż pochłonął sumę 3359 kor., tak, że jeden egzemplarz »Pamiętnika« kosztował Tow. 1 kor. 34 hal., t. j. przeszło 22% rocznej wkładki członków. Subwencyi naukowych udzielono w r. ub. dr. St. Minkiewiczowi w kwocie 100 kor. na badanie fauny jezior tatrzańskich i w tejże wysokości dr. L. Sawickiemu na dalsze pomiary głębokości i ciepłoty jezior. Zestawieniem obserwacyi meteorologicznych robionych kosztem Tow., zajmował się jak dawniej prof. L. Świerz. Biblioteka Tow., zawierająca liczne i cenne publikacye, odnoszące się do Tatr i Karpat, jak niemniej do całego nowoczesnego taternictwa i alpinistyki, cierpiała bardzo wskutek nieznośnie ciasnego po-

mieszczenia i nie mogła być tak dostępną członkom Tow., jakby na to zasługiwała w całej pełni. Dopiero po wynajęciu obszerniejszego lokalu można było pomyśleć o otwieraniu jej dwa razy w tygodniu. Zainicyowano też z końcem ub. r. posiedzenia miesięczne, na których mówili: dr L. Sawicki o badaniach jezior tatrzańskich, oraz prof. dr Wł. Szajnocha o wrażeniach turystycznych z ostatniej podróży po Szwecyi. Znaczna liczba uczestników, biorących żywy udział w dyskusyi, świadczy, że myśl urządzania takich zebrań z pogadankami treści taterniczej i krajoznawczej była żywotna. Z warszawskiem Tow. krajoznawczem nawiązano bliższe stosunki, których wynikiem jest ukonstytuowanie się w jego łonie osobnej sekcyi miłośników gór, której członkowie mają być także członkami Tow. Tatrzańskiego. Z śląskiem Tow. Beskid nawiązano również rokowania co do przystąpienia tegoż do Tow. Tatrz., co byłoby połączone z obustronną korzyścią. Oddziały Tow. w liczbie trzech, tj. pieniński, babiogórski i czarnohorski rozwijały się normalnie, ilość ich członków wzrastała, a działalność była coraz żywsza, pomimo szczupłych zasobów materyalnych, jakimi rozporządzały. Stan czynny majątku Tow. nie uległ żadnej donioślejszej zmianie, okazując tylko normalny przyrost we wszystkich funduszach. Fundusz żelazny wynosił tedy 3.800 kor., zapasowy 1.447 kor., wycieczkowy 87 kor., obligowy 1.124 kor. Dochody dały razem 26.330 kor. (w tem subwencye: sejmowa 2.000 kor., ministerstwa oświaty 500, m. Krakowa 500, m. Lwowa 200 i Izby handlowej krakowskiej 200 kor.), rozchody pochłonęły 22.164 kor. Członków liczyło Tow. 2.121. Przyrost ich tedy stateczny.

* * *

Z niewymowną przykrością przystępuję do pisania o Tow. *Polska Sztuka Stosowana*. Garstka ludzi dobrej woli, a wśród niej: pp. J. Warchałowski, J. Bukowski, Ekielski, Dąbrowa, Filipkiewicz, Noskowski, Mączyński, Mehoffer, Jerzy hr. Mycielski, Procajłowicz, L. baron Puszet, Trojanowski, Udziela i Uziębło, postanowiła zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego na styl rodzimy, którego pionierem bodaj czy nie był śp. Matlakowski. W rezultacie — Jej Król. Wys. Ludwika, siostra króla angielskiego Edwarda, zainteresowała się żywo wydawnictwami Tow. i przystąpiła do niego w charakterze członka. U nas wszelako w Polsce w księgarniach sprzedaż wydawnictw Tow. idzie bardzo słabo, o przyroście zaś członków lepiej zamilczeć!...

Skutkiem takich warunków bytu, Tow. nie zaznaczyło w r. ub. prawie niczem na zewnątrz swojej działalności. Utrzymywało nadal lokal i zbiory, z których korzystają obficie artyści i przemysłowcy, wydało zeszyt XIV *Sztuki Stosowanej*, udzieliło 200 kor. subwencyi Delegacyi architektów polskich na częściowe pokrycie kosztów konkursu na dworek na wystawę rzymską, oraz 200 kor. subwencyi wydawnictwu miesięcznika p. t. *Architekt.* Tow. liczyło 300 członków zwyczajnych, 22 założycieli i 2 honorowych. Obrót kasowy wynosił 8.834 kor. Pomimo stosunkowo dużego, jak na nasze stosunki obrotu, Tow. znajduje się niemal w krytycznem położeniu, a to z powodu niewypłacenia niektórych subwencyi i licznych zaległości wkładek członkowskich.

O ile więc na zewnątrz Tow. nie zaznaczyło wybitnie swojej działalności w roku ostatnim, o tyle dla znających stosunki jasnem jest, że P. S. S. jest ogniskiem, skupiającem artystów, pracujących na polu sztuki stosowanej i architektury, że większość akcyi artystyczno-kulturalnych w Krakowie da się z tego ogniska wyprowadzić, że dzięki właśnie jego istnieniu wyrabia się opinia, wyrabiają się w swoim zawodzie artyści, pracujący niezależnie od Tow., ale oglądający się na nie, jako na pewną siłę moralną oraz źródło ruchu intellektualnego i artystycznego.

Obecnie Tow. skupia siły i rozproszone żywioły celem wzięcia udziału w wystawie architektury i sztuki stosowanej, która odbędzie się w r. 1912 w Krakowie, z inicyatywy Delegacyi Architektów polskich. Wystawa ta ma być pierwszem wystąpieniem, zupełnie nowocześnie pojętem, bo urządzonem według wypracowanego z góry planu w specyalnych pawilonach w jednym z najbardziej uroczych zabytków Krakowa, przed parkiem im. Jordana, na prawo od Błoń.

* * *

Towarzystwo prawniczo-ekonomiczne wzmaga się z każdym rokiem we wszystkich pozycyach swojego dobytku. Najwymowniejsze są cyfry, więc nie zawadzi przytoczyć ich trochę. Z końcem r. 1909 było członków 125, przybyło w ciągu r. ub. 79, ubyło 26, zatem jest obecny stan 178. W rubryce dochodów, które osiągnęły wysokość 4.240 kor., wkładki dały 1.099 kor., subwencya ministerstwa ośw. 700 kor., prenumerata *Czasopisma* 1.396 kor. Wydatki wynosiły na honorarya autorskie 1.366 kor.. przyczem wszelako godzi się podnieść ofiarność Senatu Uniw. Jag., który wydrukował 30 arkuszy *Czaso-*

pisma bezpłatnie. Stan majątkowy, jako obecne *activum* bilansu kor. 2.754. Posiedzeń naukowych odbyło się 12. Z pomiędzy odczytów na nich wypowiedzianych wymieniamy: prof. dr. Fr. Zoll jun. »O tak zw. pozahipotecznych prawach«, prof. dr. J. Rosenblatt »O projekcie nowej ustawy karnej«, prof. dr. L. Jaworski »Reforma gminna w nauce a w polityce«, dr. J. Steinberg »Rozwój naszego ustawodawstwa o ubezpieczeniu społecznem«, dr. J. Reinhold »O środku zabezpieczającym przeciw niepoprawnym zbrodniarzom w projekcie austryackim«, prof. dr. A. Górski »Hipoteczne prawo włościańskie według najnowszych projektów austryackich«, dr. J. Steinberg »Reforma austryackiego prawa górniczego«, wreszcie dr. J. Serkowski »Organizacya publicznych instytucyi przymusowego wychowania zaniedbanej młodzieży«. Organ Tow. *Czasopismo prawnicze i ekonomiczne* wychodzi od lat 10-ciu, mając charakter ściśle teoretyczny. W r. ub. wydano dwa zeszyty. Analogiczny organ czeski, wychodzący od lat sześciu, *Časopis českých prawniku* w Pradze, sam zaznaczył, iż wzorował się na piśmie krakowskiem.

* * *

Że *Towarzystwo pielęgnowania nauk społecznych*, najniezasobniejsze w członków, których liczyło zaledwie 35, zdołało podtrzymać swoją egzystencyę, to stanowi zasługę niezaprzeczoną prof. d-ra L. Caro. Ale też przy tak małej ilości członków, która jak na »Wielki Kraków« była wprost kompromitująca, uzyskano przecież w obrocie kasowym 1.808 kor., podczas gdy majątek Tow. wynosił 589 kor. 60 hal. Fakt uwagi godny: stowarzyszenie urządzało odczyty o tematach z ust wprost nie schodzących, a zainteresowanie się nimi fachowców chociażby prawie żadne!... Wystarczy samo wymienienie tytułów: dr. Z. Daszyńska-Golińska »Współczesny rozwój ludności w świetle teoryi«, dr. K. Krzetuski »Utopie w literaturze polskiej«, prof. dr. Fr. Bujak »Szkolnictwo przemysłowe«, dr. J. Bek »Rozwój kooperatyw«, prof. dr. L. Caro »Sprawa naszych wychodźców i robotników sezonowych na konferencyi budapeszteńskiej«, dr. Wł. Gumplowicz »Nowoczesne wędrówki narodów«, Z. Heryng »Wiedza przyrodnicza a wiedza społeczna«, dr. A. Krzyżanowski »Podjęcie wypłat w gotówce« (Nowy statut Banku austro-węgierskiego), wreszcie. dr. K. Krzetuski »Kwestya mieszkaniowa w Krakowie«.

* * *

W historyi *Tow. lekarskiego krakowskiego* r. ub. nie zaznaczył się żadnymi większej doniosłości wypadkami, stwierdził jednak postęp w przyroście członków i zaznaczył siłę swoją żywotną w odczuwaniu najnowszych zdobyczy na polu wiedzy lekarskiej, czego dowodem były liczne odczyty i demonstracye, mające zawsze znaczenie aktualne. Posiedzeń naukowych odbyło się 20, na których wygłoszono 18 odczytów i dokonano 40 demonstracyi. Prof. dr. Browicz zakończył cykl odczytów o raku, rozpoczęty jeszcze w r. 1909. Z odczytów na czasie będących, wymieniam odczyty o cholerze, związane w pewną organiczną całość, traktujące etyologię, kliniczne spostrzeżenia i profilaktykę cholery, wreszcie demonstracye chorych kiłowych, leczonych preparatem Haty-Ehrlicha. Inne odczyty odbyły się z dziedziny: kliniki chorób wewnętrznych 3, fizyologii 1, ogólnej patologii 1, hygieny 3, okulistyki 2, dermatologii 1, dyatryi 1, dentystyki 1 i z nauk ogólno-przyrodniczych 1. Najwięcej demonstracyi odbyło się z zakresu chirurgii. Najwyższa liczba członków, biorąca udział w posiedzeniach naukowych, wynosiła 85, najniższa 25. *Przegląd lekarski*, jako organ Tow., notował skrzętnie objawy pracy i postępu na całym obszarze ziem polskich tak, że członkowie byli w tym względzie dostatecznie informowani. Poza tem brało Tow. czynny udział na zewnątrz przez delegatów swoich w pracach przygotowawczych do kongresu hygieny szkolnej w Paryżu; w ankiecie w sprawie wychowania fizycznego w Wiedniu; na międzynarodowym zjeździe ginekologów w Petersburgu prezesami honorowymi byli prof. Kader i Rosner, reprezentując tam medycynę polską; w zjeździe chirurgów polskich w Warszawie i w zjeździe przemysłowo-balneologicznym we Lwowie brał udział cały szereg członków Tow. Do inwentarza i katalogu bibliotecznego wciągnięto w r. ub. 824 dzieł i 168 wydawnictw peryodycznych, tak że z końcem r. 1910 było uporządkowanych i skatalogowanych 8.401 dzieł i 471 wydawnictw peryodycznych. Ruch biblioteczny w porównaniu z r. 1909 ożywił się znacznie. Ogółem wypożyczono dzieł 253. Liczba członków korzystających z biblioteki wynosiła 56. Tow. liczyło członków zwyczajnych 195, korespondentów 52 i honorowych 18.

* * *

Najmniej liczne ze wszystkich towarzystw naukowych *Tow. stomatologów polskich* wykazuje, pomimo tego, iż składa się zaledwie z 23 członków, silny ruch odczytowy, wyrażający się w cyfrze 27.

Nadto powstała w łonie Tow. myśl wydawania broszur i ogłaszania drukiem referatów treści ogólnej, mających na celu pouczenie laików o doniosłości pielęgnowania zębów i zwrócenia uwagi, że wobec wydoskonalenia sposobów zachowawczych wyrywanie zębów ogranicza się do *minimum*. Staraniem Tow. wyjdzie niebawem pierwsza broszurka popularna o hygienie i pielęgnowaniu zębów.

* * *

Towarzystwo techniczne krakowskie odbyło w r. ub. 16 posiedzeń naukowych, na których wygłoszono pomiędzy innymi następujące odczyty: prof. M. Huber »O awiatyce«, p. S. G. Żeleński »Powstanie, rozwój historyczny i sposób wykonywania witraży«, p. S. Stobiecki »W sprawie muzeum przyrodniczego w Krakowie«, prof. S. Turczynowicz »Las a klimat«, p. B. Krause »Zarys rozwoju przemysłu naftowego w Galicyi«, p. A. Kłeczek »Młynówka królewska w Krakowie« i prof. Turczynowicz »Kanał Dunaj-Odra-Wisła-Dniestr«. Wycieczek naukowych odbyto siedm. Tytułem próby zaczęto wydawać *Okólnik tygodniowy*, zawierający działy informacyjny i sprawozdawczy. Wobec tego, że próba powiodła się, wydawnictwo to wychodzi w dalszym ciągu. Niezależnie od tego kontynuowało Tow. wydawnictwo *Architekta*, który rozwijał się pomyślnie. Do biblioteki przybyło w r. ub. dzieł 92, tak, że stan jej ogólny zamknięto cyfrą 987 dzieł. W r. ub. wypożyczono książek 60 — 38 członkom. Statystyka ta wykazuje pewne polepszenie, bo w dawniejszych latach ruch był jeszcze mniejszy. Należy mieć nadzieję, że w przyszłości wobec nowych dzieł, zakupionych dla biblioteki, ruch ten wzmoże się i daty statystyczne wydadzą lepszy rezultat. Czytelnia otrzymywała 19 czasopism, niestety, pomimo poważnej liczby pism zawodowych, nie była licznie odwiedzana. Ze sprawozdania finansowego wyjmujemy najważniejsze cyfry. O sile finansowej Tow. świadczy najwymowniej rachunek wydawnictwa *Architekt*, którego przychody dosięgły cyfry 15.168 koron (w tem przedpłata 5.517 kor., ogłoszenia 1.085 kor. i subwencye 6.927 kor.), rozchody zaś 14.949 kor. (w tem wydawnictwo »Wielki Kraków« 4.045 kor., druk 3.474 kor., honoraryum redaktora 2.400 kor.). Fundusz obrotowy wykazuje w dochodach 13.638 kor. (w tem z wkładek członków 8.842 kor.), w wydatkach zaś 13.638 kor. (w tem subwencya dla *Architekta* 3.100 kor., prenumerata czasopism 969 kor., funduszowi domu na umorzenie długów 2.292 kor.). Obrót kasowy funduszu realności własnej dosięgnął

sumy 12.778 kor. Stan majątkowy Tow. wyraża się w poważnej sumie 102.599 kor. Już to bez przesady musi się przyznać, że zarówno technicy krakowscy, jak niemniej lwowscy umieją dobrze gospodarzyć.

* * *

Koło artystyczno-literackie, Klub słowiański oraz *Powszechne wykłady U. J.* nie miały widocznie nic do zanotowania ze swojej działalności zeszłorocznej, skoro, mimo zabiegów podpisanego i interwencyi na miejscu d-ra K. Kaczmarczyka, nie raczyły podać żadnych szczegółów o sobie.

(C. d. n.).

Dr Stanisław Zdziarski.

Druk ukończono 12 sierpnia 1911.

NOWE PRĄDY W SOCYALIZMIE FRANCUSKIM.

»Stale powtarzające się objawy anarchii w XIX i na początku XX wieku — pisze świeżo znany krytyk literatury rewolucyjnej prof. Izoulet w Collège de France — nie powinny nam przesłonić rzeczywistości istotnej, dziś jeszcze w większym lub mniejszym stopniu podziemnej, polegającej na pracy twórczej nad budową społeczeństwa, która obecnie już zaczęła się potężnie po pracy krytycznej i destrukcyjnej XVIII wieku i jego straszliwej armii burzycieli«. Siły zaś, które się podjęły, zdaniem uczonego profesora, tej pracy rekonstrukcyjnej, to syndykalizm rewolucyjny, który w ostatniem dziesięcioleciu w życiu socyalnem Francyi stał się czynnikiem potężnym i wśród socyalizmu dzisiejszego odrębny stanowi świat i znamienną przybrał fizyognomię.

Warto więc bliżej przypatrzyć się tym podziemnym siłom, które budują gmach przyszłości i równocześnie raz po raz anarchistyczne wywołują zamieszki, zwłaszcza, że wpływy syndykalizmu francuskiego już głośne i sympatyczne znalazły echo w ogólnym ruchu robotniczym a głównie we Włoszech dużo żarliwych zwolenników.

W Paryżu pomiędzy instytucyami socyalnemi rzuca się w oczy wspaniały pałac, zbudowany przed niewielu laty kosztem 2 milionów franków przez miasto. W pałacu tym na parterze mieści się sala olbrzymia na 2.200 osób, przeznaczona na zebrania robotnicze i druga sala, w której robotnicy pozbawieni pracy przebywają aż do godziny 12 w nocy. Na piętrach znajduje się

sala biblioteczna i 150 pokoi, w których rozmieściły się urzędy syndykatów robotniczych różnych zawodów. Gmach ten w części utrzymuje, w części subwencyonuje miasto kosztem rocznym przeszło 100.000 franków. Co to za gmach, jaki cel jego i przeznaczenie?

To giełda robotnicza.

Otóż obok związków zawodowych, obejmujących jeden albo więcej pokrewnych zawodów i rozciągających się na kraj cały, istnieją we Francyi, jak zresztą we wszystkich prawie państwach, po wielkich miastach i ogniskach przemysłowych związki syndykatów lokalnych, które, popierane przez zarządy miejskie, pośredniczą w wyszukiwaniu pracy i utrzymują dla robotników różne instytucye kształcące i wspierające. Są to t. zw. giełdy pracy, będące w zarządzie robotników, które celem spotęgowania swojej działalności i podtrzymania ducha solidarności połączyły się w r. 1892 na kongresie w Limoges w krajowy związek giełd robotniczych.

Związek ten pod wpływem posybilistów i alemanistów owiany duchem rewolucyjnym, od razu wielką okazał ruchliwość i po całej Francyi nader żywą rozwinął działalność, zwłaszcza odkąd jego sekretarzem został inteligentny i wybitny anarchista komunistyczny Fernand Pelloutier. »Młody ten, inteligentny i wykształcony sekretarz ze sfery mieszczańskiej, mówi Leon de Seilhac, jeden z historyków ruchu robotniczego we Francyi, prowadził związek z wielką zręcznością i taką pewnością siebie, że najzacieklejsi jego nieprzyjaciele z szacunkiem do niego odnosić się muszą... Związek zawdzięcza mu w przeważnej mierze szybkie swoje sukcesy« [1].

Ale też w miarę rozwoju znaczenia i wpływów jego wysuwać się poczęły na pierwszy plan ambicye i zapędy reformatorskie wodzów jego.

»Od roku 1894—1896 — pisze nie bez przesady dużej jego sekretarz [2] — giełdy pracy rozszerzyły znacznie swoją działalność:

[1] Léon de Seilhac: *Les congrès ouvriers en France de 1876 à 1897* Str. 272.

[2] Fernand Pelloutier: *Histoire des Bourses du Travail*, p. 159. (Paris, Schleicher).

przy każdej zorganizowano jako stałe instytucye biuro pracy, zapomogi dla robotników szukających pracy, i dla bezrobotnych i dla chorych i dotkniętych nieszczęśliwym wypadkiem, i założono kasę strajkową; przy każdej powstała kompletna szkoła zawodowa i dobrze zaopatrzona biblioteczka naukowa a komisye oświatowe ukazywały syndykatom horyzonty, których dotąd nikt nie spostrzegł. Teraz przyszła pora ująć w system agitacyę, która dotąd odbywała się na chybił trafił i osiągnięte rezultaty tylko zawdzięczała okolicznościom. I teraz spostrzeżono, że wszystkie te przedsięwzięcia tajemniczym połączone są związkiem, że działalność syndykatów bezwiednie rozszerzyła się na większość zjawisk życia socyalnego, że ich inicyatywa w mniejszym lub większym stopniu wywierała wpływ nie tylko moralny na kierunek ruchu socyalistycznego i ogół klas socyalnych, lecz również pod względem materyalnym na warunki pracy. Robotnicy poczuli w sobie potężne siły, żeby wytworzyć porządek społeczny wyższego rzędu. Zrozumieli, że oni zdolni są wytworzyć elementy nowego społeczeństwa, przypomnieli sobie myśl starą, że przeobrażenie gospodarstwa społecznego musi być dziełem wyzyskiwanych, przejęli się ambicyą, budować w pośród państwa burżoazyjnego rzeczywiste państwo socyalistyczne i formy asocyacyi, produkcyi i konsumcyi w bezustannej pracy zastąpić formami komunistycznemi«.

A więc cel ostateczny, jaki sobie giełdy robotnicze we Francyi wytknęły, był ni mniej ni więcej jak przebudowa całego społeczeństwa na zasadach komunistycznych. Myśl ta była też przedmiotem obrad na kongresie giełd w Tours r. 1896, na którym omawiano »rolę giełd robotniczych w przyszłem społeczeństwie«, albo wyraźniej, w jaki sposób da się zbudować społeczeństwo oparte na »wolnem i dobrowolnem zjednoczeniu producentów«. I wśród tych obrad wskazano wyraźnie na giełdy i syndykaty, jako przyszłe ogniska pracy i życia ekonomicznego i społecznego. Państwo z wszystkimi, mówiono wówczas, »pasorzytnymi« organami politycznymi i administracyjnymi rozpadnie się wówczas dopiero, gdy miejsce tych organów zajmą »pożyteczne« ekonomiczne i socyalne instytucye, wytworzone przez robotników.

A więc giełdy i syndykaty robotnicze mają ująć w ręce swoje w dziedzinie produkcyi wszystkie funkcye, jakie dotąd państwo spełniało. I w miarę jak ta działalność róść i rozszerzać się będzie, wrastać będzie w dzisiejsze państwo nowe państwo, na którem oprze się przyszła budowa społeczeństwa komunistycznego. Cel zaś, jaki przyświeca tej robocie, to nie państwo, lecz autonomiczna organizacya socyalistyczna klasy robotniczej na gruncie ekonomicznym. I tem się różni robota polityczna giełd pracy od parlamentarnego socyalizmu i anarchizmu.

Parlamentarny socyalizm bowiem i kierunek rewolucyjny i rewizyonistyczny dąży do zdobycia władzy państwowej za pomocą walki klasowej i przeobrażenia burżoazyjnego państwa w państwo robotnicze za pomocą mężów stanu i ustawodawstwa. W mniemaniu marksistów i parlamentarnych socyalistów dzisiejsze państwo jest w służbie burżoazyi i stoi na straży interesów kapitalistycznych. A więc trzeba zburzyć tylko państwo burżoazyjne, ażeby wytworzyć państwo socyalistyczne i narzucić prawa i władzę stanu czwartego poddanym.

Kierunek natomiast, reprezentowany przez giełdy pracy, usiłują przeobrazić dzisiejsze państwo w organizacyę ściśle autonomiczną producentów na gruncie ekonomicznym i wyzwolić proletaryat z więzów dzisiejszej zależności ekonomicznej i politycznej zapomocą instytucyi czysto robotniczych.

To też kolektywizm parlamentarny był na wszystkich prawie kongresach jego (Toulouse 1893, Lyon 1894, Nîmes 1895 i innych) przedmiotem ostrych i gwałtownych krytyk. Akcyi parlamentarnej przeciwstawiano tam zawsze bezpośrednią akcyę, *action directe*, i czyny syndykatów robotniczych.

Anarchiści zaś dążą po prostu do zburzenia i zniesienia wogóle wszelkich organizacyi społecznych i politycznych, nie troszcząc się zgoła o strukturę przyszłego społeczeństwa.

Wszyscy teoretycy anarchizmu opierają się mniej więcej na ideach J. J. Rousseau'a, wyłuszczonych w *Contrat social*, według których wszystko złe, krzewiące się w ludzkości, pochodzi z organizacyi społecznych i państwowych, które znieprawiły serce i umysł człowieka. A więc ażeby umożliwić człowiekowi dosko-

nały rozwój sił i zdolności wrodzonych i utorować mu drogę do stania się nadczłowiekiem Nietzschego albo Stirnera, trzeba wpierw skruszyć wszystkie zawady społeczne i autorytatywne, idące w poprzek temu rozwojowi. Prawdziwa wolność, mówi Bakunin, polega na tem, »że człowiek stosuje się do praw przyrody, które sam uznał za takowe, a nie dlatego, że mu zostały nałożone z zewnątrz przez inną wolę boską czy ludzką, kolektywną czy indywidualną«. A więc »suwerenność ludu« nakładająca jednostce prawo, w mniemaniu Bakunina, jest równie tyrańską, jak samowola monarchy. A wielki uczeń Bakunina książę Kropotkin tak określa istotę anarchizmu: »Co jest istotnego w anarchizmie, to tendencya do osiągnięcia maksymum wolności i do usunięcia władzy«. I ta jest przyczyna, dlaczego anarchiści, nie troszcząc się zgoła o strukturę i organizacyę ekonomiczną przyszłego społeczeństwa, usiłują wpierw zburzyć ze szczętem jego budowę polityczną. Oni mają tylko jeden program działania, który zamyka się w słowach: precz z wszelką władzą państwową, społeczną i ojcowską, bo władza wszelka jest we wszystkich formach swoich wytworem potwornym. Dopiero z ruin ustroju społecznego i państwowego, zbudowanego hierarchicznie, wyrośnie nowy człowiek i nowy świat, nie krępowany żadną przeszkodą w swoim rozwoju i popędach dobrych.

Od anarchizmu więc, który jest czystą negacyą, różni się kredo polityczne giełd robotniczych swoim pozytywnym programem i pracą nad realizacyą tego programu. Zresztą anarchizm tai się głęboko w tym ruchu, a Fernand Pelloutier jest jego gorącym zwolennikiem i wybitnym apostołem.

Inną cechą programu związku giełd, to strajk masowy, o którym poniżej szerzej będzie mowa. W Niemczech wśród socyalistów strajk generalny uchodził zawsze za nonsens. Znane jest w tej mierze dosadne wyrażenie Liebknechta: »Generalstreik ist Generalunsinn«. W mniemaniu bowiem niemieckich matematyków rewolucyi będzie on wówczas tylko możliwym, gdy wszyscy robotnicy zszeregują się w spoiste i sprężyste organizacye. A wtedy okaże się on najzupełniej zbytecznym, bo społeczeństwo będzie już dojrzałe do uspołecznienia środków produkcyjnych.

Wśród socyalizmu natomiast robotniczego we Francyi hasło strajku generalnego odniosło zwycięstwo na kongresie związku giełd w Nantes r. 1894 i wykopało przepaść pomiędzy socyalizmem parlamentarnym i robotniczym.

Ale bo też »idea ta — mówi Hubert Lagardelle, jeden z wodzów syndykalizmu — to znaczy wziąć rozbrat z przekonaniem, że władza państwowa ma służyć za narzędzie do przeobrażenia społeczeństwa. Idea ta domaga się koniecznie specyalnej organizacyi klasy robotniczej, któraby — niezależna od wszystkich tradycyjnych porządków — wykluczyła z proletaryatu wszystkie pracy najemnej obce elementy. Producenci (t. j. robotnicy) chcą dla siebie zdobyć dziedzinę produkcyi i sami zająć się reorganizacyą gospodarstwa społecznego«.

Na program i ducha instytucyi giełdowych we Francyi rzucają przedewszystkiem dużo światła toczące się debaty i uchwały kongresu paryskiego (1900), który stanowi punkt kulminacyjny ich rozwoju.

»Wszelkie mieszanie się — czytamy tam w końcowej rezolucyi po żywej debacie zaraz na początku kongresu o stosunku związku do socyalizmu parlamentarnego — mieszanie się giełd robotniczych do polityki jest przyczyną ich rozkładu na partye i odwodzi tylko syndykalistyczne organizacye od ich celu jedynego, który polega na wyzwoleniu się robotników własną siłą«.

W dziedzinie oświaty dąży kongres do objęcia w własny zarząd nie tylko szkolnictwa zawodowego, które zdala od warsztatów wydatnych rezultatów osiągnąć nie zdoła, ale wogóle szkół początkowych dla dzieci zorganizowanych robotników, ażeby na ich wychowanie nie miał wpływu żadnego ani Kościół ani państwo. Dzieci bowiem, czytamy w motywach tej uchwały, powinny się kształcić w świecie myśli proletaryackiej, aby sobie uświadomiły przyszłe zadania socyalne. Nadto dzisiejsze wychowanie dzieci, zdaniem kongresu, i pod względem technicznym nie odpowiada zgoła potrzebom życiowym robotników: obecna nauka szkolna jest zbyt abstrakcyjna i nie wiąże się żywotnie z życiem; dzisiejsza pedagogia opiera się na wzorach studyów klasycznych bez względu jakiegokolwiek na wymagania produkcyi i pracy

warsztatowej. Młody robotnik, który obiera sobie trudny zawód producenta, nie wynosi żadną miarą z dzisiejszej szkoły odpowiedniego przygotowania warsztatowego. Tylko organizacye robotnicze, mające praktykę przemysłową, zdołają usunąć to przeciwieństwo, jakie się wyrobiło pomiędzy szkołą a warsztatem i dostroić wychowanie szkolne do potrzeb warsztatowych.

Wreszcie idą inne uchwały, skierowane przeciwko rządowi i uchwała antymilitarna, polecająca ze względów solidarności przyjacielskie i towarzyskie utrzymywać stosunki z robotnikami, powołanymi z syndykatów do służby wojskowej. Wiele zaś syndykatów, żeby wspierać żołnierzy w służbie będących, nałożyło na członków swoich osobny podatek: *sou du soldat.* W dwa lata później w Algier (1902) zajął kongres już wrogie stanowisko przeciwko ojczyznie i polecił w tym celu wydać broszurę pod tytułem »Podręcznik żołnierski«, której redakcyę powierzył sekretarzowi związku giełd. I tu się kończy pierwszy okres rozwoju socyalizmu robotniczego we Francyi. Odtąd występuje na widownię życia publicznego Związek pracy C. G. T. *(Confédération générale du Travail),* który ujął w swoje ręce ogólne kierownictwo spraw robotniczych we Francyi.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad programem politycznym Związku giełd i tendencyami jego, gdyż program ten i duch jego przeszedł w spuściznie na Związek pracy i stał się wyznaniem politycznem potężnego stronnictwa robotniczego t. zw. socyalizmu robotniczego czyli syndykalizmu.

Syndykalizm skoncentrowany w Związek pracy C. G. T. w formie obecnej istnieje dopiero od przyjacielskiego połączenia i faktycznego zjednoczenia się ze Związkiem giełd robotniczych w Montpellier r. 1902, ale właściwie powstał on już w r. 1895 na kongresie związkowym w Limoges przez połączenie na gruncie ekonomicznym Związku giełd i krajowych Związków zawodowych w nowy związek ogólny poza wszelką polityką partyjną. Tylko że od roku 1895 – 1901 był on tylko echem i cieniem potężnie się rozwijającego Związku giełd robotniczych. Na kongresach Związku pracy przewodzili zwyczajnie ci sami przywódcy i objawiały się te same tendencye, które były przedmiotem obrad na

corocznych zebraniach giełd robotniczych. Dopiero od roku 1901 Związek pracy podźwignął się jak olbrzym i oparł na własnych siłach. Śmierć Fernanda Pelloutier i teka ministeryalna Milleranda i depresya ekonomiczna po wystawie światowej r. 1900 i szereg wielkich po sobie następujących strajków i zamieszanie w łonie socyalizmu parlamentarnego — wszystko to wywołało potężne roznamiętnienie wśród mas i popychało do walki i wydobyło z ukrycia nowe talenty kierujące i agitacyjne.

Zanim jednak przypatrzymy się bliżej rewolucyjnej umiejętności i robocie Związku pracy, słów kilka o jego kongresach, na których zasadnicze myśli jego programu się rozwijały.

Na kongresie w Tours (1896 r.) pogłębiają się różnice, dzielące syndykalizm od socyalizmu parlamentarnego. Spór ten wszczęty świeżo przedtem na międzynarodowym kongresie w Londynie znalazł tu gwałtowny wyraz i przyczynił się w znacznej mierze do wyodrębnienia się socyalizmu robotniczego od socyalizmu parlamentarnego.

Głównym zaś przedmiotem obrad na kongresie był strajk masowy, który wyobrażano sobie jako bitwę, dającą się nie tylko w najogólniejszych zarysach ale i w drobnych szczegółach przewidzieć i w poszczególnych fazach swego rozwoju z góry uregulować.

Na kongresie w Toulouse (1897 r.) wpływ anarchizmu, bujnie się krzewiącego, ale z powodu finansowej zależności od rządu trochę nieśmiało występującego w giełdach robotniczych, znajduje silny wyraz w uchwałach Związku pracy, tyczących się bojkotu i sabotażu. Wobec opornych przedsiębiorców należy według uchwały kongresu użyć energicznego nacisku za pomocą bojkotu, albo w razie ostatecznym przez niszczenie produktów i narzędzi produkcyjnych. Niszczycielska ta robota, zwana sabotażem, ma być ostatnią zwycięską bronią w walce z przedsiębiorcami.

Na kongresie w Paryżu (1900 r.) omawiano żywo sprawę wewnętrznej organizacyi Związku pracy. Jedni, mając na oku korzyści materyalne, byli za organizacyą robotników według poszczególnych zawodów, n. p. mechaników, giserów i t. d. Inni, przechylając się przeważnie do kierunku rewolucyjnego, pod-

noszą, że podział organizacyi na drobne, egoistyczne frakcye, osłabia tylko organizacyę. Tu trzeba uczynić pewną ofiarę ze swoich postulatów zawodowych na rzecz całości. Wszystkich robotników, zatrudnionych w pewnej gałęzi przemysłu, n. p. metalowców, należy w jeden połączyć związek zawodowy. Ażeby nie utrudniać pracy organizacyjnej i nie zaogniać umysłów, kongres uchylił się od decyzyi w tym względzie i wskazywał tylko z naciskiem na potrzebę ujednostajnienia organizacyi.

Nadto omawiano propagandę antymilitarną i przedewszystkiem strajk masowy, który okazuje się coraz więcej właściwym czynnikiem akcyi rewolucyjnej i twórczej w rękach robotników. I pod tym względem w umiejętności rewolucyjnej uczyniono krok naprzód, mianowicie przekonano się, że plan, obejmujący z góry i regulujący wszystkie szczegóły dramatu strajkowego jest niemożliwy. Na kongresie paryskim o organizacyi strajku masowego już niema mowy. Zastanawiano się tam tylko nad środkami agitacyjnymi, które w czasie strajkowym zastosować należy i nad psychologicznem przygotowaniem mas. Organizacyę zaś samą uznano za niedorzeczność.

Na kongresie w Lyon (1901 r.) — i tu już dominujące Związek pracy w ruchu robotniczym zajmuje stanowisko — zajęto przedewszystkiem wrogie wobec postępowej polityki rządowej stanowisko i zaznaczono swą niezawisłość wobec parlamentarnych partyi socyalistycznych. Odtąd też nowe siły ujęły kierownictwo ruchu w swoje ręce i tchnęły nowe życie w rozszerzoną działalność związku. Świeżo zaś założony organ *La Voix du Peuple* prowadzi umiejętnie i z talentem akcyę uświadomienia w tym kierunku. »Syndykaty robotnicze — czytamy tam — uświadamiają sobie coraz lepiej swą rolę główną, którą w walkach socyalnych odgrywać mają. One wiedzą dobrze, że ich zadaniem jest nie tylko zapewnić sobie chleb codzienny lecz i przyszłość przygotować. One wiedzą, że organizacya zawodowa mieści w swojem łonie świat jutrzejszy, że normalne i zrównoważone społeczeństwo, w którem wszyscy doskonały w wzajemnej harmonii znajdują rozwój, na podstawie tylko związków i korporacyi jest możliwe. I ta rozległość myśli tchnęła w syndykaty nowe życie i rozszerzyła ich sferę działalności«.

Ale wróćmy do samego kongresu.

Na stole obrad leży projekt rządowy, tyczący się obowiązkowych sądów rozjemczych w razie strajku. Projekt ten, przygotowany przez socyalne ministeryum Waldeck-Rousseau i Millerand, które szczerze usiłowało wcisnąć wzmagający się ruch robotniczy w łożysko legalne, miał ująć spory strajkowe w porządek ustawowy przez proceder mniej więcej parlamentarny i wdrożenie sądowego porozumienia, kończącego się wyrokiem rozjemczym. Kongres odrzucił prawie jednogłośnie projekt, a przytoczone motywy odsłoniły nam całą przepaść, jaka się wyrobiła pomiędzy dzisiejszym ustrojem społeczno-politycznym a światem myśli syndykalistów francuskich. Rzecz dziwna, kongres apeluje tu do pierwiastka arystokratycznego w ustroju społecznym, który stał się podstawową zasadą syndykalizmu. Duszą syndykalizmu to arystokracya socyalna, oczywiście arystokracya ducha i charakteru, która ma przewodzić i panować szarej masie. Dzisiejszy ustrój demokratyczno-polityczny opiera się — wołają mówcy — na masie, na liczbie, na większości, na parlamentaryzmie. A masa zawsze jest leniwa, martwa i z natury rzeczy wsteczna. Na tej zasadzie też opiera się projekt rządowy. W socyalizmie robotniczym natomiast, przodujące i kierujące stanowisko zawsze zajmuje mniejszość, elita socyalna, która wskazuje drogi robotnikom i prowadzi walkę socyalną. Otóż projekt rządowy chce zabić ducha i zwichnąć naszą taktykę rewolucyjną, objawiającą się w masowym strajku i dlatego narzuca nam jarzmo większości i instancyi i wprowadza parlamentaryzm do warsztatów robotniczych.

Z projektem sądów rozjemczych łączył się inny projekt rządowy t. zw. rad robotniczych, które, złożone na równi z przedsiębiorców i robotników, miały łagodzić i usuwać kwestye sporne pomiędzy kapitałem a pracą. I ten projekt odrzucono ryczałtem. »Zważywszy, brzmi uchwała kongresu w tej mierze, że rady robotnicze jeszcze pod żadnym względem nie dowiodły praktycznej swej korzyści a cel im wykreślony dobrze spełniają syndykaty robotnicze; zważywszy dalej, że przeciwieństwo interesów, będące podstawą każdego społeczeństwa kapitalistycznego, uniemożliwia współdziałanie robotników z przedsiębiorcami, że rady robotnicze

wreszcie mogłyby podkopać znaczenie syndykatów, oświadcza kongres, iż zjednoczeni robotnicy trzymać się ściśle będą w obrębie właściwej sobie sfery klasowej i odrzucają z zasady rady robotnicze«. Taki los spotkał jeszcze dwa inne projekty, zmierzające do załagodzenia robotniczych sporów socyalnych.

Wkońcu oświadczono się przeciwko wszelkim subwencyom, udzielanym instytucyom robobotniczym Związku pracy czy to przez rząd czy zarządy miejskie. »Organizacye robotnicze nie powinny zależeć od miłosierdzia rządu ani magistratów... ruch syndykalistyczny musi zachować swą niezawisłość i wolność i nie dźwigać żadnej okowy, by stanowić potęgę, którą możnaby przeciwstawić potędze rządu i przedsiębiorców... Organizacya syndykalistyczna albo żyć będzie i rozszerzać się o własnych siłach, albo stanie się igraszką politycznych maryonetek«.

O stosunku zaś do partyi socyalizmu parlamentarnego tak się wyraża kongres: »Ruch syndykalistyczny, który czynił pierwsze kroki pod obroną i opieką potężnych partyi politycznych, musiał się wyzwolić z tej opieki, ażeby rozszerzyć zbyt ciasne ramy swojej działalności, zwłaszcza, że dobrali się do steru mężowie, którzy już zrozumieli jego rolę właściwą i przewidzieli jego przyszłe przeznaczenie.

W programie partyi politycznych było przeobrażenie społeczeństwa kapitalistycznego: i syndykaty zrozumiały, że ich zadanie nie może polegać i kończyć się na polepszeniu porządku warsztatowego, warunków pracy i t. d. Na różnych kongresach wytknięto usiłowaniom swoim ten ideał i cel, żeby robotnikowi zapewnić cały owoc pracy jego. Kongresy te głośno opowiadały światu o cierpieniach robotników i wskazywały jako cel wspólnych usiłowań przeobrażenie społeczeństwa w tym kierunku, żeby każdy mógł pracować swobodnie nad rozwojem swoich zdolności. I odtąd ruch syndykalistyczny żyje własnem życiem poza wszelkiem opiekuństwem, idąc tylko za własnymi zamysłami«. Idąc w służbę akcyi politycznej ruch syndykalistyczny rozbiłby się na tyle frakcyi, ile jest partyi politycznych. Pod tym względem pozostawia Związek członkom swoim zupełną swobodę tak, że każdy może w dziedzinie politycznej obrać sobie sposób walki, jaki mu odpowiada.

Związki zaś fabryczne i przemysłowe, należące do grup politycznych nie mogą należeć do Związku pracy.

Na nadzwyczajnym kongresie w Montpellier 1902 r. po zlaniu się ostatecznem Związku giełd ze Związkiem pracy przyjęto nowy statut organizacyjny.

Pierwszy paragraf nowego statutu brzmi: Związek pracy (C. G. T.) składa się z dwu sekcyi autonomicznych, które reprezentują dwa związki odrębne: krajowy Związek syndykatów, łączący w dziedzinie zawodowej poszczególne zawody w jeden organizm bojowy i Związek giełd robotniczych, jednoczących syndykaty różnych zawodów w organizmy lokalne. Pierwsza sekcya nosi nazwę: »Związek giełd pracy«, druga — »Zjednoczenie związków fachowych i przemysłowych oraz syndykatów niezawisłych«.

Według statutu postawił sobie Związek pracy za zadanie bezpośrednie: »połączyć robotników najemnych w celu obrony interesów moralnych i materyalnych«. Dalszym zaś celem jego jest walka w sprawie zniesienia »systemu najmu i przedsiębiorstw pańszczyznianych« i to stanowi jego cechę rewolucyjną. Wreszcie określa statut, że walka ta ma się prowadzić »poza obrębem wszelkiej partyi politycznej«.

Według statutu tedy wszelka polityka partyjna jest z ruchu syndykalistycznego wykluczona. Związek pracy »nie troszczy się, mówi jeden z teoretyków i wodzów syndykalizmu, ani o stronnictwa ani o wybory, o ile jest organizacyą, która opiera się na innych zasadach i wytknęła sobie inne cele. Syndykalizm zna tylko robotnika jako producenta, jako towarzysza pracy i członka ekonomicznego społeczeństwa. I to stanowi jego istotną cechę. On nie uznaje ani obywatela państwowego, ani człowieka wierzącego, jako członka politycznej albo religijnej społeczności. On zajmuje się tylko robotnikiem, o ile ten jest robotnikiem, i dlatego syndykalizm obejmuje wszystkich robotników jako robotników«. Syndykalizm zawsze odróżnia teren ekonomiczny od terenu politycznego, i obywatela od producenta i społeczność ekonomiczną od politycznej i politykę klasową od polityki partyjnej i socyalizm robotniczy od socyalizmu parlamentarnego. Syndykalizm opiera się na walce i organizacyi klasowej, a nie na organizacyi i walce

partyjnej. Partya bowiem polityczna to zawsze wytwór sztuczny i powstaje przez ugrupowanie się ludzi, do różnych klas należących, około jakiegoś ideału politycznego, partya zawsze buduje na nastroju psychicznym i nie uwzględnia gruntu realnego a częstokroć nie uświadamia sobie jasno własnych interesów. Organizacya klasowa natomiast buduje i rozwija się na gruncie ekonomicznym przez poczucie wspólnych interesów materyalnych i moralnych i dlatego klasy są naturalnym wytworem procesu historycznego.

W przeciwieństwie tedy do organizacyi i walki partyjnej syndykalizm opiera się na organizacyi i walce klasowej. Wszelka zaś walka klasowa zasadza się na polityce klasowej, i dlatego ruch syndykalistyczny jest nie tylko ruchem socyalnym, lecz *par excellence* politycznym, bo dąży celowo do przebudowy ustroju politycznego państwa w ustrój wyłącznie tylko ekonomiczny. Tak francuski ruch syndykalistyczny, mówi Hubert Lagardelle, jest ruchem politycznym. Walka, którą on zorganizował jest socyalna a nie zawodowa. Syndykaliści chcą przeciwstawić całej klasie przedsiębiorców klasę robotniczą. Cel, do którego zmierzają, jest przeobrażenie obecnych stosunków socyalnych i zbudowanie w miejsce kapitalistycznego nowego typu społecznego. Ruch ten polityczny wszelako nie jest parlamentarny. On nie opiera swego rozwoju na instytucyach demokratycznych. Przeciwnie on rozwija się poza partyami i poza parlamentem. On opiera się na własnych tylko siłach i instytucyach przez siebie wytworzonych, i stąd czerpie środki działania. Polityka klasowa, jaką sobie wytworzył proletaryat, nic nie ma wspólnego z polityką klas panujących. I na tem polega cecha oryginalna francuskiego syndykalizmu. On rozumie, że każda klasa ma swoje, właściwe sobie organy emancypacyjne, swoją własną psychologię i swój odrębny świat myśli. Klasa, która jak proletaryat tak głęboko się wyróżnia od całego społeczeństwa i dąży do jego przeobrażenia, musi przedewszystkiem okazać specyficzne rysy swojej indywidualności [1].

---

[1] Hubert Lagardelle: *Die syndykalistische Bewegung in Frankreich. Archiv für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik.* 1908, t. 26, str. 128.

Związkiem kieruje stale urzędujący komitet związkowy, *Comité confédéral*, ponad którym w dalszej instancyi jest kongres, zbierający się co dwa lata. Na kongres każdy syndykat niezależnie od liczby członków wysyła jednego tylko delegata. Niezgodne to z poczuciem i zasadą sprawiedliwości, ale wymagała tego umiejętność rewolucyjna, ażeby zapewnić mniejszości rewolucyonizującej kierownictwo i przewagę nad więcej zrównoważonymi wielkimi syndykatami, kierującymi się zdobyczami ekonomicznymi. I zasada ta odniosła zwycięstwo na kongresie w Bourges r. 1904. Konsekwencye stąd płynące są potworne: tak np. syndykat uświadomionych kolejarzy, liczący 24.275 (świeżo przystąpiło do Związku kilkadziesiąt tysięcy nowych członków) znaczy tyle co syndykat szczotkarzy, liczący 250 członków, syndykat metalowców, liczący 14.000 lub tkaczy 13.000 tyle co syndykat praczy, liczący tylko 100 członków. Ale na tej właśnie zasadzie arystokratyczno-rewocyjnej ma polegać wyższość organizacyi Związku nad formami organizacyjnemi dzisiejszego społeczeństwa i państwa demokratycznego. Sprężysta i spoista organizacya Związku pracy, mówi Hubert Lagardelle, odznacza się wybitnemi cechami przyszłego społeczeństwa wyższego rzędu, w którem nie będzie ani poddanych, ani władzy. »Nic tam niema ani z centralizmu ani z hierarchii. Robotnicy nie naśladują w niczem form organizacyjnych burżoazyi, które oni zburzyć usiłują. Oni przecież nie po to zwalczają podział na panów i parobków, na rząd i poddanych, żeby podział ten znowu do swoich stowarzyszeń wprowadzić. Związek nie jest żadnym r z ą d e m, w jakąkolwiek wyposażony władzę — on tylko spełnia rolę administratora i łączy i rozszerza i uogólnia akcyę klasy robotniczej. Impuls idzie z dołu, od proletaryatu zawsze czujnego i opierającego się na własnych siłach, które bezustannie na wypadki codziennego życia reagują« [1]. Otóż ta mniejszość właśnie arystokratyczno-rewolucyjna, wrażliwa na natchnienia idące z szarej masy, przyobleka je w czyn i przekuwa na formy społeczne wyższego rzędu.

---

[1] Hubert Lagardelle: *Die syndykalistische Bewegung in Frankreich*, str. 131. *Archiv für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik*. 1908.

Obecnie Związek pracy liczy 80 zjednoczonych syndykatów, 8 wielkich syndykatów przemysłowych, około 160 giełd pracy i nadto 3.000 syndykatów robotniczych, razem około 300.000 członków. Do cyfr tych dodać należy kilkadziesiąt tysięcy kolejarzy, którzy świeżo przystąpili do Związku. Środki zaś pieniężne, którymi Związek pracy rozporządza, składają się w części ze składek regularnych, w części dobrowolnych. Przeciętna wysokość miesięcznych wkładek syndykalnych we Francyi wynosi 1 franka. Z wkładek tych płaci syndykat za każdego swego członka 20—30 centymów do krajowego związku syndykatów a około 10 centymów do giełdy robotniczej. Do sekcyi natomiast Związku pracy (C. F. T.) płaci każdy syndykat co miesiąc po 40 centymów za każdą setkę członków, giełdy zaś robotnicze po 35 centymów za każdy syndykat. I dochody dwu tych sekcyi, które rządzą się autonomicznie, stanowią główne źródło finansowe Związku pracy. Dobrowolny nadto podatek nakładany po syndykatach, pokrywa jego potrzeby nadzwyczajne.

(Dok. nast.)

Ks. Leonard Lipke.

SZTUKA MAHOMETAŃSKA

NA WYSTAWIE W MONACHIUM.

I.

Dziwić się doprawdy można, jak mało dziś znamy Wschód. Kultura Wschodu muzułmańskiego jest nam dzisiaj tak obcą, jak może żadna inna. Cały ogromny świat Wschodu jest dla nas zamknięty i niedostępny. Dziś już nas nie pociąga, nie nęci, stracił urok zakazanego owocu. A przytem odgraniczony inną religią, innym językiem, pismem, całkiem odmiennem życiem — stawia przeszkody nie do pokonania trudne. Dzięki nadzwyczajnemu konserwatyzmowi cały Wschód Mahometa zachował swą dawną kulturę, prowadząc dziś jeszcze prawie zupełnie średniowieczny tryb życia.

Dopiero w ostatnich latach nastąpił w Turcyi przewrót, zmieniający to ostatnie w Europie państwo despotyczne na konstytucyjne. Ale myliłby się bardzo, ktoby myślał, że z tą chwilą Turcya zmieniła swój charakter społeczny, czy narodowy. Nadanie konstytucyi nie zmienia wcale jeszcze trybu życia, religii, zwyczajów, tradycyi, gdyż to, co wyrosło w ciągu wieków, ulega tylko zmianom powolnej ewolucyi, a nie gwałtownych, chwilowych przewrotów. Tak, jak wielka rewolucya nie zmieniła arystokratycznej Francyi na demokratyczną, tak również nadanie konstytucyi nie zburzyło dawnej Turcyi. Zmieniły tylko zewnętrzne

formy rządu, kierujące czynniki, całe łożysko życia narodu pozostało jeszcze nie tknięte.

Dziś Wschód Mahometa nic nas nie obchodzi. Jest nam tak obojętnym, że zaledwo pamiętamy o jego istnieniu. Dawniej było inaczej. Dawniej ten Wschód grał inną rolę. Dawniej towarzyszył Europie wszędzie i zawsze. Podniecał zmysły i fantazyę, budził przestrach i ciekawość, zagrzewał do bezprzykładnych aktów zbiorowych męstwa całych narodów i był tą nicią, snującą się nieprzerwanie przez szereg wieków w życiu zachodniej Europy.

Zgoła inny tryb życia ludów wschodnich, ich dzielność i energia rycerska, wielkie okrucieństwo wobec jeńców wojennych, ich ogromna rozwiązłość w życiu domowem i wielożeństwo, wytworzyły o nich cały świat podań i legend. Te fantastyczne »Opowieści z tysiąca i jednej nocy«, któremi się żywiła naiwna dosyć wyobraźnia dawnych wieków, rozszerzyły się i zrosły z całą cywilizacyą, z całem kołem wierzeń ludów europejskich. A ponieważ w tym wypadku od fantazyi do rzeczywistości było daleko i nie każdemu było danem zetknąć się z tym Wschodem, o którym tyle słyszał i wiedział, dlatego właśnie wszystko, co wschodnie, budziło zawsze największe zaciekawienie. Żywy ten interes podtrzymywała szczególniej sztuka wschodnia.

Świat Islamu stworzył bowiem bardzo wysoką i wyrafinowaną kulturę. Główną jej gałęzią była i jest sztuka. Tu jednakowoż trzeba zaraz zaznaczyć, że znajdujące się dziś po większych miastach wschodnie bazary nie mają nic wspólnego z prawdziwą sztuką Wschodu i są tylko lichym produktem, obliczonym na szerokie masy kupujących. One także w znacznej części przyczyniły się do osłabienia zainteresowania wschodnią sztuką, wytwarzając u wielu całkiem fałszywe o niej pojęcia. Tymczasem cała średniowieczna Europa zaopatrywała się na mahometańskim Wschodzie we wszelkiego rodzaju przedmioty zbytkowne i kosztowności. Wschód przez długie wieki uchodził za jedyne źródło każdej, bardziej wyrafinowanej rozkoszy, czy przyjemności życiowej, głębokiej nauki i wiedzy, wkońcu zaś prawdziwej, lekkiej i porywa-

jącej sztuki. Sztuka ta wywarła olbrzymi wpływ na rozwój sztuki europejskiej.

Osiedliwszy się w Hiszpanii, na Sycylii i w południowych Włoszech, wytworzyli tam szybko centra wysokiej kultury. Tamtędy także zaczęły napływać z początku do Europy pierwsze produkta przemysłu i sztuki wschodniej. Po upadku zaś tych państw sprowadzano je dalej wprost ze Wschodu, drogą lądową przez Polskę i przez Węgry, i morską, zostającą głównie w rękach Wenecyi. Do tych przedmiotów należały staro-perskie fajanse i wogóle wyroby ceramiki, bronzy inkrustowane, egipskie naczynia z kryształu, syryjskie szkła emaliowane, bogata broń, zwłaszcza poszukiwane klingi damasceńskie, kosztowności i klejnoty, drogocenne materye złotem tkane i wkońcu dywany.

Dywan wschodni stał się niejako symbolem dawnego zbytku czy wykwintu życia. Jako rzecz najcenniejszą znajdujemy go w malarstwie religijnem XV i XVI wieku, zwłaszcza w obrazkach Madon, użyty jako podnóże albo tło. On też oddziałał na wielką sztukę, przedewszystkiem zaś na rozwój wielkich, kolorystycznych szkół malarskich: weneckiej, a po części także holenderskiej.

Wenecya, od wojen krzyżowych aż po ostatnie czasy swego samoistnego bytu, mogła zupełnie dobrze uchodzić za najbardziej na zachód wysuniętą placówkę Wschodu. Wystarczy okiem rzucić na obrazy weneckie z XV wieku, by się przekonać, że ta cudna »perła Adryatyku« wtedy jeszcze ukazuje się nam w napół wschodniej szacie. W tych przedstawieniach weneckich uroczystości, w licznych obrazach Wenecyi z tych czasów, widzimy wszędzie wschodnie dywany, zwieszające się bądźto z okien czy balkonów, bądź zaścielające wnętrza pałaców. Nawet ówczesne gondole są nimi wyłożone. Szczególnie w wielkiej ilości występują po kościołach, czyto zasłaniając stopnie ołtarzy, czy przykrywając trony biskupie lub wspaniałe klęczniki. Podobnie jak wtedy, na tych pierwowzorach pysznych materyi, bronzów, szkieł, wyrobów z metalu, ze skóry, przeznaczonych do domowego użytku, a sprowadzanych od wieków ze Wschodu, albo przez tureckich rękodzielników w samej Wenecyi wyrabianych, kształcili się miej-

scowi rzemieślnicy, idąc ich śladem, podobnie równocześnie kształciło się w tem samem otoczeniu oko weneckich malarzy.

Z początku ubogie i słabe malarstwo weneckie, rozwinęło się wkrótce, w ciągu paru dziesiątków lat w jedną z najbardziej kolorystycznych szkół malarskich, jakie znają dzieje sztuki. Kto zna wschodnie dywany XV wieku, to pozna i od razu odczuje w ówczesnych obrazach podobne zestawienie kolorów. Dopiero wielcy artyści XVI wieku, Giorgione i Tycyan, uwolnili malarstwo weneckie z tej zależności sztuki Wschodu, dając mu całą swobodę malarską.

Podobnie jak na weneckie malarstwo, oddziałała bardzo silnie sztuka Wschodu na rozwój sztuki flamandzkiej, a jeszcze więcej holenderskiej. Już w XVI wieku Niderlandy stykały się pośrednio z wyrobami Wschodu przez stosunki z Hiszpanią. Wpływy te przybrały niebawem olbrzymie rozmiary, odkąd Holendrzy zaczęli skupiać w swem ręku handel drogą morską z tymi krajami, wydzierając go równocześnie Hiszpanii i Portugalii, a przedewszystkiem Wenecyi. Holandya miała zawsze pociąg do handlu i do kupiectwa. Niewielki kawałek ziemi, gęsto zaludniony, nie mógł z natury rzeczy wyżywić swych mieszkańców. Nie tylko z pracy na roli żyła Holandya, a głównie ze swej ruchliwości i przebiegłości. Dlatego to w XVII wieku opanowała niemal wyłącznie handel ze Wschodem i stała się jedyną prawie szafarką tych wschodnich produktów dla zachodniej Europy. Ale wpływ Wschodu nie ograniczył się tylko do handlu. Nie. On dał początek różnym gałęziom rzemiosła artystycznego w Holandyi. Tak np. znane powszechnie wyroby majolikowe fabryki w Delfft na jakich wzorach się rozwijały, jeśli nie na wschodnich? Powtarzały w nich oryginalne motywy wschodnie dekoracyjnie używane, co więcej, nawet często formy ceramiczne. Obok naśladownictwa kształtu naczyń zaczęto niebawem wyrabiać na wielką skalę małe tafelki majolikowe, służące do wykładania ścian pokojów mieszkalnych. Podobny zwyczaj zdobienia płaszczyzn istniał od wieków, rozpowszechniony na całym Wschodzie. W XVII w. rozszerzył się i przyjął w całej zachodniej Europie. W tem główną rolę odegrała fabryka w Delfft, wyrabiająca te kafelki w olbrzy-

miej ilości. Nawet u nas, w Krakowie, zachowała się z dawnych czasów jedna komnata o ścianach wyłożonych »delfftami«. Znajduje się na I piętrze w narożnym domu na zbiegu ulic Sławkowskiej i Szczepańskiej, naprzeciw »Krzysztoforów«. Dom ten należał niegdyś do możnego pana Andrzeja Żydowskiego herbu Doliwa, stolnika i starosty krakowskiego, który w końcu XVII w. pragnąc przyozdobić swój apartament, wezwał do tego słynnego rzeźbiarza Baltazara Fontanę, podówczas w Krakowie bawiącego. I dlatego na przepych tej sali złożyły się przecudne rzeźby stiukowe, rozłożone w górnej jej części i na sklepieniu i kafelki holenderskie, zapełniające resztę ścian.

Niemniejszym popytem cieszyły się także podobnie holenderskie wyroby z lakki. I w nich tak samo naśladowali nie tylko technikę, ale także i motywy zdobnicze. Tu i ówdzie wpływ Wschodu odbił się nawet w architekturze, choć są to przykłady rzadkie i pochodzenia skrajnie wschodniego, bo chińskiego. Poza tem widać wschodnie wpływy w wielu innych dziedzinach pracy w Holandyi. Wpływ ten do pewnego stopnia można nawet zauważyć bezpośrednio w ówczesnem życiu. Olbrzymi handel zamorski sprowadzał także szeregi »poganinów«, ba — w wielkich miastach portowych były całe dzielnice, zamieszkałe przez ludność wschodnią.

Oczywiście, że tego rodzaju stosunki musiały oddziałać na sztuki plastyczne. Wystarczy uzmysłowić sobie twórczość Rembrandta, aby poznać, ile zawdzięcza on natchnienia czy podniety temu dalekiemu światu. Mroczny fantasta nie naśladował jednak zewnętrznych form Wschodu. Jemu Wschód pomagał często do zrozumienia istoty życia. I dlatego głęboki nastrój, jaki się waży zwykle w jego mrocznych wizyach, z tych pierwiastków wyrasta.

Ale kiedy mowa o malarstwie, nie można nie wspomnieć o całym świecie Wschodu, jaki się odbija w ówczesnych płótnach holenderskich. Z obrazów tych możnaby zestawić tablice wszystkiego, co sprowadzano wtedy ze Wschodu, równie niemal dokładne, jak wyciągi archiwalne. Obok wielkiego dobrobytu, widać tam, jakim popytem cieszyły się wyroby wschodnie, a przedewszystkiem dywany. Z rodzajowego i portretowego malarstwa

Holandyi możemy się przekonać, że ówczesne domy mieszczańskie były nimi przepełnione: na podłodze, na stołach, na ścianach — wszędzie ich pełno. Także w pracowniach malarskich nie brak ich nigdy. I tutaj pełnią rolę bogatego tła lub też dekoracyjnego szczegółu.

I na Hiszpanii Wschód wycisnął niestarte znamię. Bardzo silny wpływ wywarł przedewszystkiem na charakter narodu. Nieubłagany fanatyzm religijny — klątwa czy błogosławieństwo Hiszpanii — wyrasta właśnie w walkach z Maurytanizmem. Choć tysiąc lat od nich minęło, nie osłabł on zupełnie. Jak niegdyś, Hiszpan zawsze gotowy staje do walki na śmierć i życie z wrogiem Kościoła. Cała kultura Hiszpanii, to nieubłagane ścieranie się tych dwóch pierwiastków. Wschód w ciągu kilku wieków panowania nad półwyspem Iberyjskim stworzył tak potężne fundamenty swej cywilizacyi, że Hiszpania nigdy potem nie potrafiła ich zdusić i wytępić, mimo strasznej, szalonej walki. I dlatego wpływ Wschodu snuje się, jak nić, aż po ostatnie wieki w życiu tego kraju. W sztuce stwarza on najpiękniejsze dzieła, które właśnie przez tę domieszkę egzotyzmu, często ledwo wyczuwalną, mają niewysłowiony urok, jak np. fasada katedry w Murcyi, wzniesiona w XVIII w.

Nigdzie jednak świat Wschodu i jego kultura nie wywarła tak silnego wpływu, jak na Polskę. W XVII stuleciu państwo weszło w znak wewnętrznego rozkładu i anarchii. Jest to epoka, gdzie szlachta, po zupełnem zdobyciu złotej wolności, zaczęła staczać się szybko po pochyłej drodze, uciskając inne stany. W takich warunkach — rzecz jasna — przemysł i handel nie tylko nie mógł się rozwijać, ale przeciwnie, musiał upadać. Że tak istotnie było, przytoczyć można Kraków. W XV i XVI wieku miasto dużego znaczenia w Europie pod względem handlowym i przemysłowym, potem, wskutek zakazu wywozu towarów za granicę, stopniowo upada, a w czasach wojen napoleońskich liczy zaledwie kilkanaście tysięcy mieszkańców. Wobec upadku przemysłu i handlu wyroby krajowe, którymi przedtem zaspokajano potrzeby kraju i narodu, musiano zastąpić teraz produktami obcymi, tem bardziej, że dla przemysłu zagranicznego zostawiono szeroko otwarte gra-

nice, bez żadnych ceł. Polska, leżąca w środku poniekąd pomiędzy Wschodem a Zachodem Europy, ale bliżej Wschodu, zwróciła się naturalnie w tamtą stronę, do Turcyi i dalej jeszcze do Azyi Mniejszej i do Persyi.

Polska od dawna prowadziła ożywiony handel ze Wschodem. W XVII wieku przybrał ten handel z powyższych przyczyn, t. j. upadku krajowego przemysłu, największe rozmiary i w znacznej części spoczywał w ręku Ormian. I cóż sprowadzano do nas ze Wschodu? Prawie wszystko. Chciał się kto ubrać, kupował wschodnie materye na żupan. To, co wyrabiał Słuck w XVIII w. było zaledwie drobną częścią. Podobnie również było z pasami litymi. W dawnej Polsce nie było takiego wykwintu i elegancyi w życiu, jak na Zachodzie. Charakterystycznem jest dlatego olbrzymie zamiłowanie do wschodnich makat i dywanów: perskich i małoazyatyckich. Taki dywan wzorzysty i miękki zastępował często w polskim dworze kosztowne meble, obicia na ścianę, miękkie sofy i t. d. Nie obeszło się także bez nich w podróży. Osobny wóz szedł zawsze naładowany nimi. Używano ich w namiotach na postojach. Dlatego właśnie sprowadzano je do Polski takiemi masami. Regestra np. skarbca ks. Ostrogskich podają przeszło sto wschodnich kobierców, obok tego wyliczają tureckie kołdry, wezgłowia, prześcieradła, chusty, koce i t. d. Nasza broń, zbroje, bogate rzędy końskie, siodła, czapki były albo wprost ze Wschodu sprowadzane, albo pod wpływem wschodnim wyrabiane. Ważną gałąź handlu tworzyła ceramika. Wielką falą napływały wyroby, głównie perskie i tureckie. Pyszne konie, czystej krwi arabskiej, w których się Polacy tak zawsze lubowali, skądże sprowadzano, jeśli nie ze Wschodu? Muzeum ks. Czartoryskich ma oryginalne miniatury indyjskie, na których widzimy Indów w ich strojach narodowych. Na pierwszy rzut oka zdaje się, że to Polacy, tak podobne są ubiory. Wschód także wycisnął piętno na naszej mowie. Karłowicz ułożył cały słownik wyrazów pochodzenia tureckiego i perskiego, wybranych z mowy ostatniej doby. Jest to zaledwie drobna część, bo gdy się zapuścimy w język XVII w. napotkamy masę wyrażeń, dla nas dziś już niezrozumiałych, żywcem wziętych z języków wschodnich.

Sztuka wschodnia wywarła ogromny wpływ na sztukę ludową w Polsce i żadnej istotnie lud tak prędko nie rozumiał, żadna nie trafiła tak prędko do jego przekonania, jak wschodnia. Chcąc poznać przyczynę tak łatwej asymilacyi pierwiastków wschodnich przez sztukę ludową, trzeba sobie uzmysłowić motywy, z jakich się składała sztuka wschodnia. Najsilniejszy wpływ zdaje się wywarła sztuka perska, dalej turecka i małoazyatycka. Persya stworzyła sobie prawdziwie bajecznie kolorową ornamentacyę, wyrosłą pod bezpośrednim wpływem świata zewnętrznego: roślinnego i zwierzęcego. Te dwa pierwiastki złożyły się na nią, a nieprzebrana ich różnorodność, ich barwne ujęcie sprawiły niedościgły, kolorystyczny efekt. Przy tem wszystkiem sztuka perska jest bardzo prosta. Występują w niej ptaki, zwierzęta i rośliny. Cechuje ją wielka naiwność przedstawienia choć uderza nadzwyczajną obserwacyą świata zwierzęcego i roślinnego. Większe kompozycye figuralne spotyka się w niej rzadko.

Dla naszego chłopa niezrozumiałe były często groteski renesansu, ale doskonale przemawiały do jego przekonania te proste kwiaty, ptaki, siedzące naprzeciw siebie, które na swej roli spotykał; poznawał je natychmiast, to mu się podobało i to przejmował do swojej sztuki. Tych jednak wzorów nie trzeba szukać w dywanach, bo choć oba pierwiastki wschodniej ornamentyki występują w nich w najbogatszej formie, jednak są zbyt skomplikowane i poniekąd fantastyczne, a wskutek tego dla chłopa mniej zrozumiałe.

Pierwowzoru sztuki ludowej należy szukać w pasach i w dekoracyi ceramiki wschodniej. Motywy z pasów przeszły za pośrednictwem wyrobów słuckich i innych fabryk, bo one wzorowały się na oryginalnych, wschodnich pasach. Motywy z ceramiki przeszły, zdaje się, wprost. Wskutek olbrzymiego, powszechnego używania tych wyrobów, lud stykał się z nimi i o nie się ocierał wszędzie: w kościele, we wsi, we dworze i na jarmarkach. Dlatego że je widział wszędzie i zawsze, zaczął je często mimowolnie i bezwiednie naśladować. Głównym powodem tej asymilacyi była właśnie naiwność i szczerość w traktowaniu ornamen-

tyki, szczególnie na pasach i ceramice. Ta naiwność i prostota przemawiała do niego, pociągała go i cieszyła.

A zatem, jak widzimy, wpływ Wschodu na rozwój życia i sztuki narodów europejskich był zawsze bardzo silny. Czyto w zakresie przemysłu artystycznego, czy na polu architektury i malarstwa sztuka Wschodu działała zawsze podniecająco. Tam zaś, gdzie Wschód zdobył choćby na krótko zupełną przewagę, jak w Hiszpanii i na Sycylii, wznosił wyjątkowej piękności pomniki swej kultury, prawdziwe arcydzieła sztuki, jak La Zisa i La Cuba w Palermo, Alkazar i Alhambra w Sewilli.

II.

Urządzona w r. 1910 wystawa sztuki mahometańskiej przypomniała światu cały przepych i bogactwo owej starej, wspaniałej kultury Wschodu. Inicyatorem tej wystawy i najgorętszym jej opiekunem był książę Ruprecht bawarski. Objęcie zaś protektoratu przez księcia-regenta Luitpolda otwarło jej wszystkie zbiory i muzea europejskie. Dlatego też ogrom wystawy był rzeczywiście imponującym. Około stu większych i mniejszych sal zapełniło się drogocennymi okazami. Naukowe kierownictwo spoczywało w rękach znakomitego profesora Sarrego, w czem mu dzielnie pomagał dr. Fr. Martin ze Stokholmu. Twórcą polskiego działu był prof. dr. Jerzy Mycielski.

Pod względem rozłożenia i podziału przedmiotów możnaby mieć pewne życzenie. Niektóre działy były zanadto rozrzucone, zwłaszcza mam na myśli dywany. Wystawa taka bowiem miała dać jasny obraz twórczości. Tymczasem tu niekiedy wskutek mało skupionego rozlokowania jednolitość i ciągłość się gubiła w olbrzymiej ilości różnych innych okazów. Natomiast pod względem urządzenia, czy ujęcia sal, trzeba przyznać, że wystawa przedstawiała się bardzo ładnie. Wnętrza wielu sal, zwłaszcza mniejszych, uderzały dobrym smakiem, celowością i prostotą urządzenia. Taką była szczególnie sala 12, w której rozwieszono kilka najstarszych ornatów z Marienkirche w Gdańsku. Cała ujęta w szereg szaf drewnianych dokoła ścian, miała w sobie jakąś uroczystą

powagę i prostotę, tak godzącą się z temi przepysznemi materyami. Podobnie również cały szereg małych sal (nr. 3, 4, 9, 10, 80 i t. d.) o pewnym rytmie architektonicznym, wytworzonym zawsze bardzo prostymi środkami, wyróżniał się bardzo dodatnio.

I to także należy podkreślić z wielkiem uznaniem, że tu po raz pierwszy zerwano z nierozumnym zwyczajem urządzania — w podobnych razach — »stylowych interieurów«, bez banalnego kopiowania maurytańskiej architektury. Artystom, którzy kierowali urządzeniem wystawy, szło przedewszystkiem o to, aby krzykliwe ujęcie nie przygłuszało samych okazów. Dlatego tu wszędzie panowała taka prostota w urządzeniu, pozwalająca sztuce maurytańskiej wystąpić na pierwszy plan. To właśnie doskonałe pojęcie i zrozumienie celowości w urządzeniu jest niewątpliwą zasługą komitetu wystawy. W podobnych przedsięwzięciach odbija się najlepiej kultura danego środowiska. Monachium, kroczące na czele kultury Niemiec, przekonało wszystkich i tym razem, że rola przodownicza narodu spoczywa w dobrych rękach.

Wystawa rozpadła się na dziewięć głównych działów: na dział dywanów, uzbrojenia, opraw książkowych i miniatur, ceramiki, klejnotów i kosztowności, naczyń ze szkła i kryształu, wyrobów z kamienia, drzewa i kości słoniowej, materyi i tkanin i w końcu na dział wyrobów z metalu. Objęła ona olbrzymi okres czasu, od pierwszych wieków po Chrystusie, od zabytków niesłychanie rzadkich i cennych z epoki Sasanidów począwszy, aż po wiek ośmnasty. Charakterystycznym przytem objawem było to, że najmniej właśnie okazów nadesłano ze samego Wschodu, nie dlatego, żeby ich tam nie było. Nadzwyczaj surowo przestrzegane przepisy Koranu zachowały ich tam napewne jeszcze wielką liczbę. Ale są to przeważnie przedmioty, znajdujące się w meczetach, a przez to dla Europejczyka w wielu wypadkach niedostępne.

Dominujące stanowisko na wystawie zajęły dywany i dlatego też nazywano ją często wystawą dywanów. Wypełniły one szereg wielkich i mniejszych sal, przedewszystkiem dwie wielkie sale na prawo od wejścia mieściły dywany przeważnie perskie, a przeciwległe sale po lewej stronie małoazyatyckie i maurytań

skie. Następnie w dwóch wielkich salach kolumnowych, zbliżających się nieco charakterem do architektury Wschodu, rozłożono na posadzce dywany różnych gatunków. Zebrano tu przeszło dwieście kilkadziesiąt okazów, układając je w systematyczne grupy.

Na czele wszystkich trzeba postawić olbrzymi dywan perski, własność cesarza austryackiego, z zamku w Schönbrunie, jako największy i najwspanialszy okaz z całej wystawy. Należy on do grupy dywanów myśliwskich t. z., że sceny z polowań służą za treść figuralną. Jedwab, złoto i srebro składają się na materyał, a doskonale zachowany koloryt barw wywołuje wyjątkowe wprost efekty. Powstał on w królewskich warsztatach w Ispahan, wykonany dla dworu dynastyi Sasanidów w drugiej połowie XVI w., za panowania szacha Abbasa Wielkiego, pod względem techniki jedno z wielkich dzieł Wschodu. Istotnie subtelność wykonania jest zdumiewająca. W dywanie tym, o powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych, czterysta węzłów wypada na 1 cm^2. Obok tego zestawiono parę grup perskich dywanów. Z tych najliczniejszą (23) była grupa dywanów z motywami zwierzęcymi. Przedstawienia łączą się tu zwykle z bujną roślinnością i ornamentem. Materyałem tych wszystkich okazów jest już sama wełna. Mimo to jednak gama kolorów nie słabnie tu bynajmniej. Powstały one również w drugiej połowie XVI w., a nawet w początkach XVII w.

Z pośród dywanów perskich i wszystkich innych na pierwszy plan wybijały się dywany polskie t. zw. *Polenteppiche*. Były one najkosztowniejsze i najpiękniejsze ze wszystkich. Odznaczały się od razu materyałem i odrębnym kolorytem. Cechą ich jest to, że są zawsze robione z jedwabiu, srebra i złota. Dzielą się na dywany strzyżone i na tkane. Pod względem ornamentu występują w nich motywy roślinne, fantastycznie często stylizowane, bardzo powikłane i zwykle przykrywające jakby siecią całą płaszczyznę dywanu. Pod względem kolorytu przewyższają zawsze kolory jasne, o intensywnych tonach, czasami kontrastowo używane, ale zwykle w małych partyach. Złoto i srebro wypełnia zazwyczaj tło. Przez to właśnie powstaje wyjątkowa mozaika kolorystyczna, grająca tak przecudną gamą barw, że nic nie może się z nimi

porównać. Niektóre, zwłaszcza dywan Muzeum ks. Czartoryskich, ks. Lichtensteina i opactwa St. Walburg w Eichstätt, zachowały całą świeżość, całą niezwykłą krasę barw. Inne (dywan hr. Franciszka Potockiego) z biegiem czasu spełzły, ale mimo to nie straciły swego uroku. Dawną żywość barw zastąpiło pewne łagodne zmatowanie kolorytu, które przypomina miękkość tonów pastelowych. Dywany te powstały wszystkie w Persyi w XVII w., były przeważnie dla Polski wyrabiane, a nawet parę zachowało się z herbami polskimi. Szczególniej ciekawe pod tym względem są dywany w posiadaniu dworu bawarskiego. Są to okazy wykonane techniką gobelinową czyli tkane a nie wiązane. Dwa z nich, tworzące parę, noszą w środku orła polskiego z herbem Wazów na piersiach. Ale widocznie w Persyi nadesłany rysunek z herbami źle zrozumiano, gdyż biały orzeł stał się kolorowym a snopek Wazów zmienił się w błękitną lilię. Dywany te dostały się do skarbca bawarskiego jako wiano ślubne księżniczki Anny Katarzyny Konstancyi, córki króla Zygmunta III, małżonki pfalzgrafa i kurfürsta Filipa Wilhelma, której ślub odbył się w Warszawie w 1642 r. Dywany t. zw. polskie w całej powodzi innych, przeważnie wełnianych, zajęły pierwsze miejsce, jako najcenniejsze perły wystawy. Obok tych trudno nie wspomnieć o dwóch dywanach na prawdę polskich, bo w Polsce powstałych (własność p. Schwarza w Krakowie i prof. Sarrego w Berlinie). Są one niewątpliwym dowodem, że u nas w XVII i XVIII w. wyrabiano dywany wełniane techniką wschodnią. Dla braku miejsca mogę tylko wymienić dalsze grupy dywanów armeńskich, małoazyatyckich modlitewnych, tureckich, indyjskich i hiszpańskich. W tych grupach główną rolę grają szczególnie ornamenty geometryczne, czasem — jak w indyjskich — motywy zwierzęce. Hiszpańskie dywany dekorują najczęściej herbami.

Pokrewnym działem są materye i tkaniny. One dla kultury Wschodu są może jeszcze bardziej stylowe, niż dywany. W nich bowiem występuje cała bujność kolorystyczna Wschodu w nieograniczonej niczem formie i rozciągłości. Na tem polu Wschód mahometański nie tylko wyprzedził znacznie Europę, ale nad nią zapanował. Aż po okres renesansu wpływ Wschodu w tej dzie-

dzinie jest dominujący. Wszystkie bowiem częściej spotykane motywy są pochodzenia wschodniego, n. p. motyw granatu, goździka, lwa i t. d. Wschód od niepamiętnych wieków wytworzył u siebie wszystkie gatunki materyału, używane w tkactwie, t. j. jedwab, wełnę, bawełnę i płótno. Wystawa roztoczyła bardzo ciekawy obraz przepysznych materyi, w których wschodnie ludy tak się zawsze lubowały. Dział tkanin zaczynał się niezmiernie cennymi i rzadkimi okazami materyi koptyjskich, pochodzenia egipskiego, których powstanie przypada pomiędzy trzeci a siódmy wiek po Chr. Na tle płóciennem są tkane wełną przedstawienia figuralne, najczęściej o motywach zwierzęcych, szablonowo powtarzanych. Z temi łączyły się poniekąd materye z czasów sasanidzkich. Szczególniej wspaniałym przykładem była tkanina Muzeum berlińskiego z przedstawieniem »drzewa życia« i jeźdźca na skrzydlatym koniu, a także przepyszna materya z kościoła św. Urszuli w Kolonii o scenach z polowania na lwy.

Okres późnego średniowiecza, wiek XIII i XIV, reprezentuje najlepiej szereg wyjątkowych szat liturgicznych z Marienkirche w Gdańsku. Są to wielkich rozmiarów i archaicznych kształtów ornaty, kapy i dalmatyki. Niektóre pokryte są arabskimi napisami, tkanymi w pasach poziomych, inne znowu przynoszą ciekawe przedstawienia dwugłowych orłów, smoków i t. d. W nich i w szeregu podobnych materyi odbija się także wpływ Chin, w przejętych stamtąd motywach dekoracyjnych i figuralnych, n. p. przedstawienie smoka. Materye z tego czasu, o ile się zachowały, znajdują się przeważnie w posiadaniu skarbców kościelnych. Są one właśnie dowodem, jak wysoko były już wówczas cenione. Wpłynęły one w znacznym stopniu na ożywienie przemysłu tkackiego w Europie, a przedewszystkiem we Włoszech, które w XV i XVI w. wyrabiają materye t. zw. saraceńsko-włoskie. Wiek szesnasty jest również w Persyi okresem nowego rozkwitu tkactwa. Łączy się ono z produkcyą dywanów. Dlatego często spotykamy materye, w których na złotem tle występują przedstawienia ze strzyżonego jedwabiu, wykonane techniką wiązaną. Tkanin z tego czasu skupiła wystawa olbrzymią ilość. Wszystkie uderzają świetnością i żywością kolorów. One również oddziaływały na produkcyę tkanin turec-

kich Wschodu. Wpływ ich odbił się także szerokiem echem w Polsce. Tu do działu tkanin zaliczyć trzeba pasy polskie, choć odmienne techniką od powyższej, bo zawsze tkane, jednak są to najżywsze przykłady wpływów wschodnich. Wystawa przedstawiła ich piękną kollekcyę ze zbiorów hr. Franciszka Potockiego i hr. J. Mycielskiego, p. Szczukina z Moskwy. Szkoda tylko, że było ich tak mało, ale podobno niezależnie od komitetu nie dało się więcej zebrać.

Najwięcej rozrzuconym działem na wystawie była ceramika. Ogromną ilość okazów podzielono na parę poszczególnych grup. Z tych wybrano najcenniejsze przykłady i umieszczono w pobliżu pokrewnych działów. Tak n. p. obok wielkich sal z dywanami po prawej stronie od wejścia znajdowały się dwa gabinety (nr. 9 i 10) a w nich najstarsze okazy ceramiki syryjskiej i perskiej. W sąsiedztwie było jeszcze parę sal, poświęconych ceramice, a resztę znowu przerzucono na przeciwny koniec rozległego budynku.

Pierwszy odłam tego działu przedstawiały wyroby Syryi i Mezopotamii, powstałe pomiędzy IX a XII w. po Chr. Dzieliły się one na cały szereg grup. Okazy te pochodzą w większej części z wykopalisk, wydobywanych z ruin i gruzów dawnych miast mezopotamskich. Widać tu jaka dawniej kwitła tam ożywiona produkcya i jak różnorodna. Naczynia z tych czasów o dużych, ciężkich formach i bardzo prymitywnym rysunku, mają prześlicznie ztonowaną glazurę, najczęściej zieloną i czerwono-fioletową. Pewne pokrewieństwo, choć znacznie wyższą wartość artystyczną, wykazała grupa fajansów od XII—XIV w., pochodzenia egipskiego i syryjskiego. Szczególniejszą uwagę ściągały na siebie trzy naczynia aptekarskie t. zw. *albarello:* podługowate, jednostajnie grube flasze, o nizkiej, nieco węższej szyi, ornamentowane w pionowych pasach. Do tego okresu należą również okazy z miast, zburzonych przez Mongołów, Raqqua i Rhages.

Mniej więcej od XIII w. zaczyna się na dużą skalę w Persyi produkcya kafli, używanych do układania posadzki i ścian, najpierw meczetów, potem także mieszkań prywatnych. Były to różnej wielkości okazy, pokryte bogatym deseniem kolorowym, albo

napisami z Koranu. Zwykle układały się one w jeden wspólny ornament lub większą sentencyę. Cechą ich i zaletą był silny połysk. Pochodził on z doskonałego sposobu przyrządzania i wypalania kafli. Pod tym względem można w ceramice wschodniej rozróżnić dwa gatunki: jeden o połysku ciężkim, ziemistym, t. j. ołowiowym, wskutek przymieszki ołowiu, drugi o połysku lekkim, jasnym, wskutek dodania cyny. Zwłaszcza ten ostatni odznaczał się ogromną subtelnością techniki emaliowej t. zn., że polewano tu zwykle wierzch kafli czy naczynia przeźroczystą glazurą bezbarwną, przykrywającą kolorowy ornament. Rozkwit ceramiki perskiej oddziaływa bardzo silnie na Turcyę. Pod wpływem tym zostaje także ceramika maurytańska w Hiszpanii. Tu wytwarza się kilka ognisk tego przemysłu, trwających przez parę wieków. Sewilla i Granada były szczególniej znane z wyrobu kolorowych kafelek, zwanych *Ozulejos*, zwykle o wzorach geometrycznych. Ciekawym bardzo przykładem tej ornamentyki jest wanna do kąpieli (własność hr. Wilczka z Wiednia) z gliny glazurowanej, przypominająca bardzo wzory kafelek. Piękniejsze jeszcze okazy pochodziły z Walencyi. Słynęła ona głównie z produkcyi wielkich naczyń i talerzy dekoracyjnych o wspaniałym, płomienistym połysku. Rozkwit warsztatów Walencyi przypada na w. XV i XVI.

Pokrewnym działem z ceramiką są przedmioty ze szkła i z kryształu. Ogniskiem tego przemysłu był Egipt, a obok niego Syrya. Wyrobów z kryształu doszło nas niewiele. Są to przeważnie naczynia przechowywane w skarbcach kościelnych. Do najstarszych należą t. zw. kielichy św. Jadwigi. Jeden wystawiło Muzeum germ. w Norymberdze, drugi posiada katedra krakowska. W XIV i XV w. na dużą skalę zaczyna Kairo wyrabiać znacznych rozmiarów lampy ze szkła, pokryte emaliowanymi napisami arabskimi. Jeden taki wspaniały okaz nadesłało Muzeum ks. Czartoryskich z Krakowa.

Zwiedzając wystawę można było poznać, jaką jednolitość i spoistość posiada dawna kultura Wschodu, w najmniejszych choćby swych gałęziach. Wszędzie to samo zamiłowanie do przepychu i bogactwa, do żywego kolorytu i dekoracyjności, wszędzie ta sama subtelność i wyrafinowanie w technice i w kompozycyi.

Książka wschodnia jest tak samo pysznem dziełem sztuki. Wszystko w niej obliczone na efekt zewnętrzny. Najpierw okładka świetnością kolorytu i wystudyowaniem deseniu przypomina żywo dywany. Jest to zwykle mozaika czy intarsya, wycinana w barwnej skórze. Czasem okładka ma na jednolitej powierzchni skórzanej wytłaczany bogaty ornament. W środku książki panuje niemniejszy przepych, jak na zewnątrz. Składa się na to kaligraficzne pismo arabskie, subtelne w rysunku i bardzo dekoracyjne, następnie ornamentyka, zdobiąca karty pergaminu i wkońcu miniatury. Rozróżniamy tu przytem kilka rodzajów albo stylów pisma wschodniego. Najstarszym jest styl kuficki od miasta Kufy w Mezopotamii, który rozszerzył się potem na Egipt i Syryę. Pięknym jego przykładem był wielki kodeks z biblioteki książęcej w Gotha. Na wiek IX i X przypada styl Naskhi, zaś północna Afryka i Hiszpania maurytańska posługiwała się znowu odrębnym rodzajem pisma. W XV w. w Persyi doszła sztuka pisania i ozdabiania do największego rozkwitu. Ogniskiem tego ruchu było miasto Tebris, a słynnym artystą na całym Wschodzie w XVI w. był Ahmed ben Muhammed.

Właściwą miniaturę spotykamy w rękopisach wschodnich dość rzadko, gdyż przeszkadzały temu surowe przepisy Koranu. Mimo to rozwija się ona najpierw w Syryi i Mezopotamii ze wzorów byzantyńskich. Często bowiem przy tłumaczeniu kodeksów byzantyńskich na język arabski, kopiowano także miniatury. Następnie już w XIII w. zaszczepia się ona w Persyi i powoli dochodzi tu do rozkwitu. Powstaje parę ognisk tej gałęzi sztuki między XIV a XVI w., najpierw Samarkanda, potem Herat, wkońcu zaś na krótko, w początkach XVII wieku, Ispahan. W XVI w. malarstwo miniaturowe perskie, zwłaszcza szkoła Samarkandy oddziaływa także na Indye, dokąd przesiedla się wypędzona z Persyi dynastya Timuridów. Wkrótce wytwarza się tutaj nowy kierunek malarstwa miniaturowego, służącego wyłącznie dla potrzeb dworu. Odznacza je duża subtelność rysunku i pewne zmatowanie kolorytu. Tu należy wymienić piękne okazy Muzeum ks. Czartoryskich. Persya wywiera także wpływ na

Turcyę, gdzie kodeksy i miniatury perskie cieszyły się szczególnym rozgłosem.

Dział ten malarstwa i sztuki książkowej uzupełniał szereg obrazów, powstałych na Zachodzie, niewielkich rozmiarów, treścią związanych ściśle ze Wschodem. Między innymi były tu cztery obrazki, guachem wykonane, z Muzeum książąt Czartoryskich. Przedstawiały one przyjęcie poselstwa polskiego na dworze sułtana.

Wiele uwagi ściągały na siebie wyroby z metalu. Zebrano ich tutaj ogromną ilość, tak, że nie można było dokładnie studyować rozwoju tego ciekawego przemysłu. Otwierały dział najstarsze wiekiem, najcenniejsze wartością okazy z epoki sasanidzkiej. Były to zatem olbrzymich rozmiarów, okrągłe, płaskie misy, wielkie dzbany, kociołki uszate i dziwaczne akwamanile, t. j. naczynia na wodę, zwykle w postaci fantastycznych zwierząt. Jako materyał najczęściej występuje bronz. Cechą tych okazów była ich ciekawa dekoracya ryta, treści figuralnej i ornamentacyjnej. Tu trzeba wymienić dwa przedmioty z Muzeum ks. Czartoryskich, t. j. naczynie ofiarne, o reminiscencyach antycznych w przedstawieniu ludzkich figur i szkatułka, ozdobiona bajecznemi zwierzętami — oba ze srebra. Do późniejszych czasów należały szeregi okazów perskich, tureckich i maurytańskich, niemniej jednak cennych.

Polskie zbiory reprezentowało znowu parę okazów. I tak Stanisława hr. Tarnowska ze Śniatynki nadesłała filiżankę z jaspisu z podstawką, ujętą w złotą oprawę, nasadzaną turkusami. Był to dar sułtana, ofiarowany Stanisławowi Małachowskiemu, wojewodzie poznańsk. i posłowi polskiemu w czasie zawarcia traktatu karłowickiego w 1699 r. Równie cennym był serwis turecki, zabrany przez marszałka Lubomirskiego z namiotu wielkiego wezyra Kara Mustafy pod Wiedniem w 1683 r. Do końca XVIII w. pozostawał w rodzinie Lubomirskich na zamku w Łańcucie. Potem przeszedł do rodziny Potockich, a obecnie jest w posiadaniu hr. Romana Potockiego z Łańcuta. Serwis ten jest tem ciekawszy, że został wykonany w Chinach, pod wpływem perskim.

Dodając jeszcze bogaty i bardzo zajmujący dział uzbrojenia,

a także dział snycerstwa w drzewie i kości słoniowej, zamkniemy tem samem zwiedzanie.

Wystawa sztuki mahometańskiej roztoczyła raz jeszcze cały przepych i bogactwo wspaniałej kultury Wschodu, od samych jej początków aż po ostatnie czasy. Pod względem wielkości nie miała sobie dotąd równej. I to może było poniekąd jej wadą, że była za wielką, za nużącą do zwiedzania. Mimo to była niewyczerpanem źródłem coraz to nowych wrażeń artystycznych. Choć na chwilę oderwała dzisiejszy Zachód i pokazała mu zamierzchłą przeszłość Wschodu, stokroć razy żywiej, niż pisane historye dawnych wieków. Do przeglądu bowiem stanęli tutaj żywi świadkowie i uczestnicy tych czasów, którzy prym wiedli w ówczesnem życiu, i to życie układali i tworzyli.

Fr. Klein.

FALSYFIKACYE I PRAWO BIOGENETYCZNE HAECKLA.

(Ciąg dalszy).

Twierdzenie, iż podobieństwo i systematyczna zgodność zwierzęcych form między sobą racyę swoją mą li tylko w rzeczywistem pochodzeniu form doskonałych od niedoskonałych, słowem, że podobieństwo idealne da się wytłumaczyć tylko pokrewieństwem genetycznem czyli genealogicznem, jest dowolne i nielogiczne. Z faktów bowiem nie płynie wcale logiczny i konieczny związek pomiędzy pojęciem homologii a pojęciem pokrewieństwa krwi w znaczeniu genetycznem, słowem pomiędzy pojęciami homologii i wspólnego pochodzenia. Inaczej bowiem i zawiłe typy kryształów państwa mineralnego powinny być związane genetycznie z typami prostszymi jedynie dlatego, że są do siebie podobne. A faktem jest, że i w państwie mineralnem istnieje pomiędzy różnymi kamieniami i kryształami podobieństwo form, istnieje pewna myślowa jedność czyli idealne pokrewieństwo, które w gruncie rzeczy niczem innem nie jest, jak tylko odłamem zjawisk równorzędnych w naturze jestestw żyjących. Kostkom, w jakich krystalizuje sól kuchenna, nie będziemy odmawiali jednakowego pochodzenia, powiada A. Brauns, lecz nie można tu będzie mówić o wspólnem pochodzeniu tychże z prakostki soli kuchennej; i tak możnaby sobie pomyśleć w dziedzinie organizmów podobny rodzaj powstania typowo zgodnych form bez związku rozwoju.

A że zoologia i embryologia zejść mogą na manowce ze swojem prawem biogenetycznem i z podobieństwami anatomicz-

nemi i to tem łatwiej, im bardziej nie uwzględnia się wyników paleontologii, o tem przekonywują nas t. zw. zjawiska konwergencyi, jakich bardzo wiele wykazuje paleontologia, która zresztą jedynie może rozstrzygnąć, czy w danym wypadku mamy do czynienia z wspólnem pochodzeniem czy też z konwergencyą, t. j. z zgodnością i podobieństwem pomiędzy dwiema lub więcej formami powstałem niezależnie od siebie. I tak np. bardzo wielkie podobieństwo zachodzi w budowie oczu głowonogów i kręgowców; siatkówka tylko zbudowana jest nieco inaczej u głowonogów oraz i rogówka u niektórych gatunków[1]. Systematyka sama nie jest więc wyrazem wspólnego pochodzenia.

Nieuprawnione jest też wnioskowanie na wspólne pochodzenie z podobieństwa, które zresztą teoretycy descendencyi w jednostronnej swej ocenie zwykli bardziej podkreślać aniżeli różnice. Pokazuje to znowu paleontologia na wielu przykładach[2]. A chociażby nawet podobieństwo to było zupełne, to wniosek na wspólne pochodzenie jest mimo to nieprawdziwy, jak to wykazuje klasyczny przykład konwergencyi w instynkcie mrówek i bielców (uprawa grzybów) i w ich zewnętrznej postaci. Nie pomoże tu nic gołe twierdzenie i śmiech darwinistów, że byłoby to cudem, gdyby podobne formy nie były ściśle związane pochodzeniem wspólnem. Trzeba atoli wiedzieć, że istnienie praw w przyrodzie — a wtedy tylko mowa być może o cudzie, czyli o zawieszeniu praw — nie tylko czyni możliwem powstanie i to całkiem niezależnie od siebie organizmów podobnych lecz wprost koniecznem. Tak bez wszystkiego z podobieństwa wnioskować na wspólne pochodzenie mogą tylko zwolennicy Darwina i jego filozofii a raczej fałszywych filozoficznych przesłanek, mianowicie owego »genialnego« błędu, jak się wyraził G. Wolff, że przypadek jest czynnikiem rozwoju. Na szczęście liczba tych zwolenników maleje, gdyż i w kołach uczonych zapuszcza już korzenie to przekonanie, że organizmy o podobnej budowie genetycznie mogą być wcale nie złączone. Tak n. p. mówi O. Hertwig: »Jeśli

[1] Więcej przykładów na konwergencyę podaje A. Schmitt: *Zeugniss d. Verst. g. d. Darw.* 1908, 23, 75; *Ursprung des Menschen.* 1911, 68.

[2] Diener: *Paleont. und Abstammungsl.*, 1900, 23

człowiek przebył kiedykolwiek historyę rodzajową, to niekoniecznie musi ona być identyczną z historyą zwierząt wyższych, lecz mogła była wyjść od podobnych we wnętrznej swej istocie, jednakowoż odmiennych prakomórek. Stąd wyjaśnić można dostatecznie wszelkie podobieństwa między człowiekiem a zwierzęciem, nie przyjmując wcale, że człowiek pochodzi od zwierzęcia«[1].

Zresztą aksyomat: podobne formy mają wspólne pochodzenie, nie jest wcale wynikiem indukcyi lecz dedukcyi (z monistycznego światopoglądu) a tem samem już wisi w powietrzu; nadto ma tylko do czynienia z podobieństwami form obecnie żyjących, nie zaś z podobieństwami, rzecz wogóle biorąc, form dawniejszych.

Podobieństwo zewnętrzne, o jakiem dotąd była mowa, tłumaczy się ostatecznie jednością planu organizacyi, jaki suponuje inteligencyę najwyższą, a którego domaga się jedno życie (chociaż w różnych osobnikach) i jedno jego zachowanie w jednych a tych samych dalszych warunkach i przy tych samych prawach natury. Tyle o podobieństwie organizacyi, na którem opiera się prawo biogenetyczne.

Według prawa biogenetycznego, zarodek ma powtarzać w rozwoju swoim najpierw p i e r w o t n y stan wszystkich organizmów, t. j. istot jednokomórkowych a potem cały szereg form przodków swoich. Otóż jedno i drugie jest niemożliwe. Nielogicznem jest nasamprzód takie rozumowanie: wszystkie zwierzęta rozwijają się z komórki, więc wszystkie zwierzęta pochodzą od istot jednokomórkowych. Pomijając już to milczeniem, że największy ze współczesnych embryologów O. H e r t w i g, *a priori* odrzuca rozwój monofiletyczny jako niemożliwy, rozumowanie to suponuje rekapitulacyę form przodków, która właśnie ulega kwestyi. Zresztą rekapitulacya, gdyby rzeczywiście się odbywała, stanowiłaby w założeniu descendencyi poważną zaporę dla rozwoju rodowego. Drugi błąd tkwiący w powyższem rozumowaniu jest ten, że wyrazu »komórka« używa się w d w ó c h zupełnie r ó ż n y c h znaczeniach. Pod prakomórką rozumieją zwolennicy prawa biogenetycznego coś nader prostego, jakąś bryłkę prostej, żyjącej

[1] *Entwickelungesch. d. Wirbelliere,* III, 171.

protoplazmy, coś w rodzaju monery Haeckla, bez jądra, bez struktury i złożenia morfologicznego. Faktem natomiast jest, jak to wiadomo z nauki embryologii, że komórki jajowe wszystkich dzisiaj żyjących zwierząt nie są takie proste, jak to według prawa biogenetycznego być powinno. Komórka jajowa, z której rozwija się zwierzę, jest zupełnie czemś innem aniżeli prakomórka danego rodu. W komórce tej jajowej jest już w zawiązku pewny i określony gatunek organizmu ze wszystkiemi niezliczonemi cechami specyficznemi i skomplikowanemi formami tkanek i narządów. To też rozwija się ona mimo wszelkich zewnętrznych warunków i wpływów w zupełnie określony gatunek, z którego pochodzi; co też i doświadczenie stwierdza. Jeżowce n. p. pozostaną zawsze jeżowcami chociaż rozwinęły się w najrozmaitszych warunkach. Specyficznie różne osobniki na końcu ontogenezy suponują na jej początku przyczynę swego końcowego stanu, która specyficznie różną być musi dla specyficznie różnych osobników. A zatem komórki jajowe tak samo różnią się pomiędzy sobą jak wyrosłe już osobniki na końcu ontogenezy i rozróżnialibyśmy je nie inaczej aniżeli dorosłe formy, gdybyśmy tylko wglądnąć mogli w budowę i istotę ich. Słusznie powiada embryolog O. Hertwig: »Z tego punktu widzenia zapłodnione komórki jajowe różnych rodzajów roślinnych i zwierzęcych są co do swej istoty również bardzo od siebie różne i są również dobrze podłożem specyficznych różnic gatunkowych jak na końcu ontogenezy ukształtowane osobniki« [1]. Wobec tego komórka jajowa nie jest powtórzeniem najprostszego stadyum początkowego szeregu przodków, lecz jest tak samo stadyum skończone i określone, jak zwierzę, do którego ta komórka należy. »Jeżeli, powiada O. Hertwig, wszystkie organizmy już w prostem stadyum komórkowem różnią się pomiędzy sobą, wtedy komórki jajowej dzisiaj żyjącego gatunku zwierzęcego nie można oznaczać jako powtarzanie najprostszego stadyum początkowego nieskończonego

[1] *Das biog. Grundges. nach dem heutigen Stande d. Biologie: Internat. Wochenschrift f. Wissenschaft...* 1907, nr. 2, 3.

łańcucha przodków« [1]. A Haeckel, który opierając się na prawie biogenetycznem: »ontogeneza jest krótką rekapitulacyą filogenii« (Unsere Ahnenreihe, 1908, p. 5) twierdzi, że przodkowie nasi byli początkowo protystami i organizmami jednokomórkowymi, nie wie jeszcze o tem, że chociażby filogenii nie było, to każdy organizm wielokomórkowy w rozwoju ontogenetycznym musi się rozpocząć jedną komórką i to na mocy prawa podziału komórki (Hertwig), które ma swoją głębszą racyę. Ontogenia nie daje więc żadnego dowodu na pochodzenie istot wielokomórkowych od jednokomórkowych.

To, co powiedziano o komórce jajowej, stosuje się i do wszystkich jej stadyów, do całego jej rozwoju. Zarodek nie powtarza więc w rozwoju swoim form szeregu przodków swoich. Najpierw zarodek nie jest wcale podobny do form organizmów niższych. »Zarodek ludzki, powiada J. Müller, nigdy nie jest podobny w rzeczywistości do promieniaków, do owadu, do mięczaków, do robaka...« [2]. Powtóre pod nazwą »przodków« zwykliśmy rozumieć końcowe formy ontogenezy, osobniki zupełnie już rozwinięte. Otóż organizmy wykończone pozbawione są, jak wiemy, zdolności bezpośredniego przeobrażenia się w inne odmienne organizmy wykończone, czyli przodkowie nie mogą być ogniwami łańcucha rozwojowego, jaki mamy w ontogenii zarodka. Nadto trzeba to dobrze podkreślić, że stadya rozwoju w ontogenezie następują po sobie w jednym a tym samym osobniku; inaczej dzieje się w filogenii. Komórka jajowa ma w sobie w zawiązku niejako cały proces rozwojowy, który jest dla niej wytknięty. Nie tak ma się rzecz z formami szeregu przodków, które rozwinęły się według Haeckla bez współdziałania czynników wewnętrznych organizmowi i bez teleologii. Z tego wszystkiego wypływa wniosek, że stadyów ontogenetycznych jakiegoś organizmu nie można naukowo scharakteryzować jako rekapitulacyę form w szeregu przodków, że z zewnętrznego podobieństwa

---

[1] *Die Elemente der Entwickelungslehre des Menschen u. der Wirbeltiere.* [4] 1910.

Manuel de physiologie, t. II, p. 724.

form embryonalnych z niższymi rodzajami zwierząt wnioskować nie można o wspólnem ich pochodzeniu. Wnioski te wieńczą krytyczne wywody embryologa O. Hertwiga nad prawem biogenetycznem [1].

»Każde zwierzę osiąga swój własny rozwój, pisze tenże O. Hertwig, jest jednym i tym samym osobnikiem w stanie jajowym, gastruli albo w każdem innem stadyum« [2]. Jaje nie powtarza wcale formy komórki ameboidalnej; jaje i ameba schodzą się tylko w pojęciu rodzajowem »komórki«. Niema więc podobieństwa istotnego, ani analogii doskonałej pomiędzy embryonami dwóch różnych gatunków, tem bardziej pomiędzy embryonem jednego gatunku a formą skończoną drugiego, gdyż jaje jest tak doskonałe w gatunku swoim, jak zwierzę mające się z niego rozwinąć. A zatem stadya w rozwoju embryonalnym mające z domniemanymi przodkami filogenii li tylko zewnętrzne podobieństwo, niczego jeszcze nie dowodzą. Zaiste nie jest to wcale naukowy ni logiczny wniosek: ssawce pochodzą od niślimki, ponieważ zarodki ich tworzą przejściowo strunę grzbietową, albo: ssawce pochodzą od ryb, ponieważ w ich stadyum zarodkowem występują zagłębienia, brózdki podobne do szczelin skrzelowych, jak to chcą teoretycy descendencyi. Albowiem zdolność do tworzenia struny grzbietowej lub szczelin gardzieli jest własnością zarodków wszystkich kręgowców, podobnie jak struna grzbietowa lub szczeliny gardzieli są ogólnemi cechami systematycznemi typu kręgowców. Takich ogólnych podobieństw, zachodzących pomiędzy formami kręgowców, zna anatomia bardzo wiele (serce, system krwionośny, budowa organów wzrokowych i słuchowych a wszystko to stanowi wspólne cechy gromad należących do jednolitego typu organizacyjnego).

Lecz warto zaznajomić się nieco bliżej z »szczelinami i łukami skrzelowymi«, jakie występują u zarodka człowieka, a które w myśl skrajnych zwolenników ewolucyi świadczyć mają o zwie-

[1] *Die Elemente der Entwickelungslehre des Menschen u. der Wirbeltiere.* 4 1910.

[2] *Handbuch d. Entwickelungsl.*, 160.

rzęcem jego pochodzeniu. Prof. Nusbaum n. p. powiada, »iż u zarodków gadów, ptaków i zwierząt ssących, pomimo że są to zwierzęta lądowe i nigdy nie oddychają skrzelami, pojawia się w szyjowej okolicy ciała kilka par szczelin (t. zw. skrzelowych) prowadzących do t. zw. kieszeni skrzelowych, które od strony wewnętrznej uchodzą do gardzieli, zupełnie jak u ryb chrzęstnoszkieletowych, a co ważniejsza, te kieszenie skrzelowe podtrzymywane są przez chrząstkowe łuki skrzelowe, z których większa część bez śladu jednak zanika, a tylko pierwsze pary zużywają się na wytworzenie składowych części kości gnykowej, pewnych kostek słuchowych, względnie chrząstek krtaniowych... Są to (te liczne pary szczelin i łuki chrząstkowe) utwory odziedziczone po przodkach, podobnie jak narządy szczątkowe u form dorosłych« [1]. A w podręczniku swoim do zoologii pisze tenże autor: »U wszystkich kręgowców, począwszy od ryb a kończąc na ssakach, w okolicy szyjowej występuje kilka par szczelin otwierających się do jamy gardzieli, a zwanych kieszeniami skrzelowemi... Otóż nawet u zarodka ssaków istnieją te szczeliny skrzelowe w okolicy szyjowej, nie mające tutaj żadnego znaczenia fizyologicznego; stopniowo zarastają one i zanikają. Stałe występowanie owych szczelin na szyi zarodka ssaków, nie oddychających przecież nigdy skrzelami i nie potrzebujących przeto wcale tych szczelin... jest więc tylko powtórzeniem w rozwoju zarodkowym stanów właściwych zwierzętom niżej uorganizowanym« [2].

Otóż, jak widzimy, w przytoczonych zdaniach rzecz o skrzelach ogólnikowo tylko jest ujęta. Rzecz oczywista, że dowodzenie takie a raczej twierdzenie jest bardzo wygodne. Przypatrzmy się atoli bliżej tej sprawie uwzględniając przytem przedewszystkiem człowieka. Najpierw tych »kilka par szczelin« występuje u różnych kręgowców w różnej liczbie. Ryby spodouste (selachii) mają ich po 6—8 par, ryby kostnoszkieletowe, płazy i gady mają po 5 par, ptaki natomiast, ssawce i człowiek po 4 pary tylko (Hertwig O.) Tylko u ryb z skrzeli tych powstają

[1] »Idea ewolucyi w biologii«, p. 109.
[2] »Zologia«, 1909, p. 78, 79.

prawdziwe i potężne skrzele. Nie wszystkie szczeliny i kieszenie skrzelowe znikają u kręgowców oddychających płucami; pierwsza bowiem kieszeń skrzelowa ma swoje przeznaczenie już od samego początku, a mianowicie powstaje z niej jama bębenkowa i trąbka Eustachiego[1]. U zarodka człowieka występują 4 zagłębienia na zewnątrz po bokach okolicy szyjowej, a po bokach gardzieli od wewnątrz tyleż kieszeni (torebek). Zagłębienia te nie prowadzą jednak wcale do kieszeni gardzieli czyli nie otwierają się nigdy do jamy gardzieli, ścianką zawsze są od siebie przegrodzone[2]. Z kieszeni wisceralnych (gardzieli) i przedzielających je łuków wisceralnych oraz z ich entodermowego materyału komórkowego powstają gruczoł tarczykowy i thymus[3]. A z trzech (albo i pięciu według innych) występujących u zarodka ludzkiego łuków chrząstkowych pierwszy najsilniej jest rozwinięty, ostatni najsłabiej[4]. A co najważniejsza nie większa ich część znika bez śladu, lecz owszem wszystkie przeznaczone są na wytworzenie odpowiednich par kości głowy i twarzy. I tak z łuku pierwszego powstają 2 kości słuchowe, młoteczek i kowadełko. Z drugiego powstaje processus styloideus (małe rogi gnykowe i część ciała gnykowego) i ligamentum stylo-hyoideum. Z trzeciego powstaje większa część ciała gnykowego i róg wielki kości gnykowej. Z czwartego powstaje Cartilago thyreoidea, chrząstka grdykowa, czyli tarczykowa (część górna) a z piątego łuku powstaje część dolna tejże chrząstki[5]. Te rzekome »szczeliny skrzelowe« nie są wcale skrzelinami. »Embryologia, powiada O. Wasmann[6], zna rzeczywiście u człowieka i ssawców tylko 4 pary płytkich bróżd... a brózdy

---

[1] Fleischmann: *Descendenztheorie* (1901), p. 239, 240.

[2] O. Hertwig: *Lehrbuch der vergleichenden Entwickelungsgesch. des Menschen und der Wirbeltiere.* [8] 1906, 352—356.

[3] Wiedersheim: *Bau d. Menschen...* (1908), 227.

[4] O trzech łukach mówi Hamann: *Entwickelungslehre und Darwinismus.* 1892, p. 34; Ranke: *Mensch* 1 [2], p. 145; o pięciu łukach mówi Wiedersheim: *Vergleichende Anatomie der Wirbeltiere* [7] (1909) p. 169.

[5] Dr. R. Wiedersheim: *Vergl. Anatomie der Wirbeltiere.* [7] 1909, p. 169.

[6] *Stimmen a. M. L.* 1909, H. 2, p. 182.

te nie przebijają się do prajelita (do jamy gardzieli), lecz z odpowiednimi łukami gardzieli tworzą ważne organa głowy«[1]. Że takie brózdki czyli zagłębienia przy tworzeniu się i zawiązywaniu się co dopiero przyszłych par kości (przewody słuchowe, kość gnykowa i t. d.)[2] występują, to przecież rzecz całkiem naturalna i konieczna nawet. Cztery te rowki dzielą przyległe partye tkanek na poszczególne terytorya, których komórki i tkanki zbijają się najpierw w łuki chrząstkowe (*natura non facit saltus;* najpierw chrząstki, potem kości), by potem w ciągu dalszego rozwoju w kości się przemienić. Gdzież tu jest jakie stadyum ryb? A chociażby nawet t. zw. prawo biogenetyczne miało swoje znaczenie, to i wtedy nie jesteśmy jeszcze do tego uprawnieni, abyśmy te rzekome szczelinki nazywali, a tem bardziej uważali za skrzele prawdziwe, a łuki chrząstkowe (przyszłe kości głowy) za prawdziwe łuki skrzelowe, gdyż u grupy zwierząt, od której rozgałęziły się ryby, nie potrzebowały szczeliny przekształcać się w skrzele; dopiero u samych ryb przekształcenie to mogło osiągnąć typową swoją formę i funkcyę. Trudno naprawdę pojąć, jakim to sposobem ze skrzeli rybich mogą powstać kości twarzy i głowy. Tak różne twory, jak skrzele ryb i kości głowy ssawców, powstać mogły tylko z zawiązków indyferentnych[3].

Wobec tego, cośmy wyżej o samem prawie biogenetycznem powiedzieli jako też co dopiero o »szczelinach skrzelowych«, dziwnie przemawiają do człowieka owe fałszowania naukowych wyników embryologii, jakich dopuszcza się Haeckel, kiedy n. p. twierdzi, że człowiek ma 5 par szczelin, które przebijają się do prajelita[4]. A ci, co powtarzają za Haecklem tego rodzaju niezgodne z prawdą i tendencyjne twierdzenia, zdradzają smutną

---

[1] Cf. Wasmann: *Biologie und Entwickelungstheorie* [3] 462; O. Hertwig: *Lehrbuch der vergl. Entwickelungsg. des Menschen u. der Wirbeltiere* [8], (1906) 352—356; *Handbuch der vergleich. u. exp. Entwickelungsgeschichte* III. (1906), 166 ff.; Hamann: *Entwickelungslehre und Darwinismus* (1892), p. 34.

[2] Hamann l. c.

[3] Hamann l. c.

[4] *Menschenproblem*, 1908, 34.

swoją bezkrytyczność. Jest to tylko gra słów, jeżeli ktoś opierając się li tylko na czysto zewnętrznem i pozornem podobieństwie »szczelin« twierdzi, że człowiek pochodzi od ryb, że rzekome te »szczeliny skrzelowe« — nazwa ta pochodzi od Haeckla — to rekapitulacya stanów właściwych przodkom naszym niżej uorganizowanym, że z pojawienia się tych szczelin skrzelowych, jako urządzeń odziedziczonych po przodkach (to trzeba dopiero wykazać), wynikać ma wspólność pochodzenia. To też tego rodzaju, nie powiem mrzonki darwinistyczne, lecz rzeczy naukowo nie uzasadnione i ogólnie nie przyjęte umieszczać w podręczniku szkolnym, znaczy tyle, co godzić w powagę nauki i podkopywać rzetelną oświatę.

Nie koniec jeszcze na krytyce prawa biogenetycznego.

Pomijając już to, że stoi ono w sprzeczności z mechanistycznym darwinizmem, gdyż gdzie jest prawo, tam o wyłącznym mechanizmie mowy być nie może, wspomnieć należy najpierw o tem, że prawo biogenetyczne prowadzi do niedorzeczności. Weźmy n. p. stadyum zarodka ssawca mającego nadmiernie wielki mózg i rdzeń pacierzowy a bardzo małe zawiązki narządów ruchowych; czyż forma taka w ontogenii miałaby być rekapitulacyą formy odpowiedniej filogenii? Albo weźmy inne jeszcze stadyum, w którym zarodek ssawców zgoła pozbawiony jest przewodu pokarmowego, czyż tego rodzaju istoty organiczne istniały kiedy w szeregu w filogenii? Ranke, Hagen, Aeby, Kollmann i Stratz wykazali, że początkowa, według pojmowania embryologów, forma czaszki ludzkiej, jaką widzimy u dziecięcia, utrzymuje się jak najdoskonalej u dorosłego Europejczyka i to przez całe życie; a zatem według prawa biogenetycznego najbardziej pierwotną formą ludzką powinien być Europejczyk, nie zaś Australczyk albo Neaudertalczyk. Van den Brock wywodzi, iż na mocy prawa biogenetycznego spodziewaćby się należało, że czaszka jako też i miednica zarodka ludzkiego powinny okazać formy antropoidalne albo podobne do małp, i że takich form domagaćby się należało dla bezpośredniego przodka człowieka (missing link); tymczasem rzecz temu oczekiwaniu wręcz przeciwna okazała

się prawdziwą. Nie zarodkowa czaszka ludzka okazuje formy antropoidalne lecz zarodkowa czaszka antropoidów okazuje formy ludzkie[1]. Byłoby zajmującem dowiedzieć się, powiada O. Wasmann, na jakiej »cenogenezie« lub późniejszem sfałszowaniu rozwoju przez przystosowanie polega to faktyczne zjawisko, że młode małpy bardziej podobne są do ludzi w ukształtowaniu czaszki i twarzy aniżeli stare. Na późniejszem przystosowaniu podobieństwo to polegać nie może; jest to więc dobry argument *ad hominem* przeciw bezpośredniemu pochodzeniu człowieka od małpy (w założeniu, że prawo biogenetyczne jest prawem, że ontogenia jest dokładną rekapitulacyą filogenii)[2]. Zaznaczyć tu należy, że nie chodzi tu wprost o pochodzenie człowieka, lecz tylko o prawo biogenetyczne i jego bezpodstawność. Nic tu nie pomoże powiedzenie, że prawa tego w dosłownem brzmieniu brać nie można, gdyż powiedzenie takie niczem innem nie jest jak tylko »ogólnikiem«, podobnie jak powiedzenie, że ontogenia to »zwarty i skrócony wyciąg« historyi rozwoju. Przekonywującego dowodu nikt jeszcze nie dał na prawdziwość prawa, którego w dosłownem brzmieniu brać nie można To też sławny embryolog O. Hertwig słusznie zgadza się z C. Gegenbaur'em, mistrzem w badaniu anatomicznem, na to, że ontogenia jest polem, na którem ruchliwa fantazya przy poszukiwaniu za stosunkami filogenetycznymi wprawdzie niebezpiecznie igrać może, lecz na którem wyniki pewne nie są bynajmniej wszędzie jawne[3].

Prawo biogenetyczne uważane bywa za jeden z dowodów rozwoju monofiletycznego organicznego świata, więc pochodzenia człowieka od zwierząt a ostatecznie od prakomórki. Pomijając już milczeniem to, że w rekapitulacyi form filogenii tkwi *petitio principii*, gdyż jak Steinmann[4] dobrze zaznacza, do naukowego uzasadnienia prawa biogenetycznego trzeba mieć przynajmniej kilka szeregów zupełnych filogenii. Rzeczywistej

---

[1] Kohlbrugge: l. c. p. 77.

[2] Wasmann: *Kampf um Entw.* p. 116; cf. p. 45.

[3] *Das biog. Grundges. nach dem heut. Stande d. Biol. Internat. Wochenschrift für Wissensch.* 1907, nr. 2, 3.

[4] *Geol. Grundlag. d. Abstammungsl.*, 1908, 15.

jednak zgodności ontogenii z filogenią nie wykazano dotąd w żadnym zgoła wypadku. Co więcej, szereg uchodzący za najzupełniejszy, mianowicie sławny ów szereg konia nie stwierdza tego prawa; ontogenia bowiem konia dzisiejszego rozpoczyna się jednym palcem a nie pięcioma. Otóż pomijając to wszystko milczeniem, przypatrzmy się, jakie usługi oddaje prawo biogenetyczne konstrukcyom drzewa genealogicznego człowieka. Najlepiej zobaczymy to u Haeckla.

Stosując to prawo do rozwoju człowieka, zestawił Haeckel w swojej »Ogólnej morfologii« (1866) 10 stopni przodków w obrębie zwierząt kręgowych, w »Antropogenii« (1874) wylicza już stopni 22 (włącznie z bezkręg.), a od r. 1898 umieszcza w dziełach swoich tablicę z 30 stopniami, mającymi przedstawiać przodków człowieka. »Jeżeli tablicę tę zmyślonemi formami przodków i zmyślonymi stosunkami pokrewieństwa przepełnioną, którą Haeckel z dumą nazywa *Progonotaxis des Menschen*, nazwie się wytworem fantazyi, powiada O. Wasmann, to sądzi się jeszcze bardzo łagodnie o jej wartości«[1]. Zdania *simplex sigillum veri* stosować nie można do filetycznej antropologii Haeckla ani do jej fundamentu t. j. do prawa biogenetycznego. I tu trzeba było uciec się do nierzetelnych środków. Że człowiek pochodzi od małpy, to u Haeckla fakt historyczny[2]. A którzy to są przodkowie bezpośredni człowieka? Oto z pomiędzy nich: Archiprimas, Archipithecus, Prothylobates, Pithecanthropus alalus i t. d., same formy zmyślone[3]. A po każdej z tych zmyślonych form umieścił Haeckel krzyżyk na znak, że już ich niema pomiędzy żyjącymi[4]. W dziele swojem p. t. *Systematische Phylogenie* (1895) mówi Haeckel o »idealnym obrazie« hipotetycznej grupy rodowodowej wszystkich kręgowców wyższych (str. 303); w pismach atoli dla szerszych kół »obraz idealny« za-

[1] *Stimmen a. M. L.* 1909. H. 2, p. 170.

[2] *Welträtsel*, 1899, p. 97.

[3] *Kampf um den Entwickelungsgedanken*, 1905, p. 99. — *Menschenproblem* [2] 1908, p. 60, 61.

[4] *Unsere Ahnenreihe*. 1908.

mienia się w »fakt historyczny«[1]. Raz twierdzi, że pochodzenie człowieka od małpy (od ssawców podobnych do małp okresu trzeciorzędnego) jest naukowo poznanym faktem historycznym (Menschenproblem p. 36), innym razem znowu, że filetyczne jego szkice i prowizoryczne drzewa genealogiczne są heurystycznemi hipotezami[2]. W jednem i tem samem nawet dziele pochodzenie człowieka od małpy raz jest hipotezą, to znowu nie ulega ono wątpliwości[3]. A sławny ów Pithecanthropus erectus, którego szczątki (uszkodzone sklepienie czaszki, 2 czy 3 zęby trzonowe, kość udowa — przynależność tych części do siebie jest zakwestyonowana —) należą do małpy z rodziny gibonowatych (Hylobatidae), jak to wykazali i zaznaczali Macnamara[4], Bumüller[5], Klaatsch[6], Kohlbrugge[7] i inni antropologowie (zdanie to podzielają też wybitni zoologowie jak n. p. R. Hertwig), pochodzić ma według Haeckla[8] z pliocenu, pomimo że nowsze badania naukowe d-ra Volza, Karthausa i innych wykazały, iż małpa z Jawy (Pithecanthropus) pochodzi z średniego dyluwium. Za Haecklem powtarza to samo i prof. Nusbaum[9].

Haeckel nie mógł inaczej postępować, jak tylko naciągać fakty do teoryi swojej, gdyż paleontologia nie świadczy za rozwojem monofiletycznym a tem samem i za jego prawem biogenetycznem i zwierzęcem pochodzeniem człowieka. Na międzynarodowym zjeździe geologów w Zurychu powiedział był v. Zittel, że prawo biogenetyczne nie sprawdza się, skoro uwzględnimy paleontologię. A Steinmann powiada, że w żadnej dobrze przekazanej grupie zwierząt albo roślin nie można było odnaleźć

---

[1] *Menschenproblem* 1908, p. 18.
[2] *Unsere Ahnenreihe.* 1908, 51.
[3] *Unsere Ahn. Kr. St.* 34, 51.
[4] *Archiv für Anthrop.* XXVIII, (1903), 349—360.
[5] *Korrespondenzblatt d. deutsch Antrop. Ges.* XXX (1899), 157.
[6] L. c. 160; Verh. d. anat. Ges. in Bonn (1901), 121.
[7] *Morph. Abstam. d. Menschen* (1908), 9.
[8] L. c. 54.
[9] »Idea ewolucyi w biol.« 88.

praformy... przeciwnie każdy postęp paleontologii zawiódł to oczekiwanie...« [1]. Z dzieł Koken'a, v. Zittla, Steinmanna, Handlirscha, Depéret'a wynika, że descendencyi, któraby zatarła wszelkie granice systematyczne, jeszcze nie udowodniono, ani nawet jej prawdopodobieństwa. Następstwo kolejne organicznych form w okresach geologicznych wyrobiło u bardzo wielu teoretyków descendencyi to przekonanie, jakoby istniało »prawo ciągłego i stopniowego rozwoju« poprzez gromady i zworza nawet. Tymczasem nasamprzód fakt następstwa coraz to doskonalszych form wogóle nie jest jeszcze faktem rozwoju. Następstwo to jako fakt musi dopiero być wytłumaczone, czy powstało drogą rozwoju, a jeżeli tak, to w jakim zakresie. Powtóre pochodzenie organizmów wyższych z niższych paleontologicznie wykazać się nie da, co i Reinke niedawno podnosił [2]. To też zawcześnie głoszono ogólną descendencyę; pracy przygotowawczej było za mało.

Zawcześnie postawiono naukę o genetycznej jedności wszystkich organizmów, człowieka nie wyjąwszy. Dowodem tego jest pokuszenie się o stwierdzenie descendencyi monofiletycznej *a priori* prawem biogenetycznem albo tak ogólną hipotezą, jaką jest darwinizm, którego rzeczywistą podstawą była obserwacya nieznanych zmian dzisiaj żyjących form organicznych oraz fakt, znany tylko ogólnie, że dawniejsza fauna i flora różni się od dzisiejszej. Wprawdzie pokazuje nam paleontologia niektóre przykłady wyraźnego postępu w różniczkowaniu się form organicznych, lecz nie daje nam żadnego prawa do uogólnienia tych zmian, lub do dowolnego rozszerzenia ich zakresu. Owszem wyniki jej sprzeciwiają się wprost descendencyi monofiletycznej. O początkach fauny i flory nic zgoła nie wiemy. W formacyi kambryjskiej występują równocześnie prawie wszystkie typy zwierząt z wyjątkiem kręgowców; a pierwsze te formy nie są bynajmniej niedoskonałe, często przewyższają one formy dzisiejsze [3]. Trylobity

[1] *Geol. Grundl. d. Abst.* 1908, 17
[2] *Naturw. Vorträge*, 32.
[3] Torrent: *Le transformisme dans le règne végétal.*

n. p. są istotami o bardzo wysokiej organizacyi (mają segmenty, aparat oddechowy, macki, nogi członkowane, jak to wykazał Ch. Walcott); oczy ich posiadały około 15.000 ścianek. Fakt to niemniej znaczący, że i w faunie sylurskiej nagle zjawiają się przeróżne typy organiczne[1]. O zmianach u kręgowców, które pojawiły się nagle, wiemy, że nie przekroczyły granicy pierwotnej wysokości organizacyi; wprawdzie wyższe gromady kręgowców pojawiły się później od niższych, dowodu atoli geologicznego żadnego nie mamy na pochodzenie gromad wyższych od niższych. Typy i inne wielkie działy z kambryum i syluru nie zmieniły się wcale pod względem głównego charakteru swej organizacyi. Wielka ilość gromad, rzędów, familii, nawet rodzajów i gatunków trwają niezmiennie w typie sobie właściwym od czasów najdawniejszych. Wykazuje to szeroko prof. dr. A. Schmitt w książce swojej p. t. *Das Zeugniss der Versteinerungen gegen den Darwinismus* (1908). Odbywały się zmiany ale nie w znaczeniu wstępującego rozwoju z niższego stopnia organizacyi w wyższy, jak to suponuje prawo biogenetyczne i descendencya darwinistyczna pokroju Haeckla, monofiletyczna, lecz w znaczeniu rozwoju postępującego, wykluczającego zmianę stopnia organizacyi. Nie tu miejsce rozpisywać się nad poważnym dwuznacznikiem pojęcia progresywnego rozwoju gatunków. Więc zmiana w pewnych granicach, ale nie postęp ustępujący w organizacyi. Za tem przemawiają też podjęte w ostatnich czasach badania głębin oceanu; wydobyto na światło dzienne formy znane dotąd tylko jako kopalne[2]. »Paleontolog, powiada J. Walter[3], musiałby przedłożoną sobie dzisiejszą faunę morską uważać za mezozoiczną«.

Biorąc na uwagę wszystkie typy, dziwić się należy nad ubóstwem zmian wobec tak ogromnego materyału. W sylurze było 1400 gatunków trylobitów; głowonogi zmieniały się tak, iż

---

[1] M. de Lapparent: *Traité de géologie*[5] (1906), 772.

[2] *Ostasienfahrt...* (1906), 268.

[3] *Ueber Entstehung und Besied. der Tiefsebecken. Nat. Wochenschr.* (1904) 721.

naliczono aż do 2800 gatunków, lecz pomimo to pozostawały tem, czem były, t. j. głowonogami. Podobnie ma się rzecz z ammonitami i belemnitami, których było aż 5000 gatunków a jednak modyfikacye ich i zmiany nie pociągały za sobą zmiany wysokości organizacyi co zresztą widzimy i na szeregu kopalnych muszli rodzaju Paludina. Wśród kolejnych przekształceń żyworodek (Paludina) pozostał żyworodkiem. Słowem, musimy powtórzyć za B. Kayserlingem[1], że paleontologia nie przemawia za rozwojem wstępującym.

Paleontologia wykazuje, że gromady i podgromady ostro są od siebie odgraniczone, że praform nie mamy ani dostatecznej ilości progresywnych form przejściowych. Paleontolog Koken[2] powiada, iż »gromady i same rzędy nawet śledzić można dalej, aniżeli dawniej myślano, a o niektórych typach, o których pod naporem darwinistycznych idei mniemano, że można je od siebie wyprowadzić, wiadomo teraz, że przez dłuższy czas żyły obok siebie i nadaremnie wyczekujemy punktu przecięcia się linii«. To samo wykazali Neumayr i Waagen na ammonitach, Yakovlew na pewnych małżach, Osborn na gatunku Rhinoceros, Handlirsch na licznych grupach owadów[3]. Podobne zapatrywanie wyrażali też inni paleontologowie, jak v. Zittel, Zeiler (1900) i Depérét (1907). Steinmann mówi wprost o bankructwie obecnych nauk o pochodzeniu i skarży się na zaniedbanie materyału historycznego podobnie jak Diener i Jaeckel.

A w szczególności za pochodzeniem zwierzęcem człowieka paleontologia nie przemawia. »I tak, powiada Radl[4], po przeczytaniu dzieł antropologicznych pozostaje jedna jedyna pewność, że nie wiemy nic o zwierzęcych przodkach człowieka«. Podobnie wyraził się zeszłego roku tajny radca, prof. Branca, dyrektor geologiczno-paleontologicznego instytutu uniwersytetu berlińskiego.

---

[1] *Gefüge der Welt,* 47, A.
[2] *Vorwelt u. ihre Entwickelungsgesch.,* 620.
[3] Steinmann: *Grunds. d. Abst.* 93.
[4] *Gesch. d. biol. Theor.* (1909), II, 318.

Paleontologia nie zna dotąd zwierzęcych przodków człowieka, owszem spekulatywne wyobrażenia nasze o najbliższym naszym zwierzęcym trzeciorzędnym przodku zawierają w sobie sprzeczność. »Leży więc rzeczywiście sprzeczność w owych dwóch powyższych faktach, z których jeden (transfuzye krwi, Friedenthal) wskazuje na to, że rozgałęzienia człowieka i małpoczłowieka niedawno dopiero, jak się zdaje, od siebie się oddzieliły, podczas gdy inny (rozwój mózgu i mowa) wskazuje jak zdaje się na to, że przeciwnie nastąpić to musiało już przed bardzo dawnymi czasy«[1]. Nawiasowo dodać tu należy, że owa transfuzya i zgodność w reakcyi krwi, jaka ma miejsce u gatunków bliżej ze sobą spokrewnionych, a którą prof. Nusbaum uważa za fizyologiczne kryteryum istotnego pokrewieństwa, nie wyjaśnia najpierw wcale stosunków pokrewieństwa, gdyż reakcya ta jest zgodna i pomiędzy formami stojącemi od siebie bardzo daleko, o których genetycznej łączności nikt na seryo nie myśli (jak n. p. pomiędzy niektórymi gatunkami skorupowców a mewami), a powtóre nie udowadnia wcale istotnego pokrewieństwa krwi pomiędzy człowiekiem a małpą, gdyż krew ludzką można metodą chemiczną z całą pewnością odróżnić od krwi antropoidów, czego dokazał Martin[2]. Nic więc z tej identyczności krwi ludzkiej i małpiej. Koniec końcem ta sama paleontologia, która zna skamieliny 38 rodzajów małpiątek a 18 rodzajów małp, nie zna ani jednej formy przejściowej do człowieka dyluwialnego, o którego psychicznych zdolnościach, właściwych istocie rozumnej świadczy wszystko, co tylko o nim wiemy[3]. Śmiało rzec można, że o te fakta paleontologiczne rozbija się prawo biogenetyczne oraz i descendencya monofiletyczna.

Wniosek ten potwierdzają też dane z botaniki, na którą Darwin za mało zwracał uwagi, nie będąc z nią dostatecznie obznajomiony. Otóż faktem jest, że rośliny czasów dawniejszych

---

[1] Branca: *Stand uns. Kenntnisse v. foss. Menschen*, (1910), 80.

[2] *Biol. Reaktionen d. Eiweisk. u. d. Blutsverw. von Mensch und Affen. Unsere Welt* (1909), 556—561.

[3] F. Birkner: *Der diluv. Mensch in Europa.* (1910), 26.

odstępują w sposób różnoraki od swoich późniejszych przedstawicieli, lecz, jak to podkreśla Kerner v. Merilaun[1], »właściwości typu« nigdy zamazane nie zostały. Krytozalążkowe rośliny kwiatowe zjawiają się nagle w kredzie i to we formach, których wysokość organizacyi odpowiada dzisiejszym ich przedstawicielom. Kerner i Reinke podnoszą to wyraźnie, że »przeobrażenie dokonywało się na prawie równej wysokości organizacyi«. Więc i w państwie roślinnem mamy tylko zmiany organizmów w pewnych określonych granicach. Faktem jest, że »od początku większość grup państwa roślinnego pojawia się w przerwach... i nigdzie nie widać stopniowego postępu. Badając typy, których zmienność w całej ich rozciągłości śledzić można, widzimy, że zmiany te zatrzymują się w pewnych granicach, nie przekraczając odstępu odłączającego jedne typy od drugich najbliższych«. Powiedział to R. Zeiller[2], człowiek, o którym wyraża się Ch. Flahault, prof. botaniki na uniwersytecie w Montpelier, że jest to umysł bardzo pozytywny, daleki od wszelkiego dogmatyzmu[3]. Wobec takiego stanu rzeczy, nic w tem dziwnego, że M. Carruthers, prezydent Tow. geolog. Wielkiej Brytanii, powiedział po wywodach swoich nad formami przejściowemi, iż wszystkie dowody czerpane z paleontologii świadczą przeciw ewolucyi[4].

Przy tej sposobności chcę tu pokazać, choćby na jednym tylko przykładzie, jak to na baczności mieć się trzeba przed dowodami przytaczanymi na ewolucyę i na aktualną transformacyę gatunków. Któż nie słyszał coś o owych królikach z Porto Santo (wyspa w pobliżu Madery), które, przewiezione tam przed czterema wiekami do tego stopnia zmienić się miały, jak powiada Haeckel[5], że zdziczały, zmalały do wielkości szczura, że nie krzyżują się z przodkami europejskimi, słowem, że powstał nowy stały gatunek. Przykład ten powtarza też prof. Nusbaum. »Ale

[1] *Pflanzenleben* II, 601.
[2] *Elements de Paleobotanique*, 1900.
[3] *Revue générale des Sciences*, (1900), 1149.
[4] J. Gerard S. J.: *The Old Riddle*, 216—219.
[5] *Histoire de la création naturelle*, 140.

z drugiej strony, mówi on, mamy dowody na to, że rasy powstałe drogą doboru, gdy istnieją przez czas bardzo długi i ustaliły się pod względem posiadanych cech swoistych, nie powracają do praszczepu, pomimo iż kultura ich całkiem ustała. Tak n. p. królik domowy, przewieziony na wyspę Porto Santo i pozostawiony samemu sobie, zdziczał, ale nie powrócił do postaci pierwotnej, lecz wytworzył formę nową, karłowatą, która nawet nie parzyła się z królikiem europejskim« [1]. Przykład ten znajdujemy też w podręczniku szkolnym do zoologii tegoż autora [2]. Niedelikatności naszej nie weźmie nam nikt za złe, że nie wierzymy Haecklowi i jego szkole, a to wobec tego, co się wyżej powiedziało o Haecklu. Otóż lizboński botanik O. C. Torrend zasięgnął wiadomości przez swojego przyjaciela O. Em. Silveira (przyrodnika w seminaryum w Funchal) od Ad. C. de Norouha i okazało się, że skrzyżowanie pomiędzy królikami z Porto Santo a europejskimi jest nie tylko możliwe ale służy nawet zwykle jako środek wzmocnienia rasy. Prawda, że króliki z Porto Santo przedstawiają typowy przykład nanizmu (zjawisko to przypisać należy brakowi przestrzeni i miejsca), lecz co się tyczy rzekomego skarłowacenia i zdziczenia, to jest to czysty wymysł i fantazya. Oto dowód transformizmu! [3] A chociażby tego rodzaju przykłady były prawdziwe, nie stanowią one wcale dowodu na ewolucyę i przemienność bez granic, lecz tylko na zmienność w ciasnych granicach. Przy tej sposobności możnaby i o tem coś powiedzieć, jak to i w naukowych muzeach odlewy gipsowe tendencyjnie bywają fałszowane; nie chcemy atoli zbyt odbiegać od przedmiotu.

Zresztą zbytecznem jest rozwodzić się nad roztrząsaniem »prawa biogenetycznego«, skoro nawet darwiniści z przekonania wyrzekli się tego dogmatu »wiedzy« i monizmu. Filozof H. Spitzer nazywa prawo biogenetyczne wyobrażeniem, przypominającem

---

[1] »Idea ewolucyi w biol.«, 393, 16.

[2] »Zoologia«, 80.

[3] Torrend: *Le transformisme dans le règne végétal. Revue de Phil.* (1910), nr. 9—10, 306, 307.

fantazye Oken-Serres'a i radzi, by je wyrzucono z wiedzy [1]. Vogt przyznaje, że jakkolwiek przez czas dłuższy uważał t. zw. prawo biogenetyczne za dobrze uzasadnione, przekonał się nareszcie o absolutnej fałszywości jego podstaw. Istotnie ścisłe badania embryogenii pokazują nam, jak powiada tenże zwolennik darwinizmu, w rzeczy samej, że embryony mają swoją względną harmonię, jednak zupełnie różną od tej, jaka zachodzi u organizmów dojrzałych [2]. Tak wyrażają się darwiniści o prawie biogenetycznem. Nic więc dziwnego, że antydarwiniści wyrażają się o niem jeszcze ostrzej. Odrzucali je i odrzucają His, v. Baer, A. Oppel, Hensen, Beard, Emery, Keibel, Reinke, Driesch, O. Hertwig i wielu innych. K. E. von Baer n. p. największy embryolog zeszłego stulecia powiada: »Jeszcze mniej za ważne uważać możemy prawo postawione przez podarwinistów, że rozwój osobnika (ontogenia) powtarza szereg swoich przodków (filogenia), gdyż pierwszy wykazuje tylko według naszego poglądu przejście ze stosunków ogólniejszych do bardziej szczegółowych, nie zaś przejście z poszczególnych specyalnych do innych specyalnych« [3].

Cofając się myślą wstecz i obejmując wszystko, cośmy o prawie biogenetycznem powiedzieli, przyznać trzeba, że nie można go przyjąć w całej jego rozciągłości i powszechności a więc i w zastosowaniu go do człowieka w charakterze dowodu na zwierzęce jego pochodzenie. Że nie chodzi tu o zasadnicze prawo, poczynają to już uznawać chociaż jeszcze nie ogólnie. Nie chcący mimoto wyrzec się tego prawa, trzymają się go nadal pod nową nazwą »reguły biogenetycznej« albo »zasady biogenetycznej«. Nowa ta nazwa wydaje się pozornie usuwać wszystkie wyjątki i sprzeczności, przedstawiając je w słabem świetle, w rzeczywistości jednak ułatwia jeszcze bardziej dowolne przykrajanie upatrzonego schematu. Zmieniła się nazwa, rzecz pozostała ta sama oraz i metoda jej używania, prowadząca raczej

[1] *Beiträge zur Descendenztheorie*, (1886), 233.

[2] *Quelques hérésies Darwinistes*, par C. Vogt. *Revue Scientif.* t. XXXVIII, 485, 486.

[3] *Studien aus d. Geb. Naturwiss.* (1876), VIII.

do wyników fantastycznych niż naukowych. Konsekwentniejszymi atoli w sposobie wyrażania się są ci, co mówią jeszcze o »prawie biogenetycznem«.

Pozorne rekapitulacye wielu stadyów przodków tłumaczą tem, że rozwój z natury swojej postępuje z form prostych do złożonych. Im wyżej jakaś forma zwierzęca jest uorganizowana, tem więcej też stadyów przebiedz musi, zanim nareszcie osiągnie skomplikowane swoje stadyum końcowe i również naturalną jest rzeczą, że poprzedzające stadya przejściowe, ponieważ prostsze, podobne są do stadyów końcowych zwierząt innych, stojących na niższym szczeblu organizacyi (Wasmann). To też O. Hertwig wprowadza miasto wyrazów: »powtórzenie form przodków wygasłych«, inne, mianowicie: »powtórzenie form, które są prawidłowe dla rozwoju organicznego i zdążają od tego, co proste, ku temu, co więcej jest zawiłe«.

(Dok. n.)

Ks. F. Chmura.

PRZEŻYCIA ESTETYCZNE A MORALNOŚC.

(Ciąg dalszy).

Kiedy mówimy tu o przeżyciach estetycznych, nie rozumiemy przez nie tylko tego ich rodzaju, który w estetyce Volkelta dostał miano wczuć akcentowanych, *betonte Einfühlung*, t. j. tych wczuć estetycznych, w których człowiek, zdając sobie sprawę z ich istnienia i charakteru moralnego, poddaje się świadomie urokowi wywołującego je przedmiotu, pozwala mu objąć całą swą duszę, utrwala w sobie, przyjmuje wraz z zabarwieniem moralnem do ścisłego kółka swych najbardziej osobistych, z całą samowiedzą dokonanych czynów. Oczywiście, że tego rodzaju wczucia z świadomością ich charakteru moralnego przyjęte i zaaprobowane muszą bezpośrednio wpływać na moralność. Aprobata, jakiej im człowiek udziela, decyduje o losach samej moralności osobistej. W nich należy się nie tylko dopatrywać wpływu na moralność, ale w nich, w ich świadomem zaakcentowaniu wyraża się moralność, jako dany fakt, w głównej i zasadniczej swej osnowie już skończony. Rozkoszowanie się widokiem walczących na życie i śmierć gladyatorów, przeżywanie w sobie brutalnego wyładowywania siły fizycznej, miażdżącej i niszczącej życie ludzkie, świadome upajanie się widokiem pokaleczonego człowieka, konającego z nożem wbijanym przez szczęśliwego zwycięzcę, to wszystko świadomie przeniesione na grunt własnej duszy w przeżyciu estetycznem, w upodobaniu i świadomej rozkoszy z mordu, wskazuje, że w duszy nastąpiło wewnętrzne złączenie się, to zidentyfikowanie ze złem,

na którem polega istota moralności. Choćby nawet tego rodzaju estetyczne przeżycia były uprawnione przez prawo państwowe, choćby państwo dostarczało sposobności i zachęty do nich, jednakowoż zawsze one stać będą w rzędzie tych czynów, które sumienie potępia ze względu na zawarte w nich przyzwolenie na nieodłączny od nich kierunek niegodziwy. Jak można przyzwalać i akcentować w sobie wzbudzone wczucia estetyczne o kierunku niemoralnym, i wtedy całe przeżycie nosi na sobie charakter przewrotny i zły, tak wczucia estetyczne z tendencyą dobrą, o ile świadomie zostaną przyjęte, i świadomie dano im warunki do rozwoju, już są czemś moralnie dobrem i pochwały godnem.

Nie wszystkie jednak przeżycia estetyczne są tego rodzaju.

Są najpierw przeżycia, które, choć z całą świadomością przyjęte do liczby działań z odpowiedzialnością osobistą, nie wykazują na sobie żadnego wybitnego charakteru moralnego. Jakże np. oznaczyć moralną wartość upodobania w bezmiarze kołyszących się miękko fal morskich, albo wsłuchiwanie się w poważne nokturny szumiących wieczorami borów lub wmyślanie się w ogrom boleści takiego Ojca zadżumionych? Ani złe ani dobre, względem moralnych zasad zajmują stanowisko obojętne.

Są jeszcze inne przeżycia, które, choć posiadają zabarwienie moralne, są jednak pozbawione przyjęcia formalnego, brak im zgody ze strony człowieka na tendencye w nich zawarte. Człowiek w tego rodzaju przeżyciach zachowuje się raczej biernie, niż czynnie. Doznaje od estetycznego przedmiotu pewnych wrażeń, ale ze swej strony nie chce jasno odpowiadać na nie. Słuchać, słucha tego szeptu rozkosznego, z którym zwracają się do niego przedmioty estetyczne i sprawia mu ten szept nawet przyjemność, ale nie zważa na żądanie zawarte w tym szepcie. Może się go domyślać początkowo, może później nawet odczuwać wyraźne domaganie się inicyatywy w pewnym kierunku, ale on to żądanie zbywa milczeniem. Nie mówi ‚tak' — ani ‚nie', zachowanie się jego jest wymijające. Zaproszenie, propozycye zawarte we wrażeniach spływających na niego od przedmiotu nie znajdują ani zupełnego przyjęcia, ani zupełnego odrzucenia.

To niejasne stanowisko, brak decyzyi na moralny kierunek

odbieranych wrażeń, albo też omijanie go sprawia, że w tym wypadku, przeżycia estetycznego o kierunku dobrym, nie można bezwarunkowo pochwalić i uznać za dobry, ani bez zastrzeżeń potępić przeżycia o kierunku złym i niemoralnym. Ani w jednym ani w drugim wypadku nie było jeszcze tego zespolenia, zidentyfikowania się duszy z dobrem i złem, jakiego się wymaga do zupełnego wykończenia charakteru moralnego czynów i postępowania ludzkiego.

Kiedy we wczuciach akcentowanych, w głębinach duszy odbyły się już tajemnicze zaślubiny jej z dobrem lub złem, na których polega istota moralności, choćby się nawet nie pokazał owoc tych zaślubin: czyn dobry lub zły — to w przeżyciach estetycznych, o których mowa, zaślubiny jeszcze nie nastąpiły. Jest to czas przygotowania i wzajemnych pociągów, spoglądania na siebie, zbliżania się wzajemnego, bez żadnych formalnych zobowiązań. Przedmiot estetyczny odsłania się ze swemi zaletami, budzi zainteresowanie, żąda żeby go przypuścić i objąć w duszy; człowiek ze swej strony interesuje się nim, ale żadnych zobowiązań nie robi, nie decyduje się, może wprost unika decyzyi.

Tego rodzaju przeżyć estetycznych nieakcentowanych, bez formalnej cechy moralności, naliczyć można wogóle więcej w życiu, aniżeli akcentowanych. A zdarzają się one u ludzi częściej, choćby już z tego względu, że nie mając jeszcze do siebie dołączonej jasnej decyzyi woli, stanowią niższy stopień w rozwoju psychologicznym tego samego duchowego działania, którego wyższym stopniem jest przeżycie akcentowane. Jako pierwotniejsze i mniej świadome są przystępniejsze dla wszystkich, tak dla tych, którzy nie umieją zdać sobie sprawy z ich moralnej zawartości, jak i dla tych, którzy teoretycznie zdolni są ją ocenić doskonale, w praktyce zaś nie zbliżają się do tej jasności, przy której odbywa się moralny wybór i decyzya. Dlatego można na pewne twierdzić, że dla braku moralnego uświadomienia przy samych przeżyciach estetycznych, większa ich część dochodzi tylko do granic i staje u progu właściwej moralności i poczytalności osobistej. Zresztą większość ludzi używa przeżyć estetycznych, nie zwracając uwagi

na ich stosunek do moralności, nie myśląc o nim; używa dlatego, że się podobają, że w nich znajdują łatwe i przyjemne zajęcie.

Atoli ta nieuwaga, popełniana przy przeżyciach estetycznych i zapominanie o względach moralnych, jakkolwiek powoduje, że nie widać w nich samych cech formalnej moralności, nie pozostaje jednak bez wpływu na dalszy rozwój moralnego postępowania. Owszem te niedość świadome używania estetyczne, z których człowiek nie zdaje sobie dostatecznej sprawy, stają się czasem przyczyną przełomowych zmian w duszy. Ich działanie uchodzące należytej uwagi, albo wprost bagatelizowane i lekceważone, jest podobne do działania wezbranej wody rzecznej, która może nie zawsze coś zniszczy zupełnie widocznie, ale za każdem wezbraniem osłabia objęte prądem przedmioty, nieraz podmyje fundamenta, że choć gmach niby stoi, ale zupełna ruina jest tylko kwestyą chwil paru.

Działanie ich polega na wnętrznem przysposobieniu duszy do zupełnego i świadomego przyjęcia wrażeń i wczuć wnoszonych przez przedmiot estetycznego użycia. One wytwarzają w duszy tę atmosferę, przy której zapłodnienie duszy przedmiotem dobrym lub złym najprędzej i najłatwiej przychodzi do skutku, myśl dobra lub zła najprędzej dojrzewa i zmienia się w postanowienie, i najczęściej pokazuje się także czyn i postępowanie, jako odpowiedni owoc owej myśli i zamiaru. Atmosfera ta będzie się przedstawiała bardzo rozmaicie. Raz spokojna, pogodna, jak chwile po zachodzie słońca, to znów senna, jak mrzenia drobnego deszczyka. Niekiedy zasępiona, to znów jasna, raz spokojna wśród zupełnej ciszy, to znów wzburzona jakby jakiemś żywiołowem szarpaniem. W tysiącznych odmianach będzie występować, a każda taka odmiana ogólnego stanu psychicznego będzie przedstawiała nadzwyczaj dogodne warunki do udania się i wzrostu posiewu, jaki się dokonywa podczas estetycznego przeżycia.

W normalnych warunkach, gdy uczucia spoczywają, drzemią żądze, i siły duchowe człowieka znajdują się w zrównoważonym spokoju, rzadko się zdarza, żeby sąd moralny i wybór między dobrem a złem wypadł fałszywie i niekorzystnie dla dobra. Wówczas nawet wobec dobrego pozostaje człowiek w chłodnej rezerwie:

nie zbliża się do przedmiotów, owszem zdaje się odłączać od nich, trzyma się od nich zdala. W tym stanie sędziowskiego chłodu wobec przedmiotów trudno przychodzi do skutku jakiś czyn o charakterze moralnym. Obojętność i brak uczucia w tym stanie ubezwładnia człowieka i prawie uniemożliwia stanowczą decyzyę moralną, oświadczenie się za dobrem lub złem. Gdy w takiej chwili przedmiot chce dostać się do duszy, to znajdzie do niej przystęp utrudniony; ale niechże przygotuje sobie drogę przez obudzenie zainteresowania się, niech robi wrażenie na duszy, zdoła rozbudzić w niej uczucia i żądze, — jak to ma miejsce przy przeżyciach estetycznych — wtedy siłą uczuć omotany i porwany, od razu dostaje się do wnętrza i najłatwiej uzyskuje zupełne przyzwolenie na właściwą sobie działalność i powoduje współpracownictwo człowieka w tym kierunku.

Pierwszym etapem na drodze estetycznych przeżyć, to rozbudzenie żywej czynności zmysłowej. Cokolwiek da się powiedzieć o piękności czysto duchowej, faktem jest, że żadna piękność czysto duchowa nie robi na nas wrażenia, jeśli się jej nie ubierze i nie przedstawi w obrazach zaczerpniętych z dostępnego zmysłom, materyalnego świata. Jest to zasadniczym warunkiem estetycznych przeżyć, żeby zmysły znalazły w nich zatrudnienie i bez tego, w obecnym stanie naszego życia, żadne upodobanie estetyczne nie dojdzie do skutku. Odpowiada to zresztą zupełnie naszej organizacyi psychicznej, której działalność każda rozpoczyna się od zmysłów i dopiero później wstępuje i wznosi się do pojęć czysto duchowych. Zresztą i przy tych pojęciach zawsze muszą współdziałać władze zmysłowe.

Wskutek tego, że zmysły mają przodownictwo w działaniu w przeżyciach estetycznych i pierwsze zabierają się do roboty, im też przypada wielki wpływ i w przeważnej części determinacya i wytyczenie całego kierunku w następnym rozwoju wczuć. A działają one automatycznie. Wobec odpowiedniego przedmiotu w warunkach normalnych zaczynają zaraz działanie z taką koniecznością, z jaką ogień obejmuje zbliżone doń suche drzewo, z jaką kamień wolno puszczony opada na ziemię. One nic nie zastanawiają się, nic nie wybierają, one tylko działają, a działają

tem intensywniej, im bardziej właściwości zmysłowe przedmiotu odpowiadają ich organizacyi. Może sobie przedmiot być dobry lub zły, stać do człowieka w stosunku godziwym lub niegodziwym, wnosić do duszy wartości dodatnie lub ujemne, one z tem nie liczą się zupełnie. Jeśli znalazły swoje zajęcie, a zajęcie które im przychodzi lekko i łatwo i przynosi przyjemność, wówczas zadowolone, nie zważając na nic, trwają przy niem, oplatają uczuciami i zatapiają w nich. Nie dość na tem. One dalej postępują i usiłują to zajęcie narzucić człowiekowi, żeby on je świadomie uznał za swoje, jego obecność i kierunek zatwierdził. Na mocy tego prawa psychologicznego, że każde działanie psychiczne wykazuje tendencyę do rozejścia się po całej duszy, wyobrażenia zmysłowe i towarzyszące im stany uczuciowe pociągają za sobą rozum. Porywają go gwałtem doznanych przyjemności, zmuszają aby uznał ich legalność i dobroć, i jako dobre, przedstawił je woli do ostatecznej decyzyi. Zapewne jeszcze i wtedy człowiek nie traci wolności wyboru, zadecydować może dowolnie przyjąć za swoje narzucające się wczucia albo odrzucić świadomie, pomódz im do swobodnego rozwoju dalszego albo też przerwać ich bieg naturalny. Ale wobec tego rozpędu, jaki im nadały przyjemnie rozedrgane zmysły, nerwy — cały stan, w jakim się znajduje, cała wnętrzna atmosfera, pcha go i porywa ku jednemu, by się poddał już rozpoczętemu działaniu i doprowadził aż do tego celu, do którego z natury swej dąży. Czy wobec tego naporu rozpędzonych wrażeń i uczuć zdoła stawić im opór i zachować samodzielność? Najprawdopodobniej, najczęściej nie zechce stawić mu oporu i zdecyduje się iść z prądem i pozwolić mu rozwinąć się zupełnie aż do końca.

Jeżeli przedmiot fascynujący zmysły był dobrym, wówczas chętne znajdzie przyjęcie w ostatecznym wyborze i decyzyi, ale tąż samą drogą i przedmiot zły, gdy przyjdzie do stanowczej decyzyi, nie napotka na wielkie trudności. Tem ułatwieniem, które przepuszczenie przez granicę formalnego dobra i zła ułatwia, jest przyjemność. Im większa przyjemność wytworzyła się w estetycznych wczuciach nieakcentowanych, tem łatwiejsze i, psychologicznie mówiąc, pewniejsze i konieczniejsze jest przejście do

wczuć akcentowanych, w których juz dokonywa się całkowite zespolenie z przedmiotem złym albo dobrym. A kiedy to małżeństwo doszło do skutku, wnet należy oczekiwać dobrych czynów lub złych, moralnych lub niemoralnych, jako naturalnego owocu odbytego złączenia.

Już nieraz zdarzało się, że estetyczne wrażenia, odebrane w kościele, widok ceremonii poważnych a rzewnych, wczucia wywiązane pod urokiem błogosławieństwa monstrancyą, te różnorodne przeżycia, jakie kolejno obejmowały duszę podczas nabożeństwa, wśród tłumów rozmodlonego ludu, unoszącego się dymu kadzielnic i wśród śpiewów zmieszanych z westchnieniem i płaczem, były tym pierwszym zwycięskim atakiem, robiącym wyłom w indyferentyzmie religijnym i wpłynęły stanowczo na zmianę przekonań. Żeby nie mówić o obcych słynnych konwertytach, owych Cohenach, Ratisbonnach, Huysmansach, Jörgensenach i t. d., którzy siłą estetycznych wrażeń zostali pobudzeni do głębszych refleksyi i nawrócenia, a przykład wziąć z naszego literackiego świata: wszak wrażenia, początkowo zapewne estetyczne, jakie wywołały w duszy Niemcewicza suplikacye w kościele parafialnym, wpłynęły na zmianę jego postępowania religijnego. Ale również i to wiadomo, i to zdarzało się o wiele częściej, że początkiem zepsucia moralnego była interesująca lektura, że z loży teatralnej prowadziła prosto droga do innych domów, w których estetyczne wczucia znajdywały swoje naturalne uzupełnienie[1]. W ten sposób estetyczne przeżycia wywierały wpływ na moralność — i przynosiły owoce: moralnie dobre lub złe postępowanie.

Ale czy nie przeceniamy wpływu estetycznych przeżyć na

[1] Diderot, ów »krytyk sztuki«, tak cynicznie opisywał wrażenia, jakie pewne przedstawienia w teatrach francuskich wywoływały. »Lat temu 15 — pisał 1758 r. — były nasze teatry miejscem gwarnych zbiegowisk. Najzimniejsze głowy rozpalały się, wchodząc do nich. Ciskano się, biegano, tłoczono. Odchodzono od zmysłów. Ledwo się sztuka zaczynała, już ją przerywano, a jak tylko nadszedł ustęp piękny, nie było końca wołaniom: bis, bis; entuzyazmowano się. Przychodziło się rozpalonym, odchodziło pijanym; jedni udawali się do dziewcząt, inni rozbiegali się po różnych towarzystwach. Była to jakby burza, która dopiero gdzieś daleko nikła, a której echa odzywały się jeszcze długo, choć już przeszła. — Oto dopiero rozkosz!«

moralność? Ostatecznie zrozumiały byłby ten wpływ, gdyby przeżycia estetyczne były praktyczne i miały za zadanie, doprowadzić człowieka do jakiegoś działania, do poczynienia pewnych kroków praktycznych, uregulowania jakichś stosunków. Tymczasem one żadnych praktycznych celów nie mają; nie można ich podporządkowywać pod jakieś względy utylitarne. Ich byt określają estetycy jako bezinteresowny, t. j. nie służący żadnym interesom obcym, zewnętrznym, tylko zamknięty w sobie, kończący się na wnętrznem zadowoleniu, na sferze idealnej, nie dochodzącej do spraw rzeczywistych.

I owszem, zdajemy sobie sprawę z odrębności przeżyć estetycznych. I my widzimy, że w typowych ich postaciach uderza pewna bezinteresowność i bezcelowość praktyczna, tak dobitnie podkreślana przez Kanta i późniejszych estetyków. Rozumiemy, że one obracają się w jakimś odrębnym świecie, który może posiadać tak zwaną rzeczywistość estetyczną, ale w świetle rzeczywistości jest illuzyą, czemś podobnem do świata snów i przywidzeń, istniejącem tylko w działaniach duszy, bez praktycznego znaczenia. Na widok skały czuć w sobie jej potęgę, dumę, wyniosłość, latać z burzami i igrać z szarpaniem wichrów, pędzić śmigłym lotem jaskółek ponad przepaści i wież szczyty, uczuwać w sobie straszny spokój szczutego psami żebraka, ginącego z głodu pod parkanem i żyć buńczucznem życiem kozaka idącego z wiatrem w zawody na szerokim stepie — przechodzić tysiączne koleje, przygody z całą nieskończenie komplikującą się skalą ich zabarwienia uczuciowego, wtedy, gdy się w rzeczywistości pozostaje jednym i tym samym panem X, — to zapewne nie jest żyć życiem rzeczywistem, ale żyć złudzeniem, jakby snem na jawie.

Tak zapewne! wszystkie te wczucia estetyczne, gdy się je ocenia z punktu przedmiotowej rzeczywistości to dalekie są one od niej. Są tylko jej illuzyą, nie odpowiadają rzeczywistemu stanowi rzeczy.

Jednakowoż nie przeceniajmy tego oddalenia, nie wolno nam do tego stopnia odmawiać im rzeczywiści, żeby poprzecinać, wykluczyć wszystkie węzły i odnośnie do niej. I one posiadają jakąś własną, osobną rzeczywistość.

Posiadają przedewszystkiem rzeczywistość psychologiczną. Są one czemś, co się w duszy dzieje i to dzieje w określony sposób. Są przeżyciami pełnemi rozmaitych uczuć, i to nie jak niektórzy się wyrażali, pozorami uczuć, czy też pozornemi uczuciami *(Scheingefühle)*, ale uczuciami rzeczywistemi. Człowiek wśród nich nie tylko wyobraża sobie uczucia, ale rzeczywiście doznaje ich, czuje je w sobie, czuje się smutnym, wesołym, dumnym, przygnębionym, swobodnym, pożądającym; nie tylko wyobraża sobie, że jest wzuszonym, ale rzeczywiście jest wzruszonym. Wogóle mówiąc: nie można nawet wyobrazić sobie uczuć bez równoczesnego wzbudzenia ich w sobie, i wtedy wyobrażenia będą się odnosiły do okoliczności uczuć, a uczucia same muszą się na nowo wytworzyć, ożywić. Jeżeli zaś estetyczne uczucia są prawdziwe, to też mają własności uczuć prawdziwych. Są motorami działania. One rzeczywiście do czegoś dążą, żądają, domagają się naturalnego swego rozwiązania, dążą do przekształcenia się w jakąś zewnętrzną czynność, działanie, zachowanie się, będące ich zewnętrznym wyrazem. Wnętrzne uczucie smutku dąży do wyrażenia się w ubezwładnieniu i opadaniu rąk, głowy, jakiemś opuszczeniu się widocznem w całej postawie, a następnie w zaniku energii, niechęci do życia i t. d.; duma w jakiemś wyprężeniu postawy i wyniosłem traktowaniu innych; swoboda w ruchach nieumiarkowanych, o nieoznaczonym celu; nienawiść dąży do wykonania czynów dokuczliwych drugim; przyjaźń i miłość do zbliżenia się do osób umiłowanych i t. d. Każde uczucie zawiera w sobie dążność jakąś rzeczywistą do uzewnętrznienia się w czynie, postępowaniu, jako swojem naturalnem dopełnieniu.

W tem dążeniu do urzeczywistnienia i uzewnętrznienia się mogą natrafić na rozmaite przeszkody, a może też się przydarzyć, że przeszkód nie będzie, owszem wszystko będzie się składać na to, by dążenie zrealizować. Gdy niemożliwość będzie fizyczną — np. latać jaskółką nie można, — dążność uczuciowa do swobody w tej formie pozostanie niezrealizowaną. Zapewne znajdzie sobie jakąś inną formę uzewnętrznienia się, ale bądź co bądź ta forma okazania się swobodnym pozostanie tylko illuzyą. Ale niechże wczucia estetyczne będą tego rodzaju, że zrealizować je łatwo

w tej samej formie i sposobie, w jakim się w duszy znalazły, to wtedy one domagają się usilnie tego właśnie zrealizowania i prą ku niemu całą siłą. Tu tylko wola może stanowić poważniejszą przeszkodę, wola, której przypada naczelne kierownictwo działania świadomego. Może ona albo dla jakichś względów stanąć w poprzek temu dążeniu i stłumić uczucie samo, albo je przyjąć za swoje — jakeśmy się wyrazili wyżej — zaakcentować, zjednoczyć się z niem, albo wreszcie odmienić nieco sposób jego zrealizowania. Jakąkolwiek jednak obierze drogę, oczywistą jest rzeczą, że wczucia estetyczne napierają na nią, chcą ją zmusić do zaakcentowania i do zrealizowania swych dążności, a tem samem przy dążnościach o charakterze moralnym, do zajęcia stanowiska już formalnie moralnego.

Tak więc niewiele to zmienia rzecz, owszem nie zmienia jej nic, jeżeliby się chciało podnosić bezinteresowność przeżyć estetycznych dla wykazania ich obojętnego stanowiska wobec interesów moralnych. Bo jakkolwiek wiele przeżyć estetycznych poprzestaje na upodobaniu w samej kontemplacyi i rozważaniu piękna i pozostaje bez namacalnych skutków w praktyce, to jednak zanadto schematyczne, ciasne i kanciaste jest twierdzenie Kanta, że przeżycia estetyczne są czysto kontemplacyjne, bez żadnej domieszki interesu praktycznego. Jakiś interes w nich z natury rzeczy leży. Jako procesy psychiczne, one jakiś cel mają, zwłaszcza, że nie są tylko poznaniem piękna, reprodukcyą przedmiotu w sobie, ale są jakiemś poznaniem, wyobrażeniem, oplecionem uczuciami i zanurzonem w uczuciach, które z natury swej dążą do rozwiązania się w czynie i postępowaniu i są jakby rozpędowemi kołami działania. Prawda, że ta dążność uczuciowa nie zawsze jest jednakowo ściśle określona. Przy wczuwaniu się estetycznem, wywiązanem na widok olbrzymiej a stromej skały, uczucie w niem zawarte, ze skałą złączone, nie będzie parło, żeby się stać rzeczywistą dumną skałą, ale tylko w ogólny sposób pcha do wyrażenia się w jakiejś bezwzględnej sile, w jakiemś niecofającem się przed nikim i niczem postępowaniu, niczem nie wstrzymanem parciu naprzód, którego bezpośrednią oznaką jest mimowolne prostowanie się, podnoszenie głowy do góry, prężenie się piersi,

ramion i t. d. Mimo tej większej lub mniejszej nieokreśloności, zawiera się w nich pewien kierunek do wyrażenia się w pewnem zewnętrznem postępowaniu, kierunek przynajmniej ogólnie, ale dostatecznie określony. Wogóle więc leży w nich jakiś życiowy interes. I dlatego, że w nich zawsze ten ukryty interes jest zawarty, dlatego to tak trudno tym estetykom, którzy dużo mówią o bezinteresowności przeżyć estetycznych, znaleźć w praktyce granice między przeżyciem estetycznem a praktycznem.

W myślowym, abstrakcyjnym schemacie łatwo pociągnąć przedziałkę między niemi, jak robi Kant, kiedy, przeciwstawiając przeżycia estetyczne działaniu moralnemu, charakteryzuje je jako czysto kontemplacyjne, nie wzbudzające praktycznego zainteresowania się przedmiotem, podczas gdy upodobanie moralne jest praktyczne. Ale pokazać tę różnicę w życiu, w rozwijającem się działaniu duchowem, tu dopiero występują prawdziwe trudności. Wystarczy n. p. przeglądnąć estetyczne dzieła Lippsa, aby zobaczyć, z jakim trudem przychodzi mu zachować to rozróżnienie uczuć estetycznych od praktycznych, które w zupełności przyjmuje. Na wielu miejscach przy omawianiu rozmaitych wczuć, natrafia on na kwestyę tego rozróżnienia, wszędzie usiłuje ją podnieść, ale jakże czasem wydaje się ona nieuchwytna, chwiejna, o granicach zamazanych i płynnych, jak barwy tęczy, które wzajem wchodzą w siebie. Analizując np. wczucie estetyczne z widoku potężnej skały, albo kroczącego człowieka, przyznaje, że we wczuciu w tę skałę lub w ten chód, człowiek przeżywa ich energię, lekkość, z jaką działają do tego stopnia, że w nim samym siły się natężają, prężą muszkuły i t. d., t. j. przyznaje uczuciom dążność do uzewnętrznienia się. Jest więc w nich jakaś dążność praktyczna, więc nie są one tak całkiem natury kontemplatywnej. W czemżeż więc leży różnica między wczuciami praktycznemi a estetycznemi, według niego, w tym wypadku? Oto jedynie w tem, że człowiek nie zwraca uwagi na to, co się rzeczywiście w nim dzieje, jak nim uczucia miotają i do czego popychają, a całą uwagę poświęca przedmiotom. Jeśli tylko uwagę zwróci na siebie, na własne uczucia, już wyszedł z estetycznej

kontemplacyi. Tak rozumuje Lipps [1]. Trzeba uznać subtelność rozróżnienia dla zachowania konsekwencyi teoryi i myślowej konstrukcyi, ale w praktyce zanadto pajęczą jest ta ściana rozdzielająca wczucia estetyczne od praktycznych, zanadto eteryczną ta różnica, aby ją mogło dostrzedz oko nieprzyzwyczajonego do tych subtelności profana. Dla niego przeżyciem estetycznem jest całość psychicznego procesu wobec pewnego dzieła natury lub sztuki. On, podziwiając piękno, będzie się zastanawiał nad różnymi szczegółami, będzie zwracał uwagę na piękno, a potem na siebie, że doznaje przyjemności, będzie analizował zarówno przedmiot jak i siebie, i ani nie przyjdzie mu do głowy, że reflektując na siebie, na jakość swego upodobania, miałby wychodzić z upodobania estetycznego.

Lecz mniejsza o różnicę. Czy przeżyciem estetycznem nazywać całą konkretną przyjemność, doznaną w zetknięciu się z pięknem, czy ową tylko jej część, w której człowiek tak dalece czuje się pogrążonym w pięknie, że o sobie zapomina — w każdym razie, w rzeczywistości są one tego rodzaju, że prą koniecznie do działania, do pewnego rodzaju postępowania, które w wielu wypadkach jest dobre lub złe, o którem wogóle przed wykonaniem wyrokować musi sumienie. Prą do tego całą siłą przyjemności tak, że trzeba wielkiego hartu woli i silnego charakteru, żeby się oprzeć ich żądaniom i nie dopuścić do tego, do czego dążyły. Zwłaszcza wtedy, gdy łatwo ich żądania dadzą się zaraz w czyn wprowadzić, wtedy słabsze charaktery niemal niechybnie zostaną porwane wywołanym prądem i dojdą aż do czynu. I tą też drogą najprędzej i najpewniej zarówno złe jak i dobre wchodzi do duszy. Estetyczne przeżycia są najlepszymi przemytnikami, którzy najłatwiej potrafią zarówno złe i dobre przemycić do krainy moralności, wywołaniem przyjemności odwracając uwagę od wartości moralnej przemycanego towaru.

I dlatego jest obowiązkiem człowieka, dbającego o swą wartość moralną, czuwać nad przeżyciami estetycznemi i, biorąc pod uwagę zarówno przedmiot, który ma dostarczyć estetycznych upo-

[1] Por. *Grundlegung der Aesthetik*, str. 218.

dobań, jak i swoje podmiotowe usposobienie, wrażliwość, temperament, naprzód oryentować się w jakim kierunku i z jaką siłą rozwiną się nieodłączne od nich wczucia, żeby zawczasu zapobiedz i uniknąć wytwarzania się takich uczuć, o takim kierunku, na który sumienie prawe nie mogłoby się nigdy zgodzić.

W zasadzie oddziaływanie estetycznych przeżyć jest jednakie czy to chodzi o zło, czy o dobro, bo jednemu i drugiemu dopomagają one do zawładnięcia sercem człowieka, gotowe zawsze dwom panom służyć, na tem samem polu zasiewać i pszenicę i kąkol.

Z tem podwójnem oddziaływaniem przeżyć estetycznych na moralność złączony jest objaw, że często spotkać się można z bardzo sprzecznymi poglądami pod tym względem. Ocena moralna estetycznych przeżyć wypada nieraz zupełnie rozbieżnie. Jedni zapatrzeni w dodatni wpływ estetycznych przeżyć, który najniewątpliwiej istnieje, na łatwość, z jaką przy ich pomocy można wszczepiać w duszy szlachetne i podniosłe uczucia, budzić odrazę do postępowania podłego, wyrabiać pewne poczucie godziwości lub niegodziwości moralnej i wpływać na uszlachetnienie obyczajów, wynoszą je ponad miarę i od nich oczekują jakiegoś odkupienia ludzkości. Inni mają dla nich jedynie słowa potępienia. W nich i w sztuce, której zadaniem jest dopomaganie do wywołania estetycznych przeżyć, upatrują coś jakby puszkę Pandory, która, ponętna wprawdzie z wyglądu, przyniosła i wysypała na świat wszystko niemal złe, które na nim istnieje. Złagodziwszy skrajność zapatrywań obydwu, dojdziemy do prawdy i znajdziemy ją w zapatrywaniu pośredniem: przeżycia estetyczne mogą służyć każdemu, kto je wynajmie i do takich celów, do jakich ich ktoś użyć zechce.

Tak jest w zasadzie. Faktycznie jednak zdaje się przechylać skala ich działalności w stronę dla moralności niekorzystną. Przynajmniej ta ich ujemna działalność wydaje się jaskrawsza, krzykliwsza, bardziej narzuca się w oczy. Tak przynajmniej zdają się przemawiać do nas dziejowe fakta. Historya dziwnie zwykła była łączyć wysoką kulturę estetyczną z nizkim upadkiem obyczajów i z szeroko rozlaną w społeczeństwie nie-

moralnością. Dzieje Grecyi i Rzymu, dzieje Odrodzenia i wysoce czułej na piękno Francyi, posiadają jakąś potężną wymowę i nieprzepartą siłę do wyrabiania przekonań pod tym względem. Na tych faktach opierając się, możnaby dojść do sformułowania sobie sądu o układaniu się stosunku przeżyć estetycznych do objawów życia moralnego w ten sposób: wysoka kultura estetyczna nie zwykła chodzić w parze z wysoką moralnością; owszem, stosunek obydwu tych wartości życiowych w przybliżeniu i do pewnych granic układa się odwrotnie. Im wyższe jest w społeczeństwie interesowanie się kulturą estetyczną, tem mniejsza jest piecza o moralność. Im większy nacisk kładzie się na przeżycia estetyczne, tem bardziej słabnie dbałość o postępowanie etyczne. Te czasy, w których dużo było rozpraw na temat jak żyć, mieszkać, ubierać się pięknie, jak mówić, zachować się pięknie, jak tworzyć w rzeźbie, malarstwie, w muzyce, wogóle w sztuce dzieła piękne, te czasy — faktem jest — że nie umiały, czy nie chciały, czy nie mogły żyć dobrze. Społeczeństwo w owych czasach wykazuje braki pod względem moralnym bardzo wielkie. Nawet dwór, który powinien był stać i świecić przykładem moralności całemu światu — osobistości, które miały z urzędu swego i posłannictwa stać na straży moralności, pod wpływem ogólnego prądu przechylającego się na stronę kultury estetycznej, zapomniały, jeśli nie teoretycznie, to w praktyce o tem posłannictwie i choć nie przestały uczyć moralności słowem, — co nie było zbyt trudnem, — to życiem swojem raczej uczyły czego innego.

Skąd to może pochodzić? Jak sobie psychologicznie wytłumaczyć tak zadziwiający stosunek odwrotny między poziomem estetycznej a moralnej kultury? Skąd się bierze, że przeżycia estetyczne nie zwykły chodzić w parze z moralnością i raczej odpowiadają jej obniżeniu, aniżeli podniesieniu?

Na to dadzą nam pewne wyjaśnienie następujące uwagi.

(Dok. nast.).

Ks. L. Rudnicki.

PIEŚŃ LEGIONISTÓW
„JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA".

JEJ POWSTANIE I HISTORYA.

(Dokończenie).

Jeszcze parę słów co do muzyki pieśni.

Ogólnie tradycya przekazuje nam imię ks. Kleofasa Ogińskiego, jako autora muzyki pieśni, libretta — Wybickiego. Ks. Ogiński uprawiał wszelkie rodzaje kompozycyi, głównie jednak tworzył polonezy na fortepian, z których wiele zjednało mu popularność. Wszystkie te polonezy odznaczały się piękną melodyą, prostotą formy, łatwością układu i rzewnym nastrojem. Znalazłszy się w legionach we Włoszech, ułożył »marsz dla swego pułku strzelców, który wykonywany był i w innych oddziałach wojska« [1]. »W r. 1797 na usilne prośby moich rodaków utworzyłem marsz wojenny dla legionów w Lombardyi«. To samo wspomina w pamiętnikach [2], że gdy był w Paryżu na obiedzie u jednego z dygnitarzy, »kilka dam zbliżyło się do fortepianu i prosiło mnie, abym grał marsza, którego ułożyłem dla legionów polskich«.

Do tych świadectw przybywa jeszcze jedno, mianowicie list Ogińskiego do Henryka Dąbrowskiego, pisany z Paryża dn. 28 apr. 1797 r.; wysyłając niejakiego Żymirskiego do obozu

[1] »Listy o muzyce ks. Ogińskiego«. *Kronika rodzinna*, 1879.

[2] »Pamiętnik Ogińskiego« tom II. Poznań 1870.

Dąbrowskiego, Ogiński korzysta ze sposobności, aby przypomnieć się pamięci Dąbrowskiego:

»Długi przeciąg czasu, co upłynął od rozstania się naszego pod Gostoniem, nie zatarł w sercu mojem wspomnienia rozmowy, w której dałeś mi poznać, obywatelu generale, Twoje sentymenta obywatelskie, usprawiedliwiłeś czynami następnymi tę opinię, którą podówczas o Tobie powziąłem. Położenie Twoje daje Ci dziś zręczność pomnożenia szacunku i ufności, której od wszystkich wart jesteś, w sercu tych, co Ciebie najmniej znają. Co do mnie, pewność o Twojem czystem obywatelstwie miarą będzie przyjaźni i poważania, jakie na zawsze dla Ciebie zachowam.

Michał Ogiński.

Posyłam marsz dla legionów polskich. *P. S.* Złożyłem na ręce ob. Chamand list jeden do Potockiego i t. d.« [1].

Orkiestra grywała więc ten marsz, skomponowany przez Ogińskiego a przysłany Dąbrowskiemu, od r. 1797.

Pytanie jednak pozostaje nadal nierozstrzygniętem, czy do tego to marsza dorobił odnośne słowa pieśni Wybicki [2], żadnego na to pewnego dowodu niema, na niekorzyść tego twierdzenia przemawiałoby to, że muzyka pieśni legionów jest skomponowana na nutę mazurka, Ogiński zaś aż czterokrotnie wspomina wyraźnie o marszu. Dla kompozytora i muzyka, jakim był Ogiński różnica między mazurkiem a marszem była zbyt zasadniczą, aby mógł te dwa rodzaje kompozycyi zmieszać z sobą.

Przejdźmy teraz do historyi samej pieśni, do jej rozwoju i zmian, jakie zaszły w niej w ciągu stulecia. Najstarszy tekst pieśni składa się według autografu Wybickiego [3] z 6-ciu zwrotek w następującym porządku:

---

[1] *Przegląd historyczny* (wrzesień—październik) str. 221. »Emigracya Polska w latach 1795—1797 (Materyały historyczne)« nap. Wład. Smoleński. Warszawa 1910, tom XI.

[2] Pewnego świadectwa pod tym względem nie posiadamy, być więc może, że i twórcą muzyki i tekstu był Józef Wybicki.

[3] Podaję ją według Finkla przedrukowaną z kopii Bibl. Ossolińskich pod nr. 79.

Napis: Pieśń Legionów Polskich we Włoszech.

1. Jeszcze Polska nie umarła
Kiedy my żyiemy,
Co nam obca moc wydarła
Szablą odbijemy.
Marsz, marsz Dąbroski
Do Polski z ziemi włoski,
Za twoim przewodem
Złączem się z narodem.

2. Jak Czarnecki do Poznania
Wracał się przez morze,
Dla oyczyzny ratowania
Po szwedzkim rozbiorze.
Marsz, marsz i t. d.

3. Przeydziem Wisłę, przeydziem Wartę,
Będziem Polakamy,
Dał nam przykład Bonaparte,
Iak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz i t. d.

4. Niemiec, Moskal nie osiędzie,
Gdy iąwszy pałasza,
Hasłem wszystkich zgoda będzie
Y oyczyzna nasza.
Marsz, marsz Dąbroski
Do Polski z ziemi włoski,
Za twoim przewodem
Złączem się z narodem.

5. Iuż tam ociec do swey Basi
Mówi zapłakany:
Słuchay jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz i t. d.

6. Na to wszystkich jedne głosy:
Dosyć tey niewoli —
Mamy Racławickie kosy
Kościuszkę Bóg pozwoli.
Marsz, marsz i t. d.

Pierwotnie pieśń zaczynała się od słów: »Jeszcze Polska nie umarła«. Ta Polska umarła to dla Wybickiego i legionistów Polska porozbiorowa, rozszarpana przez trzy mocarstwa, to Polska po insurrekcyi kościuszkowskiej ze straconym bytem politycznym. Rozumowano wówczas, że ze stratą bytu państwowego umiera cały naród, ginie wszystko; dopiero później zmienią się pojęcia, wykaże historya przeszło stulecia niewoli, że »nie umarła« tą zwykłą, ludzką śmiercią, że mogła jedynie zginąć i zastąpioną zostanie: »Nie umarła« — szerszem pojęciem »nie zginęła«, które utrzymało się we wszystkich późniejszych redakcyach pieśni i zachowało się po dziś dzień.

Na powstanie 2-giej i 3-ciej zwrotki wpłynęło porównanie, jakie nasuwała chwila porozbiorowa do minionej epoki najazdu Szwedów na ziemie polskie, zdawało się przecież i wówczas, że już wszystko stracone, lecz zerwał się naród i potargał pęta, które nań nałożono, wypędził obcy najazd, czemuż więc po tym nowym zaborze nie może powtórzyć się to, co się stało kiedyś przed laty? Więc za przykładem Czarnieckiego, tak jak on wracał

się przez morze, w myśl planu Dąbrowskiego aby manowcami t. j. przez Węgry, przeszedłszy następnie Wisłę i Wartę, wkroczyć do Wielkopolski — zapewne pisząc tę zwrotkę, przypomniał sobie Wybicki świetną wyprawę Dąbrowskiego do Wielkopolski w r. 1794 i to przechodzenie Dąbrowskiego Bzury, Warty i Wisły pod okiem nieprzyjaciela, więc

Marsz, marsz Dąbrowski
Do Polski z ziemi włoski,
Za twoim przewodem
Złączem się z narodem.

Zwrotka 4-ta »Niemiec, Moskal nie osiędzie« jest powtórzeniem myśli zawartej w pierwszej zwrotce, że »co nam obca moc wydarła szablą odbijemy«.

Najpoetyczniejszą, pełną dziwnego uroku i prostoty jest zwrotka 5-ta:

Już tam ociec do swey Basi[1]
Mówi zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.

Wyraża ona owe naprężone oczekiwanie tych, co pozostali w kraju na powrót zwycięskich wojsk, przynoszących na nowo wolność i oswobodzenie.

To oczekiwanie narodu i wsłuchiwanie się w wieści dolatujące z daleka od Europy, wyrazi później może lepiej, ale nie w tak prosty i rzewny sposób Mickiewicz w »Panu Tadeuszu«:

Jenerale! ciebie długo Litwa nasza
Czekała, długo, jak... żydzi Mesjasza...
Ciebie prorokowali dawno między ludem
Śpiewaki... ciebie niebo obwieściło cudem.

Nakoniec ostatnia zwrotka jest wyrazem tego przekonania wśród legionistów, jakie podzielał i Wybicki, że Kościuszko obejmie najwyższą komendę nad legionami, on sam niejako postępo-

[1] Owa Basia, jak przypuszcza Korotyński (»Poeci legioniści«. Tania biblioteka nr. 26. Warszawa 1907), »to niewątpliwie Barbara Chłapowska, którą Henryk Dąbrowski, gdy opuszczał Polskę w r. 1796 znał jako młodą pannę, a którą zaślubił po powrocie do kraju, w Poznaniu 1807 r.«

waniem swojem początkowo upoważniał do tego, później jednak rozglądając się w stosunkach politycznych i działalności Dyrektoryatu, nie widział drogi, przez którąby legioniści mogli trafić do Polski, zdając sobie jasno sprawę z tego, że mimo wszystko legiony zajęły wobec Francyi stanowisko wojska najemniczego, uchylił się od naczelnej komendy nad nimi, jaką ofiarował mu rząd francuski [1].

Nie przypuszczał wówczas Wybicki pisząc tę ostatnią zwrotkę, że Kościuszko nie pójdzie za gwiazdą Napoleona, że nie wróci do kraju, myślał, że na nowo naczelnik będzie werbował chłopskie roty, zbrojne w kosy, wiodąc ich do nowych Racławic. Tak się jednak nie stało; Kościuszko, przeniknąwszy obłudne zamiary Napoleona względem Polski, pozostał na obczyznie, skazując się dobrowolnie na wygnanie, nie poszedł za nim jak Wybicki i Dąbrowski w r. 1806.

Taką jest mniej więcej treść i rozbiór pieśni według najdawniejszego jej tekstu, według autografu Wybickiego.

Wraz z powrotem legionistów do kraju, których zaledwie była garstka, gdyż reszta rozproszona po świecie, częścią wcielona do armii francuskiej, częścią wysłana pod grozą dział na San Domingo, wraz z tą garstką przywędrowała »pieśń«...

U wrót Księstwa Warszawskiego zatrzymała się jednak, nie było tu dla niej miejsca wśród ogromnej powodzi wierszy, jaką sprowadziło utworzenie Ks. Warszawskiego, wśród pieśni pełnych entuzyazmu, wielbiących Napoleona, wśród nastroju kraju ofiarowującego wszystko Wielkiemu Napoleonowi za cień nadziei, za niewielki szmat kraju obdarzonego konstytucyą i prawem istnienia, nie było tu dla niej miejsca. Zmieniły się czasy, inna atmosfera powiała, nowe wypadki zacierały dawne, nowe pieśni tworzono, formacya nowej armii Ks. Warszawskiego dawała obszerne pole do wylewania uczuć, w mowach, pieśniach i wierszach [2].

---

[1] Korzon: »Biografia Kościuszki«.

[2] K. Wł. Wójcicki: »Warszawa jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat 30« (1800—1830). *Bibl. Warsz.* 1879.

Zbyt wartkim strumieniem płynęło wówczas życie, wypadki tak mknęły szybko po sobie, nie było czasu na wspomnienie minionych dawnych...

Z innych jeszcze powodów łatwo zrozumieć, że nie tak łatwo mogła się stać pieśnią narodową, ogólnie znaną i śpiewaną. Dla szerszych warstw przynajmniej do końca XVIII w. znanemi i śpiewanemi były przeważnie pieśni religijne, pieśni śpiewane po kościołach i na procesyach, dopiero rewolucya francuska pokazała lud walczący na ulicach, śpiewający po raz pierwszy pieśń rewolucyjną, pieśń narodową francuską, »Marsyliankę«.

Cóż rozpowszechnia tak bardzo pieśń rewolucyjną lub pieśń patryotyczną? — ulica, miasto, a ta ulica na początku XIX w. w czasach Księstwa nie istniała jeszcze wcale, któż mógł więc śpiewać pieśń? — żołnierze, ale wówczas oni szli za Napoleonem, wielbiąc jego imię, zmieszani z różnorodnym tłumem wojsk Napoleona, inne myśli i hasła przyświecały im, nie te, które wyrażała pieśń.

Nie słychać więc czy gdzie była wogóle wówczas w kraju śpiewana, w druku nie spotykamy jej w owych czasach wcale, ani w zbiorkach pieśni narodowych, ani w czasopismach, których dokładnem przejrzeniem zajął się Finkel i nie osiągnął żadnego pozytywnego rezultatu.

Dopiero, jak podaje Finkel [1], Bronisław Gubrynowicz, który zajął się historyą tej pieśni, znalazł arkuszyk w bibliotece Jerzego hr. Moszyńskiego pod nr. 2912, pochodzący z czasów Ks. Warszawskiego, na którym w dwie kolumny po polsku i po francusku wydrukowany jest »Mazurek Dąbrowskiego«.

Byłby to pierwszy znany druk pieśni »Jeszcze Polska nie zginęła«. Prócz tego arkuszyku, będącego zabytkiem bibliograficznym, nie posiadamy innego druku pieśni z czasów Ks. Warszawskiego. K. Estreicher podaje pierwszy druk pieśni w Warszawie 1830.

Znacznie później, bo już w czasach Kongresówki w r. 1829, w Paryżu wydrukował Chodźko pieśń w dodatkach do 1-go

[1] W »Pieśni legionów«.

tomu *Hist. des légions polonaises en Italie* z dwoma tekstami, polskim i francuskim [1] p. n.:

CHANT NATIONAL POLONAIS

MAZUREK DOMBROWSKI

traduit du polonais par G. Fulgence.

Arrangé avec accompagnement du piano par Albert Sowiński.

1. Jeszcze Polska nie zginęła
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła,
Szablą odbierzemy.
Marsz, marsz Dąbrowski
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Ah! tu n'est pas sans défenseurs,
O Pologne chérie,
Nous ravirons aux oppreseurs
Ta puissance flétrié.
Dombroski courons
Volons vers l'Italie,
Bientôt nous revèrons
Notre belle patrie.

2. Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz i t. d.

Que la Vistule et la Varta
N'arretent plus ta gloire
Et Bonaparte guidera,
Nos pas à la victoire.
Dombroski etc.

3. Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze,
Dla ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.
Marsz, marsz i t. d.

Jadis Czarniecki des eaux
Sut braver la furie
Comme lui frachissons les flots
Pour sauvez la patrie.
Dombroski etc.

4. Mówił ojciec do swej Basi
Cały zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz i t. d.

Un vieillard répandait des pleurs:
Et disait à sa fille
Le tambour fait battre leurs coeurs
Et leur regard pétille.
Dombroski etc.

Tekst ten składa się z 4 tylko zwrotek. Zwrotka »Niemiec, Moskal nie osiędzie« oraz zwrotka ostatnia o Kościuszce są opuszczone. Biorąc pod uwagę, że powyższy tekst pieśni powstał w czasach Ks. Warszawskiego, być może dlatego ostatnia zwrotka o Kościuszce została opuszczoną, że nie znaleziono go walczącym pod

[1] Tekst ten zgadza się z tekstem pieśni wydrukowanej w arkuszyku pochodzącym z czasów Ks. Warszawskiego (według Finkla).

sztandarem Napoleona, naród zapomniał wówczas o naczelniku, mając nowych wodzów a nadewszystko bóstwo swoje — Napoleona. Zmieniono też »Jeszcze Polska nie umarła« na »Jeszcze Polska nie zginęła«.

Nastąpiło też przełożenie zwrotki drugiej i trzeciej, może dlatego, jak przypuszcza prof. Finkel, że naturalniejszem stawało się naprzód wezwanie Dąbrowskiego do powrotu do ojczyzny, a potem porównanie go z losami Czarnieckiego.

Zamykał się okres Ks. Warszawskiego, zmieniły się warunki polityczne, nastąpiły spokojne czasy Królestwa Kongresowego, wyrazem tego nastroju to ta nowa pieśń, godząca się z rzeczywistością, błagalnie ugodowa, napisana przez Al. Felińskiego na rozkaz ks. Konstantego:

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Naszego króla zachowaj nam Panie!

Później czas zmienił i inne zupełnie piętno wyrył na niej.

Czasami tylko w przystępach dobrego humoru, w czasach Kongresówki, na rewiach wojsk na Placu Saskim ks. Konstanty kazał grywać »Dąbrowskiego«.

Nastąpił wybuch powstania listopadowego; wzrosło pokolenie nowe, zrodzone w czasach kościuszkowskich i epopei napoleońskiej. Odnowiły się wspomnienia bohaterskich czynów legionów, ich usiłowań i poświęceń dla narodu. Pieśń legionów staje się odtąd wyznaniem wiary dla tych, którzy szli z nowemi siłami walczyć o nią z tym okrzykiem na ustach — »Nie zginęła«. Jej nutę rozpowszechnia wiele śpiewników[1], drukują ją zbiorki narodowe pieśni ojczystych, nieznani autorowie przerabiają, układają na jej nutę wojenne pieśni, powiększają i dodają nowe zwrotki.

Wówczasto staje się ona pieśnią narodową, znają ją i śpiewają wszyscy, cały naród przyswaja sobie jej melodyę i słowa. Więc wita nią lud zebrany na obszernych błoniach praskich generała Dembińskiego, powracającego ze zwycięskiem wojskiem z Litwy,

[1] »Bard nadwiślański« 1832. — K. Wł. Wójcicki: »Pieśni ojczyste 1830«. Warszawa. — »Bard oswob. Polski«, 1831. Warszawa.

okrzykami »Niech żyje jenerał Dembiński!« i śpiewem »Jeszcze Polska nie zginęła!« [1]

Zaraz w pierwszej bitwie pod Stoczkiem w ogniu dział młody żołnierz dodaje sobie otuchy, śpiewając »Jeszcze Polska nie zginęła« [2]. Śpiewano ją w decydującej o losach Warszawy bitwie pod Grochowem, dnia 25 lutego 1831. Tak opisuje tę chwilę przełomową bitwy Barzykowski:

»Już jenerał Chłopicki ma surdut od kilku kul przeszyty, już koń pod nim ubity i sam w nogę lekko draśnięty. Dosiada innego konia, ostrogą go spina i ręką wskazując, gdzie swe rycerstwo wieść zamierza, potężnym głosem krzyczy »tam, tam«, kolumna na odpowiedź jednym głosem »Jeszcze Polska nie zginęła« zanuca. Głos pieśni rozległ się po błoniach i o niebiosy obił« [3].

W bitwie pod Iganiami pułk 8 odpiera zbite kolumny nieprzyjaciół wśród śpiewu »Jeszcze Polska nie zginęła« [4].

Śpiewana wśród wielu bitew, potyczek i walk, zroszona obficie krwią, została zapisana na zawsze w pamięci późniejszych pokoleń krwawemi zgłoskami.

W druku w owym czasie już z dodanemi nowemi zwrotkami, pojawia się po raz pierwszy w zbiorku »Pieśni ojczystych« K. Wł. Wójcickiego (Warszawa 1830) z napisem »Pieśń legionistów z r. 1798« [5]. Posiada ona w tej redakcyi 9 zwrotek, z których cztery ostatnie, są to nowe zwrotki, dorobione przez nieznanych autorów w czasach powstania listopadowego:

1. Jeszcze Polska nie zginęła
Kiedy my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła
Mocą odbierzemy.

Marsz, marsz Dąbrowski
Z ziemi włoskiej do polskiej,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

---

[1] Barzykowski: »Historya powstania listopadowego«.
[2] Barzykowski, tom II, str. 313.
[3] Str. 386, tom II.
[4] Tom III, str. 160.
[5] W tej samej formie podaje ją »Bard oswobodzonej Polski z r. 1831«. Warszawa.

2. Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz i t. d.

3. Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze,
Dla ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.
Marsz i t. d.

4. Moskal Polski nie posiędzie!
Dobywszy pałasza,
Hasłem wszystkich wolność będzie
I ojczyzna nasza.
Marsz i t. d.

5. Już tam ojciec do swej Basi
Mówi zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz i t. d.

Następują nowe zwrotki:

6. Już tu ziomek pilnie słucha,
Czy armata ryczy.
Walecznego pełny ducha
Każdy moment liczy.
Marsz, marsz i t. d.
Przyłączyć się rada
Jęcząca gromada.

7. Czy Polacy, czy Sarmaci
Będziem imię nosić,
Byle w gronie dawnych braci
Miłą wolność głosić!
Marsz, marsz i t. d.
Naród na cię czeka
Przyjdź z prawem człowieka.

8. Choć sąsiady nas zniszczyły
I broń nam zabrały,
Sparty murem piersi były
I te nam zostały.
Marsz, marsz i t. d.
Każdy z nas chęć czuje
Wodza nie brakuje.

9. Dzielność wolnego oręża
Starzec opowiada,
Aby szukać tego męża
Młody na koń wsiada.
Marsz, marsz i t. d.
Wolność, dawne hasło
Jeszcze w nas nie zgasło.

Trzy pierwsze zwrotki idą po sobie według tekstu podanego przez Chodźkę, zmian żadnych nie posiadają.

Czwarta zwrotka brzmi »Moskal Polski nie posiędzie« zamiast »Niemiec, Moskal nie osiędzie«.

Zrozumiałą jest ta zmiana: walkę wówczas rozpoczęto z Rosyą, więc przeciwko Rosyi zwróconą jest ta zwrotka. Pozostałe cztery końcowe nowe zwrotki są właściwie reminiscencyami dawnych, najciekawszą z tych nowych zwrotek jest szósta: »Już tu ziomek pilnie słucha« i t. d.

Jest ona jak gdyby odpowiedzią Dąbrowskiemu na dawne jego hasło, wzywające do legionów; jest ona wyrazem i dalszym ciągiem tego nastroju wśród narodu, oczekującego na upragnioną wolność, jest jak gdyby odpowiedzią nowych pokoleń na dawne hasła, na dawne boje; znów to naprężone oczekiwanie wsłuchu-

jącego się narodu czy »armata ryczy« i liczącego każdy moment, aby porwać za broń.

Tem bardziej odczuwano i wzywano tego Dąbrowskiego, będącego wówczas symbolem wodza i dyktatora, w czasach kiedy naprawdę prawdziwego wodza nie było, któryby potrafił, jak ongi Dąbrowski, poprowadzić hufce w bój, sam stworzyć i zagrzać swem męstwem. Dlatego też niejednokrotnie w czasach powstania listopadowego zastępowano nazwisko Dąbrowskiego, wodza legionów, nazwiskiem Chłopickiego, dyktatora, pokładając w nim zawodne nadzieje i śpiewano:

Co wszczęła rozpacz, to dokona męstwo,
Marsz! marsz Chłopicki! Bóg nam da zwycięstwo! [1]

Mnóstwo posiadamy z tego czasu samodzielnych i dowolnych przeróbek pieśni »Jeszcze Polska nie zginęła«. Powtarzają się w nich zwykle imiona Chłopickiego, Skrzyneckiego, Szembeka; są to jednak tylko dowolne przeróbki na nutę marsza Dąbrowskiego, przytaczać więc ich niema potrzeby.

W r. 1830 nastąpił kulminacyjny punkt w rozwoju naszej pieśni, na którym utrzymała się po dziś dzień. Odtąd często przedrukowywana [2] i śpiewana w przełomowych latach, 1848 roku w Poznańskiem, w legionach polskich na Węgrzech, w ciężkich chwilach 1863 roku, obok pieśni »Boże, coś Polskę«, kryjącej się po kościołach.

Jej melodya rozeszła się szerokiem echem po Europie, znana była i wśród obcych: dość przypomnieć sobie po upadku powstania wspaniały pochód wojsk polskich przez Niemcy, entuzyastyczne przyjęcia, bankiety, zabawy, bale; wszędzie witano ich tą znaną i śpiewaną pieśnią wśród walk i bitew: »Jeszcze Polska nie zginęła«.

Każdy niemal Niemiec wówczas znał ją na pamięć i śpiewał; dla młodych ówczesnych Niemiec owa pieśń była pieśnią wolności, kryjącej w sobie nieznaną, piorunową moc walki i czynów.

Nie będę przytaczał szczegółów; nie było takiego zakątka

[1] »Bard oswobodzonej Polski«. Warszawa 1830.

[2] »Bard nadwiślański«, »Bard oswobodzonej Polski«, »Pieśni ojczyste«. Op. cit.

w Niemczech, gdzieby nie doleciały znajome dźwięki mazurka. Gazeta *Vossische Zeitung* z dnia 24 stycznia 1832 roku [1] podaje jedno z takich entuzyastycznych przyjęć:

»Przy zbliżaniu się pierwszej kolumny Polaków ogromne mnóstwo ludzi z pochodniami w ręku zgromadziło się o godz. 6-tej nad tegostronnym brzegiem Renu. Zabrzmiała muzyka, tysiące zgromadzonych z uniesieniem śpiewało znajomą pieśń polską »Jeszcze Polska nie zginęła« w języku niemieckim. Na środku Renu, na moście łyżwowym odpowiadał tąż samą pieśnią w języku ojczystym oddział Polaków, po większej części z oficerów młodych się składający...«

Później zmieniły się czasy... Prusacy grać ją kazali chłopom z Poznańskiego w innych zgoła warunkach podczas kampanii francusko-pruskiej, w bitwie pod Gravelotte, chcąc ich zachęcić do boju.

Znaną pieśń jest i dziś jeszcze wśród obcych; jedna z popularniejszych pieśni czeskich »Hej Slovane« ułożoną jest na nutę naszej pieśni [2].

Jeszcze Polska nie zginęła! — »są to największe, najdonioślejsze słowa, jakie od stu lat usta polskie wymówiły« — pisze Stanisław Witkiewicz w studyum o Janie Matejce. — »Jest to treść i istota polskiego sumienia«.

»Na dymiących się pobojowiskach, wśród pożogi miast zdobywanych, ponad cichemi polami wsi polskiej, przy huku kół i młotów warsztatu, przy pracy badaczy naukowych, w szczęściu i niedoli, z kajdanami na nogach, czy z blaskiem zwycięstwa na czole, wszędzie i zawsze, gdziekolwiek jest Polak, niesie z sobą ducha tych czterech wyrazów... Są one nieodłączne dla wszystkich narodów od wyrazu: Polak. Wrogowie zrobili z nich wyraz

---

[1] Gadon: »Emigracya Polska«, tom I, str. 177. Kraków 1901.

[2] Autorem tekstu pieśni czeskiej »Hej Slovane« jest Samo Tomášik, Słowak z urodzenia (ur. 1813 w Cieplicy Jelszawskiej, umarł 1887 w Chyżnem), jak objaśnia artykuł A. Niemojewskiego i list A. Černego, pisany do tegoż. (*Tyg. illustr.* 1911, nr. 9. Autor pieśni »Hej Slovane«).

pogardy i obelgi — przyjaciele szczytne streszczenie naszego bohaterstwa i wierności.

»Mazurek Dąbrowskiego, ta skromna żołnierska piosenka, urodzona wśród legionów, na włoskiej ziemi, stała się potężnym hymnem narodowym, który w dniach wielkich brzmi, jak potężny huragan dusz, a w dniach powszednich dźwięczy nieustannie w duszy, jak słodka, kojąca mękę życia nadzieja.

»Niech każdy z nas zajrzy w głąb duszy i niech ją wyobrazi bez tych słów, bez tej myśli... przerazi się tą pustką rozpaczliwą, beznadziejną, jakąby w niej ujrzał, gdyby pamięć tych słów zagasła. Życie rozprasza nas po świecie, od bieguna do bieguna, lecz wszędzie idą z nami te słowa cudowne, strzegą sumienia i polskości duszy, działają z oddalenia, jak siła skupiająca rozproszone atomy narodu, siła, która krzepi i »powiększa« nasze dusze.

»Słowa te, to nasz największy, najpotężniejszy skarb narodowy, i człowiek, który je wypowiedział, powinien być czczony na równi z największymi geniuszami, jacy Polsce przyświecają.

»Słowa te jednak są tak konieczne, tak z nami zrośnięte, iż się zdaje, że każdy je sam wiedział, że sam je, zanim żyć począł, wypowiedział, lub że się urodziły gdzieś w niebie nad polską ziemią, że nie było i niema wiadomego człowieka, który je wymówił pierwszy, dla wielu też nawet jego nazwisko jest nieznane«.

Trudno zaprawdę kusić się o lepsze, dosadniejsze i cudniejsze słowa nad te, jakie wypowiada o pieśni w tych kilku zdaniach Stanisław Witkiewicz.

Żyje pieśń i trwa, jest ona zaprzeczeniem, protestem narodu nad bezprawiem politycznem, dokonanem nad nim.

Jest ona tem w epoce porozbiorowej, czem kiedyś w lepszych przedrozbiorowych czasach była ta prastara pieśń »Bogurodzica«.

Wacław Orłowski.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Bohdan Zaleski do upadku powstania listopadowego. 1802—1831. Życie i poezya. Karta z dziejów romantyzmu polskiego. *Józef Tretiak.* Nakładem Akademii Umiejętności. 1911. Str. VIII+500).

Dokończenie.

Chronologia utworów Zaleskiego do r. 1831 jest dość niepewna, bo rok ogłoszenia drukiem nie jest zazwyczaj rokiem urodzin danego wiersza (prof. Tretiak str. 125). O ustalenie jej pokusił się już dawniej Zdziarski (»Chronologia młodzieńczych utworów B. Zaleskiego«, *Biblioteka Warszawska,* 1901, tom IV). Obecnie możemy zestawić ją w sposób następujący (przyczem jeśli obaj krytycy zgadzają się na to samo, nie uwidoczniamy tego):

1818. pisane (Zdziarski): »Oda do Wenery« i »Oda do Pirry« (z Horac.)
» » »Przepowiedni« i »O życiu wiejsk.« »
(Co do ostatnich dwóch tłumaczeń jest to hipoteza Zdziarskiego, której Tretiak zupełnie nie porusza. Zdziarski motywuje podobnym stylem do poprzednich i przypuszczeniem, że przekłady z Horacego pochodzą zapewne z czasów szkolnych).

1818/19. pisane *Ćwiczenia umysłowe* (pisemko studenckie spółki Za-Go-Gra; nigdy niedrukowane i niezachowane).

1819. drukowane w *Dzienniku wileńskim* t. II: »Dwie ody« Horacego w przekładzie rymowanym (»Do Pirry«, »Do Wenery«) »Marya Stuart w więzieniu« (z francuskiego). (O tym druku Zdziarski nie wie i umieszcza na-

pisanie tego wiersza na rok 1823—1825). »Duma o Wacławie« (temat wzięty z pieśni rekruckiej).

1820. pisana (według datowania poety w edycyi 1838 r. Zdziarski): »Nieszczęśliwa rodzina«.

(W *Dzienniku wileńskim* t. I, zeszyt marcowy, jest druk. przekład z Horacego »Do przyjaciół« z podpisem Zaleskiego, zamiast Goszczyńskiego).

1821 (lub 22) pisany (Tretiak): »Wyjeżdżający do legionów, duma« (o Cypryanie Godebskim; w tekście książki pisze Tretiak czasem »Odjeżdżający...« Pierwszy raz drukowane w »Dodatkach« do tej książki, str. 475—479).

pisane (może) »Ludmiła« »Lubor«. (Tretiak: »Nieszczęśliwa rodzina«). (Zdziarski 1820—21): »Arab u mogiły konia«.

» (Zdziarski, ze względu, że to był okres parafraz oraz ze względu na styl i język, osadza w r. 1820—21 jeszcze: »Ukaranie« i »Dwojaki koniec«. Tretiak pomija milczeniem).

1822. drukowane w *Pamiętniku warszawskim:* »Ludmiła« (t. I). »Nieszczęśliwa rodzina«. »Lubor« (t. II). »Arab u mogiły konia« (t. III). »Pieśń staroczeska« (pierwsza, t. III). (Zdziarski: ostatni wiersz także napisany).

napisane (Tretiak: na pewno): »Dumka hetmana Kosińskiego«. (Zdziarski: bez dowodu, że w 1823).

» (zapewne): »Pieśń staroczeska« (druga). »Pielgrzym« (z Walter-Scotta).

» (według datowania poety): »Wyjątek z rycerskiego rapsodu« (Janusz Bieniawski). (Tretiak twierdzi, że napis. lub przerob. w 1823, gdyż widoczny jest wpływ »Ballad« Mickiewicza; por. str. 181—182. Ale pierwszy tom Mickiewicza wyszedł w czerwcu 1822 r. i mógł dostać się do rąk Zaleskiego w lecie tegoż roku, kiedy jeszcze poeta był w Warszawie).

» (Zdziarski, dlatego, że to lepsze parafrazy od dawniejszych): »Młodo zaswatana«. »Śliczny chłopiec«. (Tretiak oba wiersze pomija milczeniem). »Wzgórek pożegnania«. (Tretiak na r. 1823).

» (Zdziarski, dlatego, że teraz rozpoczął Zaleski pisywać same historyczne utwory ukraińskie i pisze nieprzerwanie do 1826 r., potem przerywa do r. 1836,

oraz że w wierszu panuje jeszcze klasyczny nastrój wiersza, podobny do »Śpiewów historycznych« Niemcewicza): »Trzeci szturm do Stawiszcz«. (Tretiak, patrz pod r. 1830).

1823. drukowane w *Astrei* »Pieśń staroczeska« (druga). »Pielgrzym« (t. III).
» w *Pamiętniku warszawskim:* »Dumka hetmana Kosińskiego«. »Wyjątek z rycerskiego rapsodu« (J. Bieniawski) (t. IV).
napisane (18. VI): »Śpiew poety«.
» »Spomnienie«.
» (Tretiak): »Wzgórek pożegnania« (przerob. z »Nieszczęśliwej rodziny«).
drukowany w *Astrei:* »Wzgórek pożegnania« (t. III). (Tretiak zapomniał napisać, gdzie i kiedy drukowany).
» (Zdziarski): w *Jutrzence* (noworocz. na r. 1823): »Ukaranie« (Tretiak pomija milczeniem).

1824. drukowane w *Jutrzence* (nowor. na r. 1824): »Spomnienie«.
napisane (25. VII): »Fantazya, wiersz do P[aulina] R[ydzewskiego]«.
» (przed 8. XII. Tretiak): »Fiołek«. »Odmiana« (sonet). (Oba te wiersze Zdziarski bez dobrego dowodu na r. 1825). »Do Gitary«. »Westchnienie za rodzinną chatką«.
» (prawdopod.) »Dumka Mazepy«.
» (Zdziarski: Poemat o Kosińskim, nieskończony i w marcu 1825 zniszczony).
drukowane (Zdziarski) w *Jutrzence* (nowor. na r. 1824) »Tryolety«. (Tretiak pomija milczeniem).

1825. drukowane w *Dzienniku warszawskim* (t. I, z. 1): »Fantazya, wiersz do P. R«. (t. I, nr. 3): »Śpiew poety«.
» w *Bibliotece polskiej* (t. II): »Dumka Mazepy«.
» w *Wandzie* (noworocznik na r. 1825): »Fiołek«. »Odmiana«. »Do gitary«. »Westchnienie za rodzinną chatką«.
pisane (kończone): »Damian ks. Wiśniowiecki«.
» (zaczęte, a Zdziarski określa, iż pod koniec marca) »Siryk« (nigdy nie skończone i nie drukowane za życia poety).

pisane (Tretiak, zapewne w ostatnich mies. roku): »Wiersz w imionniku przyjacielskim«, napisany pod »Żeglarzem« A. M. (Zdziarski, w latach 1826—30, zły dowód). (Drukowany dopiero w »Meliteli« na r. 1837).

» (zapewne pod koniec roku): »Duma z pieśni ludu ukraińskiego«.

» (Zdziarski): »Rojenia wiosenne«. (Tretiak pomija milczeniem).

(1823—1825. Zdaniem Zdziarskiego powstały liczne tłumaczenia dlatego, że wtedy Zaleski najwięcej tych autorów czytywał: »Ideały« i »Gody zwycięzców« Schillera; »Król-dziadek«, »O nocy«, »Pieśń Miniony« i »Zmienność« Goethego; pieśni nowogreckie ludowe: »Dziewica i Charon«, »Sen Pollikara«. Te dwa ostatnie drukowane w *Dzienniku warszawskim.* 1816, IV. Ma być 1826. Tretiak wszystkie te wiersze pomija milczeniem).

1826. drukowane w *Bibliotece polskiej* (styczeń): »Duma z pieśni ludu ukraińskiego«.

» w *Dzienniku warszawskim* (czerwiec) »Damian ks. Wiśniowiecki, poema ukraińskie w sześciu dumach«. (Drukowane tylko dwie).

pisane (według daty poety) »Pasieka« (fragment, drukow. dopiero w »Dziełach pośmier.«) (Zdziarski, w 1828 bez dowodu).

(drukowane, Zdziarski, w *Dzienniku warsz.:* »Dziewica i Charon«, »Sen Pollikara«. Patrz wyżej).

1826—1827. pisane (Zdziarski): »Śpiew Tarły« (wstęp do powieści Skarbka: »Tarło«). (Tretiak pomija milczeniem).

1827. pisane (Tretiak, prawdopodobnie, przynajmniej pomysł i pierwotny układ): »Ptaszę lasze«. (Zdziarski 1828).

1828. pisane (Tretiak w ciągu letnich miesięcy, a gotowe do druku w paździer., jeśli nie wcześniej): »Rusałki«. (Zdziarski, 1827/28).

» (prawdopodobnie): »Kwiat paproci« (druk. dopiero w »Dziełach pośmiert.«) Tretiak przesuwa napisanie tego fragmentu na r. 1827, por. jego rozumowanie na str. 403 i nast. Opiera się 1. na wzmiance listu do Witwickiego. Otóż właśnie ta wzmianka przema-

wia za tem, że fragment powstał po »Rusałkach«, gdyż poeta widzi w nim świetniejszy od »Rusałek« koloryt. 2. Na treści, która odnosi się do wcześniejszej epoki bohatera »Rusałek«. Nie jest to dostatecznym argumentem, gdyż retrogradacya zdarza się często, np. »Niedokończony poemat« powstał po »Nieboskiej«. Prócz tego zaś 1) w latach 1826 i 1827 atmosfera Rawy i Sochaczewa oraz zajęcia nie sprzyjały twórczości, gdy tymczasem fragment ten ma być piękny; 2) Tretiak (str. 407) pisze, że »Kwiat paproci« poczęty był w chwili jakiegoś wezbrania ufności w twórczą moc swoją, to zaś nastąpiło nie przed »Rusałkami«, ale po nich. Zdziarski też sądzi, że fragment powstał po »Rusałkach«.

pisane (Zdziarski, według datowania poety): »Do Laszki« (pierwotny tytuł: »Zołotareńko w Warszawie«). (Tretiak pomija milczeniem).

1829. drukowane w *Meliteli* (nowor. na r. 1829): »Rusałki«.

» w *Gazecie polskiej* (nr. 113 z 27. IV): »List podający sposób na zgodę«. (Podpisany Kacper Prawdzic. Tego herbu Zaleski, zapewne autorem. Tretiak). (Artykuł ten jednak jest pióra Witwickiego. Tretiak nic nie wspomina, że o autorstwie Witwickiego mówi Koźmian. Por. Siemieńskiego »Portrety literackie«, t. III, s. 393, 394).

(pisane: Powieść o Kosińskim, Poemat historyczny o Konaszewiczu, Daniłłowiczu, Chmielnickim, Dramat o Corregiu. Nieskończone i zniszczone lub zaginione).

1830. drukowane w *Meliteli* (nowor. na r. 1830): »Co mi tam czyli poranek starego myśliwca« (Zdziarski, napis. 1823—1829). »Czajki«. »Trzeci szturm do Stawiszcz« (Tretiak, może pisany jeszcze w 1822 ale wykończony teraz; Zdziarski, pisany w 1822). »Śpiewające jezioro«. (Zdziarski, pisane 1823—29). »Pielgrzym w obcym kraju« (Zdziarski, pisane w 1823—29).

1831. drukowane w *Nowej Polsce:* »Artykuły nadesłane« (podpisane B. Z. W numerach 20. 62. 70. 73. 80. 105. 123. 142. 164. od 24 stycznia do 20 czerwca). »Wyjątek z listu do redakcyi«. »Odezwa« nr. 46 z 19. II.)

»Pułk czwarty piechoty liniowej« (nr. 70 z 15. III). »O nadaniu własności wieśniakom« (nr. 80 z 25. III). »Projekt nadania własności włościanom w dobrach narodowych« (nr. 105 z 20. IV). (Ostatnie trzy artykuły i niektóre »nadesłane« przedrukował Tretiak w »Dodatkach«, str. 481 – 488. Zdziarski o tych artykułach, zdaje się, nie wiedział).

Jeśli porównamy tę twórczość z równorzędną twórczością lat młodych Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, przyznać musimy, że jest na ilość bardzo uboga. Co więcej, z początku nie grzeszy ona oryginalnością. Odnosi się to tak do jeszcze szkolnych utworów, jak i do pierwszych druków warszawskich. »Ludmiła«, jedna z rzeczy najsłabszych, ma motyw wzięty z pieśni Schillera *Des Mädchens Klage*, ale nie wprost, tylko z niedołężnego przekładu rosyjskiego Żukowskiego. Nie był więc prawdą dopisek przy tytule, że to »duma z pieśni ukraińskiej«. Prof. Tretiak nazywa to »niewinnem zmyśleniem« i porównuje z analogicznem zmyśleniem Mickiewicza przy »Dudarzu« i »Grażynie«. Były to jednak rzeczy oryginalne i dlatego porównanie należy uznać za chybione. »Lubor« ma motyw wzięty z ballady Uhlanda *Harald* i z dumy o Iwasiu Konowczence. »Arab u mogiły konia« jest naśladowaniem Francuza z czasów napoleońskich, Huberta Millevoye: *L'Arabe au tombeau de son coursier*. Ale choć i to wolny przekład, Zaleski nie przyznał się do tego i drukował jakby utwór oryginalny; co więcej w przypisku jakby tę oryginalność podkreślał. Dopiero w wydaniu lwowskiem (r. 1838) naśladownictwo zaznaczył. Trzeba zgodzić się z prof. Tretiakiem, że Zaleski w młodych latach nie miał dokładnego wyobrażenia o tem, co stanowi oryginalność utworu.

Najciekawszymi utworami z czasu przed poznaniem poezyi Mickiewicza są »Dumka hetmana Kosińskiego« i »Nieszczęśliwa rodzina«. »Dumka« to pierwszy utwór poety, gdzie występuje historyczne tło ukraińskie. Jest też pierwszą próbą stworzenia tego rodzaju poetyckiego, który w późniejszej twórczości Zaleskiego tak wybitne zajmuje miejsce. Czerpie ona motyw nie z dum i pieśni historycznych, ale z historyi i tradycyi, ten motyw roztapia w obfitym liryzmie a cała nastrojona jest na ton ukrainofilski. Za temat wybiera poeta szczęśliwe tradycye ze stosunków polsko-ukraińskich, bo poeta jest z natury patryotą polskim, zresztą ku temu nastrajała go ta historya, którą znał. Inna rzecz, iż sam Krzysztof Kosiński, choć szlachcic podlaski, był

pierwszym demagogiem kozackim. »Dumka« zresztą ani charakteru ani obyczajów ludu poznać nie daje, a co do rytmu, to pojedyncze elementa są w ludowej poezyi ukraińskiej, ale niema ich w tym kształcie, jak u Zaleskiego. »Nieszczęśliwa rodzina« jest pierwszem przerobieniem z ludowej poezyi (jeśli pominiemy młodocianą próbę »Dumę o Wacławie«), budzi zaś zajęcie tylko dlatego, że daje impuls do bardzo ciekawego wywodu prof. Tretiakowi, wywodu, który usuwa mnóstwo fałszywych wyobrażeń, istniejących o dumie.

Ojczyzną dumy jest Ukraina, a że istniała w początkach XVI w. świadczą *Annale* Sarnickiego. Nazwa dumy już od końca XVI w. przeszła do poezyi polskiej dla oznaczania różnego rodzaju pieśni, przeważnie elegijnych i czyny rycerskie opiewających. W XVIII w. pisał Karpiński dumę o Ludgardzie, Niemcewicz o Żółkiewskim i o Stefanie Potockim. Z treści są te dumy pokrewne dumom ukraińskim, ale pod względem formy nic nie mają z niemi wspólnego. Zaleski też pod względem formy nie dał o nich wyobrażenia, ponieważ jego dumy i dumki pod względem formy wiersza odpowiadały temu, co lud nazywa pieśnią, a co bardzo się różni od ludowej dumy, dziś już przebrzmiałej i zachowanej tylko w szczątkach. W pieśni melodya panuje nad myślą, w dumie myśl, słowo nad melodyą. W pieśni wiersze są ujęte w stały takt muzyczny, rytm wiersza jest zależny od rytmu melodyi, są strofy dwu i więcej wierszowe; jest więc stroficzność i jednostajność wiersza pod względem ilości zgłosek. Dumy natomiast nie mają podziału na strofy, lecz na okresy logiczne, swobodne, różnej długości. Melodya ich prosta, uboga idzie za słowem, długość wierszy rozmaita. Rym w pieśni jest stały, często assonansowy, czasem słabej assonansy, ale dążność do rymu jest widoczna. W dumie rym nie stanowi cechy, choć się czasem zdarza, co prawda przypadkowo, wskutek kładzenia czasowników na koniec. Także nastrój w dumie jest zmienny. Wyjątkowo zdarzało się coś pośredniego między pieśnią a dumą, zmieszanie obu form, nazywane także dumą. Takim utworem jest »Odjazd Kozaka ze stron rodzinnych«, małoruski utwór w zbiorze ks. Certelewa (Petersb. 1819), a że zbiór ten najprawdopodobniej znał Zaleski, więc stąd wziął treść do swej dumki »Nieszczęśliwa rodzina«. Zaleski użył tu jednak nie kołomyjkowego wiersza (8 i 6 zgłosek) pieśni ludowej, ale jednostajnego, czterostrofowego trocheja, który widać odpowiadał jego rytmice duchowej, bo stał się ulubioną jego formą potem. Z formy właściwej dumie nic tu nie zostało, jak niema jej śladu w całej poezyi Zaleskiego.

Pod wpływem poezyi Mickiewicza Zaleski się pogłębia i wyrabia pod artystycznym względem. Bezpośrednia zależność odbija się tylko w paru wierszach: »Fiołek«, »Odmiana«, »Wiersz w imionniku«. Samookreśleniem jest »Śpiew poety«, którego bardzo piękny rozbiór podaje prof. Tretiak w V rozdziale. Zaleski to prawdziwy skowronek, nie filozof w zwykłem znaczeniu słowa, a całą jego filozofią sztuki i najznamienitszym rysem jego poezyi jest pogodzenie dźwięku z sercem. Wszystkie jego myśli i obrazy pozłocone są blaskiem i ogrzane ciepłem płynącymi z serca. Tu też zaznaczył się chrześcijański charakter jego optymizmu. Nieprześcignioną śpiewność, elegijny ton i wdzięk posiada najbliższy »Śpiewowi« rytmem i kolorytem wiersz p. t. »Spomnienie«. Pod wpływem Mickiewiczowskim przerabia Zaleski »Nieszczęśliwą rodzinę« na »Wzgórek pożegnania« a dumę o Iwasiu Konowczence wyzyskuje na nowo w »Januszu Bieniawskim«. Ten rapsod to poezya ruchu, pędu, właściwa życiu kozackiemu i stepowej naturze. »Dumka Mazepy« w pomyśle i formie przypomina »Dumkę Kosińskiego« i jest niehistoryczna. Sytuacya Mazepy jest wyjątkowa w utworach Zaleskiego, bo przedstawia moment złych stosunków z Kozaczyzną. Podobnie jest tylko w »Trzecim szturmie do Stawiszcz«, ale tu już staje poeta bezwzględnie po stronie Polaków. »Dumka Mazepy« dowodzi, że Zaleski miał wielkie braki w znajomości historyi, co i gdzieindziej widoczne. Postać Mazepy nie jest podobna ani do Wolterowskiej, ani do Byronowskiej, ani Paskowej; jest to prawdziwy Kozak i według tej to kreacyi Słowacki wzorował swego Mazepę.

Od »Bieniawskiego« myślał Zaleski o większej całości epickiej, ale ta się nie kleiła przy jego talencie na wskróś lirycznym. Rapsod o »Damianie Wiśniowieckim« ma za bohatera niby wnuka Dymitra, sławnego twórcy Siczy Zaporoskiej, a rapsod p. t. »Siryk« miał mieć Siryka czyli Sierkę, jednego z najdzielniejszych atamanów kozaczych Zaporoża z czasów Michała i Jana III. W genezie »Damiana« odegrały rolę: chęć patryotyczna przedstawienia dobrych stosunków polsko-ukraińskich, wspomnienia dzieciństwa, romantyczny ukrainizm i wpływ »Grażyny«. Epicki wątek jest mało rozwinięty i słabo zarysowany. Najciekawszą postacią jest Naum, który jest pierwszem wcieleniem tradycyi o Wernyhorze, tak opiewanej w poezyi XIX wieku.

Perłą twórczości z przed powstania są »Rusałki«. Piękny ich rozbiór zawiera rozdział dziesiąty. Bohater z jednej strony podobny jest do studenta szkoły humańskiej, z drugiej zdaje się występować w czasach jeszcze nieujarzmionej Kozaczyzny. Poeta pod przybranem

imieniem Cisława przedstawia nam swój stosunek do pięknej Zoryny (odbicie stosunku do panny Żukowskiej). Imię to jest zapewne urobione od zorza, gdyż ludowe nie jest. Ton stosunku, żartobliwo-miłosny, jest zupełnie oryginalny. »Rusałki« nie są podobne do ludowej tradycyi ukraińskiej, nie mają cechy zdradzieckich bóstw wodnych, ale są podobne raczej do wróżek, feji, czarodziejek romantyki zachodniej lub elf skandynawskich. Pomysł płynięcia rusałek w jakiejś cudownej, powietrznej łodzi powstał prawdopodobnie pod wpływem Ernesta Schulzego *Die bezauberte Rose*. Poemat wiąże się z fragmentami »Pasieka«, »Kwiat paproci« i wierszem »Ptaszę lasze«, a wszystko to razem miało zdaje się tworzyć fantastyczną historyę własnego ducha poety.

Nakoniec w *Meliteli* na r. 1830 ukazało się pięć wierszy, artystycznie wykończonych lepiej, niż dawniejsze. Najobszerniejszy »Co mi tam czyli poranek starego myśliwca«, podobny do poprzednich dumek, ale chodzi tu nie o postać historyczną lecz o typ starego szlachcica ukraińskiego, zapalonego myśliwca. Postać ta — twierdzi prof. Tretiak — mogła stać się po części wzorem, po części pobudką do stworzenia jednej z najdoskonalszych postaci »Pana Tadeusza«, mianowicie Wojskiego; ta hipoteza nie wydaje się jednak prawdopodobną. Nie wszystko w tej postaci jest typiczne; zapał do dum i dumek ruskich to już upodobanie samego poety. Drugi wiersz, »Czajki«, wyjątkowo u Zaleskiego na ścisłej historyczności oparte, odnoszą się do sławnej wyprawy morskiej Kozaków pod Konaszewiczem na Synope w 1614 r. Nigdzie u poety wojowniczy duch kozacki, żądny przygód, walki i łupu nie wypowiedział się lepiej, niż w tym wierszu, będącym wylewem zbiorowych uczuć radości i tryumfu. To też sprawiły bardzo silne wrażenie i najbardziej nęciły do naśladowania. Prof. Tretiak twierdzi, że wpłynęły na śpiewy kozackie w »Żmii« Słowackiego (jak »Rusałki« na pewne miejsca w poemacie »W Szwajcaryi«), u Szewczenki zaś na utwory »Iwan Podkowa« i »Hamalija«. Trzecim wierszem był »Trzeci szturm do Stawiszcz«. Czwartym »Śpiewające jezioro«, wyjątkowy swoją egzotycznością, podobno — jak Zaleski pisze — powstały za pobudką wzmianki Klaproth'a o śpiewających jeziorach na Kaukazie. Prof. Tretiak takiej wzmianki u Klaproth'a nie znalazł, to też geneza tego wiersza pozostaje zagadkową. Utwór ten ma ciepła niewiele, ale malarsko jest piękny. Piąty, ostatni wiersz z przed powstania, dumka »Pielgrzym w obcym kraju«, pełna tęsknoty do stron rodzinnych, jest jakby duszą liryki Zaleskiego.

Tak się przedstawia, w słabem odbiciu, znakomita książka prof. Tretiaka. To, co skondensowałem w suchy szkic, tam rozprowadzone jest barwnie i żywo. Kto zna cenne zresztą studya dawniejsze o Zaleskim, dostrzeże, jak różna jest metoda. W tamtych ograniczenie się prawie do jednej postaci, tu żyje Zaleski w gronie ludzi, których koleje także poznajemy. W tamtych tło czasu ubogie, tu rozbiór poglądów wyrażanych w rozmaitych artykułach i rozprawach. Tam analiza utworów więcej pobieżna, tu gruntownie omówiona geneza, wpływy, źródła, treść, forma. Tamte to całe gmachy, ale rozmiarami skromniejsze i nie dosyć jeszcze wykończone, tu jedno skrzydło gmachu ale wykończone aż do szczegółów najdrobniejszych.

Wydaje mi się, że Zaleski miał szczególne szczęście do krytyków. W tym przedstawionym okresie piszą o nim bliżsi lub dalsi przyjaciele i nawet nieraz niemal aż nad zasługę i wartość wynoszą. I potem było podobnie. W naszych czasach zabiera o nim głos poetka zbliżona talentem, to znów syn przyjaciela, wkońcu krytyk, którego pociągał, jak sądzę, w Zaleskim ukrainizm, pociągała szczerość i głębokość religijnego uczucia, prostota charakteru i poetyczność natury. Książki, pisane z serca, mają szczególny urok: ta książka tak jest pisana. Dla tych wszystkich zalet i dla tego, że autor wiele utworów, w tym okresie przez innych badaczy osadzonych, pomija milczeniem, oczekujemy dalszego ciągu z najżywszem zajęciem.

Uwaga: W poprzednim zeszycie *Przeglądu* pozostały w mojej recenzyi następujące omyłki druku:

str.	94	wiersz	18	od góry:	w romantyczności	zam.:	i romantyczności
»	97	»	17	od dołu:	Liryk	»	Siryk
»	100	»	4	» »	Nr. 80	»	Nr. 80 i 82
»	102	»	13	» »	Niemojewscy	»	Niemojowscy
»	102	»	1	» »	zaraszczańskiego	»	taraszczańskiego

Dr. Stanisław Turowski.

Józef Haydn. Napisał *Dr. Zdzisław Jachimecki.* Kraków 1910, nakładem autora, 8-o, 90 str.

Przybyła do polskiej popularnej literatury muzycznej nowa praca, spełniająca swe zadanie bardzo dobrze, praca p. d-ra Jachimeckiego o Haydnie. Czytelnik polski, pragnący poinformować się obszernie o twórcy »Stworzenia« i »Pór roku« sięgnie po książkę polskiego autora z tem większem zadowoleniem, że niema przystępniej napisanej pracy w innych językach i w tej wystarczającej objętości, co

książka p. Jachimeckiego. Autor włada stylem bardzo wprawnie i umie nadać swym myślom i sądom plastyczność wyrażenia; ma przytem dar barwnego przedstawiania rzeczy. Dowodzi tego już pierwszy rozdział »Haydna«, poświęcony wyłącznie życiorysowi wielkiego mistrza. W drugim jest mowa o operze, przyczem zauważyć musimy, że podanie treści libret nawet nieznanych dziś powszechnie oper Haydna zajmuje sporo miejsca w porównaniu z charakterystyką niejednego ważniejszego dzieła (n. p. kameralnego). Korzyść jednak z tego przekroczenia miary jest ta, że polski czytelnik dowiaduje się jakiego rodzaju libreta były cechą opery z czasów Haydna. Na str. 42 i 43 znajdują się uwagi o współczesnych kompozytorach niemieckich, a raczej o »rozwlekłości« ich dzieł; uwag tych nie możemy podzielać w całości. Porównywając dzieła Brucknera i Regera, muszę zauważyć, że niemal wszystkie symfonie Brucknera są za długie, gdy tymczasem kilka tylko dzieł Regera przekracza miarę możliwości, ani razu jednak nie można powiedzieć, iż są »plagą nie do zniesienia«. Przeciwnie nawet w »Symfonicznym prologu« Regera, a więc względnie najdłuższem jego dziele, dłużyznę wynagradzają nam mistrzowskie opracowania kontrapunktyczne, które są w stanie dzięki swej rozmaitości zająć trwale naszą uwagę. U Brucknera razi to, że »ciągle zaczyna na nowo«, niema u niego płynności, jaką się odznaczają właśnie dzieła Regera. Zarzucając dziełom symfonistów niemieckich »rozwlekłość«, można również zarzucić n. p. Francuzom ich szkicowość i pośpiech. Ale to właściwie do Haydna nie należy. Rzecz dziwna jednak, że twórcy najdłuższych symfonii, t. j. G. Mahlerowi, nie czyni autor bardziej pozytywnych zarzutów co do »rozwlekłości«, a właśnie Mahler jest słynny z tego powodu. Dotyczy to zwłaszcza pierwszych symfonii. To co pisze autor w III rozdziale o oratoryach jest nie tylko trafne, ale pełne bardzo szczęśliwych spostrzeżeń. W porównaniu z tym rozdziałem niewiele miejsca zajmuje »Muzyka instrumentalna« (rozdział IV, str. 63—79). Pojmuję zupełnie trudności, jakie są związane z usiłowaniem powiedzenia wzgl. napisania wiele dla laika o kilkuset dziełach orkiestrowych, kameralnych, skrzypcowych, fortepianowych i t. d. Łatwo narazić się na powtarzanie tych samych spostrzeżeń, nieraz niezbędnych a zawsze laika nużących, często niezrozumiałych a nawet niedocenionych. Stąd pod wspólny mianownik podciągamy zalety mnóstwa dzieł i stajemy się zbyt lapidarni. Dobrą myślą autora było przedstawienie stosunku Haydna do symfonistów wiedeńskich (około r. 1740). Bardziej wyczerpującą byłaby charakterystyka, gdyby mimo swego przekonania zagłębił się był autor

w kwestyę związku Haydna z Mannheimczykami, których dzieła poznał bawiąc w Czechach (w Łukawcu). Kwestya pierwszeństwa jest w dziejach wszelkiej sztuki zawsze problematyczną; dotyczy to właśnie wpływu wiedeńskich symfonistów na Haydna. Czy wszystkie symfonie i wszystkich »Wiedeńczyków« pochodzą z epoki »koło r. 1740«? Zdaje mi się, że nie; właśnie najbardziej cenne symfonie są datowane po r. 1740. Od wpływu Mannheimczyków nie uwolnili się najwięksi symfoniści, a między nimi Haydn. Czy tak, czy inaczej, dość, że dziś nikt nie zaprzeczy, iż tylko Mannheimczycy (Stamič, Faš, Richter i t. d.) mogli na Haydna wpłynąć. Autor nie uwzględnia badań Kretzschmera nad »symfoniami młodości« Haydna (por. *Jahrbuch der Musikbibliothek Peters).* Nie wiem czy umyślnie, czy nie. W każdym razie jest to pracą ważna, gdyż wykazująca wpływy Neapolitańczyków. Estetyczne spostrzeżenia d-ra Jachimeckiego są mimo to bardzo trafne; okrasza je niejedno zręczne porównanie, niektóre szczegóły mogą wywołać zapewne i dyskusyę. N. p. kwestya clavicembala w orkiestrze XVIII wieku. Czy w istocie instrument ten był »czynnikiem psującym czystość zespołu, jako instrument mający warunki reprodukowania całej orkiestry«? Zdaje mi się, że był nie tylko »kitem zalepiającym pory harmoniczne«, ale i wpływał na koloryt. Oczywiście z chwilą gdy Haydn i Mozart wsparli emancypacyę instrumentów dętych i gdy ta emancypacya stale się wzmagała, clavicembalo straciło racyę bytu. A jednak dziś nie można wykonywać przedhaydnowskich utworów orkiestrowych wyłącznie bez tego instrumentu, święcącego dziś swoje odrodzenie. Nie przychylam się do zdania autora o sonatach fortepianowych Haydna. Są to dzieła tak niezwykłej wartości i tak porywająco świeże, iż tylko dzisiejsza stęchła kultura muzyczna mogła je podać w zapomnienie. Wierzę w prorokowany (zdaje mi się przez Rubinsteina) renesans sonat Haydna. Co do sądów autora o wpływie słowiańskiej muzyki ludowej na Haydna, jestem zupełnie po jego stronie; więcej nawet, bo przypuszczam, iż podczas pobytu Haydna w Czechach niejedna skoczna melodya czeska utkwiła raz na zawsze w jego pamięci. Również w ostatnim rozdziale (»Muzyka religijna i pieśni«) wypowiada autor sądy, na które godzą się dotychczasowe badania naukowe. Dział świeckiej twórczości, wymieniony przez autora uzupełniłbym jeszcze madrygałami Haydna. Wszak autor był również świadkiem niezwykłego sukcesu »papy Haydna« na Kongresie muzycznym w Wiedniu (1909) w roli madrygalisty. Jego *Harmonie in Ehe*

była przedmiotem owacyi i »bisu«. Ten utwór jest może jednym z najtypowszych przykładów żartobliwie-ironicznej wesołości Haydna.

Praca d-ra Jachimeckiego, nieporównanie lepsza od monografii Mozarta, o której pisaliśmy w *Przeglądzie*, powinna zachęcić autora do napisania cyklu popularnych prac także o innych kompozytorach (n. p. o Brucknerze). »Wagnera« zapowiedzianego już dawniej, oczekujemy z prawdziwą przyjemnością, gdyż to jest dziedzina najwłaściwsza dla d-ra Jachimeckiego.

Dr. Adolf Chybiński.

Z piśmiennictw obcych.

Stundenbilder der philosophischen Propädeutik. Von *Peter Vogt S. J.*, Professor am Privatgymnasium »Stella Matutina« in Feldkirch. Erster Band: »Psychologie«, gr. 8-o (XVIII u. 476). Zweiter (Schluss-) Band: »Logik«, gr. 8-o (XII u. 282). Freiburg im Breigau 1909. Herdersche Verlagshandlung.

Leitfaden der philosophischen Propädeutik für den Schulgebrauch. Von *P. Vogt S. J.* Erster Teil: »Logik« (IV u. 71). Zweiter (Schluss-) Teil: »Psychologie«. Wien 1911. Herder.

Jak tytuły wskazują, oba te dzieła mają służyć do użytku szkolnego. Chcąc mianowicie ułatwić profesorowi propedeutyki filozoficznej pogłębienie i rozszerzenie treści, zawartej w podręczniku szkolnym, podaje Vogt w pierwszem dziele w formie lekcyi materyał obfity, a rozłożony jasno i wzorowo, tak, że z łatwością można z niego korzystać w miarę potrzeby i sposobności. Zachęcony zaś ogólnem uznaniem, z jakiem przyjęto dwa pierwsze tomiki »Stundenbilder«, oraz chcąc zadość uczynić prośbom z wielu stron nadsyłanym, wydał także krótki podręcznik dla uczniów, ażeby ułatwić wspólną pracę profesora i uczniów.

Propedeutyka filozoficzna w szkołach średnich, jak to słusznie zaznaczają »Instrukcye o nauczaniu w gimnazyach Austryi«, ma to zadanie, aby przed wzrokiem duszy młodzieńca otworzyć pracownię umysłu i serca i uczynić go zdatnym do zwracania uwagi namysłowej na zjawiska psychiczne. Przez to przyuczy się go, aby przebiegi życia wewnętrznego uznawał za fakta, dostępne doświadczeniu i wymagające badania, tak samo, jak go nauczono patrzeć na rzeczy i zjawiska

świata zewnętrznego. Temu zadaniu odpowiada doskonale metoda wykładu Vogta. Na początku każdego ustępu czy lekcyi podaje materyał doświadczalny z danego zakresu zjawisk psychicznych, wzięty przeważnie ze sfery uczniom dobrze znanej, a wskazawszy następnie na właściwości tych zjawisk, ich przyczyny i skutki, zaznacza większą lub mniejszą prawidłowość ich powstania i przebiegu, aby w ten sposób poprzez rozmaite przypuszczenia, hipotezy, zapatrywania pewniejszą sobie utorować drogę do naukowego tłumaczenia tych objawów. I trzeba przyznać: obfitość zebranego materyału doświadczalnego, sposób przedstawienia i wyjaśnienia rzeczy umiejętny a prosty, odpowiadający rozwojowi umysłowemu słuchaczy, przedmiotowo wierne przytaczanie rozmaitych hipotez i zapatrywań, podawanie w formie ćwiczeń na końcu wielu ustępów zdań od zdania autora odmiennych, gruntowna znajomość zarówno nowszej literatury zawodowej, jak klasycznych dzieł filozoficznych starożytności pogańskiej chrześcijańskiej, wszystko to zmierza do tego, ażeby umysł młodzieńczy przygotować należycie do zajęcia się głębszemi zagadnieniami filozoficznemi, by pobudzić do samodzielnego myślenia i wyrobić zdolność do spokojnej, przedmiotowej, prawdziwie krytycznej oceny obcych wytworów ducha.

Pierwszą część obrazów poświęcił autor psychologii, widocznie dlatego, że pewien zasób wiadomości o psychologicznym przebiegu czynności poznania ułatwia uzasadnienia logiczne i zrozumienie praw myślenia. Cały materyał rozłożono na sześćdziesiąt lekcyi. Rzeczowo dzieli się ten tom na trzy działy. Pierwszy obejmuje prócz uwag większych o psychologii wykłady o świadomości, o podziale czynności psychicznych oraz rzut oka na układ i budowę nerwów. W drugim dziale omawia się główne zjawiska życia psychicznego, a więc czucie, poznanie zmysłowe i umysłowe, uczucia i chcenie. Część trzecia nosi tytuł: Niektóre szczególne zjawiska psychiczne — a zawiera rozdziały o mowie, o energii psychicznej, o jaźni, o duszy, o stosunku wzajemnym ciała i duszy, o indywidualności; może tym ustępom mniej odpowiada powyższy napis, niż następnym trzem: o śnie, o niezwykłych objawach życia psychicznego (halucynacye i illuzye, wizye i ekstazy, somnambulizm, hypnotyzm) i zaburzeniach życia psychicznego.

Ustępy o zjawiskach życia zmysłowego i o uczuciu opracował Vogt z niezwykłą starannością. Znać, że z zamiłowaniem oddaje się badaniom nad fizyologią zmysłów. Nadto ku pochwale autora trzeba zaznaczyć, że zwracając pilną uwagę na najnowsze zdobycze psycho-

logii doświadczalnej, nie przeszedł z zamkniętemi ze wzgardą oczyma obok bogatych skarbów, zostawionych nam przez uprzednie wieki, a przytem potrafi z rozsądną swobodą przedstawić i uzasadnić własne swoje zdanie w niejednej nierozstrzygniętej dotąd kwestyi. Wystarczy wskazać n. p. na ustępy: Oko jako narząd projekcyjny (str. 121—144), umiejscowienie czynności zmysłów (str. 159—169), »typy« (τύποι Arystotelesa) czyli zdolność odtwarzania przy pomocy wyobraźni mianych postrzeżeń zmysłowych (str. 180 i n., 225—235), o energii psychicznej (str. 384—391).

Autor n. p. przedstawia sobie oko nie tylko jako aparat fotograficzny lecz zarazem jako przyrząd projekcyjny. Porównywa promienie projekcyjne do laski, przy pomocy której macamy dany przedmiot. W laseczkach siatkówki widzi aparat do oświetlania przedmiotów. Chociaż może ta teorya nie daje dostatecznego, jak się zdaje, wytłumaczenia zlewania się barw w wrażenie barwy białej, to jednak służy bardzo dobrze do zrozumienia niejednego zagadkowego zjawiska z optyki fizyologicznej, n. p. wielkiej ilości laseczek w oczach zwierząt, polujących na swą zdobych w ciemności; tego faktu, że żółta plama nie jest najwrażliwszą na światło częścią siatkówki; zjawiska fluorescencyi. Można się z autorem nie we wszystkiem zgadzać, ale to mu przyznać trzeba, że swego zdania umie bronić dobrze i niewątpliwie wyrobi w swoich uczniach popęd do samodzielności tak, jak w czytelniku obudza chęć do głębszego zastanowienia się nad wielu zagadnieniami.

Życzyćby jeno należało, by w następnych wydaniach zwrócił uwagę na teoryę o czynnościach psychicznych nieświadomych lub podświadomych, by szerzej omówił szczególnie uczucia estetyczne. Zresztą można dziełko najgoręcej polecić nie tylko do użytku szkolnego, ale także do s t u d y u m p r y w a t n e g o tym wszystkim, którzy pragną lub potrzebują rozpatrzyć się w kwestyach propedeutyki filozoficznej.

II. L o g i k a odznacza się zaletami wykazanemi jeszcze w wyższym stopniu niż psychologia. Vogt ma wielką wprawę pedagogiczną i umie doskonale wprowadzić ucznia z otaczających go, dobrze znanych zjawisk w sferę działalności ducha. Wykłady, nacechowane niepospolitą żywością i jasnością, budzą mimowoli zainteresowanie, tak że czyta się o przedmiocie, samym przez się nieco suchym, naprawdę z zadowoleniem, nie z trudem i mozołem. Odnosi się to przedewszystkiem do drugiej połowy dzieła, od lekcyi 30-ej począwszy. Prawdziwie po mistrzowsku opracowano między innemi lekcyę 31, gdzie na-

prowadza się ucznia, jak zastosować prawa myślenia do tematu »Znaczenie pracy dla człowieka«.

Rozłożono logikę na 45 lekcyi, z których ośm przypada na część teoretyczną, reszta zaś na część praktyczną. W pierwszej części umieścił autor wykłady: o celu myślenia (prawda i pewność), o błędach w myśleniu, o drogach myślenia (analiza, porównanie synteza), o podstawowych prawach, a wreszcie o możliwości osiągnięcia celu myślenia t. zn. dojścia do pewnego posiadania prawdy. Część praktyczna obejmuje pięć większych ustępów: I. Zastosowanie praw myślenia przy logicznem opracowaniu elementów poznania czyli dyalektyka. II. Zastosowanie praw myślenia do badania kwestyi, czy i o ile spuścić się można na źródła poznania (własne czynności poznawcze i wiarogodność świadectwa ludzkiego). III. Metodologia czyli zastosowanie praw myślenia do szukania i przedstawienia prawdy. IV. Środki do uniknięcia względnie pozbycia się logicznych błędów. V. Zastosowanie praw myślenia przy wyjawianiu myśli na zewnątrz zapomocą mowy.

Całkiem słusznie postawiono na czele logiki zagadnienia o prawdzie i pewności, o błędach i fałszu, o podstawowych prawach myślenia, całkiem słusznie już tu rozwija się dowód, że umysł ludzki zdolny jest osiągnąć prawdę i spokój pewności. Można się bowiem spodziewać, iż uczeń, wiedząc że wysiłki jego nie idą na marne, że dojdzie na pewno do upragnionego celu, podejmie się dalszej pracy, nieraz żmudnej i trudnej, z większą ochotą i z gorętszym zapałem. Zresztą i w tej części swego dzieła potrafił autor urozmaicić jednostajność wykładów doborem przykładów i odpowiednich ćwiczeń.

Vogt jest dobrym obrońcą wnioskowania syllogistycznego, jak to widać z gruntownej rozprawy z zarzutami Stuarta Milla. W kwestyi o pewności postrzeżeń zmysłowych broni nieźle przedmiotowości własności postrzeżonych. Na ogół może zbyt dużo lekcyi poświęca nauce o wnioskowaniu, a zbyt krótko zatrzymuje się przy kwestyi o sądzie.

Metodologia jest rzeczywiście pożądaną i całkiem na miejscu. Trzebaby jeno rzecz o indukcyi, zwłaszcza o ile ma zastosowanie w naukach przyrodniczych, cośkolwiek szerzej i dokładniej opracować. Przez to podniosłaby się jeszcze niepoślednia wartość dzieła.

Drugie dziełko *Leitfaden der philosophischen Propädeutik,* mające służyć uczniom jako podręcznik szkolny, jest treściwem, lecz zupełnie wystarczającem skróceniem pierwszego. Zmienił tylko autor po-

rządkową liczbę tomików, prawdopodobnie ze względu na porządek przedmiotu, przepisany w planie nauk gimnazyów austryackich. Zresztą pozostawił ten sam rzeczowy podział materyału jak w *Stundenbilder*. I tutaj dołączył do wielu ustępów »ćwiczenia«. Dobrzeby jednak było gdyby przy pytaniach trudniejszych zaznaczył drogę, prowadzącą do pewnego rozwiązania. Ogółem trzeba powiedzieć, że cel, postawiony propedeutyce filozoficznej w planie nauk, mianowicie, aby »w uczniu rozbudzić siłę do samodzielnego myślenia i sądu«, ciągle przyświecał autorowi w układzie tego podręcznika. Szczególną nadto jego zaletę stanowi różnorodność druku, skutkiem której na pierwszy rzut oka potrafi rozróżnić się rzeczy główne od podrzędnych.

Wypada tylko wyrazić pragnienie, by podobne podręczniki, ułatwiające pracę nauczycielom i uczniom, wyszły jak najprędzej dla naszych gimnazyów polskich.

Bruno Wolnik.

Les vies nécessaires. Par *Georges Mare-Sencier*. 2 éd. Librairie Marcel Rivière et C-ie. Paris, 1910.

Czyste, jak kwiaty, a jak promienie jasne myśli, bogato rozsypane po kartach tej książki. Pisał ją człowiek o duszy bardzo podniosłej i subtelnej, a przytem pisarz o stylu wytwornym. Poświęca ją »tym, których najwięcej miłował w przeszłości i tym, których obecnie kocha najbardziej i najlepiej«.

Pierwsza część książki, to hymn do życia, które autor zowie największem pięknem, Bożem tchnieniem — sam Bóg uznał to swoje dzieło tak dobrem i wzniosłem, że dokonawszy go — odpoczął.

Więc wkracza autor w głąb życia, w jego dziedzinę przyrodzoną i moralną i wydobywa zeń dźwięki nieznane, albo i zapoznane, bez których jednak symfonia życia nie byłaby pełną i harmonijną. Życie, to siła, ruch, trwanie — życie to przedewszystkiem miłość, która jest iskrą Bożą, echem przeszłości, brzmiącem na przyszłość. Życie — to dar bezcenny. Autor przechodzi jego objawy wśród odmętów oceanu, wśród samotności górskich szczytów, a potem zagłębia się w niewidzialne dla zewnętrznego świata życie dusz, wykazuje cudowny, tajemniczy związek, który łączy ludzi, nieznanych sobie i dalekich, a jednak bezwiednie opierających się o siebie z Bożej woli i planu. Dlatego niema na świecie jednostki ludzkiej, którąby nie miała swego zadania do spełnienia, która byłaby niepotrzebną.

Mówi nam autor o tych pionierach wielkich myśli, którzy innym

drogi torują, o tych, którzy w sztuce noszą miano Prymitywów, przygotowując rozkwit, którego ziemskie ich oczy już oglądać nie będą. Opowiada o takich, co strzegą ognia, który rozjaśnia morskie przestworza i głębie dusz ludzkich, o innych, którzy z narażeniem życia łowią perły: nieznani, zapomniani nurkowie, których trudy zdobią jednak bezcennymi klejnotami ludzkie ciała i dusze. Rozszerza się nad rolą drobnoustrojów w przyrodzie i podobnych im, cichych ludzkich żywotów, które przykładają się — często nawet bezwiednie — do budowania własną pracą i ofiarą całokształtu teraźniejszości i przyszłości.

Osobny rozdział poświęca autor tym, których nazywa »siewcami szczęścia«. Są to ludzie najbliżsi owego wielkiego, Bożego pierwowzoru, który szedł przez świat »dobrze czyniąc«. Z pełności serca rozdają bliźnim słowa dobre, uśmiech serdeczny, pomoc dłoni przyjaznych i uczuć gorących i ofiarnych. A jeżeli Bóg złożył w ich dusze zarzewie wielkie talentu — geniuszu — podnoszą nim braci swoich, budzą zaklętem słowem, urokiem pieśni, potęgą dłuta lub czarem barw, uśpione w sercach ludzkich skarby. Są siewcami szczęścia, piękna, dobra nieśmiertelnego.

»Gdy nie można iść na podbój przyszłości, można zawsze i trzeba zdobywać samych siebie — udoskonalać swoje istnienie«. Temi słowy zażegnuje autor widmo sceptycyzmu, które takie spustoszenia po świecie szerzy. Każdy posiadać może tajemnicę wiecznej młodości, kto czerpie ze źródła czystych natchnień, kto umie zapomnieć o sobie, a uwierzyć w wielkość życia i jego obowiązków.

Poza miłością, która jest motorem życia i jego ogniskiem, dał Bóg ludziom na osłodę ziemskich ścieżek uczucie inne, bledsze i nie tak gorące, ale pełne tkliwości i niesamolubne: to przyjaźń. Autor nasz mówi, że zrodziła ją potrzeba podzielenia się z drugą duszą boleścią swoją, a dodajmy także i radością. Kto ma sam serce ofiarne, ten napotka na drodze swojej przyjaciół — a takich znajdujemy na jakich sami zasługujemy, pamiętając, że tak w miłości, jak i w przyjaźni, ten ma większy udział szczęścia, który więcej daje, niż bierze.

Ostatni rozdział książki mówi o tem przedziwnem dziele, o tym skarbie duchowym, który nazywamy »Naśladowaniem Chrystusa«.

Poza Pismem św. to książka, która najwięcej dała pokoju duszom, tęskniącym do niego po życiowym znoju — koiła serca, goryczą wezbrane, rzucała ziarna dobre w glebę spieczoną i na pozór jałową, przez ciąg stuleci dobroczynną falą rozlewała się po świecie.

Nieznany mnich, który ją wysnuł z duszy swojej, to wzór życia pożytecznego — nie szukał chwały, a siał dobro i siejba jego poprzez ciąg wieków wschodzi i plon wydaje.

Helena Skolimowska.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Miscellanea archiwalne I. *Aleksander Kraushar.* Str. III, 73. Warszawa i Kraków 1910.
Miscellanea historyczne XLIV. *Tenże.* Str. 148. Warszawa 1910.
Miscellanea historyczne XLVI. *Tenże.* Str. 99. Lwów 1911.
Skorowidz do ośmiu tomów monografii A. Kraushara: Towarzystwo Warszawskie Królewskie Przyj. Nauk 1800—1822. Str. 163. Warszawa i Kraków. Gebethner i Wolff. 1911.

W »Miscellaneach archiwalnych« umieszcza Kraushar luźne notatki, (przeważnie wyciągi z Metryki koronnej) począwszy od w. XVI, zbierane w Warszawskiem Archiwum Głównem. Nadzieja wydawcy, że notatki te »posłużą młodym pracownikom jako materyał do studyów historycznych«, ucierpieć nieco może wobec pewnych braków w zewnętrznej formie, jak zbyt lakoniczne notatki, a podane bez porządku chronologicznego, pomijając, że należałoby może robić je w formie regestrów krótkich, z zachowaniem oryginalnego języka, tem bardziej, jeżeli mają być one jakby dalszym ciągiem regestrów Wierzbowskiego. Indeks tylko w części może te braki uzupełnić.

W »Miscellaneach historycznych«, zeszyt XLVI, mamy ciąg dalszy dyaryusza Prebendowskiego, obejmujący lata 1714—1715 (wrzesień) czyli pobyt królewicza Augusta (III) w Wersalu, i podróż jego aż do Marsylii. Rzecz ciekawa bardzo dla poznania ówczesnych stosunków wersalskich i paryskich.

Równocześnie ukazał się tegoż autora »Skorowidz osobowy i rzeczowy do ośmiu tomów »Warszawskie Królewskie Tow. Przyjaciół Nauk 1800—1822«. Skorowidz bardzo obszerny, osób, rzeczy, rycin, obejmujący nadto także spis rozdziałów i układ dzieła całego.

»Miscellanea historyczne« XLIV przedstawiają życie potoczne Warszawy za czasów powstania listopadowego, na podstawie — przeważnie— relacyi dziennikarskich. Patryotyzm, zapał, poświęcenie wszystkiego dla dobra ojczyzny, są moralnym policzkiem wymierzonym na tych, co wyzbyli się dzisiaj swych narodowych haseł i swojej przewodniej idei; obecnej rewolucyi w Królestwie, niestety, nie godzi się zestawiać z powstaniem narodu, chociaż było ono też rewolucyą (jak pisze autor). Dlaczego? Z tych właśnie haseł widać, — bo podówczas nie był jeszcze duch narodu zatrutym.

K.

Dziewica Orleańska. *Ks. dr. Jakób Górka.* Nakładem autora. Str. XIV, 470. Tarnów 1911.

Z okazyi beatyfikacyi Joanny d'Arc publikuje czcigodny profesor i znany pisarz jej żywot, napisany

bardzo gruntownie a obszernie. Zaczyna od poglądu na ówczesny stan Francyi: pogląd może za pobieżny, i czysto zewnętrzny, podobnie jak i przedstawienie początków wojny stuletniej; ale słusznie, bo spieszno trzeba dążyć do oblężenia Orleanu i wprowadzenia Joanny na teren dziejów. Po skreśleniu jej życia w domowem zajęciu, przebiega opowiadanie wraz z Joanną na czele wojsk ówczesne pobojowiska, a rozwija się najwięcej w ośmiu rozdziałach części III-ej, gdzie rozwija się bardzo obszernie cały proces, wyłuszczony prawnie. Część ta, cały proces, przedstawiony według autentycznych źródeł, jest najważniejszą i najwięcej interesującą częścią książki. Lekki zaś i potoczysty sposób opowiadania sprawia, że te poważne, ze ścisłą krytyką pisane rozdziały, czyta się jak powieść.

Podobnież ważną jest część IV, omawiająca dzieje kultu Joanny d'Arc. Więc rehabilitacya procesu u współczesnych (tutaj też dopiero znajdujemy opis jej cnót) oraz pierwsze początki kultu. Dalej następują dziwne koleje, jakie przechodził proces o jej beatyfikacyę, wreszcie opis samej beatyfikacyi. Ostatnie dwa rozdziały dodają poloru naukowego dziełu i czynią je kompletnem, gdyż omawiają kult Joanny w literaturze i sztuce, tak w sztukach pięknych, jak i w muzyce. W dodatku widzimy kompozycyę ks. kan. Walczyńskiego do słów prof. Paciorkiewicza.

Zamiar przew. autora, by dać niewiastom wzór kobiety mężnej, co stanęła tak wysoko na świeczniku narodowej chwały i posłannictwa, dzięki swym cnotom, aby odkrywając równocześnie całą prawdę historyczną, wierzącej naszej publiczności dać możność odparcia wszystkich ataków na Kościół z powodu sprawy Joanny d'Arc, powiódł się zupełnie. Źródła i literatura (zasadniczem jest Quicherat: *Procès de condamnation* etc. w V tomach. Paryż, Renourd 1841—9 oraz liczne dzieła Dunanda) są wyczerpujące (może nawet lepiejby było o niektórych nie wspominać, jak np. o Herdera *Conversations Lexicon*); sposób pisania lekki, bez balastu licznych przypisków, zachęca do czytania. Dobrze świadczy o całem dziele i ścisłość w ilustracyach, które są traktowane krytycznie, nie brane z fantazyi, lecz ze współczesnych zabytków i pomników.

K.

Lwów stary i wczorajszy. *Fr. Jaworski.* Tow. Wydawnicze. Lwów 1911. Str. 316.

Mamy tutaj zbiorek wspomnień o starym Lwowie: o gmachach, które już runęły, o ludziach, co żyli we Lwowie przed paru wiekami; mamy obrazki z ich życia, co oni robili, jak się bawili, czy pracowali czy się smucili. I bardzo mile czytałoby się te kartki, każdy zaś przedewszystkiem Lwowianin rodowity chętnieby zaglądał do nich, by poznać dawne dzieje swego grodu, gdyby... mógł z nich poznać naprawdę dzieje a nie fantazyę tylko i poetyczny polot autora. Bo z zapiski jakiejś jednej archiwalnej wysnuwa on nici i kłęby całe barwnej fabuły, co prawda z wielką erudycyą, świadczącą o znajomości czasów i ludzi, ale z równie wielkiem lekceważeniem najprostszych zasad historycznych: krytyki i prawdomowności. Za ilustracyę malenką może posłużyć przypisek na str. 122, gdzie autor opisawszy bardzo obszernie życie jakiejś tam lwowskiej mieszczki, cytuje jako źródło... powieść Rapackiego »Grzechy królewskie«, chociaż doskonale wie, iż to źródło jest czczym

wytworem fantazyi Rapackiego! (w liście do autora oświadczył p. Rapacki z całą uprzejmością, że rzecz jest prawie wyłącznie przez niego zmyśloną fabułą powieściową). *Satis est!* Dodaćby tylko należało może, by sz. autor na przyszłość przed zabraniem się do studyowania dawnych aktów zechciał lepiej poznać język łaciński. Tę radę uzasadnić można błędami niektórymi i to w tłumaczeniu nawet takich miejsc, które przez to całkiem innego znaczenia nabywają (str. 106): *femina Vitiata* ma znaczyć po polsku »kobieta, której trzeba unikać«!

Mimo wad rzeczowych styl lekki, sarkastyczny i ironiczny, sprawia, że czytelnik nie znający dokładniej historyi, przegląda książkę bez znużenia, zupełnie jak dobrze napisaną powieść.

K.

Studya historyczne. *M. Handelsmann.* Wende i Spółka. Warszawa 1911. Str. 309.

Studya są po większej części tylko odbitką prac dawniej ogłoszonych (Zamach stanu Augusta II. Rachunki starostw kozienickiego i olszyńskiego. Konstytucya 3 maja a opinia publiczna we Francyi). Nową jest rozprawa o Księstwie Warszawskiem. Autor wychodzi od bitwy pod Jeną i układów w Tylży: przedstawia dokładnie genezę całego ustroju Księstwa, jego rozwój, a kończy rokiem 1809 sprawozdaniem z sejmu ówczesnego.

Rzecz oparta na aktach nie tylko polskich ale przeważnie francuskich, jakie dzięki coraz nowszym publikacyom materyałów i opracowań o Napoleonie przynoszą nowy, urzędowy materyał dla naszych dziejów, widziany zawsze w oświetleniu francuskiem, ale mimo to lepszym dla nas, bo objektywniejszym, bez owego ślepego, bezkrytycznego entuzyazmu.

K.

Listy z dworu wiejskiego. *Rusticus.* Warszawa 1911. Nakładem »Gazety Warszawskiej«.

Książka bardzo na czasie i wprost z życia. Pomimo, że ogólnie powtarza się zdanie, iż jesteśmy narodem rolniczym, sielskim i wiejskim, rzeczywistość przedstawia się inaczej. Rozwój miast i przemysłu odsunął nieco na bok wieś polską i pozornie przyćmił jej znaczenie tworząc sztuczny przedział pomiędzy nią a miastem. Miasto nie docenia roli ziemiaństwa w całokształcie narodowego życia, a nie docenia, bo za mało zna dwór wiejski, mając często o nim tylko szablonowe pojęcia, zaczerpnięte nie z życia i obserwacyi, ale z dawniejszej literatury, dającej nam sylwetki różnych, mniej lub więcej poczciwych hreczkosiejów, na jedną wykrojonych modłę. Typy te w istocie do niepowrotnej należą przeszłości.

Obywatelską jest zasługą zapoznać ze sobą i zbliżyć do siebie różne warstwy, które naród składają, bo harmonijny ich zespół, oparty na rzetelnej znajomości i sprawiedliwem ocenieniu swoich sił i warunków, daje rękojmię owocnej na przyszłość pracy. Spójnia wewnętrzna nieodzownym jest warunkiem zdrowego rozwoju dla narodu, w który z zewnątrz coraz to nowe biją gromy.

Listy z dworu wiejskiego, kreślące ze znawstwem i miłością wieś polską i stosunki ziemiańskie, budują właśnie ten pomost, po którym miasto może wejść w życie rdzennie wiejskie i ocenić jego ożywcze pierwiastki. Lud polski wielu ma w narodzie znawców i miłośników, wielu działaczy stara się pozyskać duszę chłopa dla swoich

celów, wiele wybitnych piór odtwarza ją w literaturze z prawdą i artyzmem. Życie współczesnego dworu wiejskiego mało znalazło dotąd odtwórców, a w życiu tem, w przeciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, wielkie dokonały się zmiany, ideowe i ekonomiczne, w ślad za ewolucyą warunków społecznych. Przystosowanie się do tej ewolucyi wytworzyło nowy typ ziemian, rolników zawodowców, liczących się z rzeczywistością, mających o wiele szersze niż dawniej kręgi myślowe, ale na dnie duszy, tę samą co ojcowie miłość narodowej idei.

Myśl polska wykazuje w tych typach zdrowy, poważny rozwój i szeroką pojemność. Objawia się on również wśród mas ludowych, do niedawna jeszcze nieuświadomionych. Walczyły o ten lud różne kierunki i wpływy, ostatecznie pozyskała go — Polska. Zdrową była gleba, na której najbujniej wyrosło rzucane w nią zdrowe ziarno. Wywrotowe teorye nie znajdują trwałej siedziby w duszy polskiego chłopa, zakolebią nią chwilowym wichrem, potem, przywiązanie do wiary, tradycyi, ziemi, przywraca ją do równowagi.

Gdy chłop polski uratował się z zalewających go niedawnym czasem mętnych fal rewolucyi, spodziewać się można, że oprze się zwycięsko dwom groźnym wrogom: żydowi, który go wyzyskuje i postępowcom, którzy go chcą znieprawić duchowo, wsączaniem rozkładowych pierwiastków stanowej nienawiści. Ale tętniące silnie i zdrowo na wiejskich łanach życie, zwalcza suche, pełne ułud doktryny i podmuchy nienawiści. Praca dla przyszłości wznosić się winna na czci tych wspomnień i pierwiastków, które w przeszłości naszej na cześć zasługują. »Trzeba — jak mówi Rusticus — nakazać milczenie ludziom małego ducha, którzy śmią obniżać pamięć tych, co życie swoje dla idei poświęcali. Zmieniają się czasy, ludzie i kierunki, myśl nieśmiertelna narodu trwa«.

Zmieniły się czasy, pokładli się do grobu ci, co z bronią w ręku dobijali się narodowego bytu; innego dziś trzeba oręża, pracy rozumnej, wytrwałej nad sobą, nad ludem, nad ziemią, co materyalnem jest i ideowem bytu naszego podłożem. Życie dworów wiejskich nie tak rozlewne, wesołe jak bywało w przeszłości, pogłębiła je praca i myśl poważna. W chatach zrobiło się jaśniej, weszły w nie pojęcia nowe, ale z pnia dawnego wyrosłe, drzewo narodowego życia zdrowe, wypuszcza młode pędy, korzeń jego tkwi w ziemi, we wsi polskiej, gdzie się poczęło i bujnie rozrastało.

H. S.

Wykłady dla towarzystw młodzieży. *Ks. Z. Cieplucha.* Poznań. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni św. Wojciecha. 1911. Str. 78.

Wzorując się na niemieckiem dziełku *Die Jugend. Vorträge für Jugendvereine*, a raczej tłumacząc je z pewnemi opuszczeniami, podał ks. Cieplucha 18 szkiców rozpraw czy też odczytów na tematy bardzo aktualne dla życia i wychowania. Wewnętrzna samodzielność, kształcenie umysłowe, pracowitość, gospodarczość, oszczędność, przyzwoitość, towarzyskość, lektura, hygiena, małżeństwo, religia — oto przedmioty, dla których ten zbiorek dostarcza pięknych i praktycznych myśli. Broszurka bardzo pożyteczna dla kierowników młodzieży.

J. U.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego

Sprawy Kościoła.

Kongresy katolickie.

Tegoroczny kongres katolików niemieckich był zarazem świetną manifestacyą na cześć wielkiego biskupa mogunckiego Kettelera. Z tego też powodu odbył się w Moguncyi. Głosy prasy zgadzają się w tem, że prześcignął wszystkie dotychczasowe kongresy co do liczby uczestników. W samym pochodzie organizacyi katolickich robotników i rękodzielników brało udział około 60.000 mężczyzn. Wobec powtarzających się prób wniesienia niezgody do obozu katolików w Niemczech, cały wiec tegoroczny, odbywający się pod znakiem wielkiego socyalnego biskupa, stał pod wrażeniem idei zgody i jedności tak bardzo potrzebnej wśród dzisiejszych walk i niebezpieczeństw. Hr. Galen, prezydent kongresu, też na to energiczny kładł nacisk i mógł z radością stwierdzić wobec olbrzymiego zebrania, że katolicy niemieccy, choć w niejednej kwestyi różnego są zdania, zgodni są w wierze i posłuszeństwie dla Kościoła, zgodni szczególnie, gdzie nieprzyjaciel wzywa do wspólnej walki. Jest to optymizm, który wobec tak olbrzymich mas wiernych katolików jest uzasadniony i zrozumiały, ale czas najwyższy, aby zostały złagodzone antagonizmy, które w obozie katolików niemieckich istnieją i już nieraz bardzo groźne przybierały formy.

Wielkie wrażenie wywarła mowa biskupa ze Spiry, Faulha-

bera, na temat: kapłan i lud w naszych czasach, w której może najważniejszemi były słowa, wskazujące na pracę nad inteligencyą i jej pozyskaniem dla wiary i Kościoła, jako na wielce ważne zadania dzisiejszego duszpasterstwa. Temat tej mowy w Niemczech także był bardzo aktualny wobec wzrastającego znaczenia świeckich katolików w ruchu katolickim. Dlatego też precyzya, z jaką biskup Faulhaber podniósł znaczenie kapłaństwa dla czasów naszych i jego stosunek do zadań i prac naszej doby, tak silne wywarło wrażenie, iż jego mowa w olbrzymim nakładzie rozrzuconą być ma po całych Niemczech.

Interesującą bardzo była mowa znanego profesora monachijskiego Hertlinga na cześć Kettelera, którego słusznie nazywa apostołem Niemiec w XIX wieku. Nie tu miejsce przypominać znaczenie Kettelera, zwłaszcza na polu kwestyi socyalnej, ale tegoroczny wiec katolików niemieckich jest wymownym dowodem, czego się dziś lud katolicki od biskupa i kapłana domaga, aby go uważać za męża apostolskiego. Hertling, który osobiście dużo miał styczności z Kettelerem, po mistrzowsku dokonał trudnego zadania ujęcia w ciasne ramy mowcy obrazu życia, pracy i znaczenia tego rzadkiego człowieka, który wytknął nowe tory akcyi katolickiej, zwłaszcza w Niemczech, na wszystkich polach życia publicznego, szczególnie zaś polityki socyalnej.

Wchodzić w prace poszczególnych sekcyi kongresu, stanowiące najważniejszą jego część, niema potrzeby, gdyż tegoroczny wiec do dawnego programu nic nowego nie dodał, lecz tylko dawne wskazania bardziej do potrzeb czasu dostosował. W kwestyi misyi katolickich szczególny akcent położono na t. zw. dnie misyjne, które mają być urządzane po miastach i parafiach i na których zwyczajnie przemawia misyonarz, aby obudzić interes dla tej dziś tak ważnej pracy Kościoła i pobudzić lud do większej ofiarności. Wobec agresywności ze strony protestanckiej, zajęto się także szczegółowo kwestyą rekolekcyi dla rekrutów, aby ich uzbroić przeciw niebezpieczeństwom w czasie służby wojskowej.

Podniosły się już wątpliwości, czy w przyszłości, jeśli liczba uczestników kongresów katolickich dalej co rok róść będzie, uda

się komitetom przygotowawczym sprostać olbrzymim zadaniom, jakie połączone są z urządzeniem i poprowadzeniem kongresów? Sprawa bowiem przejazdu, pomieszczenia i utrzymania w porządku tych mas, już teraz sprawia niemałe trudności. Aby je zmniejszyć, rzucono myśl urządzenia większej liczby mniejszych wieców po różnych prowincyach państwa, gdyż prasa nie jest w stanie poświęcić wiecowi ogólnemu tyle uwagi i pracy, ileby jego znaczenie się domagało. W przyszłości przeto spodziewać się można pewnych inowacyi co do sławnych wieców katolików niemieckich, które z pewnością na ich niekorzyść nie wyjdą i może także dla innych krajów bardzo będą korzystne. W Austryi tego roku ogólnego wiecu katolickiego nie będzie, a nie będzie dlatego, bo nie jest jeszcze możliwy. Po ostatniej klęsce, partya chrześcijańsko-społeczna, zajęta zanadto własną sprawą wewnętrzną, agitacyą i organizacyą, aby mogła myśleć o urządzeniu znaczniejszego wiecu. Za to rzucone zostało hasło, aby odbyły się wiece w pojedynczych krajach monarchii. Odbył się dlatego niedawno wiec morawski w Ołomuńcu z najlepszem powodzeniem. O maryańskim wiecu w Przemyślu, piszemy na innem miejscu ze względu na jego dla nas znaczenie. Tak samo odbył się doroczny wiec katolików angielskich, na którym kwestya rzymska wybitne zajęła miejsce. Z wszystkich mów i wniosków było znać, że katolicyzm w Anglii coraz więcej czuje się na siłach i rozszerza zakres swego działania.

Zjazd, z kolei trzeci, teologów, zajmujących się kwestyą zjednoczenia Kościołów, odbył się w Welehradzie w ostatnich dniach lipca. Jak dawniej, tak i teraz zgromadził niemałą liczbę uczestników z różnych krajów. Obok referatów treści teologicznej i historycznej, zwrócono główną uwagę na rozszerzenie praktyki modlitw o nawrócenie wschodnich Kościołów i na bardziej prawidłowe urządzenie przyszłych zjazdów. Kongres ten był poprzedzony przez inny zjazd w Welehradzie, bardzo sympatyczny i godny naśladowania w innych krajach, mianowicie zjazd czeskiej młodzieży teologicznej z różnych seminaryów Czech i Moraw. U grobu Apostoła Słowian przyszli pracownicy na niwie Pańskiej nabierali ducha do pracy religijnej i społecznej wśród swego ludu.

Kościół we Włoszech.

Włosi nie tracą otuchy pomimo fatalnego niepowodzenia w roku jubileuszowym. Może nawet to niepowodzenie przyczyniło się do tego, że walka przeciw Kościołowi ostrzejsze przybiera formy. Kwestya szkoły i nauki religii po szkołach już od dawna w walce antyreligijnej włoskiej na pierwszym stoi planie i umysły rozgorycza. Dotychczas, według rozporządzenia z roku 1908, nauka religii obowiązkowa po szkołach komunalnych tylko tam mogła być usunięta, gdzie większość rady gminnej za tem się oświadczyła. Nastąpiło to naturalnie zaraz w Rzymie, gdzie słynny Nathan rządzi wiecznem miastem. W takim razie lokal szkolny miał być do dyspozycyi poza godzinami szkolnemi dla fakultatywnej katechezy. Z tego ostatniego dodatku skorzystała teraz rada państwowa i oświadczyła, że rozporządzenie z roku 1908 uważa naukę religii za fakultatywną i tem samem usuwa ją z programu szkół komunalnych. Oświadczenie takie wywołało wielkie rozgoryczenie w szeregach katolików włoskich, ale zdaje się, że orzeczenie jest nieodwołalne. Walka więc przeciw Kościołowi systematycznie posuwa się we Włoszech naprzód i wolnomularze będą chcieli z klęsk roku jubileuszowego skorzystać dla agitacyi i akcyi antykatolickiej.

W tem ciężkiem położeniu znaczący jest list Piusa X do arcybiskupa Medyolanu, kardynała Ferrariego i całego episkopatu lombardzkiego o prasie katolickiej. Nie tylko do stosunków włoskich odnoszą się trzy błędy, które niektórym katolickim gazetom i czasopismom zarzuca Ojciec św. Mianowicie, że chcą, aby katolicy krzywdy im na dobrach kościelnych i wolności Kościoła wyrządzane bez narzekania i oburzenia znosili; że o niegodne położenie, w którem się Stolica św. znajduje, wcale się nie troszczą i nie widzą, iż wrogowie Kościoła zamierzają jej położenie jeszcze pogorszyć; nareszcie, że z zapałem chwalą talent i prawowierność autorów, których dzieła wiele niedokładności i zgubnych błędów zawierają, przyczyniając się tym sposobem do ich poczytności. Przy nadzwyczaj trudnem położeniu katolików włoskich prasa więcej, niż gdzieindziej, może się przyczynić do pogorszenia sprawy i położenia, do rozdwojenia umysłów i rozdrobnienia sił, dlatego słusznie Pius X kładzie nacisk na wybitnie katolicki

charakter prasy i żąda, aby więcej się zajęła sprawami Kościoła i Stolicy św.

Z Ameryki Północnej.

Kościół w Ameryce cieszy się wielką wolnością i wielkiem także poważaniem, jak się to niedawno okazało z okazyi jubileuszu kardynała Gibbonsa, który obchodzono jako święto państwowe i wśród wielkich uroczystości. Przytem jednak ma Kościół w Ameryce do walczenia z wielkiemi trudnościami wśród nieustalonych jeszcze warunków. Wielki napływ katolików z innych krajów trudne i wielkie stawia Kościołowi zadania. W ostatnim czasie praktyczny umysł amerykański znalazł sposób, aby napływających katolików od chwili wstąpienia na ląd amerykański poddać stałej opiece Kościoła. Zawiązało się towarzystwo kolonizacyjne, którego celem jest napływających katolików skierowywać do kolonii katolickich, aby tym sposobem zapobiedz niebezpieczeństwu utraty wiary. 11 lipca odbyło się w Chicago zgromadzenie generalne towarzystwa dla ostatecznego ułożenia statutu i organizacyi. Towarzystwo stawia sobie za zadanie zakupywać grunta dla rozparcelowywania między katolików, zakładać klasztory i budować kościoły i szkoły. Na czele całego towarzystwa stoi O. de Vos, główny jego organizator. W każdej dyecezyi mają być założone organizacye, które w związku stoją z organizacyą centralną. Także dla pojedynczych narodowości mają być zakładane biura centralne, aby każdy emigrant w swoim języku mógł znaleźć pomoc i potrzebne informacye. Warto zwrócić na to towarzystwo uwagę szerszych kół, bo niezawodnie tą drogą najłatwiej rozwiązać piekącą kwestyę religijną wychodźców.

Tymczasem młoda, dzielna Amerykanka z Chicago, miss Weronika Murphy, stara się innym sposobem przyjść z pomocą religijną swoim katolickim współwyznawcom. Obdarzona wielkim talentem muzykalnym, który wykształciła w najsławniejszych konserwatoryach amerykańskich i europejskich, zaczęła dawać koncerty i dochody z nich złożyła w banku. Nareszcie oddała całą sumę towarzystwu misyjnemu dla wybudowania kaplicy w kształcie wagonu, która teraz wędruje po religijnie opuszczonych okolicach i tym sposobem wielu katolików, pozbawionych pociech

religijnych, doznaje opieki Kościoła. Ucieszona otrzymanymi rezultatami, pracuje niezmordowanie dalej, stając się coraz bardziej popularną i jednając swymi koncertami coraz większą frekwencyę. Już zabrała się do wybudowania drugiej kaplicy i w najbliższym czasie zamierza jeszcze dwie nowe oddać na usługi Kościołowi. Warto zanotować fakt tak bohaterskiej wiary i poświęcenia dla Kościoła z Nowego Świata, podczas gdy w Starym Świecie niema prawie kraju, gdzieby gorliwość katolików nie pozostawiała dużo do życzenia.

Z Ameryki Środkowej i Południowej.

Do tego czasu dość pesymistycznie mówiono i zapatrywano się na położenie katolicyzmu w Południowej i Środkowej Ameryce; w ostatnich czasach dochodzą nas bardziej pocieszające wiadomości.

Na czele rzeczypospolitej Chili stoi teraz katolik z przekonania, Senor Gutturiez, który nie tai się ze swemi przekonaniami. Jako dziennikarz katolicki doprowadził do tego, że jego gazeta *Unione* stała się najpoważniejszym dziennikiem kraju; cieszy się również wielką powagą jako profesor uniwersytetu. Podczas pobytu swego w Belgii, Niemczech i Północnych Włoszech zapoznał się z akcyą katolicką i na wzorach tych krajów oparł program swego ministeryum.

Więcej jeszcze dziwi wiadomość, że także w Meksyku żywem tętnem bije życie katolickie. Po ustąpieniu Diaza utworzyła się w parlamencie meksykańskim grupa katolicko-nacyonalna. Może się ona oprzeć na licznych katolickich organizacyach, które się po cichu uformowały i które teraz śmiało występują. Ponieważ do tego czasu tylko prasa mogła być opinią katolików, dlatego też prasa katolicka meksykańska już teraz dobrze się reprezentuje, gdyż liczy 300.000 abonentów płatnych. Korzystniejsze warunki, jakie obecnie nastąpiły, każą się spodziewać w przyszłości pięknego rozkwitu akcyi katolickiej w tym kraju.

Także z Argentyny dowiadujemy się, że katolicyzm ma za sobą opinię publiczną. Zanosi się więc na to, że w Ameryce katolicyzm powetuje straty w Europie poniesione. Niedawno pewien konwertyta w ciekawym artykule o przyszłości Kościoła katolic-

kiego nazwał Amerykę krajem przyszłości. Powtórzy się może historya wieku XVI tylko z małą odmianą. Co wtedy Kościół stracił w Europie przez reformacyę, to odzyskał przez prace misyonarskie w nowo odkrytej Ameryce; dziś miejsce protestantyzmu w Europie zajmuje wolna myśl i wolnomularstwo.

Ks. A. Starker.

Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1910.

II.

Lwów.

Żyjąc w czasach bezwzględnego uznania potęgi assocyacyi społecznej, zrezygnowaliśmy już z myśli oglądania się na jednostki potężne, które dawniej same podejmowały brzemię nowych idei i same siłą swego ducha tworzyły wielkie dzieła cywilizacyjne, narodowe, społeczne. W miejsce nich kontynuuje ich wysiłki naród, społeczność. Lecz w naszem środowisku, dzielącem swe siły na różne fronty wewnątrz i zewnątrz, padają wielkie zjednoczenia narodowe, usychają z anemii zrzeszenia kulturalne, chorują na brak soków żywotnych nawet te assocyacye społeczne, które są u nas z tradycyi najstarsze i najmilej odpowiadają naszym upodobaniom.

Tem skwapliwiej zanotować należy fakt dziesięcioletniego istnienia *Towarzystwa popierania nauki polskiej*. Wszak nie jest ono ani polityczne, ani społeczne, bez tanich dziś haseł uszczęśliwia ludzkość, ale z zadaniem wcale nie popularnem. Tymczasem dziś ono nie tylko istnieje, ale rozwija się, z dniem każdym nabiera żywotności, mocy, wzrasta w czynnik, z którym w jego zakresie działania nie liczyć się niepodobna, rozwoju zaś stałego nie można składać na karb jakiejś przypadkowości.

Rozwój nauki zależy od użyczonego poparcia materyalnego. Nauka polska nie doznaje należytego poparcia. Niektóre rządy odmawiają jej zasadniczo takiej pomocy, samo zaś społeczeństwo nasze nie przychodziło tu z wydatną pomocą, bądź ze względu na trudne warunki gospodarcze, bądź z niedostatecznego zrozumienia doniosłości sprawy, bądź z braku odpowiednich form poparcia. Instytucye o charakterze ogólnym z zadaniem popierania nauki we wszystkich kierun-

kach istniały u nas trzy: w Krakowie, Poznaniu i Warszawie. Najpóźniej otrzymało taką instytucyę miasto Lwów. Wszystko zaś, co ta instytucya zdziałała, to rezultat własnej pracy, gdyż nie przyszedł żaden hojny zapis, nie zjawił się w ciągu tych lat 10 żaden niezwykły ofiarodawca. Wszystko zawdzięcza Tow. sobie samemu. Zjawisko osobliwe, w swoim rodzaju jedyne. Jak wiele zaś zdołało już zdziałać, o tem poinformować można się dokładniej z wyczerpującej pracy prof. d-ra P. Dąbkowskiego p. n. »Pierwsze dziesięciolecie T. P. N. P.«

W r. ub. liczyło Tow. członków czynnych założycieli 177, wspierających dożywotnich 98, czynnych zwyczajnych 363 i wspierających zwyczajnych 342, czyli, że łączna ilość członków wynosiła 980. Na ogół przybytki i ubytki w poszczególnych grupach mniej więcej zrównoważyły się. Obrót kasowy wykazał w dochodach 11.121 kor., zatem o 948 kor. mniej, aniżeli w r. 1909. Za to dochody funduszu obrotowego w łącznej wysokości 10.347 kor. zwiększyły się cokolwiek w porównaniu z takimiż dochodami r. 1909 (10.009 kor.), częściowo skutkiem zwiększonego dochodu z rozsprzedaży wydawnictw (877:896), głównie zaś i przedewszystkiem dzięki znaczniejszej ilości subwencyi (3325:3570) oraz zwiększonemu dochodowi z odsetek (2009:2141). Większa ilość obszernych przeważnie publikacyi pochłonęła prawie całą tę sumę: W honoraryach autorskich wypłacono 2237 kor., w należytości za druk 5915 kor. Nie starczyło już funduszu na zwykłą dotacyę kapitału zakładowego t. j. 1.034 kor. oraz na dotacyę funduszu bibliotek prowincyonalnych 1000 kor., co przeniesiono na rachunek r. b. Obecnie fundusz zakładowy wynosi 50.433 kor., a fundusz bibliotek prowincyonalnych 6.288 kor.

W r. ub. wyszły w nakładzie Tow. P. N. P. prace następujące: d-ra T. E. Modelskiego »Król Gebalim w liście Chasdaja« (str. 122), prof. d-ra P. Dąbkowskiego »Prawo prywatne polskie«, tom I, (str. 602), prof. Balzera »Statut ormiański w zatwierdzeniu Zygmunta I. z r. 1519« (str. 512) i d-ra R. Weigla »Studya nad aparatem Golgi-Kopscha i trofospongiami Holmgrena w komórkach nerwowych kręgowców« (str. 114). Jak na jeden rok — to chyba aż nadto poważna cyfra?!

Sprawa zakładania bibliotek prowincyonalnych publicznych, tak szczęśliwie zainicyowana przez czcigodnego prof. Balzera, doznawała i nadal poparcia w szerokich warstwach społeczeństwa, ze strony instytucyi publicznych, redakcyi i osób prywat-

nych. Ogółem wykazują dotychczasowe inwentarze: w książkach 21.126 numerów, 29.852 tomów; atlasów i map 122, nut 32, rękopisów 24, rycin i sztychów 87, medali i monet 243, przedmiotów muzealnych 5 numerów.

I czyliż wstyd nie powinien spalić nam czoła, że podczas gdy w Warszawie hr. Józef Potocki ofiarował tamecznemu *Tow. naukowemu* nieruchomość wartości 200 tys. rubli, t. j. pół miliona koron, podczas gdy przy tej okazyi wyszło na jaw, że wymieniony ofiarodawca udzielił był już w latach dawniejszych wymienionej instytucyi kilkadziesiąt tysięcy rb. tytułem subwencyi, a po tych darach posypały się często bezimienne ofiary od 200 rb. począwszy do 6.000 dochodzące, to jakiż żal ogarnia człowieka, który publicznie musi stwierdzić znamienną obojętność galicyjską, skoro T. P. N. P. nie otrzymało dotąd nigdy datku wyższego nad 400 kor., z okazyi zaś jubileuszu nie przesłał nikt żadnej ofiary na cele Tow., po nowym roku zaś pozyskało Tow. sześciu członków, co przedstawia sumę 48 kor. W Warszawie tymczasem ofiarował jeden Józef hr. Potocki dziesięć tysięcy razy tyle, aniżeli całe społeczeństwo polskie w Galicyi! Magnaterya galicyjska, nie dorosła chyba do zrozumienia syzyfowych trudów prof. Balzera, a o pierwszą lepszą klacz wyścigową i dobrego ujeżdżacza ma dziesięć tysięcy razy tyle starania, co o naukę polską. Tem smutniej uczynić mi tę uwagę, jako żem sam szlachcic-szaraczek, który daje każdej dobrej sprawie to, na co go stać, t. j. pióro na usługi...

* * *

Nic dziwnego w tem, że rozwój *Polskiego Towarzystwa Filozoficznego* jest nieustający. Aleć też godzi się zaznaczyć i podkreślić fakt uwagi godny, że inicyator tego stowarzyszenia prof. dr. Kaz. Twardowski przez szereg lat przygotowywał z zapałem i troskliwością niepowszednią przyszłych współpracowników dla planowanej instytucyi. Uczniów miał wielu i to wcale nie przeciętnych zdolności, skoro stawiał im wymagania czasami bardzo uciążliwe a oni odpowiedzieli na nie najzupełniej zadowalająco — że się tak skromnie wyrażę. Rozporządzając dopiero materyałem wartości pierwszorzędnej, przystąpił przed laty siedmiu do założenia skromnego początkowo stowarzyszenia, które wszelako stoi już obecnie na bardzo wysokim poziomie.

Członków liczyło w r. ub. ogółem 102, w tem 4 założycieli,

74 czynnych i 24 wspierających. Posiedzeń odbyto 15, na których wygłoszono między innymi następujące odczyty: prof. dr. J. Nussbaum-Hilarowicz »Poglądy ewolucyjne Słowackiego w »Genezis z ducha«, p. H. Bod »Zasady egzegezy krytycystycznej«, prof. dr. J. Łukaszewicz »O prawie wyłącznego środka«, prof. Twardowski »Psychologia pod względem metodologicznym«, p. J. Tenner »O metodzie słuchowej w badaniach nad formą (dlaczego nie »formy«?!) wiersza polskiego«, dr. Br. Bandrowski »Herbart a współczesna psychologia eksperymentalna«, prof. dr. W. Lutosławski »Z psychologii mistycyzmu«, dr. Wł. Tatarkiewicz »O logice czystego poznania«, dr. M. Borowski »O zasadniczym problemie teoryi poznania«, wreszcie dr. Bandrowski »Z psychologii myślenia«. Sprawozdania z tych posiedzeń ogłaszano początkowo w *Przeglądzie filozoficznym*, a następnie w *Ruchu filozoficznym*. W r. ub. ukazały się jako 4-ty i 5-ty tom wydawnictwa Tow. monografie: d-ra A. Stoegbauera »O wyobraźniach ogólnych« i d-ra J. Kleinera »Pojęcie idei u Berkeleya«, na dokończeniu zaś był druk tomu VI-go, zawierającego Kanta »Krytykę praktycznego rozumu« w przekładzie F. Kierskiego, który poprzedził wstępem prof. dr. M. Wartenberg.

Biblioteka Tow. liczy 82 dzieł. Dochody wynosiły 2.645 kor. (subwencyi żadnej), wydatkowano 1311 kor. (w tem: dopłata do prenumeraty *Przegl. filozof.* dla członków 418 kor., druk wydawnictw własnych 610 kor., nagroda za najlepszy odczyt w »Kółku filozoficznem« kor. 50). Organ Tow. *Ruch filozoficzny* zdobył sobie wstępnym bojem sympatyę kół interesowanych bogactwem materyału przy równoczesnem ścisłem zakreśleniu programu.

Oto do jak pomyślnych wyników dojść zdolna praca jednego profesora?!...

* * *

Tow. przyrodników polskich im. Kopernika odbyło w r. ub. 19 posiedzeń naukowych ogólnych, poza tem »Koło fizyczne« odbyło 19 posiedzeń pod przew. prof. d-ra M. Smoluchowskiego a »Sekcya zachęty do badań fizyograficznych« 8 posiedzeń. Szczegółowe z nich sprawozdania podawał organ Tow. miesięcznik *Kosmos*. Dochody Tow. wynosiły 8.306 kor., wydatki zaś 8.086 kor. czyli 250 kor. nadwyżki. W istocie jednak rachunki zamknięto deficytem, gdyż druk *Kosmosu* nie jest w całości zapłacony, a nadto wydano 3.074 kor. z nadzwy-

czajnych wpływów, nie objętych preliminarzem. Niedobór ten zmusił zarząd do podniesienia wysokości wkładki członkowskiej.

* * *

Towarzystwo ludoznawcze zastaję i w tym roku w stadyum nie o wiele lepszem, jak w r. ub. i ono bodaj czy nie cierpi na *paralysis progressiva?!* Działalność zarządów dawniejszych ograniczono do tego stopnia, że w chwili, w której słowa te piszemy (23 maj) niema jeszcze gotowego sprawozdania kasowego za r. ub.!... Co się tyczy ilości członków, to wynosiła ona 301, znaczy o wiele mniej, aniżeli ich było przed laty 16-tu, t. j. w pierwszym roku istnienia Tow. W porównaniu jednak ze stanem z r. 1909 — przyznać trzeba lojalnie — wzrosła o 46. Gromadzenia zbiorów etnograficznych na razie zaniechano zupełnie w oczekiwauiu na jakiś opatrznościowy wypadek, któryby zapewnił byt trwały i tak aż nadto skromnym okazom. A przecież Kraków dzięki dobrej woli kilku jednostek i usilnym zabiegom tylekroć zasłużonego p. S. Udzieli posiada oddzielne Muzeum etnograficzne!... No... ale dlaczegóżby Lwów miał iść o lepsze w zawody z Krakowem?!... Posiedzeń naukowych nie urządzano również żadnych, a całą czynność zredukowano do wydawania *Ludu,* który z roku na rok pomieszcza coraz mniej prac wartościowych.

* * *

Zamykając 24 rok istnienia *Towarzystwa historycznego* nie mamy do zanotowania żadnych zmian ważniejszych, gdyż budżet Tow. obracał się w tych samych ramach, a liczba członków pozostała niezmienna jak w r. p. Przybyło i ubyło po 14 członków, czyli, że ogólna liczba ich wynosi 259 czynnych i 3 honorowych. Liczba prenumeratorów *Kwartalnika historycznego* wzrosła o 8 i wynosi razem 189. Redakcya *Kwartalnika* spoczywała w ręku długoletniego redaktora d-ra M. Semkowicza. Rocznik ostatni, obejmujący 48 arkuszy druku, zawierał między innemi dwie rozprawy i trzy miscellanea, odnoszące się do epoki zwycięstwa grunwaldzkiego. Zapowiedziane już dawniej wydanie »Panoszy« Bartosza Paprockiego ukaże się dopiero w r. b. Na posiedzeniach Tow. wygłoszono następujące odczyty: dr. Wł. Semkowicz »Nieznane nadania na rzecz opactwa Jędrzejowskiego XII w.«, dr. M. Kukiel »Stosunek rządu austryackiego do społeczeństwa polskiego 1795—1797«, dr. Wł. Dzwonkowski »Petersburg wobec wybuchu powstania Kościuszki«.

Stan finansowy przedstawia się następująco: dochody 7878 kor. (w tem wkładki członków 2956 kor, subwencya sejmu kraj. 1400 kor., ministerstwa wyz. i ośw. 1200 kor., prenumerata czasopisma i innych wydawnictw 1424 kor.); w rubryce wydatków koszta samego *Kwart. histor.* wyniosły 7400 kor. (na ogół wydatków 7878 kor.). Stan innych funduszów był jak następuje: śp. Z. Kaczkowskiego 211 kor., im. d-ra J. Towarnickiego 405 kor., wydawnictwa listów Bielowskiego 96 kor., wreszcie fundusz żelazny 700 kor.

Najmłodsze ze wszystkich naszych stowarzyszeń, trzy lata zaledwie istniejące *Towarzystwo heraldyczne* może wykazać w bilansie prac swoich poważne plusy. Dochody jego wynosiły 2.594 kor., wydatki zaś 3.035 kor., która to różnica została spowodowana zaległo ściami członków, którzy są winni 778 kor. na ogół członków 187. Organem Tow. był *Miesięcznik heraldyczny*, który pomieścił w r. ub. 18 rozpraw, nie licząc drobnych przyczynków i komunikatów. Poza tem wydano pierwsze dwa tomy *Rocznika heraldycznego*, dla ułatwienia zaś członkom poszukiwań heraldycznych zorganizowano osobne biuro informacyjne, poruczając kierownictwo jego ks. dr. Z. Dunin-Kozickiemu.

Towarzystwo miłośników przeszłości Lwowa rozwija się, pomimo dziwnie niesprzyjających warunków lokalnych, a przedewszystkiem obojętności szerszych kół mieszczańskich, wcale pomyślnie, choć ani w części nie spełnia tego zadania, jakiemu od lat szeregu sprostać umie analogiczne stowarzyszenie krakowskie. Mimo to, dzięki zapobiegliwości d-ra Al. Czołowskiego, potrafiono zdziałać stosunkowo do środków materyalnych, jakimi rozporządzać musiano bardzo oszczędnie, bardzo wiele. Trzeba bowiem zważyć, że T. M. P. Lwowa liczyło zaledwie 217 członków (t. j. o 67 więcej aniżeli w r. 1909), cały zaś obrót kasowy wynosił tylko 4.092 kor., z czego wydatkowano 2787 kor. Pomimo to wydano w r. ub. dwie pokaźnych rozmiarów monografie, a mianowcie: d-ra A. Czołowskiego »Wysoki Zamek« i Fr. Jaworskiego »Lwów za Jagiełły«. Na ukończeniu zaś jest druk książek: J. Białynia-Chołodeckiego »Trynitarze lwowscy« i d-ra B. Pawłowskiego »Zajęcie Lwowa przez Austryę w 1772 roku«. Strona zewnętrzna wydawnictw wzorowa, bez przechwałki.

Koło konserwatorów dla Galicyi Wschodniej dokonało prac tylu, iż na wyszczególnienie ich miejsca brak. Musimy tedy poprzestać na suchem zanotowaniu najważniejszych, pomijając szereg długi

drobnych komunikatów o wykopaliskach przedhistorycznych, jakkolwiek niejednokrotnie posiadających donioślejsze znaczenie. Co się tyczy przedewszystkiem zabytków budownictwa kościelnego, zatwierdzono plan dekoracyi ściennej kościoła OO. Kapucynów w Olesku; wobec zachodzącej obawy, iżby podczas przemalowywania cennych pod względem historyczno ikonograficznym fresków w prezbiteryum kościoła w Potoku Złotym, mających uledz odrestaurowaniu, nie popełniono jakichś samowolnych przeróbek, uproszono prof. d-ra Bołoz-Antoniewicza o zbadanie sprawy i udzielenie na miejscu wskazówek w imieniu *Koła;* wyasygnowano 1500 koron na restauracyę murów fortyfikacyjnych kościoła OO. Karmelitów w Trembowli; wysłano p. T. Mokłowskiego do Celejewa w powiecie husiatyńskim i do Jarosławia celem zbadania tamecznych cerkwi drewnianych, przeznaczonych na rozebranie; sprzeciwiono się zamierzonemu rozebraniu baszty narożnej murów klasztoru OO. Dominikanów w Czortkowie, jako zabytku fortyfikacyjnego oraz cerkwi w Przegnojowie i dzwonnicy w Włodzimircach; — prof. dr. Wł. Abraham przedstawił obszernie sprawę ochrony i zachowania ruin Skitu Maniowskiego, przyczem postanowiono zbadać sprawę na miejscu komisyonalnie. Co się tyczy budowli historycznych za najważniejszą uchwałę uważać należy — polecenie zbadania zamku w Olesku zapomocą rozkopów przy fundamentach, w podziemiach, a niemniej też w najbliższem otoczeniu, wobec odkrytych sklepień ostrołukowych oraz gotyckich obramień drzwi i okien, a nawet, według przypuszczenia p. T. Mokłowskiego, pewnych śladów romańszczyzny. Pan J. Pełeński zdał sprawę z poszukiwań na terenie dawnego Halicza, poczem postanowiono przedłożyć Wydziałowi Krajowemu prośbę o remuneracyę dla p. Peł. w sumie 500 kor. pod warunkiem, że p. Peł. przedłoży program swojej dalszej pracy i że praca ta nie będzie, jak dotychczas, informacyjna, ale skieruje się w pewnym ściśle określonym celu. Petycyi m. Lwowa, wniesionej do Sejmu kraj. o subwencyę w wysokości 100.000 koron na odnowienie kamienicy Sobieskich w Rynku, udzielono poparcia. Poszukiwaniami w dziale zabytków przedhistorycznych zajęty był jedyny prof. dr. K. Hadaczek, z którego obfitych plonów wymienić należy: niezanotowane dotąd w literaturze horodyszcze koło Tudorowa w pow. husiatyńskim, które, jak okazuje się z rozkopów, jest zabytkiem bardzo wczesnych czasów słowiańskich. Prowadzone od lat trzech rozkopy w Koszyłowcach dały prof. Hadaczkowi pewność, że odkrył tam osadę przemysłową, gdzie wyrabiano naczynia malowane i gliniane figurki, jak niemniej cmentarzysko ur

nowe z wczesnych czasów słowiańskich o grobach ciałopalnych. Tenże konserwator zakomunikował o odkrytej w Podhorcach obok Stryja starożytnej cysternie murowanej w rogu starego zamku, w głębokości $1^1/_2$ metra pod powierzchnią ziemi, oraz doniósł, iż hr. Helena Tarnowska ofiarowała przedmioty, wykopane w Byszowie (pow. Sokal), pochodzące z grobu szkieletowego z pierwszej połowy I-go tysiącolecia po Chr., oraz o otrzymanym od starostwa w Horodence skarbie srebrnym 32 dukatów holenderskich z lat 1622—1687; wreszcie prof. dr. J. Siemiradzki zawiadomił o wykopalisku z IV w. naszej ery w Malechowie, które zbliża się do wykopalisk w Grabarce i Żółtańcach. Biblioteki i archiwalia znalazły dzielnego a troskliwego orędownika w d-rze Eug. Barwińskim. Wystarczy powiedzieć, że zbadał on inkunabuły we wszystkich lwowskich bibliotekach publicznych i klasztornych. Jedynie OO. Karmelici — rzecz zastanawiająca! — odmówili swego zezwolenia!... Ponadto zajął się szczerze głośną w swoim czasie sprawą biblioteki hr. Czarnieckich w Rusku, o której krążyły wersye, jakoby miała być sprzedaną amatorom amerykańskim, co okazało się — na szczęście — bezpodstawnem, a pociągnęło za sobą wspaniałomyślną obietnicę hr. Stan. Badeniego, że gdyby biblioteka ta była istotnie zagrożoną, zarządziłby zakupno jej dla księgozbioru hr. Baworowskich we Lwowie. Nakoniec zbadał dr. Eug. Barwiński razem z ks. prof. d-rem J. Fijałkiem bibliotekę kościelną w Drohobyczu, zawierającą między innymi druki i rękopisy z XVII—XVIII wieku, przyczem dr. Barwiński nie omieszkał sporządzić dokładnego inwentarza. Z pomiędzy spraw archiwalnych nie godzi się pominąć wreszcie poparcia, udzielonego wnioskowi d-ra A. Winiarza, dziś już urzeczywistnionemu, w sprawie założenia Centralnego archiwum państwowego we Lwowie. Niemniejsze uznanie należy się prezesowi Koła konserwatorów prof. d-rowi Wł. Abrahamowi, jak również dr. Wł. Kozickiemu, który jako sekretarz, nie szczędził trudów około wydawnictwa »Teki konserwatorskiej«. Nakoniec fakt znamienny: oto konserwatorowie narodowości »ukraińskiej« usunęli się manifestacyjnie od pracy! Możliwe, że brak im, zajętym polityką, czasu. Czy nie byłaby wskazana dobrowolna rezygnacya?...

* * *

Tow. literackie im. Mickiewicza okazało tyle uprzejmości, iż mimo trzykrotnej prośby nie raczyło podać danych cyfrowych za rok ubiegły. Koniecznością tedy zmuszeni jesteśmy do nakreślenia jedynie

charakterystyki ogólnikowej tego stowarzyszenia, którego rozwój z roku na rok objawia się coraz wydatniej. Zawdzięczać go ono może śmiało sobie samemu, jako że pracuje wydatnie na niwie historyi literatury polskiej, skupiwszy dokoła przepysznie wydawanego »Pamiętnika literackiego« wszystkie najwybitniejsze bez wyjątku siły naukowe. Nie popadając w przesadę, możemy stwierdzić, iż w całej Słowiańszczyznie darmoby szukać pisma peryodycznego z tej dziedziny, przynoszącego równie nadzwyczajny ogrom materyału nowego we wszystkich swoich działach, co jest w przeważnej części zasługą zapobiegliwego d-ra L. Bernackiego, wkładającego trudy niepomierne w redagowany przez niego kwartalnik, jak niemniej całej falangi współpracowników, spieszących chętnie na każdy apel redakcyi. Pamiętała bowiem ona zawsze o chwili bieżącej — to też osobny rocznik poświęciła z okazyi obchodu jubileuszowego Słowackiemu oraz poczyniła rozległe przygotowania do odpowiedniego uczczenia rocznicy nieśmiertelnych naszych: złotoustego Skargi i twórcy »Psalmów przyszłości«. Za utrzymanie tego żywego kontaktu nauki z chwilą bieżącą, należy się Tow. lit. im. Mickiewicza prawdziwe a zasłużone ze wszech miar uznanie. Zdałoby się tylko przyśpieszyć nieco bodaj i tak już lat 20 wlokące się wydawnictwo edycyi krytycznej wszystkich dzieł Mickiewicza. A chyba jedyna możliwa do przypuszczenia przeszkoda nadania szybszego tempa całemu przedsięwzięciu, jaką upatrywać należy w braku odpowiednich środków finansowych, powinna być możliwie najrychlej usunięta. Nie jesteśmy, co prawda, w świetnych stosunkach materyalnych, ale przy odrobinie dobrej woli i inicyatywie energicznej wszelkie nastręczające się trudności musiałyby być zwalczone. Skoro równocześnie dwie księgarnie, a zatem przedsiębiorstwa polujące na zyski, mogły odważyć się w latach ostatnich na puszczenie w obieg kompletów pism Mickiewicza, więc trudno przypuszczać, iżby Tow. lit. im. Mickiewicza narażało się na ryzyko swoją edycyą, która, jak dotąd, nie ma sobie równej, dając tekst wierny, nieskażony niczem, objaśniony aparatem krytycznym przez uczonych tej miary, co prof. Bruchnalski, Chmielowski, Kallenbach, Pilat i Tretiak.

* * *

W *Towarzystwie filologicznem,* nazwanem zresztą tak najniesłuszniej, skoro uprawia ono jedynie filologię klasyczną, w tow. tak spokojnem, jakiem z natury rzeczy powinnoby być, doszło do iście operetkowej rewolucyi, a to wymierzonej przeciwko redaktorowi czaso-

pisma *Eos,* prof. d-rowi St. Witkowskiemu, który, kierując się jedynie powagą nauki i względami sumienia musiał zamieszczać ostrzejsze recenzye prac naszych filologów. Wydział Tow. w obawie o utratę członków z tej racyi ingerował. To też nikt rozsądny nie odmówił słuszności prof. Witkowskiemu, który zwalczał takie stanowisko, bo uważał je za fałszywe i szkodliwe. Recenzya, powinna być ściśle objektywna, ale powinna wypowiadać całą prawdę. I byłoby fałszowaniem stanu rzeczy, gdyby z oceny pracy lichej nie wynikało, że praca jest licha. Zrażanie się zaś z powodu surowej oceny do Tow. świadczyćby mogło co najmniej o atrofii mózgowej autora rzekomo pokrzywdzonego. Mojem zdaniem, raczej Tow. powinno zrezygnować z tego i owego członka, przekładającego prywatę ponad prawdę, aniżeliby miało za te srebrniki judaszowe sprzedawać swoje stanowisko naukowe. Że zaś większość pp. filologów nie umiała zachować jedynie właściwego im spokoju olimpijskiego, więc jedynie na pochwałę zasłużył sobie prof. Witkowski — rezygnując ze stanowiska redaktora czasopisma, którego prenumeratorowie żądają natarczywie wzajemnej adoracyi!...

Szczupłość funduszów nie pozwoliła na powiększenie rozmiarów czasopisma *Eos.* Natomiast postanowiono przystąpić do zapoczątkowania osobnego wydawnictwa zeszytowego. Każdy zeszyt pomieści jedną rozprawę, napisaną po łacinie, a opracowującą kwestyę z dziedziny historyi języka greckiego. Dotychczas przeznaczono 500 kor. na wydanie gotowych już do druku prac. Udzielono też zasiłku w wysokości 100 kor. na dalszą pracę nad bibliografią filologii klasycznej i literatury humanistycznej w Polsce od pojawienia się pierwszych druków po rok 1890. Kierownictwo złożono w ręce niezmordowanego prof. d-ra W. Hahna. Sprawa wydawnictwa autorów szkolnych, dotowana kwotą 350 kor., nie posunęła się w r. ub. naprzód. Członków liczyło Tow. zaledwie 173, co w porównaniu z ilością nauczycieli, posiadających kwalifikacyę z języków starożytnych, która dochodzi w Galicyi do 500 — jest aż nadto znikome. Dochody Tow. wynosiły 2.659 kor. (w tem subwencya min. wyznań i oświaty kor. 600), rozchód pochłonął 2.317 kor. Administracya zasłużyła na największe pochwały.

Koło lwowskie odbyło posiedzeń, połączonych z odczytami 12, krakowskie 7, stanisławowskie 4. Koło ostatnie powstało dopiero w roku ubiegłym.

Dr. St. Zdziarski.

Z naukowej literatury muzycznej.

F. Weingartner: »Die Symphonie nach Beethoven«. Dritte, vollständig umgearbeitete Auflage. Lipsk 1909, Breitkopf & Härtel, 8-o, II+113. — Hugo Riemann: »Kompendium der Notenschriftkunde«. Ratysbona 1910, Fr. Pustet, 12-o, 167 str. — F. Volbach: »Das moderne Orchester in seiner Entwickelung«. Lipsk 1910, B. G. Taubner, 8-vo, II+118 str. — Dr. med. Aleksander Piotrowski: »Die Quintuplicität der Rhythmik in mittelalterlichen Melodien«. Berlin 1910, R. Trenkel, 8-o, 49 str.

Wszelkie rozprawy muzyczne pisane przez wielkich artystów, zwłaszcza tych, którzy obok muzycznego wykształcenia posiadają wielkie wykształcenie ogólne, wielką kulturę i głębszy umysł, nadto i szczególną zdolność literacką, interesują nas zawsze w niemałej mierze. Feliks Weingartner, jeden z najgenialniejszych kapelmistrzów doby obecnej, wybrał temat, który jemu szczególnie odpowiada — t. j. dzieje symfonii po Beethovenie. Oczywiście Weingartner zastanawia się nie nad rozwojem symfonii lecz nad tymi mistrzami, którzy stworzyli dzieła nieśmiertelne a więc przełomowe. Sądy swoje wypowiada Weingartner z wielkiem, głębokiem znawstwem przedmiotu; obserwacya jego jest wprost bezprzykładnie trafna. Wielką zaletą książki Weingartnera jest syntetyczne streszczanie się; nie wchodząc w szczegóły kreśli W. w wielkich konturach sylwetki pełne wyrazu. W dawniejszych wydaniach swej pracy nie był Weingartner zwolennikiem Brahmsa. Obecnie stał się apostołem jego szlachetnej sztuki, jakkolwiek nie ukrywa słabych — jeśli się wolno tak wyrazić — stron. Natomiast nagły ten zwrot odbił się niekorzystnie na sądach Weingartnera o R. Straussie. W dawniejszych wydaniach zajmował się Weingartner także nowszemi dziełami Straussa, jakkolwiek nie był ich gorącym wielbicielem. Obecnie pomija te dzieła, pisząc tylko o trzech pierwszych poematach symfonicznych. Bez wątpienia ostatnie utwory Straussa są jeszcze ciągle problematami do pewnego stopnia; także nie ulega wątpliwości, że w dzisiejszej muzyce niemieckiej istnieją naśladowcy zewnętrznych cech techniki Straussa, którzy naśladując go tworzą istne karykatury i starają się przewyższyć Straussa w piramidalnych pomysłach harmonicznych i instrumentacyjnych. Jednakże niepodobna przypisywać winy samemu Straussowi. Zresztą potężny rozwój orkiestry, który jest wyłączną zasługą Straussa, uznaje Weingartner całkowicie. Poglądy na wartość twórczą Straussa można podzielać lub nie, można też Weingartnerowi

zarzucić zbytnią gorliwość o dobro muzyki, która rozwijać się będzie i bez Weingartnera, lecz to co wielki muzyk pisze o wielkich mistrzach (nawet o Brucknerze) zapisze nauka muzyczna trwałemi głoskami. Nie jest możliwem do pomyślenia przyszłe dzieło historyczne, któreby nie cytowało sądów Weingartnera, starczących nieraz za obszerne dzieła. Nie napisano ani jednej pracy o Brahmsie, którąby mogła dorównać tym 17 stronom, które poświęca Weingartner wielkiemu twórcy »Requiem«. Tytuł pracy Weingartnera nie odpowiada poniekąd treści. Nie znajdziemy dokładniejszego »opisu« symfonii we Francyi, Rosyi, Anglii, Czechach. Być może, iż W. miał zamiar poświęcić swe wywody tylko wielkim symfonistom, a więc przedewszystkiem niemieckim; jednakże nie tylko z historycznego, ale i artystycznego punktu widzenia należy się i obcym symfonistom dość znaczne miejsce w rozwoju symfonii.

Każde dzieło Riemana jest w naukowym świecie muzycznym wypadkiem zwracającym na siebie uwagę — zwłaszcza jeśli dotyczy jednej z dziedzin, w których Rieman jest autorytetem, np. w zakresie paleografii muzycznej. Starannie przez znaną firmę Fr. Pusteta w Ratysbonie wydany tomik p. t. *Notenschriftkunde,* (w zbiorze *Sammlung Kirchenmusik,* wydawanym przez ks. d-ra K. Weinmana) zawiera praktyczny pogląd nie tyle na dzieje pisma muzycznego, ile na charakterystyczne systemy nutacyjne w pewnych epokach. Całość rozpada się na 3 ustępy: o nutacyi neumatycznej, menzuralnej i o tabulaturach. Rzecz napisana jest poglądowo, praktycznie i opatrzona dobrze wybranymi przykładami — i nie pozostawia nic do życzenia. Na neumatyczną nutacyę można zapatrywać się różnie, a nawet zgoła odmiennie niż Riemann; przyznać jednak musimy, iż system Riemana odznacza się wielką bystrością i logiką, właściwą temu olbrzymowi nauki. Pragnęlibyśmy tylko, aby nutacya XV stulecia była nieco szczegółowiej opracowaną. Możemy jednak to z całym naciskiem zaznaczyć, że bardziej praktycznie, zwięźle i jasno opracowanego podręcznika nutacyi muzycznej dotychczas nie wydano. Jak w każdem, tak i w tem dziełku Riemana znajdują się ustępy przynoszące nowe poglądy i nowe zdobycze badań Riemana: tu należy wymienić ustępy o bizantyńskiej nutacyi i o wpływie tabulatur na nutacyę menzuralną.

Praca F. Volbacha o rozwoju nowożytnej orkiestry jest bardzo dobrym podręcznikiem oryentującym czytelnika w zakresie historyi

pojedynczych instrumentów i stosowania ich w orkiestrze. Zwłaszcza ustępy o klasycznej muzyce zasługują na wyszczególnienie. Oczywiście historyk niejedno mógłby uczynić zastrzeżenie co do wywodów autora, dotyczących orkiestry przedbachowskiej. Im bardziej autor zbliża się ku nowszym czasom (od Wagnera począwszy), tem bardziej występuje deskryptywno-poetyzujący charakter książki; autor zastanawia się bardziej nad treścią utworów (np. Straussa), niż nad samą instrumentacyą. Wadą tej pracy jest również i to, że opiera się ona wyłącznie na muzyce niemieckiej, gdy tymczasem właśnie pod względem instrumentacyjnym muzyka francuska i rysyjska mogłaby być tematem dla siebie; nawet Berliozowi, ojcu nowożytnej orkiestry, poświęca autor za mało miejsca. O ileżby jego kśiążka zyskała na wartości, gdyby zajęła się dziełami Bizeta, Lalo, C. Francka, d'Indy'ego, Dukas'a, Chabriera, Debussy'ego, Rimskego-Korsakowa i t. d. Jednakże i tę próbę przyjąć należy życzliwie — jest bowiem w istocie pierwszą próbą.

Bardzo cenną i niezmiernie interesującą jest praca p. d-ra Al. Piotrowskiego (Poznań) o pięcioczęściowej rytmice melodyi średniowiecznych. Nad tym tematem dotychczas nie zastanawiano się, jakkolwiek badania nad melodyami średniowiecznemi właśnie w ostatnich czasach są prowadzone z wielką precyzyą. Zaznaczając, iż z wywodami autora zgadza się referent w zupełności, podajemy wyniki badań p. d-ra Piotrowskiego w kilku zdaniach. Średniowieczne melodye przekazano w formie, która pod względem rytmicznym nie odpowiada oryginałom. Dawni kompozytorowie zmieniali miarę taktu według kontrapunktycznych potrzeb, rozrywali melodyę pauzami i przesuwali dowolnie akcenty, naturalną zaś rytmikę zatarli przez wprowadzenie wyłącznie taktów całych i nieparzystych (na 3). Pierwotną rytmiką tych melodyi jest pięcioczęściowy takt, który powstał przez deklamacyjne wydłużenie końcowego rymu. Przez wprowadzenie tej miary taktu nie zmienia charakteru pieśni. Autor demonstruje swą tezę na 20 przykładach. Praca zasługuje na wszelkie uznanie. Oczekiwać musimy z zaciekawieniem, jakie stanowisko zajmie szkoła Riemana wobec hipotezy autora.

Dr. A. Chybiński.

Listy z Monachium.

II. Wystawy sztuki.

Monachium z dawien dawna jest znane powszechnie jako jedno z głównych ognisk nowoczesnej sztuki. Już w pierwszej połowie zeszłego wieku zajęło przodownicze stanowisko, zwłaszcza na polu malarstwa i rzeźby, w całych Niemczech. Sława akademii malarskiej ściągała także i obce siły na naukę. I z Polski podążały tam całe szeregi artystów. Prawie wszystkie większe talenty ubiegłego stulecia w Monachium zaczynały lub pogłębiały swe studya. Nic dziwnego, że dziś nie trudno stolicy bawarskiej utrzymać się na tym wysokim poziomie artystycznym, tem bardziej wobec wydatnej opieki i pomocy tak ze strony dynastyi królewskiej jako też państwa. Wszystkie bowiem czynniki dbają o utrzymanie *prestige* artystycznego miasta. Ale obok względów tej idealnej ambicyi, są jeszcze inne, niemniej silne choć bardziej prozaicznej natury, bo i finansowej. Zrozumiano tu wcześnie, że także sztuka dzisiejsza jest rozkoszą życia, zdolną przyciągnąć wielkie tłumy ludzi nawet z daleka. Dlatego to wszystkie czynniki połączyły się celem współdziałania. Doroczne, wielkie wystawy nowoczesnej sztuki tworzą dziś jedną z głównych atrakcyi turystycznych miasta. W rękach ludzi obrotnych i zręcznych są doskonałym interesem. Przekonali się o tem i sami artyści, i dziś, obok szeregu zbogaconych *kunsthändlerów* i różnych oficyalno-urzędowych wystaw, tworzy się coraz więcej związków artystycznych, w których sami malarze kierują sprzedażą dzieł zajmując się przytem urządzaniem wystaw. Ma to te dobre strony, że podnosi dochody artystów i daje im większą swobodę działania. Mimo to jednak korzyści, jakie miasto ciągnie pośrednio ze sztuki, są bez porównania większe od tych, jakie sama sztuka odnosi. Sumy bowiem wydawane przez tłumy turystów w czasie pobytu w mieście są nierównie wyższe od kwot, obracanych na zakupno dzieł sztuki. Chorobliwa podróżomania dzisiejszych czasów zmusza ludzi do wyjazdu za granicę. Jeździ się dzisiaj albo dla zdrowia, albo dla zabawy albo najczęściej w turystycznych celach zwiedzania zbiorów dawnej i nowej sztuki. Oczywiście nad tem wszystkiem panuje zwykle przymus mody. Trudnoby zaś od Niemców wymagać, aby Monachium było salonem świata, jak np. Paryż, Rzym, Nizza, w miniaturze nawet Wiedeń. Nie. Monachium jest przedewszystkiem miastem turystów,

szukających »wyższych« wrażeń artystycznych. I dlatego to właśnie sztuka jest tutaj przez całe miasto tak cenionym objektem.

Na czele tegorocznego sezonu trzeba postawić wystawę w Glaspalaście, przynajmniej ze względu na jej wielkość. Liczy bowiem okrągłe dwa tysiące dzieł. Jest ona dobrym obrazem przeciętnej twórczości artystycznej całych Niemiec, które są tu reprezentowane obok Bawaryi. Po obejrzeniu kilku sal opanowuje już znużenie albo raczej znudzenie. Takim jest cały Glaspalast. Przeszło ośmdziesiąt sal a wszystkie jednakie. Główną cechą czy wadą tej wystawy jest jej banalność czyli nuda. O tem nas przekonywują wszystkie płótna. Widać w nich pewne wyrobienie rysunkowe. Przeważnie są to rzeczy poprawne i opanowane w technice. Na tem jednak kończy się zdolność artystyczna. Reszta jest stanowczo ujemna. A więc zawsze bardzo nizki poziom inteligencyi. Wyraża się w niezręczności upozowania modelu, w nieumiejętności wyboru motywów pejzażowych i w zupełnym braku celowego komponowania obrazu. Najczęściej za treść obiera tutaj malarstwo anegdotę i powtarza po raz tysiączny i pierwszy znane tematy zawsze w sposób naiwny i banalny. Tu dopiero poznaje się, jak nizkim jest stopień rzeczywistej kultury Niemiec. Obok garstki ludzi o naprawdę wyższej kulturze — naród niemiecki ma bardzo niewybredne, przeciętne gusta. Pociąga go zawsze tania sentymentalność. W tę to strunę uderza najczęściej obecna wystawa, pewna powodzenia, wraz ze swym nudno-słodkim mistrzem Kaulbachem. Wystarczy wziąć katalog do ręki, aby z samych tytułów obrazów mieć pojęcie o wartości wystawy. Wystawa ta jest także dowodem, że malarstwo traktują w Niemczech raczej jako rzemiosło bez odrobiny talentu, niż jak prawdziwą sztukę o wysokich i wzniosłych zadaniach.

Zupełnie inaczej przedstawia się wystawa związku artystów monachijskich w t. zw. »Secessyi«. Tu zebrał się sam kwiat sztuki: najlepsze talenty, najwyższe intellekty artystyczne. Jest niewielką, ale za to już w każdym szczególe urządzenia odczuwa się zaraz atmosferę wyrobionej, prawdziwej kultury. Już sam budynek usposabia życzliwie. Znajduje się bowiem na pięknym »Placu Królewskim« i pochodzi z połowy minionego stulecia, z czasów króla Ludwika I. Plac ten, zamknięty z jednej strony przez bramę »Propylei«, zajmują dwa jednakowe budynki o formach architektury klasycznej, położone naprzeciw siebie. Jeden, »Glyptoteka«, zawiera nieocenione zbiory rzeźby antycznej, w drugim mieści się właśnie »Secessya«.

Zaledwie dwieście kilkadziesiąt dzieł złożyło się na wystawę —

mała galerya nowoczesnej sztuki. Więc naprzód Hugo Habermann, świetny kolorysta i wykwintny malarz kobiet, ma to, co zwykle nagi akt kobiecy, spowity w biało-niebiesko-zielone atłasy, łączące się ze złotem krzesełkiem, na którem siedzi piękny model. Cechą właśnie tego artysty jest wielka dekoracyjność kolorystyczna i subtelne wyczuwanie wdzięku kobiecego. Obok niego można postawić doskonałego malarza portretu Alberta Kellera, dalej Waltera Georgi »Damę« w niebieskiej sukni, szarym płaszczu i w białym szalu, z bukietem ceglasto-ponsowych astrów obok. Kolorystycznem studyum jest także Józefa Oppenheimera »Portret miss B.«: w białej, lekkiej krynolinie, z zarzuconą blado-niebieską chustą. Bardzo ładną rzecz ma Ludwik Hofmann i bardzo dekoracyjną: oto na tle zaróżowionego nieba idą trzy nagie postacie kobiece. Robią wrażenie nimf czy bogiń leśnych, niosą w sobie prostotę i czar młodości. Dobre są także dwa obrazki M. Hübnera. Za temat wybiera on zwykle porty nadmorskich miast z barkami żaglowemi i mnóstwem łodzi w oddali. Batalista niemiecki Angelo Jank dał parę studyów końskich i dwóch »Kyrasyerów«, poją cych konie, na tle rozległego pejzażu. Głębszym obserwatorem i psychologiem szarzyzny życia jest G. Kuehl. Każdy z jego obrazów — czy »Wnętrze kościoła«, czy »Praca w piwnicy z winem«, czy »Dziewczynka z jabłkiem« lub »Małe podwórko« — zatrzymuje mimowoli swojem własnem życiem, tak doskonale wyczutem. Pewne pokrewieństwo zauważyć można u malarza R. Nissla. I jego także odznacza głębsza obserwacya obranych tematów czy to martwej natury z barwnym bażantem, czy — co zwykle — wnętrz pokojowych. Szczególniej ładną i miłą jest »Chwila w pracowni«, której jeden kąt widać na obrazie. Przy komodce stanął rozebrany już model i czekając na artystę, przegląda tymczasem jakąś książkę. Szczerość i wielka zaciszność tej pracowni ma wiele wdzięku. Dużo życia i sprawności malarskiej w opanowaniu techniki a przytem zamiłowanie do jasnych tonów widać w portretach A. Offnera. Bardzo dobre są też studya portretowe Eugeniusza Spiro »Matka z synkiem« i C. Landenbergera »Dama przed lustrem« i F. Rheina »Portret męski«.

Także pejzaż ma licznych i dobrych przedstawicieli. Głębokim psychologiem przyrody jest Ryszard Pietzsch. Krajobrazy jego, zwykle o szerokich widnokręgach, mają dużo szczerości i nastroju. Podobnie również Karol T. Mayer-Basel ujmuje w swych płótnach rozległe dale, pełne światła o doskonale wystudyowanej perspektywie powietrznej. Nastroje wiosenne, przyroda budząca się do życia pociąga szczególniej

Benno Bechera, natomiast kolorystyczne harmonie zimy, pola śniegowe, przecięte wartkim strumieniem, składają się na obrazy Pawła Crodla. Nie brak tu także wiejskiego dworku z aleą starych drzew, zalanego łagodnem słońcem jesieni E. Wolffa, nie brak pejzaży wodnych z Islandyi ze stadami gwarliwych kaczek i mew białoskrzydłych F. Lissmanna. Są również obrazy górskie ze świetnie wystudyowaną sferą obłoków Karola Haidera, są dęby samotne, wśród pól niezmiernych, marzące o wiośnie Ryszarda Kaisera. Pysznym obrazem jest »Ranek jesienny« J. Seilera. Znowu rozległa równina, a na niej, przed nami droga wygięta, jakby »sierpem rzucił«, obsadzona szeregiem nagich drzew — z daleka jakby upiorów. Na drodze wóz chłopski, we dwa woły, leniwo się wlecze. Czuć tu świetnie uchwycony nastrój późnej jesieni: cisza, pustka, błoto i słabe, jakieś nieśmiałe, rzadkie słońce.

Franciszek Stuck, jeden z najlepszych współczesnych malarzy niemieckich, dał cztery obrazy. Za temat obiera on zwykle do swych kompozycyi mity greckie. Cechuje go żywiołowy temperament i siła wewnętrzna, która sprawia, że wszystkie jego utwory — dalekie od banalności — mają w sobie ogromną monumentalność i szczerość życia. Taką jest właśnie »Meduza«: na ciemno-błękitnem tle nieba dwie postacie wojowników, o zielonawo-sinych refleksach ciała; jeden z nich trzyma straszną głowę Meduzy. Bardziej jeszcze zatrzymuje uwagę »Perseusz uwalniający Andromedę«. Najpierw jako obraz jest to świetnie skomponowane dzieło. Następnie pod względem kolorystycznym daje niezapomniane wrażenia. Obraz jest bowiem całą gamą ciemnych tonów o stalowo-sinych połyskach zbroi Perseusza i lśniącej łuski zabitego smoka, i tworzy jakby tło dla Andromedy. Ta, w pozie klęczącej, odwrócona i przykuta do skały, o jasnej, miękkiej karnacyi i włosach, ujętych w złoty dyadem, jest niezrównanym kontrastem do swego otoczenia. W tym właśnie zestroju kolorystycznym, ztonowaniu całego tła dla wydobycia i silniejszego podkreślenia barwnych walorów poznaje się od razu wielki intellekt artysty. Inny zupełnie nastrój panuje »W pochodzie wiosny«. Na tle rozległego pejzażu korowód postaci, trzymających się pod ręce, oszalałych radością życia i nadchodzącej wiosny. Dziwny urok młodości i świeżości tchnie z tego płótna.

Jeszcze parę słów o innych nacyach. Wystawa »Secessyi« jest bowiem międzynarodową. Jednak udział obcych wypadł bardzo słabo. Redukuje się do trzech obrazów rosyjskich i dwóch hiszpańskich. Jerzy Repin nadesłał świetną, wielkich rozmiarów kompozycyę »Wielki

wódz«. Jest to Piotr Wielki, odbywający przegląd wojsk. Ubrany w zielony mundur z czerwonymi rabatami, ze złotym ryngrafem na piersiach, w białych rękawicach, salutuje przeciągające zastępy trójgraniastym kapeluszem. Wysunął się z koniem na pierwszy plan i dotyka samych ram obrazu, które aż zasłaniają nogi wierzchowca. »Uprowadzenie«, Mikołaja Fechina z Kazania, przenosi nas w szczerą wieś rosyjską. Motyw wzięty z życia ludu. Coś się tutaj stało, cała wieś się zbiegła. Porywają czyjąś kobietę. Brodaty, wielki chłop przytrzymuje rosyjską »Trójkę«, naokoło tłum ludzi, świetnie zaobserwowanych. Jest to szereg, nie spotykanych gdzieindziej typów, niby wynaturzonych, a tak szczególnie prawdziwych i szczerych. I ta właśnie bezpośredniość i bezpretensyonalność życia, jaka bije z tego obrazu, jest największą zaletą malarstwa rosyjskiego.

Z Hiszpanów wystąpił tylko Walenty de Zubiaurre, świetny malarz, nieodrodny syn Hiszpanii. Ma dwie rzeczy. Na jednej stara »Donna Mamerta ze swą siostrzenicą«, młodą i ładną dziewczyną, w czarnej mantyli koronkowej, z nieodstępnym wachlarzem w ręku — pozują artyście. Za niemi, jako tło, szarzyzna życia, biedne miasteczko hiszpańskie o ubogich, starych, nizkich domach. Pod względem kolorystycznym jest gama ciemno-czarnych tonów w pierwszoplanowych figurach, dopełniona jeszcze zielono-ceglasto-matowemi barwami tła. Także »Florentynka« jest doskonałem studyum portretowem.

Dział rzeźby przedstawia się bardzo dobrze. Widać tu — co prawda — więcej pracy, niż talentu. Mimo to jednak poziom ogólny jest wysoki. Obok szeregu udanych studyów portretowych spotkać można też animalistów, n. p. świetnem dziełem plastyki jest »Lew« Fritza Behna, odlany w bronzie, naturalnej wielkości. Ślady wpływu renesansu włoskiego nosi płaskorzeźba Madonny z Dzieciątkiem Teodora Georgii, przypominając żywo tabernakula florenckie. Wzorowany na antyku jest »Sabiński chłopiec« Augusta Krausa, zresztą bardzo dobry, a także niewielka, udana statua konnego jeźdźca w bronzie, dzieło Hermana Hahna.

Nakoniec raz jeszcze trzeba zaznaczyć wysoki artystyczny nastrój, jaki panuje na całej wystawie. Urządzenie zaś i przygotowanie wystawy świadczy dobrze o intencyach komitetu. Drobnymi środkami dekoracyjnymi podniesiono nastrój, który dodatnio oddziaływa na zwiedzających.

Obok »Secessyi« był współcześnie w Monachium otwarty cały szereg wystaw malarskich lub przemysłu artystycznego. Z tych naj-

ciekawszą była niewątpliwie wystawa malowanych mieszkań. Miała ona dać przegląd całego przemysłu malarskiego w zastosowaniu go do codziennego życia, w szczególności do prywatnych mieszkań. Tem samem celem jej było zwalczanie złego smaku i zamiłowanie do bezbarwności ostatnich czasów. Pokazała ona i nauczyła szerokie koła publiczności, jak można tanio i gustownie urządzić swe mieszkanie. Rozpadała się na przeszło trzydzieści mniejszych i większych pokoi, zupełnie urządzonych, gotowych do zamieszkania: począwszy od kolejowego wagonu restauracyjnego i małej, wytwornej kawiarni, aż do wielkich salonów do przyjęć i kantorów kupieckich. Wystawa ta miała bowiem dostarczyć nowych planów i projektów wewnętrznego urządzenia, a także stworzyć meble, ozdobione malowanym ornamentem. Że odpowiedziała ona swym celom i zadaniom, świadczy najlepiej popyt i popularność ogromna, jaką się cieszyła w najszerszych kołach publiczności.

Franciszek Klein.

Druk ukończono 19 września 1911.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

Z NOWSZEJ BIOLOGII. Obecny stan nauki o komórce. Przez *ks. Feliksa Hortyńskiego T. J.* 1

POZDROWIENIE ANIELSKIE. Poemat niemiecki z r. 1579. Pod wpływem norymberskiej rzeźby Wita Stwosza napisany. Tłumaczył i objaśnił *Ludwik Stasiak* . 30

KSIĄŻKA O EMIGRACYI. Przez *d-ra A. Tomaszewskiego* . 43 229

PROBLEMY ARABSKIE I SIŁY SPOŁECZNE I KULTURALNE ARABÓW. (C. d.) Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 58

W SPRAWIE JEZUITÓW NA BIAŁEJ RUSI. Z okazyi książki M. Loreta »Kościół katolicki a Katarzyna II«. (Dok.). Przez *ks. Józefa Sasa T. J.* . 69

PRZEŻYCIA ESTETYCZNE A MORALNOŚĆ. Przez *ks. L. Rudnickiego T. J.* 151 361

FALSYFIKACYE I PRAWO BIOGENETYCZNE HAECKLA. Przez *ks. Ferdynanda Chmurę T. J.* 168 340

PIEŚŃ LEGIONISTÓW »JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA«. Jej powstanie i historya Przez *Wacława Orłowskiego* 183 375

PRZEMÓWIŁ JAHWE... Przekład z hebrajskiego. Przez *ks. Wł. Szczepańskiego T. J.* 201

LISTY HR. DE MONTALEMBERTA DO KS. JANA KOŹMIANA 210

DRUGI KONKURS PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO NA ROCZNICĘ SKARGI. Przez *Redakcyę Przeglądu Powszechnego* 1*

KONGRES MARYAŃSKI W PRZEMYŚLU. Przez *ks. St. Bratkowskiego T. J.* . . . . . 2*—9*

JUBILEUSZ CHYROWSKIEGO ZAKŁADU. Przez *d-ra Ludomiła Germana* . . . . . 10*—12*

NOWE PRĄDY W SOCYALIZMIE FRANCUSKIM. Przez *ks. Leonarda Lipkego T. J.* 307

SZTUKA MAHOMETAŃSKA NA WYSTAWIE W MONACHIUM. Przez *Franciszka Kleina* 322

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str.

Z DZIEDZINY PSYCHOLOGII. *(Prof. dr. M. Straszewski)* 81

BOHDAN ZALESKI DO UPADKU POWSTANIA LISTOPADOWEGO. 1802—1831. Życie i poezya. Karta z dziejów romantyzmu polskiego. Józef Tretiak. *(Dr. Stanisław Turowski)* 93

JĘDRZEJ ŚNIADECKI, ŻYCIORYS I ROZBIÓR PISM. A. Wrzosek. Tom I: Życiorys Jędrzeja Śniadeckiego. Tom II: Jędrzeja Śniadeckiego działalność naukowa. *(Aleks. Birkenmajer)* 246

DZIEJE NARODU POLSKIEGO. J. Grabiec. *(Ks. K. Konopka T. J.)* . . . 253

BOHDAN ZALESKI DO UPADKU POWSTANIA LISTOPADOWEGO. 1802—1831. Życie i poezya. Karta z dziejów romantyzmu polskiego. Józef Tretiak. (Dokończenie). *(Dr. Stanisław Turowski)* 388

JÓZEF HAYDN. Napisał dr. Zdzisław Jachimecki. *(Dr. Adolf Chybiński)* 397

Z piśmiennictw obcych.

DICTIONNAIRE DE THÉOLOGIE CATHOLIQUE contenant l'exposé des doctrines de la théologie cath. leurs preuves et leurs histoire sous la direction de E. Mangenot. *(Ks. L. Rudnicki T. J.)* . . 103

DAS DRITTE BUCH ESDRAS UND SEIN VERHÄLTNIS ZU DEN BÜCHERN ESRA-NEHEMIA. Von P. Edmund Bayer O. F. M. — EINE BABYLONISCHE QUELLE FÜR DAS BUCH JOB? Von P. Dr. Simon Landersdorfer O. S. B. — ÜBER DOPPELBERICHTE IN DER GENESIS. Dr. Arthur Allgeier. — DER ZWEITE BRIEF DES APOSTELS PAULUS AN DIE KORINTHER. Übersetzt und erklärt von Dr. Joh. Evang. Belser. *(Ks. Jan Korzonkiewicz)* 105

Z SEŁA. Łepkij Bohdan. *(Dr. St. Zdziarski)* 111

DICTIONAIRE APOLOGÉTIQUE DE LA FOI CATHOLIQUE contenant les Preuves de la Vérité de la Religion les Réponses aux Objections tirées des Sciences humaines, Sous la direction de A. D'Alès. *(Ks. L. Rudnicki T. J.)* 255

EUCHARISTIE UND BUSSSAKRAMENT in den ersten sechs Jahrhunderten der Kirche. Von Dr. Gerhard Rauschen. Zweite, verbesserte u. vermehrte Aufl. *(Ks. E. Matzel T. J.)* 258

DER PESSIMISMUS UND DAS TRAGISCHE IN KUNST UND LEBEN. Von Dr. Albr. Vögele. *(Maryan Albiński)* 262

DIE VEREHRUNG DES HL. JOSEPH in ihrer geschichtlichen Entwicklung bis zum Konzil von Trient dargestellt von Joseph Seitz. *(M. Bartynowski)* 266

STUNDENBILDER DER PHILOSOPHISCHEN PROPÄDEUTIK. Von Peter Vogt S. J., Professor am Privatgymnasium »Stella Matutina« in Feldkirch. Erster Band: »Psychologie«. Zweiter (Schluss-) Band: »Logik«. — LEITFADEN DER PHILOSOPHISCHEN PROPÄDEUTIK für den Schulgebrauch. Von P. Vogt S. J. Erster Teil: »Logik«. Zweiter (Schluss-) Teil: »Psychologie«. *(Bruno Wolnik T. J.)* 400

LES VIES NÉCESSAIRES. Par Geoges Mare-Sencier. *(Helena Skolimowska)* 404

Str.

Zapiski bibliograficzne.

ETNOGRAFICZNO-STATYSTYCZNY ZARYS LICZEBNOŚCI I ROZSIEDLENIA LUDNOŚCI POLSKIEJ. Opracował Edw. Czyński przy współpracownictwie T. Tillingera. *(J. U.)* 117
UCZENI I UCZNIOWIE. J. Nusbaum-Hilarowicz. *(J. U.)* 117
O NAUCZANIU RELIGII. Przez Stefanię Marciszewską. *(J. U.)* 117
Z GŁOSÓW LĄDU I MORZA. Jadwigi Marcinowskiej. *(H. S.)* 118
DYPLOMATARYUSZ DOTYCZĄCY ŻYDÓW W DAWNEJ POLSCE na źródłach archiwalnych osnuty (1388—1482). M. Bersohn. *(K.)* 118
JAK POWSTAŁA CHEMIA. Wilhelm Oswald. *(S. K.)* 119
Z PADOŁU NA WYŻYNY. (Jak zebrać fundusze). S. Prószyński *(A. B.)* 119
HERDERS JAHRBÜCHER. JAHRBUCH DER NATURWISSENSCHAFTEN. 1909—1910. 25-ter Jahrgang. *(J. S.)* 119
APOLOGIE DES CHRISTENTUMS. Von Albert Maria Weiss O. Pr. Zweiter Band: Humanität u. Humanismus. Wydanie IV. *(Ks. A. M.)* . . 120
M. CLARA FEY VOM ARMEN KINDE JESUS UND IHRE STIFTUNG (1815—1894). Von O. Pfülf S. J. *(Ks. A. M.)* 121
OPOWIADANIA Z DZIEJÓW MONARCHII AUSTRYACKO-WĘGIERSKIEJ dla klasy III szkół średnich. Dr. K. Krotoski. *(K. K.)* 269
STUDENCI WOBEC KATOLICYZMU. F. W. Foerster. ETYKA I PEDAGOGIKA SEKSUALNA. Tenże. *(H. Sk.)* 269
POETA »WIERSZA DO LEGIONÓW« CYPRYAN GODEBSKI. Przez M. M. Smolarskiego. *(J. U.)* 270
ŻYWOT BŁ. GABRYELA OD MATKI BOŻEJ BOLESNEJ, ze Zgrom. OO. Pasyonistów, przez C. O. Bernarda Pasyonistę. *(J. U.)* . . . 271
GOTT DER EINIGE UND DREIFALTIGE. Begründung und Apologie d. christl. Gotteslehre. Dr. Konstantin Gutberlet. *(E. M.)* 271
RICHTLINIEN DER JÜNGSTEN BEWEGUNG IM HÖHEREN SCHULWESEN DEUTSCHLANDS. Friedrich Paulsen. *(St. Z.)* 271
JAHRBUCH DER ZEIT- UND KULTURGESCHICHTE. Zweiter Jahrgang. *(St. Z.)* 272
MISCELLANEA ARCHIWALNE I. Aleksander Kraushar. — MISCELLANEA HISTORYCZNE XLIV. Tenże.—MISCELLANEA HISTORYCZNE XLVI. Tenże. — SKOROWIDZ DO OŚMIU TOMÓW MONOGRAFII A. KRAUSHARA: TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE KRÓLEWSKIE PRZYJ. NAUK 1800—1822. *(K.)* 406
DZIEWICA ORLEAŃSKA. Ks. dr. Jakób Górka. *(K.)* 406
LWÓW STARY I WCZORAJSZY. Fr. Jaworski. *(K.)* 407
STUDYA HISTORYCZNE. M. Handelsmann. *(K.)* 408
LISTY Z DWORU WIEJSKIEGO. Rusticus. *(H. S.)* 408
WYKŁADY DLA TOWARZYSTW MŁODZIEŻY. Ks. Z. Cieplucha. *(J. U.)*. . 409

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Po wyborach. *(Ks. A. Starker T. J.)* — Sytuacya w Rosyi. *(X. T. J.)* — Konflikt synodalny w Rumunii. *(Ks. M. Hellon T. J.)* 122
Z DZIEDZINY PALESTYNOLOGII. Ostatnie pięciolecie literatury palestynologicznej. (Szkic bibliograf.). Przez *ks. Wł. Szczepańskiego T. J.* 131
Z WYDAWNICTW KATOLICKICH. Przez *T. W.* 138

Str.
Listy z Monachium. Przez *F. Kleina* 141
Do dyskusyi o »podziemne drogi«. W odpowiedzi *Przeglądowi katolickiemu*. Przez *Redakcyę* 149

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Nowy dekret Piusa X. — Kierunek kolonski. — Ostatnie zajścia w protestantyzmie. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 273
Z dziedziny palestynologii. Ostatnie pięciolecie literatury palestynologicznej. (Szkic bibliograficzny). (Dokończ.) Przez *ks. Wł. Szczepańskiego T. J.* 280
Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1910. Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 287

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Kongresy katolickie. — Kościół we Włoszech. — Z Ameryki Północnej. — Z Ameryki Środkowej i Południowej. Przez *ks. A. Starkera T. J.* 410
Stowarzyszenia naukowo-literackie w r. 1910. II. Lwów. Przez *d-ra St. Zdziarskiego* 416
Z naukowej literatury muzycznej. Przez *d-ra A. Chybińskiego* . 426
Listy z Monachium. II. Wystawy sztuki. Przez *Franciszka Kleina* 429

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski T. J.